

SZKOLNA BIBLIOTECZKA NA WSCHODZIE  
POD REDAKCJĄ GRA 1. KURDYBACHY

tom

30

J. I. KRASZEWSKI

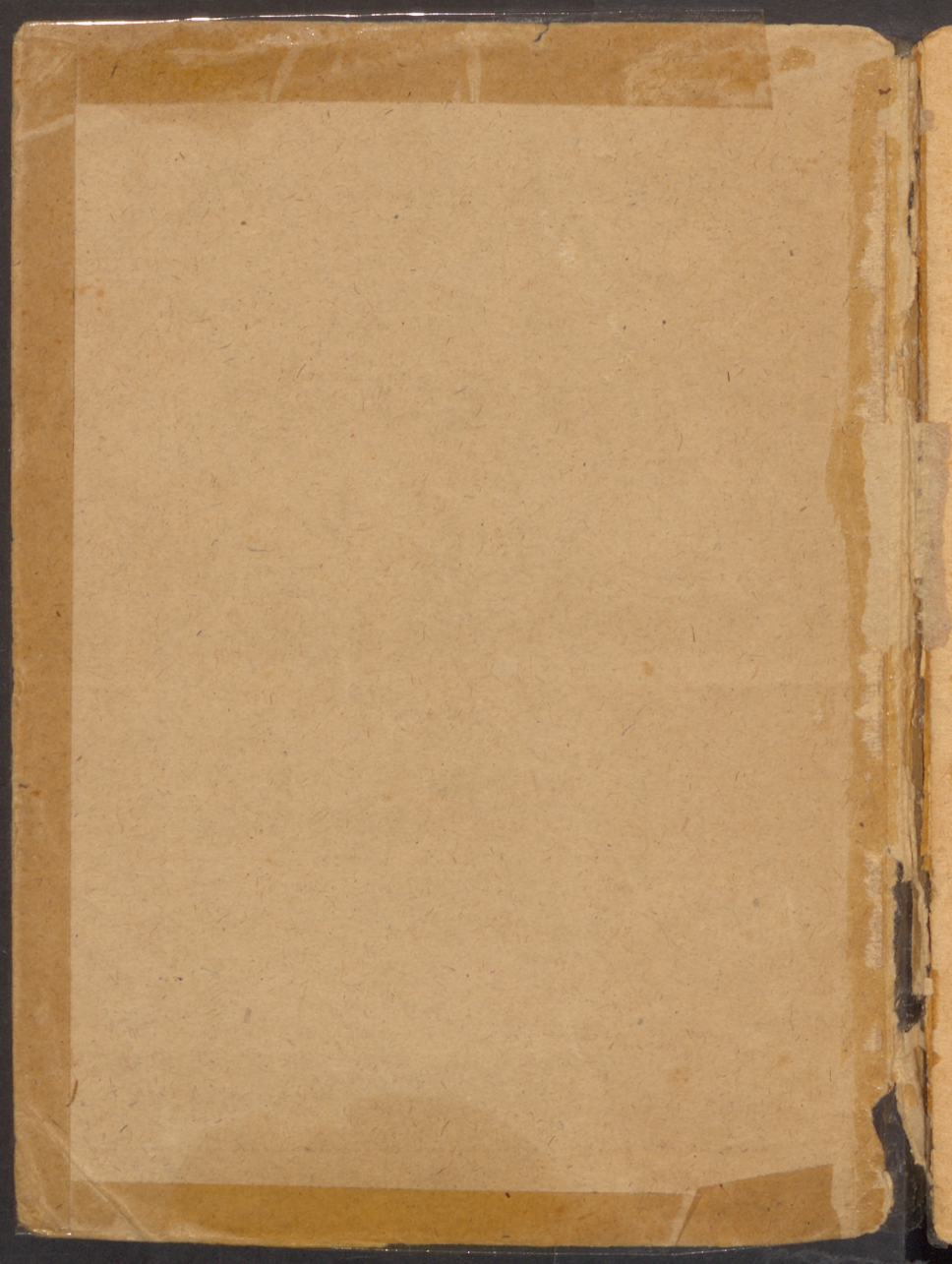
# STARA BAŚŃ

POWIEŚĆ Z IX WIEKU

Z 25 ILUSTRACJAMI E. M. ANDRIOLLIEGO



Ministerstwo W. R. i O. P. • Jerozolima 1944  
Nakład Sekcji Wydawniczej A. P. W.





144578

177163

SZKOLNA BIBLIOTECZKA NA WSCHODZIE tom  
POD REDAKCJĄ DRA Ł. KURDYBACHY 30

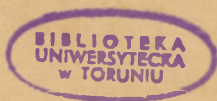
J. I. KRASZEWSKI

# STARA BAŚŃ

POWIEŚĆ Z IX WIEKU

Z 25 ILUSTRACJAMI E. M. ANDRIOLLIEGO

Ministerstwo W. R. i O. P. Jerozolima 1944  
Nakład Sekcji Wydawniczej A. P. W.



425302

Dz 22/93





*W. W. W. W.*



BIBLIOTEKA POLSKA W LONDYNIE

**DAR**

\* POSK \*



## CZĘŚĆ PIERWSZA

## I

Poranek wiosenny świtał nad czarną lasów ławą otaczającą widnokrag dokoła. W powietrzu czuć było woń liści i traw młodych, zlanych rosą, i świeżo w ciągu kilku takich poranków z nabrzmiąlych pączków rozwiniętych. Nad strumieniami, wezbranymi jeszcze resztą wiosennej powodzi, złościły się łotocie, jak bogate szycie na zielonym kobiercu. Wschód słońca poprzedziła uroczysta cisza; tylko ptastwo zaczynało się budzić w gałęziach i niespokojnie zrywało się z noclegów... Już słyhać było świergot i świsty, i nawoływania drobnej drużyny. Wysoko pod chmurami płynął orzeł siwy, kołując i upatrując pastwy na ziemi. Zawiesił się czasem w powietrzu i stał nieruchomy, a potem dalej majestatycznie żeglował... W borze coś zaszeleściło i umilkło... To stado dzikich kóz wyrzało z gąszczy na polankę... popatrzało czarnymi oczyma i pierzchnęło... Zatętniało na ziemi — znowu cicho.

Z drugiej strony słyhać było łamiające się gałęzie, zaszeleściło, łos rogaty wyrzał, podniósł głowę, powietrze pociągnął chrapami, zadumał się, potarł rogami po grzbiecie i zwolna poszedł w las nazad... I znowu słyhać było łom gałęzi i ciężkie stąpanie.

Z pod gęstych łóz zaświeciło dwoje oczu — to wilk ciekawie rozglądał się po okolicy... tuż po za nim, położywszy uszy, pierzchnął przelekły zając, skoczył parę razy i przycupnął.

I milczenie było, tylko z dala ozwała się poranna muzyka lasów... Trąciło o nie skrzydło wiosennego po-

wiewu i gałęzie grać zaczęły... Każde drzewo grało inaczej, a ucho mieszkańca puszczy rozeznąć mogło szmer brzozy z listki młodymi, drzenie osiczyzny bojaźliwe, skrzypienie dębów suchych, szum sosen i żałośliwe jodeł szelesty.

Wiatr szedł, stąpając po wierzchołkach puszczy, a coraz głośniej odpowiadały mu bory, coraz bliżej, coraz silniej muzyka grała pieśń poranną.

Ponad lasy płynęły zarumienione chmury, jak dziewczęta, które się ze snu zerwały zbudzone i uciekały, czując, że obcy pan nadchodzi. Szare zrazu niebo błękitniało u góry, pozłacało się u dołu; obłoczki białe, jak z rąbka obłonki pościeli, wiatr rozwiewał po lazurach. Słońce strzeliło promieniami ku górze... noc uciekała. Widać było ostatki cieniów i mroków, roztapiające się w dniu blasku. Nad strumieniami i łąkami, jak dymy ofiarne, zakipiały pary przejrzyste, ulatując zwolna ku niebu i ginąc w powietrzu. Ukośne promienie słońca ciekawie zaglądały w głębiny, śledząc, co się przez noc rozrosło, zazieleniało, wykwitło.

Razem z szumem lasu zawtórował chór ptaków, wszczął się gwar wielki... ożyły w świetle łąki, zarośla, puszcza i powietrzne szlaki — życie wracało.

W promieniach wirowały, zwijały się, kręciły niepokojne skrzydlate dzieci powietrza... coś szczebiocąc do siebie, do chmur i do lasów.

Kukułki odezwały się z dala, dziecięcy kowale już kulały drzewa.

Był dzień...

U skraju lasu, nad rzeką leniwą, która go przerzynała, wśród gęstych drzew, gdzie cień chował się jeszcze, widać było kupkę gałęzi, niby szalas naprędce sklecony; kilka kołków wbitych w ziemię, a na nich nacięte konary jodłowe... Obok tuż było wygaste ognisko, spopielale i kilka w nim nadpalonych głowni. Poniżej, w zielonych bujnych trawach, na sznurach do kołów poprzywiązywa-



nych, pasły się dwa małe, grube, gęstym i najeżonym jeszcze zimowym włosom okryte konie.

Znać nastraszył je jakiś szelest w lesie, poznały nieprzyjaciela, nastawiły uszy, rozděły chrapy i zaczęły niecierpliwie nogami kopać ziemię; jeden z nich zarżał, a echo po lesie poniosło ten głos dziki... który się rozległ i powtórzył słabiej za łąką...

Z szałasów pokazała się głowa, cała długimi okryta włosami, zarosła rudo; dwoje oczów ciemnych skierowało się naprzód ku koniom, potem ku niebu, ruch dał się słyszeć pod gałęziami. Wkrótce potem, rozgarniając te gałęzie, wydobył się z pod nich człowiek słusznego wzrostu, krępy i barczysty. Długim leżeniem i snem skostniałe wyciągnął członki, ziewnął, strząsnął się, popatrzał na niebo, potem na konie... a te zobaczywszy go, zwolna zaczęły się zbliżać ku niemu. Nadstawił bacznie uszu — ale nic słyhać nie było... prócz szumu lasu, śpiewu ptactwa, mruku strumienia.

Człowiek wyglądał dziko, włos bujny poplątany spływał mu kudłami na barki i osłaniał niskie czoło tak, że oczy wprost z pod nich patrzyły. Reszta twarzy także była zarosła, ledwie część policzków, zarumienionych snem i chłodem, dobywała się z pod wąsów i brody, wśród których ust prawie znać nie było. Sukienna, wełniana gruba odzież brunatnego koloru okrywała mu ramiona, pod szyją spięta na guz i pętlę. Nogi miał też sukniem i skórą poobkręcane, a stopy obwinęte nią i opasane sznurami. Z pod krótkich rękawów sukni dobywały się ręce silne, włosom okryte i opalone. Twarz miała wyraz przebiegły, na pół zwierzęcy, pół człowieczy, zuchwały razem i ostrożny... oczy biegały żywo... Ruchy ciała zręczne i silne nie dawały odgadnąć wieku, choć młodość już pozostawił za sobą.

Postawszy chwilę mężczyzna wrócił ku szałasowi i nogą silnie kopnął w ścianę jego, nie mówiąc słowa. Poruszyło się coś żywo za gałęziami i wnet z pod nich wypęzło chłopię, wydobyło się zza liści — zerwało rześko

na nogi... Wyrostek mógł mieć lat z piętnaście, krzepki był i nieco do starego podobny. Twarz mu jeszcze nie porastała, włosy miał krótko ucięte, odzież grubą a wyszarzaną, z sukna i płóciennych chust złożoną.

Wstawszy na nogi, oczy przetaił kułakami, ledwie miał czas resztę snu z powiek opędzić, gdy starego głos chrząpawy, w mowie dziwnej, obcej, której na tej ziemi nikt oprócz nich dwu nie rozumiał, zawołał :

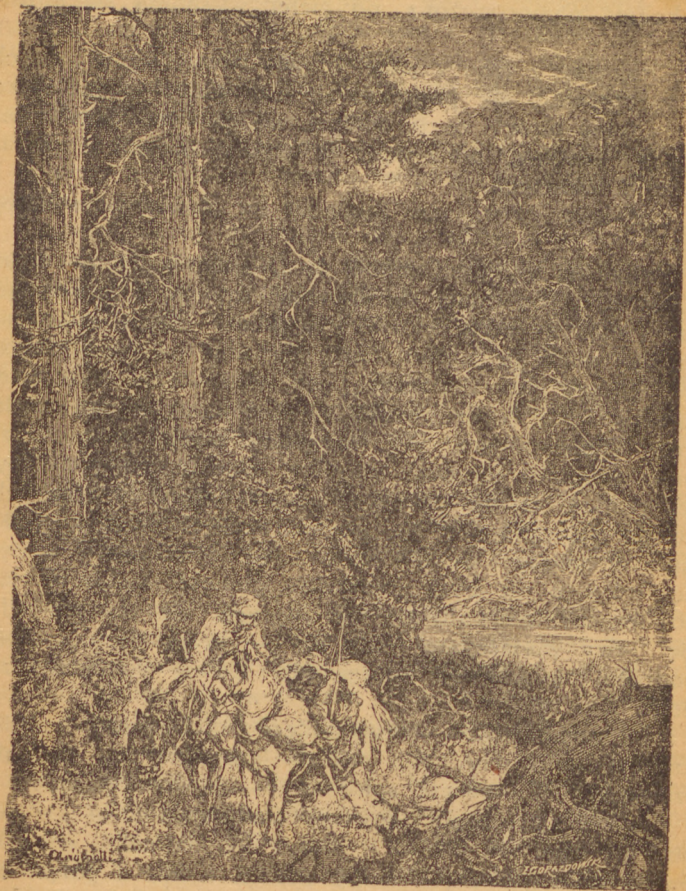
— Gerda — do koni ! słońce weszło...

Usłyszawszy ten rozkaz, poparty lekkim potrąceniem w plecy, chłopiec zbiegł ku koniom, odwiązał sznury, skoczył na grzbiet jednemu z nich i poprowadził je o kilka kroków dalej, gdzie trochę piaszczystego, suchego brzegu przystęp dawało do wody. Na piasku widać też było ślady kopyt koni, które już tam wprzód napoju szukały. Konie zaczęły pić chciwie. Chłopię siedzące na jednym ziewało, z ukosa oglądając ku staremu, który około szałasów się krzątał, mrużąc coś sam do siebie.

Byłali to poranna modlitwa ?

Na ostatek konie napojone podniosły głowy i, tak zadumane, słuchały szumu lasów. Chłopak je sznurem pognął ku szałasowi. Tu już leżały nagotowane, suknem i skórką poobwijane juki, które starszy począł na konie zarzucać i przywiązywać. Milczący pomagał mu wyrostek. Na grzbiety koniom zawieszono sukno grube i skóry... Gdy wszystko było w pogotowiu, stary wlaź jeszcze pod szałas i po chwili wyszedł z niego uzbrojony. U pasa miał siekierę, jak młot grubą, krótki nóż w pochwie skórzanej, na plecach łuk, przez drugie ramię procę i krótką pałkę drewnianą, krzemieniem nabijaną, którą przed sobą uczepił na koniu. Chłopak też ściągnął swój oręż z ziemi, nóż do pasa i siekierę, którą do ręki wziął, lekko na grzbiet konia wskakując... Starszy się jeszcze obejrzał na noclegowisko, patrząc czy czego nie zapomniał na nim, rękami popróbowwał sakiew na grzbiecie powiązanych, i konia swego pod kłodę poprowadziwszy, skoczył nań zręcznie. Już mieli ruszyć





...rękami popróbował sakiew na grzbiecie powiązanych...

z miejsca i starszy się rozglądał, aby wybrać drogę, gdy z gęstwiny, na przeciw, rozgarniając ostrożnie leszczynę i kaliny, niepostrzeżona, po cichu wysunęła się głowa ludzka.

Ciekawie, z razu z jakąś obawą, dwoje oczu jasnych przypatrywało się podróżnym. Zza gałęzi widać tylko było włos płowy, co je otaczał, młodą twarz ledwie zarostem pokrytą, białe zęby w ustach, na pół z podziwienia otwartych.

Podróżny tymczasem poglądał ku słońcu i na brzeg rzeki.

Ponad jej brzegami żadnej drogi śladu widać nie było. Zdawał się on chcieć się upewnić, czy ma ją przebrnąć, czy z nią, czy przeciwko niej się puścić. Konie rwały się już do pochodu niecierpliwie, obrócone na wschód łbami, starszy pomyślał trochę, oczyma zmierzył łąkę, trzęsawiska i bór, potem zwrócił się na piaszczyste wybrzeże, kędy konie pojono. Tu stanąwszy, myślał pewnie czy bród znajdzie, bo czy utopił w wodzie, jakby mierzył jej głębiny. Byłby teraz i tę głowę dojrzał w krzakach, co go szpiegowała, ale się ostrożnie schowała, tylko gałązki opadły i drżały. Powoli konie wchodziły w wodę, która tu nie była grząską ni głęboką, zanurzyły się po brzuchy, zdawało się, że popłyną, ale tuż znalazła się ława piaszczysta i oto już — brzeg drugi... Obaj podróżni wylądowali szczęśliwie, ledwie pomoczywszy nogi.

Drugim brzegiem wyższym nieco i suchszym wygodniej kroczyć było, choć tuż, tuż za gęstwiną coś dziwnie szeleściło... To zwierz spłoszony — myślał podróżny.

Naokół, oprócz noclegowiska, śladu człowieka nie dostrzegło oko, bór, jak go stworzył Bóg, ku niebu wyrosły bujno, pnie grube jak słupy proste, oschłe z gałęzi od dołu, u góry w zielone wieńce ubrane. Gdzieniedzie zwalona burzą kłoda, na pół przegniła, pół z kory opadła, pogięte od wichru wyrostki i poschłe od zgrzybiałości, mchami, jak futrem na starość odziane olbrzymy.



Jechali. — Na wzgórzu... coś białego nieopodal. Pod dębem leżał kamień wyżłobiony jak misa, nad nim drugi stał gruby i niezgrabny... Ręka niewprawna wyrzeźbiła na nim niby ludzką twarz straszliwą, czapką okrytą u góry... Starszy wstrzymał się trochę, zobaczywszy znak u drogi, obejrzał niespokojnie dokoła i mijając kamień, splunął nań z pogardą.

W tej chwili dał się słyszeć dziwny świst z krzaków i drzewce ze strzały utkwilo na piersi w grubej sukmanie starszego.

Ledwie poczuwszy pocisk, nie wiedząc jeszcze czy do broni ma się brać, czy do ucieczki, obracał głowę, gdy chłopak krzyknął. Druga strzała utkwila mu w nodze.

A z lasu dał się słyszeć śmiech, śmiech jakiś dziki, straszny, niby wycie zwierzęce, niby okrzyk czowieka... Zachichotało, rozległo się i zamilkło... Sroka siedziała na kamieniu, na czapce i, podniósłszy skrzydła, krzyczała, śmiechowi wtórując... a miotala się, jakby i ona groziła.

Konie, głosami tymi podżegnięte, przyśpieszyły kroku, ale nieprzyjaciela już ani widać, ani słyhać nie było... Cisza panowała nad lasami, drzewa tylko uroczyście szumiały.

Starszy mężczyzna kłusował naprzód, konia pędząc skoro: — chłopak, który strzałę wyszarpnął z nogi, śpieszył za nim, pochylony na szyi swojego... Przebiegli tak staj kilkoro, aż, nie słysząc nic i nie widząc pogoni — zwolnili kroku... Starszy się dopiero obejrzał na chłopca ze zbłądłą twarzą, z zaciętymi usty, z wytrzeszczonymi oczyma, przyległego do konia. Nie miał nawet czasu od strzały tkwiącej w piersi się uwolnić. Przebiła ona sukno i znać uwięzła w ciele, bo, choć w szybkim biegu ugięła się i opadła ku dołowi, trzymała się jeszcze. Tu dopiero, na polance, konia ściągnawszy starszy obejrzał się na strzałę i zręcznie ją pocisnąwszy, choć syknął z bólu — wydobył, obejrzał ciekawie i do skórzanego na plecach worka wsunął.



Strzała miała z białej kości wyrobione cienkie ostrze, na którego końcu widać było krwi kropelkę.

— Pioruny by w nich były... i burze! — zawołał rudy, warcząc. — Gdzieś się w krzakach znalazło oko, co podpatrzyło i pomściło za bałwana... Tyś ranny w nogę, Gerda?

Chłopak, z oczyma jeszcze obłąkanymi trwogą wskazywał na nogę skaleczoną. Rana jego głębszą była, bo płachty nie wstrzymały strzały.

— No — nic to! jedna strzała polańska! — zamruczał starszy — oni ich nie zatrują. Obawiałem się, aby ich tam więcej nie było. Znać jeden rozbójnik nie straszny. Nie ważył się, zobaczywszy, żeśmy zbrojni... ale może zawołać innych, narobić wrzawy... trzeba uchronić...

Spojrzał na słońce.

— Trzymaj się konia, a puść go za mną... Śpieszyć trzeba, żeby nas w tym nie zaskoczyli lesie, póki nie dojedziemy do znajomych. Z południa na miejscu będziemy.

Chłopak milczał, starszy coś mrucał jeszcze, ku górze patrzył, konia sznurem ściągnął i poleciał w gęstwinę, nad brzegiem ciągle się trzymając, bez drogi — rzeka gościniec znaczyła.

Puszczą wciąż była dzika, niezamieszkała, milcząca. Raz z dala postrzegli na wodzie jakby głowę ludzką z ciemnym, przyległym do niej włosem i dwoje rąk, wiosłujących około niej. Lecz, gdy się tętent dał słyszeć, znikła, wir tylko było widać nad powierzchnią wody. Minęli ją... i wyszła znowu z głębin... na włosach czarnych dokoła opleciony był wianek z łotoci... oczyma strzelała za nimi... Trochę dalej czółno maleńkie, jak łupinka, ślizgało się, płynąc z biegiem, ponad nim widać było białą chustę... Gdy tętent dał się słyszeć, znikła płachta na dnie i czółenko, jak wąż, wsunęło się między trzciny, łoży, wiszary, których tylko wierzchy się chwiała... Kilka kaczek zerwało się przestraszonych,

wyciągnęły szyje... sznurem leciały gdzieś dalej... plusnęły i padły.

Podróźni wciąż biegli brzegiem, to szybciej, to wolniej, dwa razy konie poiły zmęczone i dalej jechali bez spoczynku, a słońce też podnosiło się coraz wyżej, grzało coraz mocniej.

Choć w lesie świeżo było i chłodno, od łąk i piasków załatywał oddech gorący.

Okolica nie zmieniła się — bór ciągle szumiał nad rzeką. Gdziegdzie w piasku między pagórkami świeciło jeziorko — szerzej rozlewały się wody — to ścisnęły wśród parowu. Mieniły się tylko drzewa, sosny i jodły, potem zielone liście brzozy i lipy, i osiki, i dęby na pół jeszcze śpiące, a głuche na wiosnę.

Gdziegdzie żółtawą ławą leżał piasek, to kępiasta strząsawica, którą okrażać musieli. Przed nimi z dala pomykał zwierz, z łąk pierzchały całe stada łosi i jelenie, dobijając się do lasu, na którego skraju stawały, patrzyły jeszcze ciekawie i gnały dalej, znikając im z oczu. Nawczas łomot stad spłoszonych konie straszyl i pędziły żywiej, stuliwszy uszy, póki sił stało.

Gerda ciągle ręką chwycił za nogę zranioną, czuł, że mu krew ciekła, jakby ciepły sznurek, wijący się aż do stopy i w skórzanym obuwiu zbierała się z nogi, czerwonymi kroplami sącząc szparami chodaka.

Ale skarżyć się nie śmiał, zawijać rany hubą z drzew lub liśćmi co by krew zatamowały — nie było czasu. Starszemu też trochę krwi pokazało się między palcami ręki... otarł je o końską grzywę — nie troszcząc się o to. Rozpatrywał się wciąż po okolicy, dawniej znać sobie pamiętnej, jakby szukając miejsca do spoczynku... Lecz nierychło, nierychło zwolnili biegu.

Tu rzeka, płynąc równymi nizinami, szerzej się rozlewała wśród błot świeżą zielonością okrytych. Ze wzgórza nagiego, na którym stali, widać było łąki i trzęsawiska, wśród nich moczary i jeziorka mnogie, opasane gajami... Kilka strumieni zbiegało się tu z borów ku rzece.

Las, wśród którego stanęli, wypalony był i zeschnięty na znacznej przestrzeni. Gąszcze, co go podszywały, spłonęły do szczytu, daleko więc w głąb jego sięgnąć było można okiem i dojrzeć nieprzyjaciela.

Tu starszy z konia się zsunął, rzucił go, nie patrząc, i legł na ciepłym piasku, obu rękami pot kroplisty ocierając z czoła. Zmęczony był — piersi mu się podniosły, a że krwawymi palcami dotknął twarzy i ją też sobie całą okrwawił.

Ujrzawszy to, chłopak uląkł się i krzyknął.

— Co ci to, Gerda? Czyś ty mężczyzna! czy się matka twoja omyliła, że ci nie wdziała chust i spódnicy? Kropla krwi, a tyle strachu i wrzasku?

Chłopak mu dopiero wskazał na własną twarz jego.

— Nie o moją mi strach — rzekł — choć skórnice mam jej pełne... ale o waszą. Twarz, ojczec, macie we krwi całą.

Starszy na ręce swe popatrzył, roześmiał się tylko i nic nie odpowiedział.

Gerda tymczasem na ziemi siadłszy, nogę ranną rozsuła i począł czyścić obuwie, potem ranę ocierać i okładać hubą. Stary patrzył na to okiem obojętnym.

W milczeniu dobyli potem z sakiew suszone mięso i placki, które starszy na ziemi rozłożył. Poszedł się wprzód obmyć w wodzie i dłonią jej do ust zaczerpnąć. Gerda za jego przykładem zwałowała się też do wody... siedli jeść w milczeniu... Konie na chudej trawie leniwie się pasły.

Z lasu wyleciała sroka... uwiesiła się na suchej gałęzi nad głową starego, pochyliła ku niemu i krzyczała. Zdawała się zagniewana, trzepała skrzydłami, podlatywała coraz bliżej... i wołała coś, jakby na gwałt zbierając drugie... Nadciągnęła w pomoc wtóra i trzecia... i wrzaskliwie to podlatywały, to przysiadły się przy nich... Stary, który się chciał zdrzemnąć, zniecierpliwiony, łuk napiął i strzelił. Nie ranił żadnej, ale zerwały się z krzykiem... zawirowały w powietrzu i wróciły krakać nad nimi...



Gerda z głową zwieszoną, na rękach sparty, czuwał nad końmi. Las milczał — niebo było czyste — owad tylko, wywołany słońcem do życia, brzęczał, gromadami unosząc się w powietrzu.

Po krótkim spoczynku siedli znowu na konie... Stary się do chłopca zwrócił.

— O strzałach, o krwi, o niczym ani słowa tam... Najlepiej byś nie mówił nic i niemego udawał... Niemcami oni nas tam zowią — choć my ich język rozumiemy... Słuchaj, co gadać będą, zda się to zawsze — ale udawaj, że ci ta mowa obca... Tak lepiej — milczeć.

Spojrzał nań, czekając, by mu Gerda odpowiedział. Jechali dalej, a dalej. Słońce już się zwolna spuszczało zaczynało ku zachodowi. Brzeg rzeki wyniosły coraz się zniżał, wilgotniejsze otaczało ich powietrze — już cień zalegał ściany boru — gdy w dali nad zaroślami pokazał się słup dymu siny...

Stary, zobaczywszy go, drgnął z radości czy niepokoju — chłopak też weń oczy wlepił i zwolnili koniom biegu.

Dokoła las się rozlegał stary, wysoki, gęsty, a łąka nad rzeką zwężała, płynąc ścieśnionym korytem. W prawo otwierała się łąka, dokoła zasiekami drzew zrąbanych otoczona... Poza nią z szałasów jakichś, chałup z drzewa i chróstu, opasanych tynami wysokimi — dobywał się słup siny... Zbliżając się ku budom, coraz je lepiej rozpoznać można było.

Stały w prostokąt u trochę podniesionego brzegu rzeki, szczelnie zewsząd zamknięte. Od łąki odgradzały je kłody drzew i tyny, pokopane doły i powbijane pale. Na jednym z nich tkwiła zawieszona biała, od deszczów wypłukana, od słońca zwapniała, czaszka końska.

Dachy pokryte były kawałkami darty drzewa, wiszarem i gałęzmi — ściany w słupy z chróstu plecione. W pośrodku, tylko z kłód ogromnych, w zrąb zbudowana, wznosiła się chałupa-dwór, do której w koło przytykały szopy z nią razem obejście tworząc, w środku niego znajdowało się małe podwórze.

Dojeżdżając rudy podróżny zwolnił koniowi biegu oczyma szukając, czy kogo nie zobaczy. Nie widać było żywej duszy. Wahał się jeszcze, jak dać znać o sobie, gdy u brzegu rzeki, na ogromnym zbłąkanym tu od wieków kamieniu ujrzał siedzącego starca, który niepostrzeżony, od dawna go śledził oczyma.

Ubrany był cały w bieli, nic nie mając na sobie, oprócz odzieży z płótna grubego. Nogi miał bose, głowę siwą nieokrytą. Ogromna, długa do pasa broda osłaniała mu piersi. W rękę trzymał biały wysoki kij. Koszulę, na wierzch włożoną i do kolan spadającą, obejmował pas czerwony. Żadnej zresztą nie miał ani ozdoby, ani broni. U nóg jego leżały dwa psy do wilków podobne, zaczone, przypadłe do ziemi, oczyma krwawymi wiodąc za podróżnymi... Drgały leżąc... i czekając, kiędy się rzucą...

Twarz starca spokojna była i poważna, ogorzała, ze skórą jakby spękana, tak ją fałdy i zmarszczki pokryły całą siecią gęstą. Nad oczyma siwymi dwa krzaki bujnych brwi sterczały najeżone. Suchą szyję, którą obnażoną widać było spod koszuli i jak twarz pokrajaną, brunatną — niby węże, sine oplatały żyły pod skórą nabrzmiałe.

W chwili, gdy podróżny zobaczył starca, ten właśnie na psy zawołał groźnie, ręką im wskazał w tył za siebie, a kij podnosząc do góry... Podróżni stanęli, rozglądając się ciekawie.

— Pokłon wam, stary Wiszu... — rzekł podróżny, nie zsiadając z konia, uchyliwszy tylko głowę, — pokłon wam. Kaźcie waszym psom do zagrody, boby nas porozdzierały... a my starzy znajomi i dobrzy przyjaciele, choć nie swoi — a nie wrogci.

Słowa te wyrzekł powoli starszy łamaną mową Serbów nadłabańskich, usiłując przybrać postawę i twarz uprzejmą.

Stary patrzył, nic jeszcze nie odpowiadając. Na psy naprzód zakrzyczał groźnie, aby szły precz, ukazując im zagrodę, bo warczały i zęby szczerzyły, patrząc na przy-





Lepsze to — zawołał śmiejąc się Hengo — od waszych  
starych kości i kamieni...



byszów, i coraz to się ku nim targały. Nie chciały odchodzić...

Gospodarz huknął w dłoń... Na głos ten zza tynu ukazała się ostrzyżona głowa parobczaka, który rozkaz zrozumiawszy, psy zawołał, wpędził do obejścia i zamknął za nimi wrota... Słysząc je było szczekające i wyjące w szopie.

— Zdrow bywaj, Hengo. Cóżecie to znowu tak daleko w nasze lasy zawędrowali? — rzekł gospodarz.

Rudy, powoli z konia zlazłszy i dawszy go chłopcu, który na swoim pozostał, zbliżał się zwolna do starego.

— Ha! po świecie się tak człek włóczy, ciekaw zobaczyć, jak tam gdzie ludzie żyją — zaczął mówić — przy tym też jakaś zamiana robi się może. Lepiej w spokoju mieniać czego u jednych zbytek, a drugim brak, niżeli napadać zbrojnie, a z życiem razem wydzierać. Ja — wy wiecie — człowiek spokojny, zaopatruję każdego, komu czego trzeba... aby żyć...

Stary się coś zadumał.

— Nie bardzo u nas mieniać jest na co... Skór i futer dosyć pewnie u siebie macie, bursztynu u nas niewiele. Myśmy też nie zwykli bardzo do rzeczy, które wozicie, swoim się radzi obchodzić. Igła z ości tak szyje jak żelazna.

Popatrzał stary na ziemię i znowu się w sobie zadumał.

— Zda się to przecież, co ja wożę — mówił powoli Hengo. — A skąd byście wzięli wszystko, co się z kruszcu robi, gdybyśmy wam tego nie dostawili... Do Winedy daleko...

— Albo to kości, rogu i kamienia nie dosyć — rzekł stary Wisz wdychając. — Był czas, że się ludzie tym obchodzili i dobrze im z tym było... Jakaście wy, a drudzy wędrowni podwozić zaczęli swoje błyskotki, niewiasty nam popsuliście, chce im się ziarenek świecących na szyję i iglic gładkich, i guzów, i wszystkich tych zabawek... bez których teraz żadna nie stąpi.

— Nic by to nie było — ciągnął dalej, patrząc więcej w ziemię, niż na przybyłego kupca — ale wy... wy dróg się do nas uczycie, tajemnice nasze wywozicie stąd... I tak samo przyjść może napaść, jak przyszły świcidla.

Hengo po kryjomu błyskiem oczów bystrym zmierzył starego Wisza i rozśmiał się.

— Próżna to obawa — rzekł — nikt o napaściach nie myśli... Ja nie jeżdżę cudzego podpatrywać, ale swoje mieniać. Wy mnie przecie znacie, nie pierwszy raz jestem u starego Wisza... Ja przyjaciel wasz... żonę miałem z waszej krwi, serbską córkę... a z niej oto tego chłopca, który choć języka waszego nie umie, przecie w nim trocha tamtej krwi zostało.

Wisz, który na kamieniu siadł, a Hendze wskazał na leżący naprzeciw drugi, pokiwał tylko głową.

— Żonę mieliście Serbkę z nad Łaby — odezwał się — mówiliście mi o tym. Ale jakżeście do niej przyszli? — hę? pewnie nie po jej woli?

Rozśmiał się Hengo.

— Starzy jesteście — odparł — wam tego mówić nie trzeba. A gdzie to na świecie niewiast się o ich wolę pytają? Gdzie się inaczej żonę bierze, jak nie ręką zbrojną? Tak jest u was, u nas i na całym świecie... bo one woli nie mają.

— Nie wszędzie — wtrącił stary. — Młodym woli nie dają — a stare u nas szanują. Choć im rozumu odmawiają, przecie duchy przez nie mówią i wiedzą one więcej niż my... te więdźmy nasze.

Potrząśł głową; milczeli chwilę.

— Na noc was o gościnę proszę — odezwał się Hengo. — Co mam z sobą w węzełkach, pokażę... Zechciecie co wziąć? dobrze — a nie będzie zgody, nie pogniemy się o to.

— O gościnę prosić nie trzeba — zawołał Wisz, wstając — kto raz spał pod dachem naszym, zawsze ma pod nim spocząć prawo. My wam radzi. Kołacz i piwo

i mięso się znajdzie — baby strawę wieczorną już warzą.  
Chodźcie ze mną.

Wstał Wisz z kamienia i przodem go wiodąc ku wrotom się skierował.

## II

Gdy stary, na kamieniu siedząc, rozmawiał z przybylcem z tej ziemi, którą krajem „niemych”, języka narodu nie znających, zwano — zza tynu i zagród, głów ciekawych zaczęło się ukazywać mnóstwo.

Rzadkością to było, ażeby w taką lasów głębinę i puszczy wnetrze obcy człowiek śmiał się docisnąć. Więc gdy się ukazywali ludzie i konie... nieznane, a parobczak począł psy zamykać; co żyło w zagrodzie, choć z dała i przez tynu wierzchołki, przez płotów szpary, biegło się dziwić obcemu.

Widać było białe chusty niewiast zameżnych, włosy dziewcząt z wiankami zielonymi, głowy mężczyzn z długimi włosami i postrzyżone parobków, i dziecinne oczy przelękłe spośród gęstych kuddełków, którymi im się czoła jeżyły. Podnosiły się one nagle i niknęły, ukazywały i pierzchały... Stare nawet baby, drząc, wyglądały zza płota, a że się obcego lękały, rwały trawę i ziemię, rzucając je na wiatr, i pluły przed się, aby im jakiego nie rzucił czaru.

Stara Wiszyna, a imię jej było Jaga, zobaczywszy, że się wiodą ku wrotom z gościem rudym, wystąpiła, usta zakrywając fartuchem, naprzeciw mężowi, dając mu gwałtowne znaki, aby z nią pomówił na osobności. Już się do wrót zbliżali, które im otwierać miano, gdy im zastąpiła drogę.

— Po co tu obcego, Niemca, wiedziecie? — szepnęła wylękła. — Możnaż to wiezieć, co on z sobą niesie? jakie on uroki rzucić może?

— Ten ci to sam Hengo znał Łaby, co to naszymi przywoził i szpilki, i noże... przecie się nam nic nie sta-



ło!... Nie ma się go co obawiać, bo kto za zyskiem goni, temu czary nie w głowie.

— Źle mówicie, mój stary — odparła Wiszowa — gorsi to ludzie od tych, co z nożami i maczugami napadają. Ano wola twoja, nie moja...

I szybko ustąpiła mrużąc, nie oglądając się już za siebie, aż weszła do dworu wewnątrz zagrody. A że na inne niewiasty, w podwórku po kątach poprzytulane, skinęła, pierzchnęły wszystkie, chowając się, gdzie która mogła. Parobków tylko kilku i dwu synów gospodarza zostało.

Hengo wszedł, rozglądając się trwożliwie, choć męstwem nadrabiał.

Chłopak jego, z konia nie zlążąc, z nim wjechał w podwórze. Ludzie wszyscy stali, patrząc na nich ciekawie i szemrząc między sobą.

Wisz prowadził do świetlicy.

Stara chata, w zrab na mech budowana, w pośrodku się wznosiła, wyżej nad inne szopy, drzwi do niej wiodły z progiem wysokim, ale, obyczajem starym, bez zamka żadnego, bo ich nigdy nie zawierano. Z sieni w lewo była izba wielka. Tok w niej ubity gładko, posypany był świeżym zielem, w głębi stało ognisko z kamieni, na którym nigdy ogień nie gasnął. Dym się dobywał z niego przez nieszczelny dach ku górze. Ściany i belki, i wszystko szkiło się od niego czarne. Dokoła przy ścianach ławy na pniach były przymocowane... W rogu stał duży stół, a za nim dzieża do mieszania chleba, białym płótnem okryta...

Nad nią wisiały wianki już poschłe i wiązki różnego ziela.

Na stole, ręcznikiem szytym zasłanym, chleb też nadkrojony leżał i nóż przy nim mały. U drzwi na ławie stał ceber z wodą i czerpakiem. W kącie, w głębi, wiadać było żarna małe i kilka bodni, chustami poosłanionych.

Niewielkie okno, zasuwane wewnątrz okiennicą, stało

teraz otworem, tyle światła wpuszczając, ile go do rozpatrzenia się w izbie było potrzeba.

Gdy Wisz i Hengo przestąpili próg, stary podał rękę gościowi i pokłonił mu się, mówiąc a zarazem wskazując :

— Oto chleb, oto woda, oto ogień i ława — jedzcie, pijcie, ogrzejcie się, spoczniście i niech dobre duchy będą z wami.

Hengo się niezgrabnie pochylił.

— Błogosławieństwo temu domowi! — odezwał się, krztusząc — niech go choroba omija i smutek.

To mówiąc, na ławie przysiadł, a Wisz, ukroiwszy chleba kawałek, rozłamał go z nim i do ust podnosząc zjadł, co też i obcy uczynił.

Trwało to chwilę... gość już był uroczyście przyjęty i pozyskał prawa pewne. Niewiasty się nie ukazywały, ale że na cudzoziemca przez szpary patrzeć musiały, znać było z tego, że szeptu i stłumione śmiechy dolatywały do uszu jego.

— Teraz — odezwał się Hengo po chwili — kiedyście mnie przyjęli w gościnę, póki jeszcze dzień jasny, покаżę wam, co wiozę z sobą... Niech oczy widzą, że zwodnictwa nie ma... a jest na co popatrzeć!

Stary nic nie mówił, ruszył się tedy ku drzwiom, jeden z czeladzi do szopy go poprowadził, gdzie już konie z chłopcem stały.

Gerda spoczywał na drzewie siadłszy, ciekawie się rozglądając i przysłuchując... Sakwy przy nim na ziemi leżały. Hengo ujął z nich dwie i z taką siłą i zręcznością zarzucił je sobie na ramiona, jakby unikał pomocy obcej lub chciał się popisać ze zręcznością. Przez podwórze też, niosąc je, umyślnie zdawał się stąpać lekko i zwinnie, jakby wcale obciążony nie był. Pochyliwszy się nieco we drzewach, wszedł do dworu, i tu, przy okienku, około ławy szerokiej, sznury rozplątywać począł.

Chłopcy domowi ciekawym otoczyli go kołem. Z wielką wprawą i zręcznością Niemiec sakwy otworzył, po-

myślał chwilę i obejrzawszy się ku staremu, zaprosił go ku sobie.

— Ależ, cóż to?... wy sami tylko — odezwał się — a niewiastom waszym ani nawet oczów nacieszyć nie dozwolicie? Jam już człek niemłody, mnie też ani się wstydić, ani lękać nie macie powodu.

Wisz zawahał się nieco, potem ręką dał znak i sam poszedł ku drzwiom bocznej komory. Tu stara Jaga na straży stała, drzwi sobą zapierając, ale nie pomogły groźby jej i obawy; gdy stary gospodarz dał swobodę, niewiastki i dziewczęta tłumnie wpadły do izby. Pędziła je ciekawość, a strach hamował, i zaledwie wparły do świetlicy wąskimi drzwiami, poczęły nazad uciekać. Pierwsza, co rudego Niemca oczy spotkała, krzyknęła i cofnęła się; za nią jak pierzchliwe ptaki pobiegły inne. Śmiechy, szepty i łajania Jagi, razem zmieszane, słyszeć się dały.

Hengo tymczasem, klęcząc przy ławie, dobywał z sakiew coraz coś nowego, ukradkiem ku drzwiom spoglądając. Oczy jego tam i sam ciekawie biegały, choć udawał, że tylko towarem swym jest zajęty. Lękając się i pragnąc, walcząc ze strachem i ciekawością, dziewczęta, jak woda na jeziorze, to się ode drzwi na izbę posuwały, to cofały nagle, jakby do komory uciekać chciały. Niemiec, którego bystre oczy najwięcej siały trwogi, coraz mniej na pozór zważał, co się tam za nim działo, niby nie widział, niby się nie zajmował niczym, tylko towarem, który na ławie rozkładał.

A było go pod dostatek, świecił i porywał oczy. Leżały naprzód igły długie do spinania chust, misternie się zamykające, a posplatane tak z kruszczu jasnego, jak gdyby plecione były ze lnu lub wełny. Niektóre z nich miały guzy byszczące, inne poplątane były jak łodygi kwiatów, gdy zwiędną. Do wyboru było dosyć. Leżały dalej naszyjniki bogate, obwieszone blaszkami, kółkami i dzwoneczkami.

Hengo je sobie do szyi przykładał, nic nie mówiąc,



a pokazując, jak się na suknie bogato i pięknie wydawały.

Jedne naszyjniki plecione były, jak dziewcząt kosy, inne gładkie, z mocnego kruszcu, mogły bronić szyję od pocisku i strzały.

Na długim sznurze cała kopa może kolców kruszcowych wisiała, nanizanych jak obwarzanki, które na rękach noszono. Były większe i mniejsze, i takie, co węzłem rękę niewieścią aż do łokcia opasać mogły. Drugie, dla mężczyzn przeznaczone, mocniejsze były i grubsze. Pierścieni też miał Hengo do wyboru bogactwo wielkie, kowanych i plecionych, wyrzynanych mądrze i ozdobnie.

Dla mężczyzn powabniejsze były siekierki, długie noże z pochwami, dłuta i kliny, na ramiona kładzione kręgl, których ani miecz, ani strzała przebić nie mogły.

Te gdy na ławę wykladać począł, rzucili się chciwie parobcy, aż oczy im do nich zaświeciły i ręce zadrżały. Stary Wisz nawet przystąpił bliżej, a temu z pochwy skórzanej wydobywszy podał Hengo mieczyk błyszczący, wykrojony jak liść kosaćca, u pięści piękną rękocięścią opatrzony.

Gospodarz, w prawą go rękę ujawszy, uśmiechnął się rad, przypatrując się ostrzu, które od słońca świeciło.

— Lepsze to — zawołał, śmiejąc się, Hengo — od wazych starych kości i kamieni; więcej wytrzyma, lepiej broni i wnukom służyć będzie. Czy człowieka, czy zwierzę dzikie, byle prawica silna — zmoże; a doma też tym wiele zrobić potrafi, kto umie.

Gdy to mówił, a męski sprzęt ów ukazywał parobkom, niewiasty się powoli, jedna drugą naciskając, zbliżyły tak, iż prawie głowami nad ławą zawisły, pożerając oczyma spinki, pierścienie, naszyjniki i kolce.

Hengo ostrożnie zwrócił na nie oczy. Wszystkie odziane były w bieli; przecie wśród czeladzi i służby rozeznać było łatwo między nimi dwie hoże niewiastki gospodarza i dwie córki jego, w zielonych wiankach z kosami długimi. Grubszym płótnem okryta czeladź z tyłu się trzymała.

Z dwojga dziewcząt jedna, ta która najbliżej stała, piękna była tak, że między najcudniejszymi mogła otrzymać pierszeństwo.

Lice też miała bielsze i mniej opalone, znać może więcej siedząc za tkackimi krosnami, niż po polu biegając... Biała i rumiana, z usty różowymi, wielkie oczy szafirowe wlepiła z kolei w pierścienie, to w cudzoziemca, to nimi wodziła po siostrach i braciach.

Lecz wzrok się jej nie palił do tych błyskotek. Ręce trzymała na piersiach złożone, a śmielej rozglądała się niż towarzyszki. Na białej koszuli jej spływał sznur nieformalnych obłamów bursztynu, do których niebieskie i czerwone ziarna się mieszały. Na głowie ruciany wianuszek świeży zieleniał wesoło. Twarze innych śmiały się dziecinnie, jej lice patrzyło smutno i poważnie. Między wszystkimi zdawała się panią.

Hengo parę razy spojrzął ku niej. Dziewczę zarumienione cofnęło się nieco; lecz wnet odzyskawszy śmiałość, na pierwsze miejsce wróciło. Niemiec wziął nieznanie z ławy jeden z pierścieni i na palcu go potrzymawszy przeciw oknu, wyciągnął ku dziewczynie.

— Niech to będzie mój gościniec za gościńcę — rzekł, podając go pięknej córce Wisza, która zmieszana, dumnie spoglądając, cofnęła się i potrząsnęła głową.

— Przyjmijcie go, on wam szczęście przyniesie — rzekł Niemiec.

Nie mówiąc nic, nie posuwając ręki, dziewczyna cofnęła się powoli. Ojciec na nią spojrzął, potrząsnęła głową i skryła się za inne. Hengo więc podał go drugiej siostrze, która, zapłonawszy mocno, wyciągnęła rękę fartuszkciem okrytą i podarek z radością przyjęła.

Wnet bratowe i czeladź skupiły się około niej, aby to cudo oglądać. Szybko pobiegły z nim do komory... do matki. Słychać było szeptanie długie, jakby gniewne... a po chwili obdarowana, w końcu fartuszcza niosąc zawinięty kawałek bursztynu ciemnego, spojrzała na ojca,

który głową skinął, i nic nie mówiąc na ławie go przed Niemcem położyła.

— Weź to! — rzekł Wisz — nam się za gościnę podarków brać nie godzi.

Z uśmiechem Hengo zabrał bursztyn, obejrzał go i wpuścił do worka, który miał pod suknią. Nim to jednak uczynił, splunął nań nieznacznie, aby czary odpędzić.

Wisz zamyślony stał, na kiju się oparłszy, nóż obejrzany położył i milczał posepnie... Chłopaki szeptały między sobą, to biorąc ostrożnie z ławy siekierki i noże, to je z żalem nazad składając. W oczach ich łatwo czytać było, że się im tych skarbów chciało, ale gospodarz jeszcze się był nie odezwał, a bez niego nic się tu nie działo. Był głową domu i panem. Woli swej nikt tu nie miał, jeśli on mu jej nie podał...

Hengo, rozłożywszy, co miał pod ręką, patrzył zwycięsko po otaczających.

Niewiasty wróciły, parobczaki stali... milczenie panowało w izbie; wtem oczy starego padły na coś leżącego wśród innych ozdób na ławie, czego znać nie widział w życiu. Był to świecący krzyż z uszkiem... do noszenia na szyi. Błyszczał tak jakoś, że oczy wszystkich zwrócił na siebie...

— A to co jest? — zapytał, wskazując na krzyżyk.

Hengo, zdaje się, że dopiero teraz spostrzegł, iż go wydobył i pochwycił skwapliwie.

— A! to — zawołał zmieszany — to jest znak... dla ludzi innej wiary, niż wasza... który im szczęście przynosi...

— Namże on by nie przyniósł szczęścia? — zapytał Wisz.

Hengo zamilkł i schował go do worka. Nastąpiła znowu chwila milczenia. To schowaną tak szybko godło tajemnicze obudziło ciekawość; lecz Niemiec już się z nim ukrył.

— Trudno się to oprzeć — odezwał się gospodarz... —



kiedy samo co pod dach przychodzi, a do życia pomóc może. Za dawnych czasów ledwie u księzków i żupanów coś podobnego widzieć było można, teraz i my kmiecie ważyć się na to musimy. Nie wyjdzie z domu dziewczka, żeby jej do wiana nie dać kolców i szpilek.

Skinął na starszego syna, poszeptał mu na ucho... wyszło ich zaraz dwu z izby. Wisz na ławie siadł i po jednemu odkładać począł, co dla siebie i swoich chciał zatrzymać — wybrał piękny miecz liściasty, siekierek kilka, młotów, nożyce, kilka pierścieni, dwa naszyjniki z wisiadłami... myślał i liczył, czy tego będzie dosyć.

Wtem Hengo zdjął z ławy dwa chrzesczące naramienniki i podniósł je do góry.

— Staremu Wiszowi by się to zdało — zawołał — i przystało.

— Po co? — rzekł gospodarz — chyba, aby mi synowie włożyli na mogiłę... Na wojnę iść już nie myślę, na to są chłopcy dorosłe, a doma co mi po tym?

— Rzekliście do mogiły — odezwał się Hengo — niech was bogowie długo chowają, a no i do grobu to wziąć nie szkodzi... wszak ci u nas zwyczajem, że na stos się ubiera i zbroi, jak takiemu bogatemu kmieciowi przystało.

Stary ręką zamachnął w powietrzu.

— Co mi tam! — rzekł — chcieć i brać łatwo, ale co dać za to? Niebardzośmy zapaśni.

— Juźciż choć bursztyn i skóry macie, bo wam tu do morza bliżej, a i w ziemi go tu kopiecie...

Wisz patrzył na drzwi, skąd się powrotu synów spodziewał. Ukazali się też wkrótce oba, jeden dźwigając wór duży, drugi na plecach niosąc pęk skór różnnych, powiązanych pyskami. Rozłożono to na ziemi, Niemiec chciwie w worku grzebać się zaczął, aż mu oczy błyszczwały. Wydobywał po jednym bryły mułem i ziemią okryte, gdzieniegdzie jasnymi obłamy połyskujące... W tych zdawał się świecić, jakby zamknięty płyn jakiś, który stęzał i zmarzył na kamień. Skóry też zwierza, za-

bitego zimą, włosem świeciły lśniącem, a gdy Niemiec palcami ich próbować zaczął, nic mu w nich szerści nie pozostawało.

Dopiero się targ rozpoczął milczący, bez słowa... Hengo odkładał, co mieć pragnął, stary głową trząśł i odrzucał... Razy kilka tak liczono skóry i to, co na stole leżało, ważono w rękach kawały bursztynu, ujmowano i dodawano.

To Wisz, to Niemiec trzęśli głową. To jeden, to drugi coś ustępował, jeden narzucał, to drugi... Szło to powoli, niekiedy przestankami dzielono długimi, w ciągu których umowa zerwaną się zdawała; Hengo niby swój towar chciał pakować, chłopcy skóry brać zaczęli. Ociągano się z tym jednak, aż nareszcie Hengo rękę wyciągnął i stary w nią uderzył dłonią. Zgoda zawartą została. Wisz zagarnął, licząc swój nabytek, i natychmiast rozdzielać go począł wśród powszechnych oznak radości. Ściskano go za kolana. Dwór cały odzywał się wykrzykami... Niemiec wiązał skóry i pakował bursztyny.

Pot mu ciekł z czoła, napił się wody i usiadł na ławie.

— Patrzcież no — odezwał się gospodarz — ileśmy to wam dać musieli, a wiele od was bierzemy. We dwie garści. Czemu wasze ma być tak drogie, a nasze tak tanie?

Hengo uśmiechać się począł.

— Naprzód — rzekł — tom ci ja niemal stawił życie, wioząc wam tu towar do dworu. Niezdrowo to przedzierać się lasami. A to, co ja wiozę, tego ziemia nie rodzi, ani ludzie robią, ale duchy po pieczarach mieszkające, które człowieczków mają postać... Oni aż do wnętrzości ziemi za tym kruszcem wdzierać się muszą. Taki człowiek, jak ja, wiele świata przejechać musi, zanim się do nich dostanie i cokolwiek wyprosi. Ani dzień, ani dwa, ale miesiące i lata wędrować trzeba, nim się człowiek do nich dobieje.

Życie się stawi co dzień i od dzikiego zwierza i od

obcych ludzi, którzy radzi złupić podróżnego. Choć się rzeki i góry i parowy zna, często się zabłądzi, głodem przymrze, nie dośpi... a rad, kto wyjdzie ze skórą całą. Co za dziw, że dużo wziąć potrzeba. Wam w las pójść za zwierzem, którego u was pełno, to zabawka, bursztyń morze samo wyrzuca albo ziemia rodzi...

Wisz milczał, słuchając. Parobcy i synowie rozstąpili się ku ognisku i w głąb świetlicy, każdy chwalać się tym, co otrzymał. Niewiasty, szepcząc, kryły się w komorze. Jedna tylko córka gospodarza, piękna Dziwa, w przymkniętych drzwiach wyglądała ciekawie.

Rozmawiali powoli, słuchano ich pilnie.

— A jeśli wam tak ciężko i niebezpieczno — mówił stary — po co wędrujecie? Macie swoją chatę i pole?

Hengo brwi namarszczył.

— Dlaczego wy na łowy idziecie, choć zwierz bywa dziki? Człowiek się rodzi do swojego życia i odmienić go nie może. Nie tyle za bogactwami goni, co za dolą swoją, która go w świat pędzi. Narody całe płynęły nieraz kędyś ze wschodu... ze starych siedzib na nowe, albo to im tam ziemi brakło? — Tak i mnie duch mój włóczyć się każe.

— A dużoście już świata zjeździli? — zapytał Wisz. Hengo się uśmiechnął.

— Tak dużo, że nie pamiętam z ilu rzek piłem wodę, przez wiele gór wierzchołkiem się przedzierałem, widziałem dwa morza... a języków, którem słyszał, nie zliczę... a ludzi różnych...

— Przecież ze wszystkich narodów — naszych pono najwięcej — odezwał się stary... — my, Polanie, rozmówić się możemy i z tymi, co u Odry i co nad Łabą siedzą, z Pomorcami i z Renami na Ostrowiu, i z Serby, i z Chrobaty, i Morawiany i aż do Dunaju... i dalej. A któż policzy... jest nas jako gwiazd na niebie.

— Hm! — mruknął Hengo — i nas też niemało...

— A ziemi też dla wszystkich dosyć — dokończył



Wisz... — Każdy u siebie doma ma czego mu trzeba :  
ziemię matkę pod nogami, słonko nad głową, wodę  
w strumieniu, chleb w rękach.

Hengo słuchał milcząco.

— Tak ci jest — rzekł — przecie jedni drugich na-  
chodzą — i z głodu, i z chciwości, i dla niewolnika, gdy  
go zabraknie.

— Dzieje się tak u was — przerwał stary — my wojny  
nie pragniemy ani w niej smakujem. Nasi bogowie po-  
kój miłują, jako my.

Niemiec się skrzywił.

— Kto wam tu co zrobi? — mruczał — kraj szeroki,  
pustynie — łatwo by wejść, ale wyniść trudno.

— Myśmy też — rzekł Wisz — od was się nauczyli  
bronić i wojować, bośmy tego dawniej nie znali. Prawda,  
że tam u zachodu wasze duchy lepszy oręż kują, ale  
i nasz kamień stary i palka niczego.

— Myśmy już o kamieniu zapomnieli — odezwał się  
Hengo — pogrzebaliśmy stare młoty po mogiłach i już  
ich prawie nie widać. Nie zdał się już teraz kamień,  
gdy o kruszec łatwo, a ludkowie nasi po pieczarach co-  
raz więcej go znoszą.

— My też mamy go od morza i od lądu, z różnych  
stron przywożonego — ciągnął Wisz... — przecie dzieci  
uczmy kamień szanować, bo go pierwsi bogowie poka-  
zali praojcom naszym, jak go obrabiać. I każdemu do  
grobu wkładamy młot, siekierę bożą, kamienną, aby się  
u swoich bogów nią wyświadczył, kim jest i skąd idzie.  
Inaczej by go nie poznali. A będzie tak na wieki wieków  
i u wnuków naszych.

Hengo słuchał ciekawie. Wtem stary podniósł z ławy  
i sięgnął ręką na półkę, ponad dzieżę chlebną, gdzie  
rzędem leżały młoty i siekiery kamienne, poprawiane  
w drzewo i powiązane mocno. Ujął ich kilka w rękę,  
pokazując Niemcowi.

— Po dziadach, pradziadach myśmy je odziedziczyli —  
mówił — były one ofiary bogom i łby wrogom i zwie-

rzom rogi. Gdyby nie kamień, nie było by człowieka i życia. Z kamienia powstał człowiek i kamieniem żył. Z niego wyszedł ogień pierwszy, kamień stał żyto na mąkę i błogosławiony jest. Wasz kruszec zjada woda i ziemia, i powietrze, a kamienia nieśmiertelnego nic nie pożre.

To mówiąc, młoty swe z poszanowaniem na półce położył.

W ciągu rozmowy niewiasty służebne około ogniska się kręciły, rozpalając je. Przez otwarte drzwi od komory dozorowała je Jaga. Pracowały z nimi niewiastki i córki, tylko Dziwa w wianku, z założonymi rękami, z dala się temu zachodowi przypatrywała. Najmłodszą była w domu, najpiękniejszą i najukochańszą, a pieśni najśliczniejsze śpiewała. Matka ją najciekawszych baśni uczyła, ojciec najstarszymi podaniami karmił. Wiedzieli wszyscy, że ją duchy nawiedzały, że w snach szeptały jej o tym, o czym nikt, ani ojciec, ani matka, ani siostry nic nie wiedziały. Kto chciał wiedzieć przyszłość, jej pytał — pomyślała, popatrzała, powiedziała. A pieśni się jej rodziły tak, jak na wiosnę nad strumieniem kwiaty. Gdy na rozstajach i u świętych źródeł ofiary składano, nikt tam nie przodował, tylko ona jedna, i szanowali ją wszyscy, a z młodzieży nikt nawet spojrzeć na nią nie śmiał zuchwale. Wszyscy wiedzieli, że ją sobie duchy wybrały za oblubienicę.

Dlatego, gdy drugie siostry i bratowe same w las się iść lękały, tam gdzie duchy latają, unosząc się nad strumieniami, nad jeziorami, nad górami i wąwozami. — Dziwa szła śmiało, wiedząc, że się jej nic złego nie stanie, że niewidzialna ręka zwierza i wilkołaka odeгна, smoka i węża nie dopuści.

U ogniska warzyła się i piekła wieczerza, a że gość był w chacie, dostatniejsza była niż powszednio. Cwierć kozłowa obracała się u ognia, w wielkim garncu warzyło się mięsiwo z krupami. Jaga też zawczasu cębrzyk drewniany utoczyć kazała piwa, jeden z chłopców

przyniósł miodu, który tylko dla gości dawano. Znać był dostatek w domu, bo i nabiału nie brakło, zwierzyny, kołacza i chleba.

Wszystko to na stół zniesiono, a Wisz skinieniem gościa zaprosił, sam siadłszy w rogu, gdzie jego miejsce było. Niżej na ławach siedli synowie, a niżej jeszcze parobcy.

Dziewki i niewiasty, nie śmiejąc usiąść z mężczyznami, służyły. W milczeniu zabrano się do mięsa, palcami go odrywając, tylko Hengo, noża na skórzanym pasku dobywszy, dla siebie krajać zaczął. Na ten obcy zwyczaj dziwnie patrzano, bo krom chleba dużego, wszystko się palcami brało i jadło. Przed siedzącymi postawiono garnuszki i czerpaczki z wodą, piwem i miodem. Wisz zlał trochę na ziemię... Głodny podróżny raczył się i popijał do syta, a nierychło mu na myśl przyszło, iż dziecko głodne w szopie przy koniach zostawił. Szepnął więc coś staremu Wiszowi, który głową pokiwał.

— Jedzcie spokojnie — rzekł — nie zapomną o nim, u nas obyczaj nie tylko o panu pamiętać, ale i o sługach, a gdybyście i psy mieli z sobą, i te by głodu nie zaznały. Zwierzęta też, którym bogowie mowę odjęły, kto wie, co w sobie noszą? Przecie naszą mowę rozumieją, w życiu nas strzegą, a po śmierci żałują.

Mówił to właśnie, patrząc na psy swoje, które do- bywszy się z zamknięcia, gdy zwietrzyły wieczerzę, wcisnęły się do chaty i pod stół, gryząc kości, które im rzucano.

Słońce się miało ku zachodowi, gdy najadłszy się i napiwszy, Wisz wstał. Tuż za nim wszyscy z ław ruszyli. Podniósł się i Hengo, miejsce opróżniając dla niewiast, wyszli na podwórko z chaty.

Stary, na kiju się opierając, Niemca z sobą powiodł ku rzece, dawszy mu wprzód sakwy zrzucić w szopie, bo się nazajutrz do dnia w drogę wybierał.

Siedli znowu oba na tych samych kamieniach nad wodą. W łożach śpiewały słowiki, nad błotami zwi-



jały się czajki krzykliwe i niespokojne, w lesie kukułka coś liczyła po jednym, a na moczarach bąk, kiedy niekiedy, jak stróż na czatach, hukał... z daleka... O kilkanaście kroków od nich dwa bociany, których gniazdo na szopie widać było, wieczorną odbywały przechadzkę, dziobiąc żabki przestraszone.

### III

Pomilczawszy chwilę Wisz spojrział na Niemca.

— Dostaliście się tu szczęśliwie — a dalej? dokąd myślicie?

— Dokąd? — zwolna powtórzył Hengo, jakby nie chcąc się z tym zdradzić, co zamierzał — dokąd? — Ot, sam dobrze nie wiem. Wy tu na znacznej przestrzeni sami ze swoimi siedzicie i panami jesteście... Ja, żem tu już raz się kiedyś zabłąkał, przywlokłem się i teraz. Dalej puszcza, iść choćby za rzekę, obłąkać się łatwo, a na złych ludzi trafić gromadę, którzy z życiem nie puszcza. Po lada jakich chałupach w lesie tłuc się nie myślę, pożytku z tego mało... ale... toć też gdzieś, nie opodal kneź wasz siedzi... Gdyby do jego grodu nad jeziorem nie było daleko... puściłbym się...

Wisz brwiami siwymi ruszył, a ręką w prawo, nie mówiąc nic, pokazał.

— Jesteż ci kneź... na grodzie nad jeziorem, a do niego w dzień niespełna stanąć łatwo. Kneź! kneź! — powtórzył z przekąsem... — Ten kneź już sobie prawa do wszystkiej naszej ziemi rości, po wszęch kniejach poluje, a ze swymi zbrojnymi ludźmi czyni co chce... To srogi człek, jemu się w paszczę dostać, jak wilkowi głodnemu... A no, i na wilki ludzie sposoby mają.

Niemiec milczał.

— Wasz ci to kneź, nie obcy — rzekł po chwili — trzeba przecie, żeby naród miał głowę i wodza, bo co by począł, gdyby go wróg naszedł?

— Niech nas od tego bogi bronią — mówił stary. — My to wiemy, póty naszej woli, dopóki pokoju. Przyjdzie wojna, z nią iść musi niewola. A kto z wojny skorzysta? nie my, ino kneź nasz i jego słudzy. Nam wróg chaty popali, bydło zajmie; oni niewolnika nabiorą dla siebie i łupu. Tyle z tego, że nam dzieci poginą; a kto padł w wojnie, temu i mogiły nie usypią, krucy ciało rozniosą.

I westchnął.

— Pan to jest mocny, ten co na grodzie siedzi? — spytał Hengo.

— Bogi mocniejsze od niego — mruzczał Wisz — a i gromada silną bywa... Ja nie wiem więcej, dań mu daję, jaką każe i — znać go nie chcę, ani jego, ani całego ich Leszków plemienia.

— Wyście u siebie panem — dorzucił, pochlebiając, Hengo.

— A pewnie — rzekł Wisz. — Gdybym nim tu nie miał być, toć są jeszcze ziemie puste, poszedłbym, jak ojcowie chadzali, z moimi gdzie indziej, gdzie wojna nie dochodzi i niewola. Zaorałbym nową granicę wołami czarnymi i siał.

Jakiś półśmieszek szyderski Niemcowi się po ustach przesunął i dodał:

— Hejno, gdybyście mi odpowiedzieli, a ukazali drogę do Gopła, a do Stołba kneziowego, kto wie? powlókłbym się jeszcze... zobaczyć i tego świata trochę.

Gospodarz pomyślał nieco.

— Czemu nie! próbujcie szczęścia — rzekł. — Z waszych tam już nie jeden bywał, nie jednego też może znajdziecie. Kneź ma żonę z niemieckiego kraju, po niemiecku rad rządziłby nami.

Wstał stary z kamienia.

— Słońce nie zaszło jeszcze, macie dobre nogi? — zapytał. — Pójdziemy za las, na górę, skąd świata wiadać niemało... Stamtąd wam drogę ukaże łatwo... Chcecie za mną?

Niemiec, który łuk i procę zostawił we dworze, prawie będąc rozbrojony, zawahał się nieco.

— Tak? z rękami gołymi — spytał.

— Jam tu na mojej ziemi — odparł stary obojętnie — mnie tu zwierz nawet szanuje. Innej broni nie potrzebuję — dodał Wisz, róg wyjmując z zanadza — nad tę jedną. Gdy się głos rozejdzie po lesie, zrozumieją.

Szli więc razem. Od strumienia, lekko się podnosząc ku górze, zielona łąka wiodła ich ku lasom. Stary wśród zasieków znalazł przełaj i ścieżkę. Wprędce byli już wśród ciemnej gęstwiny, a tu Wisz jak w domu, choć nigdzie śladu drogi żadnej nie było, kierował się, nie patrząc prawie. Hengo drapał się za nim, milczeli, idąc, oba... Wzgórze niezbyt wyniosłe, zwolna, nieznacznie wspinało się lasem<sup>e</sup> okryte. W zaroślach ptactwa mnóstwo zlatywało z gałęzi, na których się już noclegować zabierało.

Zdawały się gniewne na starego gospodarza, że ich spokój zakłócił. Mignęły sine skrzydła kraski, srocza w białej spódniczce podniosła się, gderząc, podlatując, przysiadając się przed nimi, aby ich łąjąc, przeprowadzając dalej. Spod drzewa, u którego czatował, mignął lis żółtym ogonem, zawinął się i znikł, wsuwając się do jamy. Na gałęziach pomykały wiewiórki, ledwie dojrzane, tak zwinnie skakały z jednego wierzchołka na drugi. Stary po drodze podnosił głowę ku barciom, bo ich tu pełno było na drzewach, reszta pszczoł spóźnionych wracała z łąk, niosąc plon, cisnąć się do nich przed rosą, aby im skrzydła nie ociężały.

Szli tak coraz głębiej, a Niemcowi, nienawykłemu do pieszej wędrówki, za starym trudno było nadążyć. Wtem las się rozstąpił, polanka, bujną trawą zarosła, wierzch wzgórze zakrywała. Wśród wielkiej płaskiej przestrzeni wznosiła się sypana mogiła, z której widok rozlewał się na okolicę, jak oko sięgnąć mogło. Wspinały był i wielki... Wisz, stanawszy tu i oglądając się po swej ziemi, mógł się czuć panem. Hengo, spojrzawszy



na niezmierną przestrzeń u nóg swoich rozłożoną, stanął zdumiony i widocznie rozradowany. Dolina, którą mieli u stóp swoich, była w większej części lasami okrytą. Zachodzące słońce jaskrawym blaskiem ją oblewało, promienie czepiały się wierzchołków drzew, odbijających gdzieniegdzie w złotych jeziorach i w przegłędających między drzewy i łąkami rzek wstęgach.

Patrzac nań z góry, rzekłbyś, że cały kraj ten, cały świat zarastała puszcza jedna, szeroka jak morze i jak morskie równiny siniejąca w oddaleniu. Jak fale też kołysały się bliższych drzew wierzchołki. Wśród tej ciemnej zieleni jodeł i sosen, gdzieniegdzie młodych złocistych lip i brzoź i majowych łąk zieloność się przebijala. Dalej ściśnięte drzewa już oku nic widzieć nie dopuszczaly nad wierzchołki, nad które mało starszych samotnie strzelało ku górze. Głuchy szum zaledwie chwytal ucho... W dwóch tylko miejscach słupy sinego dymu wznosiły się ku górze, nie zgiete żadnym wiatru powiewem... Na widnokregu pasmami długimi rozściełaly się do snu mgły wieczorne.

Wisłz wskazał Niemcowi w prawą stronę.

— Tam... w końcu dnia z końmi waszymi dostaniecie się łatwo. Trzymajcie się ciągle rzeki, a minawszy do niej wpadające strumienie, szukajcie brodu i przejdziecie na drugą stronę.

Chciał mówić dalej, gdy ucho jego, do chwytania i rozumienia najmniejszego szelestu nawykłe, coś z dala uderzyło. Zatrzymał się, głowę spuścił i słuchał.

I Hengo też w dolinie pochwycił jakiś oddalony tętent głuchy, który się zdawał przybliżać. Wisłzowi twarz się zachmurzyła, ręką pokazał na kierunek i spytał:

— Rozumiecie? a teraz — dodał — chodźmy, boję się, czyśmy wilka nie wywołali z lasu. Tętent słyszę... Jeżeli jedzie kto, to chyba kneziowscy słudzy, utrapiona zgraja, która nigdy z próżnymi nie odchodzi rękami. Smerdowie i posłańcy... Po co? Wiedzą chyba

oni sami. Dokąd? Nigdzie jak do Wisza, u którego miód stary stoi...

Stary poruszył się z żywością prawie młodzieńczą i, nie patrząc już prawie na Niemca, posunął się tą samą drogą w dół, którą na górę wchodzili. Lecz teraz pędził żywiej i przesunawszy się przez las, spoza ostatnich drzew ujrzeli rychło zieloną łąkę, a na niej, brzegiem rzeki posuwających się pięciu konnych, na których Hengo ciekawie zwrócił oczy.

Przodem jechał dowódca, parami za nim czterej inni... łatwo w pierwszym poznać było starszego, koń pod nim był roślejszy i pokaźniejszy, ubiór odznaczał kneziowego sługę. Był to chłop barczysty, z włosami długimi, które mu gruby kark okrywały. Na głowie miał czapkę ze sterczącym przy niej białym piórem. Odzież na nim z sukna jasnego, obszycie miała czerwone, u boku miecz sterczał w pochwie, na plecach łuk nad głowę się podnosił i łubiany wór na strzały.

Jadący za nim trzymali w rękach toporki, zbrojni też w łuki i proce, obwieszeni sakwami...

Wisz, zobaczywszy jeźdźców, jak noc się zachmurzył, porwał róg zza koszuli i trzy razy prędko raz po razu zatrąbił, do chaty znać obznamiając o nadjeżdżających.

Gdy głos ten się dał słyszeć, jezdni na koniach poruszyli się żywiej, i pierwszy z nich obejrzał dokoła, szukając sprawcy... mógł już z brzegu rzeki, na którym jechał, zobaczyć Wisza, a ten też niezwłocznie pośpieszył na przelaj ku niemiłym gościom.

— Ej! gadziny przekłete! — mruczał idąc — smoki nienasycone... Smerda pański, bodaj ich razem obu pioruny ze skóry darły!

Odwrócił się do Niemca.

— Wam to na rękę, bo was pewnie i wasze sakwy ze sobą chętnie zabiorą, ale mnie!

Hengo nie okazywał twarzy wcale, czy był rad lub nie spotkaniu.

— Juścić — rzekł — gdyby co złego groziło, prawa gościnności bronić mnie każą.

— Jeżeli ja sam siebie od nich obronię — mruknął Wisz... — Pięciu ich, nie tak to straszna rzecz, moi chłopcy powiązaliby ich na skinienie, ale u Stolba znajduje się ich dziesięć razy tyle, gdyby się mścić chcieli.

Szli co prędzej ku zagrodzie.

Smerda kneziowski, jadący przodem, konia zatrzymał, starego poznawszy lub się domyślając gospodarza. On i jego towarzysze mniej się mu jednak niż Niemcowi przypatrywali. Czuli w nim obcego, a obcy dla nich zawsze był dobrym obłowem.

Gdy podeszli, starzec się Smerdze pokłonił, chociaż ten mu nie myślał oddać powitania. Skłonił się i Hengo, ale mu twarz pobladła, czuł, że chciwie oczy wszystkich na niego się skierowały.

— Kogoż to z sobą prowadzicie, stary? — wołał Smerda. — Obcy? skąd?

Czterej jezdni wprost go obstąpili dokoła.

— Znad Łaby jestem, przekupień, człek spokojny, nie obcy... — rzekł, nabierając śmiałości trochę. Hengo — nie obcy, bom tu nieraz bywał z towarem... wszędy mnie swobodnie przepuszczano...

— Znamy tych ludzi spokojnych! — krzyknął, śmiejąc się Smerda, — znamy... Kto wie, na co wypatrujecie drogi po kraju, szukacie brodów po rzekach, zaciosujecie znaki po drzewach... aby potem poprowadzić...

— Spokojny człek — odezwał się Wisz powoli — dajcie mu pokój, chleb z nim łamałem.

— A mnie co do tego? — zawołał Smerda gniewnie. — Kneź surowo zakazuje, aby się tu obcy po kraju nie wałęsali. Pójdźcie z nami.

— Pojadę z wami po dobrej woli, miłościwy panie — rzekł szybko Hengo — a gdy na twarz padnę przed kneziem, łaskę u niego zyszczę, bo pan jest sprawiedliwy... Jam samowtór z chłopięciem... i — cóż ja złego zrobić mogę?



—Związać mu ręce — krzyknął Smerda... — a no, zobaczymy.

Gdy to mówił, dwóch pacholków skoczyło z koni, aby rozkaz jego wykonać. Smerda kierował się ku zagrodzie.

Stali tu już parobcy i synowie, stała we drzwiach stara Jaga, z równie starą sługą, żadnej z młodszych niewiast widać nie było.

Na znak dany przez ojca wszystkie się ukryły po kątach i zbiegły do lasu, aby się z obcymi ludźmi zuchwałymi nie spotykać. Wyjaśniła się też twarz Wisza, gdy w podwórzu ani córek, ani synowej żadnej nie zobaczył.

Smerda zlął z konia u wrót, ludzie jego także, dwu z nich poprowadziło Henga z sobą, wydrwiwając się z niego, popychając i bijąc. Ręce już miał w tył związane sznurem, którego koniec trzymał jeden z pacholków. Konie poszły do szopy, ludzie wprost kroczyli do dworu.

Tu Jaga, pokłonami ich witając, zapraszała. Wisz stary szedł zamyślony i chmurny.

Zaszumiło wnet w izbie, gdy obcy się do niej wcisnęli. Smerda padł na ławę, pierwsze, gospodarskie zajmując miejsce. Wołali już piwa i miodu, które zaraz niesiono, aby sobie gardła zalali. Gospodarz, nic nie mówiąc, z dała zajął miejsce na ławie.

— No, stary gospodarzu — ozwał się Smerda — wy to już wiedzieć powinniście, z czym my jedziemy... Należy kneziowi dań...

— A dawnoście ją brali? — mruknął stary.

— Myślicie się rachować z nami? Kmieć z kneziem? — rozśmiał się Smerda.

— Kneź z kneziem, bo ja tu na tej ziemi kneziem jest — mówił Wisz. — Ze skóry nas drzecie pod pozorem obrony.

Smerda chciał się śmiać, ale popatrzwszy na staro, rychło mu ochota odeszła, spowolniał jakoś.

— Pijcie i niech wam tak będzie na zdrowie, jako  
zyczę — dodał stary, — a potem o sprawie.

Kneziowski sługa, pomyślawszy, stał się łagodniej-  
szym; czerpakiem piwa z cebra nabrawszy, począł je  
chciwie żłopać. Towarzysze jego też garnuszkami czer-  
pać jęli, aby ugasić pragnienie. Hengo związany stał  
u progu.

Chwilę trwało przerywane chlipaniem milczenie. Smer-  
da wąsy otarł i zwrócił się do Niemca.

— Gdzie twoje konie i sakwy?

— Znajdą się jutro razem ze mną przed kneziem —  
rzekł Hengo — proszę was, w pokoju mnie zostawcie.

— Zrobie z tobą, co chcę! — krzyknął Smerda.

Wisz chciał bronić obcego, gdy Hengo z rękami zwią-  
zanymi, za sobą sznur wlokąc, szybko podszedł do sie-  
dzącego na ławie Smerdy, a nachyliwszy się, przysunął  
mu się do ucha, i żywo, długo mu coś szeptać zaczął.  
Z twarzy nie widać mu było przestachu... Gdy mówił,  
zwolna lice kneziowskiego sługi mieniło się, marszczyło,  
rozjaśniało. Popatrzał z ukosa na Niemca, głową po-  
trząsnął i rzekł do swoich ludzi:

— Rozwiązać mu ręce — pojedzie jutro z nami, na  
grodzie się z nim rozprawim.

Uwolniony tak cudownie od sznurów, które mu ręce  
krępowały, Hengo ze spuszczoną głową usiadł w kącie.  
Smerda, już co innego mając na myśli, zwrócił się do  
starej Jagi.

— Matko stara — zawołał — a gdzie to niewiastki  
i córki wasze? Radzi byśmy na nie popatryli, gładkie  
mają liczka.

— I dlatego wam ich nie pokażą — wtrącił gospodarz.  
— Co wam do nich?

Jaga dodała:

— Nie ma ich od rana. Poszły w las wszystkie za  
grzybami, za rydzami, chyba i na noc nie powrócą.

— W las! — zaśmiał się Smerda, któremu zawtóro-  
wały śmiechy jego towarzyszków, piwem rozochoconych. —

Oj! szkodaż to, szkoda, żeśmy ich po drodze nie spotykali. Było by się z kim zabawić, choćby i do jutra.

Wisł spozjrzał z ukosa na mówiącego, któremu śmiech zamarł na ustach.

— Przy takiej zabawie — rzekł Wisł — jakby was ojciec i bracia zastali, moglibyście i na wieki w lesie pozostać, a nigdy z niego nie wrócić. Wilcy z krukami tylko by o was wiedzieli.

Cicho, ponuro wymówił te słowa. Smerda je usłyszał i zachmurzył się. Drudzy znowu około kadzi z piwem chodzili, i on też, milcząc, do niej powrócił.

Tymczasem na dany znak synowie Wisła podeszli do rozmowy, podsunęła się i Jaga, a Wisł z wolna podszedł naprzód ku ognisku, potem od niego ku drzwiom, gdzie się z wiadra wody napił. Tu nie opodał rozwiązany siedział Hengo. Gospodarz dał mu znak i wyszli razem do sieni.

Nic nie mówiąc, stary ręką ukazał Niemcowi na drzwi i wrota, dając do zrozumienia, by uchodził, lecz Niemiec, obejrzawszy się, szepnął mu do ucha :

— Ja się ich nie boję, nic mi nie zrobią — dostanę się z nimi do knezia. Towaru tylko nie wezmę z sobą wszystkiego — by darmo się nie wozic z ciężarem.

Wisł popatrzał nań zdziwiony.

— Dlaczegoż uchodzić nie chcesz? Spod mojego dachu na co ma cię spotkać nieszczęście?

Hengo uśmiechnął się chytrze, głową potrząsając.

— Nie boję się, nic mi nie zrobią... wykupię się im. bądźcie spokojni, tylko wam jedną sakwę zostawię.

Milczeniem gospodarz zgodził się na to, a Niemiec wysunął się zaraz ku szopie, skąd parobek wyniósł po chwili sakwę, którą w komorze ukryto. Hengo, podziękowawszy gospodarzowi, wrócił do izby i siadł znowu w swoim kącie, nim postrzeżono, że go nie stało.

W izbie gwar był i śmiechy.

Smerda orzeźwiał też po piwie, zę starą babą żarty strojąc, a towarzysze mu rozgłośnym śmiechem wtórowali.



Trwało to aż do nocy, wniesiono łuczywo suche, którego drzazgi, między kamienie wetknięte, zapalono, aby izbę oświecały.

Zobaczywszy światło, Smerda się dopiero obejrzał za gospodarzem dokoła.

— Gdzie gospodarz? — zawołał.

Wisł stał u progu chaty, trąciła go Jaga, niechętnie się zawlókł do środka. Ludzie mu widocznie nie w smak byli. Zobaczywszy starca, Smerda wstał, idąc ku niemu, skinął i na podwórze z sobą prowadził.

— Od knezia jadę do was i do drugich kmieci i żupanów — rzekł — kneź was pozdrawia uprzejmie.

Stary skłonił głowę i po siwych włosach powiódł zasfrasowany pomarszczoną dłoń.

— Pozdrowienie łaskawe — rzekł — a no na tym nie koniec. Kiedy zdrowia życzy, pewnie czego żąda, inaczey by o kmieciu nie wspomniał.

Smerda brwiami ruszył.

— Ludzi nam bardzo, bardzo brak — rzekł — jednego ze swoich dać musicie do kneziowskiej drużyny. Wszak ci to ona was i ziemi broni.

— Cóż to? na wojnę myślicie? — rzekł Wisł.

— My jej nie wydamy nikomu, ale na grodzie ludzie muszą być w pogotowiu do obrony — mówił Smerda. — Dwóch nam zmarło z zarazy, jednego zwierz rozdarł w lesie, a kneź też ubił jednego, trzeba nam ludzi... U nas się źle nie dzieje... Głodu nie mają, jedzą razem ze psy kneziowskimi, a po całych dniach na brzuchach się wylegają. I piwa się im nie skąpi. Przyjdzie wyprawa, z łupu się co dostanie.

— Albo się pójdzie w niewolę — dodał Wisł.

— Jeżeli nie dwu, jednego musicie dać — zakończył Smerda.

— A jak żadnego? — zapytał Wisł.

Smerda się zamyślił.

— To was na sznurze powlokę do grodu — rzekł Smerda.

— Chociem kmieć wolny ? — spytał gospodarz spokojnie.

— Mnie co do tego ! Kneź przykazał.

— Tak — tak ! — zawołał Wisz, zadumany patrząc w ziemię... Wziął się obyczaj taki. Patrzcie tylko, żeby was kiedy kmiecie na postronkach nie ciągnęli, jak się im naprzykrzy.

Posłaniec zmilczał.

— Nie przeciwcie się — szepnął po cichu. — Kneź tymi dniami zły bardzo... przez sen, gdy w podsieni za-  
drzemie, zgrzyta zębami i jak wilk człapie. Na kmie-  
ciów się odgraża bardzo. Zamiast dwu dajcie mi jedno-  
go człowieka i skórę na kozuch, bo mi się mój dobry  
podarł na usługach.

Zamyślony stał gospodarz długo w podwórzu, skinął  
potem na Smerdę, by z nim szedł, wrócili do chaty. Na  
ławie stary siadł, kij między nogi wzięwszy, sparł ręce  
na nim i po chłopcach swoich poglądał, jakby szukał  
ofiary.

— Hej ! Sambor — odezwał się do stojącego z tyłu  
za gromadką, śmiejącego się z dworakami chłopaka. —  
Sambor — chodź tu !

Przywołany tym imieniem parobczak wyprostował się  
i podszedł.

— Tobie w polu nie bardzo się chce robić, a koło  
domu też nielepiej — rzekł do niego — więcej leżysz  
i śpiewasz, niż pracujesz. Ty byś się zdał do lekkiego  
chleba, przypasawszy mieczyk, drugich ganiać i, piórko  
za czapkę wetknawszy, popisywać się z urodą. Ty na  
kneziowski dwór pójdziesz z ochotą ?

Zagadnięty parobczak, choć mu się niedawno twarz  
śmiała, posmutniał nagle.

Oczyrna niespokojnymi potoczył dokoła, zobaczył, jak  
mu się Smerda przypatrywał ciekawie, ogarnęła go  
trwoga i padł przed starym na kolana.

— Ej ! ojcze panie — po cóż mnie w niewolę da-  
jecie ? — krzyknął.

— Co za niewola — przerwał Smerda — będziesz wojakiem. U knezia lepiej niż tu, a jak się spodobaś panu, kto wie, co będzie z ciebie.

Wisz po schylonej jego głowie ręką pogładził.

— Musi jeden iść za wszystkich — rzekł — na ciebie kolej, Sambor.

Stara Jaga, opodal stojąca, ręce załamała, bo choć parobczak synem jej nie był, ale się w chacie wychował i jak dziecko własne go kochano.

Drudzy parobcy, tym oznajmieniem strwożeni, cofnęli się w głąb — opuściła ich wesołość. A tuż i Smerda dłoń szeroką na ramieniu Samborowi położył, jakby go brał w posiadanie.

— Pójdiesz z nami — rzekł.

Podniósłszy oczy parobczak spotkał wejrzenie Wisza, skierowane ku niemu, które doń coś mówiło, coś, co oni tylko dwaj rozumieli.

Sambor się uspokoił i wstał, smutny jeszcze, ale milczący, nie narzekając już na losy swoje.

Kto by się wsłuchał był w głosy, które wewnątrz chaty się ozwały, gdy Jaga wyszła, załamawszy ręce domyśliłby się, że tam niewiasty za Samborem zawodzić musiały. Nikt jednak nie śmiał ozwać się głośniejsz, aby obcy nie posłyszeli głosów niewieścich i nie domyślili, że się od nich pochowały. Dano jeść przybytemu Smerdzie i ludziom jego, a piwo z cebrów dokończywszy, wszyscy poszli do spoczynku. Wisz ich zaprowadził do obszernej szopy, na siano. Obok niej stały konie niemieckie. Niemca też puszczono, nie bardzo się troszcząc o niego — szedł przy nich nocować.

Gospodarz z Samborem sami pozostali w podwórku. Chłopak chciał zacząć rozmowę, gdy stary dał mu znak, aby z nim za wrota szedł, i wywiódł go na rzekę. Księżyc wschodził nad lasami. Siadł stary, milcząc długo. Słowiki tylko krzyczały...

— Nie płacz ty i nie narzekaj — począł po cichu Wisz — nikt nie wie, gdzie go jaka dola czeka. Chcieli



wziąć jednego z was, a ja bym i sam dał... bo mi tak było potrzeba. I nie tylko mnie, ale i drugim.

— Za cóż ja idę? — nieśmiało zapytał Sambor.

— Boś ty rozumniejszy od drugich — mówił stary — bo masz oczy i język, bo więcej nas kochasz niż drudzy, bo ja tobie ufam i miłuję cię. Jesteś obcy, a mam cię za syna. Posłałbym syna... oni obaj ziemianie i rolniki, i myśliwce, i bartniki... a ty śpiewać lubisz, ale i myśleć umiesz.

Zatrzymał się trochę, wsłuchując się w wieczorną ciszę — a potem mówił dalej, głos zniżając.

— Słuchaj Sambor — ja ciebie nie na zgubę ślę, ale z potrzeby. Wielkie się u nas rzeczy gotują, kneziowie nas za łby chcą wziąć, postrzyc w niewolniki i Niemców z nas porobić. Z Niemcami się znoszą... Nam dojadło to... My nic nie wiemy, co oni tam robią, aż nam na szyję więzy spadną. Ty idź, patrzaj, słuchaj, nastaw uszy. Musimy wiedzieć, co się u nich dzieje. Po to ja tam ciebie ślę... Usta zamknij, oczy otwórz, posłuszny bądź... kłaniaj się nisko... a o nas nie zapominaj.

Czasem tam kto z bliźniakami przyjdzie, z pokłonem... powiecie mu, co posłyszycie.

Przyszedł czas... przyszedł czas... albo Leszki nas spętają, albo my ich wyżeniem i wydusim.

A no — st! st!

Stary palec położył na ustach. Sambor przystąpił doń i objął za kolana.

— A! — rzekł — iść między obcych, porzucić was, ciężka to dola. Myślałem — z wami poczęło się życie i przy was skończy.

Wisz przerwał mu.

— Nie na wieczność tam idziesz — rzekł cicho — jak będzie pora, skiniemy na cię — powrócisz... Nauczysz się tam wiele, napatrzysz, dowiesz, bo strzec się ciebie nie będą... Na Kupałę, na oladę do mnie ci pozwolą... a od Stołba do nas nie kraj świata!

I pogłaskał go po głowie... Ale Samborowi, mimo tych obietnic, ciężko na sercu było.

— Mój ojciec — szepnął tęskno — co ty każesz, ja muszę. Ale ja tu tak, jak wolny był, tam idę na pęta i pod grozę. U was my wszyscy dziećmi, tam wszyscy niewolnikami. Gorzki to chleb, co go w pętach jeść potrzeba.

Wiesz, jakby skarg tych słuchać nie chciał, nie odpowiedział na nie.

— Patrz, a ucz się — powtarzał — zapamiętaj wszystko. Nam się stamtąd wszystkim niewola gotuje, jeśli o sobie nie pomyślimy. A kto z nas wie, co się w tym wilczym dole praży i smaży? Żaden z kmiściów nie ma tam swojego. Ja tam twoje oczy posyłam za moje. Kneź sroga bestia, ale pokłony lubi, bij mu je, zyszczesz łaski, nie będą się taić przed tobą. Piją, a po pijanemu wygadają, co u trzeźwego na myśli.

Stary szeptał coraz ciszej, kiedy niekiedy chłopaka bijąc po ramieniu... ten stał z głową zwieszoną, zachmurzony; księżyc już się był podniósł w górę i świecił w rzece odbity, gdy po długiej rozmowie się rozeszli. Sambor pozostał jak wkuty na podwórku, oparty o wrota. Psy przyszły mu się łąsić do ręki, pogłaskał je. Słuchał śpiewu słowików i klekotania żab, i hukania bąka na błotach, jakby chciał sobie wrazić tę muzykę nocną puszczy, którą nierychło znowu usłyszeć się spodziewał.

Sen go nie brał — siadł na kłodzie i przesiedział noc całą do dnia.

Już się we dworze niewiasty ruszać zaczęły, gdy parobczak poszedł, obchodząc zagrodę, ku tylnym wrotom, jakby się tam kogo spotkać spodziewał.

Jaga wyszła naprzód i pośpieszyła ku niemu.

— Samborze, mój miły — nie trwoż się i nie tęsknij — powrócisz.

Ale sama łzę fartuchem otarła.

Wtem przez drzwi wpół otwarte pokazała się Dziwa, która w rękach trzymając kosy, zadumana, płoła je po-

woli. Spojrzała na chłopaka i smutnie mu się uśmiechnęła.

— Co ty tak stoisz ponury? — rzekła powoli głosem jakimś spokojnym, a jak śpiew przeciągłym — co tobie? Nie wstydź ci mieć strach w sercu, a łzy w oczach? Nie każdemu dano siedzieć w chacie i spoczywać, różne losy, różne dole. Dobrej myśli bądź! Czasem ja widzę, widzę daleko, widzę jasno, czasem ja jutro odgadnę... Nie smuć się Sambor. Złego ci się nic nie stanie.

— Szkoda mi was porzucić — rzekł chłopak — a tęskno mi będzie.

— I nam za wami! — rzekła Jaga.

— Nam za wami! — powtórzyła Dziwa — a no, wy do nas wróćcie.

— Kiedy? — zapytał Sambor.

Dziwa puściła z rąk włosy, oczy utopiła w ziemię, cała jej postać przybrała uroczysty wyraz, i poczęła mówić zwolna, nie patrząc na chłopca:

— Wróćcie, wróćcie, gdy nad Gopłem łuna stanie, trupy popłyną po jeziorze... Kneź stary z lasu wyjedzie, nowe przyjdzie panowanie, gdy popioły wiatr rozwieje, kiedy krucy się nasycą, kiedy bartnik zbierze pszczoły, kiedy zrab nowy postawią nad Lednicą u jeziora. Powróćcie zdrowi, cali... z jasnym mieczem, z jasnym czolem.

Coraz ciszej mówiąc, zamilkła, podniosła oczy na stojącego przed sobą Sambora i rękoma obiema śląc mu pożegnanie z uśmiechem, jakby oprzytomniona nagle, chwyciła rozpuszczone kosy, wbiegła do chaty i drzwi za sobą zatrzasknęła.

#### IV

Wszystko się już budziło po szopach i oborach... parobcy szli wypędzać stada... dziewczęta czerpały wodę u studni. Smerda ze swoimi wstawał, napędzając do drogi. Hengo chłopca ślał do wodopoju, stare sługi roz-



pałały na ognisku. Wisz, który sen miał lekki, z siermięgą na plecach zarzuconą wyszedł o kiju obejrzeć na przód, jaki dzień się obiecywał.

Niebo nad rankiem szare chmury okryły, od strony tylko wschodu rumieniały one, a choć wiatru czuć nie było na ziemi, górą obłoki pędziły żywo, wyprzedzając się i kłębiąc. Nad błotami stały gęste opary, poruszały się, to bledniejąc, to szarzejąc. Rosa kroplista, biała, okrywała trawy i szkliła się na zielonych liściach młodych. W szopie słychać było beczące owce, na pastwiskach rżące konie, u brzegu mrużącą rzekę i jeszcze zawadzającego nieznużonego słowika.

Dwa kruki z zachodu zwolna ciągnąc, zatrzymały się nad chałupą i poleciały dalej leniwo... Stary obejrzał się za nimi i pokiwał głową.

Sługi z szopy niosły świeżo udojone mleko kobyłę. W izbie stał już znów ceber piwa i placki dla gości, aby o głodzie ze dworu nie wyjechali. Na ławie Wisz za wczasu położył niedźwiedzią skórę, której mu było żal, ale Smerdzie ją trzeba było dać, aby złej woli nie miał i nie skarżył przed panem.

Sambor posłuszny już węzełek swój na drogę wiązał, skórznie ozuwał i mocno około nóg sznurował. Procę i łuk nałożył na siebie, toperek u pasa uwieszał. Smutnoż mu było. A przecież, młody pocieszał się trochę, że na białym świecie dużo zobaczy... więcej za jeden dzień, niż w zagrodzie za życie całe.

Żal mu było wszystkich, bo ku chacie spoglądał, ale oprócz starej Jagi, która mu kołacz do torby przyniosła, nie zobaczył już nikogo. Parobcy tylko na szyi mu się wieszali.

Smerdowi towarzysze, on sam i Hengo, i gospodarz stary zebrali się około ogniska. Wszyscy jechać śpieszyli, bo się im zdało, że deszcz lunie prędko, tak groźne ciągnęły chmury, tylko Wisz spokojny ręczył, iż się niebo rozpożdzi.



Cicho się stało dookoła — on nucił słabym głosem.



Niemiec nie zdawał się frasować wcale, że go zabierano do kneziowskiego grodu, szedł jakby po dobrej woli, choć oczy towarzyszków chciwie się na jego sakwy zwracały. Milczący Gerda więcej nadeń był strwożony, ale z tego nikt się słowa nie dopytał.

Śmieli się z niego wszyscy, palcami wytykając: niemy!!

Po dobrej chwili, najadłszy i napiwszy się, ruszyli wszyscy do koni. Sambor staremu do nóg padł, ale ten skinąwszy tylko, odprawił go sucho. Konia mu z domu nie dawano — musiał więc pieszo zdążyć za drugimi.

Smerda ruszył przodem, za nim czterej jego towarzysze, około których szedł nowozaciężny z głową spuszczoną, dalek Hengo z chłopakiem. Tak wyciągnęli za wrota i brzegiem rzeki się kierując, wkrótce znikli w zaroślach z oczu staremu Wiszowi. Sambor, obejrawszy się, nie dojrzał już nic, tylko słup dymu nad zagrodą, wzbijający się ku górze.

Jak przepowiedział stary, tak się stało — mały tylko jak rosa deszczyk przekropił, zapachniały pod nim brzozy, niebo się jasne zza szarych zaczęło ukazywać obłoków. Cała chmur nawała zbita się na zachodzie, nad głowami podróżnych wyjaśniło się i blade słońce wyjrzało zza przejrzystych rąbków, jak oblubienica, gdy się z pościeli podnosi. Podróżni jechali w milczeniu. Konie ich same prawie torowały sobie drogę, choć znaku jej żadnego nie było.

Smerda, jadąc drzemał — spali też na koniach jego towarzysze, ciągle się budząc, Hengo tylko i Sambor czuwali.

Jadąc to samym rzeki brzegiem, to się spinając nieco ku górze — łąkami na przemiany i gąszczami, które konie łamały, liście w pyski chwytając — posuwali się milczący coraz dalej... Tuż na prawo stały lasy ciemne, podszyte, szeroko zwieszając gałęzie. Gdzieś tam z tych głębi puszczy gniły strumień, trawą i mchami



obrosły, dobywał się, szmerząc, i ciekł do rzeki wąskim korytem.

Ćwierć dnia już tak upłynęło, gdy na pagórku ujrzeni kamień wielki, a dokoła niego pomniejsze ustawione, jakby na straży. Niektóre z nich już się były w ziemię zapadły, na innych mech siwy porastał... Stary człek zgarbiony, - z kijem białym przechadzał się około kamienia. Było to prastare uroczysko, gdzie niegdyś składano ofiary... Stary, około kamienia stanąwszy, ręce wyciągnął, coś mruczał i ziele jakieś nań rzucał. Lecz wrędcę go z oczów stracili.

Dalej sypana mogiła wysoka stała u brzegu, cała darnią porośła, u dołu zarzucona zielonymi gałęzmi. Tu każdy, ułamawszy więc po drodze, rzucił ją, wymijając. Hengo tylko, choć patrzył ciekawie, wstrzymał się od tej ofiary.

— Co to za mogiła? — zapytał Sambora.

— Leszkową się zowie — odparł chłopak. — Tu kneź, broniąc wrogowi przejścia rzeki, strzałą rażony zginął. Wojsko się rzuciło, najeźdźnika rozbiło, a panu swemu, po garści rzucając ziemię, mogiłę usypało... Pod mogiłą skarby wielkie być mają, których duchy pilnują. Raz w rok, w Kupałę, otwiera się mogiła i może wniknąć po skarby kto chce, a brać ile mu się podoba; ale musi śpieszyć z powrotem, bo gdy kury zapieją, zamyka się mogiła i niejeden już w niej pozostał.

Samborowi ze smutku na baśń się zebrało, mówił więc jak jeden chciwy skarbów parobek podkraść się nocą kupałową pod mogiłę, jak w nią wszedł, znalazł gmachy wielkie, cudne izby pełne złota, i jak, coraz idąc dalej, nie opatrzył się, aż kury zapiały... I rok go cały nie było... Dopiero gdy się znowu otwarła mogiła, wyszedł z niej żyw, ale niemy, gdyż duchy mu usta zamknęły, aby ich tajemnic nie zdradził.

Dalej kraj było widać ludniejszy nieco, w prawo i lewo po gajach dymiło się w chłyznach, nad rzeką

spotykali gęsto wygasłe ogniska i końskich kopyt ślady... Tu i ówdzie leżała kość biała...

Około południa stanęli w dębinie zielonej, gdzie i pasza dla koni była obfita i woda blisko — dla wypoczynku. Tu zsiadłszy wszyscy pokładli się w cieniu, a kto co miał, spożywał. Sambor dobył białego kołacza Jagi, popatrzył nań i schował — głodnym być wolał, niż go stracić... był to kołacz domowy!

Słońce, jak wczoraj, dopiekało, najmniejszy prawie powiew wiatru nie ochładzał skwaru. Naokół znowu nic więcej widać nie było, jeno lasy i gęstwiny, łąki i moczary. Gdzeniegdzie w kotlinie leżało jezioro jasne, lśniące jak oko, zdając się przyglądać krajowi, nad nim, jak rzęsy, sterczały trzciny i, jak brwi, pasy lasów stały.

W pół dnia wszystko, nawet ptastwo ucichło, brzęczały tylko koniki i polatywały bąki, milczenie wielkie do snu kołysało. Smerda drzemał, Hengo, brwi ściągawszy, coś rachować się zdawał, gdy Sambor w dali głos ludzki posłyszał.

Nie widać było nikogo, uszu jednak dolatywało śpiewanie powolne, które się coraz zbliżało. Cichy to był i stłumiony śpiew, drżącym nucony głosem, samemu sobie, brzęk jakby poruszanych strun mu towarzyszył. Słów ucho jeszcze nie mogło pochwycić — ale nuta była żalosna, grobowa, smętna.

Wszyscy ciekawie oczy zwrócili ku brzegowi rzeki, skąd się głos dobywać zdawał.

Dołem, wybrzeżem piaszczystym szedł starzec ślepy, mały chłopak go prowadził. Włókł się zwolna, w rękę trzymał gęślę, po strunach jej przebiegając ręką drżącą. Smerda, który się przebudził, ujrawszy go z góry, zawołał:

— Bywaj tu, stary!

Ślepiec się zatrzymał, zwolna głowę podniósł i oczy białe, krwawymi obwiedzione powiekami.

— Bywaj tu, stary, chodź, spocznij — powtórzył

Smerda — placka przelamiemy z tobą i posłuchamy pieśni.

Śpiewak struny przebiegać zaczął palcami, ale pieśń się przerwała. Staął, myślał, potem chłopcu dał znak kijem i ku wzgórzom iść zaczęli.

— Dokąd idziesz, stary? — spytał Smerda.

— Albo wiem? — po świecie... — rzekł oślepy — z pieśniami idę od chaty do chaty.

To mówiąc, miejsce, na którym stał, począł kijem obmacywać i ostrożnie osunął się na ziemię. Gęśłą złożywszy na kolanach, dumął. Pomilczawszy nieco, jakby życie jego pieśnią być musiało, jakby mu ona, nie wylewając się z piersi, nabrzmiewała w nich, jakby mu była tchnieniem... bez którego ostać się nie mógł, niezrozumiale, cicho, sam sobie nucić zaczął.

Milczeli wszyscy. Jeden z pacholków dobył z torby placek i położył go na rękach starego, który powoli do ust go zaniósłszy, gryźć począł. Chłopak, który go wodził, poszedł do rzeki z garnuszkiem zaczerpnąć wody.

Sambor siadł przy nim.

— Stary Słowanie — rzekł — na noc... zajdźcie do Wiszowego dworu... tam was ugoszczą radzi.

— Na noc? do Wiszowego dworu? nie moimi nogami — rzekł ślepiec — nogi stare i starte. Dybię nimi powoli... jak ślimak się wlokę... A co ujdę kawał drogi, nogi każą siąść i spocząć. A do Wisza, do starego, daleko... daleko...

— Przecie wy tam zajdziecie — mówił Sambor — a gdy u wrót staniecie, pozdrówcie ich tam od tego, co dziś ich pożegnał.

— Wy z Wiszowej zagrody? — spytał stary — a któż z wami, a wielu? czują ludzi dokoła, chociaż oczy nie widzą...

Wtem Smerda wtrącił:

— Kneziowscy ludzie... hej! do grodu jedziemy, do Stołba. I ten z nami. A wy byliście na grodzie?

— Dawniej... dawniej — rzekł stary — teraz tam



nie ma po co... Tam mieczyki śpiewają i żelazo gra...  
Pieśni słuchać nie ma czasu.

Westchnął.

— A poco kneziowi pieśń? — zawołał Smerda —  
to babska rzecz.

— A wojna... wojna — jakby sam do siebie mówił ślepy  
Słowan — wojna, dzikich zwierząt sprawa. Póki obcy  
duch nie zawiął na Polany, orali ojcowie i śpiewali i bo-  
gów chwalili w pokoju, oręża nie potrzebowali, chyba  
na zwierza...

Smerda się rozśmiał.

— Ech — e! — rzekł — nie te to czasy.

— Nie te święte czasy, co bywały — ciągnął śpiewak  
ślepy — nie te czasy, gdy u nas gęśli bywało więcej,  
niż żelaza, a śpiewu, niż płaczu. Dziś ślepy gęslarz  
lasom pieje, a słuchać go nie ma komu. Niech się uczą  
lasy, jak żyli ci, co śpią po mogiłach, po kamiennych.  
A jak pomrą starzy, pieśń z nimi pójdzie do ziemi, sy-  
nowie o sprawach ojców wiedzieć nie będą — zamilkną  
mogiły. Stary świat padnie w ciemności...

Mówił tak zwolna, a słowo w pieśń przechodziło nie-  
znacznie, i nie postrzegł się, jak nucić zaczął. Ręce,  
chleb porzuciwszy, same po strunach biegać zaczęły,  
a struny skarżyć się i płakać.

— Jam może śpiewak ostatni — rzucił Słowan —  
mnie oczy wybrano w młodości, aby dusza w drugi  
świat patrzała. Jam wszystkie ziemie zwędrował, a nie  
widział żadnej. Od Dunaju huczącego do Białego morza,  
od Chorbatych gór wierzchów aż do lasów u Łaby.  
Niosły mnie nogi, nie oczy, bez drogi; gdzie dola wiodła,  
gdzie się ludzi zebrała gromada. Siadałem na ziemi, sta-  
wali kołem nade mną, niewiasty klaskały w dłonie,  
starzy po ojcach płakali. Szedłem od uroczyska do uro-  
czyska, od mogiły do mogiły, od źródła do źródła...  
hen, hen, aż gdzie się kończy ludzka mowa.

Zamilkł, Smerda pół słuchał, pół drzemał. Gdy  
ustał, odezwał się:

— Śpiewaj, śpiewaku, dalej!

— O czym wam śpiewać? — mruzczał jakby sam do siebie ślepiec. — Wam pieśni innej potrzeba, wy starej nie rozumiecie. O czym śpiewać? O praojcach znad Dunaju, o praojcach ze Wschodu, o braci znad Łaby i Dniepru? Wy ich nie znacie. O białych i czarnych bogach, i Wisznu i Samowile?

Głos mu się zniżał, głowa trzęsała.

— Dawniej bywało inaczej! Śpiewaka witały gromady, wiodła starszyzna pod święty dąb, nad święty źród, na horodyszczce wiecowe, na żalniki mogilne. Starzy i młodzi stawali kołem, słuchali... miód i piwo przed ślepym stało — wianki mu kładli na skronie. Na grodzie kneź dawał mu ławę okrytą, miejsce poczyste: dziś my pastuchom śpiewamy na wygonie... o głodzie i wodzie.

— Śpiewaj no, stary... śpiewaj — rzekł Smerda.

— Śpiewaj nam! — powtórzyli za nim drudzy. Słowan w struny uderzył.

— Hej! hej! — posłuchajcie starej pieśni znad Dunaju.

Cicho się stało dokoła, on nucił słabym głosem:

— Zza rzek siedmiu, zza gór siedmiu, znad Dunaju pieśń ta leci. Król dunajski w wielkiej trwodze; z wielkim ludem Czytaj idzie. Zabrakło mu ziemi doma; siołom roli, bydłu paszy i do boga Wiszny woła: lud umiera, daj mu ziemi — Bóg się ulitował, rzecze: tam, za Dunaj idź z gromadą, na pustynie, na szerokie. A ty, królu na Dunaju, nie waż mu się stać oporem. Ręce łamie król w rozpacz! Czytaj zawojuje ziemię, Czytaj państwo mi podbije! Czy pokojem iść, czy wojną? czy mu opór stawić zbrojno! Dziewki woła, radź, dziewczyno... Kamiana mu radzi: królu, wojsko postaw nad Dunajem. Nie zwojuje ludu twego. Czytaj idzie, tłumy za nim; kędy przyjdzie, lud zabiera, iść mu każe. Dziewki płaczą, on im rzecze: Łzy otrzyście, wiodę was w zielone kraje, kędy dzicy ludzie żyją, roli orać nie umieją...

Będziem uczyć i panować... Dziewkom oschły łyzy i idą...  
Idą, idą... Dunaj biały... stał na drodze... z wzdętą wodą...  
Lody na nim roztajały... Król Dunaju strzeże brzo-  
ga. Wojsko wielkie, jak przejść wody? jak pokonać  
wojska siłę? Myśli Czytaj, myśli, woła: Na kolana, do  
modlitwy. Bogu módlcie się Koladzie, Samowile, co  
wiatr trzyma. Niech rozpuści wiatrom wodze, niechaj  
Dunaj lodem stanie. Przejdziemy go suchą nogą. Padli  
na twarz przed Koladą, modlą się do Samowily. Wiatry  
przyszły. Dunaj ścięły, wojska idą suchą nogą. Król  
dunajski słuchał rady. Wojsko zebrał, stoi w polu,  
u Dunaju legł obozem... Samowila wiatrem smaga i na  
Dunaj wieje mrozem, a gorącym wojsko pali. Przeszli  
Dunaj... a gdzie stało wojsko, kośćmi pobiełało. Kamia-  
na patrzy i płacze. Czytaj wnet zajmuje ziemie, pługi idą  
w żyzne pole, bydło ryczy, domy stają, ludzie uczą się  
siać ziarna. O Kamiano, rada marna! przeciw bogom  
nic nie nada. I Kamiana leci błada, w biały Dunaj głową  
pada. Pieśń się o tym ludziom pieje. Bóg wam zdrowia  
niechaj daje, a pieśń przy mnie niech zostaje...

Skończył śpiewak, zapanowało milczenie.

— Inną jeszcze — zawołał Smerda — nie żałuj nam,  
stary!

Ślepiec znowu uderzył w struny.

— Dłuższa to pieśń od Chrobackich gór — rzekł —  
młodsza pieśń, może się wam spodoba lepiej.

I nutę wziął też inną, raźniejszą a ognistszą, i słowa mu  
żywiej biec zaczęły, a białe oczy połyskiwały straszno.

— Wisło biała, matko biała, czemu mętne wody twoje?  
Jakże mętne być nie mają, kiedy do nich łyzy padają?  
Lud u brzegu ręce łamie i ratunku woła, a ratunku nie  
ma... Smok w pieczarze siadł pod górą, co zobaczy, to  
pochłonie, co pochwyci, to pożera. Kiedy z głodu ryczy  
wściekły, cała góra drży od ryku. Kiedy syty dysze  
w jamie, oddech powietrze zaraża... Noc i dzień spo-  
czynku nie ma, pola puste, lud ucieka, zwierz do lasu  
goni z trwogą... Trzody wyplenil i ludzi, dławi niewiasty



i dzieci, a nigdy pastwy nie syty, ciągle ryczy, ciągle dyszy. Czymże zgładzić żmiję, smoka? Miecz mu skóry nie przebije, pałka czaszki nie roztrzaska, gardła mu nie zduszą dłonie i piorun go nie zabije, i woda go nie pochłonie i ziemia go nie pokryje. Krak na grodzie smutny siedzi, myśli, duma, brodę zwija, podparł się i patrzy w ziemię. Jak mam pożyć tego smoka, jak potworę tę umorzyć? Myśli miesiąc, myśli drugi, smok żre ludzi, myśli trzeci, a smok ryczy... Rady! rady! Płacze, ręce załamuje. Jak mam pożyć tego smoka, jak potworę tę umorzyć?

Siedem razy miesiąc rośnie, siedem razy się roztapia, aż Krak Skubę wołać każe. Skubo, człecz, rób coś rzekę: zabij wołu, owcę zabij, wnętrzności wrzuc do wody, a smoły weźmij gorącej, a siarki nabierz palącej, a węgli nabierz czerwonych. Wypchaj ściervo siarką, smołą, podrzuć je pod smoczą jamę, kiedy żmij zaryczy z głodu. Smok niech ogień ten pochłonie, niech mu wnętrzności przepali, niech pęknie dzika potwora.

Poszedł Skuba i tak czyni, jako mądry król rozkazał. Zabił wołu, owcę zabił, nadział siarką, węglem, smołą, do pieczary je przywleka.

Gdy smok wyje z głodu wściekły i głodną paszczę otwiera, — naści strawę, żmiju-smocze. Półka straszna paszczeka, ryknie, aż drży góra cała i gród z stołbami się chwieje. W smoku palą się wnętrzności, trzewia ogień mu wyżera. I z jamy głowę wywleka, leci do Wisły i żłopie. Żłopie, aż się nadał cały, i rycząc rozpękł i zdycha.

Wtem Krak z mieczem idzie z grodu, łeb żmii strasznej ucina, na żerdź go wtyka wysoko. Patrzaj, narodzie mój miły, że się twe męki skończyły. Ptacy niosą wieść wesołą, wiatry polami z nią biegą, niech rolnik wychodzi z pługiem, niech pastuch bydło wyżenie, niech dzieci idą na łąki, nie ma już smoka na ziemi.

Nad smoczą jamą na górze gród się kamienny podnosi, tam Krak króluje spokojny, na cztery strony spojiera,

cztery zwojował narody. A broda rośnie mu siwa i już mu piersi zakrywa, już i do kolan mu sięga. A kiedy dotknie się ziemi, król wie, że umrzeć mu pora. Ni się weseli, ni smuci, że swe królestwo porzuci, dwu synów już ma u boku i córkę Wandę ma jedną. Broda dorosła już ziemi. Przyszła już na mnie godzina; weźcie królestwo na dwoje. Siostrze dać królewskie wiano i życie w braterskiej zgodzie. Płacz po swym ojcu, narodzie!

Naród zapłakał i ciało niesie na górę Lasotę, na stosie go posadzili, tryznę z obiata sprawili, popioły Kraka zabrali, każdy wziął po garści ziemi, szli i sypali, dopóki mogiła w górę nie wzrosła.

Kraj na pół bracia dzielili, poczną panować Krak z Lechem. I Krak ma ziemi połowę, i Lech połowę ma ziemi. Lech patrzy na brata z trwogą, starszy mi kark zgniecie nogą. Jedźmy do lasu na łowy, bracie, na zwierza dzikiego, jedźmy razem w puszcę ciemną... będziemy gonić jelenie, będziemy zabijać niedźwiedzie.

Siedli na koń, siostra z wieży prosi:

— Nie jedźcie na łowy, krucy dziś krakali rano i sen miałam w nocy krwawy. Weźcie czeladź, weźcie z sobą: zwierz jest dziki, las jest czarny.

A Krak śmieje się i rzecze: — zwierz i las niestraszny dla nas.

Aż w puszcę ciemną wjechali.

Wtem młodszy staje i rzecze:

— Tutaj ci, bracie, umierać, ja całe państwo zagarnę. Rzekł i młotem w skroń mu ciska, aż krew szkarłatna wytryska i Krak na ziemię upada.

Co tu uczynić z ciałem brata? z ziemi wilcy je wygrzebią, po trupie poznają ludzie. Mieczem go rąbie na ćwierci, tnie go na drobne kawały i na rozstajach je grzebie. Piaskiem białym przysypuje, nogami ubija ziemię. Księżyc i gwiazdy patrzyły; puszcza ich widziała ciemna; księżyc, gwiazdy nie wydały, puszczy nikt nie słuchał głosu.

Jedzie na gród Lech i płacze, suknie rozdarł, ręce ła-





Z ciekawością patrzyła na wchodzącego, gdy ten pokornie kłaniał się jej do samej ziemi.



mie. Biada mi — oto zwierz srogi brata zagryzł w ciemnym lesie. Krew widzicie na mej szacie, bom go bronili nadaremno.

Lech wziął po nim ziemię całą i sam panował na grodzie. Na rozstajach, kędy ciało białym piaskiem przysypane, jasne lilie wyrosły, kwitną i z wiatrem bujają, wiatrom jęcząc powiadają: Tutaj jest Kraka mogiła, ręka brata go zabiła. Ludzie idą nocą drogą, dziwne głosy słyszą z trwogą, wiatr odwiewa Kraka ciało. Na zamek niosą je ludzie, starszyzna na gród się zbiera. Niechaj ten, co zabił brata, idzie z ziemi na kraj świata, kędy oczy go poniosą.

Wanda została jedyna, która bogom ślubowała.

Ona będzie nam królową!

— Jak mam być królową waszą, kiedym bogom ślubowała, że męża nie będę miała?...

— Wanda morza, Wanda ziemi, Wanda powietrza królowa, naród śpiewa i wykrzyka. Córka Kraka niech panuje!

Na granicy, na rubieży, Niemiec siedzi, jak lis w jamie, wieść do niego szybka bieży: dziewczka siedzi na stolicy, wianek ma miasto korony, kądziel miasto miecza trzyma, męża nie chce, pana nie ma!

Rytgar kupy zbiera zbrojne, na bezbronny kraj, na wojnę. I stanęli na granicy, i śle posły do dziewicy.

— Mężem twoim chcę być Wando, lub twe ziemie ogniem, mieczem przejdziem, spalim i wysiecziem.

Już pola wojsko zalewa i las oszczepów się jeży, świecą tarcze, chrzęszczą bronie. Przyszły posły, Wanda staje.

Ślubowałam bogom wiarę, męża nigdy mieć nie będę. Chcecie wojny? wojsko sprawię, niech rozstrzyga bitwa krwawa.

Posły poszły, wojska płyną, pola, góry wnet obsiadły. Wanda z mieczem, skronie w wianku, przodem jedzie, twarzą świeci. Patrzej, Niemcze, licz swe siły. Pojrzal Rytgar, kędy były, ani śladu, ani słychu, pierzchło woj-

sko w lasy, góry. Sam się został Rytgar srogi. Losy swoje klnie i bogi, miecza dobył, pierś przeszywa, królujże, Wando szczęśliwa.

Zwycięska wraca królowa... i na gród swój naród woła. Wyszła z wianuszkiem u czoła, w sukni białej, z kwiatkiem w dłoni.

— Pozdrawiam was, cni ojcowie. Przyszła na mnie ma godzina, życiem bogom ślubowała, na raz oddam im je całe, niż o rękę bić się mają ci, co ziemi pożądam. Wiedźcie mnie do Wisły brzegu, nad głębinę, nad wir wielki. Rzekła i w Wisłę się rzuca.

Naród płacze swej królowej, cały się zbiega do ciała i sypie pani mogiłę i pieśń o niej wieczną śpiewa.

Bóg wam zdrowie niechaj daje, a pieśń przy mnie niech zostaje...

Nieopodal siedzący Hengo, gdy o Rytgarze zaśpiewał stary, jął dyszeć i sapać tak, że go ślepiec poczuł. Wnet też ledwie dokończywszy, począł się kijem o ziemię opierając, podnosić. Pomogli mu Sambor i pacholcy.

— Coż ci to, stary? — zapytał Smerda.

— Obcegom poczuł — rzekł trzęsącym głosem Słowan — przed obcym śpiewałem... jakby miód lał w kałużę!...

I wnet, mrużąc niespokojny, z nasępionymi brwiami wyrwać się zaczął do pochodu, chłopca przed sobą kijem gnając.

Nie śmiano go wstrzymywać. Parę razy gniewny odwrócił głowę i oddalił się szybko, dłonią ucisnąwszy struny, aby dźwięku wydać nie śmiały, usta zacisnąwszy, aby się z nich głos nie dobył.

## V

Cała też gromada do koni zaraz ruszyła, bo czas było już w dalszą drogę. Tuż i rzekę w bród przebywać było potrzeba, a Gerda na swojego konia wziął Sambora. Na

przeciwnym brzegu widniało półko zasiane i obrzucone zasiekami, ale niedźwiedzie go nocą splądrowały. Las był tu przerzedzony, sterczały w nim pnie poopalane. Dalej pasło się koni stado i zbrojny człek go pilnował, z rogiem u pasa, a pałką nasiekiwaną w rękę. Znowu przejechali gaj i tu dopiero szersza pola przestrzeń przed nimi się odkryła. Nieopodal już widać było jezioro wielkie, w którym się słońce zachodzące przeglądało. Nad wodami jego ptactwo unosiło się stadami, czółna stały u brzegów, inne przesuwały się w dali.

Hengo i Sambor, podniósłszy oczy, ujrzeli w odległości wysoką, szarą wieżę wyniosłą: stołb grodowy, który okolicy panował. Stał nad brzegiem samym, posępny jakiś i straszny, a dokoła pod nim cisnęły się zręby budowli, szopy i chaty.

— To kneziów gród! — z dumą zawołał Smerda, zwracając się ku Niemcowi i wskazując stołb w oddaleniu. — Przybędziemy na czas, nim się do snu zabiorą.

Towarzyszom oczy zaświeciły. Sambor ponuro spojrział przed siebie, konie zaczęto żywiej popędzać, tak że parobczak biegiem je doganiać musiał. Niemiec spo-de łba rozpatrywał się bacznie.

W miarę jak się zbliżali, gród coraz wyraźniejszym się stawał. Wieża z szarych kamieni w oczach im rosła: u podnóża jej rozeznawali dwór malowany, chaty, zabudowania, szopy, w części wałami osłonięne. Do muru stołba przypierały obszerne z drzewa wzniesione domostwa, z dachami ze szczap drewnianych, przez które teraz miejscami dym się dobywał. Około grodu ludzi i koni widać było gromady i stada. U brzegu parobcy poili bydło. Na wałach chodzili ludzie zbrojni, w żelaznych czółkach na głowie, z dzidami w rękę...

Wał i rów głęboki oddzielał od lądu grodzisko, przezeń prowadził most zamykany, warowny i hać na jeziorze... Jechali długo, nim nareszcie przed wrota ciasnie przybyli; poznano Smerdę i otworzono je zaraz, a za



nim jadącego ujrawszy Hengę, ciekawi cisnąć się zaczęli i dopytywać.

Niemiec i teraz nie okazywał po sobie trwogi; z konia zszedł, cugle wziął w rękę i postępował spokojnie za swym przewodnikiem. Minawszy hać i mosty weszli w obszerne podwórze, na którego końcu jednym stała wieża, nie mająca wnijscia od dołu, bo do niej dostawano się tylko po drabinach. Tuż do niej przypierały kneziowskie izby i komory, a przed nimi ciągnęło się podniesienie długie, na drewnianych słupach oparte. W środku dworu, którego ściany i słupy białe, żółte i czerwono okraszone były, wznosiło się szersze wnijscie, na grubszych sparte podporach, misternie rzeźbionych. Tu wokół stały ławy szerokie, a z tego siedzenia podwórze całe, wszystkie budowy, wały, jeziora i bramę widać było.

Gdy Smerda z ludźmi swymi zajeżdżał na podwórze, w którym się dość kręciło czeladzi, u wnijscia stał właśnie w kołpaku z futrem i piórem białym, średniego wzrostu, przysadzistej postawy mężczyzna z twarzą czerwoną, czarnym włosiem długim, rzadką brodą, dzikim a ostrym wejrzeniem. Zdawał się stąd dozorować, co się na zamku działo. Sam strój jego oznajmował pana, oblicze więcej jeszcze. Suknię miał tym prawie krojem, co wszyscy, z szerokimi rękawami, ujętą pasem nasadzonym mosiężnymi i srebrnymi ozdobami, szyję obnażoną, na nogach skórznie sznurami wełnianymi, czerwonymi poopasywane. Lecz suknia była z cienkiej tkani, lamowana bogato, za pasem tkwił miecz w świetnej oprawie, a na łańcuszku takiz nóż wisiał.

Stojący ręce obie założone miał za pas, czapkę na oczy nasuniętą, brwi zmarszczone i postawę groźną. Zaledwie go zdala ujrawszy, Smerda spokorniał, z konia zeskoczył, głowę obnażył i pochylony poszedł ku niemu. Zbliżając się przygiął się niżej jeszcze, rękę do stóp pańskich przykładając.

— A kogożes to pojmał na drodze? — zawołał głos gruby i ochrypły — to nie swój?

— Znad Łaby, Niemiec, przekupień — począł Smerda stłumionym głosem. — On się tu pono nie pierwszy raz po kraju wałęsa... Znalazłem go w gościnie u kmiecia Wisza, kto wie, w jakich naradach? Dlatego kazałem mu jechać za sobą. Ale mi się nie opierał wcale, owszem zaręczył mi, że był do Miłości Waszej wysłany i pragnął jej czołem uderzyć...

Milcząc, popatrzał kneź na mówiącego i na Henge, który stał z dala, jakby w oczekiwaniu. Nie dał zrazu odpowiedzi żadnej i po długim namyśle zbył Smerde obojętnie.

— Niech tam na waszych rękach zostanie... u mnie dziś goście, czasu nie ma... nie dać mu zażyć głodu, nakarmić i napić... jutro rano przyprowadzicie go do mnie...

Smerda powtórnie do stóp się pokłonił.

— Od kmiecia Wisza wzięłem parobka, zdrów i silny, będzie oszczep i dziedę nosił. Ludzi mamy mało miłościwy panie... Sykał stary wąż, ale musiał go dać...

— Sykają oni wszyscy — burknął kneź — aż ja im pyski pozatulam i milczeć i słuchać nauczę... znam ja ich, stara, wilcza swoboda wiję się im po głowach... Ślepe dziady, pieśni o niej śpiewając, ludzi buntują... Dzicz tę w pęta wziąć trzeba...

Smerda się nie ważył odpowiadać, ale stał z pochyloną głową i zwieszonymi rękami.

— Wisz! Wisz!... — ciągnął dalej, przechadzając się po wystawie, kneź — znam ja go, on się tam na puszczy sądzi kneziem i panem, a mnie znać nie chce...

— I bogaty — szepnął Smerda — jaki tam wszystkiego dostatek! ludzi, stada, dobytku, piwa i miodu... Kto go wie, może nawet kruszcu, srebra i złota! Ze wszystkimi kmieciami tak, miłościwy panie...

— Do czasu... — zawarczał kneź i usiadł na ławie. Smerda poszedł spełnić rozkazy. Hengo też czekał

na niego, nie oddalając się od sakwy swojej, na którą wiele chciwych oczów skierowanych było.

— Miłościwy pan aż jutro dopiero do siebie was przypuści — rzekł mu Smerda po cichu — macie czas spocząć i język nagotować. Przykazał mi, abym was głodem nie morzył, a u nas też nikt z niego nie umarł, chyba w lochu pod wieżą... — dodał z uśmiechem. — Dziś — szepnął na ucho Niemcowi — dziś jego miłość ma chmurne czoło i oczy krwawe... lepiej, że was na jutro odłożył... — Zbliżył się jeszcze bardziej do ucha Hendze. — Nie dziw, że trochę gniewny, wczoraj mu, słyszę, synowca przyprowadzili, który był zbiegł, z kmięciami się zwąchał... Trzeba mu było, sadząc do ciemnicy, oczy wyłupić, aby szkodliwym nie był. Zawsze to swoja krew... i Leszek...

Smerda potrzęsł ramionami.

— A i ludzi dwu musiano powiesić... Szkoda, zdaliby się na wojaków, zdrowi byli, a no niebezpieczne wilki...

Smerdzie czy się gadać chciało, czy sobie Niemca zaskarbiał, ciągnął dalej uwagi swoje :

— Niełatwe tu panowanie, lud niedobry... Z kmięciami nieustanne spory, ale ich potrosze kneź wytrzebi, karmi, poi... za języki ciągnie... a w końcu...

Rozśmiał się, i dziko spojrział ku domostwu.

Hengo miał też czas rozpatrywać się po dworze, a że wiele świata i grodów widywał, dlatego może tu nic go nie dziwiło i strachem nie ogarniało, choć twarzami dzikimi był otoczony i ludzie zdawali się tylko czekać skinienia, aby się rzucić na niego. Obchodzili go, przypatrywali się i słyszał, jak dokoła powtarzano :— Niemy, niemy !

Wtem, gdy tak stał, jak gdyby na coś oczekując, ujrzał schludnie odziane pachole z długimi włosami na ramionach, które mu, kiwnąwszy głową, dało znak, aby szedł za nim.

Gerdzie polecisz konie, Hengo, posłuszny, w trop udał się za przewodnikiem.



Przez szeroką bramę w ścianie dworu weszli na drugi grodu dziedziniec. Tu inaczej i nie tak po wojennemu wyglądało. Podniesienia malowane były jasno i ku słońcu obrócone, w nich na sznurach wisiały schnące bielizny i odzież niewieście. Kilka starych drzew rosło w pośrodku. W głębi widać było poruszające się białogłowy i bawiące w piasku dzieci.

Pacholę palec na ustach położywszy, zwolna prowadziło Henga ku drzwiom w bocznym dworze, a gdy się te otwarły, znalazł się w pięknej izbie, której okiennica szeroko otwarta była na jezioro. Brzask wieczora wchodził tedy do środka.

Znać było mieszkanie niewieścią przystrojone ręką.

Przepelniała je woń jakichś ziół, jakby świeżo powiędłych. Na drewnianym stołku, przykrytym poduszką, naprzeciw komina, na którym ogień się palił, siedziała niewiasta w sukni wełnianej, fałdzistej, w zasłonach białych, otaczających twarz i głowę, na której licu resztki wielkiej niegdyś piękności znać było. Z niej teraz tylko para oczów czarnych, pałających została. Obok na małej ławce drobne garnuszki, miseczki i kubki stały i zioła leżały, pękami nagromadzone.

Z ciekawością patrzyła na wchodzącego, gdy ten pokornie kłaniał się jej do samej ziemi, uśmiechnęła się i odezwała doń w języku lasów Turyngii, mową, która serce Hengi rozradowała :

— Skąd jesteś ?

— Miłościwa pani — rzekł Niemiec, oglądając się po izbie, w której ciekawie kręciły się niewiasty — jestem z Łaby, ale nawykłem włóczyć się po świecie, a do domu rzadko zaglądam... Trochę tutejszego języka umiem, więc wożę im towar z zachodu i mieniam go z nimi...

— Mieniasz ? na cóż ? — spytała niewiasta — a cóż z tej dziczy i nędzy wynieść można ? Złota ni srebra, ni żadnego kruszcu nie mają... jak zwierzęta po lasach żyją... Miast u nich nie ma, ani wsi nawet... a ludzie... Westchnęła Hengo wpatrywał się ciekawie w siedzącą, sięgnął nie-



W tejże chwili czeladź kneziowa leciała nań już, sznur  
z pętlą na głowę zarzuciła staremu...



znacznie do kieszeni, dobył z niej pierścień z kamieniem i zdała go ukazał. Ujrzawszy go zerwała się z siedzenia niewiasta, dała znak ciekawym, aby odeszły precz, odprawiła pacholę za drzwi i żywo przybliżyła się do Niemca. Ten przykląkł na jedno kolano.

— Ty mi przynosisz posłanie od mojego ojca? — zawołała.

— I od synów waszych, miłościwa pani — dodał powstając Niemiec.

— Od synów — powtórzyła, ręce załamując radośnie i podnosząc je nad głowę. — Mów, mów mi o nich długo, wiele...

Siadła znów w krzesło, opierając się na dłoni, to spoglądając na Hengę, to na ogień, przy którym zioła się jakieś smażyły, a woń ich ostra izbę napełniła.

— Ojciec stary — mówił posłaniec — miłość waszą pozdrawia. On mi na znak dał ten pierścień, aby wiara dana mi była.

Zbliżył się na krok i zniżył głos nieco:

— Dochodziły tam wieści różne... ojciec miłości waszej był niespokojny... Gotów jest przybyć na pomoc z ludźmi, gdyby jakie groziło niebezpieczeństwo... Z tym mnie posyła.

Niewiasta zmarszczyła brwi, biała jej ręka podniosła się z oznaką lekceważenia.

— Kneź wam powie sam, czy mu tego potrzeba — rzekła — lecz damy rady i bez pomocy przeciw stryjom, synowcom i kmieciom... Są różne sposoby...

To mówiąc, jakby mimowolnie, popatrzała na ogień i zioła.

— Kmiecie od dawna się burzą, ale już wielu nie stało. Ubywa co dzień... Nie boim się ani ich, ani nikogo, gród mocny, ludzi dużo... a mój pan miłościwy umie ich poznać. Mów mi o dzieciach... Widziałeś ich obu?

— Na me własne oczy — rzekł Niemiec — piękniejszych młodzieńców nie ma na świecie ani lepiej robiących bronią i koniom... Wszyscy im się dziwią...



Niewieście rozjaśniło się lice.

— Mogliby już do domu powracać — dodał Hengo — aby stanąć u boku miłościwego pana.

— Nie, nie! — przerwała siedząca — na to nie czas jest jeszcze. Nie chcę, aby patrzyli, co się tu dzieć musi, nie chcę, aby zawczasu z własną krwią do walki występowali... Przyjdzie spokój wkrótce, naówczas ich zawołamy... A! ja ich nie widziałam tak dawno — dodała — odebrano mi ich dla wojennego rzemiosła, by się go u dziada i u naszych uczyli... Tyle lat! tyle lat!... Widziałeś ich obu? — powtórzyła.

— Nie jeden raz — mówił Hengo. — Choć parę lat starszy, kneź ich jak rówieśnik obok brata wygląda. Oba silni i zdrowi..., Ciskają włóczniami jak nikt... strzelają z łuków do ptasząt... najdziksze dosiadają konie...

Oczy matki błyszczwały.

— Piękniż są?

— Nie mogą być piękniejsi nad nich! — odpowiedział Hengo — wzrost wyniosły, twarze jasne, modre oczy, jasne włosy...

Uśmiech poigrał po ustach słuchającej, ale zarazem dwie łzy perliste zbiegły po twarzy bladej.

Cichsza zaczęła się długa rozmowa, gęsto posypały pytania...

Mrok już padał i tylko światło ognia oświecało izbę, a Niemiec stał jeszcze i nie mógł nasycić ciekawości macierzyńskiej; w ostatku go odprawiła skinieniem: — Do jutra.

Sambora puszczone swobodnie w podwórcach, mógł się też w nich rozglądać. Na wstępie chwycił go Kos, pachołek dawniej mu znany, i poprowadził do komory, w której się drużyna mieściła. Nie było jej teraz, gdyż jedni na wałach, drudzy na usługę na dworze, inni na haci stali, a gromadę całą zasadził był kneź w bocznej izbie uzbrojoną, nie bez celu. Miał kmieci w gościnie...

Kos tak nienawidził knezia, któremu służyć był zmu-

szony, jak większa część dworni jego z lasów gwałtem pobranej. Z Samborem zrozumieli się od słowa...

— A i ciebie tu do tej wilczej jamy wciągnęli — szepnął pacholek.

— Siłą, mocą — odparł Sambor.

— A wiesz ty, jakie tu życie? — spytał Kos.

— Czuję — rzekł Sambor.

— Niewola! niewola! — począł wdychać parobek. — Robią nami jak wołami, znęcają się jak nad psami. Psom kneziowskim ci też lepiej.

Jęli tedy wdychać oba, a że parno było w komorze, wyszli razem na wał pod wieżę. Kos wskazał małą dziurę w murze, która nad ziemię wychodziła.

— Synowca tam spuścili wczora — szepnął — oczy mu wylupiwszy... Samem patrzył, jak go ludzie trzymali, a stary Zrzega nożem mu żrenice wyjmował... Krew jak lzy ciekła... nie krzyczał nawet... a litości też nie prosił, bo wiedział, że jej tu nie znajdzie. Potem go w pół ująwszy powrozem, spuścili do ciemnicy i tam mu chleb i wodę dają, póki nie zdechnie. Na dworze się odgrażają, że tak będzie innym...

— Jeżeli się to synowcowi dostało, a cóż będzie kmiociom naszym? — ozwał się Sambor.

Kos ramiona ścisnął.

— Będzie toż samo albo i gorzej — rzekł — jeśli w czas rozumu nie dostaną.

Ze dworu słychać było stłumioną wrzawę... śmiechy i wykrzyki.

— Tam się też kneź weseli — mówił pacholek — bo tak się zawsze u niego zaczyna, póki do zwady i do nóżów nie przyjdzie przy biesiadzie... I dziś trudno, by się skończyło inaczej... Wprzódty tylko da sobie im podchmieścić, bo po pijanemu łatwiejsza sprawa... Kmienci tak po kilkunastu ściągają na gród, łaskawie przyjmują, a mało kto wyjdzie cały... Po trochu ich wytrzebi, reszta cicho siedzieć musi.

Popatrzył ciekawie na Sambora.

— Cóż wasi na to? — zapytał.

— Ja nie wiem — rzekł ostrożnie przybylec — pewno by radzi co robić, a nie mogą albo może czekają...

— Baby oni są! — zawołał Kos.

— Gród mocny — odezwał się przybyły.

— Mocny — rzekł Kos — ale i kamienie się wałają... jak postoi, mocniejszy będzie, bo mu ludzkie czaszki za podwaliny staną...

— Drużyna liczna...

Pachołek się uśmiechnął.

— Gromady liczniejsze od nich po mirach — rzekł cicho — gdyby rozum miały... U nas tu po niemiecku wszystko... Kneziowa miłościwa pani, Niemkini rodem, Niemiec się też płacze niejeden. Młodsze żony i nałożnice także zza Łaby... I obyczaj załabiański, bo kneź swobody mirów i gromad znać nie chce... ani o wiecach słyszeć... Dziewki niemieckie prawią, że go słyszały mówiącego, jak sam sobie nie da rady, to Niemców sprowadzi.

Położył się Kos na ziemi, a że byli blisko okna od lochu, gdy ucichli, posłyszeli jęk, który nim wychodził. Głuche stękanie człowieka szło jakby z pod ziemi.

— Co on zawinił? — zapytał Sambor.

— Najwięcej tym, że to krew ta sama, a on swojej krwi mieć tu nie chce, bo się jej boi... Któż wie? Zadano mu, że z kmetami się zmawiał, obiecując im dawną przywrócić swobodę...

Oba zamilkli. Poza nimi na podwórzach buchały niekiedy wrzawliwe śmiechy stłumione, a po nich następowała cisza, to niby śpiewy nucone półgłosem. Na drugim cyplu zamkowym psy jakoś żałośnie wyły chwilami i każdy głośniejszy śmiech wywoływał to skomlenie dziwne. Nad jeziorem księżyc czerwony wznosił się, jakby krwią umyty... Chmura siwa jak chusta na pół mu związywała czoło. Jakiś smutek i groza były w powietrzu...

Parobczak, który wczoraj słuchał nad rzeką słowika, dziś tu karmił się psów wyciem i krakaniem kruków. Czarna ich gromada podlatywała nad wieżą.



Sambor popatrzał ku górze.

— E! to nasi goście codzienni — odezwał się Kos ze śmiechem — albo też towarzysze, bo z wieży nigdy nie zlatują. Zawsze tu są w pogotowiu na trupa, a rzadki dzień żeby go nie mieli. Ku wieczorowi zwijają się niespokojnie, bo czas, aby im rzucono strawę... Zobaczycie, że i dziś darmo nie będą krakały...

## VI

Hengo wyszedłszy od kneziowej powrócił na pierwsze podwórze. Znalazł tu oczekującego na siebie Smerdę, który go zaprowadził do ciemnej izby, gdzie czeladzi jeść dawano. Okno jej, jak wszystkie zamykane ze środka drewnianą zasuwą, wychodziło w dziedziniec, a że naprzeciw były komory kneziowskie, mogli słyszeć i po trosze widzieć, jak tam biesiadowano.

Wieczór był ciepły, w izbach duszno, wszystkie więc okna stały otworem, w jasnych izbach, oświetlonych łuczywem u komina, cisnęła się liczna i gwarna drużyna.

Kneź znać lubił myśl wesołą i miód stary, bo biesiada, szmerem głośnym poczęta, wkrótce zahuczała śpiewami i wykrzykami.

Wesołość też przechodziła chwilami jakby w kłótniwą walkę i spory, głosy się podnosiły warczące, głuzyły je drugie, potem nastawała cisza, a po niej wybuchy coraz swarliwsze. Chociaż żadnego wyrazu pochwyć nie było można, sam ton zwiastował, iż z wesołości zrodziła się zajadłość dzika... Ludzie jednak, oswojeni zapewne ze zwykłym biegiem uczt na grodzie, spokojnie słuchali tego wrzenia i huku. Hengo tylko oglądał się trwożliwie, a Smerda spostrzegłszy to rzekł doń z uśmiechem :

— Wszystko to kmiecie, żupany, starszyzna. Kneź ich poi, to im po miodzie wrywa czasem co zuchwalszego, on też, miłościwy pan nasz, niecierpliw bywa... Jak się czasem zetną... co ma być? zadławi którego pochwyćw-szy... mniej jednego będzie... Bywa, że się z sobą zajedzą,

a na pięści pójdą i jeden drugiego zabije... a nam co do tego?

Śpiew z izb dobywający się oknami do ryku był czasem podobny, a śmiech do wycia, a gniew do warczenia psów, głos brzmiał radośnie, zwycięsko, póki znowu od słowa do słowa nie zawrzała i nie zagotowała się waśń, wśród której już i szcęk mieczów dawał się słyszeć. Hendze się zdawało jakoby głos knezia rozeznawał, który grzmiał jak piorun wśród szumu burzy. Po nim znów nastawało milczenie.

Późno być zaczynało, księżyc się wznosił nad jeziorem, na dworze cisza tym lepiej dozwalała słuchać wrzawy uczy. Hendze po podróży na sen się zbierało, ale Smerda go trzymał na ławie i ciekawość też przykuwała do niej.

Po tych wybuchach w świetlicach kneziowskich nastąpiło trochę spokoju. Z daleka widać było ręce podnoszone z czaszami, którymi miód pito... głosy chrypły...

Po długim milczeniu i głuchym szmerze ozwał się kneź, mówił coś, śmiejąc się i szydząc... Ledwie dokończył, podnosić się znowu zaczęła, jakby zażegniona przezeń, wrzawa. Już jej nawet ten głos nakazujący, ciągle śmiechem przerywany, pohamować nie mógł.

Kneź śmiał się, a nawet ryczał ze śmiechu, gdy inni miotali na się obelgami. Słyszać było jakby tłuczone naczynia, potem runęły ławy z łoskotem wielkim i stoły, światło zasłaniały cienie jakieś miotające się wściekle z rękami w górę podniesionymi, krzyk okropny rozległ się w sieniach i w dziedzińcu.

Czeladź zerwała się wystraszona. W izbach kneziowskich burza jakaś szalała... stuk, łomot, łamanie, jęki, wołanie ratunku, które nagle jakby naciskiem silnej dłoni ustawało... wszystko to razem pomieszane we wrzawę dziką, a ponad tym śmiech ciągły.

Nagle Hengo wychyliwszy się ujrzał we drzwiach u podsienia oświeconą księżycem czarną masę. Była to kupa ludzi związana rękami, nogami spleciona, zębami się trzymająca, mordująca, dusząca, która jak wał jaki wytoczyła się w podsienie, a z niego po kilku stopniach

runęła w podwórzec, na ziemię. Tu spadłszy ta ciżba cała splątana z sobą, dusić się zaczęła, taczając w piasku, gniotąc i mordując. Widać było błyszczące miecze, które gardeł szukały, i ręce duszące leżących. Kneź sam jeden stał na podniesieniu, wzięwszy się w boki — śmiał się.

Ruchoma ta masa ciał ludzkich pełzała po podwórzu nie mogąc się rozsypać, gdzieś tam tylko został trup nieruchomy, rozkrzyżowany i splaszczony...

Na ziemi w czerwonych krwi kałużach przeglądał się księżyc blade. Niedobitki pełzną pod wschody jęczeli, kilku usiłowało wstać i padło nazad od ran i upojenia straciwszy siły. W gardłach umierających słychać było złowrogie rżenie. Mało kto powstał z tego pobojuwiska, po chwili tylko konwulsyjne ciał drganie zdradzało, że jeszcze w nich była resztką życia...

Gdy ucichło wreszcie, kneź plasnął w szerokie dłonie. Na ten znak Smerda, skinąwszy na czeladź, rzucił się z nią razem w podwórze.

— Do jeziora z tym ścierwem — krzyknął kneź — oczyścić podwórze!... precz z tym plugastwem... precz z tym gnojem!

Mówiąc to dopijał miodu z kubka, który postawił na ławie i siadł na niej sam, ocieżały.

Chociaż księżyc świecił jasno, zapalono smolne łuczywa i pan miłościwy mógł z podniesienia przypatrzeć się towarzyszom swej biesiady, dogorywającym od mordu i miodu.

Kilku na pół żywych stali oparci o słupy, krwią brocząc ziemię, dysząc jeszcze zajadłością, z jaką walczyli z sobą, nogami depcząc trupy. Inni na ziemi we krwi dogorywali rzucając się.

U stóp wschodów leżał starzec z włosiem białym, krwią oblanym, konał i przeklinał:

— Bodajeś szczeł marnie, ty Chwoście, przeklęty ty... i krew twoja... i potomstwo, i ród, i imię... Bodajeś zginął i przepadł skroś ziemi!...

Kneź śmiał się i temu wyzywającemu duchy klątwami.



Przez wrota od drugiego podwórza widać było wyglądające ciekawie głowy niewieście, przestraszonymi oczyma wpatrujące się w rzeź straszną.

Czeladź tymczasem ze Smerdą na czele zawijała się około oczyszczenia podwórza z trupów; odzierali ich prędko z sukni, obrywali miecze i pochwy nożów, obnażali z obuwia... potem odarte ciała nieśli na wały i z nich rzucali w jezioro nie patrząc, choć w nich były życia reszty. Słychać je było spadające w wodę z pluskiem i śmiechy towarzyszące za każdym razem temu pogrzebowi... bo czeladź bawiła się tym ciskaniem do jeziora...

Kruki z wieży zerwawszy się, poleciały nad wodę i zaczęły krążyć nad nią podniósłszy krzyk i wrzawę.

Hengo siedział na ławie osłupiały, ruszyć się nie śmiejąc, odrętwiał patrząc... trwoga ogarnęła go też może o samego siebie!... Nie umiał sobie wytłumaczyć, co się stało, co to byli za ludzie i dlaczego kneź zamiast żalu lub gniewu, tylko śmiech miał na ustach.

Niepokój, który go ogarniał, nie dał mu dłużej pozostać w izbie ciemnej, wysunął się w podwórze oświetlone księżycem i dogorywającymi na ziemi łuczycami. Stał w dali, lecz właśnie kneź z ławy się ruszył i począł chwiejąc się przechadzać po podsieniu, nucił coś wesołego. Bystre jego oko dostrzegło Niemca w cieniu.

— Chodź tu! ty — zawołał — tu!

I pokazał mu, jak psu, na nogi swoje. Hengo trwożliwie naprzód postąpił. Po chodzie, mowie, ruchach łatwo mógł poznać, że miłościwy pan był pijany.

— Ot! dobra więczerza! — zawołał do niego — widziałeś, Niemcze, jak się zabawiali wesoło... Gorąco im coś było, poszli się kąpać do jeziora! Psubraty... Wszystko się to samo za gardło wzięło i wyrznęło... Sami, sami... moich tam ludzi nie było... Od czego miód i rozum, od czego? Ej wy Sasy i Franki przekłete... mądrzy wy jesteście, ha? A kto by z was tak się tego pozbyć potrafił?

Kneź śmiał się i brał w boki.

— Zostanie się po nich dość dla ludzi odzieży, a dla mnie ziemi i koni... Dobra wieczerza i miodu na nią nie żal!

Śmiał się znowu.

— Napijże się i ty miodu, mordo ruda! — wrzasnął nagle.

Hengo się nisko kłaniał, dziękując, ale nie pomogło nic... pacholę mu ogromny kubek przyniosło, a gdy się od niego wzdragał, kneź gwałtem mu do gardła lać kazał. Chwyciło go dwu i śmiejąc się chłopiec nalał w otwartą palcami gębę. Podziękowawszy za to poczęstowanie, już chciał odchodzić, bo się lękał o własną głowę, gdy kneź, na ławie usiadłszy, pozwał go ku sobie. Musiał iść pod stopnie i stanąć przy nich.

— Coś widział, powiedz staremu grafowi — zaczął półsenny — jakem zagał, tak dokończę... nie ujdą mi te harde głowy... a dla synów zostawię spokój w domu... Nadto kmiecie bujali... Trzeba ich okiełznać było... Powiedz, że się ich nie boję... że się bez pomocy obejdę... żem żmij tych i padalców wydusił już dosyć i do reszty ich wymorduję...

Jakby sobie coś przypomniał, ręką skinął, aby się Hengo zbliżył doń jeszcze. Zwiesił głowę z ławy z poręczą ku niemu.

— Widziałeś moich chłopców? porośli — zaczął, nie dając mu czasu na odpowiedź — muszą być już spore?... a silne? czy się w matkę urodą wdali, czy w ojca? nie zgnuśnieją tam oni? Czy chodzili już na wyprawę?

Hengo szeptał odpowiedź zastosowaną do żądań miłościwego pana, którego się lękał, ale kneź drzemał, oczy mu się zamykały. Mówił jakby sam do siebie:

— Ja wam ład zrobię... ja wam zaprowadzę ład... za brody wieszają każdą nad drogą... Jam tu jeden pan i kneź... moja wola, nie wasza!... precz z tym padłem... precz...

Oczy mu się otwarły, postrzegł stojącego Henga, przypomniał go sobie i uśmiechnął się.

— Widziałeś polowanie? — powtórzył — dobre łowy... zwierzyna tłusta... kruki moje będą miały co jeść...

Nucić coś począł i zdrzemnął się jeszcze.

— Bratanek bez oczów... jeszcze dwu zostało, a i tych mi przyprowadzą... sprzysięgli się już na mnie... Życiam mu nie wziął... niech gnije w ciemnicy...

Liczyć począł na palcach:

— Wojtaś... Żyruń... Giezło... Kurda... Mściwój... pięć zagród. Baby jutro spędzić każę... i stada...

Śmiał się, mrucał i drzemał tak; Hengo nie śmiał się ruszyć bez pozwolenia. Sambor też, wysunawszy się z za stołba, bo go sen nie brał, podkradł się, by widzieć miłościwego pana... słyszał mruczenie i śmiech, a może słowo jakie do uszu mu doleciało, popatrzał nań niepostrzeżony groźno, głową potrząsł i cofnął się do komory.

Kneź tymczasem zwiesiwszy na poręczy głowę, usnął snem twardym, chrapanie słyhać było ciężkie, a głosem tym wywołana ukazała się ze drzwi białogłowa w namitce i dwoje pacholąt. Napilego ujeli mimo oporu pod pachy i zaciągnęli raczej niż poprowadzili do łóżnicy. Zatrzasnęły się za nim drzwi...

Hengo, czując już miód w głowie, powlókł się przełękły, trzymając ściany, do swoich koni i tam legł na słomie półżywy.

W dziedzińcu pogasły światła, księżyc tylko oświecał czarne krwi kałuże i jęczących jeszcze u podsienia rannych kilku, z których krew też płynęła, ale miodem upojeni, nie czuli jak im życie uciekało. Czeladź i dwornia śmiejąc się pokazywała ich palcami.

— Tak im wszystkim będzie... kmieciom i żupanom i władynom... co się kneziowi opierają.

Dano im konać powoli. Smerda obchodził wszystkie kąty podwórza, reszta dwornych do snu opóźnionego się wlokła. Cisza po wrzawie biesiadnej zapanowała na grodzie, tylko psy wyły, poczuwszy krew i trupy, a kru-



ki krakając to leciały na jezioro, to wracały na wieżę, gdzie miały gniazda swoje.

Rano, gdy się Hengo zbudził, dzień już był biały; nad nim stał Gerda i za suknię go ciągnął gwałtownie, bo Niemca do knezia wołano.

Gdy obmywszy się pośpieszył doń, zastał go samego, siedzącego w izbie na dole; przed nim na misie pieczone mięso, w kubkach piwo i miód na stole. Twarz miał chmurną, oczy krwią naciekle, długo patrzył na Niemca, nim usta otworzył.

— Wiem, z czym cię tu przysłano — odezwał się dumnie — powiedz im ode mnie, że dziękuję... Pomocy ich ja potrzebować nie będę, a gdyby do tego przyszło, zawołam... Wolę się obejść bez nich... bo darmo nie pójdą i gębę im zatkać niełatwo... Ja ich znam... Wracaj rychło, oddaj pokłon... niech chłopców wojować uczą... niech rosną... wróca, gdy nakażę, teraz nie pora... Ja tu jeszcze czyścić muszę, a nierychło robactwa się zbęde... Stary graf niech będzie spokojny — dodał — choć lud dziki, do swobody nawykły, ja mu ją ukrócić potrafię.

Napił się z kubka i zadumał podparty, potem wzgardliwie niemal dał Niemcowi odprawę.

Zaledwie wyszedł stąd, gdy go toż samo co wczoraj pacholę do kneziowej pani pozwało z towarem. Zabrawszy więc węzeł swój powlókł się na drugie podwórze, gdzie, jak wczora, czekała nań blada pani dokoła otoczona dworem niewieścim. Twarze to były smętne i choć niedawno krasne może, dziś już powiędłe i blade, jak ona. Hengo wiedział, co ma gdzie na jaw wydobyć. W chacie Wisza nie pokazywał innego kruszcu, tylko lichszy żółty i czerwony, tu dobył pierścienie srebrne, a nawet złote listki i kwiaty, z cienkich blaszek wyrabiane, którymi zwyczaj był suknie naszywać. Niewiadom trochę się lica zarumieniły na widok świecideł, poczęły do nich przyklekać, brać je w ręce i przykładać na ciemnych sukniach, jakby się też na nich wydawały. Ani się opatrzył Hengo, gdy mu niemal wszystkich jego

towar rozebrany rozszedł się po rękach. Stał nic mówić nie śmiejąc, gdy drzwi otwarło pacholę i wszedł miłościwy pan z czapką na czoło nasuniętą. Z progu popatrzał na niewiasty, młodszym twarzom przyglądając się oczyma pałającymi i uśmiechając się do nich. Rzucił okiem i na towar, ale ze wzgardą, a gdy kneziowa pani odezwała się, że dla jej dziewczek zdałoby się to wszystko, śmiejąc się nakazał Niemcowi, ażeby zostawił, co przyniósł.

Przekupień nie śmiał nawet wspomnieć o zamianie lub wynagrodzeniu, a kneź też o niej nie zdawał się myśleć. Wreszcie, gdy kupiec, chcąc resztki ocalić, sznurować począł sakwę, rzekł mu porywco :

— Grafowi powiedzcie, że my to od niego za podarek dla Brunhildy przyjmujemy... niech on wam za to płaci... Nie macie tu czego stać długo... Wracać wam zdrowiej i nie oglądać się za siebie...

Nie czekając już, aby mu tę radę powtórzono, ruszył Niemiec sposępniawszy i był już za drzwiami, gdy kneziowa pani, znać ulitowawszy się nad nim, wysłała jedną z dziewczek powiedzieć mu, by się nie frasował, że mu sama za towar nabrany wynagrodzi. Wstrzymał się też w sieni czekając na starą babę, która wyszła milcząca i powiodła go za sobą do bliskiej komory. Tu skór wisiały pęki i różnego dostatku siła, nagromadzonego kupami. Dano mu sobie wybierać i Hengo, ciesząc się, że nie będzie zupełnie obdarty, łańcuszkiem srebrnym jeszcze obdarzywszy podskarbinę, skór na plecy zabrawszy, ile chciał, do koni co rychlej powrócił.

Niepokój jakiś na grodzie, wrzaski i wołania u wrót ostrzegły go, ażeby nie czekając tu dłużej z życiem i mieniem uchodził. W pierwszym podwórzu dobitniej jeszcze słychać było poza wałami odzywające się głosy tłumne.

Wrota stały zaparte, od mostu i haci dwornia pańska wchodu broniła.

Wyszedłszy ujrzał Hengo, że gromady pieszych, kon-

nych, a między nimi i niewiasty wnijsia się na gród dopominały.

Smerda i jego pachołkowie nie dopuszczając biczami i dzidami odpierali naciskających. Płacz, narzekania, przekleństwa i groźby rozlegały się dokoła...

Były to rodziny kmieci i władyków, wczorajszych gości na grodzie, które już wieść doszła o morderczej biesiadzie... Wyprzeć się jej nie można było, trupy odarte tuż około haci pływały, niektóre z nich fala przynosiła na brzegi. Niewiasty we łzach wyciągały do nich ręce, kłęcząc na piasku i włosy sobie rwąc z głowy.

Trupy — byli to ich ojcowie i mężowie... Bracia i synowie stali tuż na koniach, zębami zgrzytając, miotając na Chwostka przekleństwa.

Wrzawa rosnąca musiała dojść uszu knezia, który na podniesieniu u wnijsia się ukazał, stanął, wziął w boki i patrzył ponuro na czeladź swą, ujadającą się z tłumem na haci u mostu.

Tłum narastał co chwila.

Ściśnięte pięści wyciągano ku kneziowi, ale on się śmiał z tej bezsilnej złości.

Trwało to dosyć długo, aż dwu czy trzech wybranych Smerda puścił pieszo w dziedziniec. Szli z głowy obnażonymi, płacząc, sami coś mówiąc do siebie, pogrążeni w smutku, a stanąwszy u wnijsia, gdzie na podwyższeniu czekał kneź, chcieli się do niego odezwać, ale ich uprzedził.

— Za co mnie wyklinacie? — zawołał — psie syny, nieposłuszne! Co ja wam winien?... Jam ich ręką nie tknął, jam żadnego zabijać nie kazał, choć mogłem i wari byli, aby im głowy pospadały... Po co się sami powaśnili i zjedli? Zakrwawili mi izbę, zwałali podwórze, zmącili spokój... Jak psy się sami gryzli i pozagryzali...

Podniósł pięści.

— Dobrze im tak! Stara słowiańska wola po głowach wam chodzi! Będzie tak wszystkim, co się jej dopominają. Trupy sobie na jeziorze połówcie, nie bro-



nię... a do domów, póki głowy całe... Jam nie winien ich śmierci...

Jeszcze mówił to, gdy z pod tynu, gdzie gęsto rosły bopiany, pokrzywy i łyzy, ruszyło się coś, podniosło... wstał jakby trup blady, chwiejący się na połamanych nogach. Twarz miał obmazaną krwią zaschłą, oko jedno wybite, z którego spiekła toczyła się ropa. Wstał i rękę podniósł, i jak omackiem na głos idącą, gdzie stały dzieci kmiece, począł krzyczyć chropawym głosem :

— On nie winien!... Czaru i duru dał nam w miodzie... szczył brata na brata, jątrzył i nawoływał, aż nam oczy krwią naszły i pamięć odbiegła... On nie winien! on! on! — powtarzał wlokąc się coraz bliżej pokaleczony biesiadnik, który noc całą pod tynem w chwaście przejęczał. — On... on! psi syn! sam, nie my... bodaj zgiął marnie!

Schylił się, pod nogami zobaczywszy leżący kamień, na którym jeszcze wczorajszej krwi przyschłej widać było ślady i, porwawszy go, z całą siłą cisnął na stojącego. Pomimo osłabienia, taka była moc gniewu, co nim miotał, że kamień, oknem wpadłszy do izby, sprzęt jakiś zdruzgotał.

W tej chwili czeladź kneziowa leciała nań już, sznur z pętlą na głowę zarzuciła staremu, który się zachwiał, padł, z gardła mu się dobył głos chrapliwy... i trupa już po ziemi oprawcy ciągnęli ku wałom.

Z groźnym mručeniem stojący kmiecie cofnęli się zobaczywszy to ciało u nóg swoich i poszli nazad nie zaczepiani ku mostowi, gdzie na nich konie i ludzie czekali, a wkrótce później cała ich gromada krzyżąc odciągała. Niewiast tylko kilka zostało u mostu, aby ciała pomordowanych pozabierać.

Z grodu teraz czeladź się na hać wysypała, nie żeby im dopomóc, lecz by młodsze wypatrzeć. Z tych dwie czy trzy, mimo wrzasku, na gród wyciągnięto, a kneź przypatrując się dokazującej drużynie uśmiechał się tylko.

Wkrótce ucichło wszystko... Widać było tylko po-  
niżej, jak starsze niewiasty podnosiły ciała, które jezio-  
ro na brzeg rzuciło, jak drugie czółnami płynęły ku  
trupom, które widniały z dala.

Hengo pośpiesznie przywiązywał do koni resztki swe-  
go towaru i mienia, aby co prędzej z grodu wyruszyć.  
On i Gerda, więcej jeszcze od ojca wystraszony, śpie-  
szyli, by przed południem znaleźć się za wałami.

Tu się z nimi zetknął czekający na nich Sambor.  
Smutny i zakłopotany do Niemca się zbliżył. Obejrzał  
się naprzód, czy ich kto z czeladzi nie podsłuchuje.

— Człowiecze dobry — rzekł — bo mi się zda, że  
złym nie jesteś... czy wracasz koło Wiszowego dworu?

Nie śmiejąc czy nie chcąc mówić Hengo skinieniem  
głowy potwierdził ten domysł.

— Zanieście ten pokłon ode mnie — dodał. — Tęsko  
mi za nimi, choć tu nam zabawy nie braknie i dobrze na  
zamku u knezia... czego chcecie... śmiechu dosyć! Po-  
wiedźcie im jeno, coście widzieli i jak my tu uczujemy!...  
Będą się radowali, że mnie tu oddali. Uciekłbym może  
nazad i ani mur, ani woda, ani kłoda by mnie nie wstrzy-  
mała, gdyby nie to, że tu tak wesoło... Powiedźcie —  
powtórzył — coście widzieli...

Hengo to na niego spozierał, to na zamek i wieżę,  
to na swoje konie, którym sakwy poprawiał, pilno mu  
się wyrwać było, a głosu się własnego obawiał: kiwnął  
więc głową w milczeniu.

— Powiedźcie tam — dodał Sambor — że wczoraj  
dużo kmieci ubyło... i jak im piękny pogrzeb sprawili...  
Obiecują nam, że tak ochoczo będzie co dnia... W lochu  
pod wieżą, nie licząc bratanka z wyłupionymi oczyma,  
jest też kmieci kilkoro... na innych powoli kolej przy-  
dzie...

Hengo, ciągle potrząsając głową i oglądając się coraz  
niespokojniej dokoła, dał wreszcie znak chłopcu, aby  
ustąpił. Nie było czasu do stracenia; Niemiec i syn  
jego siedli na konie. Kneź patrzył ze drzwi jak ruszali.

ale nie rzekł już nic. Za wrotami i hacją dopiero Hengde się jakoś lżej zrobiło... Wolał już puszczyć niż taką gošcinę...

Żwawo więc pognali konie tą samą drogą, co wczora, równie pustą jak wprzód była. Dopóki widać było wieże szarą i kruki nad nią latające, Niemiec się oglądał bojaźliwie, jakby się lękał jeszcze, by go nie zawrócono. Gerda trząsł się ze strachu, słowa do ojca nie śmiał przemówić. Wkrótce też znaleźli się w lesie i tu dopiero bezpiecznymi się uczuli.

Droga, którą ze Smerdą razem przebyli, nawykłemu do włóczęgi pamiętną była. Lękał się jej wszakże Niemiec, aby nie spotkać groźniejszych towarzyszków, niż ślepi gęślarze; pośpieszał rozglądając się dokoła, obmyślając zawczasu, gdzie na nocleg stanie, bo dniem jednym do zagrody dobić się już nie spodziewał. Śmielej teraz dążył do brodu już znanego, aby się przebrać na drugi brzeg rzeki. Nie spotykali nikogo. Z dala tylko kozy pierzchały i ptactwo wodne zrywało się z rzeki z krzykiem unosząc się na dalsze błota.

Wieczór już nadchodził, gdy Hengo postrzegł kamień na górze, obwiedziony wieńcem z głazów, o którym zachował pamięć od wczora. Tu, ustąpiwszy nieco od rzeki w głąb lasu, wyszukał łąkę zieloną, na której by się konie paść mogły i ognia można naniecić, aby nim odegnać zwierza. Sklecieli potem szałas z gałęzi i do snu się układli.

Majowa noc przeszła prędko, a nade dniem nadbiegająca burza z piorunami i ulewą z noclegu ich spędziła. Hengo też śpieszył niespokojny, lecz nim na konie siedli, chwycił Gerde za ramię.

— Patrzałeś i słuchałeś — rzekł — co się na górze działo... kazałem ci milczeć i z językiem matki się nie wydawać! Milczże i teraz... bądź niemy...

Pogroził mu stary, chłopak nań patrzył osowiałymi oczyma, dosiedli koni i puścili się śpiesząc do Wiszowego dworu. Deszcz lał jeszcze, konie się ślizgały, zwolnić więc biegu wkrótce musieli, a południe już było, gdy



ujrzeli dym i zasięki, i na łące pasące się kłacze ze źrebkami, które niewiasty doily.

Wisz stał na wyniosłym brzegu i patrzył, psy siedziały przy nim na straży. Niemiec pozdrowił go z dala, a stary wnet ku niemu schodzić zaczął. Stróżę już biegły, aby się rzucić na obcego, gdy je odwołano i Wisz, grożąc im, do milczenia zmusił.

Szły więc za nim posłuszne.

W oczach starego widać było ciekawość, zdawał się dziwić, że Niemiec z grodu dobył się cało... patrzył na niego, na sakwy i konie.

— O! prędkościę jakoś z grodu wrócili — rzekł z uśmiechem — jakże się tam powiodło?

— E! nie było co robić długo na tym grodzie — odezwał się Hengo — mnie też śpieszno dobyć się z tego nieznanego kraju.

To mówiąc i upewniwszy się, że go psy nie zjedzą, Hengo konie oddał chłopcu, a sam począł iść z gospodarzem. Gdy zostali sami, kmieć popatrzył nań, jakby mu z oczów chciał czytać.

— Co słyhać na grodzie? — spytał.

Hengo zmilczał.

— Nie patrzałem ja wiele, nie słuchałem też dużo — rzekł po namyśle. — Wasz parobek tylko pozdrowić was kazał.. dobrze mu tam...

— Młodemu dobrze wszędzie — odezwał się gospodarz i westchnął.

Z odpowiedzi widać było, że Niemiec do mówienia ochoty wielkiej nie miał. Wisz rzucił parę pytań ostrożnych i, zbyty odpowiedziami krótkimi, umilkł.

Młodego chłopca we wrotach parobcy powitali jak znajomego i z końmi go do szopy poprowadzili. Gerda, jakby zimnicy dostał, drżał jeszcze cały od wczorajszego strachu i dzisiejszego deszczu zimnego. Ulitowano się nad nim. Jeden z parobków, nie wiedząc, że język rozumie, wziął go za rękę i prawie gwałtem wprowadził do chaty, gdzie ogień jasny palił się od rana.

Niewiasty chleb właśnie miesiły, mąkę siały, a sługi śpiewając żarna obracały.

Mało było robót na polu i w domu, przy których by, ówczesnym obyczajem wszystkich Słowian, nie śpiewano. Śpiew był towarzyszem wszelkiej pracy, zwłaszcza niewieściej. Jak ptaki nuciły dziewczęta, całą młodość prześpiewując... pieśni uczono się z mową razem. Śpiewano trzodę pędząc na pastwisko pieśni do Honiły, nucono ją pasąc i wracając z pola, śpiewano u kądzieli, u żaren, u dzieży-matki, u krosien, ze smutku i radości, ze łzami i łkaniem, u wesela i pogrzebu. Były pieśni prastare, których się córki od matek uczyły, aby je oddać swoim dzieciom, poświęcone wiekami, z których się — jak mówiło przysłowie — słowa wyrzucić nie godziło; ale były inne, co wprost z serca płynęły, a ten, co je wyśpiewywał pierwszy, sam nie wiedział skąd i jak mu przyszły, i jak się złożyły.

Podśluchał je drugi, coś do nich przyczynił, zmienił trzeci i tak rodziły się z ojców nieznanych, szły jak grosz do skarbnicy, niewidzialną ręką rzucony, mnożąc dobro ogólne.

Gdy mały Gerda wszedł zziębły i siny, a od progu posłyszał te pieśni, które niegdyś w smutku matka jego rodzona nuciła po cichu — poruszyło mu się serce, w piersi zakipiało i łzy z oczów pociekły. Zapomniał, że się nie powinien był wydać ze swą mową, że mu kazano być niemym i głuchym i z ust mu się wyrwało mimowolnie:

— Macierz moja!

W progu stała Dziwa patrząc, słuchając, śpiewając; jednej jej uszu doszedł ten wyraz chłopca, który wnet się zarumienił, spojrział wzrokiem wylękłym i skrył się w kącie ciemny. Dziwa postąpiła ku niemu, rękę położyła na ramieniu — poczuła jak drżał cały.

— Nie bój się — rzekła — ja cię nie zdradzę.

Poszła zaczerpnąć garnuszką piwa, postawiła je na chwilę przy ogniu, potem przez fartuch ująwszy przy-

niosła Gerdzie, który chciwie je pochwycił, podnosząc ku niej łzawe oczy.

Wejrzeniem tym dziecinnym, które złagodziło wspomnienie matki, przemówił do niej. Wzięła go za rękę i wywiodła do sieni, bo w izbie wciąż się śpiewy rozlegały. Gerda ujął jej rękę, jak niegdyś matki, pocałował. Na rękę łza przylgnęła.

— Mnie mówić zakazano! — szepnął. — Ojciec ubiłby, gdyby się dowiedział. A! nie wydajcie mnie. Ja nie jestem niemy, matka miała waszą mowę i z waszej krwi była.

Dziwa pogłaskała go po mokrych włosach.

— Mów bez obawy — rzekła cicho — co na grodzie widziałeś?

— A! straszne... a, okropne rzeczy, od których włosy wstają na głowie i dreszcz po kościach bieży. A! krew widziałem... krwi kałuże — jęki słyszałem noc całą i śmiech, jakby głos puhacza.

Zamilkł oglądając się z obawą.

— Mów, chłopcze — rzekła — jakby ci rodzona każała.

Łagodny głos jej do serca mu trafił.

— Słowo twoje nam potrzebne — dodała gładząc chłopię po twarzy.

I pochyliła mu się do ucha, a on z płaczem opowiadać jej zaczął, co wczoraj na grodzie się działo, jak wrzała biesiada krwawa, jak w podwórzu zajadali się kmiecie pijani, jak nagie ich trupy do jeziora rzucano, kneź śmiał się, a krucy krakały i psy wyły, z radości czy z trwogi. — Mówił, jak głodna psiarnia pańska biegła potem krew ciepłą chleptać w kałużach, jak z rana zawodziły i płakały niewiasty, jak znoszono trupy i miotano groźbami.

Mówił — a Dziwa bladła, spokojna jej dziewicza postać mieniła się w rycerską, oczy zdawały się spod powiek ogniem strzelać, a ręce się białe ścisnęły, jakby miecz



w nich trzymała... i czoło podnosiło się coraz wyżej, to krwią się okrywając, to bladością.

Kończył Gerda opowiadanie, gdy Wisz i Hengo nadeszli. Chłopiec strwożony, aby się jego wielomówność nie wykryła, ledwie miał czas prześlizgnąć się pod chruścianymi ścianami szop do koni i tu przypadł, tuląc się pod kawałem sukna, który naciągnął na siebie. — Dziwa stała długo w miejscu jak przykuta, a gdy Wisz przechodząc spojrział na nią, mógł z twarzy wyczytać, że w jej duszę padło jakieś zarzewie, od którego zakipiała. Dała tylko znak ojcu powiekami, aby szedł i nie pytał.

Gdy Hengo wstąpił na próg izby, nagle wszystkie niewieście głosy zamilkły, śmiech tylko przeleciał jak wiatr po liściach i słychać było żarna, jak zgrzytały, jak syczał ogień, wrzała woda i reszty deszczu ze strzech spływały na kamienie i przyzby.

Gościa przyjęto uprzejmie. Niemiec chmurny siadł za stół, usta mu się otworzyć nie chciały, na czole miał jakby kamień, co mu nawet oczu otworzyć nie dawał, ani spojrzeć jasno. Na próżno Wisz zagadywał, próżno stara Jaga, misę przyniósłszy ze strawą, pytała o Sambora — on nic nie wiedział.

Po burzy niebo się rozpozodziło. Czarna chmura, co ją przyniosła, stała jeszcze z dala nad lasami, po ciemnej jej szacie latały pioruny wężami, ale nad dworem śmiało się niebo lazurowe i świeciło słońce. Ptaki otrząśły skrzydła zmoczone, i świergocąc zwijały się około chaty. Jaskółki nosiły już muł na gniazda, a wróble klóciły się o znajduwane ziarna. Bocian na gnieździe wybierał się w drogę i na długich stojąc nogach, strzepywał skrzydła, a dziób zadarłszy do góry, klekotał.

Zaledwie trochę zjadłszy, Niemiec wstał, by pożegnać gospodarza jakby go paliło z powrotem. Odebrał swoje sakwy, objuczył konie i dosiadłszy je wprędce znikł z oczów gospodarza w las wjechawszy.

Wisz patrzył za nim, stojąc we wrotach, gdy nadeszła Dziwa. Obrócił się do niej stary i uśmiechnął łagodnie.

Ile razy spojrział na nią, na tę krasę i wesele domu, na twarz mu jasny występował promień. Uśmiech jej odpowiadał mu zwykle, lecz teraz stała zamysłona i smutna. Skinęła na ojca i powiodła go z sobą ku rzece.

— Nic wam nie mówił Niemiec ?

— Milczał jak grób — rzekł stary.

— A mnie szczęśliwsza dola dała z niemego chłopięcia dostać języka — poczęła Dziwa. — Syn Henga straszne mi opowiadał rzeczy. Trzeba, abys o nich wiedział, ojczy — coraz groźniejsze od grodu na nas wiatry wieją... posłuchaj! Chłopiec nie kłamał, drżał jeszcze cały z trwogi i mówiąc płakał.

Dziwa zaczęła po cichu opowiadanie. Wisz sparty na kiju słuchał ze spuszczoną głową. Nie dał po sobie poznać nic, na pozór zimny jak kamień, córce mówić dozwolił, nie wtrącając słowa. Zamilkła już, gdy on jeszcze się słuchać zdawał.

Aż nierychło głowę podniósł i tchnął ciężko pierśmi starymi.

— Pora — rzekł — co ma być, to się stanie... Wiec zwołać potrzeba, dawno go nie było i ludzie się rozbili chodząc samopas. Czas się ze swoimi naradzić, posłać wici, zebrać braci. Niech głowę starą wezmą, jeżeli chcą, co dla gromady i miru naszego potrzeba, to zrobię ; ty, Dziwo, milcz !

Córka zbliżyła się i ująwszy rękę, pocałowała.

— Kolada pomoże ! — szepnęła.

## VII

Godzina nie upłynęła, gdy stary Wisz ukazał się znowu w progu dworu, ale tak zmieniony, iż poznać go było trudno. W domu chodził bosy i w płótnie, teraz się odział jak do podróży i postać przybrał inną. Okryty był nową brunatną siermięgą, sinymi pasy obszywaną, na





Kneziu Miłoszu — odezwał się Wiesz powoli —  
pozdrawiamy was.



nogach miał skórznie nowe, których sznury krasno były farbowane, na głowie kołpak futrzany i pióro przy nim. U pasa wisiał miecz błyszczący i proca, na plecach łuk i strzały. Stapał też jak wojak stary, wyprostowany, z podniesioną głową i lat mu w tym stroju ubyło.

U wrót trzy konie gotowe, okryte suknem czekały, dwóch parobczaków, czysto odzianych i zbrojnych, trzymało je, gotowi z gospodarzem do drogi. Co żyło w chacie, wyszło żegnać ojca i cisnęło się do ręki! Szła Jaga też niespokojna, fartuchem łyzy ocierając, bo czuła, że coś w tym groźnego być musiało, gdy Wisz, co od dawna już nie ruszał się ze dworu, chyba po barciach i lesie — sam, tak nagle, nie mówiąc nikomu dokąd i po co jechać musiał.

Ona i Dziwa poszły za nim aż do konia siwego, który spokojny stał, nogą grzebiąc, głowę obrócił ku panu, zarżał i czekał, aż nań siądzie. Chciał jeden z parobczaków pomóc staremu, lecz Wisz, jakby mu nagle siły przybyło, skoczył rażno na grzbiet siwego, głową swoich pozdrowił, ręką wskazał na drogę w las — i ruszyli w milczeniu.

Długi kawał jechali nad rzeką. W jednym miejscu kilka nędznych chałup stało nad wodą, na kołach sieci wisiały, parę czółen wywróconych odpoczywało na piasku. Chałupy jak bobrowe domki ubogo wyglądały, na pół w ziemi, pół nad nią, a biedniej jeszcze ludzie, których dwu, na pół nagich, głos Wisza wywołał.

Była to osada z biednych ludzi złożona, zowiąca się Rybaki, która na ziemi kmiecej niedawno wyrosła. Kilkoro dzieci nagich, od dymu okopcona niewiasta zgięta i stara — pierzchnęli na widok pana, tylko dwaj rybacy jakąś odpowiedź na pytanie wymruczeli przez zęby. Spojrzenia ich, rzucone na Wisza, kose były, nieufne i strwożone.

Nieco dalej znowu chatek kilka w lesie; druga osada podobna: Bodnarze, stała jakby pusta... U drzwi tylko klepki, wióry i porozsypywane naczynia świadczyły o

zajęciu mieszkańców. Na ten raz nie było żywej duszy, niewiasty z dziećmi wyszły do lasu na grzyby, mężczyźni musieli drzewa szukać na klepki. Drzwi jednak wszystkich chałup stały niepozamykane, bo taki był zwyczaj po całej ziemi, a żaden podróżny nie nadużył nigdy tej gościnności poczciwej. W każdej chałupie leżał chleb, nóż i stała woda. Stały otworem loszek, spiżarnia, wszystko.

Jeden z parobczaków Wisza poszedł się napić i wrócił natychmiast do konia. Stąd już nawrócili w lewo na lasy i gęstwiną jechali — bez drogi, lecz tak się kierując bezpiecznie i pewno, jakby mieli przed sobą szeroki gościniec. Myśliwym znane było każde uroczyisko... zwalona kłoda, dolina w lesie i strumień.

Jechali tak w milczeniu do nocy ciemnej, gwiazdy już świeciły na niebie poprzedzając księżyc, gdy stanęli noclegować. Chłopcy w mgnieniu oka szalas dla starego sklecili — jeden na straży został przy koniach puszczonych na paszę, drugi przy Wiszu.

Noc przeszła spokojnie, o brzasku wszyscy gotowi byli do drogi, stary wstał od nich wcześniej — na koniec siedli i Wisz sam wskazywał dalej, kędy jechać mieli, bo naokół w swoim mirze i opolach nie było gródki ziemi, która by mu znaną nie była. Myśleć i namyślać się nie potrzebował, instynkt myśliwskich plemion grał w nim jeszcze z całą siłą, on las czuł i w obcym nawet wiedziałby jak się obrócić.

Chwytał niekiedy silniej powietrze, a ono mu oznajmowało, czy w pobliżu dąbrowa była, łąka, moczary czy pola. Mówiła do niego trawa, co rosła pod stopami, pochylenie gałęzi, mech, który na drzewach rósł, krzewy, co las podszywały. — Lot ptaków uczył go, nawet i zwierz, którego płoszyli, i kierunek, w jakim on od nich uciekał.

Ku południowi już wyjechali na łąkę szeroką, której środkiem płynął strumień. W dali, na podniosłym nie-

co brzegu, widać było dwór obszerny z zagrodą i dym nad nim.

Ujrzawszy domostwo, stary dobył rogu i zatrąbił raz, drugi i trzeci. Jechali tymczasem, coraz się zbliżając ku zagrodzie, około której mnóstwo roilo się ludzi.

Jeden z nich konia bez uzdy z łąki porwawszy, skoczył nań i rękami go poganiając z obu stron szyi a trzymając się grzywy, wybiegł naprzeciw starego — popatrzył na Wisza i szybko nazad popędził.

Znać, że i tu mało kto w gościnie bywał, bo czeladź u wrót cisnęła się ciekawa, a zza tyłu widać było biegnące niewiast namitki. Jeszcze nie dojechali do zagrody, gdy we wrotach ukazał się słuszny mężczyzna, odziany po domowemu, koszula na wierzchu, w lekkim przyodziewku na ramiona narzuconym. Gęsty, jasny włos spływał mu na ramiona, młoda bródka zarastała rzadko, rumiane lice śmiało się dużymi niebieskimi oczyma. Rękami z dala już witał przybywającego, weseląc się gościami; stary mu też słał pozdrowienie, a nie dojeżdżając do wrót konia wstrzymał i zsiadł z niego.

— Bywajcie mi w dobrą godzinę, gospodynie miły — wołał młody gospodarz. — Takiego gościa, jak stary Wisz, nigdy się moja chata nie spodziewała.

To mówiąc, z poszanowaniem jak do ojca, zbliżył się do starego i rękę mu chciał całować.

— Rad wam jestem jako słońcu! — mówił wesoło — ale się i smucę też, bo stare kości trząść do młodego Doman; mój ojciec, nakazałbyś do niego, to by się u drzwi twych stawiał.

— Zachciało się też i staremu świata zobaczyć a popatrzeć, czy się co tam na nim nie zmieniło — odezwał się Wisz.

Uściśkali się i pod rękę go ujawszy wiódł Doman do świetlicy. I tu dwór stał w obejściu, dokoła zabudowany w prostokąt, z szopami razem i chlewami. Znać tylko było młodego gospodarza, który pragnie, aby mu się w oczach domostwo śmiało, bo ściany były wybielone



i podsienie obstawione słupkami misternymi. Na nich gdzieś wiazki ziela wonnego wisiały: macierzanka, dziewanny i czombry. Niewiast wcale widać nie było, bo się przed obcym kryły... Izba też, do której weszli, czysta była i schludna, a znać w niej niewiasta nie gospodarzyła, bo ognisko, w pośrodku z kamieni ułożone, wygasło. W kącie skórą wilczą zasłane widać było łoże, po ścianach łuki, miecze, proce, rogi zwierząt i skóry z nich świeżo zdarte. Na stole leżał chleb biały, którym się rozłamali i Doman starca naprzód posadził sam stojąc przed nim. Ledwie go skłonił, by usiadł przy nim podle. W oczach wesołego gospodarza żywa malowała się ciekawość, ale z pytaniem nie śpieszył. Wisz też zrazu o gospodarstwie mówił i lesie. Wtem miód padał chłopak, gospodarz przepił do gościa.

Sami jedni w izbie byli.

— Jużeście to zgadli — odezwał się stary — żem przybył tu niedarmo — a ja wam powiem, że z wieścią niedobłą. Żle, a coraz nam się gorzej dzieje.

— To zróbmy tak, aby było lepiej — odparł Doman...

— Wkrótce mirów, wieców i nas kmieci, i starego obyczaju nie stanie — mówił Wisz zwolna — pójdziemy w pęta wszyscy. Mówią tak ludzie, iż w starych głowach lęgnie się narzekanie, jak kwas w starych statkach — ale osądzicie sami, czy się to bez jaja wylęгло?

Kneź i Leszki wszystkie za wolnych już nas ludzi nie mają. Kmiecie i władyki, co się na tej ziemi urodzili, z czernią idą na równi z niewolnikami. Rabów z nas czynić chcą. Odgrają się, tępią jak pszczoły, gdy ul do dna chcą wyprzątnąć i gnilca w nim szukają. Chwostek nad Gopłem dokazuje. Dwa dni temu sprosił kmieci na ucztę do siebie, dał im jakiegoś duru w napoju; Niemka go tam syci na naszą zgubę. Wśród ucztę jęli się gryźć i bić między sobą, niemal wszyscy się wymordowali. Trupy Chwostek do jeziora kazał powrzucać jak padło. U Samona dziewczkę hożą zabrano gwałtem, a kneziowa pani dała ją mężowi na zabawę. Po zagro-

dach tłuką się Smerdy jego i gwałty czynią, zabierają ludzi, niewiastom nie dają pokoju. Nikt nie pewien ani chaty, ani komory, ani dzieci. Mamyż my to tak cierpieć i po niewieściemu jak baby z płaczu zawodzić, ręce łamać? Mów, Domanie!

Domanowi lice płonęło, wargi się trzęsły, hamował się, milczał — a gdy stary dokończył, rzekł:

— Hej, hej! bo należało na to gniazdo osie iść i nogami stratować.

— Słowo się prędko rzecze, Domanie — zawołał stary — a ręką to nie tak łatwo. Twardo siedzi to gniazdo, do Stołba przyległe.

— A Stołb też pono nie duchy stawili z kamienia, a ludzie, toteż go ręce ludzkie wywrócić mogą — rzekł Doman.

— Nie mów tak — odezwał się Wisz — o Stołba początku nikt nie wie. Stał już za przaszczurów naszych. To pewna, że lud, co go stawili, nie nasz był i znikł z tej ziemi.

Doman milczał.

— Nam we dwu — dodał stary — nie rozsądzać o tym, ale poczynać coś trzeba gromadą, a dzieci ratować. Spojrzał na młodego gospodarza, który też oczów jego szukał.

— Trzeba rozesać wici po kmieciach i władkach, a zwołać z starszyny wiec walny. Niech się miry nasze i opola zbiorą, zaczniemy my, pójdą za tym drudzy.

— Wasze słowo za rozkaz stanie — rzekł Doman — niech niosą wici — a no, mówić mi dozwolicie. Kogo wołać i kędy? Wiecie to dobrze, że Chwostek ma swoich i między kmieciami, że Leszki się rozrodziły i poswatały, a jest ich siła, że my nie sami... trzeba więc ostrożnie i cicho wprzód języka dostać, wprzód się może rozstuchać i obliczyć, nim z garstką wystąpimy, bo nas zduszą.

— Nie inaczej i ja myślałem — odezwał się Wisz. — Wiem ci to dobrze, że nie zbywa Chwostkowi na dru-

hach i że między naszymi też znajdują się z nim pobratani; ale i to wiem, Domanie, że własny jego ród Leszy nie cały z nim będzie. Stryjów zgłębił i w kmiecie obrócił, synowcom powylupiał oczy, drudzy ze strachu wychylić się z grodzisk nie śmieją. Ci z nami trzymać będą.

— Na wiecu się to obradzi lepiej — odezwał się Doman — zwołajmy wiec.

— Nim wici roześlemy — przerwał stary — pójdziemy po dworach nie mówiąc nic, aby języka powziąć — jedźmy razem, Domanie, i po kmieciach, i po Leszkach.

— Jedźmy, ojczyźnie Wiszu — potwierdził Doman — jam gotów. Spocznijcie u mnie, dalej ja ruszę z wami.

— Jak myślicie? dokąd? — spytał stary.

— Z kmieci... do starego Piasta na naradę, ubogi człek, ale mądry... milczy, ale więcej wie od tych, co gadają.

Wisz głową skinął.

— A dalej?

— Z Leszków choćby do Miłosza... — mówił Doman.

— Tego synowi wylupił on oczy.

Liczyli tak dwory, gość palec na usta kładł.

— Krom nas dwu, niech nikt o tym nie wie. Jedziemy na łowy.

— Jedziemy na łowy — ludzi waszych zostawicie u mnie, we dwu ruszymy, tak lepiej.

— Tak lepiej — dodał Wisz.

— Gdzież my wiec zwołamy, boć stanie na tym, aby się zebrał, dawno go nie było — rzekł Doman.

— Gdzie? tam, gdzie on od wieków bywał, nowego miejsca ni szukać, ni znaleźć. Na Żmijowym uroczysku, nie opodal od dębu świętego i źródła, w okopie na horodyszczu, gdzie ojcowie, dziadowie i pradziady się nasze zwoływały. Tam nam też stanąć wszystkim i radzić.

W oczy sobie popatrzyli.

— Uroczysko to w głębi lasów, bezpieczne, błotami



opasane dokoła. Lepiej tam, niż gdzie indziej. Gdyby się starszyczny zebrały gromadą przy naszej czy waszej zagrodzie, mściłby się kneź i palił, tam — kto wie? i posłuchu mieć nie będzie.

— Posłuchu? — rozśmiał się Doman — ma on swoich wszędzie, doniosą mu, byleśmy się ruszyli tylko, ale nie przetoż się lękać mamy i siedzieć po norach. Z wieków się ludzie na wiece zbierali, czemu by i dziś nie mogli? Pilno obeślem wiciami.

— Tak — rzekł Wisz — pošemy dwu po dworach, zagrodach, chatach, aby starszyczna przyszła, lecz wiedzieć wprzód musimy, kogo wołać i kto z nami stanie. Godziło by się wziąć klątwę na ogień i wodę.

Naradzać się zaczęli po cichu. Stańło na tym, że wiec ma być koniecznie i że się temu nie sprzeciwią ludzie. Więc już naprzód myślano, jak nieznacznie go zebrać; a że na Kupałę gromady się i tak po uroczyskach schodziły, przed Kupałą dzień wybrać chciano.

Wisz i Doman zgodzili się na to zawczasu. Na wici czasu było dosyć, a do Kupały też nie tak daleko, aby rzecz poszła w odwłokę.

Gwarzyli długo... naradzali się w izbie po cichu aż do zmierzchu... Miód stał na stole, ale go prawie nie tknęli. Pochmurniały czoła, zasepiły się oczy nawet wesółemu Domanowi. Przebrały się w końcu i rady, i słowa, ręce sobie podali i gospodarz wywiódł starca za zagrodę pod lipę, która na wzgórzu stała.

Ledwie się tam ukazali, że dworu za panem skoczyło całe psów stado, bo myśliwiec był wielki. Obsiadło ich dokoła. Młodzież też, czeladź, dwór stanąwszy z dala, jakby na coś oczekiwać się zdawała. Doman ku nim, oni patrzali ku niemu.

— Chciałbym was zabawić i ugościć — odezwał się gospodarz — staremu nie w smak młode pieśni, bo są płochy. Czymś byśmy was przyjąć przecie radzi i pokazać, że my od snu nie puchniemy, przy ogniu nie drze-  
miemy.

— Hej, Ścibor! — krzyknął Doman znak dając ręką — sam tu!

Dorodny chłopiec, któremu też oczy ogniem pałały, na zawołanie się stawił.

— Lepszego dnia na naszego wilka nie znajdziemy — odezwał się Doman. — Przed kim się pochwalić, jeśli nie przed starym Wiszem. Dajcie go tu z zagrody, pokażemy, że się dzikiego zwierza nie boim.

Skoczył Ścibor rażno, a za nim ozwały się głosy oho-cze. Psy nawet zagnano do zagrody, kilka tylko zostawiwszy na sznurach. Wisz i Doman wstali spod lipy, zbliżając się do wrót, przy których się chłopaki gromadzili. Gospodarz kazał wziąć oszczepy i począł ludzi rozstawiać dokoła. Sam też ujął dzidę z żelaźcem zajmując stanowisko w oddali. Psy na powrozach trzymali parobcy, a rwały się czując, że je nie darmo więżą.

Klasnął w ręce pan i wrota się skrzypiące otwarły.

Wilk, który dni kilka w niewoli przesiedział, zahukany był i wylekły, nierychło skorzystał ze swobody. Wołano nań, bijąc kijami o ściany od podwórza, a ruszać się nie chciał, skulony, kłapiąc tylko zębami. Nagnano go przecież ozogami do wrót i głowa jego w nich się ukazała, wnet też, rozglądnięwszy się ostrożnie, naprzód skoczył i stał. Cicho przysiedli czatując, psy tylko wyć poczęły, wilczysko się ruszyło, zrazu krokiem niepewnym, potem szybciej coraz, patrząc ino, kędy umykać ma do lasu.

Ucieczka była trudna, bo zewsząd ludzie zabiegali. Doman nań godził pierwszy, biegnąc żywo na przełaj, aby go nie mógł wyminąć. Gdy się zwierz leniwo poruszał, spuszczone psy, a te się wnet nań rzuciły. I łowy się rozpoczęły wtedy na dobre.

Jeden i drugi z chłopaków śmieiej zabiegli wilkowi z oszczepami, cisnął któryś z daleka i trafił słabo po grzbiecie, psy zatrzymały za uda i szarpać poczęły. Doman korzystając z tego przypadł i z wielką zręcznością

w otwartą paszczę wbił mu dzię, na miejscu kładąc zwierza.

W czasie tych łowów dla zabawy krzyk, śmiechy i klaskania w ręce po dworze się rozlegały, dziewczęta na płoty włazszy zachęcały i nawoływały, dzieci wywijały kijami. Stary Wisz nawet parę razy za mieczyk chwycił, nie mogąc się w spokoju utrzymać. A gdy wilczyśko brocząc posoką na ziemię zważyło się i psy je dławić poczęły, dopieroż zbiegli się wszyscy z bliska oglądać zabitego.

Kilka dni temu pojmał go w lesie któryś z ludzi Doman, ogłuszywszy uderzeniem w głowę, tak że na poły przybitego związano i na dwór przywieziono, gdzie się wylizał i odżył, aby posłużyć teraz do zabawy.

Zwleczono potem zabitego, a zaczęto próbować łuków i procy. Doman ze wszystkich najzręczniejszym był, choć drudzy też czynili, co mogli, aby mu sprostać. Wisz patrzył tylko, a wdychał, że mu ręce stare drżały. Niegdyś i on tak dokazywać umiał.

Gdy zmierzchno i łuczywa w izbie pozapalano, siedli radzić jeszcze i długo na osobności szeptali z sobą, aż Doman, posłanie swe staremu ustąpiwszy, drugie dla siebie w tejże izbie kazawszy położyć, do spoczynku zaprosił.

Jak dzień tedy pozrywali się; konie od wczora były zapowiedziane, ludzie, choć im się chciało bardzo jechać razem z panami, musieli zostać w zagrodzie.

Do dworu Leszka Miłosza drogi przez lasy było na dzień cały. W torbach na plecach mieli jadło, w drewnianych, smołą wylanych flaszkiach, po trosze miodu, konie nawykłe do trzęsawisk i lasów nie lękały się podróży. Doman jechał przodem.

Dla pośpiechu wybrano krótszą drogę, wiodącą przez moczary i gąszcze nieprzebyte. Gdzieniedzie ogromne stosy drzew wiatrem obalonych, na pól pognitych, trawami bujnymi porośłych, gałęzmi i korzeniami posplatanych, tamowały przejazd, musieli je objeżdżać dokoła;



indziej gniłe rzeczułki ze śliskimi brzegi trudno konie przebywały. W ostępach tych, które rzadko człowieka widywały, zwierz nie tak płochliwy, zrywał się niemal z pod stóp jeźdźców... Na drzewach, świeciły ogniste żbików ślepią, pod krzakami mruczały niedźwiedzie, stada łosiów i jeleni z ogromnym chrzęstem pierzchały przed nimi. Gęste nawet drzew wierzchołki pełne były ptactwa, gniazd i wiewiórek, które im nad głowami szeleściły...

Wnętrze puszczy tajemnicze, ciemne, straszne ledwie przepuszczało promienie słoneczne i gdy pod wieczór wydobyli się z tych zapadłych gęstwina na suchszą łąkę, oba raźniej odetchnęli.

Tu musieli się otrząsać z liści, gąsienic, mchów i porostów, którymi puszcza ich okryła.

W dali już dym widać było. Na wzgórzu łysem postrzegli wysoki bardzo wał z ziemi, zielonym darniem okryty, zza którego tylko gęstwina drzew się ukazywała. Z pośrodku nich unosił się dym wstęgą sięną ku górze, znak ludzkiego mieszkania i życia. Wały, otaczające grodzisko, sięgały tak wysoko, iż zpoza nich budowli żadnych dostrzec nie było można.

Gdy się zbliżyli, spostrzegli wśród okopów z ziemi wąski przesmyk, wysokim zaparty częstokołem... Na zewnątrz żadnego znaku życia. Wrota stały zamknięte. Podjechali ku nim, a nikt się nie ukazał, choć na wyżynach wału spostrzegli kilka ludzkich postaci. Wisz zatębił.

Stali jednak długo, nim zza tynu wysokiego ukazała się głowa ludzka, okryta skórą łba wilczego.

Stary dopraszał się wnijsćcia, ale pacholek mruczał, że kneź Miłosz nie dopuszcza do siebie nikogo. Musiano uporu zażyć i po kilkakroć wywoływać strażę, nim ich nareszcie wpuszczono. Wrota się rozwarły, przebyli ciemną drogę przez gruby okop, który grodzisko opasywał, i znaleźli się w podwórzu starymi drzewy porośłym. Lipy i dęby z pniami olbrzymimi, z szeroko

rozpostartymi gałęzmi, osłaniały niemal przestrzeń całą. Poza nimi w cieniu niska budowla ciemna, drewniana rozkładała się szeroko ze swymi podsieniami szerokimi i wysokimi dachy.

Ponure, skórami okryte postacie jakieś włóczyły się tu i ówdzie. Ogromne psy, kościste a chude, przyszły na podróżynych zawarczeć i obwąchać ich dokoła. Nierychło zjawił się zgarbiony starzec, niskiego wzrostu, zakapturzony, o kiju. Z tym się zrozumieć i rozmówić nie było prawie można.

Mrucząc, powiódł ich jednak za sobą. Wieczorny zmierzch i cień drzew w niskiej budowli z małymi okienkami mało już co widzieć dozwalały.

Gdy ich do świetlicy wpuszczono, stali długo wprzód, nim oczy ich oswoiły się z mrokiem i coś rozeznąć mogli. Na ognisku paliły się dogasające polana.

W głębi, na skórach leżał olbrzymiego wzrostu starzec, z brodą wyrosłą długo, której włosy jak trawa, niekręjące się, proste, spadały mu niemal do kolan. Brwi nawieszane zakrywały mu oczy, głowę miał zupełnie łysą. Trzymał ją właśnie spartą na kościstej dłoni. Nogi jego spoczywały na czymś czarnym, co się ruszało opieszale. Nierychło Wisz dostrzegł swojego niedźwiedzia, który mrucząc podścielał się pod pańskie nogi... Dwie sroki chodziły skacząc po podłodze.

Gdy weszli zwolna, kneź Miłosz nie ruszył się, oczy tylko ku nim skierował, wlepił w nich i czekać się zdawał, by oni poczęli rozmowę. Sroki tymczasem pobiegły w ką, a niedźwiedź głowę, zwróconą ku ścianie, odwrócił, ziewnął szeroko i znowu ją na dawnym miejscu położył.

W izbie było duszno nieznośnie, a stary kneź trząsał się z zimna.

— Kneziu Miłoszu — odezwał się Wisz powoli — pozdrawiamy was.

— Ktoś ty taki? — zapytał głos ponury i gruby, jakby z głębin wychodzący.

— Kmieć Wisz z sąsiadem Domanem.

Kneź milczał.

— Dozwólcie mówić z sobą ?

— Mówić ze mną — począł ten sam głos dziki — ja nie mam nic do ludzi, ani oni do mnie ! Czego chcecie ?

— Rady dobrej — rzekł Wisz.

— Jam jej sobie nie znalazł, drugim też dać nie potrafię, gdzie indziej po to idźcie — odparł kneź.

— Źle się u nas i z nami dzieje — ciągnął stary zwolna nie zważając na odprawę — wasz i nasz wróg gnębi nas coraz okrutniej.

— Kto ?

— Chwostek — rzekł, obelżywego tego nazwiska używając, starzec.

Rozśmał się dziko leżący Miłosz.

— Mnie on już nie uczyni więcej nic, pozbawił mnie dzieci, gdyby wziął nawet życie... nie dbam o nie. Idźcie sobie szukać indziej rady i pomocy.

— I pomsty nie chcecie ? — spytał Wisz. — Wszak ta się wam słusznie należy. Zabity jeden, oślepiony drugi, nie została wam na starość żadna pociecha, a ma to zostać bezkarnym ?...

Kneź milczał długo, aż zerwał się gniewny.

— Precz, albo na was puszczę Maruchę ! — zawołał. — Chwost was tu nasłał, żebyście mnie za język ciągnęli !... psie syny jakieś... Won stąd !...

— Kneziu Miłoszu — odezwał się chłodno Doman — ja jestem syn tego, co wam życie zbawił, a Wisz nigdy nie zdradził nikogo. My kmiecie jesteśmy, nie niewolniki.

Zawarczało coś na łożu tak, że trudno rozeznąć było, niedźwiedz, czy pan się odezwał, potem sapanie słysząc się dało głos jęczący :

— Idźcie po radę, gdzie rozum jest, u mnie go nie ma. We mnie z bólu wszystko wyschło, siłem stracił, pamięć, nawet do pomsty ochotę. Idźcie, mścijcie się za mnie, a gdy mu serce wydrzecie, przynieście je mnie, pożrę je i umrę... Dawno mi się umrzeć należało, woła-



łem o śmierć, nic więcej, nic więcej! Moje dzieci, kwiaty moje, syny moje, cóżem ja wart bez nich? Na co mi bez nich życie?

Twarz zakrył rękami obiema i zamilkł. Wiszowi serce się ścisnęło na widok tej boleści, stali niemi. Starzec jęczał. Nierychło podniósł oczy i począł łagodniejszym już głosem:

— Idźcie ode mnie, biedne ludziska, czego wy tu szukać możecie? ja już nie mam nic! nic! Niech się świat spali, niech go morze pochłonie, niech ludzie wymrą, mnie już gorzej niż lepiej nie będzie. Kwiaty moje! syny moje — moje dzieci.

I znowu zanurzył głowę w dłoniach, i płakał. Oni stali nie wiedząc, czy jeszcze czekać mają, czy odstąpić precz, aby go na próżno nie dręczyć. Jęknąwszy silnie Miłosz się podźwignął i siadł, rękami trzęc począł twarz i czoło. Klasnął w dłonie. Z bocznej izby uchyliwszy drzwi wyszła niewiasta tak olbrzymiego wzrostu jak starzec, wychudła i żółta, z głową zawitą chustami tak, iż oczy z pod nich zaledwie widać było. Płaszcz ciemny okrywał białe ubranie niewieście. Spojrzała ode drzwi na obcych i zawahała się nieco. Niosła w ręku dzbanuszek i kubek. Stary już palce drżące ku niej i napojowi wyciągnął. Milcząc nalała mu i podała. Począł pić chciwie. Dopiero, jakby orzeźwiony, popatrzał na Wisza i Domana, a niewiastę skinieniem odprawił.

— Mówcie — rzekł — cóż wy poczynać chcecie? co? Zwołacie wiec, aby się na nim pokłócić i zwaśnić? będziecie radzić, jeździć, mrużyć, a on was po jednemu na powrót wyłowi! Zaprosi na ucztę i jednych na drugich poszczuje! Co wy mu zrobicie? Wiecu się waszego nie boi, ani was, ani pogroźek waszych.

Rozśmiał się.

— Połowa z was będzie z nim, pół przeciwko niemu! Rozda wasze ziemie tym, co na was mu pomogą! Nic mu nie zrobicie. Gdy ludzi zabraknie, przyjdą w po-

moc. Niemcy i kraj spustoszą, a krnąbrnych powiodą w niewolę.

I rzucił się znowu na łożo.

— Kneziu — rzekł Wisz — trudna to sprawa, wiemy o tym, ale się Chwosta pozbyć musimy. Zginie nas wielu, wielu zdradzi, padnie dużo, ale w końcu i jego nie stanie.

Przyszliśmy się spytać, kneziu Miłoszu, jak wiec postanowi na gród, dacie nam swoich ludzi? — będziecie z nami?

Stary milczał długo.

— Nie — rzekł — serce bym mu wyrwał, gdybym mógł sam, gdy wy mu je wyrwiecie, uraduję się, a na niego z wami nie pójdę... To kmieca sprawa... jam kneź! jam Lech!!

A pamiętajcie o tym, że gdy go zmożecie, on ma dwóch synów za Łabą. Tym się nic nie stanie, ci wrócą z Niemcami i pomszczą się na was... Próżne wasze jęki, próżne. Nie on, to dzieci was zabiorą w niewolę; nie on, to ja bym was uczył co kmieć, a co kneź! Nie byłbym lepszy.

Mruczał niezrozumiale. Wisz spojrział na Domana.

— Cóż rzec więcej — zawołał — wy mu i o tym, coście słyszeli od nas, jutro znać dacie ?!

Kneź się rozśmiał, a niedźwiedź zamruczał.

— Między nim a mną — nie ma mowy, namowy ni rozmowy, on mój wróg, ja jego — zawołał Miłosz. — Dadzą o tym znać inni, powywiesza was na dębach. Niech wiesz! Nie ma moich dzieci. Synów moich nie ma. Kwiatów moich nie ma. Niech świat zginie !!

Jęknął i głowę zanurzył w posłanie. Wisz skinął i wyszli ze świetlicy. Za nimi słyhać było płacze, mruczenie i krzyki dwóch srok, które, ośmielone wyjściem, obcych, klócić się zaczęły.

Na podniesieniu czekał na nich starzec zgarbiony. Wyszli z nim razem pod stare dęby w podwórze.

— Tak wasz kniaź zawsze? — spytał Wisz.

— Ile razy obcych widzi — szepnął stary wzdychając — czasem i po nocach duchy go męczą, że się zrywa i krzyczy głosem wielkim, aż co żyje na zamku, pobudzi. — Biedny człek !... biedny !

Chcieli mimo wieczora opuścić zaraz smutne grodzisko Miłosza, lecz i tu święte prawo gościnności zachowane było. Staruszek zaprosił do izby osobnej, gdzie dla nich postawiono wieczerzę i zgotowano posłanie. Sam on poszedł z nimi, choć z niego słowa się dopytać nie było podobna. Wszystko na tym żałobnym dworze milczące było i przygnębione, zdając się czekać tylko śmierci i — końca.

### VIII

Nie opodal od brzegów jeziora Gopła, na kraju lasów, był dwór i zagroda Piastuna, którego też i Piastem przez skrócenie zwano. Do niej o brzasku dążyli opuściwszy smutne grodzisko Miłoszowe, Wisz stary i młody Doman. Kilka już dni spędził starzec na koniu, a czuł się niemal bardziej krzepkim, niż gdy doma na kamieniu u rzeki siadywał, z dala przypilnowując gospodarstwa.

Ze wszystkich kmieciów okolicy tej Piastun był najmniej zamożnym, a najbardziej poważanym przez braci. Ród jego siedział na jednym miejscu od prastarych czasów, dziad i pradziad gospodarzyli w sąsiednich lasach, głównie pilnując barci leśnych i myślistwa. Mało co pola wydartego mieli, a te zasiewali tylko, aby im chleba nie zabrakło. Było już w obyczaju ich, aby się zbytnio o dostatki nie troszczyć. Nie rosły one w rękach. Znano tę ubogą, starą chatę naokół z gościnności słowiańskiej, dom stał otworem, wstępował każdy, jak do gospody, żywił się i brał w drogę, co mu było potrzeba.

Dwór w zrąb zbudowany z całych drzew, mało co ociosanych, niski był i stary. Dach i ściany jego czerniały od dymu, podsienia były wąskie, słupki w nich



z prosta rzezane. Sam Piastun, żona jego Rzepica, małe pacholę, synaczek, składały całą rodzinę. Czeladzi było sporo, a i ta niemal do niej się liczyć mogła, bo tak się z nią po staremu obchodzono, jakby do krwi i rodu należała.

Tu jeszcze nowy obyczaj, który się od niemieckich krajów powoli wciskał, wcale był nie zajrzał. I dlatego może Piastuna szanowano, a radzono się, że pod tą ubogą strzechą przechowywały się skrzętnie dawne podania: o ojców wierze, obyczaju i zwyczaju. Geślarze i śpiewacy gościli tu często, a gdy który z nich się zjawił, wieczorami siadali kołem wszyscy, zimą około ogniska, w lecie około lip starych w podwórzu i słuchano ich, a uczono się od nich przeszłości. W obrzędach weselnych, przy postrzyżynach, na pogrzebach Piastun rej wodził, bo najlepiej wiedział i jakie pieśni, do której chwili przystały, i jaką ofiarę składać, i co gdzie czynić należało: w sądach też, jeśli się w mirze lub na opolu czasu pokoju trafiło zabójstwo, on prawo stare najlepiej wiedział jak zastosować. A gdy on co rzekł, nie było już się co sprzeczać i sporzyć.

Mały ten człek między bogatymi kmięciami więcej znać od najzamożniejszych. Szli z dala do Piastuna ludzie, a gdy go doma nie zastali, bo często w lesie barcie swe podpatrywał, czekali nań dzień i dwa, póki nie przyszedł i siadł ich słuchać, a miał ten zwyczaj, że mówił niewiele i niełatwo, że wyzywał wprzód na słowa, myślał długo, ale gdy na ostatek, wśród ogólnego milczenia rzekł swoje, tego potem nie odmienił. Ludzie o tym tak dobrze wiedzieli, że gdy ten wyrok zapadł, nie śmieli nic przeciw niemu powiedzieć.

Poszanowanie to dla Piastuna, który choć w pobliżu grodu mieszkał, nigdy kneziowi nie dworował, ani się do niego cisnął, zjednało mu na pańskim dworze nienawiść. Lecz nie tykano go, bo się wpływu jego na innych lękano. Ująć się też nie dawał niczym, a najmniej pochlebstwem, którego nie słuchał nawet. Nazywano

go też hardym, a może i był nim w istocie, choć przeciwko małym nigdy się nim nie okazywał.

Mąż był lat naówczas średnich, liczył ich sobie poza czterdzieści, wzrostu nie wyniosłego, krzepki i na pozór niczym się nie odznaczający. Tylko w oczy mu spojrzawszy, widzieć w nich było łatwo, że poza nimi rozum mieszkał spokojny a silny. Gdy inni na ówczas ludzie dla samego obudzenia strachu zwykli byli gniewać się, miotać i więcej może okazywać złości a gniewu, niż go mieli w istocie, Piastun nie dawał się nikomu przywieść do namiętności. Surowy był, milczący, na oko chłodny i wytrzymały. Znano go jednak z tego, że gdy dla przykładu trzeba było użyć mocy i ukarać, spełniał bezlitośnie, co postanowił. Nosił się, jak człek prosty i od parobka go niemal we dnie pracy rozpoznać było trudno: nie lubił błyskotek i jaskrawych drobnostek, za którymi inni przepadali, a nade wszystko nie znosił, by się co w stroju i domu zmieniło z dawnego obyczajaju.

Gdy inni miewali nieraz po kilka żon, bo zwyczaj tego nie bronił, Piastun żył z jedną, a żona u niego nie była w tej niewolniczej podległości trzymaną, co u innych. Godzili się też z sobą we wszystkim, tak że lepszego stadła ludzie nie znali.

Pracowano tu od dnia do nocy, a on sam rzadko w domu siadywał, co jeśli się trafiło, znać że około roli nie opodal dworu coś miał do czynienia.

Gdy nazajutrz z południa zjawili się tu lasami przedarłszy się, nie chcąc być postrzeżeni, Doman i Wisz, znaleźli gospodarza właśnie z kobiałką na plecach, na drodze do lasu i barci. Wstrzymali więc go na drodze, Wisz z konia zsiadł i pozdrowił.

— My do was — rzekł.

— Zawracajmyż do chaty — odparł Piastun.

— Albo lepiej siądźmy gdzie pod drzewy, na uboczu, bo wasz dwór na oczach, ludzi w nim obcych często bywa wiele, a nam trzeba się naradzić po cichu...

Piastun się popatrzył nań zdziwiony, nie przeciwiając

się jednak, ręką wskazał bliską polankę w lesie, gdzie szopa była na siano taka, jakie dawniej po słowiańskich krajach odrydami zwano. Stała ona teraz otworem i chruściane jej ściany pół przezroczyste dozwalały widzieć dokoła, gdy się kto przybliżał. Wewnątrz para kłód sosnowych u wrót jakby umyślnie leżała, aby na nich przysiąść można.

Konie puszczono na łączkę, aby się pasły, siedli pod dachem w odrynie, gdzie spieka nie dokuczała. Piast nie mówiąc jeszcze słowa kobiałkę, którą na plecach niósł odkrył i dobywszy z niej chleb i ser, położył je przed gośćmi; ale ci ich nie tknęli.

Wisz tedy pierwszy mówić począł.

— Siedzicie pod samym grodem i pod bokiem Chwostka — rzekł — wam więc dużo nie trzeba prawić o tym, co się u nas i z nami dzieje... Potośmy do ciebie przyszli, aby się radzić... Wiec zwołać trzeba...

Strzymał się Wisz, gospodarz słuchał milcząc, Doman gorętszy dodał:

— Jeśli się zawczasu nie poradzi, wybiją nas do szczętu... musimy się bronić... Dawnym obyczajem nie co innego poczynać, tylko zwołać starszyznę...

Stary wciąż słuchał jeszcze, więc Wisz szeroko mówić począł, jak to dawniej w mirach bywało, a co się dziś stało, i jak z wojskowych dowódców kneziowie na niemiecki sposób panami się czynić chcieli, co cierpiano od rozrodzonych kniaziątek... i jak na to ratunku skorego było potrzeba.

Piastun mu dał mówić, cale nie przerywając; Wisz i Doman szeroko wszystko wyluszczyli; nareszcie zamilkli oczekując, co on powie. Piastun myślał głowę spuszczoną trzymając i odezwał się nareszcie:

— Ja wam coś powiem o prastarych czasach... Slyszełście to od ojców waszych, a ojcowie od ojców swych slyszełi... że nasza mowa ciągnęła się dalej daleko za Łabę, na Dunaj; za Dunajem, na sine morze i na zachód aż do gór Czarnych. Był to czas szczęśliwy,



gdyśmy na niezmiernej przestrzeni byli sami jedni, a sąsiedzi w domu co robić mieli. Chodziliśmy naówczas bez mieczów, z gęslami, rolę uprawiali, w otwartych siedzieli chatach i gospodarzyli w mirach bez wszelkich kneziów... Dawne to czasy... Od morza przypadli jedni, od gór zaczęli napastować drudzy... z orężem w dłoni niewolnicy, a karny lud... musieliśmy się bronić... Skończyło się szczęście nasze, śpiewanie i spokój... Zamorskich wodzów trzeba było wziąć, stołby murować, grodziska stroić i bić się... A stara swoboda zawsze się nam przypominała... kneź nam był wrogiem... i cóż? ot, plemię nasze wyciskają dowoli Niemcami i wycisnęli już je z sadyb dawnych i pod nogami nam co dzień ziemi ubywa...

Zamilkł Piastun, a po chwili dodał :

— Kneziów się zbędziemy, a Niemcy nam na kark wleżą...

Wisz się poruszył.

— Nie chcemy się ich zbywać — odrzekł — ale tego Chwosta tylko na innego zmienić... Wiecie dobrze, iż on pierwszy z Niemcami trzyma... ród jego całym sercem tam ciągnie... znajdziemy innego... Dosyć się tam naszej krwi ulało... Wiecu nam trzeba...

Znowu pomilczał gospodarz.

— Trzeba nam wiecu i trzeba nam zmiany — rzekł — ale i wiec niełatwy, i zmiana. Ciężką to sprawę poruszacie, jakbyście gołą rękę w ul wsadzali... Jedni na Chwostka płaczą, drudzy trzymają z nim... zgody nie będzie, tymczasem Niemiec języka dostanie i najędzie wówczas, gdy my się z sobą zajadać będziemy... Wiecu nam trzeba, ale zgodnego, a takiego, jak ongi bywało, gdy za ojców radzono... Zwołajcie wiec...

Poczęli tedy obliczać, o ile we trzech mogli i umieli, kogo za sobą mógł mieć Chwost, a kogo przeciw sobie i okazało się, że nie mała liczba stanąć mogła po stronie knezia, chociaż okrutnik był i dla nikogo serca nie miał.

Rozmowa cicha przeciągnęła się do wieczora. Szli

potem razem do chaty i zasiedli po wtóre przy ognisku. Tu zaledwie chleb rozłamali, gdy mały, krępy człeczyna, z głową krótko ostrzyżoną, z oczyma kocimi, w obcisłej siermiężce, zjawił się na progu. Zobaczywszy go, wnet zamilkli wszyscy. Był to znany kneziowski sługa, na nieustannych posyłkach spędzający całe życie. Obawiano się go na grodzie i okolicy, bo podpatrywał, podpełznąć umiał, podsłuchać i donieść panu, co pochwycił. Oka jego nic nie uszło... Siadywał jak żbik na drzewach, gdy mu trzeba było być gdzieś niewidzialnym, wszywał się w gałęzie, zakradał do lisich nor, zakopywał w stogach siana, przylegał w wiszarach i trzcinach... Zjawienie się jego gdziekolwiek bądź nic nigdy nie wróżyło dobrego. Złośliwa żmija nie wracała nigdy bez łupu na gród, a łupem były oskarżenia, które do ucha Chwostkowi nosił.

Szeroka gęba z zębami białymi śmiała się w progu. Znosek stał i patrzył po izbie. Pozdrowił Piastuna i nic nie mówiąc przysiadł na ławie, przypatrując się z wielką uwagą gościom...

Milczenie panowało po izbie, tylko Rzepica, która się około ognia kręciła, a jako niewiasta więcej obawiała się Znoska niż Piastun, podała mu kubek piwa... Obrzydły karzeł wziął go, dziwnie popatrzył na gospodarza i gości i po cichu rechotać począł, jakby sam sobie się śmiejąc.

— Matko Rzepico — odezwał się głosem schryplym — ty masz lepsze serce od innych. Przynajmniej zlitowaliśmy się nade mną, nad którym nikt się nie lituje, którego wszyscy nienawidzą! A co ja winien? co ja komu winien?... albo to ja taki zły, jak mówią?... Oczu nikomu nie wylupiłem... czarów nie rzucam na nikogo... służyć każdemu... słucham wszystkich. Przecie nogami mnie kopią, plują na mnie... i każdy by mnie zgniótł, gdyby mógł.

I śmiał się szkaradny Znosek, popijając z kubka.

— Skądże to wiesz, że ci ludzie tak źle życzą? — zapytał Piast.

— Z oczów im to patrzy! oho! — mówił karzeł — ja mam psi węż, Piastunie.

Pomilczawszy chwilę, począł dalej:

— Wiecie nowinę?

— Cóż tam za nowina? — spytał gospodarz.

— Na dworze u miłościwego pana gotuje się uczta wielka i radość wielka... Naprzykrzyło się nam wojować i swarzyć... Kneź chce się ze swymi pojednać... tego, co mu oczy wylupiono, puszcza, aby sobie w świat szedł. Kto wie, a może mu oczy odrosną? Stryjów i bratanków zaprosi kneź do stołba i zgodę na wieki zapijemy!

Słuchali wszyscy w milczeniu.

— Powinniście się cieszyć z tego — mówił Znosek — potem wszyscy kneziowie jak się wezmą za ręce, to dopiero ład będzie u nas!... Teraz zbiorą się łąda żupankowie i na gród się cisną, a pięściami nam grożą pod nos... bo wiedzą, że knezie się z sobą waśnią. Później już tego nie zobaczymy!

Mrugnął bystro oczyma i rozśmiał się. Drudzy milczeli, gdy z podwórza głos się dał słyszeć. Wszyscy zwrócili głowy ku wnijściu. W progu stał człowiek siermięgą czarną odziany w czapce czarnej, z kijem w rękę, oczyma jakby obłąkanymi patrzył we wnętrze chaty, liczył nimi tych, co w niej byli. Wzrok jego zatrzymał się na Znosku i usta, które już miał otworzyć, zamknęły się. Nie powitawszy nawet nikogo zwrócił się od progu, odszedł i usiadł na przyzbie.

— Ten mnie tylko zobaczył — rozśmiał się karzeł — i ochota mu od gościny i od mowy odpadła.

To mówiąc dopił piwa, kubek postawił, wstał i stanawszy po środku izby rzekł, w boki się biorąc:

— Wisz i Doman! Wisz i Doman!...

— Znacie mnie? — zapytał stary Wisz.

— Ja?... naokół o dziesięć dni drogi znam wszystkich — rzekł Znosek — nawet psy podwórzowe po imieniu... a jakbym kmieciów znać nie miał? Tamten, co z progu



zszedł, to stary Ziemba... nieprawdaż? Nawet wiem z czym przychodzi i co mu gębę zamknęło...

Syn jego miał na grodzie przypadek... Szczepili się z Sławojem przy uczcie i pozarzynali... Potemeśmy go puścili na jezioro, żeby się orzeźwił, ale wody się nadto opił i... zdechł...

To mówiąc, rozśmiał się Znosek, pokłonił, zawinał, skoczył i znikł.

Po wyjściu jego długo cicho było w chacie, jakby się powrotu obawiano. Ziemba też siedzący na przyzbie nie wchodził; czekał pewnie, aż się niezdarą oddali. Po dobrej chwili dopiero pokazał się w progu. Piastun, gdy próg przestąpił, poszedł go przywitać.

— Przyszedłem się wam opowiedzieć z sieroctwem moim — odezwał się stary. — Syna mi na grodzie ubito. Ciałaśmy ledwo uzyskali, aby je poczestnie spalić na stosie... Mówcie, bracia dobrzy, ludzie my jesteśmy czy zwierzęta dzikie, bez pomsty klucz wolno?...

Ręce rozłożył i stał pogrążony.

— Mam dwóch jeszcze synów — mówił po chwili — choć tych bym chciał całych uchować! Gdzie się z nimi skryć? głowy ich osłonić?... Chwostek na mnie zawzięty...

Wisz wstawszy z ławy przybliżył się do niego.

— Bracie — rzekł — czas nam myśleć o sobie... siądz i radź...

Przybył w ten sposób jeszcze jeden do szczupłego gronka, które się na wiec zgadzało.

Do późnej nocy karmili się żalami i szeptali między sobą.

Nazajutrz rano Doman i Wisz opuścili zagrodę Piastunową. Chociaż ludzi swoich zostawił stary u sąsiada, nadto mu pilno było powracać do domu, by nakładał dla nich drogi. W lesie rozstali się z Domanem i Wisz znanymi krótszymi przesmykami w puszczy puścił się wprost do swej zagrody. Drugiego dnia nad wieczorem był już u wrót, a psy, radośnie skomlać witać pana wybiegły.

W chacie świeciło jeszcze, stara Jaga drzemiąc z kądziela siedziała przy łuczywie. Pokłoniła się mężowi do kolan, wedle obyczaju, Wisz na ławie siadł się rozzuwać pytając o dom i chudobę. Nadszedł zbudzony syn starszy i opowiadał, co się pod niebytność ojca doma robiło i trafiało. Wilk porwał był owcę, a nie zdołano go zabić, pastwę mu odebrano. Była to wina pastuszków, którzy się oba pospali.

Stary spokojnie wysłuchał syna, a gdy już chciał odchodzić, dał mu znak, aby się zatrzymał. Jaga z kądziela wniosła się do komory.

— Ludek — rzekł Wisz po cichu do syna — postanowiono między nami, aby wici wysłać po mirze i na wiec zwołać starszyznę na dzień przed Kupałą, w horodyszczce na Żmijowym uroczysku. Ślij ty, jedź sam... czyń jak chcesz, dając wolę, ale pospiechu trzeba.

— Pojadę sam — rzekł syn — wola wasza... kogo mam ślać, komu zawierzę, najlepiej sobie.

Ludek głowę spuścił smutnie. Stary popatrzał nań i zadumał się także.

— Co będzie, to będzie, jechać trzeba i zieloną wic nieść od dworu do dworu.

Krótką, ponura rozmowa tajemnicza na tym się skończyła.

Nazajutrz, gdy się Wisz przebudził, już syna w domu nie było.

Dni kilka upłynęło bez wieści, a życie zwykłym się trybem ciągnęło; w głębi tych lasów rzadki był gość i przechodzień. Wisz po dniu upalnym spoczywał za zagrodą pod dębami, leżąc na ziemi, psy mając przy sobie, gdy jeden z nich podniósłszy się nagle skoczył w stronę rzeki i wietrzyć coś począł niespokojny. Zwierza albo obcego człowieka pewnie by inaczej witał; zdumiał się stary, widząc jak psisko radośnie ogonem kręcił, jak-gdyby znajomego czuł w pobliżu. Nikogo jednak widać jeszcze nie było. Zabiegłszy w łozy, podwórzowy kilka razy czekał radośnie, jakby się łasił do kogo. Wisz

podniósł się z ziemi spojrzął i zobaczył ostrożnie gałęzie rozgartującego tego, kogo się najmniej spodziewał, Sambora. Stał w zaroślach chłopak, jakby zbliżyć się nie śmiejąc, dopiero starego gospodarza ujrawszy, szybko począł podchodzić ku niemu.

Chmurnie brwi ściągnawszy, czekał nań Wisz.

— A tyś tu skąd? jak?... jakże wyrwałeś się z grodu? — zapytał, gdy Sambor już mu do nóg przypadał.

— Musiałem, choćby życie waząc — rzekł przybyły — musiałem przybyć z oznajmieniem... Nie chciałem, aby niespodzianie spadło nieszczęście na dwór wasz...

— Nieszczęście? co? — zapytał stary.

— Już trzy dni temu, jak kneziowi doniesiono: Wisz objeżdża kmieci i na wiec ich zwołuje.

— Kto doniósł?

— Smerda z tym powrócił z łowów — odezwał się Sambor. — Chwostek się uniósł gniewem wielkim, zaklął, że każe wasz dwór w perzynę obrócić, a was, ojcie mój, na pierwszym obwiesić drzewie. Na was ma się wyrzucić cała złość jego... Ludziom i koniom kazano się sposobić... Słyszałem, gdy dawano te rozkazy, rzuciłem się co tchu wpław przez jezioro, aby wam oznajmić o tym. Dziś, jutro... każdej chwili tu być mogą.

Wisz stał nie pokazując po sobie ani strachu, ni zwątpienia, myślał, co ma począć. Dwoje było tylko do wyboru: albo się chronić na zagrodzie zwoławszy ludzi, którzy na ziemi jego siedzieli, lub z duszami i dobytkiem ciągnąć w lasy. Ostatnie niełatwe było, człowiek sam mógł się ukryć od pogoni, trzody kędy przeszły, zdradzały się i pójść wślad za nimi mogła drużyna kneziowska. W lesie, choćby za zasiekami, tak się bronić było ciężko, jak w zagrodzie. Na łaskę Chwostkowi się zdać... śmierć czekała i niewola. Stary się nie lękał o siebie, dawno mu było już tęskno do mogiły, do ojców... obawiał się i troszczył o córki i syny. Milcząc, dał znak Samborowi, aby szedł za nim i powłókł się ku zagrodzie. W drodze po kilkakroć stanął i zadumał się opuściwszy głowę.



— Doszli do wrót, gdy w nich spotkał się Wisz ze starszym synem, co wici woził i właśnie z powrotem przybywał. Jego też już na drodze doszła wieść o tym, co się na drodze u Gopła przysposabiło, zdał więc wici innemu i do ojca pośpieszył. Przytomność Sambora uwalniała go od przynoszenia złej wieści.

— Dziś tu jeszcze nie będą pewnie — odezwał się stary do swoich — jest czas przez noc myśleć, co z sobą czynić i do świtu się przysposobić. Zwołać parobków, zatrąbić na pastuchy... Sambor skoczy po ludzi na Rybaki i Bodnarze... Kto oszczep dźwignie, niech przybywa. Żagiew zapaloną miasto wici wziąć... i... żywo...

Zamiast strachu Wisz zdawał się pokrzepiony tą myślą, że jeszcze walczyć będzie i do otwartej stanie walki. Parobcy i synowie, kto żył, rwali się do broni biegnąc po osadników.

Niewiasty wszystkie wyszły z szopy i chałupy zawołując żałośnie, ręce łamiąc i płacząc. Strach je ogarniał. Jęki te Wiszowi serce miękczyły, nakazał milczenie, wszystko ucichło... Dziwa stała na przedzie z Jagą.

— Wy w las z dziećmi! — zawołał stary — tu nie jesteście potrzebne. Dziwa, prowadź ich w las. Wróćcie, gdy albo umarłych grzebać, lub pokaleczonych obwiązywać będzie trzeba.

Posłuszne niewiasty znikły.

W całym obejściu ruch powstał ogromny. Stary sam przewodził.

W chacie Dziwa, najprzytomniejsza ze wszystkich, resztą niewiast rozrządzała gotując się do drogi; zbierano żywność.

W tę stronę, od której napaść miała przybywać, wyprowadzono młodego chłopaka na podjezdki, aby dawał znać przodem, gdy o drużynie kneziowskiej zasłyszeli.

Wśród tych przygotowań noc nadchodziła szybko, a nawet do ziemi ucho przyłożywszy, najmniejszego tętentu słyhać nie było. Tymczasem spodziewano się ludzi z Rybaków i osad na posiłek.



Wisza trup stał, otoczony orężem i odzieżą.



Dziwa z całym obozem niewieścim, z dziećmi i sługami, gotową była w las ruszyć na pierwsze skinienie i wieść o niebezpieczeństwie.

Nikt tej nocy o śnie nie pomyślał, psy wyły niespokojnie. Na próżno starano się je uciszyć, przypadły na chwilę i wnet na nowo żałobne to zawodzenie, które za złą wróżbę uważano, rozpoczęły.

Nad rankiem gromadka parobków ściągnęła z osad nad rzeką z lasu: lud zdziczały i nędzny, niewyglądający wojowniczo.

Dzień robić się zaczynał, gdy chłopak wysłany na czaty, konia co tchu pędząc, nadbiegł, wołając:

— Jada! jada!

I zsunąwszy się z konia, padł dysząc na ziemię. W zagrodzie ruszyło się wszystko, stary swoich ludzi rozstawił tak, aby ich widać nie było, ani przygotowań do obrony.

Chata widziana z dala przybrała pozór codzienny, ale parobcy, ukryci za tynami, po szopach, na ziemi leżący, gotowi byli skoczyć na pierwsze pana skinienie.

Stary, żadnej broni nie wzięwszy, boso, w koszuli, na ramiona tylko narzuconej siermiędze, z odkrytą głową u wrót stanął.

Z dala już coś tętnić zaczynało, rozeznąć było można jadącą liczną konną gromadę, a wkrótce głosy, śmiechy jej i nawoływania.

Okolo zagrody cisza panowała, bocian tylko klekotał na gnieździe gospodarząc, jakby i on chciał oznajmić o jakimś niebezpieczeństwie.

Nagle z zarośli ukazała się czapka Smerdy i dzidy kilku jezdnych... tuż za nim. Spodziewali się znać zastać zagrodę nieprzygotowaną i byli bardzo wesołej myśli.



## IX

Smerda z dala już starca zobaczył, odwrócił się do swoich, dał im znak, drużyna się rozstała, rozbiegła i poczęła zagrodę otaczać ze wszech stron, jakby się obawiała, aby się z niej kto ucieczką nie ratował.

Dowodzący samoczwart podjechał bliżej, bezpiecznie nie spodziewając się wcale, by tu nań oczekiwano... Sambora ucieczka nie została dostrzeżoną.

Wisz ciągle stał we wrotach z głową podniesioną oczekując bez trwogi zaczepki. Zdawał się bezbronnym, co Smerdę też ośmielało.

Drwiąco począł się uśmiechać kneziowski sługa, patrząc na niego.

— A ja znowu do was w gości! — zawołał z dala — toście mi być powinni radzi...

— Jam zawsze gościom rad — odparł Wisz spokojnie.

— Kneź wam pokłon śle i do siebie prosi na koźle udo, na miodu czasę, na drużbę i rozmowę — szydersko ciągnął dalej Smerda — a żeby prędzej was mieć, aż mnie po was przysyła...

Wisz zmilczał trochę.

— Nie byłbym od tego, aby mu się pokłonić — rzekł zwolna — alem ja stary, a on młodszy. Ja pan u siebie, on na grodzie... jeśli co do mnie ma, posłów znajdzie...

Smerda konno podjeżdżając coraz bliżej mrucał.

— Milcz ty, stary zuchwalcze! ty niepoczcziwy, nieposłuszny — zakrzyczał nagle — ja tu na ciebie sąd wiozę i powrozy! Tyś to wiece śmiał zwoływać?

— A no... ja! — rzekł Wisz spokojnie — ja... każdy z nas starszyn po mirach ma do tego prawo. Tak z wieków bywało i tak będzie póki nas stanie.

— Nauczmy my was wieców — zawrzęszczał Smerda i stanąwszy tuż przy starcu ręką się zamierzył na niego. Stary zwolna ustąpił.

— Jedliście chleb pod moim dachem — rzekł — nie

życę wam zła... ustąpcie, proszę, precz... i powiedzcie kneziowi, że wiec się zbierze, choćby mnie między żywymi nie było.

Domawiał tych wyrazów, gdy Smerda na swoich zakrzyknął i gromadą całą rzucił się na nieustraszonego starca, który teraz dopiero miecza dobył spod poły. Zza płotów, tynów, ścian wszystkim jego lud, synowie, czeladź wyrwała się z ogromnym wrzaskiem, napinając łuki i zamachując procami. Ale Wisz ten zapęd skinieniem ręki powstrzymał.

Kneziowscy ludzie, niespodzianym ukazaniem się obrońców trochę przerażeni, w tył się cofnęli.

— Będziemy się bronili! — zawołał stary — idźcie, jeśli nie chcecie, aby się tu krew polała... A tobie — rzekł, zwracając się z gniewem do Smerdy — tobież to przystało napadać na swoich i służyć obcym?... Ty, niewolniku podły!

Smerdzie twarz cała krwią zapłonęła, targnął się i swoich, co stali opodal, zaczął beczceścić.

— Bij a morduj! — krzyknął.

Strzały poleciały z obu stron.

Parobcy Wiszowi, którym pilno było wziąć się za bary z napastnikami, poczęli się cisnąć i przeć do wrót, do których z drugiej strony Smerda się dobijał ze swoimi.

Stary Wisz pozostał w środku tej kupy, cofnąć się nie mogąc. Płot i wrota trzeszczały od nacisku, łamiąc się kawałami.

Starszy syn gospodarza, Ludek, zasłaniając ojca ciał po łbie Smerdę i czapkę mu rozplatawszy, głowę rozkrwawił, ale razem prawie dzida, którą kneziowski sługa w rękę trzymał, utkwiała w piersi starego Wisza... koszula jego zaczerwieniła się krwią, która buchnęła z rany.

Stary ręką drżącą pochwycił pocisk, tkwiący już w nim i zdruzgotał jeszcze... ale żeleźce i kawał drzewa zostało w ranie. Wisz posłonił się z krzykiem i padł na ręce syna.

Na widok trupa tego, gdyż stary z jękiem w jednej

chwili wyzionął ducha, wszystko, co żyło, rzuciło się wściekle na ludzi grodowych. Walka rozpoczęła się nie na łuki i proce, ale na pięści i zęby, chwyтали się za barki i walili się o ziemię.

Z tyłu wdarli się na ten hałas ci, co zagrodę obsta-  
wić mieli, i wmieszali się niespodzianie popłoch rzuca-  
jąc na gromadę obrońców.

Trwoga trwała tylko chwilę, stojący w podwórzu zwrócili się ku napastnikom i zwarli, drudzy u wrót z zaciętością walcząc na swoich śmieciakach, odpierali kupkę Smerdowych ludzi.

Widok leżących na ziemi we krwi zwłok starego Wisza zajadłość powiększył.

Liczba z obu stron prawie równą była... Za starca, który padł, kilku Smerdzie zabito, sam on ranny, gdy mu oczy krwią zapływały, ustąpić musiał i począł wołać na swoich, aby się cofnęli.

Co pozostało grodowych pachołków, wyparło się z podwórza, kupiąc około dowódcy i z nim razem ustępując ku brzegowi rzeki; Wiszowi dali im odejść zostając przy obronionej zagrodzie, ścigając ich tylko łajaniem i krzykami.

Obie strony dosyć miały tej walki krwawej.

Znad brzegu rzeczki podnosiły się tylko głosy i wrzawa, której od wrót odpowiadano.

— Psie syny! niewolniki! raby!

— Gady! żmije!...

Podobnymi wyrazy ciskano na siebie z obu stron długo, grożąc z jednej pięściami, z drugiej oszczepy podnosząc w górę...

— Chodźcie tu! — wołali jedni.

— Zbliżcie się — odpowiadali drudzy.

Tymczasem w krzakach nad rzeką Smerdzie obmywano głowę; a synowie ciała ojca podniósłszy nieśli je złożone w izbie na postaniu... nieśli i płakali, a krzyczeli...

Nikt walki na nowo rozpoczynać nie myślał. Głosy ucichły powoli.



Widocznym było, że Smerda ze swoimi ustąpi i zaniecha dalszej napaści. Widocznie Smerdzie dostatecznym się zdawało, że winowajca zginął, a ani on, ani ludzie jego nie chcieli życia stawić, nie czując się silniejszymi.

Pokładli się tylko nie opodal od wrót obozem z końmi i grożąc, pozostali do wieczora. Musiano też naprzeciw nich straż postawić, aby się nocą niespodzianie nie rzucili, bo im jeszcze nie dowierzano. Gdy mrok zapadł zupełny, ucichło nad rzeczką, jak gdyby po walce się wylegiwali.

Dopiero nierychło chłopak na brzuchu podpełznąwszy dojrzał, że korzystając z ciemności kneziowscy ludzie w bród przebyli wodę i drugim brzegiem, znać, nazad po cihu odciągnęli od grodu.

Rozstawiwszy więc czaty mogli już wszyscy spocząć.

Drogo to był kupiony odpoczynek.

W świetlicy na posłaniu swym leżał trup starca blady, ręką jeszcze ściśniętą trzymając złamane drzewce, które tkwiło mu w piersi, oblanej zastygłą krwią czarną. Łuczycywo paliło się na ognisku, dwaj synowie siedzieli i płakali. Nie było nawet komu o pogrzebie pomyśleć, bo niewiasty wszystkie jeszcze były w lesie.

Dano im znać, pobiegł Sambor hukając w umówiony sposób, lecz nim mu na głos jego odpowiedziano, nim nadeszła żona, córki, synowie, sługi i wnuk, noc już była w połowie.

Wśród ciszy lasów z dala ten pochód żałobny słyhać było.

Szły płacząc, rycząc, śpiewając, zawodząc, włosy rwąc z głowy, a puszcza jękiem rozlegała się daleko.

Przodem szła stara Jaga, siwe włosy rozpuściwszy na ramiona, z rękami załamany, z zamkniętymi powieki. Pod ręce wiodły ją córki zrzuciwszy z głów wianki, rozplótłszy kosy, podarłszy odzież na sobie. Tylko Dziwa szła milcząc i jakby martwa.

Lament ten, płacz i razem pieśń jękliva wszystkich przejęły smutkiem i grozą... Mężczyźni wtórowali.

Otworzyły się drzwi i cały ten orszak niewieści wtoczył się, jak pijany rozpaczą, biegnąc aż do zwłok starca. Tu popadały na ziemię wszystkie i tarzać się zaczęły.

Ogień przygasł był na kamieniach, przyrzucono pęk łuczywa i w blasku jego przedstawił się obraz ten tak strasznie, tak boleśnie, że ci, co już płakali dzień cały, na nowo ryczeć poczęli.

W podwórzu wyły psy, w szopach odzywało się strwożone bydło, konie rżały.

Nareszcie Dziwa wstała z ziemi. Stara Jaga ruszyła się za nią, płaczki tylko zostały zawodząc i śpiewając pieśni... Matka i córka szły zmarłego do mogiły odziewać.

Żalnik i zgliszcza dosyć były oddalone; znajdowały się w lesie na polance piaszczystej. Poszli więc parobcy drzewo przysposobić na stos, kamienie gotować do grobu, bo ciała nie chciano długo trzymać niespalonym, ażeby duch mógł prędzej wzlecieć do ojców i braci.

Noc to była znów bezsenna i łzawa...

Nad rankiem już stary Wisz siedział na ławie, podparty tak, że się żywym niemal mógł zdawać jeszcze. Najlepszą odzież nań włożono, najpiękniejszą broń przypasano do pasa, czapkę z kitą miał na głowie, łuk na plecach, procę, kamienny topór ojców i dłut z krzemienia.

Siwy koń, na którym ostatnią podróż odbywał, stał przeznaczony, aby z nim spłonął na stosie...

U nóg nieboszczyka, na ziemi, siedziała Jaga z głową spuszczoną, ubrana w najpiękniejsze swe suknie, w sznurach bursztynu i świecących naramiennikach; siedziała i jęczała po cichu...

Dalej płaczki z rozrzuconymi włosy, bijąc w dłonie, drapiąc twarze i piersi, śpiewały pieśni rzewne... W głębi stali synowie na rękach podparci, łzy ocierając po cichu...

— Odszedłeś od nas — wołały płaczki — nie ma cię, panie... osierociłeś nas biednych... Poszedłeś, panie, do ojców twoich, do duchów jasných, wojować z czarnymi

duchy... Wszystkoś na ziemi miał, czego dusza zaprag-  
nie... Ziemie rozległe, zwierza dostatek, trzody bez liku,  
zboża zasieki, ulów tysiące, chleb i miód biały... I mi-  
łość miałeś u ludzi... Żonę ci wierną, dzieci posłuszne,  
czeladź pokorną i konie rączne... Rzuciłeś wszystko...  
i nas... i dzieci... i nigdy do nas nie wrócisz... Patrz na  
sieroty, włosy rwą z głowy, słyszysz ich jęki... otwórz  
powieki. Wiszu, wojaku niezwyciężony, wróg na cie  
napadł zdradliwie... krew twa będzie pomszczona, zemsta  
niesyta, z twojego rodu ostatni pójdzie mścić ją, dopóki  
stanie zabójców plemienia...

Śpiewy te żałobne powtarzały się bez końca. Dzień  
już był, gdy dano znak do lasu, że na zgłiszczu stos  
był gotowy. Parobcy dali znać sąsiadom, prosząc na  
chleb żałobny.

Cały pochód ruszył z zagrody. Czterej parobcy nieśli  
siedzące zmarłego ciało, za nim wiedziono konia, pro-  
wadzono psy, niesiono broń i szaty. Płaczki kołem ota-  
czały zwłoki, pieśni ciągle zawodząc nowe i przeraźliwe  
wydając jęki, za nimi szedł guślarz, Słowan, ze spuszczo-  
ną głową i Jaga, którą wiodły córki pod ręce; cała lud-  
ność aż do dzieci wysypała się ze dworu, który pustką  
otwartą pozostał.

Do zgłiszcza trzeba się było przez las przedzierać, le-  
żało bowiem na otaczającym je wzgórzu, wśród gęstego  
boru, który doń obcym bronił przystępu. Miejsce było  
piaszczyste, gdzieniegdzie dziewannami i piołunem bla-  
dym porośłe. Trochę trawy wyschłej zieleniało wśród  
kamieni starych, których rzędy oznaczały dawne mogiły.

U wnijscia, na ubitym tokowisku, wznosił się ogromny,  
szeroki stos z bierwion sosnowych, który utrzymywały  
cztery grube pale, wbite po rogach. Niedaleko od niego  
widać było przygotowane popielnice, garnki, miski i drob-  
ne gliniane naczynie, w które popioły i ofiara obecna  
mieścić się miały, chleby — kołaczki, mięsiwa, piwo  
i miód, na tryznę przygotowane. Piękne słońce majowe  
i niebo jasne dodawały uroczystemu obrzędowi powagi



i spokoju, jak gdyby dobre duchy cieszyły się przyjęciem starego kmięcia.

Niewiasty wszystkie kołem otaczały Jagę milczącą, ubraną jak na weselne gody i po kolei całującą dzieci swoje, jakby je na wieki żegnała. Nie mówiła nic, ale wszyscy czuli i wiedzieli, że na stos pójdzie za towarzyszem życia i nie zechce pozostać sama, osierocona, na ziemi.

Wśród jęków płaczek wniesiono na stos ciało, umieszczając je w pośrodku, przy nim składano z kolei wszystko, czego zmarły potrzebował za życia do pracy i łowów. Kłody sosnowe, poukładane jedne na drugich, wiodły jakby wschodami do góry, gdzie Wisza trup stał, otoczony orężem i odzieżą.

Jeszcze go przymocowywano, gdy Jaga pocałowawszy w głowę Dziwę krokiem powolnym ruszyła do stosu. Przypadli do niej synowie, powstrzymując, ale ich odtrąciła z lekka; przystąpiły córki jeszcze, dała im znak, aby uszły z drogi; rzuciły się z płaczem wnuczki wołając na nią, wskazała matkom, aby je wzięły na ręce... Szła tak aż do stosu, stanęła chwilę, popatrzała na stojących, na biały świat szeroki i śmielszym krokiem wstępować zaczęła po drzewach coraz wyżej, na szczyt sam, aż tu padła u stóp męża i objąwszy nogi jego rękami, nieruchomie przy nich została...

Jęk płaczek wznosił się coraz przeraźliwszy. Przeprowadzono siwego i na stosie uwiązano go u słupa, skrępowawszy mu nogi. Przy nim postawiono psy ulubione... Płaczki zaczęły obiegać stos dokoła, jakby w szalonych susach, miotając się i krzycząc. Nareszcie po czterech rogach zażegnieto razem ogromne kupy łuczyny smolnej, której pod spodem i po bokach nagromadzono niemało. Podpalone, zajęły się nagle szybko płomieniem jasnym i w mgnieniu oka drzewo przepojone smołą stanęło jednym ogniskiem ogromnym. Dym i płomień zakryły zwłoki.

Jęki zmieniły się w krzyk rozpaczliwy, dym wił się

kłębami sinymi dokoła, obejmując stos z boków, od spodu i buchając spomiędzy kłód, około których się obwijał. Niekiedy mignęły tylko jeszcze siedzące zwłoki i u nóg niewiasta lub koń, który się rwał, na próżno siłąc się uwolnić... Ogień z chciwością stos pożerał... a na chwilę wiatrem lekkim przytłumiony, powracał z podwojoną zjadłością po swą pastwę wciskając się wszędzie, syzcząc, pryskając i zdając się chłonać stos sobie przeznaczony, jak wygłodzona jakaś istota... Łuczywa już przezeń zjedzone opadły czarnymi drzazgami, grube kłody paliły się całe, rubinowymi okrywając węglami. Wiatr jakby umyślnie zesłany, zrazu lekki, wzmagał się, podzegał jeszcze ten pożar, na który wszyscy patrzyli z uroczystym przejściem i trwogą. Zdawało się im, że ujrzą ze stosu ducha ulatującego w górę.

Była też to chwila, w której odegnać należało złe siły, czarne bogi, i czterech parobków na koniach z dzidami w rękach poczęli szybko obiegać stos dokoła z wraskiem wywijając nimi... Wtórowali im wszyscy przytomni bijąc w dłonie, podnosząc ręce w górę, podrzucając oszcypy.

Stos płonął ciągle. Zza kłębow dymu, zza jasnych płomieni widać jeszcze było szerniałe zwłoki i u stóp ich wyciągniętego trupa, na którym bielizna płonęła: to znowu osłaniały je dym i ogień wybuchający od dołu, aż kłody u dołu kruszyć się, łamać i opadać zaczęły. Oba ciała osunęły się w ognistą, żarzącą głębię i znikły... Stos stał rozżarzony, jak jedno płomień ogromne, w którym tylko sterczące pale rozeznac było można. Pieśni ucichły... Duchy wleciały... Dzieci rzuciły jeszcze w płomień, co które miało najdroższego, co ojcu na drugim świecie służyć mogło... oręż, kawałki kruszcu, kamienie...

Tymczasem służebne napełniały misy, niecki i garnki strawą i obiatami dla żywych i umarłych, grobową dla duchów ofiarę.

Zarzewie na zgłiszczu, coraz się zmniejszając, z wiel-

kiego stosu stało się małym ogniskiem, kupą węgla czarnych i popiołu. Zsuwano głównie, aby dogorywały, czując, aż ogień święty sam przygaśnie...

Słońce już zapadało, gdy nareszcie dogorzały reszty, a zgliczcza wodą, przyniesioną ze świętego źródła, zwołna zalewać zaczęto.

Na ten czas przystąpiły niewiasty, niosąc popielnicę glinianą, aby w nią zagarnąć niedogorzałe resztki kości, węgla i wszystkiego, co razem ze zmarłym przez ogień zniszczone poszło z nim na świat drugi. Aż do najdrobniejszych szczątków i prószyn zmieciono węgle, popioły, okruszyny, niedogorzałe kostki, niedopalone sprzętów obłamki.

I ruszył znowu orszak żałobny, niewiasty, mężczyźni, dzieci, niosąc popielnice, garnuszki i ofiarne miski ku miejscu, gdzie miano sypać mogiłę, obok Wisza ojców i braci. W pośrodku z urną stanęły zebrane szczątki, dokoła przy niej miski ofiarne. Popielnice pokryto wiekiem. Dzieci cisnęły się aby każde mogło swą drobną dań pomieścić na grobie... Wśród nowych zawodzeń i pieśni zaczęto z pośpiechem sypać ziemię na mogiłę.

Niewiasty siedziały kołem, zawodziły i płakały, lecz pieśni już płynęły spokojniejsze, duch uleciał... Noc zapadła, gdy się pagórek żółty wznosił nad popiołami Wisza.

Na żalniku zapalono stopy łuczywa i rozpoczęto ucztę żałobną.

Ludzi zgromadziło się wiele z okolicy, ugaszczano wszystkich, do wszystkich przepijano... Stały otwarte kadzie z piwem i miodem, którym się krzepili znużeni i pragnienie gasili pracujący u mogiły. Około mis i niecek z mięsiwem siedziały kupy gości, oddzielnie mężowie, osobno i z dala niewiasty.

Wtem gęśla zabrzczała i cisza nastąpiła wielka, gałęzi tylko w lesie wiatr szumiał z dala... Słowan dobywał z piersi głosu :

„Pusty w lesie dwór stoi, dzieci twe ojca nie mają...”



Poszedłeś, stary, do swoich, na miód biały i biesiadę...  
Stary woju... woju stary... włosy miałeś jak śnieg białe,  
ale młode jeszcze dłonie... Któż policzy, kto wyśpiewa,  
coś ty zostawił na ziemi... ile z rąk twych padło zwie-  
rza, ileś rojów wypiastrował, ile wrogów ty zabiłeś, iluś  
nakarmił ubogich... Wiszu stary, Zboja synu, już nie  
wrócić ci do świata... Ziemiąśmy cię przysypali, popiół  
twój łzami poleli, poszła z tobą żona wierna, koń twój  
miły, róg twój głośny... Wiszu stary, Zboja synu, nie  
powracać ci na ziemię... a po jasnym latać niebie... mło-  
tem Niemców zbijać duchy... Stos ci wielki zapalili, obiaty  
ci nie skąpili... O Łado! Łado! Lado!...

Za starym wszyscy wołali: Łado! i rozległo się wo-  
łanie po zgliszczu, żalniku i lesie.

Ludek też zawodził, pół śpiewając, pół mówiąc, pół  
płacząc, a kubek z miodem trzymając w ręku.

„Ojciec dobry! Wiszu panie, za krew twoją mścić się  
będziem. Krew za krew muszą dać, życie muszą dać za  
życie! Krew za krew!...

Cała męska rodzina zmarłego krzyknęła jednym głosem  
ręce podnosząc do góry:

— Krew za krew!...

Za Ludkiem stał przybyły Doman i podniósłszy też ku-  
bek w górę, głośno zawołał:

— Krew za krew!

Oczy wszystkich skierowały się ku niemu, stał smutny  
i on, jakby własnego ojca utracił... i począł też wołając  
na pół pieśnią, pół słowem, pół płaczem:

— Stary Wisz niech się pocieszysz! stanie się, czego on  
żądał, spełni się, co on przykazał... Idą więc, lecą wici...  
i starszyzna już zwołana. Strach na grodzie... Chwostek  
blady niewolników zbiera... Na wiec pójdziemy, poniesie-  
my krwawą suknię i koszulę, przed starszyzną poło-  
żymy... i o zemstę zawołamy...

Wtórowali mu niemal w każde słowo bliżej siedzący,

pokrzykując i kubki podnosząc. Młodzież odgróźki i przekleństwa rzucała coraz w stronę grodu, ku Gopłu zwracając twarze i ściśnione pięści.

W miarę jak kadzie się wypróżniały, gwar się powiększał: starsi o zmarłym rozповідаć zaczęli, jak on młody wiek spędził w znoju i boju, jak dokazywał w pierwszej życia połowie, jak swoich kochał, jak oni go kochali, jak świętym był dlań gość i zemsty pragnienie.

Niewiasty także, siedząc na uboczu, śpiewały cichym głosem...

I trwało to noc całą do dnia białego, i przeciągnęło dzień drugi i noc, a nie skończyło aż trzeciego... Młodzież ciskała oszczepy, biegała na wypródki do celu pieszo i konno, rzucała kamieniami, próbowała sił, borykając się z sobą, aż napoju się przebrało i znużenie wycieńczyło. Dopiero się wszyscy rozchodzić poczęli, mogiłę żegnając jeszcze, a okładając ją gałęziami zielonymi.

Doman ze swym dworem dotrwał do końca, a gdy bracia zgłiszcze i żalnik opuszczać mieli, poszedł z nimi, przeprowadzając ich ku zagrodzie.

Na pół drogi zatrzymał braci.

— Słuchaj, Ludek — rzekł — albo to pora, albo nie, mówić o takiej sprawie... a ja chcę z serca zrzucić, co na nim mam... Siądźmy i gadajmy.

Posiadali więc u dębu, a Doman braciom ręce podając począł:

— Ja z wami... ja wam bratem chcę być, będziecie wy mnie też.

— Zgoda! — odparł Ludek, który po ojcu odziedziczył ten sam umysł spokojny i męstwo, jakie miał stary; nie mówił łatwo, ni wiele, ale co rzekł, to strzymał, choćby krwią przyszło polewać.

— Co myślicie poczynać? Ojca trzeba pomścić... nie może inaczej być. Smerda go zabił... Smerdę zabić mała rzecz, ale on nie swoją uczynił wolę... Co myślicie poczynać?

—Dobrzeście wprzódy rzekli, — odparł po namyśle Ludek — zaniemiemy na wiec krwawą suknię i koszulę, położym przed starszyzną i rzeczymy: — zginął Wisz za was, za wiec, niech wiec stanowi o pomście za krew jego.

Spojrzeli po sobie...

— Pewnie — odezwał się Doman — niech starszyzna wyrzecz, a nie będziecie mieli ręki, aby się upomnieć o krew, by darmo nie wsiąkla, ja wam swoją ofiaruję...

Tu zawahał się nieco Doman i oczy mu zabłyśły, ale spuścił je wnet, jakby zawstydzony.

— Ja wam bratem być chcę... bratem... — dodał.

— My tobie braćmi! — odezwali się obaj synowie Wisza i podali sobie ręce znowu.

— Nie stało mi czasu starego Wisza prosić, będę wam mówił o tym... Siostrę waszą chcę wziąć...

Była chwila milczenia; obyczaj ówczesny, który po starszeństwie brać przykazał, nie zostawiał wątpliwości, że mówił o Dziwie. Ludek zwiesił głowę.

— Domanie, bracie — rzekł — Dziwa męża nie chce znać... Nie nowa to rzecz, bogom się ślubowała... To nie jest niewiasta do dzieci, do kądzieli, do garnków, ale do ognia świętego, do zdroju, do pieśni i wróżby. Żony z niej nie będziecie mieli... Dałbym ją wam z serca... a przeciw ślubowi bożemu jak mi stać?

Zamilkli znowu; Doman głowę zwiesił, brodę szarpał i mrucał.

— O! — rzekł — niejednej się to dziewce śni, a jak ją weźmie mąż, zapomni... Mnie się ona upodobała z urody i ze wszystkiego... Dostatek u mnie będzie mieć, kniehinia ją uczynię, ptasiego mleka chyba zabraknie...

Ludek głową wciąż potrzasał.

— Co ja poradzę — rzekł. — Z bogami i duchami ja wojować nie chcę... a młodszą, gdybyście chcieli, dam



chętnie. Nie brzydsza od niej, nie gorsza od niej... ta, choćby i popłakała, weźmiecie ją...

Spojrzał na Domana. Ten, liść urwawszy, do ust sobie przylepił i gdzie indziej patrząc, milczał; wzgardzić nie chciał, a wziąć nie mógł... Aż gdy liść odpadł, rzekł powoli:

— Dziewce gdybyście kazali, musiałyby posłuchać, wy teraz panem jesteście we dworze, co każecie, musi być... Każdej z nich się roi bogom służyć i duchom, a czy przeto ich słuchać?

— Ja przykazać jej nie mogę — rzekł Ludek spokojnie.

Domanowi twarz się marszczyła i oczy pałały, a dy-szał, jakgdyby się tylko co zmęczył.

— Ej! — zawołał — takie to braterstwo wasze? Dać mi jej nie chcecie, bo może od drugiego lepszego się okupu spodziewacie...

— Domanie, bracie, okupu nie potrzebuję... prawdę mówię...

— Chcecie, bym wam bratem był, bym pomstę z wami wziął, siostrę mi dajcie — powtórzył Doman.

— Młodszą wam dam...

— Starszą chcę, albo żadnej.

— Nie mogę! — odezwał się stanowczo Ludek.

Doman wstał z siedzenia, swoim obyczajem liść znowu urwał, na ustach go położył i kilka kroków odszedł.

— Ojciec wasz byłby mi ją dał — zawołał prawie gniewnie.

— Nigdy...

— Chcecie mnie mieć z wami i za wami? Stanę... ale ją muszę mieć, a nie, to nie...

Ludkowi się brew namarszczyła i drgnął niecierpliwie powtarzając:

— A nie — to nie!

— Więc — nie! — wybuchnął porywczy Doman —  
wolicie we mnie mieć wroga, niż brata!

— Kupić was nie mogę, obejść się muszę... — rzekł  
Ludek zimno.

Chłopak się rzucił w tył, cały drżąc z gniewu.

— Ludku, bracie! źle czynicie, mówię wam! Dla  
dziewki ojca w mogile pocieszyć nie chcecie utoczoną  
krwią... Hejże! hej!...

— Słowom rzekł — mruknął Ludek — nie mogę...

— Druhów wam teraz trzeba, a nieprzyjaciół sobie  
robicie! — szydersko dodał Doman — rozumu nie  
macie...

Spojrzeli sobie w oczy; Ludek hamując się powtórzył  
raz jeszcze:

— Nie mogę.

Doman się zerwał już iść.

— Nie chcecie dać po dobrej woli, to ja kiedyś wezmę  
siłą...

— A — no!

— A — no!

Ostatnich słów domawiając zaczęli się cofać od siebie,  
ciągle sobie patrząc w oczy. Ręk już sobie nie podawali.  
Młodszy brat stał milcząc za Ludkiem, który dłoń teraz  
ojca zastępował.

Doman kołpak nasunął gwałtownie na oczy i odszedł.  
Konie jego stały opodal nieco ku zgliszczowi, milczący  
powłókl się do nich, zatętniało, odjechał.

Ludek stał jeszcze czekając, czy się nie wróci posły-  
szawszy tętent, ruszył się i on.

W gąszczach słychać było, jak pędzili w las i psy za  
nim lecąc ujadaly.

Po drodze Ludek z bratem spotykali swoich, co się na  
zagrodę wlekli pośpiewując. Tryzna i stypa więcej  
niż bój i walka ich znużyły... szli smutni, zataczając się  
i przystając dla spoczynku...

Nazajutrz w zagrodzie życie powróciło do trybów po-

wszednich, niewiasty stały u ogniska. Dziwa siedziała u krosien, sługi żarna obracały, gotowano strawę, krzątano się około stada, bocian klekotał na szopie, a sroki krzyczały, skacząc po płotach. Ruch był tym większy, że pogrzeb wszędzie po sobie ślady zostawił, a starej Jagi, co niewiastom przewodziła, nie było. Miejsce jej zajęła żona Ludkowa, tak jak mąż jej władzę nad gromadką po ojcu odziedziczył.

Wieczorem na przyzbie przed chatą siedziały dwie siostry, Dziwa i Żywia, sparszy głowy na ramionach swoich, obejmując się rękami... patrzyły gdzieś na lasy i dumaly, i nuciły... Ludek wyszedł od rzeki, ręce w tył założone trzymając, z głową na piersi spuszczoną. Zobaczywszy go przed sobą, dziewczęta wstały. Zatrzymał się przed nimi. Dziwa podeszła krok ku niemu.

— Po coś ty Domana oczarowała? — rzekł powoli.

— Ja? — rumieniąc się zawołała dziewczyna — i czarów nie znam, i Domana znać nie chce...

— Braterstwo nam wypowiedział za ciebie... — mówił Ludek. — Chce cię mieć... odgraża się nam...

— Jam bogom ślubowała — spokojnie mówiła Dziwa.

— Wie o tym... a znać nie chce...

— Cóżem ja winna?

Żywia, stojąca za siostrą, to na nią, to na brata ciekawymi rzucała oczyma. Milczeli...

— E! Dziwa — ozwał się Ludek — lepiej by było z nim żyć, brata mieć, niż wroga sobie napytać...

Potrzęsała głową, dwie łzy popłynęły jej po twarzy, spojrzała na brata uśmiechając się błagalnie.

— Nie siłujcie mnie — rzekła cicho — zostawcie Dziwę w pokoju. Będę wam w krosnach tkać, będę pieśni śpiewać, wodę nosić ze źródła, w wianku chodzić zielonym...

I pokłoniła się do nóg brata, a Żywia, nic nie mówiąc, jakby za nią też błagała, pochyliła się ściskając go za kolana.

Ludek głowę spuścił i odszedł milczący.



Żmijowe uroczysko leżało otoczone borami dokoła, jakby zapomniane od wieków żadna doń nie wiodła drożyna. Moczary i trzęsawiska prawie nieprzebyte otaczały go z trzech stron. Z prawej tylko wąski klin ziemi twardszej przystęp do niego otwierał. Niegdyś przed wieki, gdy narody wędrując, pierwszy raz się osiedlały na nieznanej ziemi, tu być musiały pierwsze gromad obozowiska.

Tu się potem na pamięć ową zbierały starszyny dla narady. Horodyszczce opasane było niskim, wklęsłym w ziemię wałem zielonym. W środku opuszczona dawno stała z dachu prawie odarta szopa, której słupy się chyliły w różne strony. W ścianie brakło płota już opadłego na ziemi i zgniłego. Oprócz tego szerniałego szczątka budowl, na horodyszczu nie było nic, ani drzewa, ani kamienia, pokrywała go darń, skąpe zioła i stare kretowiny. Okolica jak miejsce była smutną. Jak sięgnąć okiem, widnokrag opasywały lasy czarne. Z dała na prawo leżało małe jezioro na pół trzcunami zarosłe, w lewo gdzieś ukazywała się z błota rzeczulka zgniła, płynąca trzęsawiskami nieprzebytymi. Płaczliwe głosy czajek głuszyły śpiew leśnego ptactwa. Niespokojnie zwijały się tu one nad niezliczonymi gniazdami swymi, jakby od nich nieprzyjaciela odpędzać chciały.

Tam, gdzie horodyszczce do ładu przypierało, las stary stał na straży.

Był to przeddzień Kupały, na który wiec zwołano. Kmiecie i władcy wiedzieli już, jaki los spotkał Wisza za to, że pierwszy ich na wiec powołał. Śmierć jego nastraszyła wielu, rozjątrzyła innych i pobudziła jeszcze do narady dla ratunku.

Na horodyszczce od strony lasu dostać się było można, ale kto na nie chciał iść, musiał pomijać stary dąb na drodze stojący, na pół spróchniały, z oschłymi konary, który również jak uroczysko za poświęcony miano bogom czy

duchom tej ziemi. Widać pod nim było mnóstwo płacht na wół pognitych, z którymi u stóp jego składano choroby.

Małeńkie źródelko, sączące się nie opodal, służyło chorym do obmycia się z choroby, płótno do otarcia. Rzucano je potem pod dębem w tej wierze, iż z nim szła precz choroba. Aby zdrowie odzyskać, duchom je trzeba było rzuścić na pastwę. Stały tu i inne ofiary pleśnią okryte, przemokłe, liściem na pół zasypane, miseczki, dzbanuszki, ziarna bursztynu, kawałki sukna i sznurki powiązane w węzły jakieś tajemnicze.

U góry w dębie spróchniałym widać było dziuplę ogromną, jakby stworzoną na to, aby w niej pszczoły dzikie barci założyły. Lecz drzewo puste stało, wilgocią odstręczając, pszczoł w nim nie było. Dziupla stała próżna i czarnym swym otworem jak paszczą ziała jakoś dziwnie, straszno.

Dokoła korę obsiadły zielone mchy jak aksamit świecące, porosty żółte, nawet trawy blade, które się na przegniłych pasożytach czepiały.

Nie rozedniało jeszcze dobrze, gdy się szelest dał słyszeć w pobliskiej gęstwinie. Ostrożnie coś się pod dębem prześlizgnęło, przycupnęło, rozsluchało i gdy wszystko milczało dokoła, z ziemi się podniósł człowiek mały, w szarej guni, z głową okrągłą przyszczyżoną, z oczyma świecącymi, z usty szeroko rozciętymi, w których zęby małeńkie widniały. Obejrzał się raz jeszcze, posłuchał, rękami objął dąb, nogami się go uczepił i ze zręcznością dzikiego zwierzęcia począł drapać się ku górze. Niekiedy nastawiał ucha, to znów z pośpiechem wielkim laził ku dziupli, spoglądając ku niej niespokojnie.

Był to Znosek.

Drapanie się, mimo chropowatej dębu powierzchni przedkim nie było.

Drzewo grube łatwo się objąć nie dawało, mchy go śliskim czyniły, parę razy osunął się człowieczek i ledwie

Żmijowe uroczysko leżało otoczone borami dokoła, jakby zapomniane od wieków żadna doń nie wiodła drożyna. Moczary i trzęsawiska prawie nieprzebyte otaczały go z trzech stron. Z prawej tylko wąski klin ziemi twardszej przystęp do niego otwierał. Niegdyś przed wieki, gdy narody wędrując, pierwszy raz się osiedlały na nieznaney ziemi, tu być musiały pierwsze gromad obozowiska.

Tu się potem na pamięć ową zbierały starszyny dla narady. Horodyszcze opasane było niskim, wklęsłym w ziemię wałem zielonym. W środku opuszczona dawno stała z dachu prawie odarta szopa, której słupy się chyliły w różne strony. W ścianie brakło płota już opadłego na ziemi i zgniłego. Oprócz tego szerniałego szczątka budowli, na horodyszczu nie było nic, ani drzewa, ani kamienia, pokrywała go darń, skąpe zioła i stare kretowiny. Okolice jak miejsce była smutną. Jak sięgnąć okiem, widnokrąg opasywały lasy czarne. Z dala na prawo leżało małe jeziorko na pół trzcinami zarosłe, w lewo gdzieś gdzie ukazywała się z błota rzeczulka zgniła, płynąca trzęsawiskami nieprzebytymi. Płaczliwe głosy czajek głużyły śpiew leśnego ptactwa. Niespokojnie zwijały się tu one nad niezliczonymi gniazdami swymi, jakby od nich nieprzyjaciela odpędzać chciały.

Tam, gdzie horodyszcze do ładu przypierało, las stary stał na straży.

Był to przeddzień Kupały, na który wiec zwołano. Kmiecie i władzyki wiedzieli już, jaki los spotkał Wisza za to, że pierwszy ich na wiec powołał. Śmierć jego nastraszyła wielu, rozjątrzyła innych i pobudziła jeszcze do narady dla ratunku.

Na horodyszcze od strony lasu dostać się było można, ale kto na nie chciał iść, musiał pomijać stary dąb na drodze stojący, na pół spróchniały, z oschłymi konary, który również jak uroczysko za poświęcony miano bogom czy



duchom tej ziemi. Widać pod nim było mnóstwo płacht na wół pognitych, z którymi u stóp jego składano choroby.

Maleńkie źródelko, sączące się nie opodal, służyło chorym do obmycia się z choroby, płótno do otarcia. Rzucano je potem pod dębem w tej wierze, iż z nim szła precz choroba. Aby zdrowie odzyskać, duchom je trzeba było rzucić na pastwę. Stały tu i inne ofiary pleśnią okryte, przemokłe, liściem na pół zasypane, miseczki, dzbanuszki, ziarna bursztynu, kawałki sukna i sznurki powiązane w węzły jakieś tajemnicze.

U góry w dębie spróchniałym widać było dziuplę ogromną, jakby stworzoną na to, aby w niej pszczoły dzikie barci założyły. Lecz drzewo puste stało, wilgocią odstręczając, pszczół w nim nie było. Dziupla stała próżna i czarnym swym otworem jak paszczą ziała jakoś dziwnie, straszno.

Dokoła korę obsiadły zielone mchy jak aksamit świecące, porosty żółte, nawet trawy blade, które się na przegniłych pasażach czepiały.

Nie rozedniało jeszcze dobrze, gdy się szelest dał słyszeć w pobliskiej gęstwinie. Ostrożnie coś się pod dębem prześlizgnęło, przycupnęło, rozszluchało i gdy wszystko milczało dokoła, z ziemi się podniósł człowiek mały, w szarej guni, z głową okrągłą przystrzyżoną, z oczyma świecącymi, z usty szeroko rozciętymi, w których zęby maleńkie widniały. Obejrzał się raz jeszcze, posłuchał, rękami objął dąb, nogami się go uczepił i ze zręcznością dzikiego zwierzęcia począł drapać się ku górze. Niekiedy nastawiał ucha, to znów z pośpiechem wielkim laźł ku dziupli, spoglądając ku niej niespokojnie.

Był to Znosek.

Drapanie się, mimo chropowatej dębu powierzchni prędkim nie było.

Drzewo grube łatwo się objąć nie dawało, mchy go śliskim czyniły, parę razy osunął się człowieczek i ledwie

paznokcie zapuściwszy w korę, utrzymać się potrafił, ale wnet z nowym sił wytężeniem piął się znowu do góry.

Już prawie miał dosięść otworu, gdy nagle jakiś szmer dał mu się słyszeć we wnętrzu.

Z dziupli ukazała się głowa szara z najeżonym włosom, do kociej podobna, z oczyma żółtymi, z zębami białymi, z wąsami długimi, prychnęła groźno, klapnęła szczękami i zwierz wprost rzucił się na głowę człowieka.

Coś zaskowyczało i jęknęło, zwierz i człowiek razem stoczyli się na ziemię w jeden kłębek zwinięci. Stary pu-stelnik z dziupli obejmował małego człowieczka, ręce Znoska cisnęły wduszone w szyję napastnika. Widać już było płynącą krew — potem dwie pięści ludzkie schowały się we włosach zwierzęcia, ścisnęły gardło, otwarła się skrwawiona paszczyka, krwią zachodziły oczy żółte, które zbieleły i kołem stanęły... — ciało drgało jeszcze.

Znosek podniósł się z ziemi, ocierając krew, twarz miał pazurami podartą, głowę pokąsaną. Odetchnął, prychnął, plunął, po czasie skrwawionej powiódł dłonią i zduszonym, martwym już stworzeniem strzepnąwszy, uderzył parę razy o drzewo. Potem opasał się swoją zdobyczą i znowu spojrzął na górę, krew ciekącą ocierając rękawem. Pokaleczona głowa i dłonie nie wstrzymały go od nowego pokuszenia. Rozgrzany tą walką więcej, niż osłabły, począł się znowu drapać do dziupli dębowej, niosąc z sobą zduszonego nieprzyjaciela. Chwycił w końcu za krawędź wypróchniałą, zapuścił w nią palce, dźwignął się całym ciałem i zawisł nad czarnym otworem, spoglądając w jego głębie, to ku lasowi, w którego gąszczach szelest jakiś słyszeć się dawał z daleka.

Po chwili spuścił się do dziupli i znikł, szelest tylko, jakby liści suchych na dnie jej słyszeć było, później głowa wysunęła się ponad skraje, dwie ręce obok niej oparły na brzegach, patrzył. Szerokie usta mięsiste otworzył, białe zęby świeciły jak u żbika. — Syczał z bólu i śmiał się.

Z lasu coraz wyraźniej zbliżający się szmer słyszeć było, a w dziupli szybkie skrobanie paznokciami, aż póki

w spróchniałej korze nie przewierciły otworu, przez który oko bezpiecznie niepostrzeżone wyglądać mogło.

Skryty w dziupli mógł stąd policzyć idących i dojrzeć twarzy każdego.

Właśnie w tę stronę źrenice chciwie wymierzył, gdy gałęzie łamać się poczęły i konno jadący mężczyzna, którego kilku innych otaczało, ukazał się w pewnym oddaleniu. Jechał na siwym spasyłym koniu z długą grzywą, okrytym skórą, zamyślony, koniowi dając iść powoli; z oczów, które przed się wlepił, znać było, iż patrzył, nie widząc. Postać to była spokojna, poważna i piękna, człowiek już sędziwy, z brodą długą, białą i włosami na ramionach powiewającymi. Na głowie miał kołpak z niedźwiedziej paszczęki, której białe zęby nad czołem mu sterczały. Zwierz zdawał się grozić każdemu, ktoby się śmiał zbliżyć wrogo. W rękę trzymał na kiju, pstro wyrobionym i jakby białą obwiedzionym wstęgą, obuszek kamienny, świecący, wyrobiony sztucznie, który wiązanie z łyka plecione umocowywało. Od szyi obręcz miedziana, z kilku kół złożona, spadała mu na piersi, i okrywała je jak zbroja.

Jadący za nim w pewnym oddaleniu sługami być musieli, trzymali się patrząc skinienia i rozkazu; tylko jeden młodzian z głową podniesioną u boku jego stał, a miał uzbrojenie do tamtego podobne.

Zbliżając się do dębu starzec oczy zwrócił ku uroczysku i konia przytrzymał, widząc, że na nim pusto jeszcze było.

— Nikogo! — przebaknął.

— Nikogo! — powtórzył, pochylając się, drugi.

— Mielizby się ułęknać i nie przybyć? Możeż to być? Ani nawet ci, co zwoływali? a oni pierwsi być powinni!

To mówiąc, stary z konia się zsunął.

— Wy z końmi — rzekł — stać tu w pobliżu, paść i czekać.

— Ty, Mroczek, za mną pójdziesz... uczyć się, jak radzą starzy. Słuchaj, patrz, służ i ucz się.



Młodszy posłusznie głowę skłonił.

Wtem z drugiej strony nadjechali konni, Doman samotrzeć z ludźmi swymi. I on, nie dojeżdżając do horodyszczca, konia słudze oddał wskazawszy pastwisko, a sam ku staremu pośpieszył.

— Dniem wiecowym pozdrawiam was — odezwał się.

— Dniem wiecowym, bodaj szczęśliwym — odparł starzec. — Kędyż się Wisz dziewa?

Doman obie ręce podniósł ku górze i pokazał na obłoki.  
— Spaliliśmy zwłoki jego, płaczki go opłakały... z ojca mi pije miód biały.

Starzec ręce załamał.

— Zmarł? — zapytał.

— Zabito jest — rzekł Doman — zabito przez ludzi kneziowych, którzy na dwór jego napadli.

Słuchający głowę opuścił, ale krótko trwało przerażenie, podniósł wejrzenie, w którym gniew się malował.

— Myślmyż i my o szyjach naszych — rzekł — co jemu wczoraj, nam jutro.

Gdy mówili, z dala już tętniało znowu, tętniało coraz silniej, cały las pełen się zdawał, ze wszech stron wytykały się głowy koni i głowy ludzi, gwar się wzmagał, starszyzna kmieca nadciągała.

Dwoje oczów z dziupli patrzyło i dwoje uszów słuchać musiało, bo rozmowy pod samym dębem się toczyły.

Przybyli pozdrawiali się dniem wiecowym, ale twarzami smutnymi. Ze trzech liczba ich rosła do dziesięciu, do pół kopy... do soroka... do setki... Wszyscy jeszcze stali poza horodyszczem, gdy Ludek, syn Wiszów, nadjechał.

Zsiadłszy z konia przystąpił z pozdrowieniem do gromady i krwawą koszulę, a siermięgę, czarnymi plamami zbroszoną, rzucił pomiędzy stojących nie mówiąc słowa. Rękami tylko wskazał na nie. Oczy wszystkich zwróciły się na odzież zabitego, ręce zadrgały, czoła się pofałdowały.

Z pięściami zaciśniętymi otoczyli to lice gwałtu.

Później szmer przebiegł po gromadzie głuchy i urósł

we wrzawę, wśród której rozeznąć tylko było można nawoływania o pomstę krwawą.

Gdy się to działo, Doman odstąpił precz i milczał.

Zatem ruszyła się starszyna i ciągnęli zwolna ku horodyszczu. Ludek z ziemi podniósł odzież ojca, zarzucił ją na ramiona i szedł za nimi. Tak uroczystym pochodem, na czele mając siwych, weszli na uroczysko i pod chwiejącą się szope. Tu, nic nie mówiąc, każdy na ziemi zajął miejsce swoje broń składając przed sobą.

Drudzy opóźnieni nadjeżdżali jeszcze. Szerokim kołem rozsiadła się rada, sparli na rękach i dumali. Wielu brakło, innym z oczów patrzyło dziwnie, jakby słowa jeszcze nie rzekłszy już do sporu byli gotowi.

Nie ma już tego, kto nas tu zwołał — odezwał się Boimir stary, ale duch jego mówi, po cośmy tu przybyli. Radzić trzeba, aby stary obyczaj polański nasz nie ustał, abyśmy się w Niemców i niewolników nie obrócili a w kneziowe sługi. Wszędzie, gdzie mieszka mowa nasza, słowo, u Łużyczan, u Dulebów, Wilków, Chorbatów, Syrbów, Mazów, aż do Dunaju i za Dunaj biały, do sinego morza, w lasach i po górach... kneziowie na wojnach dowodzą, ale po mirach gromada wybiera starszynę, rządzi i sądzi i ziemię rozdziela, starostów i tysięcy stannowi, mir trzyma, bezpieczeństwa strzeże.

Chwostek się z Niemcy sprzęga, chce ze Stołba swego nam rozkazywać, nam, cośmy tam jego ród sami dla obrony posadzili. Wisza nam za to ubito, że śmiał wiec zwoływać!

Jęknięto kilku i głuche mruczenie słyszeć się dało po tłumie. Starcy głowami trzęśli.

Aż z prawej strony wstał mężczyzna czarno zarosły, średnich lat, rękę trzymając za pasem. Oczy, które miał dotąd w ziemię wlepione, podniósł i potoczył nimi, jakby w gromadzie swoich szukał.

— Bez kneziów — odezwał się — nie obejdziemy się... ładu nie będzie!... Najdą na nas Niemcy, a choćby i Pomorcy i Wilki, gdy im głód doje, a wściekłymi uczyni;

kto będzie wówczas dowodził, rozkazywał i bronił? Czy kneź, czy król, jak go tam zwać, musi być... a pod nim wy, choć jemu równi, żupany, bany, kmiecie i władcyki... i pospolity gmin... i niewolniki nasze... kneź musi być...

Zaczęto mruzczeć, czarny mówił dalej:

— Że się z Niemcami braci, a co złego, kiedy nam to pokój kupuje?

Mruczenie rosło coraz, aż zgłuszyło mówiącego, ale drudzy widocznie za nim obstawali.

— Kneź musi być — zawołał Boimir — a no... będzie! Kto przeczy? Inaczej by się od Niemca nie ostało... Niosą się oni do nas z mieczem i wiarą swą, z namowy i groźby... a oręż mają dobry i siłę wielką... i swoich kneziów, co lud prowadzą, jak parobek wołu w pługu... Nie obronim się im, samopas idąc... Kneziów trzeba! niech będą! ale nie Chwostków, nie tego rodu Popielowego, co już zapomniał, skąd wyszedł!...

— Nie!... nie!... — zawołano z jednej strony.

Ale z drugiej wszystko się zburzyło. Niektórzy wstawali i oczyma się mierzyli, policzyć już było można tych, co szli za i przeciw. A z piersi buchało jedno — przeciw drugiemu.

— Precz z Chwościkiem! — wołali niektórzy. — Precz z Chwostem!...

Drudzy wrzawę podnosili, aby tamto wołanie zgłuszyć.

Całą gromadą siedzieli poza Boimirem rozrodzeni Mieszkanie, których Myszami i Myszkami zwano, bo wielu z nich to imię nosiło... ci się podnieśli, najgłośniej wołając:

— Precz z nim!

— Nie co czynić zostało; tylko iść i to plugastwo w Gnieźnie wydusić... — krzyczeli.

— Lekko rzec — rzekł inny — a niełatwo tego dokażać. Daliśmy się im rozsiać, rozrodzić, zmóc, uzbroić, powagać z Niemcy, żony od nich potajemnie brać, namawiać się z nimi... dziś, byle skinęli, bronić ich będą. Ziemię nam zniszczą gorzej od Chwościka... ludzi w niewolę



nabiorą. Lepiej cierpieć swojego, co męczy, niż cudzego, co wypłeni nas, a sam posiedzie tę ziemię, na której popioły ojców leżą... Zamiast się rzucać nań, iść trzeba do Chwosta i powiedzieć mu w oczy...

— Iść!... żaden z nas stamtąd nie wróci! — krzyczeli Myszki — wszystkich pod grodem jak psów wywieszają... słów on nie posłucha.

— A siły my na niego nie mamy — wołał Rudan — nie mamy...

— Siła się znajdzie, byle wola była — ozwał się stary, ubogo odziany Piast.

Potakiwali jedni, część wielka siedziała w milczeniu, głowy pospuszczawszy.

— Cóż czynić? — pytali po cichu mniej śmieli patrząc sobie w oczy.

— Cierpieć — mówił Rudan — nie wieczny on, synowie będą lepsi.

— Na to ich właśnie Niemcy zaprawiają u siebie, polując z nimi na Syrbów — wtrącił inny.

— Czeakać! aby nas po jednym, jak Wisza, wybito, a dzieci pobrano na gród, a ziemię Smerdom porozdawano...

Tak różne głosy odzywały się ze stron różnych. Nie było zgody. Bliżej siebie siedzący gwarzyć poczęli i naradzać się po cichu, bo się lękali już zwolenników Chwostka, aby ich na sztych nie wydali... Z cichego szmeru robiła się wrzawa i gwar taki, że jedni drugich nie słyszeli...

Myszki wołali, aby na gród ciągnąć i wywracać wszystko, knezia się pozbyć i innego sobie obrać z między kmieci — Rudan i jego druhowie odradzali.

— Niemców, Pomorców, Wilków ino nie widać — mówili — a oni nam straszniejsi od Chwosta. Zasłyszą, że się sami między sobą drzemą, że głowy u nas nie stało, nalecą i kraj spustoszą... Siedzielibyśmy cicho. Dawno na nas zęby ostrzą. My ludzie od roli i od gęśli, a oni od krwi i żelaza... łatwo im nas zmóc... Oni stoją pod jednym wszyscy, a my i jednego nie możemy ścierpieć...

— Nieprawda — rzekł Boimir — cierpieliśmy, obra-  
liśmy sami, słuchali i karmili, aż oszalał... Słyszeliście, co  
tam za biesiady krwawe wyprawia, jak swoich krewnia-  
ków dusi... Kmieciom już wielu dwory pozabierano,  
dziewki, chłopców, dobytki... a gdzie nasza stara swo-  
boda? gdzie obyczaj dawny?...

Spieranono się tak ciągle. Myszki potrząsali obuchami nad  
głowy i pięści ściskając, powtarzali:

— Iść na to gniazdo plugawe i wydusić...

— Iść! iść — huczano.

Niektórzy rzucali się z miejsc, jak gdyby natychmiast  
spełnić to chcieli; ale wielka część stała oporem.

Liczone się oczyma. Myszkwowie przemagali, drухy więc  
kneziowo odsunęły się w ostrożnym milczeniu. Rudan po-  
został z małą garstką, która brody gryzanie i oczyma rzu-  
cając siedziała na ziemi milcząca, do niczego się mieszać  
nie chcąc. Pojedyńczo przystępowali do nich niektórzy,  
usiłując przekonać, ale ci spojrzeć nie chcieli i mówić nie  
byli radzi.

Gwar i wrzawa nie ustawały, bo nie dosyć było powie-  
dzieć: iść — trzeba było obmyśleć, z kim, jak, kiedy,  
a gród Chwostków był warowny, wałem i częstokołem  
otoczony, oblany w części jeziorem, zaopatrzony ku ob-  
ronie, w ludzi obfity. Na Niemców też skinąć stamtąd mo-  
gli, aby im w pomoc szli... a wówczas z Myszków i ich  
druhów nie zostałoby jednej głowy.

Słońce się podnosiło wysoko, minęło południe, na uro-  
czysku starszyczna radziła z poschłymi ustami, nic nie mogąc  
uradzić, ani się zgodzić na jedno. Wołanie było wielkie  
chwilami, tłum to się zbijał w jedną stronę, to w drugą  
ciskał, gromadząc około starszych, co głosy zabierali.

Opodał od horodyszczu czeladź stała z końmi, czekając,  
ustawiono je popętawszy na skraju łąki pod lasy; mło-  
dzież, parobczaki, na ziemi siedzieli i śmiechy a żarty  
między nimi słychać było.

Do dębu, z którego dwoje oczów patrzyło, głosy dola-  
tywały jak fale, to szybsze, to silniejsze, widać było pod-

noszone ręce, grożące pięści, rwano się i rozchodzono... Jeden, to drugi stawał na wyższym brzegu wału, aby go lepiej słyszano i stamtąd mówił, gardłował, często na sobie suknię i koszulę rwąc... Groźne wyrazy aż tu dochodziły. A dwoje jasnych oczu ciągle patrzyło.

Parobcy, co na łące siedzieli, rozglądali się dokoła. Wtem jeden drugiego potrącił i rzekł:

— Zurun! patrz ino na stary dąb... na ten stary dąb...

— A co w nim? dziupla? hen, dwoje oczów w dziurach świeci... jakby żbik patrzył na nas?...

— Nie patrz! to czary... dąb święty... kto wie, jaki duch z niego patrzy... i co jego wzrok może?

— To nie duch, ino zwierz! albo żywy człek zakłety... duchy się tak po dniu nie snują... — odezwał się pierwszy.

Wszystka czeladź oczy na dąb zwróciła, lecz większą część ogarnęła trwoga.

— Dąb stary... święty... co by tam w dziurze człek miał robić...

— To zwierz.

— Spłoszyć go!... — krzyknął pierwszy — ślepie mu jeszcze świecą... ja je widzę...

To mówiąc, parobczak chwycił łuk, naciągnął go i strzała świsnęła w powietrzu... padła w sam otwór dębu, gdzie świeciło oko, zachwiała się i znikła... Z nią razem i oczy w dziupli patrzeć przestały. Czeladź strwożona siedziała w milczeniu.

— Zwierzaś ubił lub skaleczył — zawołał Zurun.

— Dobrze by choć skórę zedrzeć z niego — krzyknął zrywając się chłopak.

— A jeśli ranny tylko i żyw, to ci się w dziupli bronić będzie — poczęli drudzy.

Zapalczywy myśliwiec nie słuchał, poskoczył ku dębowi chwyciwszy obuszek do pasa; drudzy się tylko przypatrywali. Jak kot począł się drapać na drzewo przykładając doń ucha. Znak dał swoim, że coś w nim słyszy. Ostrożny jednak nie wprost się do dziupli skierował. Kawał starej grubej nadłamanej gałęzi chwyciwszy nad



nią, uwiesił się na niej i spojrzął w głąb. Patrzał długo, nic dojrzeć nie mogąc, choć coraz przybliżał głowę a oczy.

W środku nakryty zabitym zwierzem, któremu strzałę w oko wbił, leżał liśćmi się cały zasypawszy mądry Znosek. Ręką tulił oko, z którego krew mu ciekła, bo w nim strzała uwięzła. Parobczak nie widząc i nie słysząc, aby się co ruszało, ośmielił się wreszcie rękę do dziupli wpuścić i z okrzykiem radości dobył z niej żbika, którego oko głęboko było strzałą przeszyte. Wnet począł trząść zdobyczą, okazując go gromadzie, która się cała ku niemu rzuciła, oczom swym nie wierząc prawie. Otoczono dąb, a szczęśliwemu łowcy już myśli nie było sięgnąć głębiej, gdzie ducha w siebie wciągnąwszy, przyczajony, leżał Znosek na pół martwy.

Ze żbikiem w rękę spuszczać się począł chłopak na ziemię, rzucił go potem ciekawym, którzy z rąk do rąk sobie podawać zaczęli. Strzała tkwiła wbita tak głęboko w ślepię, iż ten sam, co ją puścił, siły swej poznać nie mógł... zwierz był już zimny, paszczękę miał rozdartą, óżr wywalony.

Jakoś to tak było niezrozumiałym, że żartowniś jeden począł dowodzić, iż parobczak zdychające zwierzę tylko dobił.

Hałas około dębu powstał tak wielki, iż stąd aż na horodyszczce dochodził. Obejrzała się starszyna, której ubite z dala pokazano zwierzę. Rzucili się młodszy z kmieci pytać, a jeden z zapaleńszych, chwyciwszy żbika za kark, poniósł go, potrząsając nim jak wróżbą.

— Bogowie wieszczbę uczynili! — wołano — żbik siedział w dziupli zaczajony, jeden parobczak, napatrzywszy za ledwie ślepię, go ubił... Tak siedzi w kamiennej dziupli Chwostek... i nasza strzała go tam dosięgnie. Bogowie wróżbę dają... Precz z Chwościkiem!...

Więc gromada cała, co z Myszkami była, wołać zaczęła:

— Łado! Kolado! Łado!

I cieszyli się w dłonie klaskali.

Inni milczeli... Wiec znużony ustawał na siłach.

Wtem na skraju lasu ujrzano starego ślepcę, którego małe prowadziło chłopię, i oczy się ku niemu skierowały.

— Słowan! bywaj! — zaczęto wołać — bywaj nam stary z pieśnią... po dawnym zwyczaju...

Nasłuchując, zbliżał się ślepy gęślarz powoli, po gwarze mógł już poznać, że się zbliża do horodyszczka. Wszyscy mu radzi byli, orzeźwili ujrzawszy go, niósł ze sobą woń prastarych dziejów i czasów.

— Witaj, stary Słowanie!...

Szedł w milczeniu, jak gdyby miejsce znał i pamiętał, wszedł przez wał, kijem sobie miejsce obmacał i usiadł na ziemi. Gęślę milczącą trzymał na kolanach i myślał...

— Spóźniłem się, spóźniłem — począł głosem złamanym, na pół śpiewnie — stare nogi źle już służą, drogi się powyciągały... A jaki by to był wiec bez wieszczka? a co by to za rada bez pamięci na stare dziadów zbory! Orłom lecieć lekko górą, ślimak się powoli wlecze...powoli...

„Kiedy Lecha plemienia się stało, nie stało... swobody się ziemianom zachciało, zachciało... Zachciało się swobody bezpieczeństwa, wojewodów wybrali dwunastu... Krew to ze krwi wszak naszej, kość z kości... bracia nasi rodzeni ziemianie, niechaj nami rozrządzą, ład sprawią... O Łado! niechaj ziemię szczęśliwą uczynią... O Łado, o Łado...

„Jeden z kadzi rad czerpał i głowę zalewając, pomyślał narodem... drugi zbierał, a dusił w komorze, co ubogim odebrał od gęby... Trzeci jeździł, wyglądał, dziewczki im podbierał, miód z ula... O Łado! O Ła...do!

„I tak byli z dwunastu szczęśliwi, szczęśliwi, że posłali za morze z pokłonem... Oj, posłali, szukając wojaka, co by jeden nad wszystkim panował... — Kraku, panie a kneziu, wołali, chodź do ziemi, do naszej, rządz nami. — I spędzili dwunastu z ich grodów. Znowu kmieci zrobili z wojewodów... A jednego już Kraka słuchali, O Łado! O Łado!”

Gdy się pieśń powolnie nucona skończyła, milczenie panowało, patrzali niektórzy na starca, nie wiedząc, co by to znaczyć miało...

— Toś i ty, Słowanie — rzekł mu jeden — Chwościka pokochał...

Starzec nastawił ucha.

— Pokochał?

Pokręcił głową, poczęły brzęcząc struny, dziwny starszek począł śpiewać znowu tęskliwą nutą.

„Siedzi Chwostek na wieżycy... i patrzy z niej w koło... dobry pan... Gdzie się kurzy ze świetlicy, gdzie na polu się zieleni... gdzie rzą stada... sycą miody... oko widzi, ręka zgarnia... dobry pan! Siedzi Chwostek, patrzy z dala... kmieci mruczą, psy li wyją?... śle drużynę, milczeć, cicho... lub na gałąź pójdzie lichy... Dobry pan... Pan wesoły, do biesiady rad zaprasza, rad ugości a nakarmi, a upoi, aż się ludziom na wiek wieka jeść odechce... i pacholki do jeziora niosą kmieci... Dobry pan. Siedzi Chwostek na wieżycy... czy słyszycie, jak się śmieje, hen, daleko śmiech rozlega... aż puścienią w lasach knieje... aż po dworach lud truchleje... dobry pan! Z Niemcem on się pocałuje, Niemiec dziewczkę da mu białą... a wy, kmiecie, mrużyć wara! bo mu Niemiec da swe miecze i wskroś krnąbrnych wnet wysiecie. Dobry pan! dobry pan!...”

Chórem za starym poczęto powtarzać — dobry pan... a dwie te pieśni razem z sobą złożone zasępiły czoła i jednym i drugim... Słowian zamilkł, głowę spuścił, podpierał się ręką na ziemi, na pół położył i śpiewać więcej nie chciał.

Powoli szeptać znowu poczęto, gwarzyć i naradzać.

Słońce się zniżało, gdy starszyczna, widząc, iż na niczym wiec spełźnie, rozeszła się gromadkami po horodyszczu, kołem, każdy ze swymi i podano, co kto przyniósł z sobą do jedzenia i picia... kołaczki, zimne mięso, a w drewnianych i glinianych baryłkach miód, piwo i kwas...





Wzięła znowu zwieszoną dłoń dziewczęcia i patrzyła  
w nią.

Gęślarza Myszki wzięli między siebie ugaszczając go ; dano mu pierwszy kubek w ręce.

— Po staremu — rzekł — pierwsze się bogom należy, Łado !...

I wylał napój na ziemię.

Po wtóre zlał jeszcze na ofiarę duchom uroczyska dobrym i złym, białym i czarnym, aby im nie przeszkadzały ; po trzecie zlał duszom ojców, co niewidzialne przy radzie stały... Na małych skorupkach postawiono im obiaty z białego chleba, aż dopiero potem w milczeniu jeść i pić zaczęto.

Stary Słowan, mało co zjadłszy, napił się trochę i znowu się wziął do weselszej znajomej pieśni starej. Tęza ledwie posłyszano, gdy chórem za nim odezwali się wszyscy, nawet czeladź z łąki wtórowała nieśmiało.

Nadeszła pieśni godzina, więc po tej następowały inne i coraz nowe, choć wszystkie do siebie podobne. Starzec potem już sam zaśpiewał starą znad Dunaju, z innych światów, kędy wino rosło, gdzie lwy się przechadzały, żyły smoki i żmije, fala morza biła o brzegi skaliste i słońce świeciło gorące. Wszyscy wzdychali za tym światem pieśni, jak za swoim.

Noc była, gdy rady, ofiary, pieśni i wiec bezowocny się skończył. Powstawała starszyzna, jęli się żegnać wszyscy, ręce sobie dając a wzdychając.

Któż wie? może do nowego wieca myśli zebrać chciano ?...

Konie z pastwisk czeladź przyprowadzała, posiadali na nie i jechali gromadkami, każdy w swą stronę. Zostało po cichu szepczących kilkunastu, kilku, potem nikogo. Uroczysko znów było puste i milczące. Gałęzmi dębu wiatr wieczorny potrząsał i ptactwo krzyczało tylko na błotach. Gwiazdy zaczynały mrugać na niebie, lekki powiew wiatru od łąk szedł do rzeki.

Wtem w dziupli zaszleściło, prychnęło, dwoje rąk chwyciło za kraj kory, głowa się podniosła nad nią i Znossek z pokrzwawioną twarzą dobył się ze środka. Nogami



i rękami objął pień, ześlizgnął się powoli na ziemię. Tu padł wyciągnięty, jak nieżywy... dyszał ledwie, wyciągał długo ręce i nogi, jęczał.

Zaszeleściało wśród lasu... drgnął cały; uciekać już nie czas było, po ciężkim chodzie powolnym poznał nowego nieprzyjaciela. Jak nieżywy legł, przylgnięty twarzą do ziemi.

Z zarośli powoli, wlokąc się niezgrabnie, wyszedł niedźwiedź. Nosem wodził po ziemi, jakby czego szukał. Słychać było sapanie jego i mruczenie. Żółte oczy, poblyskujące w ciemności, skierował ku Znoskowi, który ciągle jak martwy leżał... Ostrożnie gospodarz puszczy począł go wachać. Z lekka potracił go łapą, zamruczał i poszedł dalej. Widać go było zdążającego na pole krokiem ociężałym, podnoszącego czasem pysk i wietrzącego dokoła. Siadał, spoczywał, lizał łapę i znowu włókł się leniwo dalej, gdzieś za żerem, czy za przyjacielem, po którym zatęsknił.

Chłopak, ujrawszy go już w półku, zerwał się na nogi i w las rzucił szybko.

## XI

Ranek był najśliczniejszy wiosny, której już nic z jej królewskich ozdób nie brakło. Dęby najleniwsze, głuche, stały poubierane w liście, pachniały brzozy, potrząsając długimi warkoczami u stóp drzew, gdzie zajrzało tylko słońce, kwiatek się ku niemu uśmiechał. Na każdej gałęzi szebiotał ptaszek, w każdym promieniu złota muszka igrała...

Cały ten świat, wody, lasy, ptaki, zwierzęta i muszki złote, i rybki srebrne żyły na ówczas życiem jednym w dziwnej zgodzie i braterstwie. Strumień mruczał zrozumiałą mową, ptaki śpiewały pieśni dla ludzi, dziki zwierz brał się czasem z człowiekiem, by mu służyć. Wielka harmonia panowała w tym świecie zacczarowanym, w którym wszystko składało się na jedną całość. Smierć



nawet przychodziła z uśmiechem, w porę przeprowadzała do ojców na biesiadę wieczną.

Dwie kobiałki grzybów pełne stały na ziemi, dziewcząt dwoje odpoczywało przy nich rękami się objawszy... siedziały i słuchały. Dziwa zamyślona z oczyma wlepionymi w las dumiała.

— Co ty tak słuchasz, Dziwo? — pytała siostra.

— Sroczka mi coś powiada... słyszysz ty ją? Pyta się nas, czyśmy dużo uzbierały? mówi, że na uroczysku w dolinie grzybów jest wiele... Chce nas odprowadzić do chaty...

I zamilkła chwilę.

— Mówi — ciągnęła dalej powoli — przyjadą swaty... księży pan młody do ciebie...

— Do mnie, Dziwo?

— Tak... do ciebie, Żywio, bo ja swatów nie będę znała... W wianku chodzić będę zawsze, zawsze... w wianku zielonym pójdę do ojca i matki...

Sroczka w istocie siedząc na gałęzi kręciła głową i jakby przedrzeźniała dziewczęta, ciągle coś dziewczynnie pokrzykiwała.

Wtem z lasu nadleciał jastrząb z rozpuszczonymi skrzydłami, począł unosić się nad łączką, patrzac pod siebie, szukając czegoś na ziemi. Sroczka zobaczyła go i krzyknęła nawołując. Z krzaków odpowiedziały jej głosy siostr, ze wszech stron poczęły się zlatywać pstre sroczki i gromadą poleciały straszyć, łajac, odpędzać jastrzębia. Przypadały prawie do niego, a gdy się zwrócił ku nim, pierzchały nagle całym stadem i wnet wracały nazad z wrzaskiem nowym. Jastrząb niósł się ciągle, to zniżając nad ziemię, to podnosząc w obłoki; nagle się puścił, jak kula i padł na ziemię, a tejeż chwili stado całe spadło nań, dziobami chwytając prawie; posypały się pióra... kobuz wyrwał się, uleciał w górę i zniknął. Sroki pociągnęły za nim z wrzaskiem.

Dziwa westchnęła.

Z dała odezwała się kukulka raz, drugi i uciekła.

Dziewczęta zamyśliły, kiedy Żywia za mąż pójdzie.

— Kuj, kukułko! — prosiły.

Odezwała się trzy razy... Trzy lata, czy trzy miesiące? któż to wiedzieć może...

Żywia ze śmiechem zapytała o Dziwę. Kukułka bliżej podleciała, roześmiała się tylko jakoś dziwnie, poznały ją przecie po pierzu, ale wróżyć nie chciała.

Dziewczęta siedziały zamyślane. Żywia kwiatki rwać zaczęła i wianuszek pleść dla siostry. Ale kwiatki nie-dobre pod rękę się nawijały i końce rwały, i nie chciały się pleść w wianuszek.

Siostry siedziały nie opodal od zagrody, były więc bezpieczne. Nazajutrz miały iść do ogniów, na Kupałę, Żywia się cieszyła. Dziwie nie chciało się iść z drugimi... smutno jej było.

Wtem wśród ciszy, gdy muszki brzęczały tylko i pszczoły, las z dala zatętniał. Spojrzały po sobie.

— Czy Ludek pojechał na łowy... czy to Ludkowe psy słyhać?...

— Ludek w domu, koło stada...

Porwały za koszyki, obejrzały się dokoła i ostrożnie w gąszcz pierzchnęły... ale cicho było znowu w lesie, ni psów, ni ludzi nie słyhać...

Żywia, główkę z gąszczy podniósłszy, patrzyła na polankę i słuchała, psy gdzieś daleko zwierza pogoniły i... cicho. Dzieciół kuje drzewo... nic więcej.

Wróciły na trawę, na słońce.

Z dała jakby śpiewanie słyhać było, ale ochryple i smętne.

— To Jaruha — ozwała się Dziwa.

— Dokąd się to ona tędy wlecze?...

Zamilkły. Z krzaków na polankę wysunęła się stara baba o kiju, z garnuszkim na sznurku u pasa, z torbą na plecach, w płachcie na głowie.

Rękę przyłożyła do czoła i patrzyła ku nim, potem pociągnęła powietrze, jakby coś poczuła w bliskości i oczy-

ma dokoła rzucając zobaczyła dziewczęta. Podniosła rękę z kijem do góry i plasnęła.

— Dzień dobry! — zawołała.

— Gdzie to się wleczenie, Jaruhu — spytała Żywia. Baba iść ku nim poczęła.

— A na Kupałę! jutro Kupały! ho! ho!... Chłopcy się popiją, poszaleją, to mnie może wezmą za młodą dziewczynę, a który pocałuje!

Podskoczyła baba, śmiejąc się podeszła ku dziewczętom i usiadła przy nich na ziemi.

— Chcecie, bym wam wróżyła? — spytała.

Siostry obie milczały, baba im po twarzach patrzyła.

— Z takich liczek wróżyć łatwo — mówiła śmiejąc się dziwacznie i przekręcając głowę; — o! o! śliczneż lica, kwitną, jak lilije. I jam też kiedyś miała takie białe i różowe... słońce lilije popaliło, deszcze krasę popłukały... a nie deszcze, lzy to były... lzy!

I kiwała głową, wyciągając rękę ku Dziwie.

— Dajno dłoń, powrózę:

Niechętnie wyciągnęła ku niej rękę dziewczyna. Jaruha pilnie w nią się wpatrywać zaczęła.

— Dłoń to biała, nienamulona... wielka bieda z taką dłonią, tysiąc chłopców sięgnie po nią... a królewna żadnego nie zechce.

Zapatrzyła się w rękę.

— Pójdiesz jutro na Kupałę?

— Pójdę — odezwała się Dziwa.

— Nie idź! mówię ci, nie idź lepiej... Jak pójdiesz, krew się poleje...

Dziwa zbladła.

— Jaruhu — odezwała się — po co mnie straszysz?... Wiesz, że w domu zostać nie mogę... a tobie dawno się w głowie przewróciło, sama nie wiesz, co mówisz.

— A któż to wie, co mówi? — szepnęła Jaruha. — Coś szepce w ucho i językiem obraca. Albo ja wiem, kto i co? Choćbym usta zamknąć chciała, męczy mnie i mówić każe... Coś się snuje przed oczyma, coś po sercu załosko-



cze... baba plecie, nie wie co... a musi!... Nie idź ty na Kupałę!

Dziwa się rozśmiała.

— A ja tobie nie radzę, Jaruhu! Ty wiesz, jak cię szarpia, prześladują, co się z ciebie naśmiewają, co nadokuczają...

— Ja się tego nie boję — odezwała się stara. — Jak ogień pogasną, jak się ciemno zrobi... hej! hej! to mnie który pocałuje i uściśnie... młode lata się przypomną...

— Cóżes ty w młode lata robiła? — zapytała Żywia.

— Ja? ja? nie wiem — odezwała się Jaruha. — Hej! hej! porwał mnie królewicz... zaprowadził do gmachu, co miał ściany ze złota... W ogrodzie rosła jabłoń, co rodziła jabłka wonne... u stóp jej ciekła żywiąca krynica... Siedem lat królowałam, siedem lat śpiewałam pieśni, splatałam i rozplatałam kosy, wszystko mi służyło... potem zrobiło się ciemno i ja w łachmanach, o kiju, znalazłam się w puszczy... Krucy mi w głowę pukali i oczów szukali... hej! hej!

Zamilkła, i wracając do swego, odezwała się znowu:

— A ty, Dziwo, nie idź na Kupałę!

Uśmiechnęło się dziewczę. Żywia swoją jej dłoń podała. Jaruha głową potrząsała.

— Rodzone dwie dłonie, siostrzyne... — poczęła mrużąc — a dole, a dole! gdzie jednej do drugiej!...

— Którą z nas być byś chciała? — spytała Żywia.

— Ani jedną, ani drugą — śmiejąc się rzekła stara — znowu żyć, znowu płakać, znowu młodość nosić, aby stracić!... O! nie! nie!... ani białej, ani czarnej, ani żadnej nie chcę doli... Miodu ja kubeczek wole, a potem sen słodki, sen złoty, a choćby się już nie budzić... W kubku miodu szczęścia tyle, ile go już na całym świecie nie ma... A ty, nie idź na Kupałę...

Dziewczeta śmiać się poczęły z na pół oszalałej staruszki. Jaruha śmiała się z nimi.

Wzięła znowu zwieszoną dłoń dziewczęcia i patrzyła w nią.

— Rozmiałował się w tobie strasznie — szeptała.

— Kto?

— Nie wiem! ktoś! ładny chłop, młody, bogaty... Ej! nie idź na Kupalę...

— Ale z nami bracia i rodzina będzie... cóż się nam tam stać może? — zawołała Żywia.

— Albo ja wiem? Na Kupale bywają dziwy. Czasem bracia się pobiją, a czasem nieznanymi pobiorą... Na Kupale dziwy bywają!... Szkoda, że raz do roku taka nocka bywa!... oj! oj! ja bym cały rok pieśni śpiewała, miód piła i przez ogień skakała.

Jaruha mówiąc rozwinęła swoją sakwę i poczęła w niej szukać czegoś. Było tam mnóstwo w płachty powiązanych ziół, kamyków, nasion i korzonków. Baba się znała na chorobach i lekach, zamawiała, odczyniała, wiązała i rozwiązywała... Tym razem jednak nie szukała lekarstw, miała jeszcze kawałek suchego kołacza, znalazła go; przyproszony był pyłem, otrzęsła, opatrzyła i z koszyka grzybów od dziewcząt wzięła sobie syrojeszkę, zachynając się posilać w milczeniu.

Dziwa koszyk jej podsunęła. Jaruha jadła chciwie...

— Chodź z nami do chaty, cieplej strawy ci damy.

— Nie mogę — zamruczała stara, — nogi bolą, a na pole, gdzie ognie palić będą i gdzie moje chłopcy przyjdą, daleko, daleko... w biały dzień to nic, ale nocką iść, a z głodnym wilkiem się spotkać, albo gorzej z wilkołakiem...

Pokręciła głową.

— A na Kupale ja muszę być... Raz do roku młodość mi powraca... tak na to długo czekać trzeba...

Zaczęła coś nucić i przerwała. Syrojeszki wybrawszy z koszyka, otarła usta i uśmiechnęła się do dziewcząt.

— Dobrzeście mnie posiliły...

Gdy to mówiła, niespokojnym okiem rzuciła wkoło nagle.

— Kogoś czuję, obcy jakiś!

Jak zwierz wietrzyć poczęła i oczy obracać. W istocie

o kilka kroków od nich stał z zakrwawionym okiem i głową wychodzący z lasu Znosek. Na widok jego dziewczęta przestraszone porwały się. Jaruha popatrzyła tylko.

— E! — rzekła — nie macie się czego bać.., to znamy, ale gdzieś musiał po miodzie przez las wędrować, gałąź mu oko wybiła i głowę sobie pokrwawił.

— Jaruho! krzyknął z dala karzeł — ratuj mnie, a daj ziele..

Widząc pokaleczonego, dziewczęta, zamiast uciekać, przystały, trochę za drzewo się zasunawszy.

— Chodź tu, zobaczymy!... mruzczała stara.

Znosek się zwłókł, ręką wciąż trzymając oko, a raczej miejsce, z którego ono wypłynęło doszedł tylko do drzewa, przy którym siedziała stara i padł na ziemię.

Zapominając o wszystkim, Jaruha ręce wyciągnęła ku jego głowie i poczęła ją macać.

— A coś to się ze zbikiem całował? — zapytała. — Po co ci było takiego przyjaciela szukać?

Ręką podniosła mu brodę do góry i odsłoniła oko.

— A oko... oko ci strzałą wybito! człowiecze! — krzyknęła — gdzieś ty był na biesiadzie? Dobrzeż cię tam przyjmowali! Popamiętasz całe życie...

Zaczęła się śmiać dziwnie i poszła znowu do worka po zioła.

Żywią, ulitowawszy się, chwyciła biały swój fartuszek i spojrzawszy na starą oddała z niego pas, aby mu było czym obwiązać głowę. Podała go milcząc starej.

Jaruha wzięła płótno w ręce i ziała narwała tuż przy sobie, ale się ociągała z poratowaniem biedaka, który ręką wciąż oko tulił i zęby ścinając, syczał.

— Juści to i wilka kulawego, gdy poprosi, trzeba ratować — rzekła cicho. — Ty, Znosku, nie wart tego, aby ciebie żywiono, boś ty dużo namorzył ludzi... a no! kto wie, zbik cię może poprawi... Ustatkuj się, chłopcze, weź mnie za żonę, pójdziemy razem na bocianie gniazdo i będziemy gospodarowali. Ty mi będziesz żabki zielone nosił, ja ci będę klekotała...



Jaruha się śmiała, ale trawą i liśćmi okładała mu głowę i białym płótnem wiązała powoli.

— Mówże ty, gdzieś bywał? i co ci żbik zawinił?

Syknął tylko Znosek.

— Z tego oka nic nie będzie — rzekł.

— Darmo o nim i nie myśl, bo go nie ma — rzekła Jaruha, — a nowe wstawić trudno. Od wody żywiącej odrasta, ale jak tu trafić do niej? Żmij siedzi na straży... smok lata nad nią... siedem lat trzeba iść do niej, siedem się spinać na górę...

Żywia litościwa, widząc, że drżące ręce starej Jaruhy płachty nie potrafią związać, przysunęła się do Znoska i zręcznie obmotała mu głowę. Jedyne pozostałe oko podniósł ku niej, ale w nim jeszcze więcej złości było i gniewu, niż wdzięczności.

— Ja ci ból odczynię — rzekła Jaruha, — ale musisz się przyznać, gdzieś bywał... Juźci kto może u knezia pod stołem się wylegiwać, z dobrej woli w las nie idzie.

Dziewczęta, zaledwie posłyszały o kneziu, pierzchnęły obie; dosyć było tego imienia, aby je spłoszyć. Porwały za koszyki i uciekły. Stara popatrzała za nimi tylko i zwróciła się do Znoska.

— Teraz mów — rzekła, — gdzieś to się tak podrapał?

— Chodziłem po lesie... zobaczyłem dziupłę...

— Miodu ci się zachciało?...

— Żbik w niej siedział...

— A strzałę w oko kto ci posłał?

Znoska przypomnienie tej rany wściekłym uczyniło. Podniósł obie pięści.

— Nie daruję, póki jednemu z nich oka ze łba nie wyszę — zawołał, — kneź mnie pożałuje...

— Tyś pewnie na wiecu bywał... — śmiejąc się zawołała stara i w ręce plasnęła. — Już wiem! dąb tam stoi dziuplasty, wygniły pod uroczyskiem Żmijowym... zakradłeś się podpatrywać... i tam cię kmieca strzała spotkała...



... a biada tej co się pochwycić dała... Wnet cały zastęp  
rzucił się na jej obronę...

Znosek ani się chciał zapierać, ani myślał taić, spuścił głowę i zgrzytał zębami.

— A takie miałeś czarne oko! — niczego wcale — zawołała Jaruha, — szkoda! A no, powiedz ty mnie po prawdzie, czyś ty kiedy młodym był? czy cię matka od razu starym urodziła?

To mówiąc, Jaruha wstała.

— Ból mi odczyń — mruknął Znosek.

— Nie mogę... nie mogę — odparła stara, — dopiero po Kupale godzi się odczyniać. A do tego żbik i ludzka strzała... jakiego na to ziela trzeba... i oko!... Ho! ho! Gdybyś mi nie wiem co dawał, za mało by było za moją pracę... Gdybym ci ból odczyniła, sama bym go wziąć musiała, bo tu nie ma ani źródła, ani kamienia, ani drzewa, gdzie by się zostało, a mnie trzeba na Kupalę...

I śpiewając o Kupale Jaruha rzuciła Znoska, a sama w las dalej ciągnęła.

Karzeł legł na łące i w trawach złożywszy głowę, usnął...



## CZĘŚĆ DRUGA

### I

Nadszedł dzień Kupały, święto w całym pogańskim obchodzone świątce, dzień Białego-Boga dnia i światłości, na którego cześć paliły się ognie nad Adrią, nad Baltem, nad Dunajem, Łabą, Wisłą, Dniestrem, Rodanem i Sekwaną. Ze czią tego Belboga, Bela, ludy wszystkie wędrowały na zachód z kolebki swej rajskiej w zimne kraje nowej ojczyzny.

Dzień Kupały — najdłuższy w roku, noc Kupały — najkrótsza, były jednym ciągiem wesela, śpiewu, skoków i obrzędów.

I na tej górze świętej nad jeziorem, kędy się z sąsiednich mirów na Kupałę najwięcej ludu zbierało, już o wschodzie słońca z kąpeli wychodzące tłumy, przybrane w wieńce, poprzepasywane bylicą, postrojone ziołami kwitnącymi, otaczały starych gęślarzy.

Wzgórze lekko opadało zieloną łąką ku wodom jeziora. Na szczycie jego rosły stare dęby, brzozy rzadkie, a dalej gęstszy coraz las ciągnął się dwoma ramionami, łącząc z niezgłębionymi puszciami, które na ówczas całą niemal tę ziemię okrywały.

Od rana widać tu już było młodzież, znoszącą suche gałęzie, luczywo, bierwiona świeżo ucięte, gdyż jak na budowę chaty nikt nie używał martwego drzewa, tak i na ogień święty nosić go nie było wolno. Gałęzie nawet suche z żywego drzewa musiały być obłamywane, bo w tych, które na ziemi leżały, mieszkała już śmierć.

Ze wszech stron widać było sunące sznurami niewiasty w bieli, całe w wiankach i opaskach zielonych,

chłopaków w narzuconych na ramiona siermięgach. Zewsząd po gajach i lesie brzmiały przedśpiewy zwiastujące nocną uciechę.

Widać było nagotowane ognisko u skraju lasu, pod dębami i głębiej jeszcze. Kamiennymi siekierami łupano drzazgi na podpał. Każda gromada obejmowała dawne miejsce i zgłiszcza swe świąteczne. Gwar wesoły i śmiechy rozbrzmiewały po lesie.

Pod dębem siedział Słowan, pod innym drugi śpiewak, którego zwano Wilujem. Gdy jeden z nich nucił, drugi przestawał; śpiewali na przemiany, ale pieśń jednego nie godziła się z drugą; zdawali się raczej przeciw sobie iść, niż łączyć.

„Słoneczko, oko dnia jasnego, świeć nam a grzej -- śpiewał stary gęślarz. — Strumienie światła biegną... Światło nam lej. Kupało...

Niech czarne smoki nie śmieją zaćmić twej twarzy, tyś życiem, szczęściem, nadzieją, tyś bóg jest nasz, Kupało...

Królu, dniom naszym panuj bez chmury, do życia obudzaj chuć, tyś życia dawca, boże Kupało, siej, żyw i budź, Kupało...”

Ucichło, a Wiluj brząknął w struny i niezrozumiałą piosenkę nucił półszyderskim głosem :

„Pieśni ty moja, pieśni! Ptaszyno moja złota, tyś jak woda żywota, wskrzeszasz z śmiertelnej pieśni, lecz kto się w twój nurt miota, ten żywot prędko prześni... Dwojaka twoja cnota, żywot i śmierć jest w pieśni... Pieśń zmarłych wskrzesza z grobu, pieśń żywych na śmierć miota... w niej siła światów obu... i śmierci, i żywota...”

Spuścił głowę wypełzłą i zamilkł; milczeli oba, bo chór śpiewał za nich pieśń kupalną.

Słońce zapadać miało; oczy i twarze wszystkich ku niemu były zwrócone. Czekano, gdy ostatni jego promień zniknie z pozłoconych wierzchołków drzew, aby ognie rozniecić i pieśni a korowody rozpocząć.

Starsze niewiasty sędziały na ziemi, a około nich wi-

dać było cebry, garnki i niecki z mięsiwem, i kołaczce a korowaje świąteczne; młódź się kręciła i goniła po błoniu, klaskając w ręce. Dziewczęta trzymały się gromadą; kupkami na nie nacierali chłopcy. Rzucano słowy, wyścigano się krzycząc i odpędzano chustami napastujących.

— Kupało! Kupało! Łado! — odzywały się tu i owdzie śpiewne głosy.

Około stosu Wiszów stał już Ludek i Sambor, który na gród wracać nie chciał, niemało niewiast i czeladzi. Poglądano ku lasowi, w stronę dworu, bo Dziwy i Żywi jeszcze nie było, a Dziwa miała pierwsza ogień podpalić i zanucić pieśń o Kupale.

Chłopcy tymczasem tarli suche drzewo, aby zrobić ogień boży, który by sam się zrodził, młodym był i nowym, a potem przez rok cały na domowym palił się ognisku. Był to ogień, którego nikomu obcemu z domu wynosić nie dawano. Kto ogień wynosił z chaty, brał z niej życie.

Już dwa smolne łuczywa dymiły w ich rękach, a ogień się jeszcze nie ukazywał i Dziwy nie było. Sambor więcej patrzył na ścieżkę, którą przyjsć miała, niż na robiący się ogień święty, który powinien był zapłonąć, gdy słońce zagaśnie.

Wtem z dali pokazało się dwoje dziewcząt w bieli. Szły zwolna, trzymając się za ręce; zielone wianki miały na głowie, zielonymi przepasane były splotami, snopki ziół niosły w rękach, ale szły milczące, bez pieśni. Były to Dziwa i Żywia, obie jeszcze smutne żałobą po ojcu. Dziwie chodziły po głowie wyrazy starej Jaruhy, a choć półoszalałej babie nie dawała wiary, w sercu jej coś ciągle powtarzało:

— Nie idź na Kupałę!

Choć dzień był boży, weselny, szły smutne; zbliżyły się tak do swojej gromady, a Sambor z daleka patrzył na twarz dziewczyny i dziwił się, że tak była posępna.

Wtem Ludek zbliżył się do niej.



— Siostry — rzekł — chodźcie wy razem w parze, nie idźcie daleko w las... Ja Domanowi nie wierzę... W noc kupałową dzieją się czasem straszne rzeczy... Wieleż to dziewcząt przepada w lesie!... Nad ranem, u świtania, gdy szła ludzi ogarnie, pamięć tracą!

Dziwa się rumieniła słuchając, gryzła w ustach gałązkę ruty i trzęsła głową.

— Nic się nie stanie — rzekła; — ani Doman, ani żaden się waży przystąpić do mnie; będę między swoimi. Jest was dosyć chłopców, aby siostrę obronić!

Brat zamilkł, a Żywia, rzucając chciwie oczyma po gromadach, śmiała się bliskiej uciecze, nogi się jej do skoków rwały, lica pały, oczy błyskały, nuciła niecierpliwa.

— Dajcież pokój ze strachami! — śmiała się. — Nikt się do nas nie waży... ale w taki dzień nie czynicie nam niewoli... Tyle naszej uciechy... Kupało!...

Dokoła śmiech i wołanie zagrzewały, dziewczęta przybiegały do nich i rwały za rękawy, aby szły z nimi. Powoli i na twarzy Dziwy jaśniej się zrobiło, uśmiech się zjawił błady. I ona mruzczała po cichu:

— Kupało!... Kupało!...

A z dala słychać było śpiew:

„Słońce w morzu się kąpało, bo na wesele iść miało... Wiodą, wiodą pannę młodą, w złotą szatę przyodzianą... Księżyc jedzie z gwiazd drużyną, witaj słońeczko kochane... Ty mi będziesz królowało. Słońeczko moje jedyne! Kupało!”

Chłopcy stali na uboczu, szeptali cicho, z ukosa patrzyli na dziewczęta i wybierali oczyma. Szła czasem opowiadał nad ranem te gromady i dziksze z nich szły, jak „stada” w las, porywając gwałtownie dziewczęta. Zwano też te szły „stadem”. Rodzina jednak każda pilnowała swoich i stała na czatach, aby do „stada” nie dopuścić i od porywania obronić.

Dziwa patrzyła na zachodzące słońce, którego promienie ozłacały jej twarz i lśniły się we włosach. Ostatni



Dziwa chustą wiewała. Białe ptaki nad głową jej się  
niosły i kwiliły...



blask zagaśł; już tylko łuna czerwona wskazywała gdzie zapadło... Dwa smolne łuczywa obejmował ogień boży, zażęgniętą żagiew podano dziewczynie, która żywo i zręcznie pod stos ją podłożyła. W tej samej chwili przy wszystkich ogniskach błyskały już ogniki i wielkim głosem wołano radośnie :

— Kupało !...

Niewiasty stawały kołem, biorąc się za ręce osobno, osobno mężczyźni i pieśni brzmiały po lesie dokoła.

Po polach, na puszczy, w całej okolicy, przed chwilą cichej i głuchej, wszystko przeszło w radosne drganie i okrzyki. Zdało się, że i drzewa, i wody, i obłoczki na niebie, i trawy na polu odbrzmiewają pieśnią tą i radością.

Zbudzone śpiewem podniosło się na jeziorze wodne ptactwo, zaszeleściało w krzewach, a wokoło stosów dziewy zawiodły uroczystą pieśń kupalną o Bogu w złotym wieńcu, co polom niósł ziarna złote, co łąkom niósł rosy, co ludziom dawał chleb, co wypełniał kłosa, co ule zasładzał, który czynił dzień, miłość zsyłał i wesele. Był to dzień ślubowin niebieskich słońca z księżycem. Radowała mu się ziemia, otwierała skarby swoje; noc ta nie miała tajemnic, wszystko zaklęte wracało do swobody, duchy jasne zstępowały z niebios i poiły ludzi własnym weselem... Śmierć i czarne widma kryły się w przepaści, pod ciemny płaszcz Jamy.

Ledwie pieśń pierwsza przebrzmiała chórem ze swymi zwrotkami, dała się słyszeć druga. Chóry dalekie odpo-  
wiałały sobie. Dziwa z podniesioną głową szła przodem, wiodąc skoki i zawodząc pierwsza; dziewczęta biegały za nią posłuszne.

Zrazu śpiew ciągnął się powolnie, krokami szły ociężałymi, potem pieśń żywiej brzmieć zaczęła, ruch coraz szybszym się stawał, rozgorączkowywał się głos, miotaly ręce, podnosiły głowy i oczy...

Stare niewiasty, oparte na kijach, siedzące na ziemi, które pójść nie mogły z korowodem, poklaskiwały, sie-



dząc, poruszały głowami, całym ciałem drgały wspomnieniem młodości.

Las płonął światłami i huczał pieśnią, i tętniał skokami. Z dala widać było łuny ogniów, a około nich wirem, kołem zwijające się cienie z rozwiązanymi włosy, rozpuszczonymi szaty, rozsypującymi się wieńcami, podniesionymi rekami.

— Hej! Kupało! Kupało!

Gdzie indziej chłopcy brali kąpiel płomienną skacząc przez ogniska; przyklaskiwano ich skokom; kiedy niekiedy dał się słyszeć krzyk, bo parobcy rzucali się na dziewczęta, a wśród tego szału, zamętu, nocy działo się często, co tylko na Kupałę przebaczonemu być mogło. Lecz więcej słychać było śmiechów, niż krzyku, a wesela, niż płaczu.

Niewiasty jeszcze wiodły tany, gdy chłopcy z zapalonymi żagwiami zaczęli przeskakiwać ogniska, a potem wyścigać się po łące i wybiegać na polanki z nimi.

Gdzie indziej lano miód w ogień na ofiarę Białemu Bogu; przygasał płomień na chwilę i buchał potem z nową mocą. Parobczaki nieraz spotykali się w skoku, wśród płomieni i dymu uderzyli o siebie... nieraz się śmiejąc chwytała za bary, padali na ziemię i tarzali mocując.

U wszystkich ognisk razem rozpoczęły się te skoki, a wnet potem z ogniem pochody. Z pozapalonymi żagwiami, których ogień w biegu nie powinien był zagasnąć, obiegano posiane zboża, barcie, łąki, wołając Kupały.

Na niebiosach, jakby spod zasłon, przypatrując się ciekawie temu, co się działo na ziemi, szła zorza wieczorna całować się ze wschodzącą jutrzeńką... noc zaledwie przysłoniła lasy, a już dzień świtał na ziemi.

Teraz zaczynało się około ognisk, wśród wesela i śpiewu, picie i ucztowanie.

W kółku swoim, znużona już śpiewaniem i skokami, siedziała Dziwa i patrzyła w ogień. Sambor nad nią czuwał z dala, lecz ni razu nawet nań okiem nie rzuciła.

Chłopak, choć go parobczacy kusili do wyścigów i do picia, niewiele miał ochoty; kręcił się błędny, odchodził i powracał, wciąż na oku mając córkę gospodarza, a na pamięci Domana... Dziwa go zobaczyła tak stojącego na straży i skinęła na niego.

— Idźże do ludzi! — rzekła — idź się wesel z drugimi!

— A wy, Dziwo! — odparł Sambor. — Czemuż wychodzicie chmurno i smutno?

— Ja... — poczęła cicho dziewczyna — ja! Bo moja dola inna, niż wasza! Choćbym chciała, weselić się nie mogę... Czego oczy nie widzą, to serce czuje, a gdy serce smutne, trudno być z twarzą wesołą...

Podniosła oczy do góry.

— Za lasami, za górami — mówiła do siebie — łuny płoną... inne łuny... śpiewy słyszę nieweselne... szumią bory... tłumy ciągną, żagiew w jednej, miecz w drugiej dłoni... Woda się w krew przemieniła, białe lilie poczerniały... Hej! hej.

I zwiesiła głowę smutnie zapominając o Samborze, który ze strachem jakimś, stojąc za nią, słuchał i nie rozumiał. To, co mówiła, tak się nie godziło z tym, co dokoła tętniło... Chłopak długo jeszcze z dala się w nią wpatrywał, ale już nie śmiał przybliżyć. Żywia wyrwała się z korowody przy ogniu i przybiegła do siostry, usiłując ją pociągnąć z sobą; chwyciła siedzącą za rękę, próbowała zabrać z sobą i wracała, śpiewając, sama.

Sparta na dłoni, dziewczyna obrywała bylicę z wianka, bawiła się kwiatkami i jak nieprzytomna myślą gdzie indziej się być zdawała... może przy ojcu i matce?

Jakiś czas Sambor spod dębu, o który się sparł, patrzył na nią, trwał na czatach, lecz Dziwa raz jeszcze go przywołała do siebie i kazała mu iść do zabawy. Posłuszny poszedł, sam nie wiedząc dokąd, bo mu się wcale skakać i ścigać nie chciało. Ciągnął zwolna, bez myśli ku lasowi. Chciało mu się uciec gdzieś, skryć się, spojrzeć, a bór był pełen ognia i wrzawy. Nie było w nim prawie ciemnego kąta.

Siedzieli na ziemi starzy pijąc i jedząc, pod drzewami szeptały młode pary; dziewczęta szły sznurami wiodąc się za ręce, zastępowali im chłopcy... uciekały z krzykiem, a biada tej co się pochwycić dała... Wnet cały zastęp rzucał się na jej obronę, parobczaki powołani biegli na pomoc, walka zawiązywała się nierówna, aż się dziewczki płonącymi polany w końcu obraniać musiały.

Sambor pominął kilka ognisk i kilka obozowisk na ziemi; uganiającym chwycić się nie dał. Zatrzymywali go znajomi i nieznajomi, aby z nimi pił, aby szedł z nimi, — odmawiał. Posądzono go, że coś złego miał na myśli.

Zaszedł tak aż w głąb boru, gdzie już tylko z dala przez gałęzie przeciskała się luna od ognisk i ciemno było dokoła. Tu legł pod dębem. Głosy kupalne słychać było, ale nie widać nic, oprócz blasków, które czasem złocily gałęzie u góry. Listki na nich na ówczas wydawały się jakby z blaszki złotej, a ptaszki przebudzone latały pozłacanymi skrzydłami. Sambor legł i głowę a oczy w ręce wtulił. Słuchał śpiewów i nie słyszał; marzyło mu się, bo zwolna sen za powieki go chwycił.

Wtem z dala coś zatętniało... załopotano... zadrgało. Czy zwierz spłoszony wrzawą? Ale zwierz szybko pomyka, a tętent sunął się powoli, ostrożnie, milknął wznawiał się... zbliżał się i stawał... Sambor rozróżnił już stąpanie kilku koni i ludzi, ciche szepty. Skrył się więc głęboko w gąszcz, w trawy i krzaki, i czekał.

Ostrożnie wysunęła się z boru kupka ludzi. Blask, który wpadał z dala, nie dozwalał rozeznąć twarzy. Na koniu jechał mężczyzna silny, dwu za nim; kilkoro czeladzi podążało pieszo.

Schylali głowy i podnosząc gałęzie, przypatrywali się ogniskom.

— Podkraść się trzeba pod koło... — szeptał jeden. — Co za dziw na Kupalę porwać sobie dziewczynę. Komu jej nie dają po woli musi wziąć gwałtem... Bylem ją na koniu miał, to moja; nie wyrwie mi się, nie dogonią, nie odbiorą... Zechcą bronić... choćbym życiem przypłacił!



I szepcząc, posunęli się wszyscy ku brzegowi lasu, mijając przyczajonego Sambora. Zsiedli z koni wiodąc je po cichu za sobą i kołowali wybierając, kędy przejść mogą niepostrzeżeni. Jeden odgarnął gałęzie i oko puszczal przodem, a sam wślizgnął się potem, stawał, szedł bacznie. Sambor też za nimi wypelznął z krzaków, wyminął ich i niespokojny, rzuciwszy się drugą stroną, gąszczami puścił się szybko ku ogniskom.

Pośpiech ten go zdradził; usłyszał wnet pogoń za sobą, silne ręce chwyciły go z tyłu. Wyrwał się i stanawszy do boju, uderzył głową w piersi napastnika tak silnie, że ten padł na ziemię. Lecz padając porwał i Sambora z sobą, chwyciwszy go za koszulę. Wzięli się na ziemi za bary dusząc i mocując, tarzając razem w gęstwinie, gdy dwóch jeszcze przypadło i siadłszy na parobka zdusili go tak, iż tchnąć nie mógł.

Wnet zawiązano mu gębę, spętano ręce i nogi. Domyślono się zdrady, złękniono popłochu i skrepowanego Sambora popchnęli w krzaki, a sami pobiegli nazad do koni.

Słyszał, jak pośpiesznie oddalili się, szepcząc pomiędzy sobą.

Związany próżno się rzucał po ziemi, usiłując potargać więzy. Łyka i powrozy były mocne. Leżał więc tak, rozpaczając a słuchając, ale pieśni, krzyki, wrzawa, trzaskające ognie nie dawały rozróżnić żadnego głosu.

Jak wiek długo trwała ta męczarnia. Blask ogni zaczął niknąć, a brzask dnia wciskać się z góry. Coraz jaśniej robiło się w lesie. W krzakach budziły się ptaki i kręciły się około niego. Przyleciała para gołębi dzikich gruchając i pierzchnęła; kukułka zakukała kilka razy, górą zatrzepotały skrzydła jakiegoś wielkiego ptaka, którego dojrzeć nie mógł.

Cisza nastawała ze dniem.

W dali słychać było ze śpiewami odciągające gromy. Słońce zajrzało w głąb lasu, na wzgórzu nie było już nikogo.

Miotając się ciągle i targając, Sambor nareszcie potrafił głowę od chusty uwolnić, zębami na rękach i piersi więzy porozrywał, które po długiej męce pękły nareszcie — był wolnym!

Złamany, poraniony, wściekły, wyrwał się, biegnąc ku polanie. Tu pusto już było; dymiły jeszcze gdzieś gdzie ognie, leżały czarne kupy węgla, potłuczone garnki i rozbite naczynia. Wszystkie gromady podciągały do domów.

Sambor, pół żywy, spotniały, zwłókl się i stanął, gdy usłyszał głos za sobą. Z dala na ziemi pół leżała, pół siedziała baba. Zwano ją wiedźmą, Jaruha. Była to ta sama, która w lesie Dziwie na Kupale iść odradzała, ale sama śpieszyła i widać było teraz, że nie darmo...

Jaruha, która była postrachem okolicy i gospodyń, bo łatwo jej było mleko odjąć, we zbożu węzeł zawiązać, wodę zaczarować, dzieżę zakwasić, miała się dobrze przy Kupale. Poili ją wszyscy, aby gniewna nie pomściła się urokiem. Siedziała rozmarzona, pijana, przechylając się, podśpiewując, szepcząc sama do siebie. Zobaczywszy Sambora, podniosła rękę i wołać nań poczęła:

— Hej! sam tu chłopcze, rękę mi daj!... zaraz mi rękę daj!... Nie bój się, nic ci złego nie zrobię... Jeszcze ci mogę lubczyku dać, aby cię dziewczęta kochały... ino mi rękę daj! rękę daj, bo sama nie wstanę, a muszę iść! Chłopcze... słyszysz! rękę daj, lub urok ci rzucę... kark skręcisz do nowego miesiąca... Rękę mi daj!

Sambor się odwrócił; żal mu się starej zrobiło.

— Jaruho! — rzekł. — choćbym ci się podnieść pomógł, nie pójdziesz ty o swojej sile, a ja cię prowadzić nie mogę, bo mi do chałupy czas.

— Nie mędruj, daj ino rękę... Jak wstanę, jak się ustroję, pójdą jeszcze nogi moje... Chłopcze...

Sambor przystąpił i oburącz podniósł starowinę. Trzęsła się stojąc, chwiejąc, jak gdyby paść miała, ale utrzy-

mała się na nogach! Oczyma zakrwawionymi popatrzyła na niego.

— Cóżes ty spał tak długo? — zabelkotała.

— Nie spałem matko! Żli ludzie mnie związali, le-  
dwiem pozrywał pęta... Jaruho! nie stało się co na  
Kupałe?

Starucha popatrzyła nań, przekrzywiła usta i rozśmia-  
ła się.

— A co się stać miało? To, co się zawsze na Kupałę  
dzieje. Kupała — bóg gorący! dziewcząt dosyć naca-  
lował... a jedną, najkrańszszą! hę?...

Ręką machnęła i zaśpiewała ze śmiechem :

Przejechał pan na koniku,  
Porwał dziewczkę przy gajku  
Oj, gaju — ty zradniku...  
Oj, byłoż — było krzyku!  
Kupało!

— Którą? kto? — zakrzyczał Sambor.

Starucha palcem pogroziła na nosie.

— Ej, ty parobku... parobku!... Tobie się też jej chcia-  
ło! gospodarskiej córy! Zerkałeś i ty na nią, ja wszy-  
stko wiem... Pyszna była, mądra była, w wianku sobie  
chodzić chciała... A no... wianek z wodą płynie... z wo-  
dą... Porwali ją... porwali młodą... Do komory wiodą...  
Cha! cha! Otóż tobie królowanie dziewicze!...

W ręce klaskać zaczęła, a Sambor załamał swoje.

— A bracia? a czeladź? a nasi?...

— Pobili, potłukli, porwali, ponieśli... Albo to na Ku-  
pałę nowina! albo co złego?... Co się młodość ma  
marnować? Doman, kmieć bogaty... Kobiet ma kilka,  
a żony żadnej. Ona tam będzie królowała. Oj, Kupało!  
Kupało! — mówiła Jaruha, to śpiewając, to zataczając  
się i w ręce chude poklaskując.

Sambor stał jak zabity. Baba w oczy mu patrząc śmia-  
ła się.

— Dobrze tak! harda była! Ja to wiem, ja to wiem,



czego się jej chciało... u ognia w chramie stać, by się jej ludzie do kolan kłaniali, a ona im wróżyła... E! e! a do garnków, do kądzeli! Pomiatała swatami, żaden gozdzien jej nie był... Jam jej wczoraj mówiła: Nie idź na Kupałę... Przyszedł księżyc, panicz gładki, nie pomoże krzyk i płacze, na konika z dziewczką skacze... Na koń wsadził, na dwór biały uprowadził... Ot, co może Kupała!...

Śpiewała Jaruha poskakując na murawie, choć nogi jej nie bardzo służyły. Sambor się oddalał z głową zwieszoną.

— Bywaj zdrów, dobry chłopaku — wołała za nim, — pójdę już ja bez pomocy... A ty, coś starej podał rączkę, jak zechcesz, to ci młodą wyswatam... taką, że ją tylko całować, a całować i jeść, jak malinkę... Bywaj zdrów... idę sama...

I poszła powoli, podśpiewując, śmiejąc się głośno do siebie, hukając ku lasom, rozmawiając z ptakami, które przelatywały.

Chłopak się włókł niespokojny i gniewny do domu. Drogą znaną same nogi wiodły. Gdy stanął u zagrody znalazł w podwórku wszystkie niewiasty zawodzące, parobków z Ludkiem w drugim końcu zebranych. Ludek miał głowę zakrawioną. Klócili się wszyscy, — siostry i bratowe płakały!

Wpadli na powracającego wszyscy, gdzie był. Począł opowiadać, co się z nim działo; oni mu też, jak ich, już powracających, z lasu wybiegłszy Doman z ludźmi napadł i mimo oporu Dziwy, co go przekleństwami i łzami odstraszyć chciała, na koń ją rzucili i unieśli. Ludka, który jej bronił, uderzył jeden po głowie oszczepem, innym się też razy dostały.

Jeszcze spór trwał o to, kto winien, że dziewczki nie obroniono; Ludek chciał zgromadzić swoich i napaść na dwór Domana, aby się pomścić gwałtu i zniewagi, choć drudzy go odwodzili tym, iż zwyczaj był nieraz żony porywać, a gdy pochwyconą została, nie godziło

się jej odbierać — gdy we wrotach ukazała się Dziwa!  
Krzyk wyrwał się z piersi niewiast, które gromadą ku niej pobiegły.

Stała z twarzą płomienistą, niemal krwawą, na koszuli widać było też bryzgi krwi; trzymała za uzdę konia, który ją tu przyniósł. Wianek jej w drodze ze skroni spadł, odzież miała zmiętą i zszarzaną, w oczach błyskał ogień straszny. Stała przed chatą i milczała; zdawała się na pół obłąkaną.

Rzucili się ku niej wołając :

— Dziwa!

Siostra padła wieszając się jej na szyi i płacząc. Dziewczę, długo jeszcze drżące, słowa nie mogło wymówić.

Sambor otworzył jej wrota i z lekka cugle konia wziął z jej ręki.

Zwolna poczęła iść ku chacie nie patrząc na nikogo, ledwie uściskawszy siostrę, która ją pocałunkami okrywała. Doszła tak do przyzby, padła na nią, ręce opuściła i załamała.

Obstąpili ją wszyscy kołem.

— Dziwa, jakżeś ty mu się wyrwała?

Nie mówiła długo. Żywia jej w kubku świeżej wody przyniosła; napiła się, westchnęła, z oczów puściły się łzy.

Sambor coś szeptał, patrząc na konia. Był to koń Domana; po sierści jego jasnej płynęła struga krwi zastygłej.

Dziewczyna siedziała zamyślona, to ręką wodząc po czole, to coś szepcząc sama do siebie i uśmiechając się smutnie.

— Tak chciał! — zawołała nareszcie. — Zamiast Dziwy... Nija mu się dostała... Tak chciał... Jam zabiła Domana... Po co mnie brał siłą?

Spojrzała na brata, marszcząc brwi.

— A wy, coście mnie obronić nie umieli... jam się lepiej potrafiła! Od świętej góry do Domanowego dwo-

ru daleko... Ujął mnie w pól i cisnął... konia siekł... lecieliśmy cwałem... krzyku mego nikt nie słyszał... Chciałam mu wydrzeć oczy, ręce miałam jak połamane... drgały mi z gniewu i złości... Śmiejąc się uspokajał. Mieczyk mu błyszczał u boku... zobaczyłam go. Zmilczałam przyczaiwszy się... Jemu się zdało, że mnie ugłaskał... Milczałam, jedno drugiemu patrzyliśmy w oczy... Jak dziecko bawił mnie obietnicami... słuchałam. Koń ustając zwalniał biegu. Mieczyk mu świecił u boku... Do dworu było daleko... Mówił, że mnie miłował i dlatego gwałt uczynił... Patrzałam mu milcząc w oczy... Mieczyk drżał pod moją dłonią... Schylił się chcąc pocałować... nie krzyknęłam... nóż miałam w ręku... Do zagrody było daleko, gdym mu mieczyk w piersi wbiła... jego własny... Chwyił się za piersi rękami i spadł na ziemię... a jam z koniem poleciała... Nie było mnie gonić komu, ludzie przy panu zostali.

Spojrzała po braciach, którzy zasępieni milczeli, po siostrach, które strwożone oczy sobie rękami pozakrywały. Ludek patrzył na nią.

— Domanowe braty nie darują — rzekł, — krew trzeba będzie dać za krew...

Dziwa i wszyscy umilkli. Cisza trwała długo.

— Mnie tu już nie być — odezwała się nareszcie dziewczyna patrząc w ziemię — pożegnam ja się z wami i pójdę stąd, na zawsze... Jak mnie nie stanie, zemsty za mnie brać nie będą... Pójdę, gdzie oczy poniosą, kędy dola poprowadzi...

Wstała Dziwa; niewiasty wszystkie płakać i jęczeć zaczęły. Żywia objęła ją za szyję i razem weszły do chaty.

Bracia naradzali się cicho, co poczynać mieli. Dziwy długo nie było. Poszła zwlec świąteczne, potargane szaty i uwić sobie wianek nowy. W komorze po cichu zawiązała węzełek bielizny na drogę, a Żywia, widząc te przygotowania, legła na ziemię płacząc.

Płakały potem cicho ściskając się obie.



— Żegnaj mi jedyna, żegnaj mi rodzona... — półśpiewając mówiło dziewczę. — żegnaj ty mi na wieki! Ja muszę iść porzucić wszystko, gdzie oczy i dola niosą. Pójdę na ostrów, na Lednicę, do chramu Nijoły, stanę u ognia świętego, stać będę, aż oczy wypłaczę i zgasną... aż ja żyć albo ogień palić się przestanie.

Wyrwała się z objęć siostry.

— Teraz chodź. Żywio moja, siostró jedyna, pożegnajmy ognisko, pożegnajmy kąty, pożegnajmy progi i ściany, i bydełko, i konie, i wszystko żywe i martwe... z czym się żyło, co kochało...

Uroczyste to było pożegnanie, do którego się wszystkie przyłączyły niewiasty. Szła Dziwa do ogniska i rzuciła nań luczywo ostatnie.

— Bywaj zdrowy, ogniu mój domowy... już ja ciebie nie podsycę, świecić mi do kądzieli nie będziesz, ani grzać zziębniętą... Ogniu ojca, matki, sióstr i braci... świeć im jasno, grzej im duszę. Bywaj zdrowy!...

Szły potem do chlebnej dzieży, którą Dziwa objęła.

— Bywaj zdrowa, matko, coś mnie chlebem białym karmiła... bodajś zawsze pełną była i we czci u ludzi stała... Chleb twój karmić mnie nie będzie...

Tak samo żegnała próg, komory, gumna, stodoly, szopy, krówkę czerwoną, owieczki bure i konie, i psy nawet... i studnię, z której wodę brała, i wrota.

U studni wzięła Dziwa wiadro, zaczerpnęła raz ostatni napiała się i zapłakała... Uściskała siostrę, bratowe, braci, wszystkich pożegnała kłaniając się do nóg w koło... Wrota raz ostatni otwarły się i zamknęły za nią; szła żegnać rzekę, co pod dworem płynęła, i kamienie, na których ojciec siadywał.

Nikt się podróży tej sprzeciwić nie śmiał. U płota stał uwiązany koń skrwawiony Domana; kazała go puścić i nagnać, aby do swojego wracał stada.

Stara Wielicha i dwu zbrojnych parobków odprowadzili ją do jeziora nad Lednicą. Sambor się wprosił trzeci.

Gdy Dziwa jeszcze raz ostatni obejrzała się ku zagro-

dzie i powiała chustą białą, płacz i jęk dały się słyszeć ze dworu. Siostra i bratowe posiadały na ziemi i jak po umarłej zawodzić poczęły.

A w dali słyhać było, jak koń Domana, puszczone na wolę, cwałem, rżąc, przez lasy pędził do swoich.

## II

Koło domu Domanowego cicho było i pusto, gdy następnego dnia Myszko przybył na koniu i stanął u wrót.

— Nie ma Domana? — zapytał sługi, który stał we wrotach.

Parobek milczał.

— Jest pan doma? — powtórzył.

Nie było odpowiedzi.

— Cóż ty oniemiał? — zawołał po raz trzeci groźnie już przybyły kmieć, któremu się czoło pofałdowało.

— Co mam mówić? — nieśmiało począł chłopak. — Doman leży na pościeli raniony; baba mu ranę myje i ziołami zakłada... Dyszy jeszcze... ano, życia mało...

Myszko się rzucił na koniu i skoczył z niego.

— Kto go ranil?

Tu znowu zabrakło odpowiedzi; pokraśniał sługa, oczy spuścił, widocznie wstyd mu było powiedzieć. Niepewien nawet był, czy się godzi zdradzać tę tajemnicę, bo dla mężczyzny rana, przez dziewczkę zadana, bezczestną była prawie.

— Nie wiem — rzekł ostrożnie parobczak, chociaż był świadkiem, gdy padał na ziemię.

Myszko się dziwnie nań popatrzył, lecz już nie spytał go więcej i zwolna pociągnął do dworu, do świetlicy. Ciemno w niej było. Przy ogniu, który się palił wśród kamieni, siedziała skurczona Jaruha prażąc coś w garnuszkach i skorupkach i szepcząc po cichu.

W głębi izby, na skórce leżał blady, z oczyma w słu

otwartymi, z usty, których blade wargi były rozwarłe, w gorączce, półseny Doman. Na piersi widać było pokrwawioną koszulę i płachty mokre.

Jaruha spojrzała na wchodzącego i palec pomarszczone, czarny położyła na ustach, ale Doman już drgnął, ruszył się, jęknął i jakieś mruczenie niewyraźne z ust mu się wyrwało. Oczywiście zatoczył, ciałem się ruszyć nie mogąc. Myszko szedł ku niemu powoli. Ni jeden, ni drugi nie mówił nic; gość siadł w nogach na ławie.

Tymczasem starucha sięgała do kubka, stojącego przy niej, napiła się, otarła usta i poszła do chorego mokre jakieś niosąc ziele. Położyła mu je na piersiach, zaczęła mruścić, ręce obie nad nim podniosła przebierając palcami, splunęła na jedną i drugą stronę. Doman się nie ruszał, tchnął tylko ciężiej.

Na ten znak życia pies, który leżał na ziemi, podniósł głowę z wolna i wlepił w pana oczy.

Myszko nie spuszczał z niego wejrzenia, ale się odzywać nie śmiał. Chory zdawał się spać i marzyć. Niekiedy białe zęby jego ścięły się i zgrzytały. To znów uśmiechał się niby. Ręce mu drgały, jakby coś chciał pochwycić... i opadały bezsilne.

Myszko skinął na Jaruhę. Przystąpiła doń, wprzód rozpatrzywszy się w nim dobrze, i stanęła z pokorą.

— Kto go ranił? — spytał gość.

Jaruha milczała długo trzęsąc głową.

— Hę? dzik! — rzekła, — a tak! dzik... kłem... rozdarł mu piersi.

Gość oczy ciekawie zwrócił na nią i ruszył ramionami. Jaruha się poprawiła.

— Jeleń... albo ja wiem?... Na łowy wyjechał, a z łowów go przynieśli...

I trzęsła głową, brodę w rękę ściskając.

— Oj... łowy te, łowy... gorzej wojny takie łowy!...

Widocznym było z twarzy gościa, iż słowom jej nie wierzył. Ale w tej chwili na progu ukazał się Domanów brat. Duży. Myszko wstał i podszedł ku niemu, a Jaruha



u łoża stojąc za nimi patrzyła, bo wyszli ze dwora na podwórko.

— Mówże choć ty prawdę — zapytał Myszko, — co mu jest, kto go ranił? gdzie?

— Wstyd przyznać się — cicho szepnął brat młodszy — za dziewczką poleciał na Kupalę, za Wiszową... porwał ją na koń. Dziewka mu miecz od pasa wzięła i w piersi wbiła.

Spuścił głowę Duży, jakby go to wyznanie zbyt wiele kosztowało.

Namarszczył się słuchający.

— I uszła? — spytał oburzony.

— Doman z konia padł, bo go srodze raniła, nie wiem, czy i żyć będzie, choć baba krew zamówiła i okłada ranę — mówił Duży, — a dziewczyna z koniem do domu uszła.

Słuchając opowiadania Myszko zdawał się ledwie uszom wierzyć; śmiałość dziewczyny, nieopatrność Doman wydawały się niepojętymi. Zamilkł.

— Wywołajcie babę — rzekł po namyśle. — Spytamy jej, czy z niego co będzie, czy przepadł... Potrzebny on mnie i nam wszystkim.

Posłuszny chłopak skinął od progu na Jarułę, która z udaną powagą, choć widocznie podchmielona, wysunęła się z chaty.

— Słuchaj, stara wiedźmo — rzekł, odwracając się ku niej, przybyły — będzie on żył?

Jaruha podniosła głowę, pokiwała nią, spuściła, podparła brodę na rękę, myślała długo.

— Kto to może wiedzieć — rzekła, — albo to ja tam była, gdy mu krew upływała? albom ja patrzyła, gdy go zabijali? Ja swoje robię... Krew zamówiłam, ziela narwarzyłam, płachty położyłam... a może kto ranę przeklina... może urok rzucili?

Nie można się od niej było dowiedzieć więcej. Myszko stał zafrasowany, gdy w świetlicy usłyszano wołanie:

— Bywaj tu!

Pobiegli wszyscy; Doman spierając się na łokciu podniósł się blady, ale przytomny, i pić prosił. Jaruha mu przyniosła jakiegoś gotowanego napoju, który pochwylił chciwie. Oczyma powiódł po izbie, brata poznał, a obcego zobaczywszy spuścił oczy. Ręką uciskał piersi, jakby mu co zawadzało. Myszko stał nad nim.

— Tak — rzekł, — z koniam spadł... i na mieczyku się przebiłem...

Nie śmiał oczów podnieść.

— Myślałem, że mi koniec przyjdzie... a no, jeszcze żyję...

— A to ja wam krew zamówiłam, proszę miłości waszej — wtrąciła Jaruha; — gdyby nie ja! he! he!

— Co wy tam uradzili, Myszkule? — spytał odwracając rozmowę.

— Dziś z tobą o tym nie gadać, kiedy leżeć i liczyć się musisz.

— Wylizę się — rzekł Doman — a nie chcę, abyście mnie zapomnieli, jeśli co do roboty macie... Nie ja, to pójdą bracia i ludzie... Byłem chodzić mógł, nie zaśpię doma... Człek najprędzej wydobrzeje, gdy na konia siędzie.

— Nieprędko wam o koniu myśleć — przerwała Jaruha, — krew by się znowu puściła, a jakby mnie nie było do zamówienia...

Nikt baby nie słuchał i umilkła, Duży nawet na drzwi jej wskazał. Wiedźma pokręciwszy się około ognia, wyszła mrucząc.

— Żle z nami — rzekł Myszko, — źle z nami, Domanie. Na wiecuśmy nie uradzili nic, a teraz gorzej się jeszcze kroi. Chwostek sobie zebrał dużą drużynę, nawet między naszymi... Bodaj po Niemców posłał i Pomorców, aby w pomoc przybywali; chce nas wszystkich zawojować i obrócić w niewolniki... Radźmy sobie...

— Pierwsza rzecz — rzekł Doman — tych się zbyć, co jemu służą, a z nami iść nie chcą, bez tego nic...

— Pewnie — odparł Myszko — z tymi, co jawnie

z nim trzymają rzecz łatwa... ale kto wie, ilu z nim trzyma potajemnie?... Starego Wisza nie stało...

Na wspomnienie starego Wisza Doman spuścił głowę i zamilkł.

Trzeba nam dalej prowadzić mirową sprawę... Nikt nie chce stanąć na czele gromady, aby mu się to nie stało, co Wiszowi... Jechałem do was na radę... a wy...

— E, e, co będę kłamał — żywo zawołał, jakby z trochę gorączki Doman.

Odsłonił piersi, odrzucił płachtę i śmiejąc się dziwnie pokazał siną, ledwie przysychającą ranę, która miała kształt miecza, jakim była zadana.

— Patrz, Myszko — dodał — dziewczka mi ją zadała! dziewczka! Wiszowa dziewczyna! Wyrwała mi się z rąk, jak śliski węgorz... Srom i wstyd!

Przed ludźmi nie pokazać chyba oczów, póki jej nie będę miał... Nie utai się to... własna czeladź mnie zdradzi... baby się ze mnie urągać będą... Prawda, brata raniłem, gdym ją schwytał, ale od dziewczki dostać ranę!...

Padł na pościel.

— Weźmiesz ją i pomścisz się — zawołał Myszko, — chciałeś ją mieć za żonę... uczynisz niewolnicą lub zabijesz... nie truj się tym i bądź spokojny...

— Bylem siły miał trochę, doma nie zostanie... pali mnie łoże i srom...

— Słuchajże Doman, wy z kim? — przerwał Myszko.

— Z wami — odparł krótko ranny i wskazał na brata — on, ja, moi ludzie, czeladź. My stare kmiecie, jesteście do swobody nawykli. Do ostatniej kropli krwi miru bronić będziemy, kneź mir łamie, niech głowę da!

— Niech głowę da! — zawołał Myszko i wstał. — Więcej już słyszeć nie chcę i nie potrzebuję... Na tym dosyć...

Duży przyniósł mu miodu w kubku; gość z pośpiechem do ust go zbliżył i napił się, biorąc rękę Domana.

— Za rychłe wyzdrowienie twoje... Słowo?



— Słowo kmiece... i klątwa... ja z wami... a umrę ja z wami bracia, do ostatniego...

I legł na pościel. Myszko wyszedł i na konia siadł.

Weszła na powrót Jaruha zbliżając się do łoża chorego; spojrzała na piersi, z której płachty zrzucone leżały na ziemi, i załamała ręce. Poczęła je podnosić mrużąc.

— A zdrowym byś chciał być, miłościwy panie—poczęła.—Baba was wyratowała a słuchać jej nie chcecie!...

Nie opierał się chory, gdy mu znów owe mokre zioła i bieliznę na piersi przyłożyła. Znużony wzruszeniem, Doman się zdrzemnął zaraz. We dworze milczenie było znowu.

Nadchodził wieczór, gdy Duży, stojąc we wrotach, zobaczył jezdnych, z lasu wychylających się na pole.

Było ich czterech. Jeden przodem jechał wprost na dwór. Już z dala poznał chłopak Bumira, kmiecia, który mieszkał koło Gopła. Bumir stary był już, ale jak żubr silny, kark miał gruby, nogi i ręce ogromne, brzuch spasyły. Ciemne włosy, na pół już siwe, bezładnie otaczały mu głowę okrągłą, w której siedziały wypukłe oczy żabie i usta szerokie. Z Bumirem mało co się znali, nie lubił go Doman; po co tu ciągnął, trudno było odgadnąć. Stanął ze swymi u wrót.

Gościnnosć stara nikogo, miłego czy nie, odpychać nie dozwalała.

Pozdrowili się z Dużym.

— Zabłąkałem się — rzekł Bumir — dajcie mi spocząć u siebie. Ludzie się zagnali za jeleniem, który oszczep niósł w sobie. Jakiś zwierz, w którym licho siedziało, poprowadził nas na obłądy... drugi dzień włóczymy się po lesie...

— Brat mój się okaleczył, leży ranny — odezwał się Duży, — ale dom rad wam.

— Ja rany leczyć umiem — zawołał Bumir, — pójdę, zobaczę.

— Baba go opatruje...



Obok niego stojący Wizun, oczyma zdawał się jej dyktować, co mówić miała.



Bumir sapiąc z konia zlął i nie pytając do izby ciągnął.

— Sadło, którym rany zalewam, czeladź ma — odezwał się Bumir; — zalejemy mu sadła i za kilka dni znaku nie będzie.

Wchodzili do izby; Doman jakby poczuł już obcego, ruszył się zaraz. Jaruha, która przy ogniu drzemała, zbudziła się spluwając, gniewna. Bumir nie zważając na nic do chorego poszedł.

Gdy na siebie spojrzeli, zaraz postrzec było można, że gospodarzowi gość ten niemiłym był.

— Zabłądziłem, dacie mi spocząć — rzekł siadając na ławie.

Doman ręką skinął i bratu dał znak, by gościa przyjmował, Bumir się rozsiadł i sparł na stole.

— Ludzie moi mają sadło — rzekł — które najsroższe rany goi. Niedźwiedź jucha raz mi do połowy skórę ze łba zdarł. — wyleczyli mnie niem.

— Miłościwy panie — zawołała Jaruha — już tu nic nie trzeba... ja krew zamówiłam i zioła mam, co ranę prędko przygoją. Nie trzeba nic!

Chory też dał znak ręką. Bumir zamilkł.

Wszedł Duży z miodem i z kołaczem, a za nim wnieśli misy. Gość począł jeść łakomie, pić chciwie i póki się nie nasycił, sapał tylko. Jaruha wyszła na podwórze, gdzie się rozrywała, żarty strojąc z czeladzią. Duży też stadninę począł opatrywać, zostali sami. Bumir znać tego sobie życzył, bo się zaraz do gospodarza przysunął.

— Ej, Domanku miły — począł, pochylając się ku niemu — nie w porę tobie ta rana i choroba... U nas źle... nam trzeba ludzi i rąk... Kmiecie, braty nasze, burzą się i złego piwa nawarzą...

Namarszczyło się czoło choremu.

— Cóż się to tam dzieje? — mruknął.

— Na naszego knezia wszyscy bij, zabij... poszawszyszy...

Doman nic nie mówiąc słuchał.

— Zginiemy wszyscy — rzekł cicho Bumir, — knezia



pogniewali, zemstę wywołają. Niemców sprowadzi na nas...

Widząc, że gospodarz nie mówi nic, Bumir ciągnął dalej.

— Jest już zmowa na knezia... już się zbierają, radzą... a wszystko to tylko, aby jednego ze swoich posadzić na grodzie. Nie o swobodę im idzie, a o skarby na zamku... My to wiemy. A no, omyła się, bo dużo nas jest, co staniemy za kneziem i nie dopuścimy... Nie dopuścimy!... — zawołał Bumir bijąc kubkiem o stół.

Oczy mu się zapaliły.

— Myszkom się chce panować; my wolimy tego, co jest... My go już znamy, a tamci jeszcze się nie napiwszy, głodniejsi będą... Nie dopuścimy.

— Obliczyliście się? — zapytał Doman.

— Co się mamy liczyć?... Leszki pójdą wszystkie z nami, bo to ich sprawa, pojedną się... kmieciów też dużo jest, co chcą spokojnie swoje lechy uprawiać... a gromady, co się wyrwą, kneziowscy ludzie rozgnią na miazgę.

Bumir się tak odkrył ze swą wiarą, po miodzie, nieopatrznie. Doman, daleko przebieglejszy od niego, dawno przewidział, ku czemu to idzie i czuł, że Bumir go spyta nareszcie, z kim on trzymać myśli. Powiedzieć fałszu nie chciał, a prawdę zdawało się wyśpiewać niebezpiecznie. U narodów na pół wykształconych instynkt zachowawczy często dziwne formy przybiera i do różnych fortelów się ucieka. Domanowi przyszło na myśl, aby się chorobą posłużyć; w chwili, gdy Bumir kończył mówić, jęczeć począł i chwycił się za piersi.

Jaruha, stojąca pod oknem, usłyszała ten głos i pospieszyła nań.

Bumir umilkł. Przyniesiono zaraz płachty nowe; chory się skarżył. Wiedźma zapowiedziała, że musi zamawiać ranę i że nikomu przy tem być nie wolno.

Stary kmieć obawiał się czarów i bab. Z przerwana więc rozmową wyniósł się za próg, sapiąc, obiecując

sobie wrócić dla dokończenia jej, ale po dość długim oczekiwaniu Jaruha wyszła objawiając, że skutkiem jej zamawiania chory zasnął i spać będzie do jutra, do rana, a snu mu przerywać nie wolno, boby duchy złośliwe chorobę mogły rzucić na tego, co by obudził chorego.

Rad nierad Bumir się znalazł w podwórzu, nic nie sprawiwszy, z tym, że na resztę musiałyby czekać do rana. Na to nie było sposobu. Jechać musiał drugich namawiać, bo go znać z tym kneź wysłał; wziął więc na bok Dużego.

— Ja do jutra rana tu stać nie mogę — rzekł mu niecierpliwie, — Doman śpi... Jutro mu powiecie ode mnie, aby pamiętał, co mówiłem i z tymi trzymał co mir miłuję, a radzi siedzieć w pokoju. Powiedzcie to mu koniecznie, ja przed nocą jeszcze kawał drogi ujechać muszę.

Taką sztuką odprawiony, Bumir zły, mrużąc, na konia siadł i pociągnął dalej. Doman wszakże spać nie myślał babe tylko namówiwszy, aby mu się wyklamać pomogła. Zaledwie usłyszał, że konie za wrotami były, ruszył się na pościeli. Leżenie mu dokuczyło, chciał choć popróbować, czy mu się wstać nie uda.

Przeraziła się Jaruha, która wcale sobie nie życzyła widzieć go uleczonym tak prędko i poczęła niemal gwałtem nazad pedzić na łożo. I siły też nie pozwalały bardzo się dźwigać. Doman, zaledwie popróbował i poczuwszy się jeszcze osłabłym, nazad na łożo legł. Jaruha znów zamawiała. Miała przy tym jeść i pić do syta, czyniła się też potrzebną, jak umiała.

Późno już było i Doman usnął po tych wysiłkach gdy nowy gość do chaty się wcisnął. Jak on tu potrafił się dostać, trudno było babie zrozumieć.

Właśnie usnąć miała oparłszy się o ognisko, gdy na progu zobaczyła kocie oko Znoska. Z głową obwiązaną płachtą, z okiem ciekącym karzeł wsunął się do izby tak cicho, iż Jaruha, ujrawszy go, przelekła się, jakby wilkołaka zobaczyła.

Psy stróżowały na podwórzu, ludzie spali, wrota były

zaparte. — pomimo to Znosek się dostał do zagrody... Jak? to było jego tajemnicą. Wśliznąwszy się tu, podpełznął do starej, pokazując swą głowę poranioną.

Jaruha była litościwą, leki i czary stanowiły jej rzemiosło, dozwoliła się więc zbliżyć Znoskowi i zwolna głowę mu rozwiązywała. Przewschła płachta odmaczana być musiała, gdyż Znosek syknął z bólu, a Doman się obudził.

— Jakżeś ty tu wlaźł, że cię psy nie zjadły? — szepnęła, głos zniżając, wiedźma.

Znosek ledwie dosłyszalnym szeptem odpowiedział jej na ucho, iż dowiedziawszy się, że ja tu znajdę, musiał się dostać do dworu, bo go rany niezmiernie bolały.

Przyznał się, że nie mogąc inaczej, wdrapał się na drzewo, stojące przy częstokole u zagrody i po gałęziach jego spuścił się w podwórze. Tu, psów nie budząc przepełznął do drzwi, które zawsze stały otworem.

Jaruha ranę mu poczęła opatrywać, szepać nad nią i słuwać na wszystkie strony. Z węzełków potem swych dobiła ziół, z garnuszka naląła cieczy jakiejś i kazawszy Znoskowi siedzieć z głową spuszczoną, obwiązała go na nowo.

Ocień przyciął był nieco i w izbie było prawie ciemno, ale właśnie, gdy karzeł klęczał przed Jaruha z głową spuszczoną, błysnęło światło, blask oblał izbę, Doman się zbudził, otworzył oczy i ujrzał tę dziwną parę.

Obcy człowiek bez wiadomości w jego domu w podrażnionym choroba gniew obudził. Sadzili go jeszcze śniacym, gdy nagle krzyknął straszliwie wołając ludzi. Znosek chciał się wysliznąć i uciec, ale już było za późno. Czeladź śniaca za progiem zerwała się na nogi. Karzeł padł na ziemię twarzą. Zaczęło się wołanie, popłoch i Znoska schwyła czeladź prowadząc przed pana.

O tym stworzeniu, którego Doman nie widział nigdy, chodzący wieści dawno, jako o złośliwej istocie, będącej na posługach knezia. Wiedziano, że podpatrywał, że się wszędzie wślizgnąć umiał i że go używano na pod-



słuchy. Z postawy domyśleć się było łatwo, kim był.

W pierwszym napadzie gniewu Doman chciał go ka-  
zać powiesić na dębie. Znosek padł przed nim na twarz  
jęcząc i błagając. Jaruha się wstawić nie chciała, świad-  
czyła tylko, że przyszedł dla ran, które miał na głowie.

Czeladź już się brała do postronków, aby z ochotą  
wielką spełnić rozkaz pana i Znoska, jak wielką żołądź,  
na dębie uwiesić, gdy na jęk i płacze Doman się ulito-  
wał i psami go za podwórze wyszczuć kazał. Wypro-  
wadzono go więc do drzwi, na psy świeśnięto i ucieka-  
jący co tchu ku tynowi karzeł, poszarpany, ranny, ledwie  
się potrafił całemu stadu goniących go ogarów wyrwać,  
zręcznie na płot wskoczywszy. Jeden z psów, który się  
był nogi jego uczeplił, zawisł długo przy niej i wyrwaw-  
szy z niej to, co zębami chwycił, upadł na ziemię. Zno-  
sek jednak tyn przeskoczył i za zagrodą zniknął.

Jaruha już siedziała spokojnie u ognia i może nawet  
żałowała, że go nie powieszono, gdyż z wisielców różne  
bardzo potężne leki i czary na ówczas wyciągano, które  
by się jej były przydały. Nie obwiniano jej o to, że  
się przybłędzie ulitowała i pozostała znów przy ognisku.

Znosek, padłszy za zagrodą na ziemię z nową raną,  
jęczał, pięście wyciągając ku dworowi i przeklinał jej pa-  
na. Obiecywał sobie pomstę, choćby życiem zapłacił,  
a o tę zausznikowi kneziowskiemu było łatwo. Gdy  
nogę zawiązawszy, powlókł się nad ranem w las, aby  
go nie schwytano znowu, ciągle jeszcze ku zagrodzie się  
zwracał, pokazując jej pięści i zęby.

### III

Na jeziorze Lednicy leżała wyspa, ostrów święty, do  
którego z dala, od Wisły, nawet od Łaby, od Odry  
przychodzili pielgrzymi z ofiarami po wróżby i rady.

Niewiele naówczas takich chramów i świątyń liczono  
na ziemiach słowiańskich. U Ranów na ostrowiu stał

chram Światowida, u Redarów drugi, u Serbów nad Łabą Tryglowa trzeci, w Starogrodzie w gaju czczono Prowego. Ciągnęły do nich na wielkie świątki i dnie uroczyste różne plemiona z dalekich stron, schodzili się ludzie jednego słowa, choć różnej nieco mowy i u świątyń tych radzili i porozumiewali się, co ku obronie od wspólnych wrogów przedsiębrać mieli.

Na ostrowiu Lednicy stał chram Nii, do którego szła właśnie Dziwa schronić się od pomsty i poświęcić resztę życia pilnowaniu ognia świętego.

Trzeciego dnia pokazało się jezioro, szeroko rozlane, świecące, jasne, a podróżni powitali je pokłonem, bo i ono, jak ostrów, świętym było. Z dala też dawał się dostrzec ostrów, naówczas gęstym gajem i zaroślami okryty. Zakrywały one chram oczom i zdawały się całą wyspę okrywać. U brzegu, na palach wbitych niegdyś w jezioro, stały nędzne chatki rybaków. Przy nich czółna do palów poprzywiązane kołysały się, jak senne, poruszając z falami. Rybacy, zamieszkali w tych budkach, przewozili pielgrzymów na ostrów.

Wieść niesła, że chaty biednych tych ludzi stały tu od wieków, że ich niegdyś tu była moc wielka, że pale zajmowały część znaczną wód, a na pokładach nad nimi zamieszkiwała niegdyś cała osada liczna i zamożna. Ale z czasem pale gniły, chałupy padały w wodę, ludzie się na łąd przenosili i rozpraszała. Teraz pozostało ich tylko kilka, szerniałych, osiadłych nisko, okopconych, a zajmowali je rybacy i przewoźnicy.

U chat na palach pożegnała Dziwa swoich towarzyszków; tu już bezpieczna sama iść mogła, kędy jej każała dola. Nie potrzebowała ani druhów, ani družki. Rzucił się jej Sambor do nóg, bo ją od dziecka szanował i miłował.

Zdrów bywaj, Samborze — odezwała się, — bądź szczęśliwy... pokłon odnieś ode mnie siostrze milej, braciom, wszystkim... nawet ptakom, co koło naszej la-  
tały zagrody.

Z chaty na palach, które się trzęsły pod nim, wyszedł stary zgarbiony człowiek, w drżących rękach trzymając wiosło. Nie mówiąc nic zszedł do czołna, zstąpił w nie, odwiązał i czekał. Dziwa siadła; odbił od brzegu i czołno pomknęło po wodach spokojnych. Towarzysze stali i patrzyli; stara piastunka płakała, padłszy na ziemię. Dziwa chustą wiewała. Białe ptaki nad głową jej się niosły i kwiliły, jakby rozumowały, że się ze swoim rodzonym rozstawała światem.

Czołno płynęło. Już twarzy jej widać nie było, tylko koszulę białą, potem plamkę białą, a później ostrów i drzewa zakryły czołenko. Dziwa płynęła, gdzie ją dola niosła.

Wtem łódka się o brzeg oparła i zadrgała, stary wyszedł na ląd i przytrzymał ją. Para kamieni sterczała nad wodą; dziewczę wysiadło i wyszło.

Na ostrowiu cicho było, cicho... tylko tysiące słowików w krzakach na zabój nuciły. Pomiędzy łozy i olszyny wiodły ścieżki kryte, ludzkimi powydeptywane stopami. Dziwa szła zwolna przed siebie, nie śpiesząc, wiedząc, że dojdzie, gdzie jej losy iść kazały.

Wśród gęstwiny otwarła się łączka zielona. Tu gromadkami siedzieli ludzie i pożywali z kobiałek, co kto miał z sobą, w milczeniu jakimś uroczystym. Widać było po sukniach, ich barwie i kroju, że ludzie tam byli z krajów różnych. Byli tam mową i odzieżą odmienni od siebie, a językiem pokrewni Połabiańscy Syrbowie, Wilcy i Redary, byli Dalemińcy, Ukrańce, Łuczanie, Dulebianie, Drewlanie z Drażdzańskich lasów, Polanie tutejsi, Łuzanie znad Warty i Odry, Bużanie od Buga, Chorbaci nawet i niezliczone naówczas plemiona, które się różnymi imionami zwały, z jednych rodów, odszczepionych od pnia głównego pochodząc.

Zaprawdę piękny był widok tych gromad, co się rozumiały, a przecie nie znały i dziwiły sobie, z których każda miała inną twarz i obyczaj odmienny, a wszystkie były od jednej prastarej matki.



Nie bratali się bardzo, ostrożnie ocierali o siebie, ale zanucona pieśń, rzucone słowo zbliżało powoli.

Świty szare, czarne, brunatne, białe, siermięgi, opończe, pasami zielonymi, krasnymi, czarnymi i białymi przepasywane, odznaczały plemiona. Uzbrojenie też nie było równe. Plemiona znad Wełtawy i Łaby, bliższe Niemców, już od nich wiele zapożyczyły; ci co mieszkali ku Wiśle i w głębi, dzicziej wyglądali jeszcze. Znad Bugu (białego słowiańskiego morza) mieli dużo przywoźnego sprzętu, który im statki z dalekich krajów przynosiły.

Dziwa przeszła między gromadami, które ją ciekawymi mierzyły oczyma. Chramu stąd jeszcze widać nie było, bo go zasłaniała gęstwina zielona. Wpółśród zarosli trafiła na pierwszy kamienny obwód chramu. Stały te kamienie ogromne, jak je ziemia zrodziła, jak je morze przyniosło, nietknięte ręką ludzką, z tymi twarzami, jakie im dały wieki, jedne nie opodał od drugich, w odstępach równych, jak zakłęci w głązy stróże. Jak zajrzeć w lewo i w prawo, ciągnął się ten poświęcany szereg dokoła.

Na jednej z tych brył siedziała kobieta w bieli, podparta na rękę. Stara już była; miała srebrny, rozpuszczony na ramiona włos, a na nim dziewiczy wianek ruciany. W rękę trzymała laskę białą, z korą pozostawioną tak, by ją jak wąż, jak wstążeczka opasywała. Ubiór miała wieśniaczy, biały, świeży i czysty, a przy nim spinki błyszczące. Na twarzy spokojnej, pomarszczonej i zwiedłej, widać było życie jakby senne, coś na pół umarłego, nie troszczącego się ani o śmierć, ani o dolę.

Dziwa się jej pokłoniła.

Stara oczy powoli podniosła nic nie mówiąc, ręką jej pokazała na prawo, na drożynę; głowę podparła znowu i dumiała.

Dziewczyzna szła drożyną wskazaną. O kilka kroków stał na kiju sparty starzec, niewielkiego wzrostu, odzia-

ny bielizną świeżą, w obuwii z czerwonymi sznury i zarzuconej na ramiona opończy ciemnej. Czarna, wysoka czapka okrywała mu czoło.

Na zbliżającą się zwolna Dziwę patrzył z pod brwi siwych. Skłoniła mu się do kolan.

— Tyś tu panem i ojcem? — spytała.

— Wizun jestem... tak...

— Przytulku u was prosić przychodzę — poczęła Dziwa powstając, — będę Nii ognia pilnować święcie... Od młodu ślubowałam bogom!

Stary Wizun łagodnie i spokojnie patrzył, słuchał. Dziewczę wymówiło te wyrazy szybko, rumieniec okrywał jej twarz.

— Sierota jesteś? — zapytał.

— Nie... miałam niedawno ojca i matkę, mam jeszcze braci i siostrę... Kmieć Wisz był mi ojcem — poczęła mówić. — Wisza kneziowscy ludzie zabili...

Wizun zbliżył się ciekawie słuchając.

— Mnie chciał porwać za żonę sąsiad nasz... broniąc się, zabiłam go. Nie chcę, aby jego krwi mścili... przyszłam tu...

— Zabiłaś? — zawołał zdziwiony stary Wizun — ty? zabiłaś?... — Jak się zwał ten człowiek?

— Doman! — odpowiedziała rumieniąc się dziewczyna.

— Doman! Doman! — ręce załamując rzekł stary — ja go nosiłem małym na rękach...

Zmarszczył się Wizun. Dziwa pobladła, ulękła się, aby ją nie odepchnięto. Stary nie mówił nic sparty na kiju, milczał patrząc w ziemię.

— Doman zabity!... — mówił do siebie — zabity przez dziewczkę.

— Mów, jakieś ty go zabiła! — odezwał się do dziewczyny.

Dziwa drżącym głosem poczęła opowiadanie, tłumacząc się z tego czynu ślubem swym i popełnionym na niej gwałtem. Wizun pytał, czy wie, że został zabitym, nie

ranionym, nie chciał wierzyć śmierci. Potem zamilkł.

— Pozwólcie mi tu zostać u ogniska! — zawołała Dziwa.

Nie odpowiadał stary długo, myślał.

— Zostań — rzekł w końcu, — aleś ty dla nas za młoda, i za krasna... Ty nie znasz siebie, zatęsknisz... bądź sobie gością tylko... inaczej ja cię nie chcę... Jak ci serce odboli, pójdiesz! o! pójdiesz!...

— Nie! nie! — rzekła Dziwa — zostanę!

Wizun się uśmiechnął smutnie i, nic już nie mówiąc, wskazał jej drogę do chramu.

Biegła raczej, niż szła, we wskazaną stronę Dziwa. Tu stał częstokół i wrota. Częstokół był z polan gładko ciosanych, rzezanych u góry misternie w zęby i koła. Wrota też miały słupy drewniane, strojne, jak dziewczęta w rąbki, zęby, w pasy, jedne malowane biało, drugie żółto i czerwono. Na daszku nad wrotami wisiały wianki, w części poschłe, w części zielone jeszcze i świeże. Stąd droga była już usłana liśćmi zielonymi kosaćca.

W pnium rzezanym pięknie, u którego stał czerpaczek biały, była woda czysta jak łza źródłana. Dziwa zaczęła jej i napiła się spragniona.

— Bądź mi zdrowa, wodo święta, wodo nowa! — szepnęła.

Za wrót wyglądał drugi staruszek, do Wizuna podobny, który się od przychodzącej skrył żywo.

Szła drogą pomiędzy dwoma częstokołami naokół, a drugie opasanie chramu było jeszcze ozdobniej z drzewa ciosane.

Wisiały na nim skóry, oręż różny i dary, które składali pielgrzymi. Tą drogą trzeba było iść szukając wrót drugich. Do tych spinać się musiała po schodach. Ciemniej tu było, bo drzewa i opasanie światło odejmowało.

Tu już stał sam chram, na gęstych dokoła słupkach drewnianych oparty i okryty dachem gontowym. Pośród słupkami malowanymi czerwono, z żółtymi prze-



paskami, wisiały czerwone sukienne opony, zakrywające wnętrze. Ścian nie było.

Trwoga jakaś ogarnęła dziewczynę, gdy, zbliżywszy się ku sukiennej zastonie, podnieść ją miała, aby się dostać tam, skąd już nie chciała, nie myślała wyniść nigdy. Popatrzyła na świat biały, na dzień biały, posłuchała gwaru słowików i ręką drżącą podniosła zaslonę, która zaszeleściła nad jej głową. Weszła.

Ogarnęła ją na chwilę noc, bo oczy jej zrazu nic dojrzeć nie mogły. Na tle tylko czarnym płomień błyskał w głębi. Zapach smoly, bursztynu, spalonych ziół przesycał powietrze ciężkie i ciepłe. Dopiero oczy oswoiwszy, postrzegła kontynę na słupach jeszcze wewnątrz opartą, ciemną, smutną i pustą. Daleko przed nią stały kamienie, które otaczały wolno płonące ognisko. Dym i iskry dobywały się z niego to wolniej, to żywiej i szły ku górze, do otworu w dachu, lub wiatrem zwrócone rozchodziły się po wnętrzu budowy. Przy ogniu siedziały dwie białe postacie, jakby uśpione czy drzemiące.

Zza dymu i płomieni widać było na ścianie kontyny coś niewyraźnego, podnoszącego się wysoko, aż pod strop i dach. Była to czarna, okopcona postać dziwna, nieforemna, straszna, u której nóg leżało kilka białych trupich czaszek. Obok niej wisiały łuki, oręż, noże, jakieś zdobyte łupy, a sam posąg obwieszony był cały niemal sznurami bursztynu i kraśnych kulek, ponizanych na nici. U góry, w głowie potwornej, dwoje oczów, dwa świecące ogromne kamienie czerwone, jakby krwią gorejącą pałały. Nie widać tam było nic, tylko dwoje tych oczów płomienistych, od których skryć się nigdzie nie było można. Patrzyły na wszystkie strony, odbijał się w nich ogień, u stóp pałacy, migotał w czerwonych kamieniach i czynił je jakby żywymi. Wśród ciemności te drganiem płomienia ruszające się oczy bóstwa przerażały, jak spojrzenie ze światów innych, groźne i gniewu pełne.

W chrampie teraz nie było nic słyhać, tylko trzask

palącego się łuczywa i świergot ptastwa, które otworami dostawszy się do środka jego, niespokojnie pokrzykiwało latając, aby się stąd na powrót wydobyć.

Dziwa, postawszy chwilę, bo w niej czerwone oczy zrodziły trwogę i odjęły siłę, wolnym krokiem podeszła ku ognisku myśląc :

Tu więc miejsce moje !

I nie pytając już nikogo, nie patrząc, zbliżyła się aż do dwóch siedzących niewiast, co ogień podsycali, siadła, jak one, na pustym kamieniu, wzięła nagotowane łuczywo i położyła je na ognisku.

Jedna z kobiet wstrzymać ją chciała, lecz za późno się podniosła. Ogień już był objął tę pierwszą ofiarę, na którą Dziwa patrzała, jakby się w niej własne paliło życie. Dwie stróżki tego Znicza popatrzały na nią ciekawie, trochę przełękłe. Przy świetle ognia mogła dojrzeć ich twarze. Zwiędłe były, smutne i blade,

Przyglądając się pięknej dziewczynie, szeptały coś pomiędzy sobą, jakby litując się nad nią. Głowami potrząsały tylko, nie śmiejąc się odezwać. Zdawały się patrzeć na nią jak na skazaną. Dziwa siedziała spokojna, w ogień wlepiwszy oczy ; odpoczywała.

U ognia zmieniali się potem stróżki ; Dziwa przesiedziała całą noc przy nich, dorzucając po łuczywie. Sen jej nie brał, myślami jeszcze żegnała życie swe dziewczęce i domową zagrodę, a czerwone oczy Nijoły przyszłość czyniły straszną.

Tak przeszedł dzień pierwszy i tak samo prawie upłynął drugi. Mogła tylko wyjść za kontynę i odetchnąć świeżym powietrzem. Ale tu skupiały się koło niej stróżki ognia i ciekawie przyglądały się jej, badały, dopytywały, uśmiechając się ; zwracali oczy przechodzący pielgrzymi i Dziwa wołała już milczenie swe w ciemnym kątku, niż te napaści próżnującej gawiedzi i te pytania bez końca.

Nazajutrz siwowłosa kobieta w wianku spotkała ją też za chramem i zagadnęła o przeszłość ; opowiadać się

więc musiała, skąd przyszła i dlaczego, ale ta słuchała roztargniona i nie okazała nawet, czy ją opowieść obezła. Dziwa spodziewała się tu może jakiegoś podnieconego życia, z pieśnią i marzeniem, a znalazła milczenie i ołowiane brzemie na wszystkich tych niewiastach, znużonych ciszą jednostajną, jaka ich otaczała. Bezmyślnie spełniały one posługę przy chramie i dzień schodził na pólseennym jakimś osłupieniu, na zdrętwieniu i martwocie.

Wieczorem, po odejściu siwowłosej kobiety, zjawił się stary Wizun; oczyma prawie gniewnymi mierzył Dziwę i pytał znowu o Domana.

Dziewczę opowiedziało swą przygodę po raz drugi.

— Domana mi żal! — zawołał. — Nosilem go dzieckiem na rękę, chłopak był odważny, dobry, gościnny... i przyszło mu zginąć nie na wojnie, nie na łowach, ale z rąk niewiasty... ze sromem!...

— A jakżem ja się bronić miała, będąc w jego mocy? — odezwała się Dziwa. — Wolno się bronić dziakiemu zwierzęciu i robakowi nawet, a nie godzi się dziewczynie?

Starzec się namarszczył tylko i spojrział na nią dziko.

— Doman rannym być może, ale zabitym... nie! nie! To być nie powinno i nie będzie... — dodał.

Chciał, aby mu opowiedziała, jak mu cios zadała, ale Dziwa sama już teraz nie wiedziała, jak się to stało, ani by umiała wytłumaczyć, skąd na to wzięła odwagę i siłę, zmilczała więc.

Następnych dni, jakby za karę, najcięższą pracę na nią włożono. Musiała nosić drzewo i wodę, zamiatać i myć chram, biegać do źródła, służyć wszystkim. Odprawiono ją wreszcie do tego, od czego w domu była wolna, do gotowania strawy dla innych. Nie zbywało na ostrych słowach i na śmiechu bolącym i na jakiejś wzgardzie, którą jej starsze okazywały. Wszystko to przetrwała milcząca, spokojna, z taką dumą, iż niechęć się rozbiła o nią i dziewczęta z poszanowaniem patrzeć zaczęły na tę, która nie chciała skarżyć się, ani płakać,



ani okazać, że ją boli poniewieranie. Dano pokój wreszcie, widząc, że znęcanie się nie uczyni skutku.

Każdego niemal dnia nadciągały łódkami nowe gromady po wróżby, składając ofiary przed Niją. Dziwa siedziała już u ognia po kolei i bez kolei, a była tu jak doma. Milcząca mogła marzyć, patrzeć w dym, który w jej oczach dziwne przybierał kształty, i nie troszczyć się o życie. Dwa razy na dzień z ofiarnych dań i gotowanej strawy zastawiano obiatę dla stróżek i było pod dostatkiem wszystkiego. Ostatkami suchych korowajów karmiły się niezliczone stada ptastwa, a żarłoczne wróble tysiącami kręciły się przy chrampie.

Dziesięć dni upływało od tego pamiętnego dnia, gdy Dziwa u ogniska zasiadła i pierwszą go drzazgą podsycała. Była, przybywszy, ostatnią, teraz słuchały jej inne... Panować tu nie pragnęła, przyszło to samo, gdy wszystkie dziewczęta uczyły w niej tę jakąś wyższość, która się narzuca sama i oprzeć się jej nie można. Leniwe i śpiące stróżki ognia same zdaly na nią pieczę, staranie, pracę i rozkazywanie. Siedząc, z dala patrzyły na nią i strach je jakiś ogarniał, taką miała pańską postać i do rozkazywania była stworzoną.

Dziesiątego dnia siedziała u ognia, gdy szmer powstał dokoła chramu i po całej wyspie. Ludzie dokoła biegali, ruch się stał wielki; nagle podniesiono zasłony ze wszęch stron i między słupami, najbliżej ognia stojącymi, ukazał się Wizun w świątecznym ubraniu i kołpaku, a z nim mężczyzna rosły, czerwony, gruby, w czapce z piórem, w płaszczu, czerwono naszywanym na ramionach, ze złotymi szlaki, blaszkami świecącymi okrytymi. Świecący miecz wisiał u jego boku.

Dziwa, spojrzawszy nań, uczuła w sobie przestрах i trwogę. Ten czerwonolicy z dziko patrzącymi oczyma człowiek podobny do zwierza, który wyszedł z puszczy, z usty skrzywionymi szydersko, obudzał w niej wstręt i odrazę niewysłowioną. Byłaby uciekła, gdyby mogła.

Stanął on, nie zdejmując kołpaka, ani się pokłoniwszy

naprzeciw ognia i bałwana Nijoły, patrząc nie na świętości, ale na pilnujące Znicza dziewczęta. Długo je oczyma przechodził, aż zatrzymał wzrok na Wiszowej córce i już go od niej nie zwrócił. Poszeptał coś staremu, który głową potrząsnął. Chwilę się wzdragał. Mężczyzna stał uparcie, dwa razy po ramieniu uderzył starego i pchnął go wewnątrz chramu nakazująco.

Stary, wahając się, zbliżył powolnym krokiem ku Dziwie, pochylił się ku niej i rzekł cicho :

— Kneź to jest miłościwy... chce, żebyś mu wróżyła.

— Wróżyć nie umiem — odpowiedziało dziewczę. — Wróżby nakazać nie można, ona przychodzi zesłana od duchów... ja wróżyć nie umiem.

W tej chwili z drugiej strony zbliżyła się siwowłosa Nania i odciągnęła na stronę dziewczynę.

— Wróż mu — rzekła, — ja cię zielem upoję... wróż mu... wróż mu wszystko złe, bo człowiek niedobry... Wyniesiem kadzidło, dym cię upoi... mów... mów mu śmiało, co myśl przyniesie; on się nie waży uczynić ci nic złego.

To mówiąc stara dobywała suche ziele i garnek z węglem nabranym z ogniska postawić kazała na ziemi. Rzucono nań ziele i dym gęsty, przykry, gryzący otoczył pochyloną dziewczynę. Trzymano ją nad nim długo. Czuła, jak się jej zmąciły myśli, jak z kłębow dymu rosły jej w oczach dziwne jakieś kształty, jak traciła przytomność i zdawało się jej, że na świat inny przeniesioną została. Na głowie ciążyło brzemie jakieś straszne... krwawe smugi na czarnym tle, jasne błyskawice, kłęby dymu, smoki i gady, i ludzie potworni, karły i olbrzymy, wszystko to razem wirowało, jakby przed drugimi oczyma upojonej. Dwie stróżki ją podtrzymywały, inaczej paść by była musiała omdlona. Lecz słabość ciała razem szła z olbrzymią potęgą myśli. Czuła się śmiałą i gardzącą niebezpieczeństwem, panią i królową!

W tym upojeniu powoli wiedziono ją przed knezia,





Brunhilda zbliżyła się powoli. — Leszek cofnął się przerażony, jakby nowej lękając się zdrady.



który cofnąwszy się poza słupy kontyny, stał pod częstokółem, oparty oń z szyderską twarzą.

Dziwa wpatrywała się w to oblicze dzikie, wykrzywione straszne z taką siłą wzroku, że kneź spuścił oczy przed nią i zadrżał.

— Będziesz mi wróżyła — mruknął cicho.

— Będę wróżyła — poczęła Dziwa, która czuła, że jakaś siła zmusza ją do mówienia — będę ci wróżyła...

Dwoje dziewcząt postawiły przed nią wiadro wody świętej, spuściła oczy na nią. W wodzie odbijała się odwrócona twarz szkaradna Chwostka, a obok niej w dymach, którymi ją ciągle okadzano, krążyły najdziwniejsze postacie.

Kneź patrzył — zrazu szyderski, teraz bledniejąc i jakby przelekły; ręką się opierał o częstokół, a widać było jak drżał.

Stojący obok niego Wizun oczyma nakazującymi, których nie spuszczał z dziewczyny, zdawał się jej dyktować, co mówić miała.

Chwila milczenia poprzedziła urywanymi słowy wyjąknioną wróżbę.

— Ciemno! ciemno! nie widzę nic... — mówiła; — czerwona struga, jakby płynęła krew, ciągle krew... wszędzie krew... Po rzece tej płyną trupy białe, jeden, drugi... więcej jeszcze, białe ich oczy nie widzą i nie patrzą... płyną, płyną, przepłynęli... Krew znowu, kubki po niej pływają, miecze po niej migają... Słyszę wołanie krew za krew!... Na rzeczce płynie wylupionych czerwonych oczów dwoje i patrzą na mnie... na stosie leży starzec zabity, na śmieciisku pod stołbem młodzieniec, na jeziorze pozarzynane męża wołają: krew za krew! Psy wyją i krucy kraczą... krew za krew!

Kneź rzucił się, aż częstokół za nim zachrzęszczał i miecz mu zadzwonił u boku.

— Ty wróżbito przekłeta, — krzyknął — będziesz ty mi patrzyła i mówiła inaczej!

— Nie mogę... mówię, co mi duchy każą i ukażą.

Kneź stoi na świetlicy... wysoko... dołem ludzie się gnio-  
tą, biją, mordują... Słyszę szmer, wrzawę, ciągną gro-  
mady... na granicy wrogi, w domu swoi się miotają...  
Na gród! na stołb! krew za krew!... Gród się pali...  
płonie, gore... wałą się dachy i ściany... krzyk i wołanie...  
popiołów kupa... góra trupów... kruków chmura czarna...  
Siadły, krakają... żrą serca od ciała... gdzie ścierw nie  
dogorzała... Krew za krew!

Ciemno się zrobiło w oczach dziewczynie i osłabła.  
osunęła się, jak senna, na ręce stróżek, które ją trzy-  
mały. Kneź stał blady i drżący; pięści cisnąc usta  
otworzył i zębami, jak zwierz dziki, grozić się zdawał.  
Nogą wiadro pchnął i wywrócił; woda święta popły-  
nęła po ziemi. Dziwę omdlałą wniesiono do chramu.  
Chwostek stał milczący, wściekły.

Stary Wizun, sparty na kiju, czekał obok niego spo-  
kojnie.

— Przeklętą dziewczkę związać i osiec! do lochu! do  
jamy! — krzyknął Chwostek. — Naucz się wróżyć  
inaczej!...

Na to nie było odpowiedzi; zasłona kontyny spadła,  
a dziewczęta drugą stroną wynosiły Dziwę na powietrze.  
Kneź się chciał zwrócić do swoich pacholków, ale ci  
zostali gdzieś daleko.

Stary spoglądał nań.

— Uspokójcie się, miłościwy panie — rzekł; — kto  
chce wróżby, musi ją cierpieć, jaką duchy dały... Dziel-  
czyzna jej nie winna.

Byli sami i Wizun zbliżył się, wcale nie zdając się zlek-  
niony.

— Miłościwy kneziu — dodał, — dosyć macie nie-  
chętnych i zażalonych, nie róbcie ich więcej, targając  
się na to, co nie jedne Polany szanują... Miejsce święte  
i dziewczyna poświęcona...

Chwostek się rozśmiał dziko, przystąpił do starego  
i drżącą od gniewu dłonią pochwycił go za brodę, trzę-  
sąc nią.

— Ogień święty, dziewczka poświęcona!... ty także... stary... psi synu... Ja wam ognie pogaszę, ja wam dziewczki wasze rozpędzę i chram ten zrównam z ziemią...

Stary nie pobladł nawet, milczał obojętny; ręka kneziowi opadła.

— Jakby piorunów nie było — odezwał się spokojnie, — moglibyście czynić, co chcecie... a no, pioruny padają i duchy bronić się mają czym... Nie szukajcie, kneziu, wojny z bogami, gdy jej dość z ludźmi mieć będziecie!

Chwostek nie odpowiedział nic, zerwał się z miejsca i poszedł prędko, bijąc się w pośpiechu to o jedną, to o drugą ścianę częstokołu. Wracał do swych ludzi. Wizun pozostał we wrotach i patrzył, sparty na kiju.

Ludu tego dnia około kontyny było mnóstwo, a gdy kneź podniósł głos groźny i wykrzykiwać począł, rozległo się to daleko. Posłyszeli ludzie, jak groził chramowi i ogniowi, i nim uchodząc zdążył się dostać do swoich Smerdów i służby, dokoła rozległo się szemranie, mruczenie tłumu, który szumiał, jak morze, płacząc, narzekając i grożąc zarazem. Niewiasty uchodziły przelekłe i kryły się w zarośla.

Gdy Chwostek dostał się do kamiennego koła, opasującego chram, gromady się już zbijały i szły, jakby mu chciały zastąpić drogę.

Czy stary Wizun skinął na nie, czy posłał do nich, aby popłoch rzucić i do obrony obudzić? — nie wiadomo, lecz co żyło przybyszów na Lednicy, kupiło się, biegło naprzeciw Chwostka. Kupy stawały i zapierały mu drogę groźnie. Ludziom swoim, skinąwszy na nich z dala, kazał ich rozpędzić, ale ludzi nie rozpędzono. Oko w oko stał przeciw tej czerni nieznannej — nieulekły. Tłum warczał, lecz ani on do niego, ani on do tłumu przystąpić się nie ważył. Wtem z gromady wyszedł człek podżyły, ubrany dostatnio, zbrojny z niemiecka.

— Miłościwy kneziu — rzekł mu, — ja tu do chramu przyszedłem, nie wasz jestem!... nie z waszego miru!



Grozićie chramowi i ogniewi, a prawa do nich nie macie. Kontyna i ostrów nie należą do was, ale do nas wszystkich, Wilków, Syrbów, Łuzan, Drewlan i co jest naszej mowy. Nie ważcie się tykać chramu, ani ognia, bo my się też ważyć możemy na wasz gród i stół!...

Podniósł rękę do góry, a tłum za nim zahuczał, potakując i grożąc.

Chwostek stał, ściskając w rękę miecz, jakby go ochota brała porwać się samemu na nich wszystkich, ale on i ludzie jego nie starczyliby z najlepszym orężem i odwagą na te gromady tysiączne.

Namarszczywszy się więc pogroził ręką i usty.

— Precz mi z drogi!

I ruszył się sam pierwszy tak śmiało, tak pewny, iż go nikt nie tknie, jakby go wojsko broniło. Tłum mu się rozstał na dwie strony; za nim co żywiej cisnęła się dwornia. Tę popychano zewsząd, a stęknąć nie śmiała.

Wolnym krokiem, nie oglądając się, przeszedł kneź wśród tego gminu, który dopiero za oddalonym krzyczęć zaczął szydersko:

— Chwościsko! Chwostyk! Chwost!...

Parę razy obrócił się, jakby sam jeden na cały ten tłum chciał się rzucić, lecz się poskromił.

Tuż u brzegu stała łódź wielka, czekając na pana, za nim biegiem pędzili ludzie gniewni i zasromani, nie śmiejąc rzec słowa, a za nimi wciąż goniło wołanie i śmiechy:

— Chwostyk! Chwościsko!

I jakby rozgniewana Nija chciała się pomścić zniewagi, w tejże chwili chmura czarna niesiona wichrem wieczora, jak ogromne cielsko smoka przewalając się po niebie, poczęła warcząc nadbiegać nad jezioro.

Pod nią widać było szare pasy gradu, siekące pola i lasy, a w głębi jej szumiało głucho, jakby toczyła wory kamieni, gotowe runąć na ziemię. Pioruny z trzaskiem leciały w jezioro, wicher gwał drzewa do ziemi, wyrwał

je z korzeniami i miotał nimi, jak pióry ptasimi. Gdzie piasek suchy spotkał na wybrzeżu, czynił z niego chmurę płową, gęstą, nieprzejrzaną, wlokąc ją za sobą.

Burza nie dała kneziowi sięść do czółna; kto stał, przyległ do ziemi i okrywając głowę czekał, aż bóg piorunów przejdzie nad nią. Wioślarze w barce u brzegu ukryli się na dno.

W chramie Nijoły błyskawice wśród ciemności ognia świętego gasiły blask, dym napelniał kontynę, iskry leciały na opony; czerwone oczy posągu błyskały, jakby ciesząc się zniszczeniem. W dali piorun bił po piorunie; na jeziorze fala spieniona uderzała o brzeg i rozlewała się po ostrowie daleko. Ziemia zdawała się trząść pod nogami ludzi.

Kneź drżał, otulony płaszczem i mrucał. Kto by był zbliżył się doń, usłyszałby na przemiany modlitwę do Peruna i do krzyżyka, który miał na piersi. Stary zabobon i nowa wiara stały w nim na równi... kłaniał się nowemu Bogu, lękając się jeszcze tych, których nie śmiał porzucić. Wycie i świst wiatru w uszach jego zdawały się powtarzać zelżywe przezwiska Chwostka, dusza mu zemstą kipiała.

— Wszystko to plemię w pień niech wytną — wołał zburzony — niech je w niewolę uprowadzą, niech orzą nimi... Niech przychodzą Sasi, niech niszczą... jaszczurczy ten ród i tych kmieci wygubić trzeba...

Gdy Smerda po przejściu burzy strasznej przystąpił do leżącego knezia, o mało go jeszcze wściekły Chwost nie przebił mieczem, zapomniawszy się, gdzie jest. Dopiero poznawszy twarz sługi, ochłonął.

— Miłościwy panie, — odezwał się Smerda — burza się przewaliła... jezioro się gotować przestało... słońce zza chmur pogląda... fale się układły... płynmy z tego przekłętego ostrowia, na którym czary, wiedźmy i czarownice panują... Nie kto inny, tylko ci guślarze nawołali i naprowadzili gromy... Grad nam ludzi pokrwawił. Kto wie, co z końmi na drugim brzegu się dzieje?

Kneź wstał z ziemi, tchnął i poszedł do łodzi zasepio-ny, usiadł w nią, wiosłarze odbili od brzegu. Szybując po ciemnych wodach, wkrótce odsunęli się od ostro-wa daleko.

Zza krzaków patrzył stary Wizun i przelekle kobiety coś mrużąc, jakby słały za nim przekleństwa. Stara z rozpuszczonymi włosami rwała trawę i szybko coś szepcąc, rzucała ją w stronę, w którą łódź płynęła. Rzucała garściami piasek i pluła.

Dziwa blada, osłabła, sparta na rękach, ledwie otrzeż-wiona, drżąca siedziała przy ogniu nieruchoma, jakby ją jeszcze dręczyły te duchy, które mówiły przez nią.

Wtem słońce wyszło zza chmur i promień jego padł przez rozsuniętą zasłonę do wnętrza chramu, złotym pasem kładąc się u nóg dziewczyny, która, patrząc nań, uśmiechnęła się, jakby mowę niebios zrozumiała.

Na dachu kontyny gruchały gołębie, w krzakach zno-wu śpiewały słowiki, a ponad łodzią knezia leciało stado kruków, to wzbijając się do góry, to opadając na dół, jakby kołpaki z głów pozrywać im chciało.

#### IV

Na kneziowskim grodzie do późna czuwali ludzie, gdyż pana miłościwego nie było. Biała pani siedziała w swej świetlicy i dumiała, powołując do siebie to podskarbiego, to sługi, to służące. Niekiedy zrywała się z siedzenia niespokojna, szła do okna, to do drzwi, a słała pytać, czy pan miłościwy nie powrócił, czy go gdzie widać lub słyszeć nie było.

W pierwszym podwórku stali i czekali ludzie, drudzy się pokladli ze znużenia. Czekali, nie mogąc się go do-czekać.

Kędyś ponad lasami przeciągnęła burza z hukiem i trzaskiem, i poszła. Potem słońce zza chmur obejrzało



się krwawo i znikło, ciemności, jak całun, opadły na ziemię.

Knezia jeszcze nie było. Na grodzie kłaść się spać nie śmieli, bo nużby ich nie zastał na nogach i w pogotowiu, dopiero by chłostać kazał!

Co chwila Brunhilda słała pacholę, a pacholę wracało z tym samym:

— Ani widu, ani słychu!

Wiatr się poniósł po lasach i jeziorze, poobrywane chmury biegać zaczęły po niebie, jakby się goniły i zbierały, aby drugą burzę zrobić. Wpadając pomiędzy słupy, ściany i częstokoły, Pochwist wył i śmiał się, aż psy ze strachu zrywały się, by mu wtórować. U miłościwej pani pozasuowano okiennice, pozatykano okna oponami, dachy się trzęsły i trzeszczały, wicher rychotał.

Aż około północkska koło mostu i wrót zahuczało, za-tętniało, rozległo się po grodzie:

— Kneź jedzie!

Wnet osłoniętymi przejściami pod słupami przemknęła się kneźna biała, wychodząc przeciw panu swemu. Szła zagniewana, lecz wszedłszy do świetlicy, zastała pana, któremu obmokłe suknie ściągano, gniewniejszym jeszcze, niż ona.

Spojrzeli na siebie i nie witali się. Kneź pięścią w stół bił, mrucał i miodu sobie podawać kazał. Głodny był, spragniony a zły... Przekleństwami miotał, aby wszystko szczeło i szło na wskroś ziemi.

Brunhilda stała, założywszy ręce, ruszając ramionami. Ludzie się porozbiegali.

— Północ już przeszła, a pana miłościwego doczekać się nie było można.

— Milcz, sroko... a nie pytaj!... — krzyknął kneź, — abym nie mówił, bom wściekły, a gdym wściekły, nie znam nikogo!

— Ani żony?

Zamruczał coś tylko.

— Zwać mi jutro Hadona!

Chwycił się za głowę, targając włosy rozczochrane i ze złości rwąc je palcami.

— Hadon jutro do Sasów, do waszych niech jedzie... niech tu ciągną... niech idą... niech palą, tępią, gnębią... Niech tę ziemię z ogniem puszczą całą. Wszak gdy nowiny trzebią na pole, aby zboże rodziły, wprzódy je czyszczą siekierą i płomieniem. I tu nic nie będzie, póki siekiera i płomień nie zniszczy tych plugawych chwastów!

Uśmiechnęła się blada pani.

— Wiedziałam ja to dawno, mówiłam dawno — rzekła, — tylko Sasi im radę dadzą. Ty ich sam nie zmożesz ze swymi Smerdami, ich tu siła. Zdraycy wszyscy kmiecie, żadnemu wierzyć nie można.

— Na jutro wołać Hadona — powtórzył kneź, — ale milczeć, że posłany i dokąd. Rankiem niech wyjdzie pieszo, konia weźmie ze stadniny, niech jedzie ze znakiem ode mnie. Pierścień niech powiezie.

Biała pani, głaszcząc go po głowie, potakiwała.

— Odpoczywajno spokojny, ja go wyprawię sama. Nim dzień wejdzie, będzie w drodze, ale czasu dużo upływie, nim te puszcze przejedzie wskroś i za Łabę się dostanie, nim oni się tam ruszą, nim wyciągną, nim się przedrą tutaj — a tu...

Kneź spojrział na nią.

— Tutaj oni kłują i zmawiają się, wiece gromadzą, po nocach przy łuczywach radzą, po lasach się zbierają, dwory objeżdżają, gońców posyłają.

— Śmieję się z tego; mam dosyć ludzi, gród mocny i wieża wytrzyma, jezioro obroni, we śpichrzach pełno, zasieki po brzegi nasypane. Choćby ta dzicz obiegła, jeszcze bym się opędził tej psiarni, ale oblec mnie nie śmieją!

Zaczęli szeptać ciszej; kneźna siadła tuż przy nim, podparta na rękę. Przynieśli mu misę mięsiwa, które począł rwać palcami, i kubek miodu, który wypił tchem

jednym. Potem służbę rozpędził i zamiast czekać do jutra, kazał wnet przywieść Hadona.

Hadon był to Niemiec, ale wyleniał, nauczył się na dworze mowy ludzi, nałamał do ich obyczaju, a choć w nim natura wilcza została, nie bardzo go rozeznąć było można od drugich, gdy szpiegował, mieszając się w tłum, aby donosić pani.

Młody, smukły chłopak, ulubieniec miłościwej pani, którego we dworze lękali się wszyscy; gdy knezia w domu nie było, zabawiał białą panią, siedząc w sypialni po dniach całych; brała go z sobą, gdy jechała, obejść się bez niego nie mogła. Kneź go też lubił, bo mu się, jak kot, łasił. Gdyby nie twarz piegowata i blada, nie byłby brzydki. Włos miał krwawo czerwony, ale obfitymi spadający puklami.

— Hadon! — zawołał zobaczywszy go kneź — zbliż się tu... jutro ruszysz do dnia w drogę... tam...

Wskazał na zachód ręką.

— Jedź do starego, powiedz, niech mi swoich śle. Cierpiałem dość, skończyć trzeba z kmieciami. Niech da ludzi, ile może, ale zbrojnych; to tłuszcza dzika, bezbronna, rozpędzi ich garść Sasów.

Hadon podparł się ręką na stole, patrzył ukradkiem na kneżnę, a ona z za męża oczyma znaki dawała.

— Pierścień na znak weźmiesz od pani, pokażesz, by dali wiarę. Stary wie, co on znaczy... Ciągnąłem długo... dziś... tak lepiej, niech idą... niech przychodzą!

— Miłościwy, panie! — rzekł Hadon z pokorą, — Ślepy by chyba nie widział, na co się zanosi; po lasach się kupią, narady czynią, kto wie, czy nasi pośpieją?

Rozśmiał się Chwostek.

— Hej! Twarde zęby trzeba mieć, aby gród ukąsić — rzekł. — Niechby je sobie na murze poszczerbili trochę, nadciągniecie z odsieczą w czas. Ja się ich na grodzie nie boję. Znam tych psich synów; warczą oni więcej, niż kąsają, odgrażają się i krzyczą. Gdy ich się



sila zbierze, gotowiby gołymi rękami na jeża. ale się rozleżą po dziurach i spać będą.

— Miłościwy panie — rzekł Hadon, — pewnie tak jest, jak mówicie, ale tu nie można ufać nikomu, nawet swojej drużynie.

Zmarszczył się kneź.

— Smerdów pewny jestem. a motłoch grozą się trzyma : tego się nie boje.

Rozśmiał się i popił pan miłościwy. Hadon szeptać począł, o czym tego dnia między ludźmi się rozwiadał. Mówił i on, że po zagrodach jeżdżono, że sobie kmiecie na uroczyska nocą schadzki czynili, że po chatach niektórych nieustannie kręcili się posłańcy, jakby z wiciami, że starostów jakichś wybierano.

Kneź głową pogardliwie rzucał.

— Niech gadają, niech radzą, krzyczą i trzęsą dzidami: więcej oni nie zrobią nic nad wrzasku wiele. Ano plemię to zuchwałe raz przetrzebić potrzeba i rogów mu przytrzeć. Na to się Sasi zdadzą. Jutro w drogę, Hadonie.

Chłopak ku pani białej spojrział znowu z ukosa, głowę spuścił, ręce na piersiach złożył i tyłem się wycofał z izby.

O bytności swej na Lednicy kneź nie rzekł i słowa, ludziom też o tym milczeć przykazawszy, ci jednak nie wytrzymali i półgębkiem strach nieśli.

Nazajutrz cicho było na grodzie. Kneź na dzień zasnął, biała pani przędła i śpiewała, pędząc swe sługi... Dzień był chmurny, deszcz poproszał. Około południa dopiero kneź się wywłókł na podsienie i na świeżym powietrzu na ławę legł. Psy go obsiadły, pił, drzemał, pęczał je, kopiąc nogami i chleb im rzucając na przemiany.

Z południa na haci u mostu stanęła gromada konnych, domagając się przystępu do knezia... Kmiecie to byli. żupan i władcy, starszyzna i znaczniejsi po mirach.

Przvbiegł Smerda, znać o nich dając.

— Coś ta gromada już buntem pachniała.

Chwostek, obudziwszy się, groźnie brwi namarszczył.

— Puścić ich tu — zawołał na Smerdę, — wrota obwarować, a bez woli mojej nie wypuszczać nikogo. Niechże przychodzą... zobaczymy, z czym idą.

Wstał z ławy, na której leżał, siadł, psy spędził z pod-sienia w podwórce.

Wrotami wchodziła gromada starych ludzi, poubie-ranych świętecznie w kołpaki na głowach, obuszki u bo-ku, miecze u pasa. Chwost zmierzył ich i policzył oczy-ma, którzy byli. Tych, do których miał ząb, nie znalazł, bo ich gromada na zamek puścić nie chciała, a kneź ich najmilej by powitał, aby na wieżę ich posadzić. Śmiało szła ta garść ludzi, trzymając się razem. Od mostu u wrót do przedsienia, gdzie kneź siedział w boki się pod-parłszy, był kawał drogi.

Chwost na nich począł patrzeć, oni na niego. Szli kro-kiem mierzonym, z głowami podniesionymi, oczy w nim topiąc śmiało; on też nie ustępując im, niezłękniomy, tak samo się w nich urągliwie wpatrywał.

Nim do siebie przemówili, nim ci się mu pokłonili, nim on im oddał pozdrowienie, nim słowo zamieniono, już sobie wzrokiem z obu stron wszystko niemal powie-dziano, co na sercu leżało.

Kmieciov oczy mówiły, że ze skargą szli, z żalem, pewni swojego prawa; szyderski i gniewny wzrok kne-za odpowiadał wręcz, że ich precz odepchnie.

Tak czasem w lesie dzikich zwierząt dwoje, nim się rzucą na siebie, oczyma się mierzą, odwagę sobie chcąc odebrać nimi.

Szli... Na przedzie gromady postępował starszy z Myszków, średniego wieku mąż, wyrosły jak dąb, ramion szerokich, z głową kudłatą i brodą czarną, rozwianą. Rękę trzymał za pasem, a u pasa toporek miał i mieczyk. Na niego patrząc jak na wodza, szli inni.

Gdy się przybliżyli do przedsienia, Myszko trochę głowy pochylił, kołpaka dotknął i ręką pozdrowił. Kneź ledwie się ruszył, już mu gęba z gniewu drżała.

— Myśmy tu do was przyszli — odezwał się Myszko—

po sprawie, po starej kmiecej sprawie. Chcielibyście nas posłuchać?

— Mówcie... Słucha się przecie wszystkiego, i kruków, gdy kraczą, i pułaczów, gdy huczą, i psów, gdy wyją. Posłuchamy i was.

Myszko po swoich rzucił okiem i zobaczył, że stali niezłęknieni wcale.

— Źle z nami poczynacie — odparł, — równając nas ze zwierzęty; ludzieśmy przecie, jako wy.

— Jako ja? — rozśmiał się kneź. — Toście wy źle poczęli, bo ja tu równych nie znam, krom mego rodu.

— Znacie czy nie — odparł Myszko, — a czuć ich trzeba będzie. Jeszcze my dziś do was ze słowem przychodzimy, może być rada, nie zwada... Nam kneź i wódz potrzebny, dlategośmy was posadzili na grodzie i daliśmy czasu wojny moc nad sobą. Chcieliśmy, aby kneź u nas silny był przeciw wrogom naszym i ziemi nam broniał. Ale nie na tośmy mu siłę dali, aby nią karki nam łamać. Wy, kneziu zapomnieliście o tym i chcecie nas zakuć w niewolę. A no, my ci się nie damy! Mówimy ci, porzucicie to lepiej, a idźcie z nami na jedną rękę.

Zamilkł Myszko. Chwost, który, słuchając, cały wrzał i rzucał się, wstał z ławy, rozprostował się i począł się śmiać ze złości. Było to jego zwyczajem. Białe zęby wyszczerzył, po wargach mu piana ciekła, pięść podniósł do góry.

— Wy mnie rozumu uczyć będziecie! Wy? — krzyknął. — Wyście to mnie tu posadzili, gdzie ja siedzę! Na grodzie tym ojciec mój, dziad i pradziad, i praszczury siedzieli, a siłę tę dzierżyli, którą ja mam i z której na włos nie spuszczę. Wam się po staremu dziekniej swawoli zachciewa, a tej ja nie dam; chcę posłuchu i będę go miał.

Myszko i drudzy wysłuchali cierpliwie.

— My ci w sprawiedliwych rzeczach posłuchu nie odmawiamy — zaczął Myszko. — Co słuszne, dajemy a no na niewolę niemiecką obrócić się nie damy. Wam



to smakuje, co się u nich dzieje, bo to naród łupieski, a kędy wojna, tam musi być niewola. My wojny nie lubimy, bronimy się, gdy nas napadają, to mus, a nikogo nie napastujemy; ale swobodę miłujem. Granice u nas spokojne.

Kneź stał, jakby nie słuchał; oczyma ich liczył.

— Co więcej? — zapytał.

— Twoje Smerdy i dworaki naszą młodzież zabierają, dziewczkom i niewiastom gwałty czynią, stada z łąk zagarniają, spasają stogi, wypalają lasy, pola niszczą; my tego nie ścierpimy. Masz wyznaczonej ziemi dosyć.

Chwost się po podniesieniu przechadzał, na chwilę o słup opierał i znów chodził.

— Co więcej? — zapytał.

— Więcej? — wtrącił drugi z Myszków, który od dawna się już poruszał, jakby mówić chciał i buchnął teraz nagle. — Więcej? Gdyby się nam usta otworzyły i poszło przez nie wszystko, co w nas siedzi, na długo by stało. A kto tu na tym grodzie naszą brać popoił, oduzrzył, że się pozarzynali i trupy ich, jak psy, do jeziora kazał rzucać? A mało u ciebie naszych w lochu pod wieżą gnije i gniło?

— Ja ci powiem więcej! — zakrzyczał trzeci. — Ty z Niemcami, wrogami plemienia naszego, trzymasz za jedno. Od nicheś sobie zdradną dziewczkę wziął, do nich ślesz, z nimi się wachasz. My to wiemy, my wiemy!

I rękę podniósł groźnie.

W tłumie gwar się rozpoczynał coraz żywszy; każdy się z mową wyrwał i słowa leciały nieopatrzne, a pięści ściśnione występowały ponad głowy. Kneź chodził, słuchał, zębami zgrzytał i śmiał się. Oczyma na stojącego w dali Smerdę rzucał jakoś dziwnie.

Tuż za gromadą kmieci po jednemu sunąć się zaczęli ludzie, skupiać i obsadzać przejście z tyłu, a wszyscy z oszczepami i topory. Z początku w gorączce nikt nie zważał na to, aż Myszek, obejrawszy się i obaczywszy ten zastęp, odezwał się:

— Cóż to ma znaczyć? Czy i nas myślisz tu zabrać w niewolę? Myśmy to przyszli do ciebie od wiecu, z woli mirów, a stanie się nam co, będzie z tobą gorzej jeszcze!

Nie odpowiadając nawet na pytanie, Chwost krzyknął do Smerdy:

— Wiązać ich! Dyby i pęta — to moja odpowiedź.

Lecz nim czerń zdołała się rzucić na nich, już Myszko, wpadłszy do przedsienia, chwycił knezia za bary. Jęli się mocować to w jedną, to w drugą zataczając stronę. Czeladź, zamiast bronić, stała onieśmielona tym zuchwałstwem.

Wśród ciszy słyhać było tylko sapanie obu i miotane przekleństwa, potem łomot, gdy na dyle, którymi był wyłożony pomost podsienia, padli oba. Kneź był pod spodem, Myszko siedział na nim, gniotąc go. Działo się to przeciw drzwi samych, które się nagle otwarły, i biała pani z rozpuszczonym włosom wbiegła z krzykiem, nóż trzymając w ręku. Pochyliła się nad Myszkim i poczęła mu szyję rzezać, aż krew na słupy trysnęła. Rzucili się kmiecie ratować go i wnet powstała wrzawa ogromna, bo z tyłu na nich nadbiegła dwornia z wrzaskiem.

— Bij! morduj! życia nie dawaj! — wołano.

Kmiecie bronili się dzielnie. Myszko, któremu krew się z szyi lała, zerwał się i stanął na nogi, odcinając jeszcze, drudzy też odbijali razy, ale widząc przewagę, w kupę się zbili i szli nazad ku wrotom, broniąc się pachółkom.

Na całym grodzie krzyk powstał straszny, tuż i strzały świstać poczęły. Ludzie, co byli na wieży i w dziedzińcu, nie śmiejąc zbliżyć się do zrozpaczonych kmieci, strzelali z góry i z dala, kamienie z proc na nich ciskali, a strzały więzły tu i ówdzie w twarzach i szyjach. Krew ciekła obficie.

Jednakże gromadka dopadła do wrót zapartych, nacisnęła je i wyłamała. Padły z trzaskiem, waląc się na ziemię. Tuż u mostu dwornia stała kupa, co z kmieciami

przybyła; zobaczywszy swych panów w niebezpieczeństwie, posunęła się w obronie ich, wołając i krzycząc żałośliwie. Z jednej i drugiej strony walczone zacięcie; tu była kupka niewielka, — tam motłoch bez wodzów niezdarny, nie gotów do waśni, bo się jej nikt nie spodziewał, a życia tak bardzo nastawiać nie miał ochoty, — głośno ujadął tylko, a nie nacierał zbyt silnie. Więcej czynił wrzawy, niż ran. Sam Chwost biegł z nimi, ale późno się zerwał. Gawiedź nie potrafiła kmieciów odciąć od ich koni i czeladzi, tak że wśród tego zamętu dopadli, broniąc się, do haci, do mostu i do koni, a tu, gdy raz się znaleźli i dosiedli ich, Myszko skrwawiony pięść tylko podniósł i krzyknął:

— Zabraliście się z nami do wojny, to ją będziecie mieli!

Wtem krew płynąca tak uszła, iż go słabnącego dwóch chwyciło pod ręce, bo się skłonił i na ziemię padał.

Tak podtrzymując go i tamując krew uchodzącą, kmiecie zaraz od zamku precz jechali z odgrózkami i narzekaniem wielkim.

Chwostek szalał, że ich puszczone, że się im wybić dano. Ludzi swych wnet wieszać chciał za to, że go nie bronili w czas i kmieciom żywym ująć dali z grodu. Smerdowie ich tuż na placu smagać poczęli prętami i biczami. Biała pani z nożem zakrwawionym w ręku, stała na podniesieniu i palcami wytykała tchórzów, wywołując ich po imieniu. Chwostek też, przypadając do niektórych, własną ich siekł ręką.

Nierychło się uspokoiło; zamek cały do późna jęczał i płaczem się rozlegał. Dopiero, gdy sił do bicia i znęcania się nie stało, dano pacholkom spocząć i potłuczonym pochować się po kątach.

Kneź i jego żona pomiarkowali też, iż nie czas było się srożyć, gdy lud co chwila potrzebnym być mógł dla obrony.

I tak, jak za owych czasów bywało często, wnet po srogiej karze nastąpiło pojednanie: kazano dla pobitych





Czaszki ich biły o podłogę, o słupy, gdy je ciągnęli  
na podwórze.

wytoczyć beczki z piwem i kneź kazal im posłać baranów parę. Tak radziła biała pani.

Jęczący jeszcze powlekli się do kadzi, czerpać z nich poczęli i grzbiety posieczono wycierając, śmieli się jedni z drugich. Smerdowie tymczasem z resztą czeladzi połamane wrota na nowo stawili, hać i most opatrywali.

Na ławie w izbie leżał Chwostek, który padając na dyle, także sobie stłukł kości, jęczał i przeklinał. Nad nim siedziała biała pani i patrzyła z pewnym politowaniem, niemal z pogardą.

— Sameś sobie winien, miłościwy panie, — mówiła — trzeba mnie było słuchać. Inaczej by się to skończyło. Poprosić ich było uprzejmie do izby, posadzić za stołem, a mówić do nich słodko. Tymczasem by straż u wrót stanęła; wziąłbyś ich, jak rybę w matnię. I lepiej jeszcze, wodzić ich obietnicami, udac powolność, ażby Sasi nadeszli, a nie śpieszyć z wojną.

Tu po czole go uderzyła białą ręką.

— U ciebie, miłościwy panie, więcej siły w rękę, niż w głowie. Ja słaba niewiasta jestem, ale prędzej bym to plemię zdradliwe położyła. Słuchajcie mnie!

Kneź jęczał i przeklinał.

— Co teraz poczynać?

Namyśliła się nieco Brunhilda.

— Ściągać trzeba, a przyjaciół jednać. Naraziłeś sobie porywcznością stryjów, synowców, cały swój ród, gotowi się i oni do kmiectw przyłączyć; tych zyskać na powrót pierwsza rzecz.

Chwostek słuchał.

— Mów, jak to czynić; ty masz rozum niemiecki. Ja tylko bić się umiem — zamruczał. — Mów, jak to czynić.

Błada twarz kniaźny zarumieniła się nieco; wstała i poczęła się przechadzać po świetlicy.

— Stryjów i ród trzeba mieć po swej stronie; jak oni się do kmiectw przyłączą, źle być może. Nim Sasi przyjdą, napaść gotowi.



Chwostek z oczyma w nią wlepionymi mrucał tylko. Brunhilda stanęła przed nim.

— Zostaw to mnie — odezwała się. — Miłoszowi synaś jednego zabił, drugiemu wylupiono oczy... Ślepego mu trzeba oddać i wmówić mu to, że oczy mu wzięto bez naszego rozkazu. Pójdę do niego na wieżę. Odziać go trzeba, nakarmić i ze służbą do ojca odprawić. Stary Miłosz, przejedna się może, odzyskawszy syna.

— A dwaj drudzy? — zapytał Chwost. — A synowcowie i reszta rodu?

— Trzeba do nich śłać rozumnych ludzi, na zamek ich prosić. Nasza sprawa — ich wszystkich sprawa. Nie stanie nas tu, kmiecie wygubią Leszków wszystkich; jeden się nie uchowa; toć zrozumieć powinni... Niech się zjadą, niechaj radzą.

— A jeśli nie zechcą?

Brunhilda nie odpowiedziała nic, ręce na piersiach trzymała złożone i głową trzęsła tylko. Spojrzeli sobie z mężem w oczy.

— Zechcą? nie zechcą? — Niech tylko tu przyjadą, będziemy wiedzieli, co wówczas poczynać.

Kneź stanął. Biała pani podała mu kubek i pogłaskała po głowie.

— Słuchaj ino mnie — rzekła. — Choć białogłową jestem, prędzej, niż ty, z ludźmi sobie dam radę. W boju ty siły masz, a gdzie trzeba chytro podejść i gładko wziąć, zostaw to mnie.

Pogładziła go pod brodę.

— Na wieżę idę. Leszka uwolnię i poślę do Miłosza. Smerdów do stryjów wyprawię. Odpoczywaj ty i mnie porucz; nie masz się co trwożyć.

To mówiąc, zostawiwszy Chwostka na ławie, sama wysliznęła się z izby, w podwórzu skinawszy na zaufanego swojego, Kaszubę, którego zwano Muchą.

Mucha był to chłop młody i przyjstojny, żwawy i wesół. Smerdą go sama kneźna uczyniła, znalazłszy w nim rozum i chytrość, na których się poznać umiała. Między



nim a Niemcem, wyprawionym z pierścieniem, toczyła się wieczna walka o łaski białej pani, z której ona śmiać się była zwykła, bo jej to pochlebiało.

Mucha z Niemcem krwawili się czasem, od słowa do pięści przychodząc. Teraz Kaszuba był panem, zbywszy się współzawodnika. Uśmiechnęła mu się Brunhilda. Stałaż wnet na rozkazy.

— Na stołb mi trzeba i do lochu. — rzekła — gdzie oślepy Leszek siedzi; pójdiesz ze mną... Przygotowałam ludzi ze czterech, odzież bogatą i piękną. Leszka do ojca trzeba wyprawić, dziś jeszcze.

Mucha odpowiedział tylko pokłonem. Niecierpliwa pani już z podwórza ku stołbowi szła.

Inaczej się tam dostać nie było można, tylko po drabinie z poręczą, którą do wysokich drzwi przystawiono. Stała ona właśnie w miejscu, bo stróż dla zamkniętego w lochu Leszka chleb i wodę zaniósł. Brunhilda zrećźnie się wspięła na wschodki, rozkazując Musze iść za sobą.

Wewnątrz wieży mrok już był. Wschodki z tarcic wiodły na dół. Tu ciężkimi drzwiami, zapadającymi z góry, zaparty był loch, w którym osadzono oślepionego Leszka. Drabina znowu prowadziła do głębi ciemnego wieszienia, które jedno tylko wąskie okno oświecało.

W ciasnej, wilgotnej tej dziurze, na garści słomy zgniłej i stęchłej leżał dwudziestoletni piękny chłopak. Odzież na nim gruba, zdarta i powalana dozwalała widzieć wychudłe i żółtkłe ciało. Na pół leżąc, oczyma straszny, na kształt dwu płam krwawych, zdawał się patrzeć przed siebie. Usłyszawszy szelest niezwykły, Leszek podniósł niemo głowę; czoło wybladłe zmarszczyło mu się.

Brunhilda, obejrawszy się trwożliwie po lochu, sparta o drabinę, po której weszła, odkaslnęła nieśmiało. Leszek usiadł, jakby strwożony.

— Kto tu? — zapytał.

— Ja tu jestem — cicho i łagodnym, umyślnie osłodzonym głosem poczęła kobieta — ja... Brunhilda...

— Czy mam umrzeć? — odezwał się więzień.

— Nie! Przynoszę ci wolność — mówiła kneźna. — Zawsze życzyłam tobie i bratu dobrze, starałam się was ocalić. Kneź nie winien, nieprzyjaciele na was poszczuwali, grozili. Co się stało, stało się przez sługi, bez rozkazu naszego!

Leszek się rozśmiał szydersko i głową potrząsł niedowierzająco.

— Wierście mi — ciągnęła dalej Brunhilda, — kneź żałuje, że wydarło życie bratu twemu, a oczy tobie.

— A z czyjego to uczyniono rozkazu? — zaśmiał się więzień.

— Nie było rozkazu!

Leszek się śmiał; słomę zgniłą wzięwszy spod siebie, w wychudłych białych rękach miał ją bezmyślnie.

— Chcę was uwolnić — dodała kneźna — chcę was staremu odesłać ojcu. Dosyć już w rodzie było waśni i krwi się wylało. Pojednajmy się wszyscy, pogódźmy; mamy i tak dosyć nieprzyjaciół, Leszku. Spokojnie na swoim grodzie ojciec i wy siedzieć będziecie.

To mówiąc zbliżyła się ku niemu Brunhilda powoli, a Leszek, słysząc ten głos, przybliżający się ku sobie, cofał się przerażony, jakby nowej lękając się zdrady.

— Nie lękaj się — poczęła Brunhilda; — przysięgam ci, jutro będziesz u starego ojca i u własnego ogniska, wolnym. Kneź chce zgody i spokoju. Daj się stąd wyprowadzić, włożyć odzież, nakarmić; konie i ludzie czekają na ciebie.

Leszek zdawał się uszom nie wierzyć; można się było domyślać, że szukał pod ręką czegoś, co by mu do obrony, a przynajmniej do pomszczenia życia służyć mogło. Drżące dłonie chwyciły mur zimny.

— Nie lękaj się — powtórzyła Brunhilda, — przysięgam ci!

Milczał biedny więzień, który się był z posłania zerwał i do ściany przypadł, jakby w nią chciał się schronić, gdy dwóch z czeladzi, przyprowadzonych przez

Muchę, ujęło go zwolna pod ręce. Próbował im się wyrwać, jęcząc i nie zważając na zapewnienia Brunhildy, ale osłabły był i łatwo im przyszło wziąć go. Dał się wreszcie zabrać na plecy silnemu parobkowi, który go poniósł po drabinie. Brunhilda i Mucha szli za nim. Narzuciono mu opończę i Kaszuba zaprowadził naprzód z sobą do komory, gdzie mu nową odzież dać miano. Kazano wybrać jak najkosztowniejszą. Sama Brunhilda szła już przodem do swojego dworu, gdzie jeszcze uwolnionego Leszka przyjąć, nakarmić i ułagodzić chciała.

Wnet sługi przygotowały na stole dla wygłodzonego mięsiwo, mleko, miód w plastrach i sycony, kołaczki białe. Kneźna rachowała na to, że go swym głosem łagodnym potrafi sobie zjednać. Mucha miał go do tego przygotować.

Wkrótce potem otworzyły się drzwi i powiernik Brunhildy wprowadził z sobą zmienionego do niepoznania Leszka, którego młodość i piękność przy okropnym kalectwie wzbudzały litość nawet w ludziach, do podobnych widoków nawykłych.

Dano mu ubiór kneziowski, szyte suknie, obuwie z krasnymi sznury i — jakby na szyderstwo — miecz do boku. Jasne jego włosy, świeżo zmyte, rozpuszczone na ramiona, świeciły pozłocistą swą barwą, blada twarz, zaledwie młodym porastająca włosiem, smutną była i straszną z tymi oczyma zakrwawionymi, które niedobrze zakrywały zsiniałe powieki.

Brunhilda kazała go posadzić u stołu, sama stając przy nim i podając mu napój i jadło.

Leszek zdawał się tak wygłodzony i spragniony, tak uspokojony przez Muchę, iż przyjął, co mu dano z chciwością prawie. Milczał.

Niemka z przymileniem, pochylając się ku niemu, mówiła doń, ubolewając nad nieszczęściem.

— Powiedzcie ojcu, jak ja boleję nad tym, co się stało. Ja mam synów także, prawie w tym wieku; płakałam gorzko, gdym się o tym dowiedziała. Kneź był trochę



podchmielony, ludzie go nie zrozumieli, kazal, prawda, zamknac do ciemnicy, ale nie ociemniać was. O mało nie zabił tego człowieka, co się ośmielił targnąć na was.

Mówiła Brunhilda; on słuchał i milczał, a milczenie to niepokoilo ją, bo pozwalalo posądzać, że jej nie wierzył. Tym mocniej też starała się wmówić w niego, że to nieszczęście stało się bez niczyjej woli.

Leszek zdawał się tak głodnym i spragnionym, iż prawie nie słuchał tych zapewnień. Kneźna siadła przy nim, sama go karmiąc i zachęcając do picia.

— Wrócisz natychmiast do ojca — rzekła. — Wyprosiłam dla was swobodę w tej nadziei, że ojca nam przejednacie. Mówcie mu, że kneź i ja zgody chcemy. Niech do nas przyjadą, niech sobie ręce podadzą.

Leszek milczał jeszcze.

— Powiesz mu to? — spytała.

— Odniosę mu wszystko, co slyszalem — rzekł uwolniony — powiem.

Brunhilda nie potrafiła więcej z niego wydobyć.

Konie i ludzie gotowi byli; dwu towarzyszów obok niego miało jechać konno i podtrzymywać go w drodze.

Brunhilda obdarowała synowca szatami, wyprawą na drogę i w chwilę potem przez most jechała już gromadka ludzi, która odprowadzała Leszka.

Mucha stał u progu. Brunhilda podeszła ku niemu. Byli sami w izbie; pogładziła młodzieńca pod brodę, dając mu kubek miodu.

— Jedź mi zaraz — rzekła — i miej rozum, bo go tu wiele potrzeba. — Jedź do panów stryjów, powiedz im, co widziałeś, — że Leszek uwolniony, że my zgody z nimi chcemy, niech na gród do nas zjadą. Kmiecie nam grożą, bronić się potrzeba nie memu panu, ale całemu rodowi naszemu... Skoro, jak najprędzej niech przybywają do nas. Zagniewają się pewnie; ukołysz ich pięknymi słowy, niech ino przybędą. Nie odstępуй od tego, aby tu zaraz jechali. Rozumiesz?

Mucha starał się okazać wesołą i pewną siebie twarzą, że zrozumiał, co mu zlecono, i spodziewał się spełnić dane rozkazy. Nie zwlekając Brunhilda kazała mu jechać natychmiast, a gdy ujrzała, że już był na moście grodowym, cichymi krokami poszła zobaczyć, co się dzieje z mężem. Kneź zmęczony, wypróżniwszy co przy nim stało, spał, na ławie leżąc — i chrapał straszliwie.

## V

Nazajutrz rano Chwostek, chociaż się tym pocieszał, że go kmicie na grodzie napaść nie będą śmieli, z porady Brunhildy kazał czynić przygotowania do obrony. Dziewkom kazano nosić kamień na wały i na wieżę, a na wierzch stołba posłano straż, aby się z wysoka rozpatrywała po okolicy, czy się co z lasów nie ukaże.

Kneź z żoną i Smerdami radzili w izbie.

— Napaść na gród nie będą śmieli — wołał Chwostek.

Brunhilda potakiwała, ale radziła dla ostrożności gotować się do obrony, policzyć z siłami. Było ich na grodzisku dosyć; przy dobrym uzbrojeniu można się było bronić od dziesięćkroć liczniejszego napastnika. Wieża też pełną była zapasów i czekać mogli odsieczy, nie obawiając się głodu.

Sam kneź ze Smerdą poszedł na stołb, aby wewnątrz obejrzeć. Ogromna wieża owa wzniesioną była w przastarych czasach, a o początku jej dziwne krążyły wieści. Z grubego muru na skale dźwignięta, pustą była we wnętrzu, belkami tylko, słupami i pomostami na piętra podzieloną. Na samym dole były komory ze skarbami pańskimi i zapasami do życia w zasiekach i bodniach. Niżej jeszcze lochy ciemne i wilgotne, z których wczoraj Leszka dobyto, gdzie siedzieli jeszcze zamknięci inni, i studnia, do której spuszczano na głodową śmierć przeznaczonych. Ponad komorami pomost górny miał na so-

bie siła kamieni do staczania i pocisku różnego do obrony. Tu stały beczki ze smołą, którą gorejącą lano na oblegających. Wyższy jeszcze pomost służył dla strzelców, którzy z niego przez otwory w murze pociski łatwo rzucać mogli. Stosy drzewa, łuczywa i kamieni leżały nagromadzone przy ścianach. Była i studnia w lochach, która dostarczała wody, i piece do chleba, tak aby zamknięci na stolbie długo się trzymać mogli, a w owych czasach napady w kraju obcym nigdy długo nie trwały. Nadchodzone niespodzianie, porywano wszystko, co się schwycić dawało, i uchodzono szybko.

Chwostek obszedł wszystko milcząco.

— Nie wezmą mnie tu — psie syny! — rzekł w duchu i powrócił znowu lec na ławie.

Było już ku nocy, a na zamku nie powstał nikt obcy, ani wieści nie przyniesiono żadnej. W okolicy panowała cisza. Pogoda była jasna, wieczór piękny, jezioro gładkie, lasy z dala stały milczące. Straże, rozstawione wszędzie, chodziły z oszczepami po wałach.

Wśród tego milczenia niepokoiło jedno, że psy drapały się na wały, siadały przeciw wiatru i niespokojnie wyły przeraźliwie. Kazano je pospędzać i bić, ale to ich nie potrafiło zmusić do milczenia. Spędzone z jednej strony, zabiegały na drugą, a gdy je w szopie zamknięto, mimo razów, jeszcze straszniej w niej wyły ciągle. Temu wyciu psów odpowiadały kruki z wieży. Stado ich to zlatywało z murów, okrążało grodzisko, to znowu obsiadało wieżycę.

Z północkska już, gdy wszyscy spali okrom straży u haci i mostu, zatętniało około mostu. Dobijał się ktoś do wrót; wzięto go i przyprowadzono do dworu. Był to pastuch od kneziowskiego stada, stary Lisuń, który belkocząc, przelękniony opowiadał coś, czego dobrze nikt zrozumieć nie mógł.

Kneź i żona byli już w łożnicy; nie śmiano ich budzić i czekać z nim musiano do rana. Chwost po dzien-



nym niepokoju. i wieczornej uczcie zwykłej spał jak kłoda, więc otrzeźwić nie było podobna do jutra. Dopóki napoju nie wydychał, nie rozumiał nic, tylko bić i zabijać nakazywał.

Rano, gdy się ocknął, Smerda już u progu czekał z pastuchem, który mu do nóg padł.

— Miłościwy panie — zawołał — stało się nieszczęście. Hadonaście przystali do mnie, aby mu konia dać. Zaledwie się do stada przywłókl, gdy jacyś kmiećcie, co za nim szli w trop, napadli nań i pochwycili go. Jęli go trząść, czy znaku jakiego nie miał; pierścień u niego jakiś znaleziono. Związali go łykami i uprowadzili w las, ino mi miał czas powiedzieć, abym na gród bieżał i oznajmił o tym, co się stało. Hadon prosił się i groził, ale nie pomogło nic. Ludzie, co go pojмали, o czymś wiedzieć musieli!

Kneź ze złości na tę nowinę niedobrą na posła się z całych sił zamachnął i byłby mu głowę rozbił pięścią, jak się to niejednym raz zdarzyło, gdyby ten na ziemię nie padł ze strachu. Klnąc tedy począł piorunami i czarnymi duchy.

Przypadła Brunhilda z rękami załamanyymi za swym pacholeciem, krzyk stał się wielki i narzekanie.

Chciał Chwostek zaraz ślać ludzi, aby go odbić, ale Lisun powiedzieć nie umiał, czyja była czeladź i gdzie zabranego poprowadziła. Z grodu też ludzi wysłać teraz nie było bezpiecznie. Pochwycenie Hadona znaczyło, iż zrozumiano, po co był wysłany, a chwycić sługę kneziowskiego ten tylko mógł mieć odwagę, kto z nim myślał wojować. Popłoch się tedy zrobił na grodzie tym większy i Smerdowie, na konie posiadawszy, gnali natychmiast po osadach dokoła i chałupach, by więcej ludzi spędzić na zamek.

Do pół dnia cicho było na grodzisku, ze stolba też nic nie było widać; kneź trochę ochłonął z gniewu, a pani z żalu.

Czekała na powrót ludzi, co Leszkowi towarzyszyli i na Muchę, który dwóch stryjów, Mściwoja i Zaboja, miał na gród zaprosić, ale dnia tego do nocy wyglądano ich na próżno.

Ślepy Leszek jechał do ojca milczący w drodze, jak był na zamku; obawiał się, mimo zaręczzeń stryjanki, aby prowadzący go ludzie w lesie gdzie nie zamordowali. Tak dojechał aż na ojcowski gród stary i ocknął się dopiero, gdy usłyszał róg u wrót i dobrze znany głos strażnika.

Na widok biednego ślepca, wracającego tu, krzyknęli ludzie, otwarto wrota, zbiegli się domownicy, porwano na ręce Leszka z konia i na rękach podniesiono go, płacząc razem i radując się, do ojca.

Miłosz nie wiedział o niczym i trawił się żalością swoją, jęcząc na posłaniu, gdy posłyszał te tak niezwykle w cichym grodzie głosy. Zerwał się z pościeli, niedźwiedz się ruszył, mrużąc groźnie, stara matka wybiegła z komory.

Właśnie się drzwi otwierały i z rozwianymi włosy złotymi, niesiony na ramionach czeladzi, ukazał się biedny Leszek. Stara matka pierwsza rzuciła się nań, chwytając go z jękiem i płaczem w ramiona. Miłosz siedział, mając jeszcze nie mogąc, co się stało, ręce podnosząc do góry i jęcząc.

Gdy rodzice ujrzeli wreszcie dziecię swe oślepie, skaleczone tak okrutnie, choć je cudem prawie odzyskali, — boleść, żal, rozpacz na nowo serca ich chwyciła. Oboje rodzice zaczęli miotać przekleństwa i lzy potoczyły się strumieniem; płakał i Leszek, którego na ziemi na skórze posadzono. Niedźwiedz stary przyszedł mu nogi lizać i jak pies się lasić.

I długo nic słyhać nie było, tylko płacz, jęki, przekleństwa. Zaczęto go pytać wreszcie.

— Cóż ja powiem — odezwał się Leszek. — Nie wiem; bo jedną chwilę tylko pamiętam, gdy mi oprawca przyszedł wyrwać moje oczy, którymi na świat patrzałem, gdy żelazo zatopił, aby dobyć oko, rzucił je i zgnił.

pod nogą. A gdyby mi jedno był zostawił! Drugie poszło za bratem i słyszałem je padające na bok, razem z życiem moim całym. Ślepiec jestem półżywy tylko i zostały mi tylko dwie jamy, bym mógł płakać nimi.

Ojciec i matka płakali, zachodząc się i jęcząc.

— Rzucono mnie do wilgotnego lochu, na słomę zgniłą, na wodę stęchłą, na suchar spleśniały — mówił Leszek, — a umrzeć nie mogłem... Nareszcie jednego dnia posłyszałem nad sobą głos niewieści znany, słodki a straszny, jak syk gadziny... Brunhilda mi przyszła oznajmić, że moje nieszczęście się stało bez ich woli, że nie kazał nikt, że się oprawca sam domyślił. Chcą przebaczenia i zgody!

— Nigdy! — wyjąknął stary Miłosz. — Teraz, gdy im kmiecie grożą, gdy potrzebują nas, podają rękę. Za późno! Nie pójdę z kmieciami, ale nie pójdę z oprawcami moich dzieci!

Matka przypadła znowu ścisnąć swe dziecię, ojciec tulić je począł. Odprawiono sługi i wrota grodu zamknęły się znowu, a nazajutrz stara macierz wodziła syna pod dębami za rękę, jak niemowlę, i swoje oczy, po dziecięcych płacząc, wyplakiwała.

Tak upłynął dzień i drugi, gdy do wrót stukać i z rogów hasło dawać zaczęto. Miłosz poznał po trąbie braci swoich, Mściwoja i Zaboja.

Pobiegła straż otworzyć; oni to jechali w istocie, a za nimi synowie ich i rodzina, głów kilkanaście.

Miłosz wyszedł w podwórzec dębowy na spotkanie, wiodąc oślepego syna. Pozdrowili się w milczeniu i szli się na spoczynek w cień drzewa.

Mściwój i Zabój starzy byli, ale silni jeszcze, twarze ogorzałe, lica poważne i surowe. W obu życie drgało gorące.

— Miłoszu — rzekł starszy — po radę przybyliśmy do ciebie, radź i mów. Pepelek nas wzywa do siebie, chce zgody; grożą mu kmiecie, potrzebuje nas, ale i my go potrzebujemy. Wojowaliśmy z nim, a no czas razem



na wspólnego iść nieprzyjaciela. Padnie on i ród nasz wyginie!

— Tak — dodał Zabój — radziliśmy i uradzili, aby jechać do niego. Ratując jego, ratujemy siebie!

Miłosz rękę podniósł do góry.

— Mnie już nikt nie uratuje — zakrzyczał. — Spójrzcie na to dziecko moje! Zabił jedno, oślepił drugie, aby się dłużej męczyło; o zgodzie z nim nie mówcie. Niech przepada on, ja, my, wszyscy! Nie ocalimy siebie, a psami byśmy byli, gdybyśmy nogi poszli mu lizać. Niech szczególnie marnie!

Milczenie panowało chwilę. Mściwój w ziemię patrzył, Zabój na Leszka i lzy mu się kręciły w oczach.

— Przecie wezwani — ozwał się Mściwój — pojechać do niego musimy, pojedziemy. Zobaczym, co się na grodzie dzieje.

— Niech się tam dzieje, co chce — rzekł Miłosz. — Jedźcie lub nie, a mnie zostawcie z moim bólem i przekleństwem. Z kmieciami nie pójdę, bom kneź i pan nad nimi, a z Pepekkiem nie chcę na długość miecza się spotkać, bobym mu wydarł życie!

Zamilkł starzec i nikt się odezwać już nie śmiał. Bracia stryjeczni zbliżyli się do Leszka z ubolewaniem i miłością, i cicha rozmowa a szepty trwały pod dębami do późnej nocy.

Nazajutrz rano Mściwój i Zabój ruszyli z grodu i skierowali się ze swą drużyną ku Gopłu.

Czekano tam na nich niecierpliwie. Mucha powrócił i przybycie ich obiecywał, donosząc, że po Miłosza pojechali. Starego jednak nikt się tu nie spodziewał. Na noc znowu stanęły straże i psy tak wyły, jak dnia przeszłego, kruki latały niespokojnie, a Brunhilda z wieży patrzeć kazała, czy nie widać stryjów jadących.

Na grodzie i ludziom, i stworzeniu wszelkiemu źle było i niespokojnie. Jaskółki wszystkie gniazd swoich odbiegły, latały długo, szczebiocąc, około wieży i podaszów, potem się w jedno zwinęły stado i uszły kędyś za

jezioro. Po szopach konie się rwały i rżały, było ryczało. Ale noc zesła spokojnie, gwiazdy zaświeciły jasno, nad dniem księżyc zszedł znad lasów rozplamieniony i blado zaświecił, nim się jutrzienka ukazała rumiana.

Kneźna pilno się gotowała na przyjęcie stryjów, chodziła niespokojna, rwała zioła na kępie w ogrodzie, w garnkach gotowała napoje, pieczono mięsiwa, toczono miody najstarsze. Ubito kozła, który się obracał przy ognisku, przyniesiono ryb z jeziora, pieczono kołaczki i placki świąteczne, aby nic nie brakło na te gody.

Już słońce było wysoko, gdy na polu pod lasem ukazali się jezdni, których poznano po brodach siwych i orszaku. Jechali starzy przodem, za nimi synowie i krewniaki, i czeladź a służba. Odzieży nie włożyli świecącej, jakby naumyślnie chcieli na prostych kmieciów wyglądać. Oreża tylko mieli przy sobie dosyć.

Zbliżali się, nie śpiesząc, do ogrodu, a ujrawszy, że Chwostek sam wyszedł na ich spotkanie i u mostu, kołpaka podniósłszy, czekał na panów stryjów, pozsiadali też z koni i powoli szli ku niemu. Co w grodzie uradzili między sobą i jak mówić mieli, z twarzy odgadnąć było trudno. Na podsieniu stała Brunhilda blada, w sukni szytej i ciężkiej od srebrnych i złotych łańcuchów.

Ze czcią wielką wiedziono ich milczących, bo się znać tak uprzejmego nie spodziewali przyjęcia. Szli prosto do świetlicy, gdzie ich na okrytych ławach posadzono, jeść i pić zapraszając.

Chwostek tedy, nauczony przez żonę, począł zaraz mówić, co to się po ziemi działo, jako złe duchy opanowały ludzi, którzy mu się zuchwale z posłuszeństwa wyłamywali i grozili, że kmiecie szli na wietnice i zwoływali się do rady, stawili się hardo. Prosił tedy, aby mu rzekli, co poczynać.

Mściwój, długo milczawszy, a namarszczywszy się, odezwał:

— Co czynić? Nie radziliście się nas wprzód, późno

teraz. Zwoływali oni więc, trzeba było samemu nań jechać lub drugi zwołać sobie, skarg i żalów posłuchać, a gminu nie drażnić.

Zabój toż samo prawie powtórzył za bratem.

Chwost słuchał zachmurzony, zwiesiwszy głowę nad kubkiem.

— Jeszcze do tego nie przyszło — rzekł, aby się pan ze sługi targował. Co ma być, będzie, a tego nie uczynię.

Mściwój począł mówić powoli, że się dobrze namyśleć trzeba, co lepiej czynić, bo naprzeciw wieców i gromad, i mirów i wszystkich iść trudno, a gdy do boju przyjdzie na rękę — siła i liczba straszna.

Z kolei kazano też młodszym mówić bratankom; odzywali się po kolei w też słowa, co ojcowie, nie radząc się zadzierać, a lepiej pokoju szukać, winnych potem mogąc, jako chcąc, karać pojedynczo.

Kneź z żoną popatrzyli na siebie w milczeniu, nie odrzekli nic. Prosilili jeść, pić i używać. Pili tedy i jedli i mało co mówili o łowach, gdy Mściwój znowu do swojego powocił.

— Prawdę się wam rzec godzi, kiedy o radę pytacie — rzekł. — Wyście dla ludzi srogimi byli, po ziemi krwi się lało wiele; skarżyliśmy się i my, boć i nam się dostało. Cośmy potracili, niech w niepamięć idzie. Nie jak kneziowski ród, ale jak czerń, Smerdy twoje nas gnały, brali, co chcieli, męczyli, jak im się podobało. Co z drugimi być musiało, gdy ze stryjami własnymi tak się działo? Smerdy kmieciów zabijali po lasach, stada ich zgarbiali, niewiastom gwałty czynili. Co za dziw, że się na wiece zwołali i krwawą odzież po chałupach z wiciami obnieśli?

Chwostek i żona milczeli posepnie. Wyszła blada pani i nie było jej długo; kneź słuchał, nie mówił nic, gębę sobie gryzł do krwi i włosy targał.

— Co się stało, to moja sprawa — zawołał wyczekawszy — ja was dziś o jedno pytam: Przyjdzieli do wojny i walki, staniecie za mną, czy przeciwko mnie?



Mściwój i Zabój spojrzeli po sobie i było długie milczenie. Jeden na drugiego zdawał się spychać odpowiedź, potracali się łokciami. Chwost czekał, aż Mściwój począł.

— Ani przeciwko tobie, ani z tobą nie będziemy — rzekł spokojnie. — Z kmieciami my na swój ród nie pociągniemy, bo swoją krew, jaka ona jest, szanujemy, a z tobą też na kmieciów nie pójdziem, bo nam zdrowie miłe i życie. Nie bardzożeście nas wspomagali, a my wam siły wielkiej nie przyniesiemy. Jak żupany siedzim po grodach, będziemy zamknięci siedzieć; co nam do waszych waśni!

— Pewnie, rozumna rada! — mruknął Chwost. — Mnie zrzucą, a którego z was posadzą!

I roześmiał się dziko, spozierając ku drzwiom, w których stała żona.

— A no mylicie się — dodał, — nie stanie mnie, nie będzie was! Zasmakują w wilczej swobodzie, powypędzają i was z grodów. Zobaczycie!

— Idźcie z nami ręka w rękę — odezwała się Brunhilda.

— Nie mamy sił po temu — odezwał się Zabój. — Miłosz, któremuście jednego syna zabili, a oślepiłi drugiego, wyparłby się nas za braci, gdybyśmy poszli z wami.

— Tak! tak! — powtórzyli za nim wszyscy, starsi i młodsi. — Ani z wami, ani przeciwko wam!

Kneź popatrzył na żonę, nie rzekł już nic.

Starym miodem rozgrzani, goście jęli się rozgadywać coraz śmieiej, młodzi też, gdy się rozwiązały usta, narzekali i boleli na swą dolę.

Chwostek, na którego żona wciąż patrzyła, jakby go oczyma trzymała na uwięzi, nie odpowiadał nic, ramionami dźwigał, prosił jeść a używać.

Ciągnęła się tak dalej biesiada. Brunhilda wyszła, bo się dzbany wypróżniły i wróciła wnet, a za nią służebna wniosła garnek żółty, pełen złotego miodu i na stole go wpośród gości ustawiła. Brunhilda odezwała się, że ten



Chwostek powoli zaczął się zbliżać do baby...



miód syciła sama, gdy się jej pierwszy syn narodził, a nie mogło być lepszego, ani bardziej woniejącego pod słońcem. Zapraszała, aby pili i próbowali. I zaraz służebna, uśmiechając się, jeła we wszystkie kubki nalewać. Wśród gwaru i ruchu kneźna sobie i mężowi ukradkiem innego napoju nalała. Goście tego nie widzieli i pili a chwalili miód stary i wonny.

Chwostek milczał. Starzy sądzili, że go przecie do rozumu i pomiarkowania przywiedli. Pili, a służebna coraz im nowe kubki nalewała.

Słońce już nad zachodem przez otwarte okna zaczęło zaglądać.

— Hej! — rzekł stary Mściwój, stawiając kubek — dość to już tego picia; mnie już pali we wnętrzu. Miód ognisty i stary, ja mam głowę słabą i wolę wodę.

— Toż i ja — dodał Zabój — nie dosyć, że pali, alem się opił, aż, sprośna rzecz, gardłem mi się nazad dobywa.

Wtem jeden z młodszych zerwał się zbladły i za piersi pochwycił.

— Zdrada! — zawołał. — To nie miód, to jad! to trucizna. Tak miód nie pali — on się tak w piersiach nie burzy, to jad! to jad!

Młodzi chwycili się wszyscy z ławy, mimowolnie porywając do nożów; stary Mściwój chciał wstać, za stół się ujął, nie mógł, i jęcząc, pod stół padł bezsilny. Zabój popatrzał na Chwostka. Temu zęby białe spod warg widać było, a z oczów białka mu świeciły. Śmiał się!

Młodzi rzucali się, chwiali i padali w boleściach, jedni się ław chwytając, drudzy tarzając się po ziemi. W męczarniach piersi i ręce łamali, jęcząc i rycząc okrutnie. Kneź i Brunhilda, siedząc na ławie, patrzeli na to widowisko milczący. Chwost tylko głową pokręcał.

— Tak się kończy panowanie wasze! — krzyknął wreszcie ze śmiechem. — Wyście nie ze mną, a z kmięciami trzymali, musieliście zginąć! Was oni chcieli na moim grodzie sadzić, więc trupy chyba posadzą, noga



stąd nie wyjdzie żywa. Kneźna umie smaczne z ziół wyciągać soki i miód syci dobry! Sczeźnijcie marnie!

Mściwój i Zabój nie odzywali się już, wstyd się im było skarżyć; starszy na dłoni sparł czoło, usta zacisnął, spojrział ku synom i westchnął cicho, oczy zamykając, a spod powiek mu lzy pociekły. Młodzi pobledli jak trupy; na ziemię popadawszy, ciśnęli się razem, ręce kładąc na ramionach, głowy na piersiach. I gdy starzy zamilkli, srom było jęczeć i narzekać próżno. Mimo strasznych męczarni, usta ścisnęli, a oczy, zachodzące bielmem śmierci, zwracały się na Chwostka i kneżnę. W izbie słyhać było tylko oddechy ciężkie i miotanie się bezsilne. Głowy konających spadały ze stukiem na dyle pod nogi. Młodzi naprzód konać i umierać zaczęli, jak podcięte kłosa; po czym Mściwój zachwiał się i runął na ziemię, na wznak, z pianą na ustach a bez jęku. Przy nim padł syn, głową u nóg jego. Drugi walczył ze zgonem, aż gdy siwa głowa ojca uderzyła o pomost i stoczyła się bezsilna, srebrnym otoczona włosem, osunął się i on, jęknął i osłoniwszy twarz — skonał. Zabój trzymał się stołu, ręce weń wpiwszy, rzucał się tylko; targały go męczarnie wielkie, aż, jak piorunem tknięty, runął z ławą razem i obalił się na ziemię. Konali tak po jednemu, jęcząc głucho, a Chwost patrzył.

Śmiech z ust mu się zsunął i posepny wyraz przerażenia ukazał się na obliczu; uląkł się własnego czynu i trwożliwe oczy zwrócił na Brunhildę, która spokojnie reszty miodu zatrutego zlewała do garnka, i szepcząc odawała go uśmiechającej się zwycięsko służebnej.

Potem przez okno wyrzała, wołając na ludzi. Starszy Smerda wyszedł, i zobaczywszy podłogę zawaloną trupami, drgnął i pobladł.

Wtem Chwostek wskazał mu palcem na ciała.

— Czeladź ich powiązać — z trupami precz! Stosu dla nich nie potrzeba, zakopać ich w ziemi.

Smerda stał niemy, spoglądając na blade, wykrzywio-

ne straszliwie oblicza kneziów. Chwostek powtórzył mu jeszcze.

— Wywlec to ścierwo precz! a żywo! Co tak wielkie otwierasz oczy? Wywlec za nogi i zakopać nad jeziorem, za dworem. A głęboki dół wybrać, aby ich psy nie wywlekały, bo się padłem potrują. Psów mi szkoda!

Noc zapadła, gdy w świetlicy siwych starców i ledwie rozkwitłe ich dzieci pijani ludzie kneziowscy za nogi wywlekać zaczęli. Czaszki ich biły o podłogę, o słupy, gdy je ciągnęli na podwórze. Tu odzierać zaczęli trupy, bo odzież im się dostać miała. Tłukli się więc i dobijali, kto lepiej odzianego dostanie trupa i wyrwali sobie z rąk oponcze, kłócąc się o nie a popychając. Kupa czeladzi obiegła się przypatrywać potrutym i pomagać. Tymczasem czeladź ich chwymano, wiązano i do szopy pędzono, jak bydło.

Psy i ludzie pchali się dokoła tych ciał białych i sinych, a przez szpary i okna przerażone niewiasty patrzyły, szepcząc.

Na dworze panowała cisza, jak gdy wichur śmierci przeleci. Pozdzierawszy z nich odzież, oprawcy znowu powrozy przywiązali do nóg i ciągnęli na pagórek nad jezioro. Starym kneziom należała choć mogiła i stos ognisty, ale Chwost nie myślał ani palić ciał, ani im sprawić tryzny. Nie czas mu też było o tym myśleć. Zagrzebano ich w dole, jak zdechłe zwierzęta, aby gnili marnie i robakom za pastwę służyli, co było pogardą wielką i zniewagą w owych czasach.

A gdy trupy wleczono, psy, wyjąc, ciągnęły za nimi i wichur się zerwał od lasów, choć niebo czyste było — poleciał po wieży, po komorach, po izbach, wyjąc i świszcząc dziko, aż Chwost się obejrzał, drgnął i w kąt na ławę zacisnął, mrużąc.

Brunhilda ręce myła w wodzie i patrzyła na przestraszonego z politowaniem i niemal z pogardą.

## VI

Gdy czeladź potrutych wiązano, Żuła, który starosta był przy Mściwoju, zawczasu postrzegłszy, co ich czeka, rzucił się na ziemię, podpełznął między krzaki, rosnące pod tynem, wysunął się dalej od ciżby, na częstokół wdrapał i przeskoczywszy go, wplaw począł do brzegu się dobijać. Drużyna, zajęta innymi, nie postrzegła ucieczki, nie posłyszała pluskania po wodzie... Z wieży tylko stojący na niej strzelać zaczęli do płynącego i nawoływać, ale nim się opatrzone w pogoń pójść za nim, już dopadłszy ładu, gdzie się pasły konie, chwycił świerzopę i oklep, rękami ją popędzając, pobiegł w lasy.

Pastuchy za nim pognały, ale go pochwycić nie mogły. Żuła nogami i oburącz gnał przestraszone stworzenie, które go jak szalone w zarośle uniosło. Gdy znikł z oczów pogoni, już go w lesie próżno dalej pędzić było.

Żuła biegł wprost do grodu Miłosza; chciał choć jego ocalić, można się bowiem było spodziewać teraz, że Pepelek, który Leszka wypuścił tylko, aby stryjów do siebie ściągnąć, nie daruje i ostatnim ze swojego rodu! Po drodze Żuła, gnając, spotkał w lesie kmieci; obejrzeni się za nim, rzucił im tylko słów kilka...

— Na grodzie Leszków naszych potruto... jeden Miłosz i ślepy syn jego pozostał!...

Poszła więc wieść szeroko po dworach o tym, co się na zamku stało.

Żuła pędził, co koń miał siły, dopóki drugiej na drodze nie dopadł stadniny, aby go zmienić. Podjechał do koni, pochwycił za grzywę jednego i skoczył mu na grzbiet, przypiął się doń, jak kleszcze, i pognał go, rzucając świerzopę, która uwolniona strząsnęła się, prychnęła i spokojnie trawę gryźć zaczęła.

Na grodzie Miłoszowym, pod starymi dębami siedziała matka z Leszkiem, jak dziecko zabawiając go powieściami



mi. Opodał nieco odpoczywał znużony śpiewaniem Słowana, którego dla biednego chłopca sprowadzono, aby go pieśniami rozrywał. Ojciec na niedźwiedziej skórze, rozestanej pod drugim dębem, leżał, oparty oburącz i milczący. Zaczęto do bramy bić i krzyżeć. Żuła stał u wrót. Puszczono go, poznawszy, że był z orszaku Mściwojowego.

Zsunął się z konia i pobiegł co tchu ku Miłoszowi; pot mu się lał po twarzy, wargi drżały, przybiegł, padł do nóg staremu i nie mogąc mówić, zapłakał.

Stary go nie poznał zrazu; oczy miał łzami wyjedzone.

— Kneziu, panie! — zawołał, ręce łamiąc, — tyś już jeden pozostał... Nie chcieli cię słuchać nasi miłościwi kneziowie, nie ma już z nich ani jednego na świecie... Chwost ich z żoną potruł przy biesiadzie, w gościnie, we własnym domu!...

Zerwał się stary Miłosz i, rękami uderzając o ziemię, padł na nią znowu, a Żuła jęcząc mówił:

— Ledwie z życiem uszedłem, aby wam wieść przynieść. Uchodzić i wam potrzeba... Przyjęli nas na grodzie słodko, wyszedł Chwost do wrót, zapraszając... Siedli do stołu wszyscy, jedli i pili długo... a nie wstał już z ławy nikt; padli tam wszyscy, jak siedzieli! Trupy powleczono grzebać w ziemi niespalone... Psy szły za nimi wyjąc. Nie został ani jeden, nie ocalała głowa żadna. Czeladź spętano... ja sam nie wiem, jakim szczęściem uszedłem. Teraz, gdy się odkryło, co miał w sercu, naśle pewnie i na was; kneziu... uchodzić trzeba!...

— O bracia moi, o rodzie mój! — jęczał Miłosz, ręce załamując. — Na to wam przyszło, byście od własnej krwi ginęli!... Gdzież i po co mam uchodzić, jeśli i mnie zgładzić zechce?...

Dosłyszał tych wyrazów Leszek i matka siedząca przy nim i z krzykiem narzekać poczęli. Po grodzie rozszedł się płacz i przerażenie wielkie. Stary Miłosz tylko nie ruszał się z miejsca; gdy mu pierwszy wybuch żalości przeszedł, posępnie się zadumał.

— Nie ujść przeznaczenia! — mrucał.

Wtem spojrzął na oślepięone swe dziecię i żał mu się go zrobiło. Krzyknął na ludzi. Zaczęli się zbiegać z zabudowań i dworu. Ruch pod dębami stał się żywy.

Leszka matka wzięła go za rękę i wiodła ku ojcu.

— Konie sposobić — zawołał stary — ja sam pojadę... Leszek z matka i służbą do lasu na pasiekę się schroni, ja dalej muszę. Na własną krew podnieść rękę... o dołóż ty moja!...

Żule tymczasem, który ze zmęczenia i głodu padał, przyniesiono chleb i piwo. Staremu kneziowi, który tyle czasu złamany i bezsilny na łożu przeleżał, nie ruszając się prawie, siła się zdawała powracać. Wstał z legowisk, wyciągnął ręce zdrętwiałe, potoczył zamglonymi oczyma, wyprostował się i zawołał, aby mu oszczep, miecz i łuk podano.

Dokoła poruszało się wszystko. Z szop wyprowadzono konie rżące, ludzie wiązali sakwy, Miłosz swój oręż przypasywał i chodził, to Leszka ściskając, kładąc mu ręce na ramiona, to wydając rozkazy.

Krótkiego czasu potrzeba było na przygotowanie.

Przy Leszku jechała stara matka i dwóch ludzi. Z Miłoszem dziesięć szło koni. Gęślarz zapomniany podniósł się spod drzewa i dziecku się prowadzić kazał w świat znowu.

Nikt nie wiedział, dokąd się uda stary. Wziął z sobą Żulę, sam przodem ruszył, nie mówiąc drogi, i konia pognął. Ten niedawno złamany starzec, który zdawał się z trudnością obracać na posłaniu, siedział teraz na koniu, nie zgarbiony nawet, jak dąb wiekowy twardy i nieugięty; nieszczęście wielkie nową moc mu dało.

Na noc rozłożyli się obozem w lesie; Miłosz ognie porozpalać kazał, legł pod szałasem z gałęzi, ale nie zasnął... Patrzając w ognisko, przeleżał noc całą, a gdy zaświtało, dał znak do koni. Jechali dzień drugi w milczeniu; Żuła się domyślił już, że na Lednicę dażyli.

Już jezioro widać było, gdy dwie kupy jezdnych spo-

tkali. Byli to kmiecie zbrojni. Postrzegłszy Miłosza, Ścibor, jeden ze starszych, przybliżył się do niego i zastąpił mu drogę.

— Wy z nami, kneziu! — zawołał do niego.

— Ja... z zemstą, nie z wami! — ponuro odparł Miłosz... — Tam będę, gdzie pomsta!

— My też jej na Chwostyku szukamy — począł Ścibor — kmiecie się zbierają na Lednicy. Bądźcie nam głową na tego zbójcę...

— Ja wam głową nie będę — zamruczał stary — ręką tylko... Z kmieciami nie trzymam, bom innego rodu, a z zemstą idę!

To mówiąc, koniem wyminął zastępującego mu drogę Ścibora, za którym i inni kmiecie stali i słuchali, i popędził ku brzegowi jeziora. Kupki kmieciów pociągnęły za nim. Na wodzie widać było pełne czółna tych, co już na ostrów płynęli. Konie z czeladzią pasły się na wybrzeżu.

Miłosz z Żułą, zsiadli ze swoich i poczęli do chałup na palach wołać o przewóz, ale tu nie było nikogo, wszystkie czółna poszły z innymi na Lednicę... Czekać więc musieli i stary na ziemi siadł. Nadciągający kmiecie wnet go otoczyli, ale ani spojrzął ku nim.

Tu gwar był w gromadkach wielki. Starszy Myszko z zawiązaną szyją, blady, bo mu się jeszcze rana nie zgoiła, przewodził między swoimi.

Do starego Wizuna po radę jechali i sami też tu spokojniej na ostrowiu i dogodniej, niż na wietnicy, pomówić z sobą chcieli. Z drugiego boku stał z kilku Bumir, znany z tego, iż z Chwostem trzymał.

Gdy Ścibor z Myszkami odeszli nieco od starego knezia, który z nimi mówić nie chciał, zbliżył się on do niego.

— Wy, kneziu — rzekł z cicha — nie myślicie pewnie z tymi kmieciami się łączyć... Co wam do nich! Ja trzymam z moim panem i z waszym rodem, ja człowiek jestem spokojny i Leszek też!

Miłosz na niego popatrzył.



— Jeśli trzymasz z tym zbójcą, co siedzi na grodzie, idźże precz ode mnie!

Ręką mu wskazał na pole. Bumir się nie cofnął.

— Wy też, kneziu, z synowcem trzymać powinniście... Syna wam zabić kazał — powiecie, — no tak! ale się synowie wasi podnosili na niego i odgrażali... Broni się i zając, gdy go psi biorą... Pozbył się Mściwoja i Zaboja, bo mu oni w żywe oczy powiedzieli, że z nim trzymać nie chcą, a przeciw niemu będą... Okrutny nie jest, ale sam sobie szkodzić nie może.

Miłosz milczał pogardliwie, a Bumir mówił ciągle.

— Co pomoże, iż zbierają i radzą... nic nie uradzą... a potracą głowy... Kneź ma w pomoc Niemców, którzy nadciągną i kraj nam spustoszą...

Mówił, a stary Miłosz odpowiadać mu nawet nie chciał. Wtem czółen pusty przybił do brzegu, stary na Żułę skinął i poszedł się, ale przewoźnik zmęczony, na ziemi ległszy, wieź ich nie chciał. Próżno go Żuła parę razy kopnął nogą. Sam wreszcie wiosło pochwycił i Miłosza powiózł na ostrów. Tu, gdy się zbliżyli, ujrzeli kupy ludzi zgromadzone i ruch niezwykły, jakby się starszyzna na wiec zebrała. W milczeniu wysiadł Miłosz stary i, nie patrząc na nikogo, skierował się tam, gdzie stał Wizun, otoczony żupanami, władkami i kmieciami.

Do nikogo nie przemówiwszy słowa, kneź stary wpośród nich na kamieniu miejsce zajął. Opodal nieco stał i Bumir z małą gromadką.

Stary Wizun, na kiju-oparty, słuchał; z otaczających go jedni po drugich i razem odzywali się wszyscy gorącymi słowami. Wrzawa panowała w tłumie, w którym przewodzili Myszkowie. Na Miłosza popatrzano tylko, rozsunęli mu się nieco, ale nań bardzo nie zważano.

Starszy z Myszków z krwawą szyją głos zabrał:

— Dosyć tych mordów i tego niemieckiego panowania! — mówił. — Chwościsko siedzi na grodzie, ale nie on rządzi, tylko ta jędza — baba, co trucizny warzy

i zdrady... Nie chcemy ani jego, ani synów, ani żadnego z tego rodu, który dość się krwi naszej napił!...

— Nie chcemy! — krzyknęli drudzy, podnosząc ręce — nie chcemy!

Oczy skierowały się na milczącego Bumira, a ten stał, bledniejąc trochę, ale nie cofając kroku.

Miłosz słuchał, patrząc w ziemię.

— Co wy na mnie ślepią wywieracie? — wyrwał się Bumir po chwili milczenia — nie złękę się was... Wyście ta krowa, co dużo ryczy, a mleka z tego nie będzie. Chwostek, coście go tak przezwali, i Niemka nie dadzą się wam. Rozpoczniecie z nim wojnę, sprowadzą Niemców, spalą i spustoszą, to będzie cała wasza wygrana...

I śmiać się począł.

— Do Sasów daleko! — krótko ozwał się Miłosz, nie podnosząc oczów.

— Ale wieża mocna, a dwór częstokolony, wały tęgie, wody z jeziora nie wypijecie — mówił Bumir — na grodzie drużyna śmiała i liczna, choćby rok im na Sasów czekać przyszło, z głodu nie pomrą i Chwostek się nie podda... Wreszcie weźmiecie go, — ma on dwu synów u Niemców; przyjdą ci z nimi i karki wam nagną...

Słuchano szemrząc.

— Po cóżeś tu przyszedł? — krzyknął Myszko, następując ostro na mówiącego. — Idź, im łapy liź na grodzie; tu nam ciebie nie trzeba!

— Owszem! — rzekł Bumir, kiedy sami rozumu nie macie, trzeba, by wam kto go przyniósł!

— Precz z nim! precz!... zaczęto wołać z gromady...

Bumir się nie ruszył i stał.

— Nie pójdę — mruknął. — Prawcie swoje... jam tu tak praw, jak i wy.

Ścibor i inni tyłem się doń obrócili, kilku mu pięści pokazało.

— Bumir może i nie tak głupi, jak się zdaje — wyjąknął ktoś w jego obronie; — zamek mocny, a my słabi...

— Ale nas gromada! — zawołano.

— Bez głowy! dodał Bumir. — Wam na wiecach o wilczej swobodzie prawić... ale nie grody dobywać... Wy ziemianie, z pługiem chodzić, a z oszczepem na wilka, albo i na niedźwiedzia, a nie na kamienne ściany! Nim wy je dobędziecie, sami się weźmiecie stokroć za łby!

Wizun słuchał i milczał, oczyma rzucając to na Miłosza, siedzącego z głową spuszczoną, to na Bumira, to na Myszków.

Starszy z krwawą szyją ujął Wizuna za rękę i odciągnął go nieco w stronę od Bumira i Miłosza.

— Idźmy gdzie indziej radzić, aby nam nie śmierdział ten Chwostkowy niewolnik!

Kupa się ruszyła za nim, ale Wizun pozostał na miejscu.

— Niech każdy prawi, co na sercu ma — odezwał się. — Na wiecu i na radzie wszystko wolno... a co starszyzna uradzi, to przewidzie.

Pozostali więc na miejscu, a gdy się stało milczenie, rzekł Miłosz, wciąż zapatrzony w ziemię:

— Pierwsza rzecz; chcecie boju, toć bez wojewody nie ruszycie... obierzcie sobie wodza!

Niektórym zdawało się, że za sobą to mówił i poczęli wołać:

— Leszka żadnego! żadnego!... kmięcia!

— Wybierajcie choćby konia i wołu! — wrzasnął Miłosz. — A no wybierać trzeba, bo was, jak stado owiec, rozpędzą... Poginęli Leszki, szukajcie sobie drugich... W ulu bez matki, a w kraju bez ojca nie będzie ładu!...

Zamilkli wszyscy.

— Knezia nam nie trzeba na dziś — ozwał się jeden, — z tym poczekamy.

— Ale bez wodzów do wojny się nie obejdziecie — powtórnie zawołał starzec, — wojewodów, tysięcy, setników, stanówcie, to pierwsza rzecz!

Znowu było milczenie; starszyzna się potrącała rę-



kami, spoglądając na Myszków. Myszek z krwawą szyją stał posepny.

— Tobie i twoim nam dowodzić należy — rzekł ktoś z tłumu, na Myszkę wskazując — nie zlekniecie się mu w paszczę leżć w kilku, nie będziecie się obawiać pójść nań z gromadą.

— Myszek! Myszek! powtórzyli inni. — Zgoda na niego... niech prowadzi ludzi, wici ślać, lud zwołać i na gród idźmy z nim.

Gdy się ku Myszkom zwrócili, oni po sobie patrzyli.

— Zgoda — rzekł ten, którego już Krwawą Szyją nazywano — zgoda... prowadzić będę, ale posłuchu się domagam...

— Będziesz go miał! — zaczęto krzyczeć ze wszech stron.

Tylko Bumir i jego ludzie milczeli, a gdy wrzawa bojowa się wzięła, ustąpili na stronę, choć z ostrowa jeszcze nie odplynęli.

Na Wizuna, który się przysłuchiwał, poczęto patrzeć. On, kijem w ziemi przebierając, uszami i oczyma zbierał co się w koło działo. Siedział też stary kneź Miłosz, dalej stał Bumir; nie wszystkich ich pewni byli Myszkowie, znać i Wizun, bo słowa nie mówił, chmurno brwi ściągał tylko. Z wielkiej gromady, gdy już im dano wodźstwo, Myski się naprzód wydzielili i na bok odeszli, a poczęli cicho rozmawiać między sobą.

Gdy po naradzie tej powrócili znowu, na Wizuna jęli wołać niektórzy, aby z chramu wydał im stanice, które noszono przed wojskami, gdy szły do boju, a czasu pokoju stawiano w bezpiecznym miejscu. Były to stare wyobrażenia bogów i znaki wojenne, na wysokich drzewach obsadzone. Wyniesienie ich z miejsca tego oznaczało wojnę. Wizun spojrział na Myszkę z krwawą szyją, a ten głową potrząsnął.

— Będzie na to czas — rzekł krótko i stanowczo — ja sam po stanice przyjdę... i wiem, dlaczego ich teraz nie podnoszę.

To mówiąc i popatrzawszy z ukosa na Miłosza siedzącego na ziemi, starego Wizuna i dwu swych braci odciągnął z sobą na bok.

— Ich to krew — rzekł, wskazując na knezia, — ja jej nigdy nie wierzę... nie chcę radzić z nim, ni przy nim. Jeżeli stanice wyniesiemy, a wojnę zaraz obwołamy, sposobić się będą do obrony i posiłki zwoływać. Lepiej jeszcze posiedzmy cicho i gotujmy się, a ludzi zbierajmy, nie czyniąc hałasu. Chwostek pomyśli, żeśmy się go ulękli i uspokoi się... Może nam się go uda pochwyć, nie dobywając grodu. Nie wytrwa w nim zamknięty długo; po kilku dniach na łowy wyjedzie, a my nań czatować będziemy... Oszczędzim krwi... Zamordujemy w lesie... Jeżeli się nam to nie powiedzie, czas będzie na gród iść!...

Myszko się uśmiechnął. Spojrzał na Wizuna, który głowa tylko potrząsł.

— Bumir i jego gromada stąd prosto na gród pójdzie donieść, co uradzono... rozejdźmy się cicho, nie mówiąc nic.

Dwaj bracia poszli z nakazaniem po gromadach i wnet starszyzna się na czołna zabierać zaczęła.

Stary kneź Miłosz, odstąpiony od wszystkich, pozostał sam, a ujrawszy się opuszczonym, podniósł się i na Myszka skinął.

— Nie pytam was o nic — rzekł; — wiem, że mi nie powiecie, bo wiary u was nie mam. Jedno wam tylko oznajmie, że na Lednicy zostaję i nie ruszę się stąd nigdzie, chyba do domu... Nie przystało mi ani wojować z nim, ani iść z wami, ale jeśli się wam powiedzie, cieszyć się będę. Jam stary, Leszek oślepiiony... my dożyć żywota tylko chcemy spokojnie.

Rzekł i zawrócił się zwolna, wewnątrz ostrowu idąc, a od ludzi obcych stroniąc.

Myszko wnet zebrał do siebie drużynę.

— Do domów! — zawołał. — Naokoło grodu w lasach strażę postawić... Ogniste wiły niech wszędzie będą

gotowe po górach, aby na dany znak zapalić je można. Gdy błysnie ogień z nich, co żyje powinno biec ku Gopłu i do grodu... ale póki ja nie dam rozkazu, cicho siedzieć, aby Chwost o niczym nie wiedział.

Palce położył na ustach, poszeptali między sobą i zwolna się rozchodzić zaczęli.

Bumir ze swymi stał długo i chodził, usiłując się roz-wiedzieć, co postanowiono, języka jednak nie dostał. Wiedział tylko, że stanic nie wzięto z chramu i na woj-nę jeszcze nie wołano; zmiarkował więc, że się ulękli knezia i że wszystko się rozchwieje, a skończy na próżnej wrzawie.

Pobłądziwszy około chramu, Bumir w końcu też do łodzi poszedł, przeprowił się i, na koń skoczywszy, na noc pojechał do Chwostka.

Na grodzie sposobiono się do obrony i straż była czujną. Gdy Bumir przybył, puszczono go wnet i sama pani wyszła przeciwko niemu. Był on tu domowym i znano go, że się zawsze płaszczyć był gotów, a wszy-stko, co się tu działo, za dobre przyjmować.

Biała pani przyjęła go wejrzeniem niespokojnym i uśmiechem wymuszonym.

— Co przynosicie? — spytała.

Westchnął zausznik.

— Miłościwa pani — odezwał się — nic straszego nie ma... Zbierała się starszyzna dla narady na Lednicy, przybył i kneź Miłosz... radzono wojnę, a skończyło się na słowach, siły nie mają... Myszków wybrali na woje-dów, a ci stchórzyli...

Kneźna ręce złożyła z radości.

— Możeż to być? — spytała.

— Tak jest, miłościwa pani — zapewnił Bumir. — Wykrzyczeli się, rozeszli i znowu wszystko wejdzie w karby...

Rozjaśniło się kneźnie lice. Kazała kmieciowi pozo-stać, a sama szła do łożnicy męża zbudzić, który za-



spany wyszedł w jednej koszuli do niego, oczy sobie kulkami wycierając.

Wnet, pokłoniwszy się, Bumir sprawę mu zaczął zdawać, której on słuchał, ziewając. Uderzył gościa po ramieniu i oczy zaczerwienione wlepiwszy w niego, uśmiechnął mu się.

— Myszki te ja po jednej wylapię — rzekł cicho — i będzie cicho... Znam ich, że krzykuny są, a do roboty nieskorzy!... Będiesz ze mną pił — dodał i zasiadł za stół, Bumirowi kazawszy zająć miejsce na ławie.

Kmieć siadł posłuszny, a choć czuł, że mu się tu nic złego stać nie może, gdy wniesiono miód, a przypomniał sobie częstowanie stryjów, ciarki mu poszły po skórze. Odmówić jednak kubka nie śmiał, bo kneź by się obraził.

Nisko się tylko klaniał, zaklinając, że wiernym był sługą. Siedzieli więc razem, jeden z góry za stołem, drugi w końcu, i kneź sobie wszystko opowiadać kazał, co się na ostrowiu działo, o nazwiska i ludzi dopytując, jakby je w pamięci dobrej chciał zachować. Bumir musiał mu tak do nocy u stole dotrzymać.

## VII

Minęło dni kilka, a około grodu nic słyhać nie było. Rozsyłano stąd na zwiady Smerdów i poprzebieraną czeladź do bliższych dworów i chat; nigdzie o żadnym ruchu wojennym nie wiedział nikt. Na półkach w lasach, gdzie role były piaszczyste a słoneczne, zaczynano zbierać żąć. Z sierpami żelaznymi i miedzianymi, a krzemiennymi ludzi było dużo widać, a z bronią i oszczepami prawie nikogo.

Kneź się począł nudzić i tęsknić sam jeden zamknięty na grodzie między wałami. Pił, jadł i spał, przeciągał się, ziewał, do białej pani chodził czasem, a gdy z przedsienia na lasy popatrzył klął okrutnie, że na łowy jechał

nie mógł. Brunhilda go nie puszczała. Zrazu słuchał jej milcząco, teraz już się burzyć zaczynał.

Jednego dnia Smerdy wołać kazał.

— Jedź, spatrz mi knieje, czy tam gdzie jakiej zdrady nie słychać.

Sługa na cały dzień ruszył, przywiózł ubitego kozła, mówił o spotkanych świniach w lesie, o niedźwiedziu, o wilkach; ludzi nigdzie nie było ani śladu.

Kneźnie ten spokój po takiej burzy podejrzanym się wydawał, jemu naturalnym.

— Na łowy muszę pojechać... — wołał zły, — zgnij tak siedząc... nie wytrzymam, struję się snem i niewolą...

Brunhilda nie puszczała; lękała się przemyślna Niemka zasadzki i zdrady. Z dnia na dzień odkładano łowy. Namówiła ludzi, aby przeszkody wynajdywali.

Chwost przeklinał, złościł się, zapijał i coraz mocniej niecierpliwiał. Smerdzie nareszcie nieodwołalnie na łowy gotować się kazał nazajutrz. Żona ledwie wymogła na nim, iż zamiast garstki ludzi, którą zwykł brać z sobą, trzykroć większą i silnie zbrojną miał prowadzić.

Choć Chwostek nosił na piersi krzyżyk, zabobonny był poganinem; wcześniej więc wypatrywano znaków po niebie i ziemi, aby mu co nad głową nie zakrakało i drogi nie przeszło. Smerda umyślnie zarządził, aby najmłodsza z dziewcząt kneźny z pełnymi wiadrami pokazała się na ścieżce, gdy ksiązę wyruszy. Stara baba z próżnym naczyniem lub niedorosłe dziewczę zarówno się za nieszczęśliwą wróżbę uważały.

Ranek był piękny, a zwiastował dzień gorący. Po niebie jednak przelatywały obłoki białe, wiatr chłodnawy je rozpędzał i odświeżał powietrze. Kneź z haci i mostu zjechawszy, otoczony drużyną liczną, na najbliższy ostęp się skierował. Smerda był pewien, że w nim znajdą zwierzynę. Nie pędzono tam trzód, nie płoszono nigdy i las był umyślnie dla łowów strzeżony. Uroczysko, na które jechali, zwało się Głubiem, a na nim nigdy nie chybiły łowy kneziowskie. Trzeba jednak





...w Jego imieniu ojcowskim, Syna i Ducha świętego.  
chrzczę go imieniem Ziemowida.



było przebyć znaczną przestrzeń od kraju, aby się dostać do gęstwiny i kniei.

Chwostek, który dawna na koniu nie siedział, lasu nie widział, psów nie słyszał, poweselał, gdy mu nad głową zaszumiały gałęzie, gdy poczuł woń puszczy. Konia więc gnał szybko, aby się dostać do kniei, gdy po półgodzinnej jeździe znalazł się na znanej sobie polance. Stąd na Głubie niedaleko już było.

Pierwszy się wyrwał na łąkę, ale wnet konia cofnął i gniewny zwrócił się do Smerdy, który ku niemu poskoczył. Wskazywał ręką na polankę. Tu na obalonej kłodzie siedziała stara kobieta, cała płachtą okryta, mając koło siebie ziela narwanego kupy. Sakwy brudne leżały przy niej. Przebierała uzbierane zioła, nucąc, i zdawało się, że nawet nadjeżdżających nie usłyszała i nie spostrzegła.

Obawiano się takich wiedźm w lesie bardziej, niż gdzie indziej. Lasy, wody, pola zaludniały naówczas te tajemnicze istoty w postaciach niewieścich, które niemal wszystkie strachem przejmowały, bo na zdrowie i życie czyhały. Większa część czarnych duchów niewieście przybierała kształty. Zmory, latawce, bogunki, miecielice, nocnice, jędze i strzygi jawiły się w postaci bab tak szkaradnych, jak ta, która tu nucąc siedziała na kłodzie.

Obawiał się ich kneź, ale i Smerda się ich lękał. Wyrządzić im krzywdę było narazić się na zemstę i przesładowanie. Gdy Chwostek wskazał swemu słudze siedzącą wiedźmę, ziołami otoczoną, zawahał się i on, co miał począć.

Zza pni, odjechawszy nieco, przypatrzył się z dala babie i poznał w niej Jaruhę. Znano ją dobrze na grodzie, bo i tam przychodziła, ziele nosząc do pani. Posądzano ją o wielką potęgę, ale wiadano też, iż bardzo złośliwą nie była. Kneź nie śmiał jechać dalej, ciągle na nią wskazując Smerdzie, aż ten wreszcie musiał, z konia zsiadłszy, pójść sam do niej.

Baba była zadumana i zajęta, że dopiero gdy się do

niej przybliżył, z krzykiem i przestracchem się porwała. Wzięła go, jak mówiła, za Wilkołaka, co dla Smerdy wcale nie było pochlebny i zaczęła szybko coś mrużyć, jakby go przeklinała, co go niemało nastraszyło. Trzęsąc się jeszcze, siadła znowu na kłodzie.

— Cóż to robicie tu, Jaruho — spytał Smerda.

— Alboś ty ślepy, przemierzły włóczęgo? — odparła baba. — Robię, co mi nakazano; zbieram ziele na leki i na uroki, na czynienie i na odczynianie... A masz co przy sobie w barylce może? he? Dałbyś mi się napić, to bym ci mój strach przebaczyła... bo jak nie...

— Nie mam nic, prócz wody w bukłaku — rzekł Smerda.

— Wody?... miałeś co nieść! — prychnęła stara. — Z każdej krynicy i rzeczki można jej z żabim skrzekiem dłonią zaczerpnąć.. masz co nosić, głupi człeczko!... Stary jesteś, a rozumu nie masz... Wodę nosić!... wodę nosić!...

I mrużyła znowu pod nosem, a Smerda stał strwożony.

— Cóż to za ziele zbierasz? — zapytał, rozbijając straszną wiedźmę.

— A co tobie do ziele? — zaczęła baba — to nie wasza sprawa... Lubczyk tobie żaden nie pomoże, boś szpetny... Choćbyś go dziewczce dał i bez wrotyczu, czar nie poskutkuje... Widzisz, co koło mnie leży... bylica, dzięgiel, lisie jajko, biedrzeńec, dziewanna, rosiczka. — Hej! hej! różne dobre rzeczy!...

— A złęgo nie ma nic? — rzekł Smerda cicho. — Kneź tu stoi nie opodal... żebyście mu jakim czarem nie szkodzili... bo z nim nie żarty!...

Jaruha się nastraszyła zrazu, spojrzała ku lasowi.

— Kneź — szepnęła — a! kneź... a nie każe mnie powiesić?...

— Żebyście mu tylko żadnej nie czynili przeszkody! — szepnął Smerda.

— Ja? jemu? — baba popatrzyła trwożliwie. — Ja u miłościwej pani przecież na dworze bywam i łaski u niej mam... i teraz jej ziele niosę... Jeżeli chce, to mu

jemioly dam na szczęście... Czego się mnie ma bać?  
Jaruhe znacie...

Smerda powrócił do stojącego Chwostka.

— To Jaruha, miłościwy panie — rzekł. — Wiedźma jest, ale ona swoim nieszkodliwa... a naszej miłościwej pani służy... Owszem, na łowy może dać szczęście, bo ona się na wszystkim zna.

Chwostek, ubezpieczony, wyjechał z koniem na łączkę. Powoli zaczął się zbliżać do baby, niedowierzającymi mierząc ją oczyma. Jaruha, nie wstając, przychyliła się twarzą ku ziemi i powitała niskim pokłonem, ale szybko się podniosła, starając uśmiechnąć, bo się Chwostka lękała bardzo. On też niezbyt pewnym wzrokiem ją mierzył. Zbliżywszy się, konia zatrzymał. Baba nań ciągle patrzyła.

— Nie wiesz, jakie dziś będą łowy? — zapytał.

— A gdzie? — odparła Jaruha.

— Na Głubiem!

Baba głową poczęła trząść.

— Na Głubiem... miłościwy panie! nie ma po co jechać tam...

— Dlaczego?

Obejrzała się po drużynie i poczęła ją liczyć oczyma.

— Iakaż zwierzyna? — rzekł kneź.

— Tam Myszy, siedzą, miłościwy panie, Myszy! — szepnęła Jaruha — kupa Myszy...

Poczęła się oglądać niespokojnie, wstała i chciała się zbliżyć do knezia, ale ten jej zagroził, aby nie śmiała na krok ku niemu przystąpić. Trwoga odmalowała się na jego twarzy, słysząc tę zagadkową mowę. Obejrzał się na Smerdę, który zawołał:

— Mów, babo, wyraźnie!

Jaruha niespokojnie patrzyła w kolo i wahała się.

— Nie rozumiecie, kiedy mówię Myszy: Myszy, a Myszki wszvstko jedno... Ja tam zresztą nie wiem nic! nie wiem nic!...

Siadła prędko i ziele zaczęła przebierać skwapliwie.



Kneź, Smerda i cała drużyna stali w oczekiwaniu i w jakimś strachu, który ich ogarniał mimowolnie.

Cisza była w lesie, wiatr szedł od ostępu. Uszy ludzi, nawykłe do rozeznawania najmniejszego szelestu, chwyciły jakieś odgłosy nawoływania dalekiego.

Kneź pobladał. Jaruha siedziała, jakby zapomniawszy o nim, z głową spuszczoną, nie mówiła już nic; Smerda się zbliżył do niej.

— Co tam Myszki robią? — zapytał.

— Co? U ognia siedzą, zwierzynę pieką i popijają miodem, a na kogoś sobie czekają.

Chwostek zadrżał.

— Ilu ich tam jest? — zawołał popędliwie — ilu?

— Ja bo liczyć nie umiem — odezwała się baba — ale kopa ich może być...

Ostatnie słowa wymówiła po cichu. Smerda się obejrzał, licząc swych ludzi; tych i pół kopy nie było.

Z obawy czarów Chwostek się nie śmiał zbliżyć do widzimy.

— Pytaj jej, niech gada co wie! — zakrzyczał na Smerdę. — A nie, postronek na szyję i na gałąź jędrę!

Choć twarzy staruchy widać nie było, ręce jej się trząść zaczęły, jakby to rozkazanie usłyszała.

Smerda przysunął się do niej.

— Mów, co wiesz! — krzyknął.

— Wszystkom wam powiedziała — odezwała się Jaruha, — toć gdyby nie ja, jechalibyście na Głubie i wpadlibyście w ich ręce. Siedzą tam już trzy dni... jest ich dużo. Są zbrojni, a milczą tak, że ich o trzy kroki nie słyhać...

— Gdzie siedzą? — zapytał kneź.

— Na Głubiem, u błotka, gdzie olchy rosną — szepnęła stara, — na prawym brzegu ogień się pali...

— A czaty mają? — rzucił kneź.

— Mnie chłopcy chcieli złapać, ale się nie ważyli, — szepnęła stara; — na staję do obozu chodzi ich kilku...

Trwała jeszcze ta rozmowa i wahanie, co począć, gdy po gęstwinie coś zaszeleściło dokoła, a ludzie drgnę-

li na koniach i za oszczepy chwycili. Jaruha, przestraszona, z kłody się zsunęła na ziemię.

Obejrzawszy się za siebie, kneź zobaczył między drzewami przemykających się ludzi i konia targnął. Smerda skoczył na swojego. Na prawo i na lewo coś łamało gałęzie. Zmiarkowali łatwo, że ich opasywano. Chwostowi twarz poczerwieniała i pobladła; zrazu nie wiedział sam, co poczynać.

Wtem huknęło na prawo i na lewo; kupka ludzi kneziowskich rzuciła się ku panu, otaczając go, ze wszech stron w krzakach ukazywały się głowy, ręce i oszczepy. Ucieczka stawała się niepodobieństwem; z tyłu odcięta droga była. Nim pociski latać poczęły, wrzawa je poprzedziła. Las się nią rozlegał, wtórował jej i powiększał jeszcze. Powracać nie było podobna za siebie; Smerda popatrzył i zdało mu się, że na przedzie było wolne przejście; dał znak kneziowi i ludziom, i sam pierwszy rzucił się w tę stronę.

Ledwie się ruszyli, gdy zawarczały pociski, strzały zaświstały w powietrzu. W kołpaku Chwostka utkwili ich kilka. Smerda miał rękę przetrąconą, ludzi było wielu poranionych, lecz z pośpiechem popędzili w las, a choć za nimi szła pogoń, naciskając, pociski im tyle szkodzić nie mogły. Przodem im jeszcze nie zajęto drogi. Smerda z czeladzią cisnęli między siebie knezia, który głowę i ciało przychylił i na szyi konia się położył; siekli nie-miłosiernie szkapy swe, aby napastników wyprzedzić. Z tyłu, na prawo i na lewo głowy ich gęsto przeziebrały w qęstwinie.

Szczęściem dla uciekających przerzedzony las dozwalał im się prędzej posuwać, niż pogoni, która gęstwina się przedzierała.

Strzały polatywały jeszcze, ludzie gonili, ale orszak Chwostka zyskiwał ciągle i wyprzedzał. Zasadzka została wkrótce za nimi i słyszać było tylko krzyk pogoni. Smerda i kneź doskonale las swój znali; dobiegli tak do łąki. Wierny sługa do Chwostka się zbliżył i począł mu

coś szeptać do ucha, wpadł potem w gromadę i dał jej rozkazy.

Kupa dworni podniosła ogromną wrzawę i rzuciła się, krzycząc, na lewo, Smerda i kneź poparli konie i poczęli się przedzierać na prawo. Pogoń, zmylona krzykiem, niosła się na ten głos, kierując za dwornią, a Chwostek po cichu w prawo lasem umykał.

Wkrótce nawet wrzawy już słyhać nie było. Wpadli w puszcę niedostępną, gdzie powalone kłody tworzyły rodzaj zasieków wysokich. Tu już prawie byli bezpieczni, ale Chwost drżał ze strachu i koniowi nie dając wytchnąć, darł się głębiej coraz.

Biegli tak, dopóki pod Chwostem koń nie padł wreszcie i nie złamał nogi; trzeba go rzucić było. Gdy Smerda ze swojego zsiadł, ten, robiąc bokami, rozparł się, zachwiał, padł i zdechł. Oba więc zostali pieszo.

Byli w głębinie boru, wśród moczarów, w której przędzej włochacza (niedźwiedzia), niż człowieka napotkać było można. Smerda pamiętał, jak jechali; lasy te oba nieraz przechodzili na łowach, teraz jednak trudno im było rozeznąć, gdzie ich ta szalona ucieczka zagnała.

Kneź wściekły padł na kłodę i rwał na sobie odzież z gniewu. Towarzysz stał nad nim, z ręką przeciętą oszczepem, nie śmiąc się poskarżyć, okrwawiony, przelekkły tylko, jaki los ich czeka.

Długi czas do siebie rzec nie śmieli. Smerda słuchał, czy nie dojdzie go w lesie odgłos jaki; jęczenie tylko konia uszów ich dochodziło. Obawiając się, aby ono ich nie zdradziło, Smerda wrócił do zdychającej szkapy i zarzuciwszy jej sznur na gardło — udusił ją.

Oba potem zaczęli się rozglądać po drzewach i lesie. Czuli, w której stronie było jezioro i gród, ale, aby się stąd wyrwać bezpiecznie, do nocy czekać musieli. Chwostek i Smerda dla bezpieczeństwa rzucili konie swe i głębiej jeszcze starali się dostać w las. Wśród pogniłych i próchniejących pni i kłód olbrzymich znaleźli kryjówkę i w niej się oba zaszyli.



Do nocy było daleko. W lesie tylko ptactwo polatujące i świergocące słycać było. Siedzieli przyczajeni w ciągłej obawie, czy ich ludzie, rozbiegłszy się, nie odkrywają, lecz do wieczora panowała nieprzerwana cisza. Ośmielony Smerda, związawszy rękę, poszedł na zwiady. Zrazu go Chwostek puścić od siebie nie chciał, lecz drogi przed nocą szukać trzeba było.

Mrok padać poczynął, gdy nareszcie Smerda wrócił i dał znać panu, aby z kryjówki wyszedł.

— Jesteśmy — rzekł — nie opodal od zagrody ubożego kmiecia, Koszyczki... Ma on tu kawał ziemi i lasu, barci swoich pilnuje, rzemiosło sprawia, a Piastunem go zowią. Do niego zajść i spocząć można, bo ni mnie, ni miłości waszej nie zna pono z twarzy... Inaczej z głodu pomrzemy i na gród się nie dostaniemy... Mnie dużo krwi uszło.

Chwost byłby słudze pewnie dał zdechnąć w lesie, a niewiele by się oń troszczył, gdyby mu nie był tak potrzebnym.

— Zachodzić do chaty! Paść kmieciowi w ręce! — zawołał — szalonym bym był... Idźmy wprost...

Poszli tedy. Smerda prowadził, ale ślaniał się, i choć na kiju podpierał, zesłabł tak, iż padł kilka razy.

— Chata o kilka kroków — rzekł, — ubogi człowiek gościnnie, nikogo o imię nie pyta... wniądźmy i spoczniemy.

Chwost się też z głodu i znużenia ledwie włókl. Między strachem a potrzebą wybierając, milcząco dał się prowadzić.

Na skraju lasu widać było ubogi dwór bartnika; przez otwarte jeszcze okno świecił ogień. Słycać było w podwórku rzenie koni i bek owiec.

Kneź pozostał sam, a Smerda poszedł kłamać i o gościnę prosić. Gospodarz sam siedział na przyzbie, synka kilkoletniego u nóg swych przypartego trzymając, gdy Smerda z ręką, obwiniętą chustą pokrwawioną, z twarzą podartą się ukazał. Włókl się ledwie.

Zobaczywszy go, Piastun wstał i podszedł ku niemu.

— Kmieciu dobry — odezwał się Smerda — o gošcinę was proszę na krótki czas... Jestešmy i my kmiecie z Opolą obok, zabłąkališmy się na łowach w lesie, błądzimy drugi dzień, nie jedząc nic... rękę, padając, złamałem... mój pan i towarzyszy, zmęczony, leży niedaleko... dajcie u siebie spocząć.

To mówiąc, bacznie się rozglądał Smerda; we dworku nie było nikogo. Piastun też przypatrywał mu się, jakby go gdzieś widział i poznawał.

— Ktokolwiek jesteście — rzekł — jak skoro w imię starego obyczaju o gošcinę prosicie, chodźcie. Wiecie to, że u nas się jej i wrogowi nie odmawia...

— Myšmy nie wrogi! — zawołał Smerda. — A skądże byšmy nimi być mogli?

Stary skinał w milczeniu, ukazując na drzwi dworu. Wrócił tedy Smerda po knezia, który z obawy, aby poznany nie był, kołpak swój odarł, suknię pooszarpował z naszywania, miecz schował pod odzież i oczy włosami zapaścił. Tak zmieniony a cały drżący wszedł Chwostek do dworu.

Piastun go na ławie posadził i chleb przed nim połoŹono. Gospodyni zaś wnet się zabrała do podania piwa i strawy, na jaką stał dzień powszedni.

AŹeby knezia nie zdradzić, Smerda na skinienie jego sięść też przy nim musiał na ławie. Nie mówiąc prawie słowa, coš tylko pomruczawszy, Chwostek siadł i ręką od ognia twarz sobie zakrywał. Piastun parę razy nań popatrzył, popróbował zagadnąć, otrzymał odpowiedź od Smerdy i nie badał więcej.

NaleŹało to do praw gošcinności, aby z obcego człowieka więcej nie dobywać nadto, co on sam chciał dobrowolnie powiedzieć.

Zgłodzeni gošcie poczęli ješć w milczeniu. — Ošmielił ich nareszcie spokój dworu, cisza w okolicy, łagodna twarz gospodarza i jego niewiasty. Chłopak kilkoletni z dala stał, a ciekawymi oczyma przypatrywał się przybyłym.

Gospodyni, widząc, że Smerda cierpiał, przyszła mu szepnąć, że może by potrafiła rękę mu lepiej opatrzeć i zawiązać. Poszedł więc z nią Smerda do ognia i ranę swą pokazał. Była ona tak widocznie pociskiem zadana, iż kłamstwo się wydało zaraz; staruszka, popatrzwszy mu w oczy, nie powiedziała ni słowa.

Chwostek, nawykły do mocnego napoju, co mu podano, wnet pochłonał; trochę odwagi wstąpiło weń. Popatrzył na Piastuna, który z niego nie spuszczał oczów.

— Kmieciem jesteście? — spytał Chwostek gospodarza.

— Jak mój ojciec i dziad — odparł syn Koszyczków spokojnie.

— My to stąd dalej trochę siedzimy — mówił niewyraźnie Chwostek — nie bardzo wiemy, co się u Gopła dzieje... niepokój między wami?...

Piastun popatrzył nań długo.

— Jeśli jaki jest — rzekł. — myśmy nie winni.

— Mówią, że się kmiecie burzą?

— Przy swych prawach stoją — odparł Piastun.

Chwostek zmilkł.

— Kneź też pewnie przy swoich obstaje... — dodał spode łba patrząc.

Gospodarz zdawał się namyślać z odpowiedzią.

— Jeżeli wy do kmieciów należycie — odezwał się, — wiecie, że czasu wojny posłuszeństwo im się należy. poszanowanie zawsze, a gdy pokój panuje. my po mirach samiśmy się rządzić nawykli z wieka. Tak było i tak będzie... a kto nasze wolności naruszy...

Mimowolnie Chwostek rozśmiał się swym dzikim, szyderskim śmiechem. Smerda, posłyszawszy go, wzdrygnął się. Dostyc było tego, by zdradzić Chwostka. Piastun nań popatrział, ale bez najmniejszej trwoży. Zamilczeli oba, mierzac się ciągle oczyma.

— Rwać się, słyszę, chcą wasi kmieciowie na gród i knezia? — spytał Chwostek.

— Rwał się kneź wprzód na nas — odparł Piastun—



sam wyzywa na rękę... Źle czyni, gdy mu w pokoju siedzieć nie łatwo... Ród swój własny wygubił, naszych tam wielu przypłaciło życiem... Któż winien?...

Spod włosów kneziowi w oczach błysnęło. Począł gniewnie mrużyć jak niedźwiedź, poruszył się, na Smerdę skinął i z ławy wstał. Noc już była zapadła bezksiężycowa, choć pogodna.

— Nie idźcie ode mnie w taką porę — odezwał się Piastun; — usnijcie we dworze, pójdziecie z brzaskiem, gdy zechcecie. U mnie bezpieczni jesteście, choćby was i ścigano... — dodał — bo gość dla mnie święty...

Na te słowa — choćby was ścigano! — kneź się cofnął i odskoczył, gospodarz się uśmiechnął. Smerda błady i wylekły drżał... Jakies przykre milczenie nastąpiło po tych wyrazach, lecz stary bartnik, niezmierny wcale, uśmiechał się tylko.

Zdawało się, że słowa były nieszczęśliwym proroctwem, gdyż w tej chwili przed dworem zatętniało i kilkanaście głosów się dało słyszeć. Piastun nadstawił ucha, zmarszczył się i ręką pośpiesznie wskazał na komorę, której drzwi już na pół otwarła gospodyni.

— Miłościwy panie — odezwał się Piastun, — wiem, kto wy jesteście... schrońcie się... może Myszki was szukają... u mnie bezpieczni jesteście. Gości bogi zsyłają.

Wyrazy te wyrzekł z powagą i spokojem i powtórnie na drzwi wskazywał. Chwostek sam nie wiedział, co począć, trwoga go wreszcie zapędziła do komory, którą staruszka za nim i Smerdą zatrzasnęła.

Łuczywo u ogniska zapaliwszy, Piastun spokojnie wyszedł przed dwór, podnosząc je do góry.

Kilku jezdnych stało u wrót.

— Ojcie — wołał Myszko z krwawą szyją, — nie wiecie, co się stało! Chcieliśmy krwi ludzkiej oszczędzić, trzy dni i trzy noce siedzieliśmy, czatując na zbója! Był w naszych rękach i uszedł. Lecz z głodu chyba zdechnie w lesie i nie da sobie rady, bo mu się ludzie rozbiegli... a opój ten sam w puszczy nie potrafi się rozeznać. Może

też go który z naszych napotka i zadławi... Konie napoimy i pilno nam do dworów.

Wnet czeladź Piastunowa poszła z wiadrami do studni, konie pojono i Chwostek w komorze schowany mógł słyszeć, jak go wyklinano i odgrażano się nań. Kilka razy ze złości rzucił się ku drzwiom, od których go Smerda ledwie potrafił odciągnąć.

Dobry czas trwało pojenie koni i ludzi, bo Myszkom wyniesiono miodu. Śmiechy ich i krzyki dolatywały do uszu zamkniętych, wreszcie ustały; zatętniły konie i jezdni w dalszą popędzili drogę. Gdy ucichło wszystko, Piastun, milcząc, poszedł, otworzył drzwi i więźniów wypuścił.

— Idźcie — rzekł — niebezpieczeństwo minęło!

— Kmieciu dobry — zawołał Chwostek — proszę was do siebie na gród w gościnę... winienem wam wiele.

— Nie — rzekł Piastun, — prawo nasze i obyczaj tak kazały... Nie z miłości dla was uczyniłem to, bo nie miłuję was... ale dla rozkazów bogów. Idźcie w pokoju... Kto wie, gdzie się spotkamy...

Chwostek stał nachmurzony.

— Ty na mnie ręki nie podniesiesz? — zawołał.

— Miłościwy panie — rzekł Piastun, — jak miry pójdą na was i zawołają... pójdę i ja...

Mówiąc to ustąpił mu z drogi, a Chwostek pośpiesznym krokiem wyrwał się z chaty, nie mówiąc słowa i nie patrząc za siebie. Wrota się za nim zamknęły.

Noc była czarna, milcząca. W dali tylko połyskiwało jezioro i na wysokim stolbie u góry ogień, wedle zwyczaju rozniecony, czerwonym światłem migał. Chwostek ze sługą znikł w ciemnościach. Piastun odetchnął lżej, gdy ich nie stało.

## VIII

Nazajutrz w chacie Piastunowej życie powszednie szło trybem zwyczajnym. Pogodny wieczór świecił zacho-

dzącym słońcem. Na szapie klekotał bocian, zajęty swymi niemowletami, na łące rżały konie, owieczki bure wracały do szop i u wrót domowych dopominały się wnijszcia. Wróble świergotały pod strzechą niespokojnie, jaskółki unosiły się wysoko, krążąc w powietrzu i zapowiadając pogodę. Od jeziora ciągnęły na wyżary kaczki sznurami i stadami.

Stary siedział zadumany, na stole sparty. Tu cicho jeszcze było i wesoło, a do koła zbroido się i poruszało wszystko. Myszkowie obwołali lud, teje nocy miały błysnąć wici ogniste po pagórkach. Posłańcy biegali od chaty do chaty. Około wieży na grodzisku widać było ruch i krążące światła. Stada kneziowskie spędzono z pastwisk, aby ich nie zajęli kmiecie, których gromady już się po krańcach lasów pokazywały. Z chaty Piastunów, w której siedział stary bartnik z niedorosłym synaczkiem, wysłać nie było kogo, czeladź tylko uzbrojono, aby z innymi ciągnąć mogła.

Z dała rozlegały się dzikie okrzyki jakieś, w których rozpoznać nie było można, czy z kup kneziowskiej dwor ni, na zamek ściągających, pochodziły, czy z gromad kmiecych, które już się zbierały.

Stary wyszedł w podwórze, spoglądał dokoła i nie mógł oczów oderwać od szarego stolba nad jeziorem, od grodu, przy którym miała wkrótce zawrzeć wojna krwa wa. Nie w porę mu ona przychodziła, bo synaczek dorastał, a obyczajem starym siedmioletniemu sprawić było potrzeba postrzyżyny, imię dać, poblogosławić, a któż w taki czas burzliwy mógł zjechać w gościnę i cieszyć się z rodzicami? Próżno było słać i prosić na taki obrzęd wesoły, gdy wszystko wrzało gniewem i bojem.

Zamyślony stał tak jeszcze, gdy dwóch ludzi, w stroju obcym, z twarzami też nieznanymi a dziwnym jaśniejącym spokojem, podjechało ku wrotom i przy nich stanęło. Zdawali się rozglądać i wahać nieco; spojrzeli na ubożego bartnika parę razy, poszeptali coś z sobą. Naradzali się widocznie, co mieli począć.



Wieczór nadchodził. Przyjezdni, jak to z sukni ich poznać było, z daleka być musieli, może znad granic lechickich i polańskich, lub zza Łaby nawet, bo coś niemieckiego ubranie ich znamionowało. Oba niestarzy jeszcze, mieli na sobie długie płaszcze ciemne, pod nimi obcisłą odzież podpasaną i żadnej widocznej broni. Lekkie węzłki przywiązane były do ich koni.

Zmęczone całodziennym pochodem wierzchowce ich, jak skoro stanęli, wyciągnęły łby chciwie, usiłując dostać świeżej trawy pod nogami.

Młodszy, jadący przodem, twarz miał piękną, jasną, wypogodzoną, uśmiechniętą prawie mimo znużenia. Drugi, starszy nieco, surowszego oblicza, zahartowany znać życiem, chłodno i spokojnie, a bezpiecznie patrzył, choć stał wpośród obcych, jakby pewien był, iż mu się nic złego stać nie może.

Było to tym dziwniejsze, że w okolicy mijać się ciągle musieli zapewne z podrażnionymi garściami kmieci i dworni kneziowskiej, równie obcym przybyszom niechętniej. Poruszenie, jakie panowało w tym kątku, nie zdawało się ani dziwić, ani trwożyć dwu podróżnych.

Stanąwszy u zagrody, patrzyli na nią, na Piastuna i szeptali, naradzając się z sobą. Wreszcie pierwszy z nich, z konia zlazłszy, z wesołą twarzą, powolnym krokiem podszedł ku Piastunowi i pozdrowił go w języku, który, choć nie był lechickim, brzmiał swojsko i zrozumiale w uchu starca. Wędrował on niegdyś po świecie i wędrownych braci spotykał; poznał mowę, której używali Serby, Morawianie i Czechy.

— Jesteśmy podróżni z daleka — odezwał się — cny gospodarzu, potrzebujemy schronienia ku nocy. Tam — wskazując ręką na gród, dodał, — tam próżnośmy o gościnę u wrót prosili, precz nam kazano iść... Trafiliśmy na kraj zburzony, na ludzi jakąś waśnią zajętych, dwory puste i chaty... prosimy was o gościnę... o dach nad głowy nasze...

Stary silną dłonią żywo wrota na oścież otworzył.

— Miłościwie was proszę — rzekł, — wnijdziecie i odpoczywajcie. Na naszej ziemi przecie żadna chata przytułku żądającemu nie odmawia... Toć obyczaj ojcowski i póki rodu naszego, póty tego obyczaju...

Mówiąc to, starzec ich ciągle ręką w podwórze zapraszał. Zsiadł więc i drugi z konia i weszli, nie wahając się, a tuż nadbiegł parobczak, aby zabrać konie. Piastun ich wiódł do przedsieni i świetlicy, aby się naprzód chlebem rozłamać. Posadził ich na pierwszym miejscu i skinął na niewiastę, która się ukazała, aby jadło i napój przygotowano.

Z wielką ciekawością jęli się przybyli rozglądać po ubogiej chacie, w której wszystko było jeszcze podług starodawnego obyczaju, z drzewa i gliny sprzęt odwieczny: nic z tych obcych błyskotek, które obficie już naówczas przywozili kupcy z morza i z zachodu, ani bożków rzymskich i etruskich, ani wytworzonego oreża, który Chrobaci nadsyłali, ani kruszcowych wisiadeł, naczyń i broni, na bursztyny i futra mienianych. Robota polańskich zdunów i bodniarzy zajmowała półki. Odzież była tkana z wełny, uprzedzionej w domu, płótno i skóry zwierząt ją dopełniały.

Znać po drodze od wrót grodu jadąc, mieli sobie podróżni poleconą chatę gościnnego kmiecia i spodziewali się znaleźć tu dwór większy i zamożność, gdyż jeden z nich spytał gospodarza, czyliby był tym kmieciem, Koszyczka synem, u którego im przyjęcie zapewniono.

— Słyszeliśmy o was — rzekł — i nie z jednych ust, ale od wielu snujących się po okolicy, którzy nam do grodu waszego iść odradzali... W istocie tam nas się zbyto porywczco, rozkazawszy iść precz, a gościna u was nie zawiodła...

— Jam ci jest Koszyczka synem — odpowiedział Piastun, — żyję swym obyczajem: drzwi moje nie zamkają się przed nikim, ale dostatku, do jakiegoście może

nawykli, nie znajdziecie u mnie. Kmieciem jestem i bartnikiem, żyję, jak ojcowie. Przy dawnym obyczaju stoję. Dzikimi nas za to zowią, a my dzikimi zowiemy tych, co odzież noszą lepszą i oręż piękniejszy, a serca drażniące mają. Że na gród was nie puszczono, dziwić się nie powinniście, niepokój tam musi panować wielki...

— Cóż to się dzieje? — spytał gość.

— Między kmieciami a kneziem sprawa — mówił Piastun. — Niemkinię za żonę wziął i po niemiecku zażywać nas chce, a myśmy do swobody nawykli i obcego prawa ani obyczaju znać nie chcemy.

— Czy wiarę też nową — spytał — myślał zaprowadzać?

— O tej myśmy od niego nie słyszeli — odparł Piastun. — choć o niej inni ludzie różne wieści głoszą... Obcego nic znać nie chcemy!

— Dobrze czynicie — rzekł gość, — ale nie wszystko złym jest. Z mowy naszej poznajecie, że my Niemcami nie jesteśmy, ani ja, ani towarzysz mój, ale co dobrego mają, to od nich wziąć się godzi.

— A cóż dobrego stamtąd przywożą? — mówił gospodarz. — Nie wiem. Jeśli oręż, co zabija, — zbójckie to dobro, jeśli świecidla, co niewiasty płochymi czynią, — trucizna to! Mamy ziemię swą, co nas żywi, pieśni swe i dzieje, które karmią, bogi nasze... cudzego nic nie potrzebujemy.

Gość młodszy westchnął.

— Wiele z Niemiec idzie — rzekł, — ale przez Niemcy tylko przechodzi i nie jest niemieckim. A gdyby przez ich kraj płynęło błogosławieństwo i pokój dla świata?

— Pokój? błogosławieństwo? — spytał Piastun. — Święte to rzeczy są, ale jakżeby przez ręce ludzi, co lupieżą i morderstwem żyją, iść mogły?

Zamilkli na chwilę, a wtem weszła niewiasta Piastowa, Rzepica, osloniona po białogłowsku dawnym obyczajem, z zawiniętymi czołem i usty, w bieli cała, sama



przynosząc jadło. Za nią służebne dziewczki niosły placki, miód i kubki.

Pokłoniwszy się podróżnym i zastawiwszy stół, ustały zaraz na stronę, gdyż tu, jak wszędzie, nie godziło się niewiastom po społu z mężczyznami siadać.

Gdy starzec zapraszał gości do jedzenia, obaj powstali ze swych miejsc, stanęli, obróciwszy się ku wschodowi, ręce poskładali, z głowy zdjęli nakrycie i poczęli coś szeptać, nad jadłem zastawionym czyniąc znaki.

Piastun się uląkł nieco, widząc w tym czary jakieś.

— Nie juści — zapytał — czarownikami jesteście? Na co te znaki czynicie i dlaczego?

— Nie obawiajcie się czarów — odparł młodszy z gości, siadając po chwili. — My czary odganiamy, ale ich nie czynimy. Zwyczajem jest u nas na Morawie Boga i Jego błogosławieństwa wzywać przy każdej czynności.

— Jakiego Boga? — zapytał Piast. — Słyszeliśmy, że Czechy i Morawce nowego Boga, którego Niemcy z zacho-  
du przynieśli, u siebie też wyznawać zaczęli.

— My nie znamy innego Boga, tylko jednego na świat cały — rzekł powoli gość. Boga, który jest ojcem wszystkich narodów i ludów, i panem całego świata a wszelkiego kraju, którego dziećmi wszyscy jesteśmy...

Piast zdumiony nieco słuchał.

— O tej nowej wierze — odezwał się — myśmy też już wiele słyszeli... Są i u nas tacy, co dla niej swoje bogi porzucili. Jesteścież wy też takimi ludźmi nowymi?

— Tak, jesteśmy nimi, dziećmi Boga jedyne-  
go — przerwał drugi. — Nie zapieramy się tego.

Piastun się zamyślił głęboko i odsunął nieco.

— Mieczami i krwią nawracają ku Niemu Niemcy za Łabą — rzekł chłodno, — a my z nimi jednego Boga mieć nie chcemy.

Przybyli goście znów się mierzyli oczyma i poszeptali cicho między sobą.

Piastun uprzejmie ich do jedzenia zapraszał. Widać było, że go ciekawość i niepokój do pytań pobudzały.

gdyż coraz wtrącał coś, aby się o nowej wierze dowiedzieć.

Nie była już chrześcijańska wiara zupełnie obcą w Lechii; wciskała się ona ze wszech stron, ale zarazem mieszała się z dawną, i była tylko nowym bałwochwaltwem, torującym drogę nawróceniu. Godło krzyża, jako amulet, wisiało już utajone na niejednej piersi... kładziono je poganom do mogiły. Byli ludzie ochrzczeni, a żyjący potem w pogaństwie, które ich otaczało. Tłumy jednak przywiązane były do wiary ojców, do podań starych, do związanego z nimi porządku i obyczaju społecznego.

Bałwochwaltwo słowiańskie nie miało tych form wyszukanych, określonych, stałych, co inne wiary pogan. Wyznawano Boga jedynego, lękano się duchów pomniejszych, natura cała przedstawiała się jakąś żywą istotą rozumną, ze wszystkimi w niej żyjącymi stworzeniami stanowiącą spójną całość, tworzącą z nich i nimi żywot jeden wspólny...

Gdy goście jeść skończyli, powstali znowu, złożyli ręce, po cichu się pomodlili i usiedli.

Piastun zapytał ich, jakie to były słowa, które wymawiali i czyby one dlań zrozumiałymi być mogły.

Naówczas młodszy z gości z twarzą wesołą powtórzył zwolna modlitwę dziękczynną Boga Wszchemogącego za posiłek dnia tego i za wszystko dobro i błogosławieństwa, jakich od Niego doświadczyli.

Piastun zrozumiał wyrazy i zamyślił się nad nimi.

— A więc — zapytał — jeden by tylko Bóg był dla wszystkich?

— Tak jest — odpowiedział gość — i tego my, a z nami już większa część ludów wyznaje; a między nimi są bracia nasi, jednej mowy.

— Ci więc staną się nieprzyjaciółmi naszymi? — rzekł gospodarz.

— Nie, gdyż oni wierzą, iż wszyscy ludzie, narody wszystkie są braćmi, a nie godzi się im napadać ani za-





Piastun ręką jej wskazał, ażeby zamilkła, gdy już i posłani  
Bolko z Sobisławem weszli na hradyszcze...



bljać, ani wrogiem nazywać nikogo, bo miłość jest prawem; miłować należy tych, którzy są nieprzyjaciółmi.

— Wrogów miłować?... — zawołał Piastun, składając ręce, a jakże to być może? Wrogów? a więc i Niemca?

— Tak jest — rzekł gość, — ale bronić się od napaści godzi.

Nachmurzyła się brew gospodarza; rękę podniósł i rzekł ponurym głosem:

— Oni nam braćmi nie będą nigdy, nigdy!...

Przerwała się rozmowa; nie nalegali goście i w chwilę długą potem dopiero zapytał młodszy o to, co się w kraju działo. Piastun znowu powrócił do tego, iż wszystko zło szło z naprawy Niemców, z którymi się kneziowie wiazali.

— Chciwi są ziemi i łupu — rzekł, — wypychają nas i niszczą a tępią, ażeby sami się rozsiedli szerzej i panowali...

— Prawdą to jest — dodał starszy z gości — i niektórzy kneziowie, jak wasz, łączyć się z nimi zapragnęli, aby pokój wyjednać, bo Niemców jest siła wielka i uzbrojenie mocne... Drudzy zaś myślą o tym, jakby wszystkie małe narody i plemiona nasze powiązać z sobą dla oparcia się Niemcom... Dlatego nową wiarę przyjmują, by im stanąć na równi, a sobie ręce podają na nieprzyjaciela wspólnego.

Zapytał Piastun, którzy by to byli kneziowie ci rozumni, a goście jęli mu opowiadać, iż na Morawie i w Czechach się to działo i że Polanie także do tego związku z czasem przystąpić byli powinni...

Dodał potem:

— Wodza jednak i głowy narodowi zawsze potrzeba; mają ich i inne narody naszej mowy, zwłaszcza te, które wojować muszą. Złe więc czynicie, jeśli knezia chcecie obalić i żadnego nie znać.

— Nie chcemy tego czynić — rzekł Piastun, — wybierzemy innego, aby nam dowodził. Ten zaś okrutnik

był, krew ludzką rozlewał i zabijał, a truł nawet ród własny... Dlatego cierpieć go nie możemy i lud wszelki ciągnie, aby go obalić.

Rzypowiadał im potem, co uczynił Chwostek z kmięciami i ze stryjami swymi i że Niemcy wzywał przeciw swoim, a trzymał z nimi.

Wieczór piękny z izby ich potem wzywał; poszli usiąść na przedsienu i rozmawiać zaczęli znowu. Piastun zagadnął ich znowu o wiarę nową, której ciekaw był bardzo. Naówczas młodszy z gości tak mówił począł:

— Wiara to jest jedna, co cały obejmuje świat, a gdy się to stanie, bo idzie z potęgą wielką, nie będzie w nim ani niewolnika, ani plemienia upodlonego, tylko jedni bracia ojca jednego... Na naszej ziemi przyjąć się ona musi i rozkrzewić bujnie, bo u nas przed wieki te prawdy nigdy królowały i nigdyśmy okrutnymi ani bezlitośnymi nie byli. Obcy miał u nas schronienie, ubogi chleb, słaby politowanie, grzebaliśmy umarłych, głodnych karmili, bronili uciemżonych, a nie znaleźliśmy tylko jednego Boga, choć całego Jego blasku dostrzec nie mogliśmy.

— I ten Bóg wasz jedyny Niemców i wrogów kochać każe? — zawołał Piastun. — Dziw to wielki!

Uśmiechnęli się goście. Po chwili stary wstał i podniósłszy z ziemi dwa patyczki, złożył je na krzyż, ukazując ten znak gościom.

— Widziałem znak ten — rzekł, — wiem, że go czczą ludzie tej wiary nowej... noszą go na sobie dla obrony od wszelkiego złego... Powiedzcie mi, co on oznacza?

— Jeśli mnie posłuchać zechcecie — odezwał się młodszy, biorąc z poszanowaniem krzyżyk i całując go, a potem spod sukni dobywszy podobny kruszcowy i pokazując Piastunowi, — jeśli posłuchać chcecie, opowiem wam chętnie o tym znaku i o wierze nowej, gdyż podróż moja i towarzysza mego nie inny ma cel, tylko szukanie dzieci dla jedynego Boga i nawracanie tych, co Go jeszcze nie znają... Krzyż jest znakiem Tego, co na da-

lekim Wschodzie z wybranego narodu przyszedł na świat i był synem boskim, a Bogiem samym wcielonym.

Piastun oczy ciekawie wlepił w mówiącego; chciał rzucić jakieś pytanie, potem zamilkł, a gość ciągnął dalej:

— Był tedy na Wschodzie naród wybrany, który w pośród bałwochwalców sam tylko stale wyznawał jednego Boga, co stworzył niebo i ziemię. W narodzie tym byli prorocy, którym Bóg objawił, że ześle na ziemię syna swojego, aby nową wiarą świat odrodził, a życiem swym ją poświadczył. Spełniły się proroctwa w dniu i godzinie naznaczonej i oto sam Bóg narodził się światu z Dziewicy, w ubóstwie, w nędznej szopce, na rozdrożach, wśród ucieczki. Całe życie Jego było cudowne. Za ledwie dorósł, nawracał ludzi i oczy im otwierał, leczyl chorych, wskrzeszał umarłych, strapionych pocieszał. Ani królem, ani wodzem, ani panem być nie chciał. Żył u przybranego za ojca opiekuna, prostego cieśli, z rybakami i pospólstwem, a przecie czuli w nim wszyscy Boga, po prawdzie i świętości tych słów, jakimi mówił i po cudach, które czynił. Nauka jego trafiła do serc wszystkich. Opowiadał, że Bóg jest jeden, że wszyscy ludzie są dziećmi jego, braćmi sobie, że miłować się powinni i dobrze czynić. Nakazywał życie skromne i ubogie, przebaczenie win, opiekę nad słabymi. Tego Boga-Człowieka źli ludzie, nie wierząc w Niego, lękając się, bo im złego czynić bronił, oskarżyli, osadzili i na takim oto krzyżu z drzewa przybili, powiesili, śmierć mu zadali...

Piastun westchnął.

— Jakże mógł zezwolić, aby go męczono? — zapytał.

— Uczynił to dobrowolnie dlatego, aby okazać, że jest Bogiem, aby umęczony zmartwychwstał i powrócił do nieba.

— I tak się stało? — zapytał stary.

— Stało się tak — rzekł gość; — działy się i inne cuda, zaś cudem było to, że owi rybacy, cieśle, lud prosty potrafił nawrócić na tę wiarę królów, mocarzy i mę-



drców świata, że powywracano ołtarze fałszywych bogów, a wiara ta co dzień się szerzy i krzewi.

Prosty człek pojął wiele z tych rzeczy, drugich nie zrozumiał, o inne pytał lub możliwości ich zaprzeczał, tak się rozmowa przeciągnęła do późna.

Siedzieli na ławie w podsieniu i patrzyli stąd na jezioro i wieżę a szeroką okolicę. Wtem nagle, na wzgórzu jednym wśród ciemności błysnęło światło i ogień strzelił słupem do góry. Jeszcze nie pośpieszyli podróżni zapytać, co by to znaczyło, gdy na drugim i trzecim miejscu pokazały się podobne... w lasach nawet zapaliły się stosy i łunami odświecały się na niebie.

— Co znaczą te ognie? — zapytali goście. — Czy to pożary, wzniecone przez nieprzyjaciela?

— Nie. To wici ogniste — rzekł Piastun. — To zapowiedź wojny!... W tej chwili cały kraj, wszystkie miry nasze wiedzą, że ciągnąć mają tu...

Wskazał na wieżę...

Jakby na urągowisko tej zapowiedzi ognistej, kneź na wierzchołku wieży rozkazał nałożyć stos łuczywa i podpalić go. Ogromne płomień buchnęło, jakby cały stołb gorzał we wnętrzu.

W jeziorze spokojnym odbijał się ten blask. Widok był wspaniały razem i straszny. Ognistymi głoskami na tle nocy pisała wojna i śmierć, przybycie swoje. Podróżni westchnęły smutnie.

— Nie lękajcie się — rzekł Piastun. — Obcemu się u nas nie stanie nic, choćby wojna się rozpoczęła, a nim ludzie się pościągają, dni może kilka upłynie. Ja was proszę, abyście się u mnie zatrzymali jutro. Dzień to jedynego dziecka mojego, dla mnie uroczysty; siódmy rok kończy, życie mu się poczyna. Nie wiem, czy kto z moich przybędzie do mnie, wszystkich teraz wojna zajmuje. Bądźcie wy, dobrzy ludzie jednego języka, wyznawcy Boga pokoju, družbami dziecka mojego.

Spojrzeni po sobie przybyli: uśmiechnął się ochoczo młodszy i rzekł:

— Stanie się po woli waszej...

I szli do świronka, w którym pościel dla nich przygotowano.

Nazajutrz rano cała okolica, lasy i pola od brzasku mrowiły się ludem, który ściągając się zaczynał pod grodzisko. Nie rozpoczynano nic, gromady kładły się z dala, lecz coraz nowe przybywały, rozsiadając się jedne przy drugich.

Chociaż Piastun nie spodziewał się, aby mu goście przybyli, wszyscy niemal starsi kmiecie, żupanowie, władcy, cisnęli się u wrót ubogiej chaty, tak że on i Rzepica zwatpili, czy ten wszystek lud nakarmić potrafią. Starczyłoby było wprawdzie zapasów, bo komory pełne były i zasobne, ale o czym potem przebyć zimę? Piastun zafrasował się nieco, lecz rzekł w duchu, iż gości ostatkiem po starym obyczaju nakarmi i napoi, a choćby ni prószyna, ni kropla mu nie została, skąpić nie będzie. Wesoła więc twarzą witał przychodzących we wrotach.

Starszyzna poodchodziła od gromad swych, leżących na polu i ciągnęła do dworu Koszyczkowego syna. Przybyli i Myszkowie, których wiódł Krwawa-Szyja.

— Dobra to wróżba dla was, gospodarzu nasz — zawołał w progu — że na dzień syna waszego rozpoczyna się wojna z niemiecką niewolą. Znak to, że dziecko дочека powrotu starego naszego żywota i swobody!

Za czym ściskali się wszyscy, a gdy przybyli wczoraj goście obcy odezwali się „mową słowa”, powitano ich jak braci, dając im miejsce poczesne. Stoły z desek postawiono pod drzwiami z mięsiwem, chlebem i korowajami świeżatecznymi, a około nich kadzie z napojem, czerpaki i kubki.

A nim się obrzęd postrzyżyn rozpoczął, ponieważ ciągle Myszkowie i Ścibory, i rodzina a družbowie i znajomi nadciągali, gwarzono przy jadle i napoju.

Gość młodszy znowu, jak wczoraj, mówić począł, zachęcając Polanów, aby się z braćmi Morawcami i Czechy i innymi łączyli dla opierania Niemcom, gdyż niebez-

pieczeństwo od nich było wielkie, a zmóc go inaczej nie potrafiliby „słowo”, tylko wspólnymi siły.

Na co Myszkowie rzekli :

— Dajcie nam naprzód co złe obalić i z korzeniem wyrócić ; potem pomyślim, co w miejsce jego osadzimy.

Dwór, podwórko i łączka pod drzewy około południa pełne były gości. Zbliżała się tedy chwila, gdy postrzyżyny pełnić należało.

Miejsce kapłana zwykle w rodzinie zajmowała głowa domu ; ojciec składał ofiary i prowadził do miejsc świętych. Doszedłszy lat siedmiu, chłopcy z rąk matki i spod dozoru niewieściego przechodzili pod władzę ojca, zaczynając się sposobić do przyszłego zawodu wojaków, rolników i ziemian. Najczęściej oddawano ich naówczas, jak się to dzieje u wielu jeszcze, plemion kaukaskich w opiekę stryjów lub starszych braci, gdyż serce ojcowskie bywa słabsze dla dziecka, do powolności skłonniejsze, a surowość mogłaby osłabić ten węzeł miłości i poszanowania, jaki ojca z synem łączyć powinien.

Tu, u drzew starych, pod którymi ustawiono stoły z desek zbite i sztytami ręcznikami pookrywane, znajdowało się źródło, za święte poczytywane, i odwieczny kamień, u którego składano ofiary.

Gdy wszyscy już byli zebrani, biało ubranego chłopca, z rozpuszczonymi włosami, których od urodzenia nożyce nie tknęły, przywiodła ze łzami w oczach matka i w ręce ojca oddała. Ten stał już w gotowości przyjęcia go od niej, a gdy dzieciak mu się do nóg rzucił, ściskając je, podniósł go i wodą ze źródła pokropił. Po czym, ujawszy nożyce przygotowane, nad czołem nieco włosów mu przystrzygł, oddając je gościom i starszynie, która po trosze dokoła je przycinała. Żeby się zaś te obrzynki włosów na ogień nie dostały, co za szkodliwe uważano, zebrano je skrętnie i u kamienia zakopano.

Gdy przyszło nadać imię chłopcu, który dotąd Piastunowego syna tylko nosił nazwisko, gospodarz młodszego z gości prosił, aby mu je nazначył.



Wstał tedy gość i odezwał się :

— Jeżeli imię mu mam dać, dozwólcież, abym to uczynił, jak u nas we zwyczaju, i dał mu je z błogosławieństwem... Bóg, którego Morawianie i Czechy, jak wy, dzieci „słowa” wyznają, jest Bogiem wszystkich... W Jego imieniu ojcowskim, Syna i Ducha świętego chrzczę go imieniem

Ziemowida.

Niechaj mu danym będzie ziemię swą widzieć spokojną i szczęśliwą.

To mówiąc, w wodzie umoczył palce gość i na czole chłopca znak nią położył.

Usłyszawszy to piękne imię, wszyscy uradowali się wielce, a Piastun szedł im dziękować i chciał obdarzać, czym mógł, lecz powiedzieli mu, że darów żadnych nie przyjmują, bo na ubóstwo przysięgali. I usunęli się opodal trochę, aby naradzie starszyny nie stać na zawadzie, gdyż czas był gorący i mimowolnie troska o wojnę wszystkim dogryzała.

Oglądali się wszyscy na srogą wieżycę u Gopła, sterzącą jak groźba, która wczoraj w nocy zapalała ogniem, jakby mirom i gromadom rzec chciała :

— Nie lękam się was! wołacie się wy przeciw mnie, ja też wyzywam was!

— Ostatnie gniazdo Pepelków rozniesiemy — rzeki Myszko Krwawa-Szyja na stolb wskazując, — a gdyby nam tu leżeć przyszło nie jeden miesiąc, ale dziesięć, przecie choćby głodem ich weźmiemy...

— Tak — odezwał się Ścibor, — ale z rodu ich pozostał Miłosz z synem, a co gorzej synowie, których matka do dziada na Niemce posłała. Dorosli są, przyjdą i upomną się o swe dziedzictwo. Wojna to nie miesiąca jednego, ale lat może wielu, wojna nie z jednym Chwostkiem, ale z Niemcy, którzy w ich obronie staną...

— Miłosza, złamanego starca, nie mamy się co lękać... będzie na grodzie swym siedział spokojnie... a z Niemcy, gdy dla prawa naszego bić się potrzeba, co czynić?

Nikomu ta zapowiedź długiej wojny w smak nie była; westchnął każdy, bo go ona z chaty jego wyganiała, odbierała ludzi, spokój, wczas i zmuszała, zamiast pluga i roli, oręzą się imać i konia.

Lecz inaczej już nie można było poczynać. Wici ogniście zwołały kraj i każdy szedł z tym, że nie spocznie, dopóki stare prawo znowu panować nie będzie.

Gdy tak starzy gwarzyli, z gaju sąsiedniego niewiasty i dziewczęta ozwały się chórem i pieśnią postrzyżyn, której wszyscy zamilkłszy, słuchali.

Pieśń to była stara, że ją już teraz pokolenia młode nie bardzo zrozumieć mogły; wspominała o bóstwach zapomnianych i ofiarach, których już czynić nie umiano. Wzywała słońca jasnego, aby promień szczęśliwy zesała na głowę chłopca, rosy, aby go oblała i rość mu pomogła, wody, aby go napoiła życiem i męstwem, ziemi, aby w niego wlała ducha, aby rosnął, jak dąb, świecił, jak gwiazda, jak orzeł padał na wrogów... Precz potem odżegnano duchy czarne, uroki i złe wszelkie od niego; wołając: Łado! Łado! — klaskano w ręce, a matka przyniosła, uwity wedle zwyczaju, wianek z ziół, dających zdrowie i szczęście, i włożyła na głowę postrzyżonemu. Spleciony on był z dziewięciosiłu, smlotu dziewanny, rosiczki, wrotycza, bylicy i gałązek jemioli.

Zaledwie pierwsza się pieśń skończyła, gdy tuż inne weselsze się poczęły; niewiasty, trzymające się osobno, chórem je zawodziły po kolei.

Na koniec wstał ojciec i ujawszy chłopaka za rękę, wszystkich razem prosił, aby szli z nim na Żalnik, duchy dziadów pozdrowić i ofiarę im (obiata) postawić na mogiłach. Lecz gdy się obejrzano za obcymi, aby im dać w pochodzie miejsce poczesne i szukano ich dokoła, niądzie ich znaleźć nie było można. Znikli, zostawiwszy tylko na stole w izbie podarek dla Ziemowida, krzyżyk świecący, jak złoto.

Więc starszwna niosąc na miseczkach ofiary, udała się w górę na Żalnik.

Niektórzy z gości, kubki z sobą przyniósłszy z napojem, wylewali go na mogiły i niewiasty znowu nadciągnawszy z dala, zaśpiewały pieśń inną.

Tak się ów obrzęd postrzyżyn odbył uroczyście, trwając do nocy samej; coraz nowi goście przybywali do dworu, coraz dla nich zapasy nowe wynoszono z komory... i gwiazdy świeciły na niebie, gdy ostatni z gości, pożegnawszy gospodarza, wrota za sobą zamknął. Znużony Piastun siadł w przedsieni i spoczywał.

W progu stanęła Rzepica, spoglądając ku niemu.

— Raduje się pewnie serce twe — zawołał ojciec do niej — iż los dał synaczkowi naszemu tak piękny życia jego początek, i my, cośmy się ludzi nie spodziewali, mieliśmy więcej, niż kiedykolwiek widział ich nasz dworek.

— Raduje się i niepokoi, panie mój — odpowiedziała niewiasta. — pójdźcie i zajrzyjcie... bodnie, zasieki, komory wszystko puste... Zostało nam chleba i mąki na dni kilka, i... więcej nic!

Gospodarz się uśmiechnął.

— Nie żałujmy, cośmy gościom oddali; stare nasze podanie mówi, iż się to powraca z nawiązką, byle wojna przeszła!...

Spojrzeli oboje; na wieży u Gopła płonął ogień, a w dolinie widać było obozowiska porozbijane, jak okiem zajrzeć i cienie ludzi, co się przy stosach migali.

## IX

My cofnąć się nieco z powieścią musimy.

W tym miejscu, gdzie się na ostrów Lednicę przeprawiali pielgrzymi do chramu idący, na wzgórzu nad jeziorem stało chat kilka, między którymi najprzedniejszą była chałupa zduna Mirsza.

Zduna i jego chatę znano naokół daleko, bo ludzie się nigdzie nie zaopatrywali w garnki, misy, popielnice i wszelki sprzęt gliniany, tylko u starego Mirsza. Ojciec



jego, dziad i pradziad garnki lepili, toczyli je i wypalali, szczególnie ofiarne, i wiedzieli, jak to czynić, albowiem pradziad pradziada z tą umiejętnością tu przywędrował i jeden w drugiego cały ród zdunami byli wszyscy. A że się ich rozrodziło wielu, a nie mógł żaden nie być zdunem, bo mieli upodobanie i poszanowanie dla rzemiosła swego, rozsiedli się więc Mirszowie po okolicy, gdzie lepszą glinę znaleźli i żyli z gliny i ze swej sztuki.


Głową rozrodzonej już rodziny był stary Mirsz. Człek był tak zamożny, jak niejeden kmieć, a mówiono o nim, że mógłby był dawno garnki przestać lepić i kręcić, bo miał z czego żyć pod dostatkiem. Stary jednak swojego rzemiosła nie rzucił, bo je lubił i pysznił się z niego. W piecu u niego, to w jednym, to w drugim paliło się zawsze, a nie było dnia, ażeby Mirsz nie siadł u koła i coś nie robił.

Oprócz chałupy, w której mieszkał, z komorami dobra i dostatku wszelkiego, miał Mirsz szopę wielką. Do tej kto wszedł, wydziwić się nie mógł, jaki tam był dostatek wszystkiego i porządek piękny. Szopa była, prawda, z chróstu pleciona a gliną tylko poobielana, ale w środku miała, jak w chacie, ubity mocno, a do słupów wszędzie były przymocowane dzbany, garnki, krużki, czasze, misy wszelkiego rozmiaru, miseczki drobne i gąski, ptaszki gliniane a kulki dla zabawy dzieci. Wszystko to, począwszy od czarnych do malowanych żółto i biało, było na oczach kupującego, tak że sobie mógł, co chciał, wybierać.

Wiedziano o tym dobrze, że Mirsz pękniętego garnka na półce nigdy nie postawił, ani go komu sprzedał. Próbował go sam, a jeśli mu się jak należy nie odzywał i nie zakadał wesoło, zaraz go na kupę ciskał. I była łupin takich zaraz przy piecu góra wielka, bo na nią dziadowie jeszcze tak samo rzucali, co pieca nie wytrzymawszy, z rwsą z niego wyszło.

Wiedział Mirsz, jak i dla kogo robić żale; popielnice i pokrywy ich były do wyboru, a na niektórych

z nich, jak to było zwyczajem na Pomorzu, urabiał twarz niby ludzką i wkładał w oczy sztuki bursztynu, a w uszy kolce kruszcowe. Stary miał rękę bardzo wprawną, a gdy siadł patykiem na miękkiej glinie w koło pas rysować, zdawało się, że i z zamkniętymi oczyma mógł go zrobić, tak mu palce szły same. Trzęsła mu się ręka, gdy siadał, ale w robocie siłę odzyskiwała.

Jak praojcowie zwykli byli na dnie garnków kłaść święty znak ognia  i on też nigdy położyć go nie omieszkował, bo go tu z innych krajów jeszcze przynieśli zdunowie przed wieki.

Doma u niego był syn starszy, co po nim miał wziąć piec i koło, gdyby stary zamknął oczy. Zwał się Mirszem, jak ojciec. Oprócz tego była najmłodsza córka, Mila; starsze już z domu powychodziły.

Żony stary potracił dawno, a miał ich razem dwie, po których już żadnej wziąć nie chciał, choćby mu to było łatwo przyszło, bo w chacie dostatek miał wielki i ze swoimi ludzko się obchodził.

Spojrzawszy nań, zaraz widać było, że człek nie prosty był. Utrzymywali wszyscy, iż znał więcej, niż mówił, a nie tylko garnki lepiał, ale z duchami miał zażyłość i poza ten świat widział.

Przychodzili do niego po radę; wówczas miał obyczaj swój, kazał mówić, słuchał, milczał, długo trzeba było czekać, aż co powiedział, a gdy rzekł wreszcie co, to słowem tak krótkim a tak mądrym, że pytać się już więcej nie było potrzeba, tylko to słowo rozpleść i rozgnieść, i dobyć z niego, co mieściło. Często bowiem zdawało się, że mówił nie do rzeczy lub od rzeczy; dopiero później się okazywało, iż mądrość w tym tkwiła wielka a wieszczą.

W dnie świąteczne i powszednie lud, co na Lednicę do chramu ciągnął, zatrzymywał się u tej chaty Mirszowej; często ludzie z daleka nawet tu garnki kupowali, szczególnie dla umarłych.

Było bo w czym wybierać, począwszy od takiego, co z piaskiem był gnieciony, a na pół dłoni gruby, co go dwu ludzi ledwie udźwignęło, aż do takich drobnych, których po kilka w jedną kieszeń lazło lub się za pazuchę chowało.

Czasem, gdy staremu przyszła fantazja, lepił sobie małe naczynka, które się nikomu na nic nie zdały, a tracił nad nimi dnie całe, gładził je a muskał, smarował, drewniakami koło nich dłużał i wypalał je osobno, a potem je nie do szopy stawiał, ale w chacie u siebie i nikomu ich nie dawał. Mówili nawet ludzie, że dzieciniał, bo się nimi czasem bawił, jak dziecko, do ręki je brał, obracał, okurzał, patrzył i uśmiechał się do nich. Ledwie, że nie gadał z nimi. Choć tam sobie z niego szydzono może, on wcale nie zważał na to.

Tego dnia, a było to wprzód, niżeli się miry z kneziem zadarły, jakoś po Kupale, Mirsz odpoczywał u brzegu jeziora pod wierzbą starą.

Drzewo to, niewiadomo dlaczego, z dawna polubił. Wyrosło było wysoko i dosyć cieniste, a u spodu pień mu się pękał wniwecz i rozdzielił na dwoje tak, że w środku między dwiema połowami sięć było można wygodnie. Chodziły gadki, że tam jakieś duchy mieszkają i nocami wietrznymi w tej dziupli głosy dziwne słyszeć się dawały. Mirsz przecie na to nie zważał i siadał w niej dla odpoczynku. Tam sobie córce czasem mleko przynosić kazał, a niekiedy się zdrzemał, głowę spartłszy o drzewo.

Tego też dnia na jezioro patrząc zdun stary siedział tu ręce założywszy spoglądając ku piecowi. Ludzie do czółen ciągnęli mimo i jedni mu głowami kiwali, drudzy tylko popatrzywszy nań, szli sobie dalej. Słońce dopiekało, pszczoły i muchy unosiły się w powietrzu, brzęcząc, wiatr był ucichł, jezioro się wygładziło i świeciło blaskiem takim, że na nie spojrzeć nie było sposobu.

Wtem kilku konnych nadjechało. Stary popatrzał na



nich, bo ciekaw był wszystkiego : ludzi, koni, chmur na niebie i robaczków na piasku. Naturę miał taką.

Jechał kmieć, czeladzi kilkoro go otaczało. Gdy z konia zsiadł, zaraz mu go wzięli, a że czółna w pogotowiu nie było, stał więc i czekał.

Hukano na przewoźnika. Ten jeszcze daleki był od ładu ; podszedł więc kmieć do starego i pozdrowili się.

— Co tu porabiasz, stary ? — spytał przybyły.

— A wy ? — była odpowiedź.

— Ja jadę na Lednicę do chramu.

— Ja i bez chramu duchy mam wszędzie — odparł stary. — Skąd wy, żupanie ?

Młody wędrowiec ręką wskazał na lasy za jezioro.

— Jestem Doman — rzekł.

Stary się nań popatrzał.

— A ja jestem zdun Mirsz — odpowiedział.

Nastąpiło milczenie.

— Wywróciliście też wieżę nad Gopłem i knezia z nią ? — zapytał Mirsz. — Boście, słyszę, wy się na niego, a on na was zawziął ?

— Jeszcze nie — odparł Doman.

— I bez knezia myślicie być ? — mówił stary. — Pszczoły w ulu i dnia bez matki się nie ostoją !

— Pewnie — rzekł Doman. — Jednego wypędzim, a drugiego wybierzemy, aby zgoda była.

— Zgoda ! tak ! — odparł zdun. — Trzeba żebyście ją sobie ulepili. Róbcie, jak ja ; glina się rozpada, a wody domieszawszy, garnek się z niej ulepi. Poszukajcie tej wody !

Zamilczał Doman. Mirsz mruczał.

— Zaczepicie licho, gdy Chwosta ruszycie... Niemców i Pomorców na nas sprowadzi.

— Odpędzimy ich !

— Jak wam pola zniszczą, a mnie garnki wytłuką ! — zaśmiał się zdun i głową potrząsając, patrzył na jezioro.

Wtem i czółten przybył do brzegu, a przewoźnik, pot

otarłszy z czoła, ręką wody zaczerpnął, napił się i legł odpoczywać. Doman już szedł do łodzi.

— Tak to idziecie do chramu obiady? — spytał Mirsz.

— Chcecie, bym u was misek wziął? — rzekł kmieć.

— Ja tego nie potrzebuję, ale wam by się zdało — bąknął Mirsz.

— Aleć ich nie dajecie darmo?

— Czasem — zawołał stary, w ręce klaskając. — Dziś taki dzień, że dam miski; postawcie je przed Niją.

Od pieca ukazał się syn, człek już niemłody. Ruchem rąk nie mówiąc nic, powiedział mu stary, czego chciał i siadł znowu, a po chwili syn wyniósł kilka drobnych miseczek z szopy, które oddał Domanowi.

Znano już naówczas u Polan pieniądze, choć ich nie robiono. Z dawna przywozili je i przynosili tu ci, co po bursztyn przyptywali i przychodzili, idąc wzdłuż tej ziemi od zachodo-południa. Rzymskie, greckie i arabskie pieniążki krążyły między ludźmi. Z Winedy je też tu przywożono. Doman miał przy sobie kilka takich blaszek srebrnych i chciał z nich dać jedną staremu, ale ten ręką odtrącił.

— Postawcie to ode mnie — rzekł i głową skinąwszy, siadł na pniu swoim.

Szedł tedy do łodzi Doman, a przewoźnik do pasa nagi, włosem cały obrosły, westchnąwszy, ujął za wiosło i począwszy coś półgłosem nucić, odbił od brzegu.

W chramie u Niji siedziała pod ogniskiem Dziwa, Tu, mimo dnia spieki, w zewsząd otulonej oponami kontynie ciemnej chłodno było prawie. Ognisko gorzało tylko, aby Znicz nie wygasnął. Dym prosto ponad dach płynął i otworem ulatał.

Na trzech kamieniach siedziały trzy stróżki ognia świętego, dwie uśpione, trzecia czuwająca za nie. Tą trzecią była Dziwa.

Wianek miała na głowie, rozpuszczone kosy, cała w bieli owinięta długą chustą białą, wśród tego mroku sama do jakiegoś niezziemskiego zjawiska była podobną.

W chramie nie było nikogo.

Światelka ognia odbijały się niekiedy na wiszących u szyi bóstwa łańcuchach i ziarnach bursztynu, na ofiarnych kruszczach u ściany świątyni i w tych strasznych czerwonych oczach, które krwawymi blaski pobłyskiwały niekiedy.

Dziewczyna siedziała nieruchoma i zadumana, gdy zasłona się podniosła powoli; obróciła ku niej oczy, spojrziała, krzyknęła i upadła na ziemię. U wnijscia stał Doman którego ona zabiła! Zdawało się jej, że wilkołakiem czy upiorem na świat powracał.

Uspione towarzyszki zerwały się z siedzeń swoich, nie mogąc rychło oprzytomnić, aż tuż Doman podbiegłszy, z ziemi ją podnosił, wzięwszy na ręce.

Dziwa otworzyła oczy i zamknęła je natychmiast przeżazona, rękami usiłując go odepchnąć od siebie. Wiedziała teraz dobrze, że duchem nie był; ale ją trwoga ogarniała, aby nawet u ołtarza zemsty nie szukał.

Doman na krzyk jej rozpaczliwy cofnął się i stanął z dala. Chwilę trwało milczenie, dziewczki przyrzuciły pośpiesznie luczywo, ogień zaczął płonąć jaśniej. Dziwa z trwogą ciągle patrzyła na stojącego u wchodu Domana.

— Nie obawiaj się — rzekł — nie uczynię ci nic złego; zemsty nie szukam. Chciałem widzieć ciebie i pokazać, że żyję. Po to tu przyszedłem tylko.

— Wynijdź, proszę — odpowiedziała, wstając, dziewczyna, której przytomność powróciła. — Wyjdę za chram, powiem wam wszystko; ja nie jestem winna.

Posłuszny Doman cofnął się, zasłona spadła. Dziwa siedziała chwilę, dłonią czoła potarła, poszła się napić wody do świętego źródła, poprawiła wianek i włosy, zwolna uchyliła oponę i wyszła.

Opodał za dwoma tynami malowanymi Doman czekał na nią, stojąc u kręgu kamieni. Zdała go zobaczyła; blady był jeszcze, ale w oczach mu już dawne życie świeciło. Powoli, z obawą zbliżyła się ku niemu dziewczyna.



— Możecie zabić mnie zaraz, tu — odezwała się — tak, jak ja chciałam was tam zabić; bronić się nie będę. Porwać się dać i żyć z wami nie mogłam. Dawno w dzieciństwie ślubowałam bogom i duchom.

Patrzył na nią Doman smutnie; znajdował ją teraz piękniejszą jeszcze, niż dawniej była.

— Dziwo — rzekł — życie to takie, jak śmierć, a bogi i duchy...

Nie śmiał dokończyć.

— Co po życiu bez ludzi? — dodał pomilczawszy. — U mnie byście znaleźli inne, dom swój, rodzinę, obronę i wszystkiego dostatek... Któż by wam bronił u źródła ofiary czynić albo na rozdrożu u świętych kamieni z duchami rozmawiać?

— Duchy są zazdrosne, jak ludzie — odezwała się Dziwa, ciekawie, nieśmiało wpatrując się w Domana. — Duchom i ludziom razem służyć nie można. Wianek mój do nich należy.

Chciał się kmieć przybliżyć nieco do niej, ona się cofnęła, ale z oka go nie spuszczała. Człowiek ten, którego ona zabiła, a który żył, obudzał w niej dziwne uczucie: żal, litość i obawę.

— Nie miejcie do mnie żalu — mówiła. — Ja sama nie wiedziałam, com czyniła, a bronić się musiałam. Jeżeli zemsty chcecie za krew waszą, weźmijcie miecz i zabijcie mnie tak, abym się nie męczyła, a odpuście braci mojej i rodowi mojemu. Ja się umierać nie boję — dodała — z duchami pójdę błądzić po wiecznie zielonych lasach i łąkach i pieśni zawodzić.

Doman ramionami ruszył.

— Dziwo — rzekł, — gdzież bym ja was chciał zabić! prędzej drugi raz ważyłbym się porwać, choć z chramu i dał pokaleczyć, byle bym pochwycił.

Dziewczę, potrząsając głową, zarumieniło się mocno.

— Nie może to być — szepnęła cicho, — nie może.

— Żal mi cię — ciągnął Doman, — ja do żadnej innej nie mam serca. Próbowałem siostrę waszą widzieć,

podkradłem się pod zagrodę, gdy do trzody wychodziła; hoża jest, ale takich po świecie wiele. Co mi po nich?

Gdy tak mówił, Dziwa ciągle przypatrywała mu się ciekawie i powtarzała, jakby bez myśli:

— Nie może to być! Nie może!

Gdy tak rozmawiali z sobą, on się skarżył, ona niby słuchać nie chciała, w sercu jej zrobiło się tak dziwnie, jak nigdy nie było. Coś ją ciągnęło do tego człowieka; może to, że go zabiła? Sama nie wiedziała, co się z nią stało, a ulękała się w sercu zemsty duchów zazdrosnych. Mimo tej trwogi, ciągnęło ją ku niemu, ciągnęły oczy siwe Domana i usta i głos i ta dobroć jego, przez którą się zemsty wyrzekał.

Zarumieniała się mocno, spuściła oczy, rada by była uciekać, a nie mogła. Coś ją trzymało wkułą do ziemi, on wciąż oczyma czarował. Trwoga zaczynała ją ogarniać coraz większa, głos postradała.

— Idźcie, proszę — ozwała się z wysiłkiem wielkim, głosem stłumionym — idźcie i nie powracajcie!

— A gdybym wrócił? — zamruczał Doman.

Dziwa oczy spuściła i zmilczała.

— Sama mówisz — dodał, — że ja mam prawo wziąć ci życie, prawo zemsty i krwi. Miałem prawo do pomsty na braciach, na domu, na rodzie całym, a nie chciałem go.

— Zabijcie mnie! — powtórzyła Dziwa spokojnie.

— Szkoda by was było — rzekł Doman śmiejąc się — nie! nie! Lecz gdy powrócę, gdy poproszę, toć mi na was popatrzeć będzie wolno...

Zarumieniała się mocno dziewczyna, zadrzała, fartuszek biały podniosła do twarzy, zasłoniła się nim, rzuciła nagle między tyny i jak strzała do ognia pobiegła.

Doman stał, zerwał liści kilka z drzewa, wziął je w usta, gryźć zaczął zadumany, zakręcił się, stanął, powrócił i poszedł błędzić po ostrowie.

Siwowłosa stróżka wskazała mu chatę Wizuna. Stary siedział na progu i karmił gołębie, które do niego

zlatywały. Postrzegłszy Domana, zerwał się z rzeźwością młodzieńczą, ręce mu otwierając.

— Przecież cię dziewczka nie zabiła! — zawołał — wiedziałem ja to dobrze!

Śmiejąc się Doman rozpiął suknię, rozgarnął koszulę i pokazał mu szeroką, straszną jeszcze bliznę.

— A przekłeta wilczyca! — rzekł stary, ściskając go. — Tyle miała siły. Wiesz, że ona tu jest? Czy zemsty szukasz?

— Widziałem ją — rzekł chłopak, — mówiłem z nią, a zemsty nie żądam. Dziewka mi i teraz w głowie. choć mnie nie chce. Mówi, że duchom ślubowała.

Wizun głową potrząsnął.

— Trzeba ci inną wziąć, o tej zapomnisz... Porwać jej stąd się nie godzi — mówił stary, — wszystkie one jednakowe, kwitnie to, póki młode, a na starość kole. Weź inną, weź inną! Niewiasty ci potrzeba, bo bez niej nie wyżyje człek.

— Mój ojczy — odparł Doman — nie łaj mnie. Inne mi nie do smaku.

Wizun ręką gwałtownie potrząsnął.

— Spróbujże wziąć inną — rzekł, — zobaczysz. Młodość ma takie chęci, ale one wystygają prędko. Dopóty za tą tęsknisz, póki innej nie weźmiesz.

Tak się poczęła rozmowa ze starym, który ciągle do swojego wracał, ściskając dawnego wychowanka. Godzinę siedzieli u chaty, chodzili po ostrowie, jeden się skarżył, drugi zawsze toż samo lekarstwo podawał. Rozeszli się wreszcie. Doman siadł do łodzi i na ląd powrócił.

Stary Mirsz siedział jeszcze w swej wierzbie. Zobaczywszy powracającego, zadziwił się, że tak prędko nazad przybywał. Doman wysiadł, gryząc liście, które był zerwał na wyspie, ale weselszy był. Przybliżył się znowu do starego.

— Hej! stary zdunie — zawołał — gdybyście też mi dali co zjeść a przenocować?



— Jak odmówić? — rzekł stary. — Choćbyś kmieciem czy żupanem nie był, na to chata, aby gościom się otwierała. Chodźcie.

I wstał.

Właśnie w chacie wieczerzę podawać miano i córka Mirszowa ku ojcu wyglądała, gdy oczy Doman na nią padły. Dziewczę było wypieszczone, bo ani około roli bardzo, ani około gospodarstwa nie chodziło; lubiła się stroić, bo wiedziała, że była piękną, szyła ręczniki niemi krasnymi i czasem kądziółkę przędła.

Oczy kmiecia i zdunównej spotkały się jakoś tak, że oboje poczerwienieli. Jej się podobał żupan czy kmieć, który pańsko wyglądał, on pomyślał, że dziewczka była ładna; a nuż by mu, jak Wizun radził, za lekarstwo posłużyła?

Weszli ze starym do chaty, gdzie ich stół, biało nakryty, czekał. Miła służyła sama, nosiła misy i kubki, a ile razy weszła, spojrziała na żupana i on też na nią. Raz nawet w uśmiechu z za różowych ustek białe zabki pokazała. A była i na co dzień zdunówna strojną; srebrne pierścionki na wszystkich palcach, niektóre z oczkami, pod szyją miała guz ogromny, złocisty, we włosach szpilki, kolce w uszach, kolce na rękach, wianek na głowie, a na ustach śmiech i pustotę.

— Gdybym tę był wprzód spotkał, — myślał, patrząc na nią Doman, — może bym ją sobie wziął!

Jedli tedy a rozmawiali. Gdy misek już przynosić ani zabierać nie było potrzeba, młoda gospodyni, uchylwszy trochę drzwi z komory, patrzyła niby ukradkiem, czy ojciec jej nie zawoła, a w istocie coraz to na młodego żupana z ukosa spoglądała.

— Wziąłbyś mnie sobie — mówiły figlarne oczy, — ja bym się niebardzo broniła.

Mrok już spadł szary i gęsty, gdy Doman poszedł do szopy na posłanie. Mirsz stary córkę wywołał z komory i pogroził jej palcem.

— Ty, dziecisko jakaś — rzekł surowo, — co ty

oczyma strzelasz na takich ludzi? On nie z takich, co garnki robią, ale z tych, co je tłuką; tobie do niego nic.

— Nie patrzałam!

— Patrzałaś! Tobie co po nim? U niego takich, jak ty, doma pewnie ze sześć do wyboru; czy chcesz siódmą być?

Bystrymi oczyma Mila spojrziała na ojca; groził jej ciągle.

— Jutro rano, gdy będzie odjeżdżał, żebyś mi się nie pokazywała! — dodał. — Pamiętaj!

Poszli spać. Nazajutrz Doman wstał rano, konie stały w pogotowiu, usiadł na ławie.

— Coś mi się pod skwar jechać nie chce — rzekł chmurno.

— Poczekajcie do jesieni, przyjdą chłody — odparł zdun, — ja wam nie bronię.

Nic nie odpowiedziawszy kmieć powłókł się nad jezioro. Czółna stały u brzegu, kazał się na ostrów wieźć, pojechał do chramu.

Mila, widząc go wychodzącego, pobiegła pod tyn, spojrziała przez szpary i na pół się zgiąwszy, aby jej nie widziano, śledziła go oczyma. Ojciec to widział, zżymnął się, zmilczał. Czółno odbiło od brzegu.

W kontynie siedziała Dziwa i na ogień patrzała, ale w oczach od wczora jakoś się jej majaczyło dziwnie; nie widziała nic oprócz jakichś ciemności i iskier. Ludzi pełno było w chramie i szmer w nim panował głuchy. Stary guślarz wróżył i przyjmował ofiary, siwowłosa stróżka odczyniała czary, rozdawała ziele.

Uchyliła się opona. Doman znowu stanął przed nią. Zarumieniła się Dziwa, wstrząsła cała, w drugą stronę odwróciła oczy i siedziała nieruchoma, patrząc na ognisko. Doman stał a stał przed nią, sparł się o słup, rozglądał się po chramie.

Pomyślała dziewczyna, że mu koniecznie powiedzieć było potrzeba, aby precz szedł sobie; wstała tedy z ka-

mienia, wysunęła się drugą stroną chramu, aby się z nim nie spotkać u wyjścia.

Między tymi nagle stanął przed nią. Nie było tu nikogo, oprócz ich dwojga; chłopak pochwycił ją silnie rękami i w twarz pocałował. Dziwa krzyknęła, zasłaniając oczy, ale go już nie było, gdy je odkryła. Uciekł.

Gniewna bardzo powróciła nazad do chramu. Obmyła się wodą ze źródła świętego, ale twarz jak ogniem ją paliła, a im myła dłużej, tym paliło mocniej. Aż się jej na łzy zebrało i płakać gorzko poczęła.

— O doloż ty moja — o dolo!

Spojrzała na czarny posąg Nijoly; czerwone jej oczy gniewnie w nią były wlepione. Zdawały się pałać zemstą. Ogień przygasał, rzuciła się go podsycić. Z chramu się rozchodzili ludzie, nucąc pieśni o Ładzie i Nii, śpiewy rozlegały się po jeziorze i zaroślach, dziwnie brzmiąc smutno.

Dziwa też wyszła i śpiewać zaczęła, sama nie wiedząc co — ot, jakąś dawną w dzieciństwie słyszaną piosenkę.

Z za drzew widać było chodzącego Domana, który z dala się kręcił między gromadkami ludzi, zrywał liście, gryzł je i rzucał. Potem położył się na trawie, pół drzemał, na pół czuwał. Nie wiedział, co robić z sobą.

Wizun, który się między gromadami przechadzał, nadszedł i stanął nad nim.

— Ty tu jeszcze? — spytał.

— Sam nie wiem, jak się przywlokłem — rzekł Doman.

— Gdzieżeś nocował?

— U zduna, który ma dziewczkę ładną.

— Weźże ją, a nie chodź darmo około tej, która cię nie chce.

— Nie zechce może i tamta!

— Zdunowa dziewczyna, żupana? — rozśmiał się stary Wizun.

— Oto wieczór bliski — dodał. — wracaj nazad do Mirsza, tak lepiej.



Doman ziewnął, przeciągnął się, wstał, posłuchał, siadł do czołna i popłynął, a po drodze myślał.

— Stary zna co robić trzeba; lepiej oszaleć, jak się truć.

Gdy czołno przybiło do brzegu, stary Mirsz siedział w swej wierzbie; wychylił się z niej.

— Przez cały biały dzień nie jadłem nic, prócz liści, jak koń — odezwał się Doman, — głodny jestem, jak pies. Ojcie, ulitujcie się jeszcze dziś; dam wam skórę niedźwiedzia na posłanie, będziecie po kneziowsku na niej odpoczywać.

— Skóry mi nie trzeba, siano lepsze — rzekł stary, — a do chaty chodźcie.

Wskazał ręką drzwi. Mila z dala poznała czołno i przybywającego; klasnęła w ręce, poprawiła rucianego wianuszką, przeglądając się w cebrze wody; pierś się jej podnosiła.

— Ojciec mówi, że ich ma szyć! — poczęła w duchu mówić do siebie, — co mi tam? Będzie musiał mnie najlepiej miłować. Powypedzam wszystkie. Czym nie młoda? czym nie hoża? Hej! na koniu przy nim, kołpaczek czarny, łańcuszki na rękę — krzno na ramionach, to ja pani żupanowa!

— Jak popatrzę na niego... jak popatrzę, to mnie musi wziąć. Hej, dziewanno, krasopani... A! gdybym lubczyk miała, to bym mu dała w miodzie, ażeby snu i jadła pozbył, póki by mnie sobie nie wziął.

Wzdychała jeszcze, gdy tuż za drzwiami, za chatą śpiew się dał słyszeć jękliwy. Wyrzała okienkiem. Drogą od brzegów szła, zataczając się, podśpiewując, stara Jaruha. — wiedźma, co znała i lubczyki, i grabki, i wszelkie miłosne tajemnice. Komu kogo chciała, temu go dała. Duchy ją umwślnie tu niosły.

Skoczyła Mila co prędzej drzwiami tylnymi, palcami ją wabiac ku sobie.

— E! e! — zawołała Jaruha — toż już dola, kiedy hożej zdunównie jestem potrzebna!

I pośpieszyła do płota. Mila stała na przełazie, fartuszek trzymając przy ustach.

— Matuniu Jaruho — szepnęła — ty znasz wszystko... nieprawda?

— Oj! oj! czemu by nie? — przyglądając się jej, poczęła stara. — Gołąbko ty moja! Znam wszystko. a nawet i to, że ci się hożego, jak ty, chłopca chce.

Mila się zaczerwieniła, pochylając aż do ucha Jaruhy.

— Daj mi lubczyku... dam, co chcesz!

— Tobie! — rozśmiała się stara. — Taż ty sama jesteś lubczykiem; kto by ciebie nie miłował, choćby kneziem był, ślepym by musiał być chyba.

— Lubczyku mi daj, matuniu! — powtarzała gorączkowo Mila, odpinając srebrny guz od koszuli i rzucając go starej na ręce.

Jaruha się zadumała, czoło się jej namarszczyło; powoli ściągnęła torbę z pleców, siadła na ziemi u przełazu, poczęła z węzełków dobywać ziół i pęki korzonków.

Mila, drżąc i bojaźliwie oglądając się dokoła, czekała. Uschłe jakieś ziółko Jaruha wsunęła jej do ręki!...

— Zetrzyj na proszek, daj mu pić... a gdy pić będzie, patrz mu w oczy, ani mrugnij. Jak mrugniesz... przepadło!

Roześmiała się głośno.

Mili już nie było; pobiegła do chaty, w niecierpliwych dłoniach starła na proch ziele, rzuciła je do kubka dla gościa.

Ojciec wołał o wieczerze, zwinęła się żywo.

Doman siedział zamyślony, jak noc, na obu rękach oparty, aż go oczyma obudzić musiała ze snu. Chlebem się łamali, mięso na stole stało. Ojciec miód nalewał.

— Choćby się ojciec pogniewał! — pomyślała, — a choćby uderzył — rzekła w duchu.

Chwyliła kubek nagotowany, prędko weń miodu nalała i sama go podała Domanowi, patrząc mu w oczy. przyjął go, począł pić. Mila z sercem bijącym patrzyła

nań, nie mrugnęła, czuła, jak ojciec groźnie na nią spoglądał. Wypił.

Kraśna, jak wiśnia, pobiegła do komory.

— Teraz on mój! on mój! — wołała i tylko że nie plasnęła w ręce. — Jaruha wszystko zna!

Stary zdun nierozmowny był dnia tego; jedli cicho. Nad wieczór burza się z wichrem zerwała straszna. W jezioro pioruny biły jeden po drugim, a deszcz lał strumieniami. Doman poszedł spać do szopy. Szalało na niebie do północy, a ludzie, jak to zwykle bywa w burze, kamiennym snem spali.

Pod okienko pod chatą ktoś podszedł nieznacznie; okienniczka była odsunięta, sparł się o ścianę, głowę pochylił, ktoś wyjrzał ku niemu. Szeptali, ale wiatr był i nic slyszeć nie dawał, szeptali długo, prawie do dnia — kto może wiedzieć, co radzili, i co uradzili.

Na samym końcu głos z okienka się odezwał:

— Swaty trzeba słać, ojca trzeba prosić, inaczej nie pójde z domu, nie pójde inaczej!

Rano po deszczu i burzy oślizło po drogach, kałuże stały wielkie, ze strzech ciekło, strumienie wezbrane biegły do jeziora, po niebie wałęsały się chmury białe górą, szare dołem. Zbierało się na pluchę, słońce piekło, choć go widać nie było.

— Ojczy Mirszu, ja dziś do domu nie pójde; drogi grząskie, koń się ślizga.

— Czekaście do zimy — odparł stary, — jak mróz schwyci, będzie sucho.

Doman został. Siadł nad jeziorem i dumał. Miła przez tyn wyglądała, stary Mirsz w wierzbie coś mrucał. Nad wieczorem podszedł kmieć ku niemu.

— Ojczy stary — rzekł, gdybyście mi swatów nie odpędzili z grochem, tobym wam ich przysłał.

— A wiele żon masz? — zapytał stary.

— Żadnej.

Mirsz nań popatrzał.

— Córka moja pieszczona, biała, godna i żupana; na



żonę ci dam, inaczej nie. Ślijcie swaty uroczyste, po obyczajuj starym.

Doman się skłonił.

— Do domu jadę, družby uproszę. Zgoda, stary gospodarzu.

Zmierzchno dobrze, gdy się ta rozmowa toczyła. Doman coś nucił poczynął, na duszy mu było weselej i myślał:

— Hej, Wizunie stary, będzieli to lek, czy trucizna? Inną biorę, a o innej myślę, gdzie indziej swaty, a serce gdzie indziej!

Wtem stary Mirsz ukazał na bory.

Nad borami, nad lasami gorzały łuny, jedna, dwie, dziesięć na wsze strony. Doman spojrział i krzyknął:

— Ogniste wici!

Ruszyło się, co żyło, a Doman w podwórku nieopstrzeżony skoczył pod okienko komory i zapukał.

— Dziewczyno! malino! bywajże mi zdrowa! Ogniste wici na górach płoną, na wojnę muszę. Jak z wojny powrócę, to ci przyślę swaty. Ojcum się kłaniał i prosił... będziesz moja!

W okienku śmiech czy płacz dał się słyszeć; może razem oboje?

— O miły mój, miły, sokole jedyny! Wróc mi cały z wojny. W oknie siedzieć będę, w niebo patrzeć i płakać, póki z wojny nie wrócisz, póki swaty nie przyjadą.

— Na koń! — krzyczał Doman do czeladzi — na koń! Bądź zdrow, gospodarzu, dziękujemy za gościnę; nie czas odpoczywać, gdy ogniste wici płoną. Zdrowi bywajcie wszyscy!

Zatętniało, zaszumiało, ruszyli cwałem, a przed chatką stał Mirsz stary i patrzył na łuny, stała Miła z rękami załamany i płakała, coraz to fartuszkiem ocierając łzy. A z za łez widać było uśmieszek i serce biło, biło, biło...

— Powróci! powróci! swaty przyjadą. Moim być musi!

Na wieży, na wierzchołku stała pani blada, patrzała dokoła; wieczór był, ten sam wieczór, którego zapalono wici ogniste. Jeszcze na zachodzie słońce po sobie zostawiło czerwoną lunę, dokoła lasy i doliny spać się zdawały.

Kneź za nią oparty o mur poglądał na gród pod nogami, na chodzących po wałach ludzi, na smerdów, co sprawiali drużynę grodową, na jezioro, w którym daleko luna się niebieska odbijała. Nie widać jeszcze było nic... nic...

Poza kneżną stało dwoje chłopaków prawie równych wzrostem. Widać było, spojrzawszy na nich, że z obcego przybyli kraju. Suknie mieli z sukna cienkiego i inaczey szyte, obuwie ciężkie i mocne, u boku każdy po mieczu długim. W oczach im się jeszcze śmiała młodość i życie, ale dziko jakoś i zwierzęco. Na wojaków wyglądali, choć młodzi, na drapieźnych i chciwych łupu wojaków.

Właśnie tego dnia rano, gdy u wrót kładziono zaborole, nadjechali dwaj chłopcy, przebrani w proste gunie, na nędznych komiach i do zamku się prosili. Tu ich puścić nie chciano, aż wyszedł stary smerda, popatrzył, krzyknął i kazał kłody odwalać, a prowadził ich do wnętrza zdyszany, radując się i łamiąc ręce.

Wwiódł chłopaków do świetlicy. Kneź leżał na ławie, bo tej nocy, po gościnie u Piasta spać nie mógł. Zerwał się mrużąc, spojrzął; chłopcy mu u nóg leżeli i za kolana ściskali. W dłonie plasnął z przestraczem.

— Kto was tu wysłał w tę godzinę? — zawołał.

Nim mieli czas odpowiedzieć, otwarły się drzwi i wpadła biała pani z krzykiem, ze łzami, z radością i rozpaczą.

— Dzieci moje! po coście przybyli!...

Stały chłopięta nieme, jeden na drugiego patrząc.

— Stęskniło się za światem żyć — rzekł starszy, — dziad pozwolił jechać; siedliśmy na konie i jechali nocą. lasami manowcami, aż tu, aby wam ucisnąć nogi...

— A tu wojna u progu! — zakrzyknęła pani. — O! dzieci moje! kto wie, co się stanie z nami; niechbyście się choć wy przy życiu zostali... Po mirach wszędzie chodzi burza, na gród się ludzie gotują...

Łamała ręce kneźna, a Chwostek mruzczał.

— Nie będą śmieli! Poburzą się, pokrzyczą... na rozmowę przyjdą i zgodę zrobimy... a potem tych, co głowę podnosili...

Ręką pokazał do góry.

— Na dęby!

Stało się na zamku wesele właśnie, gdy najgroźniejsza nadeszła godzina. Cały dzień musieli poić się pociechą, strachem zatrutą. Ledwie śmiech przyszedł na usta, trwoga go odpędzała. Słano chyłkiem na zwiady ludzi, którzy co godzina wracali.

— Co słyhać? — pytał Chwostek.

— Coście widzieli? — pytała biała pani.

Smerdy się po głowach skrobały.

— Groźby chodzą po polu... po dworach się gotują, po chatach zbierają... kmiecie mruczą, Myszkowie od zagrody do zagrody biegają.

Powrócił drugi około południa, prawil toż samo, trzeci nad wieczorem i oznajmił, że na noc przyjdą wici ogniste.

Chwostek się rozsierdził i do wieży go zamknąć kazał.

— Łże niepocciwy, kmiecie go przekupili... Nie będą śmieli wici ognistych zapalić... a zapalą je... ja na wieży stos każę zażegnać, bo się ich nie boję.

Kneźna padła mu do nóg.

— Panie miłościwy! Dzieci nazad odprawcie, niech jadą. Dać im czółen, odprawić daleko... niech jadą do dziada i burzę przesiedzą; kto wie, co nas od tej czerni czeka...



Płakała i prosiła. Chwostek się gniewał. Odłożono wyprawę do wieczora.

Stali teraz wszyscy na wieży i czekali, a patrzyli, ukazą się li wici ogniste. Chłopcy między sobą szeptali:

— Niechby wojna była! Uprosimy ojca, matki, zostaniemy z nimi i krwi się kmiecej napijemy. Niech znają, jak u Sasów wojują!...

Nad lasami, dolinami cisza była i ciemności; patrzyli z wieży. Tylko zorza po słońcu powoli gasła i w jeziorze odbłask jej blednął. Chwostek powtarzał:

— Czerń plugawa!... nie będą śmieli!

Wtem nad lasy, nad dolinami zarumieniło się coś na chmurze, która górą płynęła, trysła, jakby plama krwi-sta... i znikła... kłębamii buchnął dym czerwony, a za nim płomień żółte wspięło się wysoko. Pierwszy stos zapalono...

Biała pani zbladła i oczy zakryła.

— Pastuchy ogień z chróstu zapalili... — rzekł kneź i śmiać się począł.

Wtem chłopcy krzyczeć zaczęli:

— O! jeden, drugi, trzeci...

Stosy z kolei zapalały się po górach, ogniste łuny odbijały się na obłoczkach. Cały kraj usiany był dokoła wiciami. Chwostek się ruszył i krzyknął:

— Stos zapalić! niech znają, że ich się nie zląknę!...

Na kamieniach u góry leżała ogromna kupa łuczywa, pachołki wnet z węglami i żagwiami przybiegli, zapalono je. Chwostek się uśmiechnął. Biała pani nie mówiła nic, skinęła na chłopców i poczęła schodzić z wieży. Dzieci szły za nią posłuszne.

Chwostek się obejrzał ponuro z wieży na świat i począł też spuszczać się na dół do dworu.

Tu w świetlicy Brunhilda chodziła krokami wielkimi. Na to nadszedł Chwostek.

— Czemu zostać nie mają? — zawołał. — Chcesz ich teraz wyprawić, aby ich pochwyliła czerń i zadała im śmierć? Nie, bezpieczniejsi oni tu w grodzie, niż w polu!

Dzieci rzuciły się matce do nóg, aby im pozwoliła zostać. Noga tupnęła, brew się jej namarszczyła.

— Nie — rzekła, — nie, pytałam się dziś wróżki, patrzałam na powietrzne znaki, wszystko złe nam zapowiada... Sprawdziły się już ognie, którym nikt wierzyć nie chciał, sprawdzi i reszta... Ja więcej wiem... Zginiemy my, nie będzie się komu pomścić.

Chwostek się gniewać począł, rozgniewała żona, oboje niemal skoczyli ku sobie, aż kneź, mrużąc, spuścił głowę, odstąpił i rzekł :

— Dziej się, co chce !

Kneźna kazała się chłopcom do drogi gotować. Muchę zawołano, aby czółen gotował. Zdjęto im suknie pańskie, a dano proste siermięgi, musieli miecze pochować. Oby im z oczu ciekły łzy, ale matka kazała.

Chwostek poszedł milczący i synów do piersi przycisnął.

— Niech zostaną choć do jutra...

— Nie, nie... ani godziny ! Jutro cała okolica zatętni, zaczną ciągnąć... gromady gród opaszą, brzegi jeziora obsadzą...

I załamała ręce.

Oba chłopcy milczeli, łzy im ciekły po twarzy. Chwostek patrzył na nich, mrużąc gniewnie, jak niedźwiedź, gdy go ruszą z łożyska. Biała pani wyszła i wróciła. Głowę zawinęła płachtą, płaszcz prosty zarzuciła na siebie...

— Ja z wami — rzekła — aż do brzegu popłynę... Póki nie siądziecie na konie, ja z wami...

Po jednym wzięła ich za głowy i pocałowała.

Chwost stał milczący. Przez otwarte okno, zewsząd były blaski łun i wpadały do świetlicy.

— Widzicie — odezwała się Brunhilda — to zapowiedź wojny... Jutro może się ona rozpocznie. Gród będzie się bronić... Wezmą dwór i grodzisko, schronimy się na wieżę... miesiąc, dwa, trzy wyżyć możemy... jedźcie do dziada i przybywajcie z odsieczą. Śpieszcie...

Tu głosu jej zabrakło.

— A gdyby nas i dworu, i grodu, i wieży nie stało...  
mścijcie ojca i matkę... mścijcie życie całe na tym ple-  
mieniu jaszczurczym.

Chwostek mruknął.

— Nigdy stołba wziąć nie mogą! Prowadźcie Sasów,  
my wytrzymamy.

Rzucili się synowie jeszcze raz do nóg ojcu, do nóg  
matce, a potem szli posłuszni.

Za kępą u grodziska stał czółen gotowy; Mucha i dru-  
gi silny chłop z wiosłami w nim siedzieli. Brunhilda  
weszła pierwsza, chłopcy skoczyli za nią. Chwostek  
patrzył z brzegu, czółen popłynął...

Jezioro całe od łun się paliło, a łódka po nim mknęła  
czarna i widać ją było zwracającą w zarosłe brzegi, w cień,  
aby się przesliznęła niepostrzeżona. Chwostek oczyma  
potoczył po okolicy długo, pogardliwie i do izby powró-  
cił.

Późno w noc biała pani przybyła nazad, we łzach  
jeszcze po dzieciach; Chwostek już spał. Ona siadła  
u ognia, wpatrzyła się w węgle żarzące i tak nade dniem  
dopiero usnęła.

Nazajutrz rano pytano strażnika na wieży.

— A nie widać tam gromad zbrojnych?

— Nie rusza się nic! nie widać! nic... cicho w koło  
i spokojnie.

Czekali dzień cały, do wieczora, nie widać było nic.  
Kneź powtarzał swoje:

— Nie śmieją!

Noc zesła spokojnie, rankiem strażnik z wieży nie  
zobaczył nic jeszcze. Nadszedł znowu mrok wieczorny,  
cisza panowała w koło. Biała pani chodziła trwożna.  
Chwostek mówił:

— Nie śmieją!

Wtem na stołbie zatrąbiła straż raz, drugi i trzeci. Po-  
chwycili się wszyscy na nogi, czeladź z szop, pacholko-  
wie z legowisk pod okopem, Smerdowie z przyzby na



przedsieniu. Przy brzasku wieczora widać było coś niewyraźnego. Majaczyło pod lasem z jednej i z drugiej strony coś jakby żywego, ogromnego; jak smok dzwigało się zwolna i toczyło po ziemi.

Strażnik znów w róg począł trąbić, ale dech mu zabiła trwoga i sił brakło. Biegli zewsząd ludzie na wały, na drabiny, na dachy.

I kneź z żoną wyszli na przedsienie.

Pod lasem stały gromady, które nagle z niego się wyroily.

— Kmiecie na gród ciągną! — wołali smerdowie, wskazując rękami.

Coraz wyraźniej o wieczornej zorzy dojrzeć było można pod lasem tłumy, które się poruszały, sunęły, powiększały. Las z głębin swych wyrzucał lud na dolinę. Ziemia tętniała. Na prawo, na lewo, na wsze strony sunęły się gromady, ciągnąc bez pośpiechu, uroczyście, powoli. Wśród ciszy chwilami dochodził gwar z daleka, jakby jezioro mrucało. Lecz nie jezioro mrucało, ale gromady dychały i konie stąpały, a na dziedach widać było wpięte wysoko stanice boże, wojenne godło święte.

Gdy stali, a patrzyli Chwostek i żona jego, lica im pobladły, zbieleły niemal, jak tych trupów, które niedawno przez ten sam próg za nogi ze świetlicy wywleczono.

Kneź sobie miodu kazał dać, wypił i kubek precz rzucił na ziemię.

— Ludzie na wały! kto żyw! — zakrzyknął. — Most spalić.

Rzucili się wnet ludzie na wrota, do mostu, niosąc smołę i łuczywo. Podlano palę smołą. Smerda sam na cztery rogi ogień podłożył, a ludzie z mostu uciekać zaczęli do grodu, za zaborole.

Mrok wieczorny już w dali nic widzieć nie dawał, aż się płomień rozpostarło i sycząc dyle poczęło obejmować, a podniosło się i buchnęło do góry. W czerwonych blaskach ukazała się wieża i dwór i cała okolica dale-

ka; strugi ognia popłynęły po jeziorze. W dali nic już widać nie było; cisza w koło, tylko trzask palących się belek i dym czerwony ku obłokom się kłębił wysoko, jak druga wieżyca.

Smerdy kazali most walić kołami, aby się zapadł i obalił prędzej. Z trzaskiem zaczął padać do wody; kłody dymiące, na w pół spalone, sycząc, po falach się toczyły.

Łodzie i czołna od brzegów ściągano do grodu i chowano w okopie. Ruch panował w zamku.

Chwostek, w boki się wzięwszy, patrzył. Czoło mu się marszczyło tylko i usta przeklinały cicho ród jaszczurczy.

Powoli dopalały się pale, ogień przygasał, ciemność po nim wydała się czarniejszą, noc nieprzejrzana. Co się w tych martwych kryło ciemnościach, któż mógł odgadnąć?

Stał długo zdrewniał jakby Chwostek, potem się ruszył nagle, odzyskując życie, na ludzi krzyknął. Począł wydawać rozkazy.

Wtem coś się potoczyło przez podwórze do brzegu; mały człeczek odwiązał czołen-pławiczkę, drobny, jak orzechową łupinę i plusnęło coś, a znikło. Znosek z postrzyżoną głową, z wystrzelonym okiem, leżąc w tej łupinie, nie poruszając nią prawie, rękami wodę rozgarniał zwolna i płynął. Czołenko posuwało się, nie pluszcząc, nie drgając, jakby je spod spodu boginki na barkach niosły.

Ludzie na wałach pokładli się i patrzyli w ciemności. Na wieży straż chodziła i rozglądała się dokoła. Nie widać nic... w górze przeblyskują gwiazdy, u dołu miga jezioro, w głębi stoją lasy czarne i dolina niema. Na niej też leżą mroki; żadnego ogniska, jakby gromady w ziemię gdzieś się zapadły.

Człeczek o jednym oku dobił do brzegu, łupinkę schował w trzciny, wypełził na ląd i nie wrócił.

Tak zeszała noc. Brzask na niebie wschodnim, a po

ziemi mgły się powlokły i nic nie widać, ziemia tylko zdaje się słyszeć i poruszać... Mgła opada nad brzegami jeziora i kryje lasy i pola. Patrzą z wałów we mgły i nic nad nie nie widzą.

Za mgłami na wschodzie czerwieni się i złoci, wiatr poszedł po ziemi, miota leżącą na niej zasloną, drze ją i precz znów rzuca na lasy.

Ludzie patrzą z wałów; mur stoi przed nimi, głowa przy głowie, ramię przy ramieniu, jak piasek u brzegu — tłum... Przodem gromada konna Myszków i kmiecia starszyzna.

Chwostek już na drugie stolowanie w wieży wlaź, stoi, liczy i policzyć nie może. Głową potrząsa.

— Niech postoją... pójdą!

Gdziekolwiek oko zwróci, spotyka znane twarze; tam stoją bracia tych, których pobił, tu synowie tamtych, co ich potopiono w jeziorze, a owi ci, co na zamku z Myszkami byli... czereda ich cała. Stoją murem i patrzą na gród, jakby go oczyma zjeść chcieli.

— Niech się napatrzą! — zamruczał i zszedł powoli z drabiny.

Tu smerdowie pijani lud rozstawiają a serca dodają.

— Hej! hej! to czerń, nie wojaki, licha drużyna od sochy i od radła... motłoch.

Wyszła Brunhilda, spojrziała dokoła, ręce łamie i oczy zakrywa. Chwost się śmieje, ale blady chodzi, jak trup.

Z tamtej strony dziwnie; ani krzyku, ani wołania! Stanęli, stoją, posuwają się tylko, coraz bliżej, coraz bliżej. Jedni na plecach czółna niosą, drudzy u brzegu tratwy wiążą. Z tej strony łuki i proce się sposobią.

Słońce weszło, jasny dzień na niebie. Myszkowie wołają z dala:

— Ot tobie dzień ostatni, Chwoście obrzydły! Pokłoń się słońcu, a pożegnaj, bo go nie zobaczysz więcej!

Kneź nie słucha; siadł na ławie i pije. Łuki naciągają. Na prawo, na lewo czółna się gromadzą, jakby z ziemi wyrosły, ludzie się do nich cisną, tratwy spuścili i płyną;



czółen z czółnem, gąska z gąską powiązane, szeregiem, aż pod wały.

Na okopach leżący lud wstał nagle, huknął okrzyk ze stron obu, aż się ziemia zatrzęsła, stado krucze ze stołbu zerwało się z wrzaskiem i uniosło w obłoki.

Świsnęły strzały. Kamienie posypały się z obu stron. Na dół toczą się głązy i belki, ludzi ciągnąc z sobą do jeziora, a co pluśnie w głębię szereg cały napastników, to na grodzie okrzyk zwycięski.

Padają odepchnięci i cisną się na ich miejsce drudzy, po zabitych drapią się żywi.

— Na wały! na wały!

Smerdy biegają, popychają, krzyczą... Dwa razy odparto napaść, toczy się trzecia gromada, nacisnęła grodową załogę, dusi ją w podwórze i do wrót... Ludzie się w pół pozwierali i mocują...

Chwostek spojrział i zbladł. Do izby wpadł i żonę wyniósł na plecach. Niewiasty płaczące za nią gonią.

— Na drabinę! do wieży!

— Na stołb! na stołb!

Niosą węzły i opony, kto co pochwycił...

— Na wieżę! lud doborny!

Na drabinie się roi czarno, gnie się pod ciężarem ludzi, a wieżyca niesyta chłonie i chłonie uciekające gromady.

Z wrzaskiem strasznym wbiegła w podwórze załoga, z wałów wyparta... Nacisnęli ją ze wszech stron, obronić się nie mogła, trupami usłano drogi, trupem pokryto wały... ciała pływają po jeziorze ze skrwawionymi twarzami.

Kto żyw wspina się na drabinę, a tu już z góry ciągną ją do wnętrza i drzwi zapierają dylami.

Grodzisko opanowali Myszkowie. Co się nawinęło, padło... co oszczepy rzuciło, związane w pęta... Po izbie i komorach rozbiegli się ludzie, zabierać, szukać, wiązać, ale pustkę znaleźli wszędzie.

Kneźna tylko w izbie pozostawiła złoty dzban z mio-

dem zatrutym, ale Myszek pierwszy wpadł do świetlicy, postrzegł go i o podłogę nim cisnął, aż go roztrzaskał w kawały.

Pełen gród zwycięskiego ludu. Czapki podrzucają do góry i wołają :

— Łado !... górą Myszkowie !... Chwost niech sześcnie !

Na wieżę teraz patrzą wszyscy. Ani się przybliżyć do niej. Kto przystąpi, ginie. Kamienie się sypią z góry i gniotą. Ludzie od stołba odstąpili.

Wtem ktoś żagiew do szopy wrzucił, drugi ognia naniecił w malowanym dworze... buchają dymy, świetlice się palą !

— Niech kamień na kamieniu, niech belka na belce nie zostanie... w popiół Pepelków obrócić !

Myszkowie poczęli wołać i otrębywać na swój lud do kupy... Kazano się położyć w podwórzach ; niech dwory i szopy i wszystko do ostatniego płonie węgla.

Na jeden dzień roboty dość, o wieży pomyśleć czas i jutro.

Suche dwory i budynki chyżo objęły płomienie. Jeszcze ludzie z nich nie pośpieli wyratować, co się zostało, gdy ogień obszedł dokoła i obrócił w jedno łożo płomieni i żaru.

Gromada Myszków ze starszyzną radzić poszła. Szli z podwórza na odległy wzgórek. Tu się im okropny widok przedstawił.

Nie głęboko zakopane trupy potrutych stryjów i synowców Chwosta psy powywlekały z ziemi na poły i poszarpane, zdechłszy przy nich, rzuciły. Leżały straszniejsze, niż śmierć, zbezczeszczone i z padłym zwierzem razem zmieszane ! Wzdrygnęły się idący.

— Ostatni z ich rodu ! — zawołał Myszek. — Zglądził ich, aby po nim nie został nikt... oprócz starca Miłosza i ślepego Leszka...

— I dwu jego synów, którzy na Niemcach się hodują ! — dodał drugi.

— Niech tym ciałom za grobowy stos służy zgłiszcze jego domu! — rzekł Myszko.

Zwołano wnet pacholków, aby zebrawszy ciała, zanieśli je, gdzie ogień płonął najgorętszy, by w nim zgorzały, a duchy ich ze skargą do ojców pójść mogły.

— Nieszczęśliwi — mówili ludzie pobożni — po zgonie musieliby się włóczyć po ziemi, ażby ich ciała nie zgnily. Tu stos, jakby naumyślnie zapalony, aby na nim zgorzeć mogli.

Patrzył ze stołbu Chwostek, jak czeladź trupy zebrała i obmywszy je wodą, osłoniwszy sukniami, na noszach wzięta na barki, idąc do stosu. Szli przodem ci, co nieśli zwłoki Mściwoja i Zaboja, potem ich dzieci i przyszedłszy na miejsce, gdzie stała świetlica, na kupę wielką zgarnawszy głównie i żary, poczęli obok siebie składać ciała, rzędem jedno za drugim. Najwyżej leżeli dwaj ojcowie, u stóp ich przy sobie dzieci.

Rozżarzone płomień wnet chwyciło pastwę podaną. Stojąc dokoła pobożnie, patrzyli Myszkowie, jak gorzały zwłoki i na ognistym, krwawym łożu w popiół się obracały. Niebieskie oamiki unosząc się nad nimi, duchy z sobą wyprowadzały.

Nad wieczór pożar począł przyqasać. Gromady położyły się na horodyszczu pod stołbem i spoczywały daleko od wieży, gdyż z niej ciągle strzały. kamienie i belki ciskano, które ludzi, jak słomę, gniotły...

Myszkowie ze starszyzną siedli kołem i radzili.

— Co począć ze stołbem i z nimi? Ogniem ich nie pożyć, bo kamień mu się nie da: siekierami i młotami nie rozwalić grubego muru, ptakiem na wierzch nie zalecieć, myszą się i kretem do niego nie podkopać, bo głęboko w ziemi siedzi... a ma go być tyle drugie pod nią, co na niej...

— Głodem ich jednym weźmiemy ludzi nie tracąc na próżno — rzekł Krwawa-Szyja. — Położym się obozem dokoła. Strawy mają na miesiąc, leżeć będziemy dwa, mają jej na dwa, posiedzim dłużej... póki ich nie wymo-



rzym do szczętu... Im więcej ludzi się zamknęło, tym głód ich prędzej wydusi... Rozpuścimy połowę gromad, dość będzie nas, by im nie dać wyleźć z jamy.

Stało się, jak rzekli: część kmieci ciągnęła do domu, druga się położyła pod wieżą, na grodzie i nad brzegami jeziora. Myszkowie zabierali się do jadła, gdy gromada ludzi wyjechała z bliskiego lasu, stanęła na wzgórzu, rozpatrując się około spalonego grodu i z wolna podjechała ku starszyźnie.

Gdy się zbliżyli, poznano Bumira i innych, którzy z Leszkami trzymali i do ich krwi należeli. Nie poszli oni na ogniste wici, tak samo, jak Miłosz i jego ród.

Bumir, przyjechawszy blisko, z konia nie zsiadł; skinał głową na Krwawą-Szyję.

— Pogorzeliście zrobili z kneziowskiego dworu — rzekł powoli, — a gdzież Pepełek?

Myszko, śmiejąc się na wieżę wskazał; Bumir głową trząsnął.

— Wszystkich Leszków nie wygubicie — odparł, — zostanie nas tu, do rodu należących, potrosze!... Czego od nas chcecie?

— Od was? Abyście siedzieli cicho... i panować nam nie chcieli — rzekł Myszko.

— Cóż to? Stara wilcza swoboda wam w głowie? A Niemców ino nie widać i jednego zrzuciwszy, posadzicie drugiego kneziem.

— A no, nie z waszych! — rzekł Myszko, — Nie z tego rodu, który nas chciał zaprząć i orać nami... Nie!... znajdziemy kmiecia...

Bumir spojrział na wieżę...

— Dobywać stolba myślicie? — zapytał.

— Nie... rzekł sucho Myszko Krwawa-Szyja — posiedzimy pod wieżą, aż wyzdychają z głodu.

Bumir stał na koniu, głowę zwiesiwszy.

— Aby tylko Niemcowie nie przyszli i nie pomścili się za nich — rzekł. Naówczas winny i niewinny odpokutuje... Pójdzie i mój dwór w popiół i wasze pola stracą, a ludzi wam pobiorą w niewolę.

Myszkowie się śmieli.

— Alboż to oszczepów nie mamy? — rzekł młodszy, którego zwano Białym.

— A Sasi żelazo mają na sobie i na strzałach — mówił Bumir; — ich dziesięciu za waszych stu stanie.

— Ależ też ich stu nie przyjdzie tu zza łąby — mówił starszy.

— Pewno nie — zawołał Bumir, — ich dziesięciu zwołają sobie stu Pomorców, albo i dwieście, a tym do nas iść niedaleko...

— Z tymi my na oszczepyśmy równi — mówił Myszko. — Nie boim się pogrózek!

Zamilkli trochę; Krwawa-Szyja podniósł rękę.

— E... Bumir i wy wszyscy Leszkowie — rzekł. — Chcecie pokoju, siedzcież w pokoju, a do naszych spraw nie leżcie. Wojować nie chcecie ze swoim rodem, nie ciągniemy was za szyję... a no, nie wyzywajcie wilka z lasu!... siedzcie spokojnie!

Bumir popatrzył chmurno.

— Ze słowem tu przyszedłem, nie z kamieniem — począł, — nie biję się z wami. Mówię wam tylko — nas Leszków i Leszkowych potomków siła jeszcze. Dziś wy mocniejsi, jutro my być też możemy... Na jednej ziemi siedzimy; warto by mir uczynić, a nie zabijać się na pociechę wrogom!...

— Mir wam dajemy! — rzekł Krwawa-Szyja. — Czego więcej chcecie?

— Puśćcież z wieży tego, co go tu głodem morzyć chcecie — począł Bumir, ciągle z konia mówiąc i ku wieży oczy podnosząc.

Myszko się śmiać począł.

— A dobrze — rzekł, — byle nam oddał tych, co potruł i pozabijał...

To mówiąc, szyję odsłonił i pokazał bliznę.

— I moją krew mi wrócić trzeba!

— A nie dosyć wam tej pomsty, żeście mu zżegli dwór, zniszczyli dostatek, skarby zabrali, ludzi potłukli?...

— Albo to jego krew? — zapytał Myszko Biały, który był do słowa prędki, — to jego mienie, nie pośoka... Nam krwi za krew trzeba...

Bumir zadumał się.

— A jutro powiecie to nam i wszystkim Leszkom po całej polanie naszej!...

— Nie wypowiadamyć wam wojny — mówili drudzy. — Miłosz siedzi z synem spokojny, wam się nie stało nic... Panować nie damy... a żyć nie bronim...

Znowu pomilczeli trochę, gdy zaszumiało coś i zastukało od wieży. Chwostek zasuwał od okna w murze odjął i wołał:

— Bumir! Co ty ze zbójcami rozhovor czynić będziesz? Ze wściekłym zwierzem nie gadać, a bić go w łeb! Weźcie ludzi i przychodźcie nas bronić... Nasza sprawa — wasza...

Myszko podniósł oczy ku miejscu, skąd głos wychodził. Łuk leżał koło niego, chwycił zań, zmierzył, i strzała świsnęła, ale uwięzła w drewnianej zasuwie... i dało się słyszeć z wieży rechotanie, a tuż z okna zaszumiała strzała druga, ogromna, pierzasta i utkwiała w sukni Myszka, który ją wyrwał i odrzucił z pogardą.

— Ród jaszczurczy! — wołał Chwost z góry.

— Psy wściekle! — łajał Myszko.

— Żmije jadowite!...

— Gad przemierzły!...

— Ścierwo i padło!

Takimi wyrazami nawzajem obrzucali się z obu stron.

— Bumir! — zawołał Chwostek głosem schrypłym. — Jedź do domu, zwołaj swoich... ginąć nam nie dajcie, bo i was ta czerń plugawa wygubi!

Zawrócił się z koniem przybyły. Myszko nań patrzył, nie spuszczać go z oczów.

— Słuchajcie rady Chwostka, albo mojej — rzekł — czyja lepsza, do woli. My wam jedno powiemy pod kłębem, pod świętą.



To mówiąc, ziemi garść pochwycił w dłoń i podniósł ją do góry.

— Pod klątwą mówię ci, Bumirze: jeśli ruszycie się w obronie Chwostka, jeżeli z was jeden wstanie, nie zostawimy duszy żywej... Pamiętajcie!

Bumir i ci, co mu milczący towarzyszyli, spojrzeli ku stołbowi, skąd niewyraźnie głosy i wołanie słychać było, z wolna zwrócili konie i stępią odjechali, Myszko-  
wie spokojnie patrzyli za nimi.

Kto by na wieżę naówczas wszedł do ciasnego jej wnętrza, przestraszyć by się musiał tym, co się już tego dnia działo.

Na dole ściśnięty był lud, czeladź, pachołki, niewolnicy, których na obronę wzięto. Miejsca dla nich było szczupło, zaduch panował wielki, a strach ogarniał czeladź, która mruczała, narzekając, że lepiej by poszła w niewolę, niżby tu tak marnie ginąć miała. Nad niesforną tą kupą stali smerdowie z kijami i nakazywali ciszę, ale lud mruczał groźnie. Ze studni ciągniono wodę, innego napoju nie było. Na drugiej połąci wybrani strzelcy stali i gotowali się do obrony; tu chodził kneź i Brunhilda. W kącie posłanie ze skór służyło im dla spoczynku. Trzecia też połąc dla niewiast i do obrony była zajęta, a u góry chodziły straż.

Jęki i płacz słychać było w wieży. Z ran, przy oblężeniu zadanych, dwóch pachołków zaraz umarło, a ze strachu i choroby — kobieta. Leżały już trzy trupy, z którymi nie wiedziano, co zrobić... Musiano je otworem górnym rzucić precz z wieży, a ciała te, padające na ziemię, potrzaskane i znieważone, były jakby zapowiedzią tego, co się na stołbie dziać miało. Czekał los ten innych.

Chwost klnąc, od okna do okna chodził i patrzył; Brunhilda długo leżała, jak martwa, nie mówiąc słowa. Nie mówili do siebie, a widać było, że jedno drugiemu w duszy wyrzucało to nieszczęście... Pepefek składał je na żonę, ona na niego.

Oboje trwali jeszcze w myśli obrony, w nadziei, że synowie odsiecz przyprowadzą. Brunhilda, po długiej odrętwiałości, gdy mąż kłął, a nic nie przedsiębrał, zawołała Muchy i poszła oglądać zasieki. Zboża było dosyć, ale oprócz dwóch startych kamieni od starych żarn, nic, czym by mąkę przysposobić można. Był piec, ale o pieczeniu chleba pomyśleć nawet było trudno, bo nie na długo drzewa by stało. Starte na kaszę ziarno mogło z wodą służyć za posiłek głodnym. Żyć tak miesiące!

W poplochu, gdy uciekano na wieżę, mało co kto porwał z sobą, chleba i placków kawałki suche ledwie się gdzie znalazły. Studnia, z której czerpać musiano, stara była i zapuszczona, a pierwsze wiadra precz wylano. Spragnieni pili potem, ale obrzydliwą znajdowali juchę.

Cała ta czerń u dołu, gdy na nią Brunhilda przez szpary patrzyła, wydała jej się groźną i straszną. Spytała Muchy, czy ją utrzymać potrafią; ten, milcząc popatrzał w dół i nie odpowiedział.

Ci, co wczoraj na twarz padali przed panem, teraz, gdy on był w niebezpieczeństwie, otrząsali niewolę z karków i mruzcili. Widać ich było leżących na ziemi, zobojętniałych, ledwie na wołanie podnoszących głowy. Niektórzy, oglądając się po kątach, szeptali coś potajemnie.

Wszyscy domagali się głośno jadła i napoju, a kij smerdów z trudnością mógł im nakazać milczenie.

Brunhilda wzięła Muchę, powiernika, na stronę i pokazała mu w dół na ludzi.

— Gąb za dużo, rąk za mało! — szepnęła. — Co czynić?

Szeptali długo. Chwostek to chodził, to padał w kąt na skórę, to do okna szedł i patrzył na Myszków, jak spokojnie czerpali z kadzi piwo przywiezione i nim siebie i ludzi raczyli. Naówczas, zębami zagrzytawszy odbiegał od okna i wracał na posłanie. Spotykali się z żoną, milczący, nie mówiąc słowa do siebie, i mijali.

Brunhilda naradzała się z Muchą, kneź, gdy mu mil-

czenie dojadło, brał zaufanego sługę na stronę i radził z nim.

Mrok padał, gdy Mucha zszedł na dół i począł ludzi na górną połąć na nocną straż wybierać; dzielił ich tak jakoś po swej woli i stawiał osobno, jednych zostawiając na dole, drugich śląc na górę. Ci, co pozostawali na zgniłej słomie, nie gniewali się za to; leżeli przynajmniej.

Wybranim kazano leżeć po drabinie, i gdyby się kto do stołba przybliżał, puszczać strzały, wyrzucać kamienie. Zaledwie ci odeszli, gdy na dole dwie niewiasty Brunhildy wieczorną strawę na miskach przyniosły. Była to kasza jakaś, ledwie ciepłą zaczyniona wodą, ale i na tę rzucili się skwapliwie głodni i w chwilę nic z niej nie pozostało.

Kneźna przez szparę patrzyła, jak jedli, jak po jedzeniu legli i natychmiast się pospali. Zasnęli wszyscy prawie tak, jak kto siedział i leżał, nie poruszywszy się nawet. Zasnęli dziwnie jakoś, snem ciężkim, który ich rzucał, z którego jakby się porywać nadaremnie usiłowali. W godzinę jedną, drugą i te ze snem zapasy ustały, milczenie głucho zapanowało na dole.

Mucha spuścił się ku nim z łuczywem w rękę, obszedł wszystkich po jednemu, dotknął twarzy każdego, przybliżył się, słuchając oddechu, policzył ich i wrócił na górę.

Ludzie to byli niepotrzebni, których się pozbyła Brunhilda. Z góry ściągnięto kilku na dół i trupy oknami wyrzucać kazano. Oprawcy, nawykli znać do podobnego zajęcia, ani się zdziwili, ani opierali, poobdzierali towarzyszków, popatrzyli na twarze blade i sine i zabrali się do roboty.

Myszkowie ze swymi ludźmi siedzieli u ogniska, z dala na stołb poglądając, gdy pierwsze ciała padać zaczęły. Ciekawych kilku podsunęło się pod wieżę, wnet im na głowy sypnięto kamieniem, a jednego padający trup przygniół do ziemi. Na wszystkie tak strony, jak owocem



dojrzałym posypało się tymi ludźmi. Oblegający patrzeli zrazu zdumieni.

— Zbywają się gąb niepotrzebnych — rzekli. — Broń się więc i czekać myślą.

Cała noc potem w milczeniu przeszła, ale na wieży migwały światła w otworach i na obozowisku paliły się ognie. Spali jedni, chodzili drudzy na straży. Niekiedy z górnej połaci, na upatrzonogo świsnęła strzała, zawarzał kamień, ciśnięty z procy, i kaleczył, rył się w ziemię lub rozpryskiwał węgle, rozżarzone w ogniskach.

Krucy tym godom pokrakiwali górą, uspokoić się nie mogąc, ni do gniazd trafić zajętych. Nade dniem wszystko się usypiać zdało, ale Myszkowie porozstawiali pilne, choć skryte straże dokoła i ze stołba wymknąć się nikt nie mógł.

Wstał znowu dzień biały nad zgliszczami. Do lasów posłano po zwierza, na dwory po chleb i strawę dla gromad. Ludu odprawiano wiele, nie było go już tyle potrzeba, a odsiecz prędko nadażyć nie mogła.

Reszta pozostała legła szeroko, tak by ani strzała, ani kamień nie dosięgnął, choć ciągle ich próbowano. Śpiewano pieśni, weselono się przy ogniach.

Na wieży nie było znaku życia żadnego, tylko u góry chodzili ludzie i patrzyli w dal. Tych zręczniejsi spędzali strzałami, chowali się za przymurek i nikli. Kilka razy Chwostka tam poznano i powitano urągowiskami i krzykiem.

Ile razy leciała strzała, spadał kamień, śmiechy się rozlegały. Czasem rzucano sobie słowami obelżywymi, to znowu milczano długo.

Trzeciego dnia około południa głos z okna począł wołać pod wieżę. Pomyślano, że się zdadzą. Myszek Krwawa-Szyja chciał już iść i wstał, wtem go wyprzedził brat najmłodszy, którego zwano Żórawiem dla nóg długich. Pobiegl i zadarł głowę do góry, patrząc ku oknu. Z wieży rozległ się śmiech i razem z otworu ogromny głąz padł

mu na czaszkę, mózg i krew trysnęła, chłopak się zachwiał, padł i skonał.

Krzyknęli, ręce załamując, Myszkowie.

—Krew za krew!! Żaden stąd nie ujdzie żyw!!

Wołanie i boleść, i gniew był straszny. Chwostek śmiał się coraz głośniejsze. Skoczyli śmielsi, aby ciało biednego uratować; ciśnięto na nich belkę, która tylko trupa trafiła i przygniotła.

Jęczeli Myszkowie bracia nad straconym. Posypali się ludzie i zgniecione wyniesiono ciało, aby je zaraz spalić na stosie.

Na zgłiszczu, gdzie wczoraj zgorzały ciała Leszków, złożono teraz biednego chłopaka, naniesiono drzewa i poczęto śpiewać pieśni, a z góry klątwami je przerywano.

Wśród tego palenia a mroku do obozu przywłókł się mały człeczek z głową postrzyżoną i okiem wybitym. Ukradkiem spoglądał na wieżę, a chodził poza ogniskami i rzucane kości zbierając, ogryzał, bo znać był głodny. Przysiadł sobie razem z psami na pagórku śmiecia, nikt mu nie bronił, nikt go nie znał. Włóczyło się tak naówczas ubogich, obłąkanych, ślepych dziadów i bab wiele, a było obyczajem przyjmować ich i karmić. Obłąkanym czasem przyznawano dar jakiegoś jasnowidzenia, niektórzy zabawiali śpiewem, skokami lub wróżyć próbowali. Odarty Znosek wyglądał właśnie na takie stworzenie bezbronne i dobrodusze. Kilku mu rzuciło po chleba kawałku i po niedogryzionej kości, z której z rozkoszą resztki szpiku wysysał.

Nie uważano, że się wciąż patrzył na stołb i obchodził go dokoła, coś niby po ziemi zbierając. Ciemno się już zrobiło, gdy na darń przyległszy niedaleko wieży, zniknął. Znużeni ludzie u ogniska drzemali, stróżę patrzali na jezioro, gdy z jednego otworu na wieżę ostrożnie gruby powróż spadać począł ku ziemi. Sunął się tak, iż go nie dostrzeżono. Po piasku pełznął do niego Znosek i w koło pasa go sobie umocował.

Cicho było i ciemno, niekiedy wiatr przeleciał po doli-

nie, nad moczarami w trzcinach zaszumiał i biegł gdzieś dalej, niosąc od zgliszcza woń spalenizny. Stróż, stojący nad brzegiem, postrzegł coś migającego się na ścianie, coś, co po gładkim murze pełznąć się zdawało, jak pająk olbrzymi. Nie mogło to być nic innego, jak duch.

Cień ten podnosił się do góry ciągle, na ostatek zbliżył się do otworu, cicho odsunęła się okiennica i miał zniknąć już z nią, gdy śmiały bartnik puścił strzałę; dał się słyszeć krzyk, znikło wszystko!

Znosek wciągnięty leżał na drugiej polaci w wieży i stękał; strzałę miał w szyi. Wyjęła mu ją niewiasta, która nadbiegła, ale krew się lała. Dano huby i chust, aby ją zatamować. Chwostek podszedł, burcząc, i potracił go nogą.

— Słyszysz ty, byłeś u knezia Miłosza?

Znosek milczał i syczał.

— Byłem — rzekł w końcu niewyraźnie.

Mówić mu było trudno. Strzała uwięzła głęboko i poszarpała gardło... z każdym słowem krew płynęła. Patrzył na Brunhildę, jak zdychający pies na pana swego, do nóg jej przypelznął, chwycił jej stopy, pocałował i skończył.

Parę razy Chwostek go jeszcze nogą potracił, lecz życia już w nim nie było. Przekleństwem więc cisnął na trupa i odszedł. Biała pani płachtą go narzucić kazała.

Nazajutrz miano go w stronę jeziora niepotrzebnym trupem wyrzucić.

Czwartego dnia smerda z górnego okna wysunął głowę i kłąć a łajać począł, pokazywał pięści, bezcześcił. Odpowiadali mu z obozu śmiechami.

— Psi synu! — krzyczeli nań kmiecie. — Głód ci tak pysk otworzył, trzeba się nad tobą ulitować chyba i jeść ci co dać, abyś się nie wściekł.

Chłopaki więc na długiej żerdzi związanej, kawał mięsa końskiego ukroiwszy ze zdechłej świerzopy, podali smerdzie, śmiejąc się a szydząc. Mimo, że wiedział, co mu podstawiono, pochwycił mięso oburącz i znikł.



— Już im głód doskwiera! — rzekł Myszko Krwawa-Szyja. — A no, zobaczym!

Nocą, gdy się młodzież ciekawa podkradła pod mury i ucho przykładała do ścian, zdało się, że tam coś mruczalo i szemrało, jakby pszczoły, w ulu zamknięte, a potem jęki niby i milczenie.

Szóstego dnia posłyszano nagle krzyki, wrzawę i płacze, coś jakby zacięty bój we wnętrzu, bo ściany jęczały tłuczone. Zawrzał kilka razy głos straszny, jakby z nim życie uciekało, przeszył powietrze i zamilkł, jak urwana struna gęśli.

Burzyło się i kołatało, potem znowu w wieżycy leciało coś, gruchocząc, padało i trzaskało się. Potem cisza była długa. Niekiedy twarze blade ukazywały się w oknach i nikły, zdały się chcieć napić powietrza usty otwartymi, bo wargi miały rozemknięte i języki wiszące — ale o litość i zmiłowanie nie prosił nikt.

Dziesiątego dnia wieża milczała, krucy się do okien cisnęli, obsiadali je, jakby dopominając się wnijscia, i krakali straszliwie. Odpędzano je strzałami. Odlatywały na chwilę i powracały, dobijając się z drugiej strony.

Myszkowie kazali wołać na rozmowę: nie odezwał się nikt. Stali jeszcze dni cztery. Na wierzchołku nie było strażnika, we wnętrzu cisza grobowa śmierci. Niektórym to oczekiwanie dojadło, końca się dopominano. Sprzykrzyło się patrzeć na mur i do ptactwa puszczać strzały, a słuchać — milczenia.

Myszko Krwawa-Szyja kazał wiązać drabiny. Czeladź jego, w zgłiszczach stare wrota znalazłszy, trzy drabiny razem do górnego wnijscia przystawiła i nad głowami wrota dla ochrony trzymając, aby kamienie spadające moc straciły, leżąc poczęła ku górze.

Drabiny mocowano; nikt się nie pokazywał. Dostali się do zapartego wchodu — nikt im wejścia nie bronił. Poczęli go rąbać, bić i łamać — nie odpowiedziano ze środka.

Ze wszech stron coraz więcej drabin przystawiać zaczęto, a tuż pod młoty i obuchami padły wrota w głąb i z głuchym grzmotem stoczyły się aż na dno.

W wieżycy ciemno było, jak w grobie, cicho, jak na żalniku nocą, nie widać nikogo, zgniliznę czuć było i trupy.

Na spodzie na dnie leżały stosy ciał pogniecionych, połamanych, zsiniałych, gnijących; rusztowanie i belki, z którymi runęli, przybiły jednych, drudzy się padając pozabijali.

Na drugiej połaci leżały dwa ciała Chwostka i żony, z głodu, czy od trucizny zmarłych, sinymi plamy okryte.

Żyw tu już nie pozostał nikt. Zbuntowanemu znać ludowi z górnej połaci ciśnięto na głowy pułap, kamieniami ciężarny, który zgniótl motloch, na miazgę gruchocząc. Dwoje ich tylko, Mucha i smerda, leżący po kątach, zostali na długie konanie.

Gdy się wdarto do wieży, całe obozowisko ozwało się wielkim okrzykiem. Kmiecie i lud tęsknili do domów, powitano zwycięstwo radością i wrzawą. Myszkowie czapki podnieśli do góry, zaczęto grzebać się w gruzach, szukając ukrytych skarbów Chwostka, a rozbiegające się gromady wnet poniosły po mirach wieść, że na grodzie krucy już tylko panowali!

## CZEŚĆ TRZECIA

### I

Na spustoszonym grodzie Chwostkowym zwołano wielki wiec kmieci o następnego miesiąca pełni.

Trzema jednak dniami wprzód, gdy księżycowej twarzy wiele jeszcze brakowało, by pełnią była, starszyzna już się po dworach i zagrodach zbierać, radzić i wadzić zaczęła. Wszystko zapowiadało, że na tym zgłiszczu, co tyle okropności widziało, i wiec spokojnie nie przejdzie.

Ścibor, do swoich jadąc, stanął po drodze u Piastunowego dworka, chcąc go też z sobą na radę powołać.

— Ja się tam wam do niej nie przydam — odpowiedział mu syn Koszyczków — a wolę moje barcie podpatrzeć... Moźniejsi niechaj stanowią, jam ubogi człek i przodować nie chcę, bo się na siłach nie czuję... Nie nawykłem do tego a rozkazywać nie umiem, ino pszczołom moim, które słuchają mnie... i czeladzi, która sprzeczną nie jest. Życzę wam tylko, abyście poczynali w dobry czas, a pośpieszali z wyhorem wodza. Niemców tylko co nie widać, gdy zwietrzą, że wodza nam braknie... Stójmyż z sobą po bratersku za jedno... Ja, co mi nakażecie, zrobię, a co robić trzeba, to wy lepij wiecie...

Ścibor mi się uśmiechnął, potrząsając głową.

— Waszego to nam bartniczego rozumu trzeba, miły ojczu — rzekł, — bo się u nas nie na pogodę, ale na straszny wicher zanosi. Leszków krwi, pomniejszego drobiazgu, zostało dużo, a naszych też kmieci, Witeziów, wiele takich, którzy by radzi na gród się dostać i chcieli kneziować... Nie pójdzie nam łatwo...

Westchnęli oba; ale stary gospodarz przy swoim stał.



aby raczej dó pszczół iść, niż do ludzi. Żegnali się więc u wrót, a Piastun, na plecy kobiałkę wzięwszy, do lasu co prędzej uszedł; drudzy, jadący mimo zagrody na wiec, co później o niego u czeladzi i niewiast pytali, dowiedzieli się tylko, iż go dawno doma już nie było.

Ciągnęli kmiecie ze wszech stron nad Gopło, jechali i Leszki, ponuro patrząc, ze strachem w sercach, ale nie chcąc ustąpić. Myśleli może, iż gdy się na innych nie zgodzą ludzie, do nich powrócą. Spotykano się po drodze milcząc i nieufnie oczyma mierzono.

Miejsce na wiec pono takie wybrane było, ażeby nagłość sprawy przypominało.

Świeże gruzy, żuźle ledwie ostygłe, sterczące z nich belki czarne, krwią jeszcze nie wsiąkniętą ociekła ziemia, opustoszała wieża, z której trupy powrzucono do jeziora, pozakopywano i popalono, aby powietrza nie psuły — wszystko to napominało, ażeby wodza nowego niebawem obierać, bo pomsta za Pepelka nadciągała.

Roilo się już dokoła przybywającymi kmieciami, żupanymi, władykami, a coraz to nowi jeszcze przybywali. Jedni stali z końmi, czekając rychło się co pocznie, drudzy, popuszczawszy je na paszę, pokładli się na ziemię, inni chodzili od kupy do kupy, rozwiadując się i dostając języka.

Wszystkim było jawnym, że te myszki które Chwostka zjadły, będą górą, ale nie wszyscy za nimi i z nimi trzymali.

— Choć to czysta kmiecia krew nasza — mówili — a no za łeb by nas wzięli pewnie jak tamten, któregośmy się pozbyli.

W gromadzie znajdował się i uzdrowiony już Doman i Ludek, Wiszów syn. i innych wielu, nawet z kończyn ziemi i z puszczy a lasów, tylko Piastuna upatrywano próżno.

— Ten by się nam tu zdał — mówiło wielu — człek prosty, a rozum ma zdrowy, bystrzej widzi, choć mówi

nie wiele i nie trzyma z nikim, tylko dla gromady dobra pragnie...

Pytano o niego. Ścibor rzekł :

— Do pszczoł poszedł...

Już się miało ku południowi, a ludzie się ściągali powoli : niektórym pilno było już poczynać bardzo, zaczęli kołem siadać wszyscy i najstarszych wołano, aby zagajali.

Najsędziwszym wiekiem był Żuła z rodu Jaksów, kmięć bogaty, daleko w lasach mieszkający, który spokój lubił, a do obrad i wieców nie był nawykły. Za srogiego i okrutnika go miano, lecz sprawiedliwym był, gdy sądzić przyszło. Musnął się starzec po wąsach i brodzie i rzekł krótko, brwi namarszczywszy :

— Wybierajmy a rychło... w domu każdy ma co czynić. Chciało się wam pana odmienić, próbujcie szczęścia... Nie mam ja co rzec, krom tego, że to już widzę kneziów siła, choć i jednego nie mamy... o posłuszną gromadę trudniej będzie... Czemu bym i ja kneziem nie miał być?...

Myszkowie, jak inne rody, siedzieli kupą przy sobie, całe też zgromadzenie mirami i rodzinami się rozłożyło. Myszków było przecie najwięcej i najgłośniej szumieli. Na nich się też oczów najwięcej zwracało.

Każdy ród chciałby był ze swoich knezia dać. Najmożniejsi, równymi się Myszkom czując, cisnęli się też naprzód.

Ze krwi Leszków zeszło się także dosyć i stali z kmięciami na równi prawie, nie chcąc im ustąpić. Na tych koso patrzano.

Przybył też milczący stary Miłosz z oślepionym Leskiem, którego przy sobie trzymał, na nim się opierając, jakby okazać chciał, że drogo za swą krew zapłacił. Z nim trzymali Bumiry i wielu innych.

Gromadami też siedziały rody Jaksów, Kaniów, Porajów, Starzów, Wizimirów i innych mnogo. Patrzyli ku sobie wszyscy, oczyma mówić się zdając :

—Tacyśmy dobrzy, jako i wy.

Szeptano między sobą naradzając się.

— Myszka wybrać — rzekł jeden z ich drużyny — Myszka z krwawą szyją. Przecie już dowód dał, że wodzić umie... a nam witezia trzeba i wodza.

—Hej! hej! —przerwał drugi — czemu nie jednego z Kaniów? Ci też oszczepem dobrze władną, a nam też i możnego trzeba, abyśmy się nań składać i zsypywać nie potrzebowali...

— To i Wiszów ród zamożny — mówił trzeci — a Wisz stary pierwszy życiem za wiec zwołany opłacił.

Wszczynała się już wrzawa, zgody nie było; zaczęli wołać za sobą Leszkowie, podstawując jednego ze swoich.

— Leszków mieliśmy już dosyć! — krzyczeń zaczęto — nie chcemy ich! mścić się będą! precz z nimi!...

Od słowa do słowa, rody się z sobą w kole ujadać zaczęły, wystąpiły nienawiści odwieczne, zemsty pozapominane, urazy stare. Powstało zamieszanie, a niektórzy już i pięści wystawiali.

Aż gdy do tego przyszło, Ścibor wołać zaczął o upamiętanie, że to wiec jest i że tu nie pięść, ale pocziwe słowo stanowi.

Ochłonęli zwaśnieni, oczyma się już tylko wyzywając i mrużąc.

Ludek, Wiszów syn, choć młody, wystąpił śmiało mając po sobie pamięć ojca.

— Wieści już chodzą — rzekł, — że o losie Chwościka stary ojciec Niemkini i synowie kneziowi wiadomość mają. Ludzie prawią, że w sam dzień ognistych wici synowie jego byli na grodzie, skąd ich w czas matka przez jezioro uprowadziła, aby z odsieczą pośpieszali. Do Kaszubów i Pomorców posyłać mieli o posiłki... wtargną z nimi prędko, bo ich długo prosić nie trzeba. Ziemię nam spuszcza, zagrody popalą, nim my się na wodza zbierzemy... A nas, by kupa była największa, bez głowy nie poradzimy.

Wtem wystąpił Dobek. Był on żupanem możnym, znali





Gdy Doman z krasnej chusty wysypał podarki,  
dziewczętom się aż zaiskrzyły oczy.

go wszyscy jako dzielnego, przebiegłego i wielkiego serca człowieka. Lat już na świecie przeżył ze czterdzieści, choć tego na nim znać nie było. Siłę miał taką, że niedźwiedzie dusił, za szyję wzięwszy, a zamiast dzidy, często drzewko wyrwawszy z korzeniem żgał nim jak drugi lekkim oszczepem. Konia dosiadłszy, gdy mu był nieposłuszny, nogami na śmierć ścisnął. Dla ludu też na razie ostrym był, ale do bitwy, napaści i utrzymania ludu w ładzie nie było nad niego... gdyby gorącością nie psuł, co dzielnością dokazał. Znano go i z nienawiści ku Niemcom, bo nad granicą polapawszy niewolnika, zwykł był ich do sochy zaprzęgać i orać nimi. W dybach też u niego różnego stworzenia obcego co niemiara chodziło, które on ze psy razem karmił.

Czasu pokoju wesół był, ochoczy, do słowa łatwy; gdy miłował — serdeczny, nieulekniony niczym, a w potrzebie tym chytrzejszy, że się porywczym wydawał.

Ten Dobek tedy, wlaższy na kupę kamieni, mówił począł:

— Knezia nam trzeba jednego, a swata się ich czterdziestu... za każdego swoja krew bić się gotowa... ustąpić nie chce nikt... Nie nowina to... Wszakci to powiadają u nas dawno, że gdy starszyznę wybierać przychodziło, Leszki aż do słupa biegały, inaczej zgody nie mogąc dopytać... Ano nam nie tyle końskich nóg, co ludzkiej głowy potrzeba... Więc... a no... po staremu... rzućmy na losy... prędzej będzie... nie umieją ludzie, niech wybierają bogowie.

Wszyscy zamilkli; nie w smak to poszło.

— Jak zgody nie będzie — zawołał Myszko Krwawa-Szyja — dosyć mamy czasu losy rzucać... Nie warto od tego poczynać, kiedy wolę swą mamy.

Wstał Doman.

— Czemu nie na losy? — zapytał. — Czasu by się nie marnowało. Pokładnijmy włócznie, każdy swoją, konia białego przyprowadzimy, którą włócznię nogą pierwszą potrąci, czyja będzie, tego bogi chcą.



— Lub na Lednicę pošlijmy, na ostrów święty, sprowadźmy dziewczkę od ognia, położmy przed nią czapki rzędem, każdy swą... czyją wybierze, ten nam kneziem będzie... — odezwał się Zgorzelec.

Tu się dopiero swar i gwar wziął okrutny; losów nie chcieli za nic ci, co się pewnego wyboru dla siebie spodziewali. Zgody nie było... a tu i noc już nadchodziła.

Poczęto się ruszać z koła. Jedni po dworach porozjeżdżali się nazad z niczym, drudzy się po grodzisku porozkładali, inni po okolicy poszli obozować w gajach.

Leszka chcieli jedni, Myszka drudzy, Wisza inni, Dobka wreszcie i z dziesięciu jeszcze stawiono. Byli tacy, co już Dobka znając, okrzykiwać go chcieli, ale sam im usta zamknął.

— Nie chcę! — zawołał. — Wolę słuchać, niż rozkazywać... i swobodnym być, niż mieć tysiąc panów. Uciekłbym raczej na kraj świata, niżbym się niewoli tej miał poddać.

Myszkowie, którzy się na pewno spodziewali, że ich jednym okrzykna głosem, odjechali gniewni i zasmuceni. Ale coraz więcej było takich, którzy mówili:

— Nie gorsiśmy od nich... mienia mamy tyleż albo i więcej, ziemi dużo, rodu mnogo... jeżeli im kniażyć, toć i my potrafimy.

I tak porozpraszali się wszyscy, nieradzi z siebie.

Wieczorem, gdy Piastun od swoich barci do zagrody powrócił, właśnie Dobek zajeżdżał przed jego wrota i zsiadł przed nimi.

— Ojcie Piastunie — rzekł — woleliście wy do pszczoł iść, niż do ludzi, a gdybyście się byli do nas pokwapili, może byście nam z sobą zgodę przynieśli. Pszczoły by sobie bez was radę dały...

— A cóż się tam u was stało? — zapytał stary.

— Nic... słyhać tylko, że Chwostka synowie Kaszubów już na nas i Pomorzan prowadzą... my tymczasem nie im, a sobie pięści pokazujemy. Wiec się zrywa. A że my sami wybierać nie umiemy, jedni nam do wyboru



konia radzą, drudzy dziewczkę, trzeci losy rzucane... i drewnika... wreszcie choć do słupa biegać, jak za dziadów bywało.

— Widzisz Dobek — rzekł Piastun spokojnie — dobrze, żem do pszczoł szedł, bo tam w lesie ja wiem, com robił, a na grodzie ja ubogi człek z małym głosem nic bym nie dokazał... Jużście się to rozjechali?

— Jedni precz poszli gniewni, drudzy leżą i mruczą... inni, jako ja, gospody szukają... Przecie wybierać trzeba, bo nam niewybrany na kark siędzie.

Nazajutrz z rana i Doman podjechał do wrót z pokłonem, bo starego wszyscy szanowali.

— Cóżście to wy tak pobledli? — zapytał gospodarz, który go i nie widział dawno, i nie słyszał o nim nawet.

— Nóż miałem w boku, krwi mi siła upłynęła! — rzekł Doman.

— Któż was pchnął?

— Wstyd rzec... dziewczka... Porwałem Wisza córkę, bo mi się srodze podobała... Na koniu będąc w moich rękach, nóż mi mój własny wychwyciła i zadała ranę głęboką.

— Drogoście kupili dziewczynę...

— Anim jej dostał — odparł, śmiejąc się, Doman — wymknęła mi się i uciekła do chramu na Lednicę, a jam się długo lizać musiał...

Piastun rzekł:

— Znajdziecie drugą.

— Jużem ci znalazł — dodał Doman — a co mi po tym, kiedy zawsze pierwszej żal.

Wtem z boku dał się słyszeć głos piskliwy:

— I gdyby nie ta stara wiedźma, Jaruha, jużby was na świecie nie było... cha! cha!...

Obejrzeni się i ujrzeli staruchę, która, do nóg im się kłaniając głową i rękami, uśmiechała się.

— A ty na wiec, czy z wieca? — rzekł szydersko Dobek — możebyś się nań przydała?

— Dopiero na wiec — ciągnęła dalej stara niezmi-  
szana — czemu nie? Słyszałam ja, że tam ładu nie ma...  
Kto wie? przyszedłby może ze mną... bo ja różne rzeczy  
w worku noszę... i wiele wiem... Powiedziałabym gro-  
madzie baśń.

— Jaką? — zapytali ciekawi.

— E! to stara babska klecha... — szepnęła Jaruha. —  
Raz, mówią, trafiło się tak, że w mrowisku nie stało  
króla... Mrówczy pan, z dębu spadłszy, zabił się, a po-  
tomstwa po sobie nie zostawił... Tymczasem łakome  
ptactwo nadciągało, aby złupić mrowisko... Zebrała się  
starszyczyna i radzi... Jedni chcą komara wybierać, drudzy  
muchę, inni pająka, byle nie mrówkę... bo one wszystkie  
czarne, a wszystkie sobie równe... Tak dobra jedna, jak  
i druga. Wybierali, wybierali i wybrać nie mogli, a pta-  
ctwo tymczasem jaja dziobało i wyjadało do szczętu...  
wszystkich równo... Aby ono to i tu tak nie było, miłości-  
wi panowie. Ale starej babie co do tego?...

Rozśmieli się słuchający, a Jaruha pokłoniwszy się  
poszła do Rzepicy piwa się napić.

Więc przybyli mocno nalegali na Piastuna, aby z nimi  
nazajutrz na wiec jechał.

— A po co mnożyć głowy, kiedy i tak nie ma zgo-  
dy?... — odparł stary. — Radźcie beze mnie, jam się nie  
zdał...

Nazajutrz dzień toż samo było. Zjechali się starsi ra-  
dzić, a poczęli wadzić i zeszło na sporach co było dnia.  
Widać było około stołba wijące się ludzi gromady, to  
przypadające do siebie, to odskakujące i rozchodzące  
się daleko, to nadbiegające na siebie znowu. Ręce się  
podnosiły do góry... i głosy, rzucano czapki, potem  
wszyscy szli precz i za chwilę się do kupy cisnęli.

Zgody nie było... Leszkowie z jednej, Myszki z dru-  
giej strony przewodzili.

Wieczorem późnym Myszko Krwawa-Szyja podjechał  
pod chatę Piastuna, jak noc chmurny.

— Pozdrawiam was, ojczce.

— Z wiecu wracacie ?

— Tak ci jest, z wiecu jadę... westchnął Myszko.

— Cóż niesiecie ?

— Wiadro próżne — rzekł z goryczą Krwawa-Szyja — nie ma wody, nie ma zgody. Malo się już za włosy nie pobierzemy. Każdy by kneziem chciał być, a słuchać by się nikomu nie chciało.

— A wy ? — zapytał stary.

— No... ja też... ale ja prawo po sobie mam — rzekł Myszko — któż Chwosta przemierzonego zdusił, jeśli nie ja i moi ? Kto szyi i zdrowia nastawiał ? Juścim tak dobry, jak i Leszki, jak Jaksy, albo Kanie.

— Pewnie — rzekł po cichu Piastun — ale cóż będzie ?

Mówią, że Leszek i Pepełek ciągną ?

— Nie ma co już mówić o wyborze — dodał Myszko głosem stłumionym — kto ludzi zbierze więcej, sam się kneziem ogłosi... i będzie na grodzie panował.

— A pocóż tamtego zrzucić było ? — odezwał się stary — wszak i on takim prawem siedział.

— Cóż, jeśli do zgody nie przyjdzie — przerwał Myszko — czy lepiej, aby jedli Niemcy, czy aby swój za łeb wzięli ?

Gospodarz umilkł trochę, w ziemię patrzył.

— Czyńcie, jako wiecie, ale wiec szanujcie — rzekł po chwili. — Co się stało Pepełkowi i Leszkom, może i drugich spotkać...

— Ja nad sobą innym nie dam przewodzić — krzyknął, rękę do góry podnosząc, Myszko.

I z tym, jakby rozgniewany, odjechał.

Nazajutrz już na grodzisku nie było nikogo. Stado wróbli po nim latało, zbierając kruszyny po koniach i po ludziach, świergocąc, jak wczoraj ludzie, klóćąc się i czubiąc o ziarna, jak wczoraj tamci o panowanie nad sobą.

Piastun siedział na przedsieniu dziwiąc się w duszy swej, że ludzie tak bardzo pragnąć mogli tego, co było strasznym brzemieniem... i cieszył się też, iż ubogim



był, nie potrzebował do sporów należeć i stać mógł na uboczu.

Wiec, powiadano, rozszedł się z niczym, lub gorzej jeszcze, bo ci, co nań przybyli druhami, powracali wrogami, z zalem w sercu i z nienawiścią. Myszkowie zwłaszcza nieprzyjaciół napytali i współzawodników, a Leszki po cichu cieszyli ze wszystkiego, bo niejedyn już głowę ku nim obracał, mówiąc: — Lepiej niech stary ród nam panuje, byle zakonu strzegł.

Pusto było na grodzisku dni kilka; ale wrzało i gotowało się po zagrodach.

Nadchodził dzień świąteczny żniwa. Zdało się tym, co przewodzili, że za drugim razem wiec nie darmo się zbierze i wybór stanąć musi. Poczęto więc znowu obwoływać się na zbiórkę a sejm nowy, nad Gopło. Pojechali Myszkowie po swoich, Leszki też i inne rody, zbierając druhów dla narady i poparcia.

Wielu zrażonych już iść nie chciało. Byli i tacy, co się cieszyli, że knezia nie mieli, bo danin, osypów i służby do grodu nie było, a gdy o najazdach mówiono, głowami potrzęsali utrzymując, iż Niemce doma i nad Łabą mieli roboty dosyć, a nad Wartę siłą tak rychło wybrać się nie mogą.

Tymczasem, że nowy naznaczony dzień był świąteczny, a niektórzy myśleli, iż chlebem sobie ludzi zjedną, kazali na wozy nabrać mięsiwa, kołaczów, piwa i miodu i wieźli je z sobą dla częstowania. Tak uczynili Myszkowie; a gdy się o tym dowiedział Bumir i jego drużyna, nie chcieli się też dać wyprzedzić, naładowali, co w domu mieli, na wozy i konie i slali na gród.

Zbiór nie był tak gromadny, jak pierwszym razem, ale wyglądał uroczyściej.

Ludzie też baczniejsi, bo doświadczeni, więcej się przysłuchiwali, niż mówili i serca sobie jednać usiłowali.

Już koło zasiąść miało, gdy z dzidą w ręku nadciągnął Wizun stary, który zdawał się przybywać znużony z drogi dalekiej.

Starzec poważanie miał u ludzi nie tylko dla doświadczenia i rozumu, bo w ciągu życia dalekie zwiedzał kraje, i znał prawie wszystkie, gdzie sięgało „słowo”, ich obyczaje, ład, zakony, prawa wszystkich gromad i plemion, siedzących poza Wisłą i Dnieprem i po Tatry i nad Dunajem, nad Łabą i Odrą, i nad Morzem Białym — ale wróżbitem też był wielkim i proroczko widział a wiedział, co się dzieć miało. Chadzano doń nieraz po radę, acz jej szczodrym nie był. Wszyscy mu więc okazali radość wielką, iż na wiec przychodził, a spodziewali się, iż przemówiwszy do zgody nakłoni.

Więc gdy się z dala ukazał i Myszkwie i Leszkowie witać go szli, a nim do mówienia o sprawie przystąpili, wystawiono niecki z mięsiwem i chlebami i napój, prosząc wszystkich na strawę.

Posiadano na ziemi około wozów. Wizunowi poczesne miejsce zrobiono i częstować się poczęli z dobrą myślą. Dzień też był dziwnie pogodny i piękny; napoju wszelkiego stało siła, a gdy się raz ugaszczać zaczęto, ani się postrzeżono, jak dobra część dnia na ucztowaniu zesłała. Wizun milczał. Myszkom się zdalo, że go mieli za sobą, a Leszkowie prawie byli pewni, iż przeciwko nic nie stanie. Więc nim do koła szli, prosili go, aby im radę dał, co czynić mieli dla rychlejszego sprawy końca.

Stary obejrzał się do koła i namyśliwszy począł :

— Potom ci ja tu się przywłókl, ażebym wam prawdę przyniósł, nie z siebie, ale z tego źródła, skąd ona płynie. Umyślniem odbył pielgrzymkę do miejsc świętych, pytając, co czynić, abyśmy się od biedy uratowali. Wracam z niej właśnie. Byłem daleko, byłem po kontynach Światowida, Radegasta, Porewita... byłem na Koblbrzegu, Szczecinie, w Retrze i na ostrowiu świętym Ranów, u Czarnego-Stawu... Bogowie tam królują, którzy i całemu plemieniu naszemu rozkazują. Obodrytom i Wilkom, równie jak Ludkom i Polanom...

Nie ma u nas takich chramów i takich bóstw, jak te, co są u Redarów i Ranów... czcimy i my przecie Rugie-



Doman siedział na koniu na wpół skrzepowany sznurem,  
a przed nim leżał trup młodej żony.



wida o siedmiu twarzach i mieczach siedmiu, Trygłowa o trzech głowach, Porewita o czterech okolicach z piątą na piersi, Światowida, który czterema głowy patrzy na cztery świata strony...

Tam ja do nich chodziłem po wróżbę i wieszczbę dla nas, stamtąd wam przynoszę, co mi rzezono...

Obejrzał się, słuchano w milczeniu, a Myszko spytał:

— Jakżeście się do Retry dostali?

— Któż co starcowi bezbronnemu miał uczynić? — odezwał się Wizun. — Zatrzymali mnie Wilcy po gościach niejednen raz, ale puścili wolno... Do Radegasta też nie łatwo się dobić... Leży kontyna na wyspie zewsząd wodą otoczonej, jak Lednica nasza: długa hać i mosty prowadzą do niej, a gdyś już na ląd wszedł, dziewięć bram przebywać musisz, a do każdej z nich pukać i prosić się, bo u każdej stróż stoi czujny dniem i nocą, a pyta się i opatruje. Nie puszczają zaś więcej jak trzech na raz do chramu. Kontyna stoi na podwyższeniu, z trojgiem wrót w tynach, co ją otaczają, z których dwoje się tylko otwiera, a trzecie tajemne do wody prowadzą... Bóstwo stoi całe złocone w koronie na głowie, na rogach jeleni i kozłów, misternie wywyższone pod dachem purpurowym, ze słupy malowanymi, a obok niego łoże jego królewskie purpurą zasłane... I w koło bogowie drudzy we zbrojach, z mieczami... Tamem ja naprzód szedł o wyrocznie pytać...

— Cóż ci powiedziała? — zaczęli szemrać otaczający.

Wizun spuścił oczy.

— Musiałem na wyrocznie czekać... póki mi nie przyszła w jednym słowie: — Wybierzcie pokornego!... Nie dość mi na tym było i szedłem na ostrów święty, nad Czarny-Staw, nad Jasmund, do Rekony... pytałem u Trygłowa i Światowida... Światowid mi rzekł: — Wybierajcie małego! Trygłów kazał powiedzieć: — Wybierajcie ubogiego!... Pytałem rogu Światowida przez miód, który w nim stoi i rzezono mi, że niepokój i wojna czeka nas, dopóki mały nie będzie uczyniony wielkim.

Słuchając Wizuna, wszyscy się po sobie oglądali, i wi-  
dać było na twarzach frasunek, a stary mówił dalej :

— Coż przyniósł od wyroczni bogów, to i w sobie no-  
siłem wprzódy... Zgodz nam prędko potrzeba i jedności...  
Zwędrowałem wszystkie plemiona i narody nasze, jakie  
na ziemiach siedzą od Dniestru do Łaby, od jednego do  
drugiego, od sinego do białego morza, i liczyłem w myśli,  
wiele nas jest, a jak my mało możemy... Jedni z nas  
już się Niemcom poddali i trzymają z nimi; drudzy  
z sąsiady braćmi wojują, inni się po lasach chowają, a  
swoich o miedzę znać nie chcą... Każdy żyje, jako woli,  
a do kupy się zebrać i w kupie zgodzić najtrudniejsza  
rzecz. Chodzili, jak ja, nieraz Polanie nasi do Ranów, do  
świątyni, spotykali się tam z Serbami i Ludkami, i Dule-  
bami, i Wilki, i wszelkimi plemieniami jednej mowy, pili  
z nim z czary razem, chleb łamali, a nazajutrz znać nie  
chcieli...

Niemcy mają jednego wodza, a gdy się pokłóca, ten  
ich jedna, jak matka dzieci przy misce, obojgu po gło-  
wach dając naukę; u nas swoboda panuje, a kto chce,  
szarpie... Dla onej swobody, pana nie znając, zwierzom  
dzikim dostajemy się na pastwę...

Gdy inaczej nie może być, choć nasze ziemie i miry  
niech zgodne będą, a niech wybiorą, jako rzekły wyroc-  
nie, pokornego, małego, ubogiego...

Gdy Wizun skończył, panowało długie milczenie, a  
co wprzódy każdy się wilkiem czynił, teraz by był rad  
mniejszym się stać lub okazać. I nie w smak szły te  
wróżby znaczniejszym, a na starego szemrali.

Wtem z tyłu poczęły niecierpliwie gromady wołać :

—Do rady! do koła!

Wszystkie rody poczęły się kupić i ustawiać, a każdy  
swoich zalecać. Wnet i o przepowiedni zapomniano.  
Myszkowie się krwią przelaną i pracą chlubil, Leszko-  
wie stali przy jakimś prawie, inni bogactwem się zalecali.

A że gromada Krwawej-Szyi najliczniejsza była, śmiel-  
si poczęli już go obwoływać, ale zaledwie to posłyszano

z przeciwnego końca, zerwała się burza i odskoczyła połowa, ani go znać nie chcąc za wodza.

Tuż najpokorniejszego z Leszków wywoływać począł, lecz wrzawa ze strony przeciwnej zagłuszyła luźne głosy.

Ci, co w kole siedzieli, powstawali, rozpierchli się, rozbiegli.

Zgody nie było... Część znaczna precz szła na okopy, pokładła się na trawie i pijąc narzekała na drugich. Wizun stał z boku na swej dziedzie oparty, uśmiechał się. Słońce zapadało.

Wtem na zdyszanym i potem oblanym koniu przypadł człowiek w koszuli, z dala już ręką coś ukazując a krzyząc.

Porwali się wszyscy, biegnąc ku niemu. Zsunął się w tem konia, wołając głosem wielkim :

— Synowie kneziowi z Pomorcami i Kaszubami, a Niemcy już idą na nas... już puszcę na granicy przestapili...

Ledwie to usłyszawszy, wszyscy do koni biegli; po płoch i wrzawa stała się niezmierna.

— Tegośmy się doczekali, spierając i krzyząc! — krzyknął Dobek gniewnie. — Rozbiegniemy się li teraz. potraciwszy głowy, to zginiemy wszyscy, bo nas po jednemu wybiorą... jak wróble ze strzechy powykręcają...

Leszkowie milczeli, stanąwszy na stronie; im się z synami Chwostka łatwiej było porozumieć. Myszkom o głowę szło... zwołali się do kupy osobno.

— Na koń, kto żyw, niech każdy swoich ludzi zbiera... — zaczęli zaklinać, — nie ma czasu na długie rady... Gromadą iść, ławą im zastąpić drogę... Nie staniemy im do oczów, później już nie czas będzie...

Dobek przerwał gwałtownie.

— Do domów, po ludzi! — zakrzyknął nakazująco, — czeladź idźcie zbierać... nazajutrz wszyscy, z czym kto ma, tu nad Gopło... a stąd razem ruszmy na wroga... Wieczora i nocy starczy! na koń! na koń!



Dosiadali też już koni, chwytając je z paszy i od wozów, kto co napadł, rozesłano gońców i, nim mrok nadszedł, grodzisko znowu stało pustym i milczącym.

Gdy noc zapadła, w stronie, w której się spodziewano najazdu, dalekie łuny już widać było na niebie.

Nazajutrz nie przybył nikt jeszcze na zborne miejsce, wszyscy się gotować musieli, niejednym i dzid, i oszczędów brakło... Trzeciego dnia dopiero zaczęły się gromady powoli spływać nad brzeg jeziora. Wieść o napaści wroga ruszyła wszystkich; z odleglejszych też osad szły gromadki.

Nie pytając wyboru, Dobek, który się pierwszy znalazł na placu, sam sobie dowództwo nadał, a posłuszeństwa mu nie odmawiano. Silnym był dość, aby je wymóc, gdyby mu się kto sprzeciwił.

Ledwie ówczesny lud zbrojnym mógł się nazywać. Nie byli jeszcze Polanie narodem wojennym i łupieskim, ale rolniczym i spokojnym. Konieczność obrony uzbrajać się im kazała, ale uzbrojenie lichym było.

Żelaznego oręża mieli mało, miedziana stara broń u niewielu się znajdowała; szła czeladź uzbrojona w młoty kamienne i obuchy, pałki nasiekowane, łuki, proce, i pociski. Kawał łubu lipowego stał za zbroję, a ozdobną zwała się tarczą, gdy ją kto skórą jedną lub dwiema obciągnął. Siekiery i noże, na jakie kogo stało, wiązano do pasa i do konia.

Czeladź i parobkowie pieszo szli co przedniejsza drużyna i kmiecie jechali konno, na głowach dla osłony mając kruszcowy kabłak lub czapkę tylko, na ramionach kręgi mosiężne, które od uderzenia mieczem ochraniały.

Każdy ród wiódł swą gromadę, niebardzo swarną, grozą i strachem trzymając ją w posłuszeństwie.

Dobek latał, opatrując gromady i szykując jedne przy drugich; a tu mu czeladź zaraz się waśnić poczyniała, że ją uspokajać kijem musiał. Myszków sługi z Leszkami stać obok nie chcieli. Lecz Dobek, gdy się rozpalił, ani spał, ani jadł, ani spoczął, póki do potyczki nie dopro-

wadził. Wojnę lubił i dopiero żył, gdy dzidę w rękę wzięwszy na konia siadł. Śmiały mu się oczy i drgały usta. Ku wieczorowi powysyłał najprzebieglejszych ludzi na zwiady, aby dopytali, gdzie się nieprzyjaciel obracał. Dopiero języka dostawszy, miał przeciwko niemu wyruszyć. Tymczasem odstąpiwszy nieco u jeziora, położył się z ludźmi w gaju, aby nocą ich nie zdradziły ogniska i dymy.

## II

Wrócili wysłani, z tym, że Niemców nie opodal już słyhać było — podpełznąwszy widzieli ich nawet, ale sił obliczyć nie mogli.

Szli zbierając ludzi, spędzając trzody, zagrody paląc, łupy garnać, jakie pochwycić mogli, kędy się przesunęli, zostawała po nich pustynia i zgliszcza.

Czas było co najprędzej naprzeciw nim wystąpić, aby dalszą zaprzeć drogę, bo każdy dzień ludzi wielu życie i mienie kosztował. Ale straszono gromady walką i uzbrojeniem, a zbierana kupa czeladzi nie starczyła na taką siłę. Dobek więc postanowił ciągnąć cicho, aby ich śpiących napaść na noclegowisku.

Cicho i ostrożnie przerzynać się poczęto lasami, po bokach, w prawo i lewo; Dobek posłał leśnych ludzi, co i po ziemi i po drzewach chodzić umieli, aby przepatrywali, gdzie się nieprzyjaciel znajdował i jak go osaczyć najlepiej.

Drugiego dnia w głębi puszczy naszli na cały obóz niewiast z dziećmi, starców i niedołężnych, z trzodami i dobytkiem, którzy ze dworów i chat zbiegli, chroniąc się przed nieprzyjacielem na niedostępne uroczyiska.

Placz i trwoga panowała między nimi. Siedzieli na ziemi jęcząc, zawodząc, tuląc się do siebie za każdym szmerem w dali, zdradzając się krzykami.

Ci mówili, że wiele już ludu poszło w pęta, a mało kto zawczasu zbiec mógł, ratując życie. Lasy, łozy

i trzciny nad wodami za przytułek służyły, -ale i stamtąd psy, których gromady ciągnęły z Pomorcami, schronionych płoszyły.

Pomorcy z Niemcami szli, pustosząc ogniem i mieczem, lud tylko młodszy wiązali w łyka i gnali za sobą. Na czele ich stali kneziowie Leszek i Pepefek, za rodziców zemsty chciwi.

Kmieciców schwytanych bez litości na dębach wieszano. Jęki niewieście, kwilenie dzieci, żalodne wołania starców nie dodały serca Dobkowej gromadzie, ale budziły do zemsty.

Zbiegli mówili z przerażeniem o ludziach całych w żelazo pozakuwanych, ze szczytami kruszcowymi, od których strzały odskakiwały, których pałki nie brały. Za tarczami tymi stali, jak za murem z żelaza.

Dobkowi serca przybyło i gniewu, gdy mówili mu, że łupiąc zagrody, zapijali się, a najadłszy i opiwszy się, nocami jak wieprze leżeli, dysząc bezsilni... a kto by ich napadł wówczas, tylko by wiązać i dobijać potrzebował.

Z tych zbiegów, złapanych w lesie, stary jeden się podjął drogę ku Niemcom pokazać. Przeleżeli do zmierzchu. Jak mrok po cichu wyciągnęły gromady krajem lasu, posuwając się ku północy. Księżyc na niebie nie było i noc okryła ich chmurna.

Szli tak długo, zwracając na różne strony, gdy wreszcie z za drzew ujrzeli w dali szeroko porozkładane, dogasające ogniska.

Dobek wysunął się naprzód rozpatrzyć, jak ognie leżały, by po nich siłę nieprzyjaciela policzyć. A było ich tyle, że rachować przestał, bo mu siec było pilno. Nie spodziewali się znać najeźdźcy, aby im kto śmiało czoło stawiać i odpoczywali bezpieczni. Gęsty las z jednej strony dozwalał się podkraść niemal do samego obozowiska w dolinie.

Ludzie, na ziemię się pokładłszy pelznęli cicho na brzuchach. Obóz Pomorców był dla nich łakomą zdobyc-



czą, choćby nie był obciążony łupami. Lud tam się do nich kupił z całego wendyjskiego wybrzeża, aż do ujścia Łaby, zbóje i lotry ze szerokiego świata. Pomorcy, wojownicy razem i przekupnie, mieli też u siebie doma, czego dusza zapragnęła. W Winedzie mieniali swoje skóry i bursztyny na żelazo, na miecze, sukna i towary idące z południa, wschodu i zachodu. Choć mowę mieli słowiańską, ale serca już niemieckie; byle łupu dostać, gotowi byli iść na swoich, służyć każdemu, palić i zabijać choć braci rodzonych. Chciwość ich ciągnęła i zwierzęca dzikość.

Przebiegłszy kawał kraju, w którym tylko zgłiszczą i pustkę zostawili po sobie, zniszczywszy osad kilka, złupwszy dworów wiele, położyli się właśnie obozem u lasu, w miejscu bezpiecznym. Osłaniała ich puszcza, jezioro i błota dokoła. Spoczywali bez straży. Jadło się warzyło w kociolkach, tarcze i miecze leżały porozrzucane po ziemi. Pozdejmowali pasy, pociskali żelazne blachy, aby im lżej dychać było.

I leżąc, śpiewali dziko, a wśród pieśni straszne krzyki a wołania słyszeć się dawały.

Pastwili się nad niewiastami i dziećmi, pozabieranymi w drodze. Nie opodal od obozu ich widać było skupioną gromadę ludzi, lykami i powrozami pokrępowanych. Jeńcy to byli, którzy głodni, pokrwawieni, pobici, leżeli na piasku a nikt im chleba nawet nie rzucił. Stado psów ujadło nad nimi. Jęczeć nie śmieli, bo słabych zabijano. Niewiasty na rękach trzymały martwe już dzieci, żywi i trupy razem leżeli.

Ludzie Dobkowi, podpełznąwszy, z przerażeniem poznawali swoich między niewolnikami; w sercu się im gotowało. Opodal trochę stali Kaszubowie i Niemcy, ale tych mniej było. Dobrze uzbrojeni, dodani przez dziada wnukom, Sasi trzymali się na uboczu, straż przy nich odbywając. Sami kneziowie na pagórku, pod szaląsem odpoczywali bezpieczni.

W obozie śmiechu, rechotania i pieśni pełno było. Czasem tylko dwu zbójów, przemówiwszy się, porwało z ziemi i cisnęli się na siebie, chwycili za bary, padając, gniotąc i tarzając. Inni z nich stroili śmiechy. Czasem wstał który, aby do jeńców pójść i łuku na nich spróbować.

Polanie mieli czas dobrze się rozpatrzyć i rozmyśleć. Pomorcy, którzy najbliżej ich leżeli, wcale się niczego nie spodziewając, tak zawodzili i wrzeszczeli, iż zbliżających się posłyszeć nie mogli. Łamane gałęzie i szmer pochodu głużył szum wiatru i pieśni. Dobek ze swoimi zbliżył się na sam kraj lasu, kilka kroków go dzieliło od najeźdźnika.

Konie jazdy opodal nieco się pały na łące. Dobek, który jako bartnik na drzewa łązić umiał, z wierzchołka starej sosny obejrzał dobrze, jak był obóz rozłożony i kazał swoim wprzód, nimby się na odpoczywających rzucili, starać się ich osaczyć dokoła, jak zwierza w ostępie. drogę im zapierając do ucieczki.

Tak się też stało. Z jednej tylko strony od pola zająć ich nie było można, bo by zawczasu popłoszono, na dany dopiero znak zabiec i z tej strony mieli ludzie, aby nikt nie uszedł z życiem.

Jedną część oddzielił Dobek, by się natychmiast do jeńców podkradła i pęta ich poprzerzynała. Oni też mieli na wroga paść i swoim dopomóc do rzezi.

Gdy wszystko było gotowe, przemyślny Dobek stanął z mieczem na przedzie i, od pasa róg wzięwszy, dał znak, aby się rzucono na Pomorców.

W obozie, choć usłyszano głos ten, nikt się nie ruszył, sądzili, że który ze swoich znak daje, nie ułękli się i nie spłoszyli. Gwar i śmiechy szły górami.

Wtem z lasu posypali się Polanie, pędem lecąc i spadając na karki leżącym, w przód nim za broń pochwycić mogli.

Krzyk straszliwy, ze stu wrzasków złożony, rozległ się

jak grzmot po lesie i już rzeź rozpoczynała się okrutna. Jeńcy też z okrzykiem ruszyli, zbrojąc się w główne i koły, bliższych — niewiasty zrozpaczone chwyciły za gardła i dusiły, nim na nogi porwać się uśpieszyli.

Tylko dalej leżąca gromada wstała, lecz w zamieszaniu i popłochu gniotła się sama, zabywszy broni, lecąc to ku jezioru, to na las, gdzie im zastępowano drogę.

Choć ze wszech stron razem napadnięto na obozowisko, do pagórka, na którym stali kneziowie i Niemcy, dobiec tak szybko nie pośpieli ani Dobek, ani jego kmiecia drużyna.

Z góry spostrzegli Niemcy, że na Pomorców uderzono i mordowano, chwycili wnet za miecze ludzie żełaźni. Ale już było za późno. Pomorcy ściśnięci, wili się bezgronni, padając pod oszczepami i młotami. Niektórzy, pełzając, uchodzili w zarośla i ginęli po drodze, inni, na ziemi leżąc, o darowanie życia prosili daremnie.

Kaszuby, stojący też dalej, podnieśli się zrazu, za broń chwyciwszy, ale na nich rzuciła się nawała wielka, zagnała na pobojowisko i trupy, na ciała pobitych, ku lasowi, od którego na nich drudzy czekali.

Niemcy sami jedni, zostawszy garstką niewielką, opasali Leszka i Pepelka, których konie u szalasu stały i z nimi co tchu i siły uciekać zaczęły na pole. Ciemna noc ucieczce sprzyjała. W pogoń za nimi puścił się Dobek w kilkanaście koni, lecz pierzchali tak szybko, iż dogonić ich najmniejszej nie było nadziei.

Wrócili więc, spodziewając się, że ta mała garść, tułając się po spustoszonej kraju, zagarniętą być musi lub wybitą.

Na obozowisku rzeź okrutna pomściła zniszczenie. Mało kto stąd wyniósł życie. Własne miecze Pomorców, porzucone na ziemi, służyły do mordowania, łyka ich przygotowane, posłużyły do wiązania tych, co o miłosierdzie prosili, wykup obiecując za siebie.

Jeńcy, którzy tylko co jęczeli spętani, nie spodziewa-



jąc się już nigdy zagród swoich oglądać, jakby na nowo na świat się narodzili szaleli z radości, całując zbawców swych nogi. Inni, jak pijani, dobijali trupy na pobojowisku.

Zwycięstwo było wielkie, bo Kaszubów mało co podając tył ujść podążyło a i z tych jeszcze część wybito po drodze.

O północy skończyło się wszystko, radość niezmierną śpiewami rozlegała się po lesie. Dobek leżał pod dębem i pot z czoła ocierał. Kazał wnet stanice bogów powbijać z dzidami na placu, rozpalić ognie, a trupy pobitych, gdy je odarto, zwlec na kupy na stosach.

Jeńcy natychmiast poczęli nosić gałęzie i toczyć kłody. Rzucano pozabijanych na ogień, innych do jeziora sypchać kazano i pagórki ogniste, wznosząc się na pobojowisku, daleko łuną swą oznajmywały zwycięstwo. Siedząc około nich śpiewano pieśni.

Łupu, broni różnej i kruszcu, luków i młotów, tarcz skórą obszywanych i obijanych blachami, nabrano tak wiele, że jak stopy drzewa leżały. Niewiasty, starcy, dzieci, które z pęt uwolniono, stali u ognia, opowiadając, skarżąc się, dziękując obrońcom. Choć mało kogo, życiem darowano, jeńców przecie do dwu kóp się zebrało. Tych zaraz łykami i powrozami spętano mocno i na to samo miejsce spędzono do kupy, gdzie niedawno swoi jęcząc leżeli.

Gdy się tak powoli uspokoiło wszystko, poszła starszyzna rozpatrywać pobranych, śledząc, czy między nimi się kto z dowódców i znaczniejszych nie ukrywał. Ale ci leżeli twarzami do ziemi i musiano im łby podnosić za włosy, aby zajrzeć w oczy. Pomorcy, lud dziki, korzyć się i litości prosić nie mieli zwyczaju. Leżeli pokrwawieni, tuląc oczy i czoła, nie sycząc nawet, a z ran broczyli posoką.

A gdy upartym głowy gwałtem do góry unoszono, niejednemu jeniec wściekły, rzuciwszy się, palec od-

kąsił, choć wiedział, że go tam zaraz oszczepem do ziemi przybiją.

Gdy tak szli, Dobek, Ludek, syn Wiszów, i Bolko Kania, potrącając nogami leżących, na boku spostrzegł Ludek człowieka rudego związanego, który, oczyma nań lypnąwszy, głowę prędko za plecy towarzysza ukryć się starał. Wyciągnięto go wnet z kupy za nogi, aż gdy twarz osmalona na jaw wyszła, Ludek zawołał :

— O! ten ci to jest, który ich tu pewnie prowadził, wypatrzywszy wprzód drogi! Znam ja go, to Niemiec, Hengo się zowie. Zamianą wrzekomo po chatach chodził, był u ojca naszego, łamał chleb z nami, a poznawszy kraj, teraz Niemców braci przyprowadził, służąc im przeciwko nam...

Dobek krzyknął porywczo :

— Na gałąź z nim !

Lecz Ludek wstrzymał.

— Nie, dajcie go mnie, dyby mu nałożę i do sochy zaprzęgę, za wołu stanie, bo silny. Niech żywie, śmierci z mojej uprawy dłań nie chcę, bo naszym gościem bywał.

Ludkowa czeladź na skinienie zaraz go odprowadziła — lecz nim odszedł, na ziemię padłszy, płakał, dopraszając się litości. Przysiągł, iż wcale winnym nie był zdrady, bo go kneziowie z sobą gwałtem pochwycili, wiedząc, iż bywał u Polan, ale dróg im nie pokazywał. Iść tylko musiał, bo mu śmiercią grożono. Wiary mu jednak nie dając, w pętach precz go nazad odciągnięto.

Zebrane drużyny leży odpoczywać na pobojuwisku, weseląc się i ofiary bogom składając dziękczynne za zwycięstwo.

Stosy z trupami, do których drew przyrzucano, rozplonęły jasno, stała się noc, jak dzień. Lasy dokola, jak złotem oblane, drżały, gorzały lunami pola dalekie, ogromne słupy dymu purpurowego, wyrastając ponad puszcze, nad wzgórze — daleko i szeroko roznosiły postrach jedynym, drugim przeczcucie zwycięstwa.

W kotłach znowu ponastawiano jadlo, warzono i pieczono, pozasiadała starszyzna rany zwięzywać i opowiadać, jak walczyła, czeladź tymczasem gromadziła łup rozkładając z osobna tarcze, odzieżę, miecze. Było się czym obdzielać i w czym wybierać, bo łupieski żołnierz niósł z sobą wszelkiego mienia; nigdy zdobyczy obfitszej nie pamiętali ludzie. Radość stąd czeladzi była wielka.

O pogoni za resztą Kaszubów i Niemców nikt już nie myślał, utrzymywali nawet kmiecie, że kneziowie, kłęską tą odstraszeni, nie odważą się na drugi najazd i Pomorców ani Kaszubów do posiłkowania nie znajdą tak łatwo; a Niemców z dala sprowadzić nie będą mogli.

W obozie teraz znalazło się do zbytku wszystkiego: najeźdźcy łupiąc po drodze, wieźli z sobą nawet beczki z miodem i piwem, pobrane po dworach, pod lasem całe trzody stały w zasiękach, zabijano więc bydło dla nakarmienia ludzi i do rana przeciągnęło się ucztowanie i ofiary.

Nad świtaniem, wśród tej radości i dostatka, ochota się wzięła wielka a zbytnia, tak że gdyby naówczas owa garść Kaszubów wróciła na pobojuwisko, łatwo by może nad biesiadującymi odniosła zwycięstwo.

Jeńcy tylko, jak skoro nadszedł dzień, podziękowawszy wybawcom, zabrawszy z trzód, co kto poznał za swoje, do zagród popalonych odciągając poczęli. Reszta, strażę rozstawwszy, pospała się, leżąc na ziemi.

Słońce już było wysoko, gdy czujniejsi budzić się zaczęli — a tu głód znowu czuć się dawał, — powrócono więc do mięsa, piwa i miodu, a biesiadowano znów do nocy.

Ta, gdy ich zaskoczyła, nie czas już ruszać się było, zmęczenie dawało się czuć wszystkim, pozostali więc przy pobojuwisku. Tylko że ze spalonych trupów smrodliwy dym im dokuczał, położyli się nieco opodal, drew przyrzuciwszy, aby się ciała podopalały do szczętu.



O wieczornej porze Ludek, kazawszy przyprowadzić przed siebie Henga i z litości go nakarmiwszy, badać zaczął wraz z Dobkiem. Posądzono bowiem Niemca, że wiedział więcej niż się przyznawał. Nic z niego jednak wydobyć nie mogli, mimo groźby. Prawił tylko, że dziad dwu młodych Pepelka synów, który nad granicą za Łabą siedział i zbrojnego ludu miał pod dostatkiem, dla pomszczenia córki i pomocy wnukom wszystko ważyć był gotów, że młodzi zajadli też byli i odważni, zatem, jeśliby do swoich dzielnic nie mogli powrócić, nieustannie Polanów niepokoić będą. Dawał też do zrozumienia, iż zgoda łatwo by się mogła dać zrobić, gdyby się o nią postarano.

Puszczono go z tym nazad. Dobek szedł ze starszyzną radzić, co miał dalej przedsiębrać czy na granicę iść mścić na Pomorcach napady nieustanne, lub do domów powracać. Wszyscy jeszcze świeżym zwycięstwem zarzani, gotowi byli iść na kraj świata i wojować; postanowiono przynajmniej granicę splądrować i nastraszyć najeźdźców w domu. Jak świt więc dalej ciągnąć miano. Ludkowi tylko i Domanowi zdano jeńców pomorskich, aby ich odprowadzili i jako niewolników rozdali po kmiecych zagrodach. Do dnia poczęło wojsko ruszać na wyprawę, stanice podniesiono do góry, jazda na koń siadła, kupy piesze gromadzić się zaczęły. Ludkowa czeladź, co Pomorców pędzić miała, biczami smagając poczęła ich zmuszać do wstawania z ziemi. Straszny był widok tej dziczy rozpaczonej, która, losowi swemu nie chcąc się poddawać, wyla, tarzała się, rzucała, dopóki biczyskami, jak trzoda, nie została zmuszoną do pochodu. Pędzono ich pieszo, otoczywszy konnymi, z rękami w tył powiązanymi, poczepionych razem. Ciągnęli nie mogąc uciec ani nawet ruszyć się inaczej, tylko wlokąc jedni drugich za sobą. Na pół nadzy, poodzierani, ranni, wlekli się, padali i wyli. Upartszych koniom do ogonów przywiązywano. Henga sam Ludek na postronku prowadził, aby mu nie uszedł.

Wszędzie z radością wielką witano posła zwycięstwa, bo luna, widziana nocą, postrach była rozniosła. Ludzie biegli przypatrywać się pobranym zbójom, obrzucać ich przekleństwem i razami. Pozostających zabijano w dyby, by uciec nie mogli.

Starszyzna jednak zazdrościła Dobkowi odniesionego zwycięstwa, lękając się może, aby wojsko w ręku mając, po władzę nie sięgnął, niepokoiła się spóźnionym jego powrotem i niedokonanym wyborem knieża.

Mruczano, powtarzając rozkazy wyroczni, aby wybrano pokornego, ubogiego i małego.

Myszkowie i Leszki znowu swoich objeżdżali. I jedni i drudzy stawali często przed zagrodą Piastuna, żądając od niego rady, a wymawiając mu, że pszczoły swe więcej kochał, niż sprawę mirową, od której trzymał się z dala.

Stary uśmiechał się milcząc.

— Gdybym ja pomoc mógł — mówił, — chętnie bym rękę przyłożył. Cóż ja mogę biedny, gdy możni jak wy, nic potrafić nie umiecie? Bogów tu raczej prosić trzeba niż ludzi, aby oni nam dopomogli. Łatwiej było złęgo obalić, niż na lepszego się zgodzić.

Leszków nikt nie chciał, aby się za krew swoją nie mścili. Myszków się lękano, by nieprzyjaciół i niechętnych sobie nie prześladowali. Spokój, który na chwilę zapewniało zwycięstwo, dozwalał odetchnąć i przygotować wiec nowy.

Poczuli już możniejsi, że jedni drugich nie dopuszczają do władzy. Wyrocznia też chodziła ze swą radą po głowie, rodziła się więc u wszystkich myśl, aby wybrać takiego, co by pokornym i małym będąc, wdzięcznym był im za cześć i wyniesienie, a łagodnie z nimi poczynał. Szło tylko o wynalezienie człowieka.

Na każde imię było więcej tych, co mu się sprzeciwiali, niż co by je popierać chcieli.

### III

Korzystając z uspokojenia, Doman się do wesela spobił. Chciał je mieć hucznym i głośnym, stary też zdun, który córkę za bogatego kmiecia wydawał, pragnął pokazać, iż go stało na przyjęcie i uraczenie choćby najliczniejszych gości. Z obu stron przygotowywania czyniono wielkie.

Doman, naprzód odziawszy się bogato i czeladź postroiwszy, wędrował od dworu do dworu, družbów sobie na wesele spraszając.

A gdy tak jechał i stanął po drodze przed Wiszów zagrodą, ścisnęło mu się serce i Dziwa przypomniała mimowoli.

Ludka znowu doma nie było, bo, zdawszy jeńców, pośpieszył za Dobkiem nad granicę, młodszy brat gospodarzył.

U wrót stanąwszy, ręce sobie podali.

—Dziewkę sobie biorę — odezwał się do niego Doman — za družbę was proszę...

— Będę wam chętnym družbą — odparł chłopak. — Cieszę się, żeście o naszej zapomnieli...

Popatrzał mu się Doman w oczy i roześmiał niewesoło.

— Nie myślcie — odpowiedział, — żem sobie dziewczynę napytał, jak wasza... Krasy chciałem, więcej nic... hoża jest i młoda!... Biorę córkę zduna z nad jeziora Lednicy... Co mi tam! nie dbam, czy mi co przyniesie! Oczy jej się śmieją, może i ja poweseleję... bo mi jakoś nieraźno... Weźcie więc konia i gotujcie się do drogi... będziecie mi bratem, niech ludzie wiedzą, że zemsty nie szukam i żeśmy druhami, jak dawniej.

Ścisnęli się znowu za ręce, pożartowali chwilę wesoło i Doman pojechał dalej. W chacie u Wiszów wiado-



mość o tym zadziwiła niewiasty. Żywa, stojąca u ogniska, zarumieniła się mocno, spuściła oczy. Może myślała, że się odezwie do niej i ją weźmie. Teraz, bez ojca i matki, cicho było i smutno. Bratowe popychały, bracia nie bronili bardzo... Poszłaby z nim, ale — brał inną. Taka dola...

Stary zdun trochę o garnkach zapomniał, gotując wesele. Córka mu też nie dawała pokoju, tak wielu rzeczy jej było potrzeba. Mirsz na nic nie żałował.

Miód dawno sycony na to wesele stał w pogotowiu, piwo warzyć zaczęto, a chmielu dosypywano do niego dostatkim, tego chmielu, o którym stara pieśń nosła, że psotnik, nic dobrego, „z dziewcząt robił mężatki”, bo go przy weselach dużo spijano.

Baranów i koźląt dość też na rzeź naznaczono, a i wieprzaków kilka miało paść ofiarą. Na kołacze mąka sucha, wysiewana stała w bodni, w pogotowiu.

Jednego dnia Jaruha znalazła się w progu zagrody, dobrawszy znać taką porę, gdy stary zdun był u pieca zajęty. Spojrzała na Milę i twarz się jej od śmiechu tak wykrzywiła i pomarszczyła, jak grzyb, który człek nogą przyciśnie.

Wzięła się wiedźma w boki.

— A co, Miluchno? a co?... może się stara nie zna? może nie umie zaczynać i odczyniać? może ziele jej nieskuteczne?... Dajże mi piwa, bo mi w gardle zasycha...

Dziewczę zarumieniło się, zmieszało, pobiegło prędko kubek piwa podać starej. Ta w progu usiadła, torbę położyła na ziemi, dobyła placka kawałek i z rozkoszą do ust poniosła napój ulubiony.

— Widzisz — mówiła powoli, uśmiechając się i mrużąc. — żupanam ci dała, a będziesz panowała... a gdyby nie ja i nie mój lubczyk... ho! ho! albo by to nie była nigdy, lub — nierychło. Stare baby młodym się też na coś przydać mogą. Zaczynić i odczynić... przyciągnąć, odepchnąć... my to wszystko znamy... Będzie

ciebie kochał — dodała ciszej — a jeśli tam u niego już są inne jakie... te ci służyć będą, jak niewolnice... U bogatych ich bywa wiele, a tobie to co szkodzi?...

Zarumieniła się Mila znowu i oczy zakryła rączkami.

Teraz, jakoś, gdy otrzymała to, czego pragnęła, lękała się i trwożyła. Przyszło jej łatwo, strach ogarniał!

A Jaruha piwo piła i głową potrząsała nie czekając odpowiedzi. Kubek był już próżny, milcząc, podała go Mili i dziewczę napełniło raz drugi.

Jaruha wypróżniła go chciwie.

— Na cześć Trójgłowowi, Miluchno — odezwała się, — daj trzeci kubek, to się już powlokę. Nogi mam słabe, muszę pić na jedną, a potem na drugą nogę, i na rękę też, która kij trzyma, bo tak jak trzecia noga...

I śmiała się Jaruha, śpiewać już zaczynając.

— O! o! co mi oni porobili, co porobili na tym białym świecie naszym! — poczęła smutniejąc nagle i głową machając z jednego ramienia na drugie. — Kneź i biała pani... oboje... poszli do ojców bez stosu i pogrzebu! Mnie ich szkoda... gród pusty! Trawa rośnie na zgliszczu... Kneźna się na ziele znała, wiedziała, co z nim robić, o! o! nosiłam i ja jej ziele, na młodzika, rwanego po mogiłach... Dawała czasem pić i jeść, dni dwa i trzy, płótna kawałek, sukna okrawek... Kneź szczuł sobakami z podwórza, bo młode ściskał, a starych nie lubił... ale mnie żaden pies nie ukąsi. Zaraz by się wściekł. Teraz na grodzisku... het, pustki i węgle... nie ma nic. Sroki skrzeczą tylko... Chodziłam grzebać w kupach popiołu... ino gdzie niegdzie kostki bieleją... Szkoda dworu malowanego! szkoda!

Dopiwszy trzeciego kubka, rozweseliła się znowu, otarła usta, oczy się jej zaświeciły, chciała wstać, nie mogła, dziewczę ją podniosło z ziemi. Podparła się na kiju, zmoćowała i głową kiwnąwszy, powlokła się dalej, śpiewając:

— O lubczyku, ziółko złote!... Jaką ty masz wielką





Doman siedział na pościeli — Jaruha zaczęła mu się przypatrywać pilno.



cnotę : czy pani, czy chłop, nic nie pyta, a za serce wnet go chwyta... o lubczyku, dobre ziele, prośże ty mnie na wesele !...

Obiecując sobie przybyć na nie, choć nieproszona, Jaruha, która nigdy na miejscu nie mogła długo usiedzieć, dalej się powlokła.

W drugiej chacie krowa mleko dawać przestała, trzeba ją było okurzyć, aby czar i urok zadane odczynić... Dalej ktoś w życie zawiązał węzeł na chorobę i cały zagon stał nietknięty, aż Jaruha go dopiero rozplątać mogła bez szkody. Znała tajemnic wiele : odejmowała zimnicę, uspokajała tych, których duchy o ziemię rzucały ; sama się czasem dziwiła sobie, iż umiała tak wiele.

Po tym piwie chmielnym świat wydawał się jej dziwnie wesoly i jasny, chociaż nogi za to ledwie się wlokły.

Doman wedle obyczaju przysłał swaty ; naznaczono dzień wesela. Zdjęto koło na tyce, zatknięte nad chatą, oznaczające parobczakom, że tu coś było do wywiezienia.

Mila dobrała sobie drużek sześć, wszystko krewniaczki z okolicy, których się powstydzic nie mogła, bo wszystkie były hoże, młode, świeże, jak ona, i wesole, a żadna nad nią piękniejsza nie była.

Doman też sześciu drużbów prowadził z sobą, wszystkich jak jeden, kmiecich synów dorodnych, z których każdy mógł się pochwalić suknią, kołpaczkiem, pasem i koniem, zręcznością, przytomnością i siłą.

Dziewierza nie miał ; Wizun mu go zastępował, prowadząc drużbów za sobą. Poszły zaprosiny urzędowe naprzód od dworu do dworu, z wieściami i śpiewami, wedle dawnego obyczaju, od ojca dziewczyny i od pana młodego.

W chacie zduna zawczasu kręciło się niewiast biało odzianych bez liku ; siostra Mirsza starego miejsce matki zastępowała.

Lecz, jak to bywa często przed weselem, choć się wszyscy radują, Mila, co tak za kmiecicia iść pragnęła,

czuła jakąś trwogę, a Doman, choć ją znajdował piękną, gniewał się na siebie, że go serce gdzie indziej ciągnęło. Żal mu było jej i siebie.

Ale cóż? słowo się rzekło... musiało się wesele odbyć, jak zapowiedziano.

Stary Mirsz też, choć nie przeciwił się doli, chodził chmurny, chata mu opustoszeć miała ze szczętem. Bracia też milczeli posępni.

Po cichu za węglami mówili sobie: — Woleli byśmy, aby poszła za swoim, za zdunem... Kto wie, jaki ją tam los czeka i ile ich tam jest?

W przeddzień wesela wszystko było w pogotowiu. Chata wybielona, wymieciona, wykadzona jałowcem i ładaniem, posypana kosaćcem, u drzwi powieszono wianki, wszystkie naczynia postawiono nowe. Około dziewczyny, jak zwykle zasepionej i smutnej, kręciły się drużyny wesołe i przybrana macierz stara. Stojną była Miła na ten dzień ostatni w najcieńsze płótno, w najpiękniejsze pierścienie i kolce, które od ojca miała; dziewicze kosy zaplątane starannie raz ostatni ją zdobiły.

W chacie już od rana nie ustawały pieśni ani na chwilę, bo każda godzina tych dni uroczystych miała swoją, którą odśpiewać musiano.

Przed przybyciem młodego zaczęto już mięśnię korowaj, placek weselny, na którego przyjęcie piec się dopalał jasno i wesoło.

Dziewczęta koło dzieży stały i sypały w nią siedem miarek mąki, jak śnieg białej, lały miód, lały wodę kryniczną, a każdemu sypaniu i laniu każdemu nowa pieśń towarzyszyła, co je tłumaczyła.

W takt potem pieśni białymi rękami ciasto ugniatały niewiasty, śmiejąc się i żartując z narzeczonej smutnej, w której smutek udany nie bardzo kto wierzył, choć oczy miała naprawdę zapłakane.

Z pieśnią się odbył taniec wokół dzieży, w której ciasto rosło, z pieśnią poczęto lepić misternie korowaj

święty, ofiarny, na którym spleciona kosa panny młodej siedziała i ptaszki, i pozatykane gałązki zielone, jagódki czerwone, kłosy dojrzałe... Wszystko to były godła dziewictwa, młodości, wesela, które się z tym dniem ofiary kończyły, a poczynało od niego życie trudu, łez i pracy, które jedna miłość miała osłodzić.

Gdy korowaj był skończony, ulepiony, ustrojony, z nową pieśnią do pieca go niesiono uroczyście, rzucając z nim razem kukułki z ciasta urobione, ptaszki poświęcone bóstwu żywota — Żywi.

Zamknięto naówczas piec, przy którym starsze niewiasty pozostały na straży, a pannę młodą posadzono uroczyście na ulu, zasłanym ręcznikami, i druhny poczęły nucić smętny śpiew pożegnalny, zamykający w sobie całe dzieje młodości, żal po domowych progach, źródle, z którego wodę czerpała, ogródka, gdzie rutę sadziła, po dobrych braciach, po ojcu i macierzy kochanej, po złotych dniach majowych.

Mili płynęły znów łzy z oczów, gdy jej kosy rozplatanano. Pana młodego nie było jeszcze, spodziewano się, wyglądano co chwila. Brat miejsce jego zasiadał przy siostrze, jako dawny jej stróż, opiekun i obrońca ze krwi prawa.

Zmierzchało już, gdy zatętniało na drodze i — plasząc w dłonie, druhny wołać zaczęły.

—Księżyc jedzie młody!

Księżycem dnia tego był Doman, któremu sześciu młodzieży na koniach towarzyszyło, w kołpakach futrzanych z piórami, w pasach kowanych, w oponczach suto bramowanych, z ręcznikami bogato szytymi przez ramiona.

Pan młody, choć blady jeszcze, krasą i odzieżą wszystkich przechodził. Konia pod sobą miał siwego z długą grzywą, okrytego suknem czerwonym, któremu na łbie świecił czub błyszczący. Pas na nim cały był z kółek zło-



cistych, pod szyją zapinka świecąca, u boku lśniący miecz, na głowie czapka z piórem i łańcuszkiem.

Na stajanie od chaty puścili się ku niej czwałem, a gdy u progu stanęli, aż ziemia zatętniła.

Broniono im przystępu zrazu, niby najeźdźcom i gwałtownikom, co na cudze dobro czyhali, nie dawano im przejść proga, musieli się spierać, opowiadać i okupić. Dopiero ich przepuszczono, gdy podarki dali. Doman wiele ich wiozł z sobą, a gdy z krasnej chusty wysypał je u nóg młodej, dziewczętom się aż zaskrzyły oczy. Były tam zamorskie, z dała przywiezione klejnoty, pierścienie, naszyjniki, naramienniki, korony na głowę, szpilki i para garści pianażków srebrnych i droższe nad nie może, paski malowane, pstre wstęgi, które tylko z Winedy dostawano, dokad nie każdy wiedział i przebyć mógł drogę. Był i kubek jakby złoty i naczynko przezroczyście z drogiego kamienia, któremu się wszyscy dziwowali, bo było niby z lodu, a słońce na wskroś przez nie patrzyło.

Tymi darami okupił sobie młody miejsce przy dziewczynie, którego mu brat ustąpił. A tuż i korowaj wynoszono i różgę weselną zieloną, całą we wstęgi przybraną, w blaski, pióra i strzępki, z szytym ręcznikiem krasnym.

I znowu brzmiała pieśń na pół żalonna, pół wesoła: żal za domem, za swoimi, przeszłości obawa, przecucia pracy ciężkiej, modlitwy do bogów i wróżby.

Wtoczyli się też zaraz za młodym do świetlicy dwaj gęślarze i dudarz z kobzą — grajki weselne, co i pieśniom wtórować, i pieśniami kierować, i do skoku przygrwwać umieli.

Chata już pełna była, jak nabił. Mirsz stary częstował i prosił, bracia z dzbankami chodzili i poili, piwo i miód nalewano nie ustannie. A że w izbie miejsca wkrótce nie stało, chłopcy i dziewczęta koło wiedli w podwórku, gdzie gędzba usiadła na przyzbie.

Pieśni a pieśni lały się jedna po drugiej.

Śpiewano za młodą, za braci, za młodego, prześpiewano tak niemal noc całą. Nocka była letnia, gwiazdzista, księżycowa, ciepła, nikomu się spać nie chciało. Starzy chyba, siedząc, zdrzemnęli się po miodzie na ławach, drudzy na trawach pod drzewami, a gędźba nie ustawała. Co jeden przerwał, to poczynął drugi.

Młody siedział przy Mili, a patrzył na nią i wzdychał; tej serce biło ze strachu. A! tamtych dni, gdy się jej ptaszkiem z chaty furknąć chciało, o tym smutku i obawie pojęcia nie miała. Skądże się teraz wzięły te łzy i ta trwoga?...

Doman też pasem się bawił, na ścianę patrzył milcząc, niby się uśmiechał, a gdzie był myślami, o tym nikt nie wiedział.

Tymczasem druhny nuciły:

„Żegnaj mi, progę domowy, żegnaj, ogródka ruciany, studeńko, w której ja wodę czerpałam dla mojej trzódki. Żegnaj mi, siostró kochana, żegnaj, mój bracie rodzony, i tobie, ojczu mój siwy, do nóg upadam, splakana... W świat idę, obcy mnie wiedzie, wianek mój z strumieniem płynie, kukulka wróży na brzozie, łzy z oczów cisną się gorzkie... Ojczu mój, bracia rodzeni, kiedy ja znów was zobaczę? Tam mi obarczą ramiona, nikt na de mną nie zapłacze...”

„Tętni droga, lasy gwarzą, potok szumi na dolinie... Brzęczy coś, huczy coś, ktoś do chaty pędzi... Księżycowe lice, oczy ma jak gwiazdy, królewicz to pan — po naszą dziewczynę. Cały w złocie, w jasnej szacie, jak jabłuszka malowani. Hej! otwórzcie chaty wrota, druzyna jedzie złota po dziewczynę, po malinę... Dary ojcu wielkie wiozą, bratu, siostróm i macierzy... Nie płacz, otrzyj oczy czarne, wianuszek mu oddaj rada... Malowany dwór u niego, złote progi, srebrne statki... A! ja płacę, łzy mi biegną, nie będzie mi, jak u matki...”

O słońca wschodzie ruszył cały pochód na uroczysko

pod dęby święte ; stary ojciec miał ich tam pobłogosła-  
wić. Drużby na konie posiadali, pannę młodą wsadzo-  
no na wóz, cały suknem okryty, cały kwiatami obwie-  
szany. Zajechały, nucąc a zawodząc, druhny, goście,  
tłum ciekawy.

U starego dębu młodzi szli po kolei wszystkich prosić  
o błogosławieństwo, padli ojcu do nóg, przybranej matce,  
wszystkim stojącym dokola, aż do małych dzieci. Potem,  
za ręce się pobrawszy, kołaczem się lamali ; włożono im  
korony na głowy, pili z kubka jednego, dłoń w dłoni  
siedem razy dąb święty obeszl dokola i ojciec ich trzy-  
kroć ziarnem obsypał, a poza nimi stojąca drużyna ciągle  
pieśni nuciła weselne.

Wyłano bogom ofiarę, odpędzono czary i uroki, ka-  
dzono zielem, rzucano liśćmi, kropiono wodą i orszak  
cały nazad się puścił do chaty.

Tu zabrzmiały pieśni nowe a inne. Dziewczęciu roz-  
platano włosy, kosę dziewiczą obcięto i głowę czepcem  
osłonięto, a gdy biała namitka otoczyła czoło młodej,  
lzy się jej z oczu rzuciły żalodne, śpiewy rozległy tęskne  
i bolejące. Żegnały ją drużki dziewice... ale gęślarz  
głośniej w struny uderzył i płaczu słyhać nie było.

Do skoków stawać musieli weselni i na gwałt się we-  
selić, aby wieczór ten złą dla życia nie był wróżbą.

Zanucono pieśni chmielne, bo też chmiel w głowach  
panowanie swe rozpoczynał.

— Chmielu, ty psotniku, co ty robisz z ludzi, dziewicą  
szła z chaty, mężatką się zbudzi... Chmielu ty, mój chmie-  
lu, jak ty psujesz głowy, świat był wczoraj czarny, dzi-  
siaj mi różowy... Chmielu, co po tyczce zwijasz się do  
góry i chciałoby się z tobą tak ucześcić której... Dziel-  
częta, dziewczęta, uciekajcie z drogi. Chmiel idzie, pan  
idzie, podcina nogi... O chmielu, o chmielu, cudowneś ty  
ziele, przez cię jest szczęśliwych i biednych jest wiele.  
Chmielu ty weselny, królu nasz a panie, niechaj choć do  
jutra trwa twe panowanie.



O chmielu!

Całą tak noc tętniała od skoków chata Mirszowa, tętniało i rozlegało się podwórko, niektórzy znużeni, na przyzbie spocząwszy ledwie, wracali pić i skakać.

Już młodzi byli na świronku w łożnicy, a piwo i miód bez ustanku krążyły. Kto przypadł, ten sam sobie do woli czerpał z kadzi, bo w taki dzień każdy gościem był miłym. Kupy też tych, co szli na Lednicę, z ciekawością zwracały się ku chacie, stawały, zbliżały, dudziarz grał, a gęślarze śpiewali.

Już słońce wstawać miało, gdy ujrzano z pola śpiesznym krokiem idącą o kiju starą babę. Stawała niekiedy, oglądała się, jakby przełękla, podniosła kij i wołała coś przeraźliwym głosem, ale słów dosłyszeć nie było można, bo i dudarz grał donośnie, i gęślarze śpiewali, a młodzież, hasając, pokrzykiwała.

Wiedźma coraz żywiej bieć zaczęła zdyszana, pozna-no w niej z dała Jarułę.

— Co jej jest? — zwołał stary Mirsz — leci, jakby oszalała...

— E! ona tak zawsze! — śmieli się inni — lubi piwo, a chmiel z nią czyni, co chce, gotowa jeszcze pójść w skoki...

A Jaruha szła, biegła oglądała się poza siebie strwożona i kijem kędyś pokazywała. Włos miała rozwiany w nieładzie, bieliznę pomiętą i zdartą, nogi pokrwawione. Dobiegłszy zdyszana pod same wrota, krzyknęła:

— Uciekajcie! uciekajcie! Jedzie, toczy się smok, gadzina! Pomorcy idą! Wrogi tuż za mną w ślad...

Usłyszeli wszyscy, ale nikt nie chciał uwierzyć własnym uszom i szalonej kobiecie.

— Tuman się toczy, dymy kłębią, tętni ziemia. Uciekajcie, uciekajcie, komu życie miłe. Ludzie, ratujcie się! Pomorcy idą!

Podniosła ręce obie do góry, krzycząc, i upadła zmęczona.

Stary Mirsz popatrzał w dal milczący i wpadł do chaty.

— Kto żyw. na konie! — zawołał. — Jaruha przybiegła z wieścią, nawala Pomorców się toczy. Uciekać! Stara oszalała może, może stado owiec za Pomorców wzięła. Niech kto jedzie, podpatrzy. Tumany jakieś widać w dali.

Popłoch padł na taneczników, jak gdy kania się nad stadem kuropatw uwiesi, ale głowom zażrzanym nie bardzo się wierzyć chciało. Mężniejsi się ku drzwiom rzucili, a dziewczęta i niewiasty do komory, krzyki zastąpiły śpiewy, głośniejsze od nich.

Doman też wypadł z chaty, za rękę wiodąc Milę przestraszoną i płaczącą, która czoło i oczy tuląc w dłoń, wołała:

— O doloż moja — o dolo!

W podwórku, zwijając się, wszyscy jak poszaleli wolarali głosami różnymi:

— Niemcy — Kaszuby — wrogi!

Młodzież biegła po konie na paszę. Ale cóż mogła ta mała garstka przeciwko nawale nieprzyjaciela? O obrońnie myśleć było nie podobna, chyba o ucieczce jednej.

Parobczak, który pierwszy, świerzopę starą pochwycawszy u płota, na wzgórze się dostał, zobaczył tuman w dali, usłyszał szcęk i wrzawę i nawrócił wnet, wołając: — idą, idą!

Wszyscy tracili głowy, nie było czasu prawie pomyśleć o schronieniu się adziokolwiek, chyba na ostrów, na Lednicę — a tu już czólna, jakie były u brzegów, pierwsi, co ich dopadli, pozajmowali i zamiast wiosł, chwyciwszy żerdzie, odbijali na głębinę.

Doman do szopy biegł po siwego. Mila za nim z rozpuszczonym włosiem, bez wianka, ręce łamiąc, we łzach cała.

Nie myśląc już o drugich, mąż ją chwycił i na konia

rzucił, skoczył nań sam, wybiegł przed chatę, obejrzał się krzycząc na swoich :

— Za mną, druhy !

Druźbowie też konie prowadzili i jak kto stał, jakiego dopadł, uciekali. Niewiasty biegły nad brzeg, ręce łamiąc i padając. Czółen brakło. Niektóre z nich śmiało rzucały się w wodę i płynęły.

W wirze tym i popłochu, kto gdzie mógł, szukał kryjówki, myśląc o sobie.

Mirsz stary miał jamę w ziemi wygrzebaną, do której wnijście było skryte, przy ludziach zdradzić jej nie chciał, z synem tylko, zobaczywszy Domana uciekającego, spojrzeli po sobie, zawrócili się gdzieś ku szopom i znikli. Nie pierwszą to napaść podobną stary zdun w kopanej jamie, której szyja dobrze była zakryta, przesiedział bezpieczny.

Za górą coraz silniej tętniało i dzikie słyszeć się dawały okrzyki. Chmura Pomorców i Kaszubów leciała z tumanem kurzawy, pędząc nad jezioro. Niekiedy z tego obłoku migwały głowy i dzidy.

Jaruha zmęczona, jak martwa leżała na ziemi, dysząc sił ostatkiem. Chata, przed chwilą brzmiąca weselem, stała otwarta i pusta, z korowajem obłamanym na stole, z kadziami piwa i beczkami niedopitego miodu. W podwórku nie było żywej duszy, psy u wrót ujadają.

Jedni, koni dopadłszy, ratując siebie i niewiasty, gnali czwałem po brzegu jeziora, drudzy czekali wroga, aby dopiero, gdy bliżej naskoczy, rzucić się wpław i próbować ująć śmierci lub niewoli.

Po wrzaskach nastąpiło milczenie, straszniejsze od nich jeszcze.

Gdzie i jak kto mógł, krył się, tulił, pełzał, przypadał. Starsze niewiasty, opuszczone, w kupkę się zbiwszy, u wierzb stały na stoku nad wodą. W dali już widać było drużynę Domana i białe szaty Mili, które około si-



wego wiewały, wiatrem rozdęte. Za nimi pędził tuman kurzu i uchodzących zdradzał.

Z dzikim wrzaskiem puścili się ze wzgórką Pomorcy w pogoń za uciekającymi, siekąc konie i ścigając ich zapalczywie. Drudzy już otaczali chatę i zagrodę, zagarniając, co żywego znaleźli. Psy u wrót, jedyni stróże, leżały pozabijane.

Reszta ludzi, u brzegu stojąca, plusnęła w jezioro, zbiegła w trzciny i sitowia. Do tych Pomorcy strzelać zaczęli, kilka pocisków utkwiono w nich, dały się słyszeć krzyki, znikli. Pozostali usuwali się od brzegu, który gęsto obsadzili najezdniczy.

Z Mirszowej chaty oberemkami wynoszono łupy i wiano młodej, podarki młodego, nagromadzone mienie starego zduna. A że garnków brać nie myśleli, poczęli je z gniewem tłuc i o ściany rozbijać, pokrzykując za każdym uderzeniem.

Wzgórze całe, jak zająć, przez wrogów było zajęte. Wśród tłumu ich widać było na koniach dwóch młodych dowódców, około których, cześć im oddając, drudzy się obracali. Po strojach za Niemców ich wziąć było można i Niemcami też byli otoczeni, rozstępował się im tłum, a gdy z koni posiadali, szli z dwornią do pustej chaty.

Oba z jasnymi włosy, twarzami bladymi, czarnymi oczyma, podobni do siebie, jak rodzeni, rodzonymi też byli. Synowie Pepelka Chwościka szli znowu, mszcząc się za ich rodziców i za niedawną klęskę. Za nimi, na powrozie ciągniono starca z siwą brodą, który gęsłą potrzaskaną w rękę trzymał. Pochwycono go gdzieś na drodze, a Niemcy ślepych tych pieśniarzy niecierpieli, bo oni śpiewali o starych, lepszych czasach. Gęślarz szedł niemy, ze spuszczoną głową, popędzany kijami i biczami, nie stękając, nie płacząc, nie oglądając się na tych, co, śmiejąc się, urągając, smagali go.

Na pustej ławie, na której niedawno panna młoda sie-

działa, zrobiono miejsce kneziowym synom. Tymczasem dwornia plądrowała po chacie, wynosząc, co gdzie było. Grabiono jedne sprzęty, drugie młodym znoszono. Starszyzna zmęczona czerpała chciwie resztki piwa, z zakątków dobywano poznajdywane placki i mięsiwo na misach.

Stary gęslarz padł u progu, ale go za sznur wciągnięto do izby. Brodaty, obwieszony kawałami żelaza-chłop, z oczyma zbielełymi, przystąpił do starca i kopnął go nogą. Chciano z niego dobyć wieści o bogatym chramie i skarbach na ostrowiu; grożono mu obwieszeniem i targano.

— Kaźcie wieszac! — wołał stary.

Chciano wiedzieć, ilu ludzi, jaka straż na Lednicy broni przystępu do kontyny, jak się najbezpieczniej dostać do niej.

Ptakiem doléć, rybą dopłynąć — jęczał szydersko stary.

Badano o najbogatszą w okolicy zagrodę, o najliczniejsze stada, ale starzec jęczał tylko, nie odpowiadał, chyba szyderstw. Zaczęto go nielitościwie smagać. Śmiał się i śpiewał razem, głosem jakimś strasznym — aż oprawcom ręce zdrętwiały.

— O doloż ty nasza — o dolo! Wesele i grób. Wazryli wesele, pogrzeb zgotowali. O doloż ty nasza, o dolo! Smagajcie, a żywo, niech dusza wyleci z ciała, prędzej, dość się nabolala! O Łado! Kolado! Kupało! pomóźcie jej z ciała.

Jakby nie czując już krwawego smagania, stary przyczołgał się do wiadra z wodą, nachylił je do ust rękami obiema i pić począł. Zamierzył się nań jeden z oszczepem i strzymał.

Ciągniono do chaty połapanych u brzegów, powiązanych, płaczących. Starszyzna niemiecka, otaczająca młodych panów, naradzała się. Spocząć tu chcieli, napłądrowawszy, o Lednicy nie myśląc, bo na nią przeprawa

była trudną, a napaść niebezpieczną.

Radzili tak jeszcze, gdy w podwórzu wesole zabrzmiały okrzyki. Stojący we wrotach wołali :

— Wiodą ich ! prowadzą !

Niektórzy biegli ku brzegowi. Kupa ludzi, co się w po-  
goń puściła, ciągnęła rannego Domana, którego pochwyci-  
ła w ucieczce. Siedział na koniu na w pół skrępowany  
sznurem, a przed nim leżał trup młodej żony, w której  
piersi tkwił oszczep i krew z niej stygnąca płynęła. Lice  
miała białe — życie już z niej uciekło. Doman zębami  
podtrzymywał ją za koszulę, bo rękami skrępowanymi  
nie władnął, sam był okryty krwią, ranny, ale nie zdawał  
się czuć bólu.

Ludzie go wnet z konia ściągnęli, ale rozerwawszy  
sznury, trupa pochwycił z sobą ; chcieli mu go odebrać,  
lecz ścisnął go tak silnie, iż we dwu i trzech zmóc go nie  
potrafili, padł więc z nim razem na ziemię.

Po sukni i z twarzy łatwo w nim zamożnego władkę  
poznali i z chaty wyszli doń synowie Chwostka, a z nimi  
Niemcy, ciekawie obstępując rannego.

Jeden z kneziów schylił się nad nim, pięść podnosząc.

— Psi synu — zawołał, — gdy nasz gród palono, gdy  
naszych zabijano, tyś tam także być musiał, przewodzi-  
łeś może zbójom !

Drugi naglić począł, aby mówił, kto na gród pro-  
wadził, kto knował ? Grożono śmiercią.

Doman, nic nie odpowiadając, na trupa patrzył niemy.  
Stali tak nad nim, to popychając go, to uderzając, to  
naradzając się z sobą, a chcąc koniecznie dostać języka.  
Lękali się może, aby ich znowu nie zaskoczono, ale  
nieszczęśliwy pan młody usta ścinał i słowa z niego do-  
być nie było można.

— Myśmy kneziowie wasi ! — wołał młodszy.

Doman dopiero głowę podniósł i popatrzał obląka-  
nym wzrokiem.

— Z waszego rodu żaden u nas kniaźyc nie będzie !—



zamruczał — niedoczekanie wasze! Wyście wrogi i zbroje, nie wam panować, gadzin plemię!

Przekleństwem skończył i zmilczał. Kazali go wlec precz i odeszli gniewni. Znęcali się Niemcy nad nim długo, ale ścierpiał wszystko. Związanego wraz z innymi poprowadzono do brzegu, gdzie już gromada innych leżała.

Pod wierzbą Mirszową padł na ziemię wysilony. Ręce miał skrępowane, nogi wolne.

Wieczorem trup zabitej Mili sam leżał u brzegu. Doman przypelznął do wody, gdy straż się pospała, rzucił się w jezioro i zniknął.

#### IV

Na ostrowiu, na Lednicy, u brzegu stał mnogi lud, patrząc i przysłuchując się w milczeniu.

Od dalekiego łądu wiatr mu przynosił wrzaski i dym, w którym czuć było palące się zagrody, od łądu woda niosła mu trupy, które podpływały do ostrowia, jakby o pogrzeb prosiły.

Płynęły w wiankach zielonych dziewczęta, jak na weselu poubierane, i niewiasty starsze w namitkach białych, które woda rozwiązywała, i dzieci ze ściśniętymi rączkami, a straszliwie otwartymi oczkami ślepyimi. Mrok padał, na łądzie tylko ognie widać było i dym, który pod wieczór rozścielał się, jak chusty sine.

Stali u brzegu wszyscy, z chramu wybiegłszy, i Wizun na kiju sparty, i siwowłosa Nania, i Dziwa z twarzą bladą, i stróżki od zniczowego ogniska, przy którym jedna ledwie została. Stali milczący, patrzali a słuchali — i co przypłynął trup, wiatrem gnany do brzegu, to się nachylał ktoś ku niemu, czy swojego nie pozna.

Przyjdąli Pomorcy? Napadną święty chram? Rzucić go i uciekać czy pozostać i dać się pozabijać u ognia

świętego? Myśleli tak wszyscy, a nikt powiedzieć i zapytać nie śmiał. Żaden jeszcze z najeźdźców nie ośmielił się nigdy na Lednicę. Niejeden raz widać było ognie i słyhać wrzaski, przecież odciągały wrogi, jak przyszły, choć skarby chramu ich nęciły.

Na ostrowiu było dość ludu do brania w niewolę, a na obronę mało. Niewiast najwięcej, dziewcząt i niedołężnych starców i dzieci. W kontynie oręż by się znalazł, w szopach było go dosyć zabranego na wojnach i poskładanego w ofierze, ale któż go miał wziąć? Za słabe były dłonie.

Wszyscy na starego Wizuna poglądali, który na pagórku stał, na kiju się oparł, patrzył i milczał. Chcieli mu wyczytać z twarzy, co myślał, ale twarz miał jakby zamarłą z bólu i skrzeptą. Nie drgnął w niej marszczek, nie poruszyły się usta, oczy osłupiale nie mrugnęły nawet, ani się łzą zwilżyły.

Choć wieczór nic już dostrzec nie dozwalał, stali tak jeszcze, patrzyli ciągle na Wizuna i ku ładowi. Wtem na fali coś plusnęło.

Ryba się to rzuciła czy człowiek ratował? Mrok widzieć nie dawał. Coś jasnego wystąpiło z fali i znikło. Poruszała się woda. Człowiek osłabły płynął powoli. Wizun z pagórka zszedł i zbliżył się ku brzegowi tuż, oczy jego dopiero teraz patrzeć zaczęły, jakby rozeznąć chciał.

Widać było ponad wodą głowę obmokłą, długim włosom okrytą... Pływak zbliżał się już ku wzniesieniu. Jeszcze chwila, a miał do łądu przyplynać, lecz zdało się, że mu sił brakło.

Wizun sam rzucił się prędko ku wodzie, wszedł w nią po kostki, po kolana, ręce wyciągnął; topielec się zbliżał, rzucił się ku niemu jakby wysiłkiem ostatnim i — za dłoń wyciągniętą pochwycił.

Starzec ciągnął go na suchy brzeg, ale omdlałego. Nadbiegł posługacz pochwycyco go dyszącego jeszcze.

lecz jakby uśpionego ze znużenia. Krew zgęstła na nim widać było i rany sine... Wizun przyklęknął nad nim.

— Doman! dziecko moje! żyjesz ty? — zawołał.

Oczy się otworzyły tylko i zamknęły. Podniesiono go i na sukni, którą Wizun zwłócił z siebie, złożono na murawie, drugą opończą okryto. Stary klęczał wciąż przy nim. Z dała przypatrywały się niewiasty.

Dziwa, której imię Domana w uszach zabrzmiało, zbliżyła się też trwożnie. Wizun zawołał na nią, aby podała ciepłego napoju.

Dyszał już ledwie topielec, mówić nie mógł, ale żył. Wizun, schylony nad nim, z wody go ocierał i dłońmi ogrzewał własnymi.

Ruszyli wszyscy do ratunku, stara Nania pobiegła ziela zgotować, które by życie przywrócić mogło.

Zwolna topielec jakby ze snu się przebudzał; klęknęła przy nim Dziwa, pojąc go sama, zapomniawszy o sobie i o wstydzie. Przyszła siwowłosa Nania, Doman otwierał oczy, ale powieki opadały mu znużone.

Wzięto go już nocą na nosze z gałęzi i niesiono do chaty Wizuna. Stary odstąpił mu posłania i na ławie usiadł przy nim; sam poobwiązywał mu rany. Przy chramie zawsze dla chorych ziela wszelkiego była siła. Wizun znał leki stare, spodziewał się więc dawnego swego wychowanka ocalić. Orzeźwiony, napojony, usnął mocnym snem do rana.

Opatrzywszy go, Wizun znowu poszedł czuwać u brzegu. Po śmiałych Pomorcach wszystkiego się spodziewać było można, nawet napadu nocnego garstki jakiej na Lednicę.

Nikt też spać się nie kładł do rana; siedzieli, czatując u brzegu. Na brzask się miało i cisza panowała dookoła, na jeziorze nie widać było pływających trupów, na łądzie pogasły ognie, gdy Wizun, który czuwał z oczyma wlepionymi w jezioro, postrzegł przy słabym świetle poranka jakby plamkę czarną na jaśniejszej topieli... Posuwała się ona zwolna ku ostrowi.





Świsnęły strzały. Kamienie posypały się z obu stron.

Płynął ktoś od lądu, lecz zwolna, jakby go sama fala niosła, bo wiatr dął z tamtej strony. Czasem czółenko stanęło, to znowu, pędzone podmuchem, zawróciło się i płynęło dalej.

Dniało. Wkrótce stary mógł już dostrzec ponad wątłym czółenką, podobnym do niecki, zgarbioną, jakby uśpio-  
ną postać kobiecą, płachtą okrytą. Ze znużenia znać drzemała w tym czółenku, które jej życie ocaliło, dając mu się nieść, gdzie dola wiodła. Tak zwolna, już nade dniem skorupka ta do lądu przybiwszy, zaczęła się kołysać, stanęła... Kobieta, siedząca w niej, przebudziła się, obejrzała, podniosła, płachtę zgarnęła, kij z czółna dobyła i — niepewnym krokiem chcąc się na ląd dostać, upadła.

Była to nieszczęśliwa Jaruha, której Pomorcy nie zabili; ocalała jako wiedźma, której czarów się lękano. Nocą jakieś zapomniane czółenko postrzegłszy na brzegu, siadła weń, odepchnęła się kijem i powierzyła wiatrom i wodzie.

Upadłszy, starucha odzyskała siły trochę i przytomności, orzeźwiła ją woda, którą obmokła; podniosła się rozglądając dokoła. Wizun wstał, poznała go zaraz i podnosząc rękę, szła zwolna ku niemu.

— Żywie, bóstwo moje, od śmierci mnie uratowało. Już, już Marena chwyciła za gardło, chcąc ciągnąć do Jamy, a Żywie, dobra macierz, płaszczem swoim okryła... i stare kości ocalały.

— Dużo ludu zginęło? — zapytał Wizun.

— Dużo? tyle, ile go było!... Zginęli wszyscy... Widziałam trupa tej, co wczoraj była dziewczyną, a umarła oczepiona... Oszczep jej w piersi wbili. Zginął młody, poginęli druzbowie, druzki, do psa wybili wszystkich, do nogi.

Potrząsała głową starucha, patrząc w ziemię i ocierając twarz zmkłą.

— Spalono chaty?



— W popiele wszystko... w popiele... Krukowi biesiada, a ludziom żaloba i łzy — westchnęła.

— Pociągnęli dalej? — spytał Wizun.

Na to pytanie Jaruha, nie umiejąc odpowiedzieć zrazu, palcem się zaczęła bić w czoło, sama z sobą się biedując, aby myśli zebrać rozsprzęgle.

— Leżałam zabita na ziemi, gdy mnie Żywie płaszczem swym odziało... nie widziałam nic... nie słyszałam nic... Szumiało długo koło mnie, deptali nogami. Czekaście? cóż się stało? Ha! nad ranem, nad ranem coś ich nastraszyło.

Bogunki i wodnice występować zaczęły z jeziora, wiatr zadał i pędził ich precz... Ruszyli się, zawyli i dalej z łupem pociągnęli, a trupy zostawili na brzegu. O! trupy bieleją, jak kwiatki wiosną na łące... Poszli, poszli — już ich nie ma, ale któż wie, czy nie wrócą?

Wizun lżej trochę odetchnął, lecz czy starej Jariusze, której się w głowie mieszało, uwierzyć było można?

Pytana, coraz inaczej rozповідаła... Potem i głosu jej zabrakło, siadła na trawie przy drzewie, głowę o pień oparła, twarz płachtą przykryła i usnęła.

Tymczasem i drugie czółno nadpływało. Wiozło ono starego parobka, który w trzcinach się schowawszy, poszyję w wodzie stojąc od rana, dopiero o brzasku znalazł łódkę jakąś, by na niej do ostrowia dopłynąć.

Ten opowiadał, że Pomorcy, złupiwszy i spaliwszy okolice, nastraszeni jakąś wieścią, w nocy im przyniesioną, nazad do swoich lasów pierzchnęli. Słyszał on, że tratwy i czółna wiązać chcieli, aby się dostać na Lednicę po skarby, ale ich spłoszył goniec, który od granicy biegał. U jeziora nie zostały w istocie tylko popioły i gruz, a stratowana ziemia i niepogrzebane trupy.

Uspokojony, poszedł Wizun do świątyni i do swojego chorego, ale ten spał jeszcze, a dobudzić się go było trudno. Stary więc, nagotowawszy strawy, siadł czekać, ażeby sam z tego snu wyszedł. Niekiedy tylko rękę mu



kładł na czole i sercu, czoło było gorące i serce biło żywo. Rany się pozamykały i przyschły.

Z południa ciężkim westchnieniem zbudził się Doman, chciał się podnieść — nie mógł, nie wiedział, gdzie był, i dopiero Wizuna mowa pamięć mu zwolna przywróciła. Ten jeść i pić kazał mu, nie pytając już o nic, a po wy-poczynku dopiero usta otworzyć pozwolił.

Jak przez sen pamiętał Doman wesele swoje, popłoch nagły, ucieczkę z Miłą, pogoń za sobą, śmierć dziewczę-cia, potem niewolę, znęcanie się, ostatni wysilek dla ocalenia i walkę z wodą, którą, choć osłabły, potrafił zwyciężyć, dostając się do ostrowia. Przypomniwał sobie, jak w gorączce rozpaczliwej bronił się śmierci, zdrętwie-niu, jak fale unosiły go i rzucały, jak tonął i dobywał się z topieli, aż nareszcie u brzegu ujrzał nad sobą znaną twarz starego Wizuna... O smutnym weselu swym Do-man mówić nie umiał. Wizun nie chciał słuchać.

— Wydechaj no chorobę, sił nabierz — rzekł Wizun— potem na koń wszyscy i Pomorcom dać naukę!

— My dziś pszczoły w ulu bez macierzy, nie ma pro-wadzić, nie ma kazać komu, zginiem, gdy tak potrwa dłużej! Leszków nie chcieli, niech wezmą, kto z brzegu, bez głowy się nie ostaniemy. Wyrocznie rzekły: wy-bierzcie małego, wybierzcie pokornego, ubogiego wy-bierzcie...

Ale tego dnia, ani następnego Doman powstać nie mógł; paliło go pragnienie, snem gorączkowym usy-piał, budził się z krzykiem i drzemał znowu.

Wizun przychodził, przesiadywał, oddalał się. Dwa razy, gdy spał Doman, do chaty podkradła się Dziwa, podsłuchiwała pode drzwiami, uchyliła je ostrożnie, słysząc, że usypiał, popatrzała na twarz bladą i pierzch-nęła zarumieniona i przelekła. Lękała się, by ją kto nie schwycił tu, a widzieć go pragnęła, — wstyd jej było samej siebie.

Trzeciego dnia, podniósłszy się, siedzieć mógł i był spokojniejszy. Dziwa się już nie pokazywała. Nad wie-

czorem przypadła na nią kolej zanieść stawę dla chorego i starego... zawahała się, strach brał i ochota razem.

Wizuna właśnie w domu nie było, gdy przyszła, a Doman siedział sam... Obaczył przez okienko, jak pierzchnęła z sieni.

— Dziwa! Dziwa! — zawołał — ranę byś mi opatrzyła, świeżym liściem obłożyła, gdybyś litość miała.

— Toć ci Wizun czyni sam! — odpowiedziała z dala, chcąc ujść.

— Staremu się ręce trzęsą! — odparł Doman.

Dziwa chciałaby pójść i wahała się, aż Wizun nadciągnął. Doman, ujrawszy go, prośbę powtórzył.

— A idźże mu rękę przewiązać! — rozkazująco rzekł stary, — nie czyja to sprawa, tylko niewiast być powinna.

Dziwa usłuchać musiała i razem ze starym do chaty weszła, zapłoniona cała. Doman siedział na ławie w koszuli i siermiężce, a na piersiach, gdzie się płótno rozchodziło, dziewczę postrzegło szeroką bliznę, tę, którą mu jej własna ręka zadała. Zdało się nawet dziewczynie, że ją może odsłonił umyślnie. W milczeniu, posłuszna, przystąpiła do ręki i prędko świeże liście przyłożywszy, cofnęła się co żywo, a za drzwi wyszedłszy, jak strzała pobięła do chramu.

Wizun w twarz popatrzał Domanowi; oba niemym wzrokiem niby coś sobie powiadać zdawali.

— Dziewka się ciebie boi — rzekł Wizun, — a ty, niepoczciwy, znowu patrzysz na nią.

— Zapomniałbym może, gdyby mnie tu nieszczęsna woda nie przyniosła! — odpowiedział Doman.

— Dola — szepnął Wizun.

— Dola — powtórzył Doman i zamilkli; stary coś poprawić poszedł w kątku, jakby chciał ukryć wyraz swej twarzy.

Nazajutrz, gdy Doman spróbował wyniść i usiąść w progu, nie pokazała się już dziewczyna ani tu, ani około chaty.

Obiecywał sobie, że za dni parę ozdowieje, sił na-

bierze i będzie mógł do domu powrócić. Tymczasem zapadł znów gorzej, do późnej nocy przesiedziawszy na chłodnym wietrze i rosie, stary go do łóżka położył z gorączką. Żal mu się go zrobiło, gdy potem ujrzał osłabłym i z żalu może sam zapadł, skarżył się, że go po kościach łamało. Dziwę tego dnia wołano do dwu chorych, aby im posługiwała. Nie wymawiając się bardzo od tego, zobaczywszy Domana chorym, zajęła się nim w milczeniu, troskliwie, unikając tylko wzroku i nie rozpoczynając rozmowy. Doman też może rad temu, że przybyła, ploszyć jej nie chcąc, siedział milczący. Dopiero wychodząc, we drzwiach dziewczę podniosło nań oczy nieśmiało, zaparło drzwi prędko i uciekło.

Jaruha od owego poranka ciągle po wyspie błądziła. Było jej tu dosyć dogodnie, bo pielgrzymi ciągle jej potrzebowali i karmili, a od chramu też coś dawano. Gdy nie było co innego do roboty, związawszy miotłę, zamiatała około tynów i przy progach. Nagadać się było z kim, pobłąkać, choć ciasno, mogła dowoli na ostrowiu, a sypiała pod drzewem, okryta płachtami, do czego z dawna była przywykła.

Ciekawość prowadziła ją po wszystkich zakątkach. Z kolei siadała na łące przy gromadkach u brzegu jeziora, sama jedna pod starą wierzba lub na progu której chaty.

Tego dnia, zobaczywszy Dziwę wychodzącą od Wizona, zachciało jej się także zajrzeć do mieszkania staroego.

Otworzyła drzwi; Doman siedział na pościeli, zaczęła mu się przypatrywać pilno. Widząc, że jej wnijsć nie broni, powoli do izby się wsunęła.

— A! a! — rzekła, oswoiwszy oczy z mrokiem, który w chacie panował — ty to jesteś, com ja ci ranę goiła, co ci żonkę zabili! No, szkoda jej! hoża była i wesoła, jak szczygiełek, aleby jej u ciebie nie było tak dobrze, jak w domu.

Czemu? — spytał Doman.



— Bo wy bohaterzy, żupany — mówiła stara, — wy niewiastami teracie, u was jest ich zawsze dosyć!. E! wszakże to ciebie Wiszowa córka była tak ukłuła — dodała, śmiejąc się, Jaruha.

Doman się wzdrygnął.

— A ona teraz ziele nosi? — rzekła stara.

— Nie pleć, babo — zawołał, — nie wspominaj!

— Ona tu jest i panuje — mówiła baba, — jej się nie chciało u was garnki pomywać, woli z założonymi rękami przy ogniu siedzieć — ciągnęła powoli Jaruha, — bo też to kmiecia córka, a dla tych, to i knezia mało. Rączki mają białe, co pracować nie umieją i oczki czarne, co pogardliwie patrzą...

Mówiąc, zaczęła się przypatrywać Domanowi, którego bladą twarz oblał nagły rumieniec.

— A cóż? tu na ostrowiu musieliście z nią zrobić zgodę? — zapytała.

— Mało co ją widziałem — z pozorną obojętnością dodał Doman i zamilkł.

Stara, niby zamysliwszy się, sama dla siebie, stukając kijem w takt pieśni, śpiewać zaczęła chrypliwym głosem:

Oj — chodzę ja, chodzę,  
Jak biała lelija,  
Gdzie się nie obróćę,  
Wiatrek mną powija...  
Wyjdę na poleczko,  
Zaśpiewam se jeszcze,  
Spojrzę na słoneczko,  
Wysoko my jeszcze...

Lecą ptacy, lecą,  
Daleko, daleko,  
Niech mój smutek wezmą  
I niech z nim ucieką...

— Albo i to... doła — dodała, prześpiewawszy, żeby

was tu woda jej pod nogi przyniosła... Lepiej by już wam było nie spotkać się z sobą... a to się tobie blizna jeszcze otworzyć gotowa, gdy się zbliży dziewczka, co ranę zadała... Bo mówią tak, że niepomszczona krew rzuca się, gdy ten, co ją przelał, podejdzie... A ona też znać się was boi, chodzi jak ziele, mrozem zwarzone...

I trzęsła głową Jaruha, a gdy Doman milczał, ciągnęła znowu dalej :

— Czy ona wam teraz zbrzydła? no, powiedzcie... przyznaj się! gdybyście jeszcze do niej lgnęli... hm... to moja sprawa dziewczuchom do chłopców, a chłopcom do dziewcząt pomagać... Stara baba, która w żarnach nie miele, rada by choć popatrzeć, jak się mąka robi! Znalazłoby się ziółko, sposób, urok... musiałyby ona wam być posłuszną i pójść, gdziebyście jej kazali, jakbym ja jej zadała!... Wy sobie myślicie może, że ja niewarta psa, kiedy w takich łachach po świecie się włóczę... a ja się z takimi znam, co wiele mogą... I jak zawołam, przychodzą do mnie... a jak każę, robią, co im powiem.

Potem ciszej mruzczała babina :

— Mnie się zmory boją i latawice... ja jak tuinę nogą, muszę mi krosnalki obuwie wiązać! o! o!... Podziomki truchleją, gdzie ja się pokażę, mary i nocnice płoszę... bo ja sama wiedźma jestem!

Doman milczał, aż nierychło się ozwał obojętnie :

— A cóż wy na to możecie, gdy dziewczka bogom ślubowała? nie chce ona nikogo...

Rozśmiała się Jaruha.

— Hej! hej! — zawołała — ślubowała, ślubowała niejedna, a mało to ich poszło od tego ognia w chrampie do tamtego, co się w chacie pali? Niechby tylko chciała, nikt jej nie zabroni, byle do chramu okup dać! Wizun ich ma dosyć na posługę...

Doman patrzył i słuchał z coraz większą uwagą.

— Ja ją wam namówię!... — zamruczała Jaruha.

— Nie może to być! — żywo odparł Doman.

— Może! Ja wiele znam — śmiała się stara, — choć poprobuję...

— Miałabyś chleb do żywota na stare zęby — rzekł chłopak.

— Tsy! ja już zęba ani jednego nie mam — śmiała się wiedźma, — co mi po suchym chlebie, nie ugryzę! Trzeba mi mleka, w którym by go rozmoczyć mogła i kawałek mięsa, bo z tego posiłek najlepszy... a zjadłszy, popić muszę... na dobry sen, juści nie wodą. Staremu ona niedobra.

— Wszystko byś to miała — odparł Doman — i kożuch na zimę, ale to być nie może.

Jaruha z ławki wstała, zbliżyła się do łóżka, ręką pomarszczoną pogładziła po głowie chorego.

— Nie śpiesz no się doma, jeśli go chcesz mieć... ja wiele znam...

To mówiąc, zaczęła piosenkę nucić i wysunęła się z chaty wprost do kontyny.

Nie weszła jednak do środka, podniosła róg sukiennej zasłony, zajrzała, spuściła ją i siadła czatować na jednym z kamieni. Wiedziała, że tamtędy dziewczęta musiały przechodzić po wodę. Spod nóg tymczasem zrywała trawy, przebierała je starannie i w pęczki je wiążąc do torby wsuwała.

Długo tu siedzieć musiała, nim któraś z dziewcząt na pytanie odpowiedziała jej, że stara Nania wysłała Dziwę dnia tego, aby w ogródku różne zioła zrywała, które w chramie na wianki i kadzenie dla chorych były potrzebne. Jaruha dopiero nad wieczorem, dowiedziawszy się o tym, pociągnęła do sadu za chramem.

Był to niewielki kawałek pola, płotkiem ogrodzony, bo nie każdemu tam wchodzić wolno było, kilka starych wierzb i olch rosło pod okopem, który go opasywał. W pośrodku były zielone grzędy, a na nich pozasiewane zioła: macierzanka, smłot, boże drzewko, biedrzeniec, przestępy, wrotczyce, dziewięciosiły.

Dziewczę, już uzbierawszy to, co jej nakazano, sie-



działo na wale, układało, obrywając suche liście i wiążąc pęczki. Jaruha zza plotu ukazała się, zagadując:

— Córúś moja, a to bym ci pomogła...

Dziewczę główką obojętnie rzuciło, ale stara weszła zwolna, na ziemi usiadła, nieproszona wzięła się do kupek, leżących na ziemi i bardzo prędko i zrećźnie składać je i wiązać zaczęła.

Milczała z początku, wpatrywała się jej w twarz, mrużąc coś niewyraźnie.

— O! o! — rzekła w końcu — ja bym tu na Łednicy nie wyżyła... Ciasno, cicho, świata nie widać, jak w kleci...

Dziwa wiązała trawy i nic nie mówiła.

— Przy ogniu musicie się piec... dym oczy wygryza. Krasy waszej szkoda... — coraz żywiej i śmielej ciągnęła. — Wy się tu męczycie, dziewczucho!... O! o! ja znachorka jestem, ja wiem wszystko i znam... i przez gżło widzę, co się w człowieku dzieje... Tak! tak!

Dziewczyzna, zarumieniona mocno, spojrziała bojaźliwie.

— A cóż wy we mnie widzicie? co, co?

— Coś ja widzę... coś... ono się dopiero zawiązuje... poczyną — mówiła dalej Jaruha, — ale trawa byle z ziemi wylazła, prędko rośnie... Nie darmo tu dola znowu Domana przyniosła? Co komu przeznaczone, to nie minie...

Na wspomnienie Domana rzuciła się Dziwa, spuściła głowę ku trawom i przebierać je prędko zaczęła, a stara widziała dobrze, że co je układać miała, to mieszała coraz gorzej.

— Znacie wy bajkę o pięknej królownie? — rzekła.

Dziewczę, nie śmiejąc jeszcze podnieść oczów, głową tylko, milcząc, potrząsało, jakby mówiło że jej nie zna. a Jaruha tak dalej ciągnęła:

— Jednego czasu była na świecie bardzo piękna dziewczka u króla, który ją kochał nad życie. Co tylko chciała, to miała, ptasiego mleka nawet jej nie brakło... Aż, gdy wyrosła, a ojciec mówić zaczął, że czas za mąż iść, wręcz

mu powiedziała, że nie pójdzie za nikogo, tylko za takiego, który od niej rozumniejszy i zręczniejszy będzie a jej się upodoba.

Więc nad dworem królewskim złote koło przybito i zaczęli do niej jechać w swaty, i jechali królowie, panowie, kmiecie, żupany, kneziowie, chłopaki dorodne, krasne... ale, gdzie!... wolność jej była miła, żadnego nie chciała.

Jeden był za duży, to go obrem przezywała; drugi za mały, to go krosnalkiem zwała; ten był za czerwony, tamten za blady, jeden za mądry, drugi za głupi... dosyć, że się nie spodobał żaden.

Po ogródku sobie chodząc, kwiatuszki zbierała, piosenki śpiewała, z ludzi się śmiała, w boki się brała i powtarzała: Nie będzie mnie miał żaden! nie będzie!

Przyjechał który, wydziwiała srodze. Jednemu kazała sobie przynieść wody żywiącej, której smok o siedmiu głowach pilnował. Ten poszedł po wodę ze złotym dzbanuszkim i nie wrócił: smok go połknął, a dzbanuszek sam do dworu przyplynał.

Drugiego posłała po złote jabłka na górę lodową, ten jechał, wpadł w przerebłą i ryby go zjadły, tylko półrko od kołpaka pod dwór przyplnęło.

Trzeciego wyprawiła, aby jej gwiazd na sznurek naniżał do noszenia na szyi; ten poleciał wysoko i sępy go rozszarpały, co pilnują nieba, tylko sznurek krasny upadł pode dworem.

Aż się wybrał w swaty do niej królewicz Siła, czarownik wielki; ten, gdy ją zobaczył, serce mu się zgotowało i rzekł sobie:

— Bym i życie postradał, to ją muszę mieć!

Królowna, jak go tylko zobaczyła, srodze się ulękła, poczęła bardzo drżeć i płakać.

Kazała mu zaraz iść za morze i przynieść tego ziela, co umarłych odżywia, do którego dostąpić nie można, ino przez płomienie, a woda ich żadna nie gasi.

Królewicz zaraz ptakiem się stał, poleciał na morze,

z góry na ziele padł, dzióbem je pochwycił, uszczknął i przyniósł gałązkę. Właśnie był królowi synek zmarł i smutek we dworze wielki był; przyłożyli ziele do serca, aż chłopak wstał, oczy przetarł i zawołał: dawajcie jeść, bo mi się bardzo dobrze spało.

A król szczęśliwy uściskał go i zawołał do córki:

— Inaczej już nie może być, musisz mi zaraz za niego iść.

Królowna zapłakała gorzkimi łzami.

— Kiedy muszę, to pójdę — rzekła, — ale nie inaczej, aż mu się ja siedem razy szukam i siedem mnie razy wyszuka. Dopiero będę jego...

Była bowiem wiedźma wielka, a mogła siebie i drugich przemieniać, jak się jej zachciało, ale królewicz też czarownik był jeszcze większy i umiałtak się przerzucić, jak zapragnął.

Drugiego dnia, przez okienko otwarte, królowna poleciała gołąbką po dworze, zamieszła się w stado i z ptactwem latała... A że ptaki czuły w niej innego ducha, że nie swoją im była, co się do gromady zbliżyła, stado się zaraz rozsypywało, a ona siedziała jedna. Królewicz się jastrzębiem uczynił i pogonił za nią... Uleźła go się strasznie, usiadła na ziemi, przemieniła w dziewczynę. Patrzy, jastrząb przy niej królewiczem stoi i za rączkę ją bierze...

Poszła więc gniewna, zamknęła się w komorze, płakała, myślała nockę całą, nade dniem do ogródka się wysunęła, usiadła na grządce i lelija zakwitła... Wszystkie lilije koło niej jak śnieg białe, ona jedna, że krew miała, więc na grządce różowała...

Królewicz z ojcem idą do ogrodu... bieduje bardzo, gdzie jej teraz ma szukać, jak ją znaleźć?...

Stanęli jakoś przy grzędzie, przy lelii; gdy się do niej zbliżyli, biała lelija ze strachu jeszcze mocniej pokraśniała.

Królewicz zaraz poznał ją po rumieńcu, rękę przyłożył do łodygi, aż tu panna stoi i płacze,



— Poznałeś mnie dwa razy, nie odgadniesz raz trzeci.

I do komory leci, zasuwa się, na łóżeczku siadła, płacze, aż z łez strumyk płynie. Myślała, myślała, płakała noc całą, nad rankiem okno odsunęła... i złotą muszką wyleciała.

Leci, leci, ale strach jej wielki. Ptaszki za muszkami latają, tylko co ją który nie dziobnie. Królewicz może podpatrywał, może mu kto podszeptował, przemienił się w straszego pająka, zasnuł w powietrzu pajęczynę ogromną — i czeka. Wróble muszkę napędziły i w siatkę mu wpadła... pająk do niej... królowna stoi i płacze.

— O doloż ty moja, doleńko!

A pająk ją za białą rączkę trzyma.

— O! ja nieszczęśliwa! poznał mnie trzy razy... co ja pocznę... gdzie ja się ukryję...

Znowu idzie do komory, siadła na łóżeczku, głowę nakryła i płacze a zawodzi. Doloż ty moja, doleczko!

Siostry do niej pukają, przyszły i powiadają:

— Popłyń ty rybką na morze... morze szerokie, głębokie morze... nie znajdzie tam ciebie...

A ona zawodzi:

— Poznał mnie trzy razy, co ja pocznę teraz, gdzie ja się ukryję?... W morzu są potwory... boję się morza...

Płakała noc całą, a gdy rozedniało, na brzeg morza biegnęła; nie widziała, jak królewicz patrzył zza drzewa.

Plusnęła w wodę rybką, złotą, a on tuż w srebrną się przemienił. Gdzie się złota rybka obróci, srebrna goni za nią. Uderzyły się głowami; słyszy królowna słowa:

— Czwartym raz przegrała i musisz być moja.

Gdy te słowa usłyszała, panna do brzegu płynęła i biegnęła do malowanego dworu, zamyka się w komorze i płacze.

Płacze znowu noc całą, nade dniem się namyśliła.

— U brzegu nad woda tyle kamuszków leży... któż mnie poznać tam może, gdy ja się białym kamuszkciem położę?

Poleciała na brzeg o świcie, w kamyczek się obróciła śliczny i leży.

Królewiczowi piąty raz już bardzo było odgadnąć trudno, rozpaczal strasznie. Gdzie tu jej szukać, w powietrzu, na ziemi, w wodzie, pod ziemią, czy nad ziemią? Szedł tedy na brzeg morza, chcąc się topić. Chodzi, chodzi, narzeka, ręce łamie, wtem na kamyk nastąpił przypadkiem... a jakie oczko śliczne!... Schyli się do kamyka, a tu panna wykrzyka i z ziemi wstaje z suknią przydeptaną, bo ją nogą ucisnął.

— Znalazłem cię piąty raz... musisz być moją — wołał królewicz.

— Do siedmiu daleko! będziesz mnie miał za siódmą górą i za siódmą rzeką!

— Panna do dworu gniewna bieży, aż na ziemi w komorze leży... tak się smuci, tak w łzach płynie... Postrzegła myszkę na podłodze, jak się zwinęła i do dziurki schowała, i myśli:

— Myszka się stanę... skryję się w norę... tam on mnie nie wyszuka.

Ale wróbel na oknie siedział, słyszał, jak szeptała, poleciał do królewicza, usiadł mu na ramieniu i szczebiocze:

— Panna myszką się stała... w dziurkę małą schowała! — Królewicz w kotka burego się odmienił, siadł i czatuje.

Myszce jeść się zachciało, prószynki od korowaja pod stołem leżały, ledwie główkę pokazała, kotek drogę zastępując:

— A tuś!

Złękła się królowna, aby jej nie połknął, nie schwytał, aż tu słyszy te słowa:

— Poznałem cię szósty raz... moją musisz być teraz...

Padła panna na ziemię i płacze:

—Nieszczęsna godzina... doloż moja, doleczko... co ja pocznę z nim?

Na siódmy raz zeszyły się wszystkie siostrzyce i druhny, i czarownice, radzą, radzą cały wieczór i noc całą, dzień zaczyna i nic nie uradziły... Królowna z płaczu i wstydu

się zachodzi. Wolałaby już była od razu za niego iść, niż siedem razy się sromać, a ósmy w niewolę popaść.

W okienku świta. Co tu począć, gdy słońko wnijdzie?... Musi się przemienić! A słońka tylko nie widać... Radziły siostry, radziły, aż się królowna zmieniała w starą żebraczkę, pomarszczoną, żółtą, straszłą, jak ja i..., poszła żebrać na gościniec. Mówiła sobie: — Nie pozna mnie.

Stoi, stoi na drodze, jedzie król na koniku... co za baba stoi? Kazał dać jej miłosierdzie... pojechał. Myśli sobie panna: Ojciec własny nie poznaje! Wygrana moja...

Jedzie pan brat, jedzie, spojrzal na staruchę i rozśmiał się.

— A co za ropucha... spędzić mi ją z drogi...

Panna się odstąpiła i raduje.

— Nie poznał mnie własny brat... Wygrana moja...

Jedzie królewicz na siwku, w bok się wzięwszy i piosenkę nuci. Kołpaczek na ucho włożył, włosy mu wiatr złote rozwiewa... Nic się nie frasuje. Patrzy, żebraczka stara stoi... rzuca jej pierścień złoty.

Wtem panna ze trwogi, choć jej teraz poznać nie mogła, płachtę sobie na twarz zaciągnęła prędko. Tym się zdradziła. Patrzy panicz i wnet do niej przyskoczy i pogląda jej w oczy... Oczów odmienić nie mogła, świeciły, jak dwa słoneczka... Porwał ją w pół, na konika rzucił.

— Poznałem cię siódmy raz, musisz moją być teraz...

I sprawił król wesele, na którym ja też byłam, miód i wino piłam — dokończyła Jaruha.

— He! he?... co komu przeznaczone, nie minie.

Dziwa, słuchając, uśmiechnęła się i zamyśliła.

— Może — dokończyła — tak to będzie i z Domanem, próżno od niego uciekać! W malowanym dworze byłoby lepiej, niż na Lednicy, na ostrowiu.

Rzuciwszy te słówka, Jaruha wstała prędko, zanuciła i poszła. Wiedziała, że się ziarno rzuca w ziemię i leżeć musi czasem długo, nim zejdzie.

Dobrej myśli, podśpiewując, poszła wróżyć piel-



grzymom, leczyć, zamawiać, okurzać, byle się za to po-  
silić i napoić.

Dziwa w ogródku siedziała, ręce opuściła, oczy w zie-  
mie wlepiła, powtarzała po cichu :

— Przeznaczone nie minie !...

## V

Spokoju nie było u Polanów od Kaszubów i Pomor-  
ców, których podprowadzili i zwałiali Leszkowie. Za-  
ledwie odpędzono jedną gromadę, wpadła druga, każda  
z nich coraz głębiej sięgała i niszczyła. Ludzie nie wie-  
dzieli, gdzie ich szukać. Raz się wdarli od północy, to  
znowu od wschodu... z prawej, to z lewej granicy, gdzie  
się ich nie spodziewano.

A starszyzna się tymczasem na wiece ciągle to pod  
gród, to na uroczyska po lasach zwoływała, radziła, swa-  
rzyła i z niczym precz jechała. Knezia sobie wybrać nie  
umieli. Nie było komu rozkazywać, ni kogo słuchać, ni  
komu dowodzić, a wrogów odpierać.

Ludzie się zabrali i do domów prędko rozbiegli.

Niebezpieczeństwo gnało w lasy, głód z nich wyga-  
niał ; spasione i stratowane pola stały odłogiem.

Było i takich wielu, co już Chwostka żalowali, Mysz-  
kowie dobrzy byli do obalenia, ale się do budowania nie  
zdali.

Ledwie jeden zbór rozszedł się daremnie, gdy już  
wici na drugi ślano. Tymnie gromadzono się na nie-  
które, na inne ledwie kilku się przywlokło, a po granicy  
miecz i ogień bujały, jako chciały.

Zwoływano starych. — Radźcie. — Starszyzna stę-  
kała i rozповідаła, jak to ono za dawnych czasów  
bywało.

— Starzy do niczego — mówiono, — młodszych ścia-  
gnąć potrzeba. — Zbierali się młodszy ; o wojnie i o  
łowach prawiąc, dzień zmarnowali... pod wieczór piosn-  
ki śpiewali o dziewczętach.



Ślepy gęślarz stanął we wrotach, kij jego dotknął leżącego trupa... chłopak przytulił się doń drżący i płakał.



Gdy Leszków napłynęło dużo, Myszkowie szli precz, kiedy się tych więcej ściągnęło, Leszków drużyna swoich odciągała.

Co począć było, nie wiedzano, a przecież coś trzeba było poczynić.

Jednego wieczora, gdy się na Chwostkowym grodzisku znowu wiec kończył narzekaniem daremnym, spostrzeżono jadących ku niemu dwóch obcych ludzi, a ci, co u Piastuna byli na postrzyżynach, poznali w nich tych samych, z którymi tam biesiadowali.

A że właśnie jeść mieli i posilać się po całodziennym wołaniu i stękanii, wyszedł jeden z Myszków ku nim i w gościnę do wspólnego ogniska zaprosił.

Zsiedli więc z koni i przyszli do gromady, pozdrawiając ją w imię Boga jedyneho.

Zastawiono przed nimi kołaczki i mięsiwo, piwo i miód. Mięsa jednak tykać tego dnia nie chcieli i chleba tylko ułamawszy, po troszę piwa napili.

Młodszy z nich, widząc zasępienie twarzy i oblicza chmurne, zapytał, jaka by była przyczyna, że w tych mirach polańskich takie panowało zamieszanie, a oni też sami tak byli utrapieni.

— Jakże inaczej ma być — odezwał się Ścibor stary. — Otośmy się jednego zła pozbyli, a drugiego napytali. Nie chcieliśmy niewoli, a nastąpiło zamieszanie. Zrzuciliśmy z tego grodu plemię złe, które nas nękało, a innego sobie dobrać nie umiemy. Ziemię naszą niszczą wrogowie, my się im skutecznie obronić nie umiemy.

— Zaprawdę — odezwał się młodszy z gości — jest to wielkie zło, że mając wojnę, wodza nie macie... Przejechaliśmy ziem wiele, od Dunaju począwszy, po Łabę i Odrę, a nigdzieśmy nie znaleźli ziemi, gdzie by knezia lub króla, albo wodza i głowy nie było. Sasi i Frankowie ściskają nas wszędzie, bronić się im trzeba, albo, jak Obodrycy, trzymać z nimi, przeciw swoim, lub ze swoimi wiązać przeciw nim... Inaczej pójdą ziemie w nie-



wolę... Czymże się to dzieje — zapytał gość — że wo-  
dza sobie wybrać nie możecie ?...

— Tym — rzekł Ścibor, — iż każdy z nas chciałby  
nim być... i każdy się lęka, aby, gdy równy mu wczoraj  
nim zostanie, jutro go nie nękał.

Myślał trochę młodszy z gości.

— Jeżeli możniejsi się nie godzą — rzekł — jedni  
drugim zazdroszcząc i lękając się siebie, dlaczegoż byście  
ze krwi waszej ubogiego a małego człowieka dla jego  
poczciwości wynieść nie mieli ?

Umilkli wszyscy a zdziwili się mocno, iż obcy im tę  
samą radę dawali, którą przyniesiono od wyroczni. Spoj-  
rzeli po sobie i Ścibor zapytał :

— Czy wam to wyrocznia powiedziała jaka, że ma-  
łego wybrać mamy ?

— Nie — odparł młodszy, — ale kto ubogim być  
umiał pokornym i zacnym, ten w szczęściu i wyniesion  
sprawiedliwym być potrafi...

A starszy dodał :

— Wszakże ubogim jest i ten, który nas czasu postrzy-  
żyn syna swojego przyjmował u siebie, przecież go  
wszyscy szanujecie. A czemu by i ten waszym kne-  
ziem nie miał być ?... Rozum ma po temu.

— Piastun... — zawołali wszyscy razem — Piastun !...

I jakby dopiero teraz przejrzeni jasno, wszyscy zaczęli  
mówić o nim, chociaż między kmieciami jednym z naj-  
uboższych był.

Ponieważ noc nadchodziła, obcy podróżni, wkrótce  
potem pożegnawszy obradujących, jechali stamtąd precz,  
gospody sobie szukając.

Gromada długo naradzała się po cichu i stąd wprost  
niektórzy na koń siadłszy, do chaty Piastuna jechali.

Stary właśnie we wrotach stał, stado z pola wracające  
oglądając, które rżało na widok pana. Patrzył, jak się  
do matek cisnęły źrebięta, jak młodzież między sobą  
gziła się i gryzła. Od bytności dwóch obcych i upadku

Pepelka smętne i dziwne myśli przechodziły mu po głowie.

Ścibor, Bolko i jeden z Myszków, przybywszy pod wrota, z koni zsiadli i weszli do zagrody, pozdrawiając starego gospodarza.

— Radem gościom — rzekł do nich wesoło, — chodźcie odpocząć pod strzechą... ale was uraczyć czym nie bardzo będę miał. W domu u mnie pustki... dopóki się coś nie zbierze, ubogim chlebem się przełamiemy... Czy z dobrą przynajmniej jedzicie nowiną, czyście nam pana dali?

Ci westchnęli, spoglądając po sobie.

— Pana dotąd nie mamy, swobody aż nadto. Tymczasem pomorskie wilki głodne kraj nam niszczą, ani się im opędzić... Ledwie tchniemy. Leszki pozostałe coraz nam nowych na karki ściągają... Czas schodzi marnie.

Wtem Bolko wtrącił.

— A wy, barci waszych patrząc, z nami nawet na radę iść nie chcecie? Siwe słowo wasze wagę by miało u ludzi.

— Cóż słowo pomoże tam, gdzie już krew mówiła, a tej nie posłuchano? — ozwał się Piastun cicho. — Jam człek mały i ubogi...

Jakby trwoga jakaś ich ogarnęła, zdało im się, że wołą było niebios i bogów, aby ten, a nie kto inny, został wybranym.

— Jutro — zawołał Bolko — terażniejszego wiecu dzień ostatni... Nie może to być, ażebyście wy nie poszli z nami. Przybyliśmy tu po was, musicie iść... wołają was wszyscy... Jeżeli wy nie pójdziecie, rozpełźnie się znowu wiec, a narzekanie będzie wielkie.

Stary nic nie odpowiedział.

Siedzieli jeszcze powzdychiwając, gdy w progu, błądy jeszcze i słaby, ukazał się Doman, który z Lednicy powracał.

Widać po nim było, co przeżył, choćby nie mówił nic. Zasłyszano tu już coś o jego losie i wszyscy obstąpili

go zaraz, dopytując się, co się z nim działo i jak od Pomorców ocalał.

Zaczął im opowiadać, jakie mu wesele sprawiono, a ledwie że się ono skończyło, gdy Pomorcy z Leszkami wpadli. Obnażył blizny, które mu pozostały od strzał i od sznurów jakimi go skrępowano do kości, począł się burzyć i wyrzekać, o pomstę nawoływając.

Pytaniom nie było końca, jak ująć potrafił i ocaleć. Ledwie wierzyć chciano, iż o swej sile mógł potem na ostrów dopłynąć. Drudzy o Pomorców, ich siły, o Leszków i o Niemców badali, jak oni byli zbrojni, czy się na kraj odgrażali. Na wszystko Doman odpowiadać musiał, starając się tą żądzą zemsty, jaką w sercu miał, natchnąć drugich. Rozżarzyli się też i odgrażać poczęli.

Doman także wołał, iż pilno było wodza wybierać i że najgorszy nawet lepszym był od żadnego.

— Jeżeli prędko go nie obierzecie — dodał, — każdy o sobie pamiętać będzie. Pozbierają się kupy zbrojne — i kto silniejszym się poczuje, drugich za łeb pochwyci. Ja sam ludzi, jakich mam, ściągnę do jednego, niech pola jałowieja, niech zdychają stada, niech je wilcy wyjedzą. Nam trzeba iść na tych, co nas nękają, do ich gniazda i wdusić tam to plemię, abyśmy raz pokoju zażyli.

Długo tak gwarzono u ogniska, a potem, pokładwszy się przy nim na ziemi, spali.

Z brzaskiem dnia po cichu Piastun sobie kobiałkę szwkował do lasu, gdy Bolko i Ścibor, spostrzegłszy to, wzięli go pod rękę.

— Ty musisz dziś być z nami — rzekli mu. — Gromada się tego domaga, a jej posłusznym być trzeba. Niechaj i Doman jedzie z nami, aby okazał rany i powie-dział, co jego oczy widziały.

Chciał się jeszcze stary opierać.

— Jam do pszczoł, nie do wieców zdatny — mówił.

Ale to nie pomogło; upominali się wszyscy głośno, ulec więc musiał.

Pobudzono tych, którzy spali, i wszyscy na koń siedli



jechać do grodu. A że czeladź Piastunowa już się o brza-  
sku do roboty rozeszła, na koniu więc z nimi jechał Zie-  
mek młody, syn gospodarza, aby miał staranie o ojcow-  
skiej świerzopie.

Pod wieżą obozem leżeli wiecejący; było ich tego  
dnia dosyć i coraz nowi jeszcze przybywali.

Grodzisko, na którego żuzlach i gruzach trawa już  
porastała, wygniecione było i jak tok ubite przez nie-  
ustannie obradujących, a jednak ze zborów tych nic do-  
tąd nie wyszło.

Posłuch o Niemczech i grożącym znowu najeździe  
napędził starszyznę niecierpliwą. Niektórzy przybywali  
ze skargami, bo się im już Pomorcy dali we znaki. Szu-  
kali oni najmożniejszych dworów i napadali na nie naj-  
częściej, ubogim łatwiej z dobytkiem do lasów schronić  
się było.

Kołem już leżeli wszyscy, gdy Ścibor, Bolko, Myszko,  
Piastun i Doman nadciągnęli. Zobaczywszy starca, któ-  
ry w prostej siermiędze przychodził, tknięci wyroczeni  
wspomnieniem i przez cześć dla siwych jego włosów  
powstali.

Wnet go zaproszono do koła, miejsce mu czyniąc  
i wołając:

— Radź nam, ojcze, ratujmy się, bo oto ginimy!  
Mówiliśmy już wiele, mówcie wy, niech usłyszym, co  
nam przynosicie.

Zewsząd się głosy podniosły ku niemu, ażeby pier-  
wszy mówić poczynął.

— Aż nie wiecie, co czynić? — zawołał, — ja wam  
nowego nie powiem nic. Zgody potrzeba i prędkiego  
wyboru. Litujmy się sami siebie a dzieci naszych. Ładu  
nie mamy, nieład panem. — Ład czyńcie!

Milczenie się stało długie.

Wtem jeden ze starszyzny, którego zwano Krakiem,  
a miał być starego kneziowskiego rodu, powstał z ziemi,  
czapkę uniósł do góry i wykrzyknął piersią całą:

— Ten nam kneziem będzie! Piastuna wybieramy!

Ucichło chwilę, a potem wnet buchnęło ze stron wszystkich :

— Piastuna obieramy. Kneziem Piastun. Krew nasza!

I nie było ani jednego, który by nie powtórzył tego okrzyku, jednego, co by mu się sprzeciwił.

Stary cofnął się, rękami jakby odpychając od siebie głosy, które się rozlegały coraz silniej, a coraz to radośniej.

— Jam bartnik, człek prosty i ubogi — zawołał, — ja ludźmi rządzić nie umiem. Stary jestem, dłoń mam słabą. Wybierajcie innego, nie czyńcie szyderstwa ze mnie.

To mówiąc i gdy tłum się ściszał, a mieszał, stary skinął na syna, który z dala z końmi stał. Nim się opatrzone, co chce uczynić i zdołano zapobiec temu, wyslizgnął się im z rąk, gdy sądzili, że ku innym idzie okrzykującym go gromadom.

W gnieniu oka, zanim pomyślano, by go zatrzymać, już dopadł konia i wraz z synem w cwał ku zagrodzie swej poleciał.

Rzucili się, kto żył, do koni, lecz nim je polapano, Piastun już dosyć odbiegł daleko, a świerzopa, czując domową zagrodę, cwałem ku niej zdążyła. Naówczas ujrano widowisko osobliwe: stu może jeźdźców, w pogoń biegnących za obranym kneziem, gdy reszta, pozostała na grodzisku, poprzysięgała, iż z niego nie znijdzie dopóty, dopóki kneź im zwrócony nie będzie i zmuszony do przyjęcia wyboru.

Biegli więc ścigający co tchu, nie tracąc z oka Piastuna, i udało im się tylko syna, którego koń mniej był rączy, w ręce pochwycić przerażonego pogonią, gdyż nie wiedział, dlaczego ich ścigano i o ojca a siebie się lekając, łzami się zalewał.

Piastun, pierwszy, dopadłszy do kraju lasu, znikł w nim z oczów kmieci, którzy go pochwycić chcieli. Zwolnili więc kroku, wiodąc z sobą syna a spodziewając się, iż w zagrodzie i ojca znajdą.

Przybywszy do dworu, na próżno pytali, nie wiedział o nim nikt, gdyż nie zatrzymując się w domu, wprost do lasu uciekł i skrył się w nim, puściwszy tylko siwą, która swoim obyczajem do wrót przysła i głowę na nich położywszy, rżała, aby ją do zagrody wpuszczono.

Wielki żal ogarnął wszystkich na grodzisku, gdy się o zniknięciu Piastuna dowiedzieli — lecz, jak zrazu postanowili, tak dotrzymać chcieli i nie ruszać się z miejsca, dopóki by obranego nie znaleźli. Ci, co najlepiej lasy i okolicę znali, wnet poszli na zwiady w puszcze, sądząc, iż łatwo zbiega wynajdą. Minął jednak dzień jeden, drugi i trzeci, a Piastuna nie było. Powracali z pogoni za nim kolejną wszyscy, przyznając, iż tak się ukrył, że go wyszukać, a nawet na ślad trafić nie mogli.

A ci, co tak pragnęli władzy, dziwili się, iż był człowiek ubogi, który od niej uciekał i ofiarowanej przyjąć nie chciał.

Coraz to ktoś sam lub w kilku ich szło po lasach za Piastunem, zawsze nadaremnie. Młodego tylko syna, jakby zakładnika trzymano, sądząc, że łatwiej tym sposobem ojca starego, który do jedynaka przywiązanym był, do powrotu zmuszą.

Lecz ani w lesie znaleźć, ani go w zagrodzie, około której czatowano, przydybać nie mogli.

Uplłynęło tak całych sześć dni, gdy około grodziska zjawiała się wędrująca wiecznie Jaruha.

Od czeladzi, która przy koniach stała, dowiedziawszy się, że Piastun uszedł w lasy i w nich się ukrywał, rozśmiała się starucha, nie wierząc temu, żeby ludzi tyłu w pogoń za nim posyłanych z niczym wróciło.

Szła zatem do Ścibora i starszyzny, którzy na nią i patrzeć i mówić z nią nie chcieli.

— A ja go tu przyprowadzę — rzekła. — Lasów pewnie lepiej nie zna nikt nade mnie, com nieraz obok z niedźwiedziem pod kłodą nocowała; przede mną on się nie skryje, ja go znajdę.

Tym bardziej, że się z niej śmiano, starucha się uparła



ić Piastuna szukać, a że tak pewną siebie zdawała się być i drudzy pomyśleli w końcu, że bez przyczyny to być nie może, młodszych dwu z dala za nią pociągnęli.

Jak dzień z grodziska ruszyła Jaruha, wprost się ku lasom kierując, z takim bezpieczeństwem, jakby zawczasu wiedziała, gdzie ma szukać kryjówki starego bartnika. Idący z nią z trudnością mogli podążyć i przedrzeć się przez gąszcze, wśród których ona dróżny, przez zwierza dzikiego wydeptane, znała, jak swe własne. W wielu miejscach puszcza, jak zastępkami, zawalona była połamanymi wichrem i starością drzewami, które całe wały nieprzebyte stanowiły, porośłe gestymi chwasty i puszczejacymi się na próchnie krzewami. Przebyć trzeba było moczary, aniłe strumienie leśne, niziny, wodą zzieleniałą zalane. Spod stóp wyskakiwały spłoszone dzikie stworzenia, z trawy nagle do góry podnosiły głowy węże ogromne. Żaden z nich jednak nie rzucił się na Jaruhe, która do nich jakimiś dziwnymi przemawiała słowami. Około południa stara na kłodzie siedła spocząć, dobywszy z torby kawałek chleba, spożyła go, dała nogom się wyprostować i szła znowu. Las podnosił się nieco ku górze i składał z nadzwyczajnej wielkości dębów, lip i grabów, podszytych leszczyną, która także do niezwykłej wysokości się wznosiła. Uszedłszy nim kawał drogi, uirzeli jakby wał stary, zieloną pokryty trawą, porośły również drzewy, które wiek jego znaczyły. Wśród niego było jedne wnijsie na stare hrady-szcze. Jaruha wsunęła się nim, rozglądając dokoła, a idący za nią w ślad zatrzymali się, oglądając.

W rogu, gdzie się dwie ściany wałów schodziły z sobą, był szafas, a w nim na suchym w liści posłaniu uirzeli Piastuna, który z łyka wiązał proste obuwie, jakiego naówczas najubożsi używali...

Jaruha weszła, a Piastun poruszył się jakby przelektly, gdy ją zobaczył.

— Staneła naprzeciw nięgo, spierając się na kij.

— Tom was przecie znalazła — rzekła, — a pora!

tam się ludzie rozbijają, czekając, a mały Ziemko płacze, bo go, jakby w niewoli trzymają! Zlitujcie się nad dzieckiem waszym a wracajcie.

Piastun, nie odpowiadając, ręką jej wskazał, ażeby zamilkła, gdy tuż i posłani, Bolko z Sobiesławem weszli na hradyszczę, kłaniając się kneziowi.

Ujrzawszy ich, ręce załamał stary.

— Jesteśmy po was posłani — rzekli — wszystek zbór czeka na was, ludzie proszą, wracajcie, gdy taka bogów wola. My bez was stąd nie pójdziemy.

Zbliżywszy się tedy, prosić go zaczęli usilnie, aby woli gromady zadośćuczynił. Nie rzekł już nic, tylko :

— Pójdę z wami.

Jaruha, siedząca na ziemi, śmiała się z radości.

— A tom ja was, miłościwy panie, zdradziła — rzekła. — Niechaj ludzie znają, że baba coś może. Chodziliby miesiąc i nie znaleźli was, gdyby nie ja.

Gdy Bolko, Sobiesław i Piastun szli zaraz nazad, bo się już im ani opierał, ani sprzeciwiał, starucha siadła na hradyszczu, porozwiązywała nogi i sama jedna została tu spoczywać.

Nie lękała się tak samo zwierzza dzikiego, jak wężów i wszelkiego stworzenia. Wygodnie umieściwszy się zaraz w opuszczonym szałasie, przygotowywała się do noclegu.

Piastun sam poprowadził swoich towarzyszków ku zagrodzie przez łąkę, na której stado z pastuszką znalazłszy, konie z niego dla pośpiechu wzięli. Lecz dla gąszczy w lesie pośpieszyć nie mogąc, ku nocy dopiero w zagrodzie Piastuna stanęli, skąd Sobek sam przodem na grodzisko ruszył, oznajmiając, iż knezia znaleźli i jutro go przywiodą.

Milcząc, przesiedział cały wieczór gospodarz na ławie. O dniu Bolko wstawszy wcześniej, już był na straży, Piastun też, nie przeciwiąjąc się, na konia siadł i jechali.

Na pół drogi do grodu starszyzna była wyszła na spotkanie.

— Miłościwy panie — zawołał, ręce ku niemu wyciągając, Krak — precz nas opuściłeś? Wszak ci to wołać było bogów, abyś nam panował i rozkazywał. Na was jednego zgodziły się gromady.

— Nie czułem się na siłach i nie czuję — mówił Piastun, — trwoga mnie ogarnia. Ulitujcie się nade mną. Wiem w ubóstwie, co czynię i jak idę: gdy mi moc dacie, ażali ja sam znam, na co ją obrócić?

Wołania wielkie go zagłuszyło.

— Piastun! Piastun!

Wtem tłum się rozstąpił i dwaj owi goście nieznan, których przyjmował w zagrodzie, stanęli przed nim. Zbliżali się z uśmiechem i pokłonem.

— Przychodzimy jeszcze raz, aby mężowi sprawiedliwemu w imię Boga jedyne go przynieść błogosławieństwo.

Krzyki znowu i im mówić nie dały; wesele stało się w tłumach. Myszkowie, którzy znać mieli przygotowany kolpak kneziowski z piórem, precisnąwszy się przez ciżbę, przynieśli go Piastunowi, a młodszy z gości, uczyniwszy nad nim znak, na siwe włosy starca nałożył.

I znowu wrzawa powstała, radość, głosy, wołania. Starzec stał zamyślony, niemal smutny.

A gdy się doń cisnęli wszyscy — rzekł:

— Widzieliście sami, że władzy nie pragnąłem, anim się jej dobijał. Kazaliście mi ją wziąć, biorę, dźwierzę będę tak, aby ład krzewiła, aby sprawiedliwość niosła, a jeśli surowym być zmusicie mnie, będę nim; pomnijcie, żeście mnie zmusili do tego.

— Rozkazuj i rządz! — zaczęto wołać ze wszystkich stron, — niech będzie, jako rzekniesz — niech będzie.

Jeszcze raz okrzyknięto kneziem Piastuna, Ścibor mu rzekł, kłaniając się do kolan:

— Czuwaj nad nami, jakeś nad pszczołami swymi miał pieczę.

Gwar wielki wrzał dokoła.



Ujrzano, że obrany miecza nie miał. Ścibor wnet swój odpasał i na znak władzy własnymi rękami go Piastunowi na biodrach zawiesił. — Drugi laskę białą dał w dłoń.

Proszono znowu gości obcych, aby miecz i laskę błogosławili; i uczynili, jak żądano, oczy podnosząc ku niebu, składając ręce i szepcząc coś po cichu.

Tłum miał ich za jakichś wróżbitów z daleka.

Piastun wciąż jeszcze, jakby przełękły tym, co się stało, nie wierząc uszom własnym i oczom, długo w niepewności milczał. Szepnął wreszcie do otaczających:

— Wola bogów i wasza niech się stanie. Jakoście mnie wybrali, tak pomoc mi winniście.

Jak do ojca, cisnęli się doń wszyscy, wyrzucając mu, iż zbiegł od nich i opierał się woli losu. Po raz pierwszy w jednym kole Leszkuwie i Myszkowie, ocierając się o siebie, w zgodzie, razem okrzykiwali nowego pana.

Tymczasem oswobodzony syn Piastunów przybiegł, ojcu do nóg przypadając i ręce jego całując i uczuwszy się oswobodzonym, chwycił konia, aby do matki z wieścią dobrą pośpieszyć.

Stara Rzepica właśnie po wyjeździe męża u dzieży stanęła, gdy Ziemek wpadł do zagrody wesoły, zwiastując jej, że ojcu kneziowską czapkę na głowę włożono, że mu przypasano miecz i dano laskę białą i że mu się wszyscy do nóg kłaniali.

Rozpląkała się niewiasta, ręce łamiąc, a czując, że się ich swobodne, ciche życie kończyło, a pełna trosk i niewoli służba ciągnęła rozpoczynała. Łzy jej z oczów pociekły, dziecię przytuliła do siebie, nie mówiła nic, a poznać łatwo było, że nie pociechę, ale smutek i troskę widziała przed sobą...

Otarwszy łzy fartuchem, pocałowała Ziemka w czoło i na powrót do dzieży swej szła, boć w domu chleba teraz więcej, niż kiedy było potrzeba.

Godzina jedna i druga zeszły na oznakach radości,

szli potem na gród znowu i radzić chcieli, a raczej o rozkazy pytać, co poczynać.

— Dziś jedno jest do czynienia — odparł Piastun — kto żyw i silen, na koń niech siada. Dopóki wojna w domu, nic nie ma pilniejszego nad nią. Na koń więc, kto może. Starszyzna ludzi niech zbiera pod stanice i przywodzi. Zaczem wołać zaczęto z okrzykiem wielkim:

— Na koń!

To było pierwsze słowo i rozkaz nowo obranego pana.

Wnet powołał do siebie osobno starszyznę, nazywając radę do boku swego, postanowił wojewodów po miarach i okolicach.

Wtem, gdy tak na gruzach grodu Pepełków rozrządził kneź, zawołał ktoś, ażeby grodzisko, teraz do zgłiszcza tylko podobne, opasać na nowo tynem, odbudować je i w nim panu obranemu uczynić dwór, jaki dla knezia przystało.

— Nie — rzekł Piastun, — miejsce to jest nieszczęśliwe i splugawione; nie chcę siedzieć tam, gdzie wspomnienia Chwostka i zgłiszcza stałyby między mną a wami.

Tam będzie gród mój i stolica nowa, gdzie pierwszy odniesiemy zwycięstwo. Niechaj tu stołb pusty na wieki zostanie, świadcząc, jak niecnota ginie marnie... niech chwastem zarasta plugawe śmietnisko.

Wieczorem nie sam już, ale liczną otoczony drużyną, która go opuszczać nie chciała, powrócił Piastun do chaty swej, żegnany znowu przeciągłymi okrzykami.

Obcy goście, którzy mu błogosławili, wśród zamieszania powszechnego znikli niepostrzeżeni. Kazano ich szukać wszędzie, lecz nikt nie postrzegł, ani się opatrzył, kiedy i jak się wysunęli i znikli.

Gdy orszak, prowadzący obranego knezia, stanął u wrót zagrody, zapłakana jeszcze wyszła przeciwko panu swojemu Rzepica. Los dawnych kneziów serce jej trwożył, schyliła się ku ziemi i ściskając mu nogi zachodziła się od płaczu.

— Kneźno miłościwa — podnosząc ją, rzekł stary —

gotuj, co masz najlepszego, staw stoły i kadzie, aby ci, co mnie wynieśli, z głodem nie odeszli od progu.

Byłoby się jednak stało to, czego się lękał ubogi człek, gdyby od rana, jak skoro wieść poszła po świecie białym, że Piastuna obrano, nie pośpieszyli kmiecie z darami, aby ich krwi pan wstydu nie miał. Wiedzieli bowiem, że ubogim był. Komory więc pełne były i na niczym nie zbywało.

Tłumy z okolicy, dworów sąsiednich i chat, jak po drodze już witały króla bartnika, tak teraz oblegały zagrodę, okrzykując go nieustannie, cisnąc się doń i uważając za dziw dziwów wybór nowego pana, którego im wyrocznie nazaczyły. Obcych owych gości jako posłańców bożych ogłoszono.

Pozapalano stopy łuczywa, jak w noc kupałową i dzień uczyniono świętecznym, bo przyniósł z sobą nadzieję pokoju i zgody... Całą noc do białego dnia młodzież z żagwiami biegła, budząc po dworach wesołą nowiną, i co chwila nadbiegali kmiecie, pozdrawiając pana i okrzykując. Przez nich potem wici na wsze strony rozsyłano, aby ktokolwiek oszczep mógł dźwignąć, stawił się pod swego wojewodę z rodem i czeladzią.

Chwytając i mieniając na pastwiskach konie, lecieli parobczaki z wiciami od dworu do dworu, od chaty do chaty.

Cicha zagroda starego bartnika dzień i noc teraz wrzawy była pełna. Stąd wyruszyli tysięcznicy, setnicy, dziesiętnicy, starszyczna, wyznaczona do dzielnic zwoływać i dobierać lud wszelki.

Nie upłynęło więcej nad ćwierć miesiąca, gdy ponad jeziorem tysiące młodzieży szeroko obozem leżało. Tych Piastun co dzień sam z wojewodami dzielił, ustawiał, opatrywał i zachęcał do boju.

Pomocy z Kaszubami i Niemcami na czele, zniszczywszy wszczep i wzdłuż niemalą kraju przestrzeń z łupem i niewolnikami wrócili wprawdzie spod Lednicy, obawiając się zasadzki i utraty grabieży, ale wiedziano



dobrze, iż Leszkowie nie wyrzekli się praw swoich i zemsty, której pragnęli.

Zwykle idące za łupieżą kupy cofały się obladowane nią w lasy, aby spocząwszy i pozbywszy się ciężaru, na nowo rozpocząć najazd, nowych sobie przybrawszy ochotników.

Młodzi synowie Chwościka cofali się tak z garścią najemnika na Pomorze, ale ciągle czynnymi byli i nowe zaciągi sprowadzali.

Ludzie, na zwiady wyprawieni na rubieże, przynieśli wieści, że się nowa gotowała wyprawa.

Teraz się jej już nie lękano, owszem, żądano prawie, mając czym napastnika osaczyć i zwalczyć. Droga, którą on chodził, spustoszoną była, nowej więc szkody uczynić nie mógł, a w lasach spodziewano się go oskoczyć i wymordować do nogi.

Synowie Chwostka mogli też łatwo wpaść w ręce.

## VI

Wybór Piastuna w kilka dni po całej rozszedł się ziemi; podawano sobie wieść o nim z zagrody do zagrody. Dziwili się wszyscy, a im dalej od Gopła, tym powieść o osobliwszej bogów wyroczni i woli inaczej była opowiadana. Wierzyli wszyscy, iż to było zrządzeniem woli, która światem rządzi... Obcy jacyś ludzie, nieznanymi przyszl, jakby umyślnie zesłani rzucić słowo, możni nie mogli im się sprzeciwić, jednym głosem i wołą wywołano starego bartnika z lasu, uciekającego pochwycono i zmuszono do panowania.

Leszkowie tylko ci, co im sprzyjali, a krwią byli związani, nie śmiejąc nic rzec, smucili się bardzo. Lękali się ci, co do rodu ich należeli, aby ich nie wytępiono i zemsty nad nimi nie szukano.

Na wiecach późniejszych Miłosz stary, głowa rodu, nie pokazywał się więcej. Ze ślepym Leszkiem swym

zamknął się w osamotnionym grodzie, obstawił strażą, podwoił załogę — siedział cicho. Starzec teraz jedną tylko żył nadzieją, że się po oślepionym dziecięciu potomka doczeka i we wnuku na nowo odrodzi.

Dla Leszka wyszukano żony; stara macierz stała się piastunką dwojga dzieci, czuwając ciągle nad nimi. Dano mu dziewczę piętnastoletnie, a że ślepotą i jego uczyniła dziecinny, bawiło się ich dwoje pod dębami starymi przy matce, jak gdyby zaledwie rozpoczęli życie. Leszkowa żona, którą Bielką nazywano, ślepemu swemu, siedzącemu przy niej, śpiewała, on grał na gęśli, a matka stara bajki im o bohaterach prawila i tak dnie schodziły powoli.

Ojciec ukryty przysłuchiwał się czasem wesółemu gwarowi smutnej pary, nie pokazując się i nie mieszając do rozmowy, aby słowem jakim nieostrożnym boleści i nieszczęścia nie przypomniął. Osłodzić chciano życie biednemu kalece, dla którego świat cały był w jednym głosie i sercu jednym.

Dni tak płynęły niepostrzeżone, jedno za drugimi, wszystkie do siebie podobne; rzadko głos obcego człowieka u wrót się odzywał, rzadziej jeszcze wpuszczono go do grodziska. Starszyzna z Bumirem kilka razy domagała się widzenia z Miłozsem. Raz jeden tylko wpuścić ich kazał, powiedział, że do niczego mieszać się nie chce, i odprawił, a gdy potem z naleganiem wrócili, już im nawet wrót nie otworzono.

Jednego z pierwszych dni, gdy po obiorze Piastuna Leszkowie się niepokoić zaczęli o siebie zastukano do wrót gwałtownie. Było to z południa.

Stary Miłosz leżał pod dębem na uboczu, za drugim Leszko z Bielką siedzieli o gruby pień oparci, stara matka była z nimi. Do Bielki z dębów stadem zlatywały się gołębie, a ona je rzucając ziarno, karmiła. Przy Leszku leżały psy jego, które on pieścić lubił. U nóg starego Miłosza wyciągnięty mrucał niedźwiedz jego nieodstąpiony i dwie srocзки domowe skakały. Gdy u wrót hałas





21

Dobek nieco opodal spokojnie się położył na trawie, ogień  
tylko podkładając, aby Hengo upiekł mu się żywcem.



się dał słyszeć, gołębie pierzchnęły na drzewo, psy, szczekając i ujadając, zerwały się i niedźwiedź począł mruzczeć, choć mu się łba z ziemi podnieść nie chciało, sroki narobiły wrzasku, biegając i podskakując po ziemi, to przysiadając na gałęziach. Tymczasem stróż u bramy wylazł na pomost górny i przypatrywał się, kto przybywał.

Stało tam dwóch ludzi, opończami lichymi otulonych, wyglądających biednie i ubogo z pozostłanianymi twarzami. Przed chwilą straż, chodząca na wałach, ujrzała ich szybkim krokiem wychodzących z lasu, gdzie zapewne konie zostawić musieli, bo w zaroślach coś migotało.

Stróż nie mógł dopatrzeć twarzy, lecz z ruchów i głosu domyślał się młodych ludzi. Oba niecierpliwie domagali się, aby ich dla rozmowy do Miłosza wpuszczono.

Odźwierny im odmówił.

— Kneź chory, do niego nie wpuszczają nikogo.

Na próżno napierali się i łajali, nie pomogło nic.

W ostatku jeden z nacierających tak do bramy, zdjął z palca pierścień i ukazując go rozkazał stróżowi, aby natychmiast niósł ten znak do pana.

Przez otwór zasuwany we wrotach ująwszy pierścień który był przepołowiony i na palcu łańcuszkiem się trzymał tylko, stróż powłókł się pod dęby do pana i biorąc mu czołem, oddał do ręki.

Miłosz popatrzał, westchnął, coś jak łza potoczyła mu się po policzkach i brodzie, skinął na żonę, aby dzieci precz do dworu odwiodła i kazał wpuścić tych gości.

Pierzchnęło wszystko z podwórza, psy nawet powlekły się za Leszkiem. Odsunięto draży, otwarto wrota i dwaj przybyli weszli zwolna. Tuż za wałem zmieniły im się zaraz postawy i twarze. Stali tam wprzód skurczeni, pokorni; tu się im wyprostowały barki, podniosły czoła, zaświeciły oczy.

Byli to Leszek i Pepełek, dwaj synowie Chwostka.

Oglądając się niemal pogardliwie dokoła, zbliżyć się poczęli do Miłosza, który się nieco podniósł, gdy ich

zobaczył; ale nie wyszedł na spotkanie. Oczy tylko zwrócił, aby się im przypatrzeć z daleka. Gdy przed nim stała, ręką ich powołał i czekał.

Natenczas starszy odezwał się do niego.

— Dostaliśmy się i my do was, kneziu, z niebezpieczeństwem życia, bo my, tutejszego kraju dziedzice, jak zwierz dziki jesteście ścigani. Wy tu jesteście zamknięci. Nie chcecie bronić praw swego rodu... Przyszliśmy was zmusić, abyś szedł nam pomagać i dał ludzi.

Miłosz się popatrzał groźnie na obu.

— Wy? mnie? zmusić? — jęknął powoli.

— Tak — ciągnął starszy, — tak, ja po ojcu odziedziczyłem władzę... choć młody, panem jestem i nad krajem i nad wami. Przynajmniej rodowi własnemu i krwi nie dam się przeciwko sobie podnosić.

Miłosz słuchał, niekiedy mu oczy błysły, niedźwiedź u nóg jego leżący, głos obcy i ludzi czując nowych, mruzczał dziko. Zdawał się czekać tylko skinienia, aby się rzucić na nich.

— My musimy — ciągnął starszy — i ziemię naszą, i gród odzyskać. Wszyscy Leszkowie muszą pójść z nami. Tę czerń i tłuszcę, co podnosi głowy, trzeba zgnieść i wytępić, wybić i spętać.

Mówił powoli, przestając co chwila i wyczekując, ażali nie odezwie się Miłosz. Kneź milczał.

— Przyszliśmy oba zapytać was, czy z nami trzymacie, czy z tą czernią i chłopstwem?

W starym Miłoszu widocznie już coś się gotowało i burzyło, choć wstrzymywał się z mową. Niekiedy oczy z krwawymi powieki podniosły się i wąż siwy zakąsał, ręka wychudła, ogromna, jakby z samych kości złożona, którą na kolanach trzymał, dygotała niecierpliwie.

Na ostatnie pytanie, wyzywająco rzucone, buchnął nareszcie.

Ręką się podniosła.

— Z wami, ani z nimi trzymać nie chcę — krzyknął gwałtownie, — znać was nie chcę, nie znam. Stoi was

tu dwóch zdrowych i żywych przede mną, a gdzie synowie moi?... Jakaście się ośmielili wniknąć tu... wy... Wiecie, że ojciec mojego syna zabić, drugiego oślepić kazał? Przyszliście mi przypomnieć, że ja, krwi dzieci moich winienem jednego z was kazać ściąć tu — zaraz, a drugiemu wyłupić oczy i rzucić je psom.

Obaj synowie Chwostka, szcerwieniwszy się, chwycili bezmyślnie za miecze u pasa i spojrzeli po sobie strwożeni nieco.

Stary też patrzył na ich twarze młode, kwitnące, na oczy ich jasne i gniew a żal opanowywały go coraz mocniej. Młodzi kneziowie milczeli.

— Wy, mnie, tu, na moim podwórku przychodzicie rozkazywać... mnie zmuszać? Wy... mnie!

Starszy z gniewu pokraśniał cały.

— Mam to prawo, co ojciec! — zawołał, nogą tupiąc w ziemię i czoło dumnie podnosząc do góry. — Wołam was na wojnę za nasz i wasz własny ród. Ojciec mój kazał zabić syna twojego, bo mu się burzył i powstawał; oślepił drugiego, bo szedł za nim i robił toż samo... łaska, że mu życie zostawił.

Miłosz nagle dźwignął się z ziemi, róg miał za pachę, podniósł go do ust i zatrąbił.

Ze wszystkich stron podwórza czeladź się zbiegać zaczęła.

Chwostka synowie niepewni, co się stanie, dłońmi tylko cisnęli miecze, ramieniem do ramienia się przyparli, twarze im poblady nieco.

Przodem biegł stary smerda kneziowski, oczyma przerażonymi patrząc, co się z panem jego działo. Miłosz stał i drżał, rękę wyciągnął ku młodym i ukazując ich, wołać począł głosem zmienionym:

— Związać tych ludzi... i rzucić do lochu! do lochu!

— Nas! wiązać? — wrzasnął starszy, rzucając się ku Miłoszowi! — ty byś śmiał?

— Samiście szukali tego, oddaliście się mi w ręce,



abym pomścił synów moich... Krew ich żąda waszej...  
Jeden z was zginie, oślepnie drugi.

Odwrócił się, ludziom nadbiegającym ręką ich wskazując.

— Związać ich !... do ciemnicy !

W mgnieniu oka czeladź się na kneziów rzuciła, ci barkami oparli się o siebie, dobyli mieczów i stawali do obrony. Wtem jeden z pacholków rzucił się na ziemię i za nogi schwyciwszy, obalił młodszego, drudzy za ręce już chwyтали.

Powstał krzyk i wołanie. Związano obu mimo oporu leżących na ziemi.

Ze dworu na hałas ten powybiegały niewiasty, służba z najdalszych kątów, wysypywało się, co żyło, psy ujadać zaczęły, niedźwiedź zaryczał spinając się na łapy. Dwu kneziów wiedziono do ciemnicy.

Była to nie izba, ale jama na pół w wałach, w pół pod ziemią wygrzebana, dylami ostawiona, ciemna, którą drzwi ciężkie zamykały, jak studnię. Długa szyja od wnijścia schodziła w dół do wilgotnej pieczary.

Chwostka synów na ręku niosąc, popychając, ciągnąc, pomimo rzucania się i oporu, rzucono do głębi i natychmiast zawalono drzwi, na które ciężki kamień się potoczył.

Wrzawa nagle ustała. Stary Miłosz począł chodzić po podwórzu, koszulę szarpiąc na piersi, dysząc i jęcząc straszliwie, tarł czoło i łamał dłonie; wiatr długą siwą brodę mu rozwiewał.

Zdawał się walczyć z sobą. Niekiedy wypogadzała mu się twarz, to dziczała, zasmucała się i rozjaśniała. Myślał o pomście za własne dzieci, ale ci, na których chciał się pomścić, to były wnuki jego, sieroty bez ojca i matki.

Gdy Miłosz rzucał się tak, zbierając się co chwila zawołać Hulę dla spełnienia wyroku, we dworze, mimo ciszy, panował niepokój i trwoga.

Ludzie knezia poznali dzieci ostatniego pana i choć

spełnili na nich, co im rozkazano, przerażeni byli, przelękli tym, co uczynić musieli.

Litość się w nich obudziła.

Wszystek dwór Leszków trzymał sercem z ich sprawą.

Niewolniczo posłuszny, niewolniczo też przywiązanym był do panów. Szemrano dziwnie, z dala spoglądając na Miłosza, który wielkimi krokami pod dębami chodził, sam coś mówiąc do siebie.

Hula, którego też Obrem zwano, stal też z dala, czując, że może być potrzebnym. Sam kneź Miłosz wzrost miał ogromny i siłę. Niejeden ród wówczas nią sływał, ale Hula, oprawca, wszystkich we dworze przechodził wzrostem i mocą. Mówiono, że był potomkiem tego rodu Obrów, co niegdyś byli ujarzmili Dulebów i znęcali się nad nimi, niewiasty ich do wozów sobie wprzegając, aż póki z tych nieszczęśliwych zrodzeni własni ich potomkowie nie zwyciężyli i nie odegnali precz najezdników. Hula Obrzaledwie na pół był człowiekiem, więcej obłaskawionym zwierzęciem, jak niedźwiedź, co się u nóg starego Miłosza wylegiwał. Do żadnej izby wnijść nie mógł, póki się nie nagiął na poły; wóz z sianem brał na barki i nosił go, jak drugi wiązkę siana. Zwierz mu się nie oparł żaden, a ludzi gniótł w garści, jak słomę. Cały gęstym włosem obrosły, ledwie potrzebował okrycia, żywił się najczęściej mięsem surowym, a zimą sypiał w śniegu. Najokrutniejszy spełnić rozkaz było dlań najmilszą zabawką.

Zamiast mowy mručeniem jakimś się odzywał niezrozumiałym i śmiechem. Na grodzie Hula zastępował wielu, bo ani koń zdziczały, ani żadne stworzenie straszonym mu nie było, byle je mógł pochwycić.

Kneź już oczy zwracał na Obra, a ten stał, niespokojnie spoglądając ku niemu; skinienia mu tylko było potrzeba — czekał.

Trzy razy Miłosz ku niemu głowę skłonił, a słowo mu na ustach zamierało.

Wtem do wrót gwałtownie się dobijać poczęto i wołanie za nimi słyszeć się dało, aby kneziów wydano.

Straż, nad bramą wyszedłszy, ujrzała z lasu ciągnący oddział silny, który się powiększał coraz. Po strojach i orężu poznać było łatwo Niemców, Pomorców, Kaszubów i domowników Leszków, zmieszanych z nimi. Słychać było krzyki coraz silniejsze, domagające się kneziów.

Miłosz miał ochotę kazać Obrowi zdusić obu i trupy wyrzucić za wrota.

Co chwila tłum oblegający rosł, oddział w lasach ukryty na dane hasło ścigał się i zewsząd opasywał grodzisko. Stojący na przedzie groźnie dopominali się dwu panów swoich. Załoga, która powybiegała, obyczajem ówczesnym poczęła rozmowę i łajanie wzajemne.

Starszy smerda, z przerażeniem ujrzawszy, co się pod zamkiem dzieje, pobiegł do Miłosza, aby mu oznajmić, że całe wojsko u wrót stało, że obronić mu się nie będzie podobna. Ale stary, nie uląkłszy się wcale, sługę przekleństwem odegnał.

Nadbiegła żona, przyszedł oślepy Leszek do ojca; nikt z rozwścieczonym starcem mówić nie mógł. Przypomnienie dzieci pragnienie zemsty zaostrzyło. Nie śmiał jednak wydać rozkazu, który mu błądził po ustach.

Wieczór tymczasem zapadał, mrok nadszedł i stojący poza okopami, ciągle wykrzykując, poczęli się kłaść obozem pod grodziskiem. Z obu stron nie rozpoczęto kroków zaczepnych, nie rzucił się nikt, bluzgano tylko nawzajem wstecznymi słowy.

Noc nadeszła czarna, której gwiazdy rozjaśnić nie mogły. Kneź nic nie powiedział jeszcze, lecz Obr zawołany stał za nim i patrzył mu w oczy.

Smerda już nocą przyszedł nad wrota i krzyknął starszyźnie domagającej się wydania Leszków, że jeśli się na gród targną, głowy ich natychmiast spadną.

Mimo ciemności, cała załoga uzbrojona na wałach się rozłożyła. Byli to ludzie, co od dziadów w służbie u rodu Leszków, z niewolników porodzeni, nawykali do nich,



patrzali na to, co się działo, starych żałując czasów. Ci, których teraz miał Miłosz, pamiętali ojca Pepelka i służbę swoją na jego dworze.

Miłosz surowy był, obawiano się go, życie tu było nędzne i nieznośne. U wrót nocą zaczęły się nieznaczące z łajań szeptu i namowy do zdrady.

Gdy Miłosz jeszcze chodząc z dala, burzył się, bijąc sam z sobą, co pocznie, pomści się, czy puści wolno, ludzi mu przekupywano, aby otworzyli wrota oblegającym.

Nad ranem wszystko ucichło, zdalo się, że z obu stron znużone gromady posnęły, gdy cicho rozwarły się wierzeje i gromadka zbrojnych, a za nią cały tłum gęsty wpadł i wtłoczył się na podwórze. Chrząst wrót, które, cisnąc się, złamano, obudził starego Miłosza.

Gdy on, z Obrem i garścią wiernych ludzi, których miał przy sobie, posuwał się z oszczepem ku wnijsciu, gród już był w ręku Pomorców i Niemców, z wrzawą i krzykami biegnących w podwórze i zalewających grodzisko. Ktoś odwalil kamień od lochu, w którym zamknięto młodych kneziów i wypuścił ich z ciemnicy.

Ciążba zdziczała rzuciła się rżnąć i mordować mściwie.

Pierwszy Miłosz stary padł przebity dzidą. Stojący przy nim Obr kilku ludziom, porwawszy ich, czaszki o pnie dębów podrzucił; ale i jego w końcu przywaliła kupa nadciągających Pomorców i na ziemię obalonego zamordowała. Inni wpadli do dworu, gdzie ani niewiastom, ani dzieciom nie przepuszczono, plądrując razem, zabierając łupy, nim by kto ognia podrzucił.

Ranek wstał nad krwawym polem, trupami zasłanym; zdrajcy nawet, co wrota otworzyli, gdy się\*rozwściekła ciężba, pozabijani zostali, nie żywiono nikogo.

Dzicz pijana śpiewała i cieszyła się swojemu zwycięstwu.

Dwaj synowie Chwostka stali pod dębami, wśród trupów, bladzi i przerażeni jeszcze niebezpieczeństwem.

z którego ocaleni i nieszczęściem, jakiego ich zuchwalstwo stało się przyczyną.

Ze dniem dopiero postrzegli, iż Bumir i inni Leszkowie, krewni ich, którzy im towarzyszyli, opuścili ich i znikli.

Zrozumieli, że to zwycięstwo i pomsta krwawą były klęską.

Ostatni, co się nimi posiłkowali, odstąpili od nich. Zostali sami z garścią Niemców i z najemnikami, którzy się na nich też rzucić mogli.

Podwórze zamkowe wyglądało straszliwie, jak pobojowisko. Kupami leżały rozrzucone ciała odarte. Wśród nich osobno widać było siwobrodego Miłosza, starą jego żonę, ślepego Leszka, pobite psy, zgniecione gołębie, w którym tkwiło kilka oszczepów. Wysoko na dębu gałęziach latały popłoszone gołębie i dwie sroki skrzeczały.

Resztki załogi, która się po zakątkach skryła, wyciągano i wiązano. Kaszuby, ocaliwszy Bielkę, skępowaną powrozami, we łzach, pokrwawioną, prowadzili w ofierze zwyciężcom. Padła biedna przy trupie Leszka na ziemię, twarz zakrywając rękami, i ryczała płaczem okropnym, grobowym.

Dzicz już wyciągała precz juczne konie, łupami i zdobyczą obciążone, wyśpiewując radośnie.

Wśród starych dębów płonęły spustoszone dwory. Dawano rozkazy do pochodu, tłum powoli wylewał się z okopów na równinę.

Długim sznurem płynął przez wrota, wchodząc i niknąc w głębi lasu. Naprzód się cisnął tłum gęsty, potem przerzedzone kupy, na ostatku pijana ciżba po kilku i pojedyncze zbójce, którzy się schwyconą zdobyczą dzielić nie chcieli.

Ostatni jeszcze przeciągnął wybitą przez pole drogą i zniknął w lesie.

Z drugiej strony z gąszczy ślepy gęślarz wyszedł z chłopięciem, który go ku okopom wiodło milczące.

Wiatr niósł mu spaleniznę ze zgliszcza. Stał we wrotach, kij jego dotknął leżącego trupa... chłopak przytulił się doń drżący i płakał.

— Stary Miłosz leży z piersią rozbitą... ślepy Leszek zakrwawiony... trup na trupie... żywego nikogo...

Gęślarzowi zadrżały nogi, siadł na kamieniu we wrotach. Dłoń jego sama strun szukała, ale usta pieśni wyjąknąć nie umiały, zawodził tylko :

— Gdy na gniazdo piorun pada, czego grom w nim nie wybije, to się samo w nim zajada i swą własną krew wypije... Kiedy na ród wyrok padnie, że ma szczeznąć marnie w ziemi, brat na brata ręce kładnie, ojciec źre się z dziećmi swymi... Bez pogrzebu w polu leżą, krucy ciała poszarпали... kości ich wiatr poroznosi i pamięć ich wsiąknie w ziemię...

## VII

Gdy się już na wyprawę przeciwko Pomorcom wybierano, rozproszonego niewolnika, w poprzednich zabranego potyczkach, Piastun kazał spędzić do grodu nad Gopło i zamknąć na wieży, bo tam go najłatwiej strzec było. Pilnować jeńców po zagrodach nie bardzo było komu, a trafiało się często, że i w dyby pozabijani, na palach się rozkuwali, szli w lasy i przekradali do swoich, prowadząc ich potem tym bezpieczniej na Polan, że tu drogi i osady poznali.

Ludek, Wiszów syn, wysłał też z innymi Niemca swego, Henga, którego zabrał był z sobą. Ten, że się tu już dawniej włóczył po zagrodach, znał je dobrze, u Piastuna też bywał; wyprosił u czeladzi co go prowadziła, żeby mu przed knezia pozwoliła iść wprzód i do niego przemówić. Strasznie mu się na wieżycę z mółtochem iść nie chciało.

Zręczny Niemiec ufał w to, iż językiem i układną postawą wyprosi się u niego.



Gdy go skrepowanego przyprowadzono, padł naprzód przed starym na kolana, żaląc się, iż mu się tu od wszystkich straszna krzywda dzieła, że go Pomorcy naprzód spokojnie powracającego zabrali gwałtem z sobą, podejrzewając, że Polanom sprzyja, że potem w ich obozie ujęty został w niewolę i posądzony niewinnie o sprowadzenie Pomorców.

— Ja nie wojuję z nikim, niczym nieprzyjacielem nie jestem — mówił Hengo, wielką udając pokorę, — żonę miałem z waszego rodu i mowy. Moja sprawa zamiana i zarobek, ludziom służę, wojny się lękam, mienia całego pozbyłem, na żebraka wyszedłem. Ulitujcie się, panie, nade mną!

Wysłuchawszy żalów, Piastun odpowiedział spokojnie, iż wojna ma prawo swoje, kraj się bronić musi i bezpieczeństwo swoje opatrywać. — Gdyby was puszczono wolno, — dodał, — a uchodząc trafilibyście na Niemców, pytaliby was, co się u nas dzieje, musielibyście swoim wyznać wszystko, a nas zdradzić. Lepiej więc dla ciebie i dla nas, abyś tu został, dopóki się wojna nie skończy.

Hengo począł błagać i zaklinać, żeby go przynajmniej na stołb nie sadzono, gdzie sroga nędza panować musiała, wolal w dybach, czy w łykach, choćby związany, mleć gdzie w żarnach na zagrodzie.

A że Niemiec płakać umiał i czynić się niewinnym, serce starego skruszył.

Pozwolił mu u siebie w chacie pozostać, wymagając tylko przysięgi na Boga, którego Hengo wyznawał, iż uciekać nie będzie. Hengo, palce na krzyż złożony, klęknął i przysiągł, że się z zagrody nie ruszy.

Drugiego dnia nędzny ów jeniec wojenny już coś poczynił mieniać, bo choć go ze wszystkiego niemal odarto, w łachmanach odzieży znalazły się jakieś cudownie ocalone resztki i już niewiastom kolce ofiarował, a mężczyznom małe nożyki, które nie wiedzieć skąd zdobywał.

Niewiele na to zważano. Uciekać nie myślał w istocie, owszem, wciskał się, gdzie było najludniej, do wszelkich

posług ofiarował, a ciągle się z tym przechwalał, że miał żonę z tej krwi i mowy, co Polanie, i syna z niej. Głosił się przeto przyjacielem. Na Pomorców i Kaszubów strasznie wygadywał, dzikość im i łupiestwo zadając. Czynił się też użytecznym tym, że miecze i noże lepiej, niż inni ostrzyć, złamane na nowo oprawiać umiał i w czystości trzymać.

Zgłaszali się do niego ludzie różni, służył ochotnie każdemu, a brał, co mu dano, choćby mało wartą skórę i jagnięcia.

Raz, gdy pod szopką zajęty był swym rzemiosłem, nadszedł doń przybyły tego dnia po rozkazy knezia Dobek. poznał, a zobaczywszy koło majsterstwa, bardzo hołał, że takiego sługi pod ręką nie miał, bo w domu wiele było niezdarne gołomu, z którym ludzie nie wiedzieli, co poczynać.

— A czemużeście, mnie wzięwszy, nie zatrzymali sobie? — odezwał się Niemiec. — Teraz chybabyście poprosili miłościwego pana, żeby mnie do was na czas puścił pod przysięgą, ja bym porobił, co potrzeba.

Stało się tedy, że Hengo, przysięgę powtórzywszy, gdy i Dobek zaręczył, iż go sam pilnować każe, dostał pozwolenie jechania z nim. Wsadzono go z tyłu na konia za jednym z czeladzi i tak się na nowy dwór dostał.

Tu dziwne znalazł życie, inne, niż u pospolitych kmięciów po zagrodach. Dobek z dzieciństwa wojakiem był z upodobania, choć znaczne ziemie miał pod sobą, sam się nimi, ani rolą, ani stadniną, ani barciami swymi nie zajmował.

Miał do tego włodarzów, bartników, stadników, posługaczy, a sam tylko życia zażywał. Nie był też żonatym chociaż kobiet dwór był pełen, które mu i śpiewać i skakać musiały, gdy rozkazywał.

W polu na łowach szalony, niespracowany, ady do domu przybył, zwykł był przy ogniu legiwać albo pod drzewem na murawie. Kubek pełny przy nim musiał

stać, a wesołki mu prawili baśnie albo kobiety gadkami i pieśniami bawiły.

Całe godziny i dnie tak schodziły na wylegiwaniu się i na śmiechu, potem nagle na koń się zrywał, w las prowadził swych ludzi z sobą i dnie kilka o chłodzie i głodzie polując, do dworu ani zjrzał. Z kałuży gotów był się napić i lada czym pokarmić.

Tak samo, gdy na wyprawę ciągnął, dobry był do napaści gwałtownej, ale nigdzie nie strzymał długo.

Przyjacielem też umiał niekiedy być takim, że życie stawił dla druha, a gdy najmniejsza waśń poróżniła go z bratem, ubić był gotów na razie... i potem żałować.

Choć tak gwałtowny i dziwaczny, Dobek razem przebiegłym był bardzo; zataić się umiał do czasu, z człowieka wyciągnąć, a samemu się przyczaić cicho.

Z tej strony mało go kto znał, oprócz własnych ludzi. Hengo, poznavszy się z nim, począł bardzo mu się przypatrywać bacznie, po drodze nie spuścił go z oka ni z ucha, postrzegał pilno, a gdy do dworu przybyli, zdało się Niemcowi, iż go już całego miał.

Poczęło się tu od tego, iż gorąco się zabrał do czyszczenia, naprawiania i ostrzenia. Wszystek łom, leżący w komorze, przyprowadził do dobrego stanu. W kilka dni, choć łamaną mową, umiał Dobka tak zabawić, iż się o niego upominał i z kąta go sobie wyciągać kazał. Prawił mu, jak tam po świeciecale inaczej, niż u Polan było, jak tam ludzie żyli, jak się niewiasty nosiły, jak się wojacy uzbrajali, jak panom było wygodnie. Umiał to wszystko w takim świetle przedstawić, iż Dobka ochota brała niezmierna widzieć te ciekawości.

Urabiał go tak powoli Niemiec, powolnym znajdując, zachodził z różnych stron, szczególnie gdy nie było ani bab, ani czeladzi, co by podsłuchiwała rozmowę. Dobkowi pod lipami kładziono skóry, na których się wyciągał; miód mając pod ręką i tak na brzuchu leżąc, gadek lub pieśni słuchał.

Gdy inni się zabawiając pana, zmęczyli, podkradał się



Niemiec. Próbował zrazu tak nieśmiało coś przebąkiwać o Niemczech, obyczajach swego kraju, a Dobek, ciekawy, do czego idzie, puszczał go, jeszcze mu dopomagając. Czuł, że to nie daremne. Niemcowi zaś zdawało się, że na prostaka trafił.

— Świat to całe u nas inny — powiedział Hengo. — Takim ludziom, jak miłość wasza, tam by żyć, tu ciężkie życie bardzo, głód nierzadki, napaści, wojny, ludzie się rozbiegają po lasach, niczego dostać, nic zobaczyć, ino ziemia, woda i lasy. Tu wszyscy ludzie jakby równi żyją, panów nie ma, niewolnika mało. Kneziom nawet gromady wielkiej woli nie dają, a tam u nas wojownik panem. Królewskie, cesarskie dwory od złota, srebra i drogich kamieni świecą, domy z muru, z ciosu... wspinała i rozkoszne.

Dawał mu Dobek mówić, jeszcze go zachęcając.

— Praw no, praw, ciekawym słuchać.

— U nas ludzie tak, jak zwierzęta rozpierzchłe po lasach, nie siedzą, do kupy się pod grody z domami zbierają... Kamienice budują wielkie i w środku jasne... Chramy Boże wyniosłe i złociste. Piją tam i jedzą inaczej. Niewiasta, gdy się ustroi, dziesięć się razy piękniejsza jeszcze wydaje. Gdybyście zobaczyli miasta nasze z podziwu byście krzyknęli. Rzemieślnicy też u nas z kruszcem, co zamyśla, zrobić umieją.

Tak mu to wszystko zachwalał, że się Dobek aż z ziemi podnosił, słuchając, oczy mu się paliły, szczególnie gdy opisywać zaczął, jak tam rycerze chodzili zbrojni, obwieszani łańcuchami, jakie nosili żelazne zbroje i tarcze malowane, na kołpakach żelazo, a gźła z łusek żelaznych. Opowiadał też dziwy o kobietach, jak śnieg białych, z oczyma jak węgiel czarnymi, które przedziwnie na gęślach grały i śpiewały.

Dobek się pocieszał tym, że to wszystko i u Polan być miało, ale myślał, na co Niemiec tak nastawał, chwalać mu swoje kraje? Nie było to bez przyczyny.

— Byłoby to i u Polan pewnie — mówił Hengo. —

ale wy tego sami nie chcecie. Mielście kneziów spokrewnionych z niemieckimi, którzy by byli ten sam porządek i tu zaprowadzili, a no ich precz wyrzuciliście i natomiast wybraliście prostego kmiecia.

Dobek teraz zrozumiał dobrze, do czego mowa zmierzala i że Niemiec zdrajca go próbował; udał więc, iż i on podobnie myślał, dodał nawet, że wybór Piastuna przyjął, jako inni, chociaż mógł mu być nie bardzo wygodnym.

— Kmieć kmieciowi równy — rzekł, — jeśli mogli go wybrać, czemuż nie mnie ?

Niemcowi zdało się, że go już ma w garści całego, zwolna więc popuszczając coraz zaczął językowi wodze, na stronę Leszków go nawracając, czemu tamten się nie przeciwiał. Prawił o dworze teścia Chwościkowskiego, jaki on piękny był, ilu przy nim rycerzy się znajdowało, jakie życie wesołe wiedziono.

Dobek, wciąż potakując zdradliwie, przodem go puszczał.

Nazajutrz sam już zagadnął o to, a Hengo bez obawy pleść zaczął, namawiając na stronę młodych kneziów.

Wieców nie było żadnych, a posłuszeństwo i ład wyborny...

Dobkowi niekiedy słuchając, pięść świerzbiała, ale go ciągle poduszczał, próbując, jak też zajdzie daleko. Hengo się po cichu przyznał, że był w służbie u dziada młodych Pepelków, odważył się nawet szepnąć, iż Dobek widzieć by się z nimi powinien, a wziąć ich stronę i drugich namawiać, za co by mu się potem wielkie ziemie obszary dostały, osypy z nich i daniny.

— A jakże się to dobić do nich ? — spytał chytry Dobek.

— Gdyby tylko miłość wasza chciała to uczynić — szepnął Niemiec — znaleźlibyśmy sposoby.

Nastęrczała się tedy zřeczność poznać bliżej nieprzyjaciela przed wojną i Dobek, który lubił osobliwe wyprawy, nie mógł się strzymać, aby nie zapragnąć do-

kazać tego, co nikt. Obawy nie znał, tylko za zdrajcę uchodzić mu się nie chciało. Trzeciego dnia pod pozorem myślistwa z domu wyruszył, nic nie mówiąc Niemcowi, i pobiegł Piastuna się radzić, co miał uczynić. Powrócił z postanowieniem, aby korzystać z Niemca, przekraść się do obozu nieprzyjaciela, i co można, w nim wypatrzeć.

Nazajutrz Hengo i on naradzali się na osobności, tak aby ich nie podsłuchano. Dobek starostę swojego zawołał i w domu pilnować polecił, sam na koń siadł, dawszy Niemcowi drugiego i w lasy ruszyli, nie opowiadając się nikomu, dokąd i po co.

Cieszył się Niemiec, nie domyślając, jakie mu niebezpieczeństwo groziło, i uszy nabijając Dobkowi tym, że on u młodych kneziów będzie ręką prawą, panem na ich dworze, że pozyszcze bogactwa wielkie, weźmie ich krewną za żonę, byle stale z nimi trzymał i drugich też do tego po cichu nakłaniał, aby, kmiecia rzuciwszy, dawnych panów się jęli. Dobek, milcząc, głową potakiwał, a co się w nim działo, tego z oczów nie można było wyczytać. Czasem się tylko, ukośnie spojrzawszy, uśmiechał.

Jechali tak lasami, przedzierając się po uroczysskach pustych, nocując dni kilka, aż wjechali do puszczy na granicy pomorskiej ziemi. Tu Hengo znał drożyny lepiej jeszcze, wiedział, gdzie szukać ludzi, a przez nich do obozu Pepelków trafić już było łatwo.

Właśnie tam jeszcze na Kaszubów i inne gromady ludzi, nawykłych do napaści i wojny, czekano, gdy Hengo z Dobkiem manowcami ku obozowisku się zbliżyli.

Dwaj młodzi kneziowie z wujem Klodwigiem stali na granicy w lesie, który zwano puszcza dziką.

Miejsce na obóz wybrane samo przez się było obronne, bo je dwie rzeczki spływające się tu, w widłach obejmowały, a z dala szerokie otaczały błota. Na starym horodyszczu porozbijane były szałas i namioty płó-





Piast ujął pług w rękę i zapuścił w ziemię...

cienne. Niemala zbrojnych ludzi kupa już się tu zebrała, inni przyciągali.

Gdy się u straży, stojącej na wąskiej haci, wiodącej do obozu, opowiedzieli, wziął ich jakiś starszy i do młodych panów prowadził. Dla kneziów w pośrodku horodyszczka naprędce była sklecona szopa, na nieociosanych słupach oparta, lada jako deskami i gałęziami pokryta, której ściany płotami i oponami ostawiono.

Kręciło się około niej rycerstwo, po niemiecku odziane, w sukniach pstrych, naszywanych, z żelazem u pasa; niektórzy z proporczykami, chociaż na kamiennych młotach i obuchach nie zbywało.

Dopiero pod szopę wszedłszy, kędy młodzi kneziowie z niemieckim swym krewniakiem siedzieli na pieńkach sukнем poprzykrywanych, Dobek mógł dostrzec istotnej różnicy tej, o której mu Hengo powiedział tyle — i owego bogactwa, jakie mu opisywał.

Na deskach pozbijanych, które za stół służyły, postrzegł naczynia kowane złociste i opony czerwone, szyte we wzory, na samych też odzież misternie szytą, obszywaną i bramowaną. Oba suknie mieli niebieskie do kolan, blaszkami złocistymi po brzegach naszywane, płaszcze spinane na ramionach kolcami grubymi, na nogach obcisłą odzież, sznurami pięknie objętą i skórnie też ozdobne.

Czemu najwięcej się dziwił i czego im najbardziej zazdrościł Dobek, to mieczów prostych, długich z kruszcu świętego, pasów do nich sadzonych i stojących z dala u ścian tarczy, guzami nabijanych, spod których skór prawie widać nie było. Inne, czerwono malowane, lśniły dokoła prętami, z kruszcu do nich poprzybijanymi. Na głowach też mieli kneziowie czapki pozłociste, kunsztownie wyrobione.

Pełno tu było Dobkowi nieznanego sprzętu, którego nawet w prostocie swej użytku odgadnąć nie umiał.

Gdy weszli, a Hengo przypadł do ziemi, czego Dobek wcale naśladować nie myślał, stojąc i rozglądając się

swobodnie, poczęło się naprzód długie niezrozumiałe szwargotanie. Niemiec zalecał tego, którego tu przyciągnął, jako swą wielką zdobycz i zasługę, za którą mu się znaczna nagroda należała. Wuj i młodzi kneziowie lękać się zdawali, ażeby przybyły nie okazał się szpiegiem i zdrajcą podestłanym, aby ich siły obliczył i dał o nich znać Polanom.

Dopiero po długiej z Hengiem rozmowie Leszek starszy, który języka lackiego nie zupełnie zabył jeszcze, do Dobka się zaczął odzywać, jaką to srogą niewdzięcznością naród się ich ojcu wypłacił za tyle dobrodziejstw, które otrzymał od niego, jak oni o to teraz u swoich nawet, zamiast pomocy, znaleźli prześladowanie i w niebezpieczeństwie życia będąc, ledwie je ochronili, przez co dziad ich, Miłosz, zginął, że zostali zmuszeni szukać poparcia od rodziny matki lub je sobie zakupywać, aby powrócić do dziedzictwa swojego.

Zatem drugi z nich z Klodwigiem wujem kłąć zaczęli okrutnie Polanów, pięściami w stół waląc i odgrażając się wściekle.

Dobek słuchać musiał cierpliwie, nic nie mogąc odpowiedzieć. Stał prawie niemy, dopóki rozmowa spokojniejszą się nie stała, a panowie nie ostygli.

Starszy, złagodniawszy, zaczął go namawiać, aby on i przyjaciele, których mógł przeciągnąć, na stronę ich przeszli; Klodwig powtórzył to po niemiecku, a Hengo tłumaczył, dodając od siebie obietnice łask wielkich.

— Z was jednego — mówił wuj — choćbyście z nami szli, pocięchy jako żywo mieć nie będziemy; chwabyście nam drogę ukazywali, a do tego mamy ludzi. Z dwojga rąk, choćby najdzielniejszych, pomoc mała. Jeżeli ochotę macie, inaczej nam posłużyć powinniście. Powracając nazad do domu, weźmijcie dowództwo, ciągnijcie z ludźmi na wyprawę przeciw nam, stańcie na tyłach. Gdy do bitwy przyjdzie, rzucicie się na nich z jednej, my z drugiej strony. Weźmiemy ich w kleszcze, aby nic nie



uszło. Innych, co przedniejszych, namówcie, aby też samo uczynili.

Dobek, choć w nim wrzało i kipiało, słuchał cierpliwie. Poczęli go obietnicami obsypywać, przyrzeczono mu ziemi wiele, władzę, namiestnictwo, skarby znaczne, a gdy Hengo coś podszeptał, śmiejąc się, nawet mu pannę niemiecką, pokrewną, za żonę obiecano, z posagiem, którego by na dziesięć wozów nie zabrał.

Dobek tylko słuchał, kłaniał się, na Niemca swego spoglądając z ukosa, i choć go gniew dusił za gardło, zmógł się, aby przyjąć te łaski, jak było potrzeba.

Posadzili go potem z uprzejmością wielką na ławie, podle siebie i zaczęli go poić. Leszek, pierścień z palca zdjąwszy, dał mu go na znak przymierza, drugi mieczem pięknym obdarzył, a trzeci, chcąc też hojnym być, kubek mu kruszcowy, przepiwszy nim do niego, podarował.

Dopiero, gdy miód i wino przyniesiono, a przy uczcie podochocili sobie, Dobek się na lepszą myśl zdobył i, ciesząc się w duchu, że Niemców w pole wyprowadził, począł rozprawiać przedrwiwając, jakby głuptaszkiem był. Leszek, czego nie rozumieli, innym tłumaczył.

Tak około dzbanków czas przeszedł do wieczora niemal, a w umowie stanęło, iż Dobek miał powracać do domu, o dowództwo się zgłosić koniecznie, które mu się też należało, i innych na stronę Leszków przeciągać. Wszystko to półgębkiem Dobek przyrzekał. Czekał tylko, rychłoli się wyrwie, aby się obozowi cokolwiek przypatrzeć.

Tak obdarzonego i podochoconego Hengo potem zaprowadził pod szałas, na horodyszczu zawczasu dla nich opróżniony, i tu go na spoczynek złożywszy, sam jeszcze do swoich powrócił.

Miał Dobek czas i zręczność przypatrzeć się temu, czego był ciekawym, gdyż zewsząd go obozujący otaczali. Z miejsca, na którym stał szałas, wojsko dokoła rozłożone widać było, jazde której znaczna część miała odzież z żelaznych lusek i blach, i piechotę z tarczami,

uzbrojoną w dzidy, oszczepy, miecze i obuchy. Nade wszystko tu podziwiał porządek wojenny, którego u Polan nie znano. Wszystek ten lud, jakby niewolników, starszyzna ostro trzymała, a za najmniejszą winę jednych prętami smagano, drugich obarczano ciężarami. Byli i tacy, co w dybach za przestępstwa chodzić musieli. Obchodziła się z nimi starszyzna, jak z jeńcami, a gdy który z sotników huknął, drżało przed nim, co żyło. Zmiarkował Dobek, że choć taki wojak nie był pewny czasu porażki, wojnę nim prowadzić łatwiej było, gdyż do czasu ze strachu był posłuszny.

Z miejsca, na którym szalas stał, liczbę wojska nie łatwo rozpoznać było, ale nie zdała mu się zbyt znaczną; zbroją tylko i orężem Polan przechodziła.

Gdy Dobek dobrze się już był przyjrzał ludziom i porządkowi, późno w noc nadciągnął doń Hengo i przy nim się na straży położył, dopytując się ciekawie, jak mu się tu podobało. Dobek, choćby miał być ochotę w miejscu go ubić, chwalił młodych panów, iż gładczy byli, piękni, ochoczy i weseli. Z przyjęcia się niby wielce radował, Hengo obiecywał sowitą nagrodę.

Podarki, które dla niepoznaki przyjąć musiał, jak ogniem go piekły.

W obozie kneziów młodych wiedzano już, iż Piastun z całą siłą dążył ku granicy, aby naprzeciw nim stanąć i zaprzecić im drogę; zaraz też nazajutrz i oni wysyłać mieli gońców po ludzi zaciężnych i wyprzedzić go chcieli napaścią niespodzianą.

Nazajutrz rano bardzo, z nikim się już nie widząc i nie żegnając nikogo, Hengo i Dobek ruszyli przez obóz... nazad ku lasom. przy czym Dobek tak pokierował, aby się jeszcze piechocie i jeździe przypatrzeć. Hengo miał mu wszędzie towarzyszyć.

Wziął z sobą różnych darów dosyć, aby nimi do pozyskania więcej ludzi Dobkowi dopomagać. Zarania tego dnia gromady niektóre już się w obozie ruszały, a te miały przodem iść, drudzy z posiłkami wnet ciągnąć za

nimi, chciano bowiem koniecznie wprzódę wkroczyć od pomorskiej granicy, nim by się do niej Polanie zbliżyli.

Ruch był wielki, ochota dzika i odgrążania się straszne. Dobek, przerysując się przez kupy tego motłochu, musiał się tego nasłuchać za wiele i, ledwie mogąc powstrzymać od okazania gniewu, konia tylko parł, by co rychlej znaleźć się na swobodzie.

Minawszy obóz i pola, wjechali naręszcie w lasy. Hengo skorym był wielce do rozmowy, Dobek milczał posepnie. Pierścień na palcu go piekł, miecz u boku zawadzał, kubek zanadną go dusił, tak mu pilno było pomścić doznaną zniewagę. Do nocy odjechali od obozowiska daleko, o znalezienie drogi już się Dobek nie obawiał, myślał tylko, co z Niemcem zrobić.

Przebić go mieczem było nader łatwo, ale rozbolełemu człowiekowi tej zemsty było za mało.

Gdy nocą już stanęli na nocleg i konie pętać przyszło, aby je puścić na paszę, Dobek się zakrecił, powiadając, że postronki pogubił, a kilka tylko pęczków zapasnego łyka znalazło się u siodła. Niemiec, człowiek zawsze przezorny, swój sznur mocny ofiarował, ale Dobkowi wydał on się za cienkim.

We dwóch więc wzięli się z niego grubszy skrećić, Hengo pomagał ochoczo. Ogień już był wielki pod starym dębem rozpalony i płonął jasno.

Bardzo zręcznie pętlę splótłszy, Dobek, milcząc przystąpił do Niemca i, nim się spostrzegł, zarzucił mu ją pod pachy. Wziął to sobie za żart Hengo, nie domyślający się jeszcze niebezpieczeństwa, gdy drugi koniec sznura przez gałąź przrzuciwszy, chwycił Dobek i szarpnawszy nim, już krzyżącego Niemca nad ogniem zawiesił, skrepowanego tak silnie, iż się wywinąć nie mógł. Sznur potem Dobek umocował, a sam nieco opodal spokojnie położył się na trawie, ogień tylko podkładając, aby Hengo upiekl mu się żywcem.

Stało się to tak szybko, iż Hengo, rażony nagle, przytomność prawie stracił. Dobek zbyt był zburzony,



aby nawet mógł lajać; iskrzyły mu się oczy, leżał, patrzył i nasyczał się.

Jęczącym głosem Niemiec się śmierci wypraszał, lecz nie otrzymał słowa odpowiedzi; Dobek tylko ogień podkładał coraz silniejszy, rzucając węń, co mógł ściągnąć gałęzi. Dym i płomień, coraz się wyżej podnosząc, już zdrajcę ogarniał. Jęczał coraz słabiej i sznur poruszany okręcał się z nim wśród płomieni.

Tymczasem, gdy jęki ustawać poczęły, mściciel konie oba na powrót ściągnął z paszy, pokładł ładunek na nie, nałożył uzdy i wyczekiwał tylko, rychłoli Hengo w męczarniach skona, aby się od trupa oddalić.

Miotając się jeszcze, Hengo coraz słabszym odzywał się głosem.

Oczekiwanie znużyło znać Dobką, bo chwyciwszy oszczep, rzucił nim w piersi i dobił nieszczęśliwego.

Odszedł potem od ogniska, a wkrótce ciało urwane z gałęzią padło w ogień, żar i skry rozpryskując dokoła; objęły je płomienie. Najmniejszej już wątpliwości nie było, iż Hengo odżyć nie może, skoczył więc Dobek na koń, splunąwszy na trupa i szybko się oddalił.

Lżej mu się potem zrobiło, a że noc dosyć jasna dozwalała ciągnąć dalej, ledwie cokolwiek koniom na polance spocząć dawszy, ruszył, śpiesząc nie do domu, ale na powrót ku jezioru Lednicy, gdzie się spodziewał znaleźć w pochodzie już wojewodów i ziemie.

Kto by go był ujrzał naówczas, pędzącego niecierpliwie ku swoim z wieściami, jakie zdobył na wyprawie, myślałby, że go jędze i wiły lasami gnały, tak pilno mu było co najprędzej dostać się do Piastuna i swojej gromady.

Ze wszystkich polańskich mirów co do oszczepu i procy zdolnym było, Piastun naprzód zebrał u Gopła. Tu mnogi ten lud tysiącnikom, setnikom, dziesiętnikom rozkazawszy podzielić, nad oddziałami stawiając dowódców, wojewodów, którzy jemu tylko winni byli posłuszeństwo, Piastun zebrał wojsko daleko liczniejsze, niż obro-

na wymagała. A choć wojakiem nie był, ale prostym bartnikiem, z rojami tymi tak sobie umiał poradzić, iż po raz pierwszy, zamiast kup, bezładnie rozbiegających się po lasach i polach, złożył wojsko, które i Niemcom mogło być groźnym.

Uzbrojenie też, choć proste, lepszym teraz było, bo wojewodowie i ich tysiącznicy sami każdego opatrywali, aby z gołymi nie szedł rękami. Ci, którym koni nie staowało, szli pieszo, uzbroiwszy się w cięższe oszczepy, pociski i tarcze.

Ponieważ innej zbroi na ciele nie mieli, tarcze te służyły w zastępstwie. Sporządzono ich mnogość wielką z kory lipowej i drzewa, i długo potem jeszcze takich używano.

Jesiennego dnia, wystąpiwszy na pagórek, gdy wszystek lud już z wojewodami stał w polu, a każdy mir i ziemię ze swymi bogi i stanicami, na wysokich dzidach wetkniętymi, rozeznąć było można i policzyć, uradował się Piastun w duszy; gromady w ładzie stały i wesółymi głosy mu odpowiadały.

Rozkazanie tedy szło po wszech ziemiach, aby Międzyrzeczanie, Kujawiacy, Poznańcy, Bachórcy z innymi ciągnęli w porządku pod swymi wojewodami, posuwając się trzema drogami ku granicy. Jedne o drugich ziemie wiedzieć miały, nie przeszkadzając sobie w ciągnienu i na pastwiskach, a nie pustosząc własnego kraju. Iść mieli w cichości, nie rozbiegając się, tak aby nieprzyjaciel zawczasu się o nich nie dowiedział nie uszedł, nie osaczył, zasadzki nie miał zgotować. Sam Piastun z synaczkiem, którego, mimo lat młodych, do wojny zaprawiał, szedł w pośrodku, aby własnymi na wszystko patrzeć oczyma.

Ujrzano też rzecz osobliwą, iż wojewodami mianował ludzi, którzy się tego nie spodzieli, a tych, co nimi chcieli być, pomiął. O Dobku jeden on wiedział, gdzie się znajdował; drudzy różnie przebąkiwali, dano więc zastępstwo drugiemu.

Gdy się to działo, a wszystkie siły ławą wielką sunęły się ku granicom, jednego wieczora stanęli na nocleg pod lasem. Piastun z synem i kilku starszozny u ognia grzać się usiedli. Piekli na drewniakach mięso zabitego kozła i gwarzyli po cichu, gdy niespodzianie zaszeleściło niedaleko i kneź ujrzał stojącego przed sobą Dobka z twarzą bladą, poruszonego wielce, widocznie wysiłonego podróżą, bo się na nogach chwiał, stojąc.

— Dobek! — spojrzawszy nań, zawołał Piastun, jakby o niczym nie wiedział, — gdzieżeś to bywał? co się działo z tobą? Ludzie się o was troskali, czy nieszczęścia jakiego nie mieliście?

— Działo się zaprawdę ze mną — rzekł Dobek, — co trudno z dala odgadnąć, czemu by uwierzyć trudno, ale się przecie nic złego nie stało. Wracam oto wprost z obozu Leszków z puszczy dzikiej, tak, jako mnie widziacie, jeszcze śmierdząc Niemcami.

Wszyscy krzyknęli zdziwieni, a Dobek opowiadać zaczął.

— Wziąłem u was, miłościwy panie, Niemca do naprawy mieczów takiego, który o mało mnie samego nie popsuł. Chytra gadzina chciała mnie dla Leszków i do zdrady namówić. Wtedy za wiedzą waszą udał, że się biorę na wędę, jechałem z nim aż na granicę pomorską do obozowiska Leszków. Dobrze było podpatrzyć z bliska, jakie siły mają i co myślą. Stało się tak, że mnie przypuścili do siebie, a do zdrady namawiać jęli; udawać musiałem, język sobie kłusając, że im sprzyjam. Przepatrzyłem ich zbroje, ludzi i wojsko. Chcieli mnie przekupić darami — dodał, rzucając z kolei pod nogi Piastunowi pierścień, miecz i kubek — oto one są. Obietnic mi nie żalowali. Wyrwałem się im, spatrzywszy wszystko i otom ja jest.

Tchnął mocno Dobek, dziko rzucając oczyma.

— A Niemiec, co z wami był? Co się z nim stało? — zawołała starszozna.

— Jużem go nie mógł dłużej ścierpieć przy sobie —



odparł Dobek. — Na noclegu dla wilków upiekłem go na gorących węglach, aby smaczniej im jeść było, inaczej by go może nie chcieli.

Słuchali wszyscy w podziwieniu wielkim, nim się posypały pytania, jak Pomorcy, jak Niemcy, jak cały obóz nieprzyjacielski był zbrojny, co mówili, jak i dokąd ciągnąć myśleli. Opowiedział Dobek, iż śpieszyli posiłki zbierać, zwykłą drogą ku Lednicy mając ciągnąć, dokąd już przodowników wysłano, aby Polanom drogę zabiegli od granicy.

Z drugiej więc strony także nadażać było potrzeba, aby im się nie dać wyścignąć. Z tego, co Dobek widzieć mógł i miarkować, z tego, co słyszał, cała Leszków drużyna zebranej przez Piastuna sile równać się nie mogła, orężem tylko straszną była. Serca nabrała starszyna i wielkiej do boju ochoty, i jak na brzask, kazano dać znak do ciągnięcia w cichości ku jezioru, ku Lednicy.

## VIII

Lasami, polami, ostępy posuwały się gromady zbrojne ku jezioru, w takim milczeniu, jakby zwierza spłoszyć się obawiały. A stało się zrzędzeniem dziwnym, że choć wojewodowie mało o sobie wiedzieli w pochodzie, z różnych stron ciągnąc, o jednym dniu i godzinie wyszli z okalających puszczy na równinę. Mogło się to nazwać wróżbą szczęśliwą i, gdyby nie nakazane milczenie, radość by była z piersi wyrwała im okrzyk wielki.

Piastun ze wzgórze oglądać mógł, jak miry i ziemie szły w porządku i jedne przy drugich się kładły.

Tu postanowiono zatrzymać się do jutra, czekać na nieprzyjaciela, a jeżeliby nie nadszedł, sunąć zastępem wielkim ku puszczy od Pomorza.

Nie było jeszcze południa; dzień jesienny, ni skwarny, ani zimny, po chłodnej nadchodził nocy, w lasach stała jeszcze na liściach rosa, w polu wesoło świeciło

słońce. Ze trzech stron ściągały się miry i szykowały powoli, gdy stojący na wzgórzu postrzegli u skraju lasów poruszające się gromady, które naprzeciw nich występowały z puszczy.

Byli to Leszkowie i ich siły.

Nie spodziewali się znaleźć Polan w gotowości przeciw sobie i pierwsze ich kupy, z lasów wychodzące, ujrawszy obóz rozłożony na równinie, stanęły jak wryte.

Zmieszali się widocznie najeźdźcy, obiegając zaczęli konni na boki, rozpatrując się w sile nieprzyjaciela. Nad obu zastępami wielka, uroczysta panowała cisza.

Polanie, wcale nie ulękłszy się wroga, nie ruszyli się nawet z miejsc swoich. Pomorcom też, choćby się byli może cofnęli radzi, uchodzić za późno już było.

Na tej więc dolinie nad Lednicą do stanowczej rozprawy przyjść miało między Leszkami a kmieciami. Młodzi kneziowie, ufni w Niemców, których z sobą mieli, w oręż i w to może, iż Dobek im zdradę przyrzekał, kazali swoim dalej wysuwać się na pole. Gromada ta, zrazu niewielka, w oczach Piasta rosnąć poczęła, rozciągnąć się, zwiększać i posuwać naprzeciw Polan; on z wojewodami swoimi stał a patrzył, nie wydając jeszcze rozkazów.

Zrazu w cichości stojący Leszkowie, wnet ubezpieczeni przewagą, w którą ufni byli, dali hasło do okrzyków, które, bitwę poprzedzając, służą do strwożenia przeciwnika. Dziki wrzask poniósł się ponad szeregami. Polanie cicho stali jeszcze.

Obok Piastuna sześciu wojewodów, starców z brodami białymi i siwymi, patrzyło w milczeniu, jak tam zastęp najeźdźców rósł, wyciągał się, rozdymał i odgrażał.

Ze starców pierwszym był Ścibor, który lud prowadził od Warty, dorodny, męźny i silny, mąż do rady i do boju, milczący i wytrwały, twardy dla siebie i dla ludzi. Siedział na koniu, przygarbiony nieco, a że czapki nigdy nie zwykł był nosić, gęsty i bujny włos ogromny wiatr mu jak grzywę rozwiewał. Odkryta pierś, porośła gęstym włosem, nosiła ślady blizn starych.

W rękę miał dzidę, okutą żelazem, a na szyi obręczę miedziane, które dziadom jeszcze służyły.

Drugi przy nim, jak on prawie biały, w którego włosach jasne jeszcze, dawniej rude włosy pasami się przebijały, rumiany i świeży na twarzy, choć latami od Scibora był starszy, nazwał się Nagim. Na głowie miał czapkę z wilczej paszczęki. Gorąca w nim krew ruchami niecierpliwymi grała. Oczyma wodził to po swoich, to po wrogach, usta miały przekleństwa i obelgi. Gdyby mu rozkazy dano, już by się rzucił na Pomorców, nie dając im czasu rozwinąć się. W rękę miotał oszczepem, jakby mu palił dłonie. Podrzucał go i chwycił, a koń pod nim, jakby z panem czuł jedno, podskakiwał do góry i ledwie go naprężona uzda utrzymać mogła.

Za nim stał Luty, Międzyrzeczan wiodący, suchy, blade, wysoki, prawie bez włosów na brodzie i głowie, żółtej skóry, oczu małych, czarnych i niskiego czoła. Łowiec to był, tak jak wojak zapalczywy i niejedną raz na swoją rękę z garścią małą wdzierał się od granicy Pomorzian we wnętrzości im, łupiąc nielitościwie. Ten do dzidy nie bardzo był nawykły, obuch ogromny miał w rękę, a siekiere u pasa, bo wodzowie owych czasów nie tylko rozkazywali wojskom, ale sami przodować im do walki musieli.

Czwartym był Bolko Czarny, któremu nazwanie to zostało z czasów, gdy włos i brodę miał kruczą. Dziś oboje na pół siwizna objęła. Na małej głowie, w której oczy, nos i usta pod zasklepionym siedziały czołem, kędzierzawy włos nastrzępiał się wysoko; krępy był i szeroki a silny. Ogorzałą twarz ledwie wśród zarostu dojrzeć było można. Bolko Czarny rzadko usta otwierał, mówił, gdy był zmuszony, krótko a nakazująco. Mąż był do pracy, nie do słowa i słuchać też próżnych wyrazów nie lubił, ale go nikt nie widział doma ni za domem z założonymi rękami. Gdy czynić co nie miał, cepy strugał.



Z drugiej strony stał Myszek, zwany Kulikiem, jak wszyscy z tego rodu, wyrosły bujno, zdrów, gorący do boju i do rozprawy na języki, uparty przy swoim, ale nieustraszonego męstwa. Znano go, że gdy się przy czym uparł, a rzekł, iż tak być ma, nie cofnął się, choćby życiem przyszło płacić. W zgodzie z nim długo trwać było trudno, lecz komu braterstwo przyrzekł raz, strzymał je we wszystkim do końca. Nigdzie mu weselej nie było jak tam, gdzie bić się miano. I teraz też usta mu się śmiały, jak do najmilszej słodyczy, bo wiedział, że krwi zakosztuje.

Na ostatek najmłodszy z wojewodów, Poraj, konia pod sobą ledwie utrzymać mogąc, patrzył ku Piastunowi, czekając, rychłoli rzecze, aby lud szedł na spotkanie.

Był to mąż w sile wieku, dziwnie zręczny, z koniem jakby zrosły, z oczyma błyszczącymi ogniem wesołym, z usty uśmiechniętymi, strojny pięknie, bo się lubił ubierać i błyskotkami obwieszać. Wszędzie, gdzie wszedł, rad był pierwszym być i starał się o to, potu i trudu nie żałując. Kilka razy już szepnął kneziowi, że godziło by się dać znak do boju, lecz Piastun nie śpieszył; rozpatrywał się w tej sile, która, ciągle z lasu płynąc, mnożyć się jeszcze nie przestawała, jakby ją puszcza na zawołanie rodziła.

Po namyśle zwrócił się kneź nareszcie, wejrzeniem zdając się pytać, co począć mają; czekać, aż się Pomorcy rzucą pierwsi i odpierać, czy iść na nich ławą całą?

Dwa zastępy stały na dwu wzgórzach, w pośrodku których była dolina. Nieznaczny, prawie wyschły strumień, kręto biegł jej środkiem. Żaden z wojewodów ze słowem się nie wrywał, gdy o kroków kilkanaście ujrzano zdążającego ku nim Wizuna z dzidą okowaną w rękę. Szedł rażno, wesoło, jakby odmłodzony i, wyśiadłszy zaledwie z łodzi, pośpieszał z twarzą jasną ku wodzom.

— Z chramu idę od ognia i wyrocni! — zawołał —

niosę wam wróżbę dobrą! Pytałem losów przez ogień, przez wodę, przez ptasi lot, przez wosk lany i dym świętego ogniska... odpowiedziały mi, że wroga zguba czeka! Spójrzycie! oto nad głowami waszymi ptak się unosi, jak gołąb biały, a tam pod lasem gęste kruków widać stado!... Łado! Kolado! — krzyknął. — Idźcie na nich! następujcie!... Niech ich noga stąd nie ujdzie. Łado! na nich!...

Za Wizunem i wodzowie, i bliższe szeregi ten krzyk wróżby szczęśliwej powtórzyły.

Piastun ręką wskazywał ku lasom.

Ścibor natychmiast z ludźmi stojącymi po lewicy ruszył, okalając nieprzyjaciela od lewego boku. Luty poszedł z prawego, Bolko Czarny z nim podążał, Myszko za pierwszym, Poraj i Nagi około Piastuna zostali w środku. Gromady ochotnie, jak jeden człowiek, poczęły się ruszać i kupić, podnoszono stanice, tysiącznicy i co drobniejszy lud na czoło wychodził, tarcze chwycił z ziemi, oszczepami najeżały się szeregi.

— Łado! — wołali wszyscy.

Z przeciwnej strony rozeznac już było można przodem jadących trzech wodzów w płaszczach czerwonych i czapkach pozłocistych, a przy nim żelazem obwieszonych Niemców, którzy rękami wskazywali coś, wywijając na prawo i lewo. Za nimi w jedną gromadę zbity tłum mieszał się i rozsypywał, jeszcze niepodzielony. Niemcy, a tych odróżnić było łatwo, stali przy młodych kneziach w liczbie niewielkiej, za nimi zwijali się Pomorcy z żelaznymi mieczami i pękami sznurów u pasa, przeznaczonymi do wiązania niewolnika i łupu.

Gdy Polanie ruszać się zaczęli, wołając: Łado! Pomorcy też posunęli się naprzód z okrzykiem, którego rozeznac nie było można. Dowodzący w płaszczach czerwonych skryli się razem z Niemców orszakami w środek szyków, a naprzód wyskoczyli co najzjadlejsi, nawykli do wypraw Pomorcy. Wywijając mieczami i dzidami, po-

częli biec, jakby wyzywali Polan, którzy czekali na nich u pochyłości wzgórza.

Wyschły strumień, ciekący w dolinie resztką wody, dzielił ich we dwa zastępy. Ścibor i Luty, rozstąpiwszy się szeroko, zabiegli Pomorcom z boków. Z lasów już nie było widać wyrastających sił nowych, ostatnie wysunęły się nieśmiało i doгнаły te, co je poprzedziły.

Wrzawa, zwiastująca spotkanie, rosła coraz, łajano się psami i gadzinami, padalcami i ścierwem zgnitym, najobrzydliwsiymi wyrazy... Idący przodem pluli na siebie i pięści pokazywali, a gdy z obu stron rozjuszenie wzrastało do szału, pierwsze młoty głucho po tarczach zadźwięczały; ci, co stali w pierwszych szeregach, zwarli się, naskoczyli na siebie i zmieszali wnet w jedną gąszcz ludzką, w której wrogów od swoich rozeznacć nie było podobna.

Z tych przodowników, wkrótce powstał tylko wał dogorywających i trupów, który dalszym drogę tamował. Na ziemi leżący jeszcze się dusili i mordowali, gdy już drudzy, depcząc ich i biegnąc po nich, nową rozpoczęli walkę.

Luty, który z boku swych ludzi prowadził, najrzawszy przeciw sobie na koniu siedzącego Klodwiga, wprost się przebił przez ciżbę na niego i spadł nań jastrzębiem. Po czapce i płaszczu poznał w nim wodza. Obuch podniósłszy do góry, zwijając nim, rzucił się na Niemca; ten z koniem z miejsca, na którym stał, zerwał się szybko, zabiegł i mieczem uderzył po obnażonym karku. Krwawa pręga pokazała się na szyi, ale krew nie trysła, a Luty swym obuchem w piersi zmierzywszy Klodwigowi, z konia go na ziemię zwałił.

Niemcy krzyknęli z przerażeniem, całą gromadą otaczając Lutego, który obuchem na wsze strony wywijając, obraniał się im zajadle. Siekły go ich miecze, nie mogąc zadać ran większych nad pierwszą. Zdało się, że stwardniałej skóry jego żelazo nawet wziąć nie mogło, bliznami zaledwie ją znaczyło.



Z pośrodku tej gromady, która go opadła, Luty cofać się musiał, a Klodwiga konającego porwali na ręce towarzysze. Ustami lała mu się krew.

Bolko Czarny także wparł się we środek razem z Myszkciem, goniąc za młodymi Pepelkami. Lecz przerażeni losem Klodwiga, Niemcy dwór okrążyli Leszków i murem ich opasali.

Buta i wściekłość Pomorców wnet jakoś ostygła zaczęły, gdy przy pierwszym starciu nie złamali nieprzyjaciela. Bili się, ale zarazem cofali, a z obu boków zająwszy wzgórze, ścisnęły ich coraz ciasniej. Droga swobodna ku lasom zwężała się co chwila. Leszkowie ujrzeni z przestachem, że dwie gromady już prawie kraj lasu zajmowały. Pomorcy coraz żywiej też cofać się zaczęli.

W samym środku pobojowiska najzjadlejsza toczyła się walka; tu zwarli się ludzie, którym nie szło o zwycięstwo, ale tylko o to, by się nasycić mogli i namordować.

Dokoła nich trupy leżały okopem krwawym, razem z kośćmi zmieszane ciała ludzi, w których tkwiły potrzaskane pociski. Ku rzece ciekły stąd wężykami jakby czarne strumyki krwi zagęślej. Tu zacięta walka nie ustawała. Jeśli ją przerwała chwila znużenia, wnet powracała wściekłość. Widać było z tych kup martwych ciał wstające nagle trupy, które życie odzyskiwały, aby się z nową zjadłością rzucić na nieprzyjaciela i lec znowu zgniecione. Konie gryzły się z sobą i napadały wściekle na ludzi, psy Pomorców i kneziowskie wyły, rzucając się na wojaków, i padały przebijane oszczepami.

Słońce się już dawno ku zachodowi chyliło, wrzawa i bój trwały jeszcze, ale Pomorców niedobitki już tylko cofały się coraz żywiej, coraz widoczniej chcąc uciekać na lasy. Leszkowie z obawy, aby ich nie pochwycono, już przodem z całą garścią uszli niepostrzeżenie. Dla reszty droga była zaparta. Luty biegnących spychał na zad ze wzgórze na pobojowisko, ze wszech stron obejmowali ich Polanie.

Niewolnika brać całe nie chciano, poczęła się więc dzika rzeź, a rozbijanie tej garści rozpaczliwie broniących się ludzi, którym czaszki trzaskały młoty, a oszczerpy piersi.

Cała dolina i dwie wzgórzów pochyłości okryte były ciałami, a gdy mrok padł, nie stało już walczyć komu, ani kogo zabijać. Starszyzna konno jeździła po polu, gromady, upojone szalem, dobijały tych, co jeszcze drgali i jęczeli.

Ostatnie brzaski wieczora oświecały obraz przerażający, pola zasłane pobitymi, których śmierć chwyciła w różnych walki wysiłkach. Jedni twarzą leżeli ku ziemi, drudzy ku niebu zwrócona, jakby się jeszcze dźwignąć chcieli, sparci na rękach skostniałych, z nogami podniesionymi w górę. Gdzieniedzie wróg leżał razem z tym, co go dobił, nie mogąc wyrwać się z ostatniego uścisku. Nad tym wszystkim stały wierne konie, wachając trupy i szukając poległych panów.

Piastun i krwawi wojewodowie patrzyli na wzgórze; kupy, otaczające ich, podnosząc zbroczone dłonie, okrzykiwały zwycięstwo.

Gdy noc zapadła, Polanie rozłożyli ogniska i pieśni śpiewać zaczęli. Gromady czeladzi z żagwiami w rękach obchodziły pobojuwisko, obdzierając pobitych.

Nie śpieszono ich grzebać, aby i ptakom, niespokojnie unoszącym się górą, dać się napaść do syta.

Wyszedł później księżyc zza chmur i zaświecił nad szerokim trupów polem. Zdało się, że trupy powstaną, gdy promienie blade poczęły je dobywać z ciemności, ale pozostały martwe, a z lasu wilcy ciągnęli na biesiade, wyjąc z daleka i upominając się o część swoją.

U ognia zasiadł Piastun, otoczony wojewodami. Radzili, co poczynać; iść dalej, czy spoczywać?

Stary kneź długo, wedle obyczaju swego, słuchał, co mówili inni, nie śpiesząc ze słowem. Gdy kołem obiegły głosy, rzekł w ostatku:

— Dwu wojewodów pójdą pogonią za zbiegami i po-

mszczą najazd na Pomorcach. Tego starczy dla grozy... My tu, gdzie nam bogi dały zwycięstwo, na kościach najeźdźców założym gród, stolicę, nazwany będzie Kneźnem. Jutro pogrzebiemy ciała, aby nie kaziły powietrza i ziemi, a gdy lud spocznie, wnet grodzisko obsypywać począć trzeba.

Uradowani wszyscy powtórzyli okrzykiem — Kneźno! a wojewodowie wstali, jeden przed drugim dobijając się tego, aby na Pomorze iść mogli. Każdy z nich coś miał za sobą i o mało do sporu nie przyszło, gdy Piastun rozstrzygnął rozkazem, aby Luty i Bolko Czarny ruszali nazajutrz sami. Umilkła reszta, choć zazdrosnym na nich patrzyła okiem.

Przy ognisku na uboczu leżał ranny Dobek, przy nim stali Ludek, Wiszów syn, i Doman. Z zjadłością wielką walczył on dnia tego i nabił wrogów kupy, ale jeden z nich, już obalony, ostatnim wysiłkiem oszczep mu wraził w nogę. Choć z rany zaraz wyjęto drzewce, rana została głęboka, noga była poszarpana, a liście i huba przykładane, krwi nawet całkiem zatamować nie mogły. Leżał blady, sycząc tylko z bólu, ale mu twarz się śmiała i oczy błyskały radością, a gdy słabł na chwilę, rzeźwila go wnet myśl, że się przecie pomszczono na dziczy, która kraj niszczyła.

— Hej, — odezwał się Doman, — tu leżeć na wygodnie i na trupy patrzeć niezdrowo. Wizun już na ostrów powrócił, dzidę we krwi zmaczawszy... zawieziemy cię do niego, na ostrów. On ci rany lepiej opatrzy i świętą wodą zaleje... Mnie tam tak uratowano życie. Ja cię powiozę i wiosłami robić będę.

Sambor, który za Ludkiem stał, odezwał się też:

— I mnie byście wzięli... ja mu będę głowę na kolanach trzymał.

Wszyscy się dokoła na ostrów prosili: Doman, Ludek, Sambor, a wszystkich ich tam ciągnęła Dziwa, którą radzi zobaczyć byli.

— Ja bym rad jechał — rzekł brat Ludek, — ale mnie



serce zaboli widzieć tam siostrę rodzoną, do ognia przykuta, gdy gdzie indziej by panowała doma... Nie pojedę... pozdróćcie ją ode mnie... A ty, Domanie?

— Ja pojedę — zawołał Doman, — pojedę. Ranila ona mnie i krew moją przelała, ale gdym potem ranny i chory przypłynął, ratowała mnie i pielęgnowała.

— Pozdróćcie ją ode mnie! — powtórzył Ludek — ode mnie, od braci, od sióstr i ścian, i progów, i ogniska domowego.

Dobek nie rzekł nic; wzięto go na ręce i do czołna niesiono. Doman sam głowę jego położył na swych kolanach, Samborowi, który mu nogi otulał, zostawiwszy wiosło.

Popłynęli powoli. Noc była jasna; widzieli, jak w promieniach księżyca bogunki się po wodzie rzucały, jak z dala nad powierzchnią jeziora ich główki wyskakiwały, niktą, gdy się zbliżali, jak białe ich ręce nad wodą zbierały warkocze, z których krople spadały jasne; zdało im się, że śpiew ich słyszeli, a przypłynawszy bliżej, znajdowali tylko zmarszczoną powierzchnię i wir, w który ją tanecznicę wprawiły.

Pokazał się wreszcie brzeg ostrowa i drzewa, a nad chramem dymu słup czerwieniejący w oddali i chat czerwone okienka, a na łące obozy ludzi, co się tu przed Pomorcami chronili a bitwę słyszeli tylko w wichrów szumie.

Gdy czołen zaczął się zbliżać do brzegu, czekała nań ciekawa gromada, a wśród niej Dziwa, patrząca w dal, jakby się kogo spodziewała.

Doman pierwszy poznał ją, nim zobaczył.

— Ona stoi tam! — zawołał — Dziwa! Dziwa! któraż by inna wzrost ten miała? tak głowę nosiła? tak królowała, jak ona?...

Czołen się już zarył w piasek.

Sambor skoczył na ląd, aby go wyciągnąć. Dziwa przystąpiła ku nim, niez dumiona wcale, spokojna, jakby się spodziewała i przeczuła.

Gdy Sambor do nóg jej przypadł, rąbek sukni całując, przyjęła go uśmiechem, Doman rumieńcem, a nad Dobkiem schyliła się ciekawie, gdy jęknął z bólu. Stał tu Wizun i stara Nania, i dziewcząt stróżek kilkoro.

Wróżbit, który zawczasu przed bitwy końcem powrócił do chramu, w ofierze niosąc włócznię krwawą, nie pytał o jej dalsze losy. Patrzył dumnie i zwycięsko.

— Pobiliśmy ich — zawołał Doman, powstając z czołna, — dobrzeście nam wyróżyli. Niewiele z nich żywymy uszło... padł wódz jeden, ale Leszkowie uciekli w lasy...

Wizun nie słuchał prawie, schylił się do rannego, patrząc, gdzie wróg go skaleczył. Dobek wskazał mu na nogę.

— A ty gdzie mu ten raz oddałeś? — zapytał.

— Leży on tam w polu i krucy nim się cieszą... Gardło dał pod tym samym niemieckim mieczem, którym mnie obdarzyli.

— Nieście go do źródła świętego — rzekł starzec, — woda go sama uleczy, gdy ten, co ranił, nie żyje...

Wzięto więc Dobka, unosząc go pod ręce, i szli wszyscy. Doman wymknął się zaraz za nią; stała u źródła za siebie i rumieniła, spotykając ścigający wzrok Domana.

W milczeniu zbliżyli się ku chacie Wizuna i chramowi. Tu, na tym samym miejscu, gdzie wprzód leżał Doman, złożono rannego, a Dziwa pobiegła zaczerpnąć wody, bo do źródła przystęp był trudny.

Doman wymknął się zaraz za nią; stała u źródła zadumana, poprawiając kosy i wianek, gdy nadchodzącego ujrziała. Lica jej pokraśniały, zwróciła się, spuściła oczy.

— Ja wam czerpać pomogę... ja za was wodę zaniosę — szepnął Doman, za dzbanek chwytając.

Nie odpowiedziała mu nic, oczy jej przebiegły po jego twarzy i zawstydzony wzrok padł na ziemię.

— Co ludzie pomyślą, co powiedzą — zamruczało dziewczę, gdy was tu zobaczą?

— Że ja wam od brata przyniosłem pozdrowienie...

Ludek kazał rzec wam od siebie dobre słowo i od braci, i od sióstr pozdrowić, od ścian, progu i ogniska.

Westchnęła Dziwa.

— Im tęskno wszystkim za wami...

Ciągle, słuchając, odwracało się dziewczę, potem, jakby co rychlej ująć chciało od rozmowy, pochwyciło dzbanek z wodą i poczęło iść żywo, nie śmiejąc obejrzeć się za siebie.

Ze spuszczoną głową, śpiesząc, biegnąc prawie, wracała do Wizuna chaty, gdzie około łoża pełno było ludzi. Stara Nania ranę obwiązywała, Wizun zioła dobierał. Weszła z wodą świętego źródła, ustąpili wszyscy, zmaczała chustę i, milcząc, położyła ją na ranie.

— Rychło będziecie zdrowi! — szepnęła po cichu, uśmiechając się do niego. A teraz spoczywajcie tylko...

Wizun też na drzwi wskazywał i wszyscy wychodząc zaczęli. Dziwa znikła pierwsza, tak że i Doman nawet nie spostrzegł, kiedy mu się wymknęła.

Nie mógł też odejść, bo kołem otaczali go, nagłąc, dopytując, badając, aby mówić im o zwycięstwie, jak się potykano i wielu zginęło.

Siadł więc na kamieniu pod chatą i gdy go kołem otoczono, począł powieść o bitwie, jak się wszystkie ziemie zeszyły cudownie ze stron różnych o jednej godzinie, jak wróg nieopatrzny sam wpadł im w ręce, jak szli, warcząc, do boju, a młoty uderzały o tarcze i miecze, o obręcze miedziane, jak wodzowie sami cudów dokazywali, lud prowadząc za sobą...

— Gdyśmy ich zewsząd objęli i ścisnęli, jak wąż pierścieniem — mówił, — nie mieli gdzie uchodźić, bronili życia, musieli bić się wściekle. Padali jak snopy, walili się jak drzewa, jęczeli jak zwierz dziki, gdy go oszczep dobija. Nie chcieliśmy jeńców, padli wszyscy bez mała, ledwie kto życie wyprosił.

Ręce nam już złożone nieśli, abyśmy im wkładali pęta, kładli się do nóg, bijąc głowami o ziemię... nie pomogło... czaszki ich pękały, jak orzechy... krew lała się, jak



deszczu potoki... płynęła do strumienia, a ze strumienia do jeziora, które się zarumieniło od brzegu.

Powiedział Doman, jak biały ptak unosił się nad Piastuną głową, a czarne kruki nad Leszkami, jak wilkom i psom głodnym na noc zostawiono ciała... Mówił, ustawał, a słuchając ciżba wołała :

— Jeszcze, mów jeszcze... mów więcej !

Późno w noc mógł zamilknąć Doman, a bogom chcąc jeszcze złożyć obiatę, do chramu poszedł, u ognia może spodziewając się zobaczyć dziewczkę, która mu z oczów znikła. Ale tu jej już nie było. Stara Nania z siwymi włosami bacznie go tylko śledziła, nie ustępując i kroku.

Wyszedł więc Doman z chramu na łakę i ciągnął ku brzegowi, aby się w czólnie położyć, gdy za sobą szelest posłyszał.

Smiejąc się szła za nim stara Jaruha. Widząc, że stanął i zwrócił się ku niej, zatrzymała się także, potrząsała głową.

— Ciągnie was tu... ciągnie — mruknęła, — oj, wiem ja co ! A com obiecała, pamiętacie... dotrzymam. Umiem zacząć i odczynić, paneczku... umiem...

— A cóżeście zaczęli dla mnie ? — odparł Doman. — Dziewka ta ode mnie ucieka, jak bywało !...

— Oj, oj ! — zawołała stara — a tegoż to wy nie rozumiecie, że która ucieka, chce, by ją goniono ?

Zbliżyła się doń, oglądając dokoła, jakby się lękała być podsłuchaną, dłonią zasłoniła usta, a w ucho mu rzuciła :

— Już teraz, jak ją porwiecie, nie będzie się opierała... nie skaleczy.

— A jakże ja ją od chramu porwać mogę ? — zapytał.

— Bywało i to... bywało ! — rzekła Jaruha — pytajcie Wizuna. Zabierali mu stróżki kneziowie, brali je kmicie, a do chramu się okupywali.

Ledwie dokończywszy tych słów, Jaruha obejrzała się

niby przelekła, palce położyła na ustach, płachtę zasunęła na czoło, skryła się w zarośle i znikła.

Doman zadumany powlókł się do czółna, legł w nim, ale sen przez całą noc oczów mu stulić nie chciał. Nade dniem wyrwał się niespokojny ku kontynie.

U słupa przy malowanym tynie postrzegł z dala stojącą Dziwę. Nie widziała go, głowę miała spuszczoną, ręce zwiśłe i cicho śpiewała sobie.

— Latka moje, latka młode i piękna uroda poszły z wiatry, poszły z wodą, spłynęły, jak woda.

Zakładajcie siwe konie, zakładajcie gniade, usiędę ja i pogonię moje lata młode.

I dognała młode lata na kaliny moście, wracajcie się mi ze świata, chodźcie do mnie w goście.

Coraz ciszej brzmiała stara ta dziewczica piosenka i rozplynęła się nuceniem tęsknym. Doman się zbliżył ostrożnie, niepostrzeżony, aż zakaszał, aby nań zwróciła oczy.

I podniosła je, jakby się go tam spodziewała, zarumieniona nieco a smutna. Fartuszek przyłożyła do ust, wzrok się jej niby błakał, jakby go nie chciał spotykać, a nie uciekała.

Zbliżył się, pozdrawiając ją wesoło.

— Gadkę bym wam powiedział — odezwał się — gdybyście jej posłuchać chcieli.

— Jaką? — zapytała.

— O was i o mnie — rzekł chłopak. — Co by to było, gdybym ja za was okup złożył, a was z Lednicy zabrał do mojej świetlicy? Noża bym nie miał u pasa... czym byście się wy bronili?

Zarumieniona Dziwa spuściła oczy, potrząsała głową.

— Nie może być, co nie może — odezwała się cicho — nie możecie wy tego!

— A jakby się stało?

Gdy Doman podniósł oczy, odpowiedzi czekając, dziewczyny nie było u tynu, wcisnęła się do chramu, siadła na kamieniu, serce ręką cisnęła, na ognisko patrzyła, a poza siebie rzucała okiem strwożonym. Doman

przez szparę między oponą a słupem, przyległszy blisko do ściany, patrzył na nią długo, potem, w ręce uderzając, odskoczył.

— Bywało to nieraz... stać się może i teraz... Nie pójdzie po dobrej woli, ale mi nie będzie krzywą... Bez niej mi żyć trudno...

W piersi się dłonią bił.

— Stanie się, co się stanie... muszę ją mieć! Krwiam ją moją zapłacił!

Zerwał się do czołna iść, nie patrząc już przed siebie, gdy silną dłonią Wizun go za ramię pochwycił.

— Co się ty wijesz i kręcisz?

— Jeszcze mi wczorajsza bitwa szumi w głowie... ot... i różne sprawy, o których nocą, gdym usnąć nie mógł, ludzie prawili. Prawda to, stary, że kneziowie Leszkowie dziewczki od ognia porywali?

Wizun głową rzucił.

— Że się to i kmiociom trafiało? — dodał Doman. Stary milczał i, wyczekawszy, rzekł ponuro:

— Żli ludzie źle robili... co za dziw? A tobie co po tym?

— A co im się stało za to? — pytał Doman.

Popatrzyli sobie w oczy. Wizun kijem bił w ziemię, patrzył po niebie i po słońcu.

— Tobie pora powracać — rzekł, — nie czas baśnie prawić.

Odwrócił się, odszedł.

Zerwawszy liść z drzewa, Doman za nim popatrzał prawie szydersko.

W czołnie nań Sambor czekał. Płynęli więc na powrót w milczeniu oba, tylko się mierzając oczyma, a Doman w duchu powtarzał:

— Musi być moja!

## IX

Z dala już widać było, jak gromady trupy układały stosami i pagórki z nich rosły, które mogiłami pokry-



wano. Roili się tam ludzie, a choć praca smutną była, śpiewali pieśni, wznosili okrzyki.

— Gdzie odgródki wasze, o rodzie zbójecki, gdzie wasze zwycięstwo i łupy, a jeńce? garść ziemi na oczy, oszczep w piersi się tłoczy, to wasza zapłata... Żony stoją w progu, na powrót czekają, wypatrują oczy, wypłakują żrenice. Wrócą wilkołakami, krew ssać ze swych braci.

I sypali śpiewając mogiły, mieniając się cały dzień, sypali drugi, sypali trzeci, aż ziemia litościwa wszystkich pokryła. Na stosach poczesnych spalono Polan, których ciała osobno złożono.

Gdy pole oczyszczone zostało, a wiatr odniósł dymy ze zgliszczów, u brzegów jeziora zebrał Piastun wojewodów i starszyznę.

— Gdzie pierwsze zwycięstwo, tam będzie stolica, tam gród... takom rzekł, tak się stanie.

Ano jeszcze nie pora okopy sypać i drzewo zwozić, póki nasi nie powrócą, pomstę wzięwszy.

Nie pora okopy sypać i drzewo w zrab kłaść, dopóki Leszków nie pobierzemy w niewolę, aby na nas sąsiadów nie zmaiwali.

Niech gromady spoczną, niech dzidy nowe i oszczepy zasmolą...

Naszyc nie widać od granicy, pójdziemy i my na Pomorze i na Leszki.

Wolę kneziowską przyjęto ohotnie, do oszczepów jęli się wszyscy. W chacie Mirszowej, znowu naprędcz z niedopalonych szczątków skleconej, gościł kneź-bartnik u starego zduna.

Stali tak dzień, dwa, a na trzeci wojewodowie przyszli się opowiedzieć, iż ludzie i oszczepy do pochodu gotowi. Czwartego rano ruszyć mieli.

We wszystkich ziemiach i gromadach z Leszków nie było nikogo, ani Bumir, ani żaden spowinowacony z nimi na wojnę przeciw synom Chwostka ciągnąć nie chciał. Zostawiono ich w pokoju: krew swej krwi nie bije.

O świtaniu czwartej doby, gdy na obozowisku gwarно być poczynano, ze wzgórza od lasów ukazała się drużyna w kilkanaście koni. Bumir przodem jechał, a za nim Leszkowie.

Ściśnięci w kupę, posuwali się milcząco, z pochmurnymi czołami, oczyma spuszczone, nie pozdrawiając nikogo. Nikt też ich słowem, ni ręką nie witał. Obejrawszy się wkoło, dojechali do chaty, przy której wojewodowie już na koniach stali. Tu zatrzymawszy się, zsiadli.

Czterej wojewodowie zmierzili ich oczyma srogimi, ale Bumir też wzroku nie spuścił. Skinął na swoich i kolpaków nie zdejmując, weszli do chaty, w której Piastun za stołem siedział, chleb łamiąc czarny.

Stanęli przed nim rzędem, Bumir na przodzie.

— Znać nas — rzekł — Leszki jesteście, dawni, jak wy, na tej ziemi ojczyce.

— A dziś kmieci, jeszcze starszych na tej ziemi ojczyców, nieprzyjaciele — odrzekł Piastun.

Bumir tchnął ciężko.

— Nie mów tak — zaczął z dumą, — krew naszą przelewaliście wy pierwsi.

— Nie, myśmy własną mścili — mówił Piastun spokojnie. — Przelewał ją Leszek, Pepelek stary i młody... napili się jej dużo, nimeśmy ją pomścić mogli.

Bumir popatrzał na swoich.

— Gorzej niż krew, wy nam wiece nasze, zabory i swobody wziąć chcieliście, a tych my odebrać nie damy. Po ojcach to spuścizna.

— Piastunie — odezwał się Bumir porywczo, — my do was idziem dziś nie z waśnią, nie z gniewem a żalami, ale z pokojem.

— Mówcie, z czym idziecie — rzekł kneź.

— Pokój niesiemy i zgodę — ciągnął Bumir. — Mieściliśmy się od wieków na ziemi jednej, żyli z sobą i łączyli. Stało nam dla wszech powietrza, wody i chleba. Chcecie Leszków ród wytępić i wygubić do szczętu? Mówcie?

— Leszki nas z obcymi najeżdżają — rzekł Piastun. — Poczęli sobie synowie Pepelka, jak wrogi — wojujemy jak z wrogami.

— Ojca mścili i matkę, a krew rodzica świętą jest dla dzieci — mówił Bumir.

— Mająli już dosyć tej, którą przelali? — spytał Piastun.

— My pokój niesiemy — powtórzył Bumir — pokój uczynimy i przysiężmy sobie na ogień święty, na „kameień w wodę”. Leszkwowie i kmiecie niech żyją w zgodzie. Dajcie powrócić Pepelka synom i siedzieć na swej ziemi: nam też wszystkim, co do ich rodu należym, mir dajcie.

Zadumał się Piastun głęboko.

— A dlaczego wy prosicie za nich, niech przyjdą ci, co nam wprzód wojnę i niepokój nieśli?

— Przyjdą i oni — rzekł prędko Bumir.

— Niech przyjdą swobodnie, niech staną przede mną i starszyzną, i kmieciami, niech rzekną, czego chcą. Nie złoży się mir, dajmy im odejść całym.

Dziś my iść mieliśmy ku granicy; stoimy tu i czekać będziemy, jeżeli mir i zgoda z nimi przyjdzie mają.

Bumir ręki chciał na to, co mówił Piastun, i kneź mu rękę dał przy świadkach.

— Idźcie — rzekł — i przywieźcie ich.

Z tym odeszli Leszkwowie w pokój, na koń siedli i jechali wśród ludzi niezaczepiani ręką, ni słowem.

Piastun za nimi wyszedł w podwórko ku wojewodom.

— Widzieliście ich — rzekł, — zgodę nam przynoszą... radźcie, co czynić mamy.

Szmer powstał między starszyzną i wojewodami.

Zapaleńszym wojny się chciało, innym kary srożej na całym rodzie, niektórzy ani słowu, ani przysiędze wiary nie dawali.

Zasepiły się twarze na samą wzmiankę, aby wojsko od pochodu wstrzymać, czekając na obozowisko.

Piastun po raz pierwszy spotkał się z ludźmi, co inaczej chcieli, niż on, poczynać; rzekł jednak spokojnie:



— Wstrzymamy pochód, a gdy przyjdą Leszkowie, radźcie wszyscy — a ja słuchać będę i wybiorę, co słuszna.

Posłańców wnet rozpuszczono po obozie i ludzie znów przy ogniskach się pokładli, ale mrucało wielu. Z wojewodów żaden nie rad był zgodzie. Myszkowie jątrzyli przeciw Leszkom, zemsty się ich na sobie obawiając. Piastun milczał.

Dzień jeden i dwa, i trzy nikogo nie było; zwiększało się szemranie, wielu odzywało się, iż Leszkowie na czasie tylko zyskać chcieli i kłamstwem starego bartnika podeszli.

Kilku wojewodów i starszyny wyrzuty poczęli robić kneziowi, iż się dał oszukać, ale na to nie odpowiadał. Domagano się rozkazów do wystąpienia w pole; rzekł im krótko i spokojnie, że stać będą, póki on im iść nie każe.

Piątego poranku już nie małeńka gromadka, ale orszak okazały Leszków na drodze od lasu się ukazał. Nieśli stanicę swoją z potworą smoczą nad głowami. Środkiem jechali Leszek i Pepełek, dwaj bracia, — odziani skromnie i bez oznak kneziowskich, za nimi Bumir i co było do krwi i rodu należącego. Ciągnęli tak poważnie, w milczeniu, ściśniętą ławą jedną aż pod chaty; tu stanęli gromadnie w milczeniu.

Z dała ich już ujrzawszy, Piastun wojewodów zwołał i starszysnę.

Sam wdział siermięgę starą, miecz tylko przypasawszy do boku.

A że do rady kołem zasiadać było potrzeba, kazał dla siebie, jak panna młoda, na pamięć, że bartnikiem był, ul postawić wywrócony na siedzenie.

Wojewodowie zaś wdziali każdy z sukni i oręza, co kto najlepszego miał. Z dzidami w dłoni, w kołpakach, opończach, przy mieczach i obuchach, otoczyli knezia dookoła. Z obu stron nieufnie, długo niechętnymi mierzono się oczyma.

Leszkowie powoli podszedłszy stanęli, a Bumir przed nich do rozmowy wystąpił.

— Oto jesteśmy — zaczął, — przychodzimy z miem i zgodą.

— Radźmy, jak je uczynić mamy — odparł Piastun, — niechaj starszyna daje swe głosy.

Jeszcze po sobie patrzali, gdy z drugiej strony, przez ciżbę nagromadzoną, która się temu widokowi przypatrywała ciekawie, precyśnili się dwaj goście obcy, ci sami, co już po trzykroć w stanowczych zjawiali się chwilach, zbliżając się z poszanowaniem do Piastuna.

Ten, ujrawszy ich, powstał z ulla, na którym siedział, witać ich idąc. Zdumieni, poczęli go pytać zaraz, co to była za narada i zbiegowisko.

— Waśń to domowa dwu rodów, na jednej ziemi siedzących — odezwał się kneź stary. — Dużo ona już nas krwi kosztowała. Dziś Leszkowie nam pokój niosą i zgodę, żądając miru i ręki.

— A wy? — zapytał gość młodszy.

— Starszyna radzić będzie — wnijdźcie, usiądźcie, słuchajcie, a głosy swe dajcie...

Szli tedy pobratymcy owi dokoła, których gdy poznano i przypomniano, wszyscy ich uprzejmie witając, cieszyli się z mężów onych do swej rady.

Odezwali się potem najgorętsi, którym słowo usta pa-liło, ze słowami groźby i wyrzutów przeciw Leszkom, ciskając im w oczy winę ojca i zarzucając, że znowu sobie panowanie przywłaszczają chcieli.

Niektórzy, szczególnie z Myszków, występowali gwałtownie, niepomiarkowanie, złość swą wywierając na nienawistny ród. Zaczęli jątrzyć a podburzać, twarze blade i ręce drgały u mieczów, gdy wśród wrzawy młodszw z gości wstał i prosił, aby mu, jako druhowi, słowo rzec było wolno.

— Jesteśmy goście i przychodnie — rzekł — ale w waższej mowie wspólna wszystkim nam matka przemawia do wnętrzości każdego z nas. Mężowie zacni, uspo-

kójkie serca wasze, podajcie sobie dłonie, przebacście urazy, zapomnijcie krzywd, życie zgodnie. Sami mówicie, że szeroka ziemia wszystkim starczy i wykarmi. Macie wspólnych nieprzyjaciół obcej mowy i plemienia, przeciwno którym bronić się powinniście. Komuż na korzyść pójdą wasnie i walki, jeżeli nie wrogom, którzy z nich będą korzystać?

Nielepiejże podać sobie dłonie? bronić wspólnymi siłami? Uczyńcie pokój i zgodę uczynicie!

Mówił tak długo i gorąco gość obcy, a choć zrazu starszyczna się burzyła i szemrała, miał taki dar trafiania do duszy, iż się ludzie zwolna uśmierzali, łagodnieli i z li-ca im już widać było, że się skłaniali do przejednania.

I rzekł Bolko Czarny pierwszy:

— Niech się więc stanie zgoda i mir między nami, ale jakąż nam dacie załogę i pewność, że dochowacie miru, gdy my go wam przyrzeczemy?

Dziadowie lub stryjowie niemieccy Pepełków zmówią się jutro na nas, gdy lud rozpuścimy, wojnę nam wniosą...

— Siedzimy i my, a siedzieć będziemy rozbrojeni wśród was — odezwał się Bumir — głowy nasze każdego czasu są załogiem.

— Któż zaręczy — dodał Myszko, — że miasto braterstwa, którego żądacie dziś, jutro nie zapragniecie panowania?

— Uczynimy uroczystą przysięgę na „kamień w wodę” — odparł Bumir. — Cóż więcej dać możemy nad słowo, głowę i przysięgę?

Szły narady i powtarzały się głosy różne, a Piastun słuchał w milczeniu i goście obcy także, dopóki się nie przebrnęło słów i przypomnień gorzkich.

Natenczas wstał z kmięcia-kneź i rzekł:

— Idźmy więc do jeziora świętego, niech każdy z nas weźmie kamyk na znak przysięgi i rzuci go wobec bogów na dno wody, mówiąc, jak zwykli byli ojcowie nasi: „Jak kamień w wodę, niech przepadną w niepamięć wasnie i nieprzyjaźnie nasze”.



— Jak kamień w wodę!

— Jak kamień w wodę! — zawołali uroczyście Leszkowie wszyscy głosem jednym.

Wojewodowie i starszyzna milczała, lecz kneź spojrział na nich rozkazująco i odezwał się, biorąc kamyk u nóg swoich:

— Idźmy wszyscy!

Ruszyli więc Leszkowie przodem, za nimi wojewodowie i Piastun ze starszyzną pochodem uroczystym nad brzeg jeziora, niosąc wszyscy kamyki w rękach, a przyszedłszy nad wodę, gdy kneź pierwszy kamień rzucił, cisnęli je wszyscy z krzykiem wielkim i radosnym, którym się rozległa okolica.

Zaczęto potem dłonie sobie podawać i stała się chwila wesela, gdy poszła wieść po gromadach, że wojny nie będzie więcej, a zgoda i pokój panować mają u Polan, pomiędzy Leszkami i kmieciami, na dawnym zakonie żyć mającymi po bratersku.

Synowie Chwostkowi, choć im bolesną i upokarzającą była ta zgoda, bo dawniej panując, dziś się kłaniać musieli i ulegać, przyjęli ją i milczeli. Inaczej ród by się ich wyrzekł cały.

Żywili też może jakąś nadzieję, iż rzeczy się później lepiej dla nich obrócą.

Legło wszystko, jak stało obozem, nad jeziorem, a czeladź posłano po dworach kmiecych, aby ze stad i komór, co potrzeba dla uczty wspólnej, przywiozła.

Święto zgody razem i zakładziny grodu obchodzili miano. Pierwszego dnia czekali wszyscy w polu, szałas i szatry skleciwszy, drugiego dopiero uroczystość rozpoczynając się miała. Słano więc po gęślarzy i śpiewaków starych, i wróżbitów, po Wizuna na Lednicę i ogień święty dla zapalenia pierwszego ogniska, po wodę ze źródła świętego. A gdy się to działo, jak po dwakroć wprzód, i teraz znikli niepostrzeżenie goście.

Nadszedł tedy dzień zakładzin grodu, a słońce wstało jasne i wesołe, aby mu przyświecać. Piast ze starszyzną,

wojewodami, gęślarzami i wróżbitami wyciągnął w pole, gdzie starym obyczajem parą wołów czarnych oborać miano granice przyszłego grodu.

Lecz stało się, że gdy o wszystkim zawczasu miano staranie, o wołach i plugu nie pamiętał nikt i teraz dopiero spostrzeżono, iż ich brakło. Frasunek więc był wielki.

Wtem, gdy się tak rozbiegają na wsze strony, oczyma szukając człowieka, co by zaradził na to, patrzą, na polu stoi beżpański plug nowy, parą wołów czarnych zaprzężony i czeka na pana, przewrócony do góry.

Przyszedł tedy doń ze śpiewającymi pieśni gęślarzami Piast i starszyzna, kmiecie z Leszkami pomieszani, ujął go w rękę, odwrócił, zapuścił w ziemię, a woły, jakby nań czekały tylko, iść poczęły wolnym krokiem, odwalając skibę czarną i lśniącą.

Wtem, jak owego dnia walki, dwa ptaki białe ukazały się wysoko, lecąc nad głową orzącego, a dwa bociany, z obu stron pluga idąc, towarzyszyły mu, nie trwożąc się ani śpiewem, ani gromadami ludu. Szli wszyscy za plugiem Piastunowym i kneziowską pierwszą skibą, którą wyorawszy na staję, najstarszemu po sobie oddał kneź plug, mówiąc :

— Skiba moja pierwszą niech będzie, ale nie jedyną; niech się wszelka siła składa na gród i stolicę; niech każdy do pluga ręki przyłoży, aby robota była zgodna i silna.

— Łado! — wykrzyknęły gromady.

Wziął tedy naprzód najstarszy z wojewodów plug po kneziu, po nim drudzy, aż do ostatniego, dalej kto chciał i mógł się docisnąć, choć na chwilę pluga dotykał. Tak oborano dokoła gród przyszły, zostawując tylko miejsce jedno na wrota.

Na wzgórzu nad jeziorem zapalono ogień święty, z Lednicy przyniesiony, gdzie już przywiezione podwaliny na przyszły dwór kneziowski złożone były. A obyczajem prastarym, iż dla odegnania złych duchów ofiarą, do-

my, dwory i chaty zawsze „na głowy” zakładano. Komu na inną nie stało, koguta zabijał pod pierwszą belkę.

I tu więc dwunastu jeńców niemieckich stało już w pogotowiu dać głowy pod podwaliny, gdy ujrzano, iż w miejscu, które odkopano, leżała moc wielka ludzkich kości, co za najlepszą wróżbę ogłosił Wizun i życia jeńców nie potrzebowano, gdyż ofiarę sam los Kneźnu już przed laty zgotował.

Padły więc belki na to zgliszcze prastare i zrab się zarysował na ziemi. W pośrodku tego już wystawiony był stół, ręcznikami szytymi pokryty, chleb leżał na nim, aby go doma nie brakło. Gdy założony został zrab i progi, a pierwszy człowiek miał je przestąpić, wpędzono przodem barana i tego u progu zabito na ofiarę, po czym wszedł bezpiecznie kneź, a za nim starszyzna. Zaczęto częstować wszystkich, ktokolwiek przyszedł, karmiono i pojono dzień cały i noc całą przy śpiewaniu pieśni i radości wielkiej.

Nazajutrz gromady wojsk rozpuszczając zaczęto po dworach i chatach, odprawiać wojewodów z nimi, zostawując tylko małą część dla obrony nowego grodu i osoby nowego knezia. Szły one, śpiewając po lasach i błogosławiąc pokój, który po najazdach i burzy zawitał.

Około grodu natychmiast ludzie się krzątać zaczęli, wznosić szybko chaty i budować. Nie tylko dla knezia, ale dla drużyny jego stawały dwory nad Jeleniem i w pobliżu zamku, tak że w oczach prawie rosła nowa osada, która tu już raz niegdyś, wedle podań, istnieć miała.

Piastun zaś, dopóki dwór dlań nie był skończony, w prostym szałasie przebywał, do starej swej chaty lesnej, po której tęsknił zawsze, dojeżdżając niekiedy. Gdy wreszcie dach stanął i drzwi zawrzeć było można, a na ognisku naniecić ognia, przewieziono znad Gopła wszystkie mienie Piastunowe na gród nowy, aby pierwsze ubóstwo jego i prostota obyczaju zawsze jemu i potom-



stwu przypominała, iż ze stanu kmiecego wyniesiony został.

Chociaż płaszcz kneziowski i czapkę włożył stary, w komorze swej siermięgę wieszał, aby mógł na nią patrzeć, pod oknem malowanego dworu ul kazał postawić, aby mu barcie leśne przypominał. A na wiosnę stała się rzecz dziwna: bocian, który na chacie starej mieszkał, gniazdo na dworcu założył.

Syna też jedynego, Ziemowida, tak chował ojciec, aby obyczaju ziemiańskiego nie zapomniał i na równi z ubogimi mógł życie małym opędzać, pracy, głodu, znoju, zimna się nie lękając.

Pozostaje nam tylko dopowiedzieć o losach Doman i Dziwy, które się też wkrótce rozstrzygnęły.

Gdy się kmiecie po dworach rozjechali, a Doman też powrócił do siebie, chodził długo a myślał, co ma począć aby albo z serca zbyć dziewczynę, albo ją znowu porwać i uwieźć a w domu panią uczynić.

Dobek leżał jeszcze na Lednicy ze swą raną, powoli do zdrowia i sił przychodząc; zajrzeć więc do niego miał powód druh i nikt tym odwiedzinom dziwić się nie mógł. Lecz nie wybrał się sam. Najodważniejszych z czeladzi swojej dobrał kilku i kazał jechać z sobą.

Właśnie Kneźno i osada ściągnęły tam na brzegi znaczny napływ ludzi, cieśli i robotnika. Piastun też dobiegał, jak się osada wznosiła. Przybywszy więc tu, Doman znalazł więcej świadków, niż mu było potrzeba i musiał szukać dalej brzegu samotniejszego skąd by na Lednicę popłynął.

Dobrano między wzgórzami jeziora łachę, okrytą trzcinnami i zaroślami, wśród których konie stały. Rybacy człon dostarczyli i Doman dnia jednego pod wieczór puścił się samoszóst na Lednicę, ludziom wprzód nakazawszy, co czynić mają.

Przybito w takim miejscu poza chramem, gdzie rzadko

kto dopływał — i tu ludzie czółna w trawach wysokich pochowali, a Doman pieszo naprzód udał się do chaty Wizuna.

Ten, skoro go spostrzegł, wstał, ręce doń wyciągając, bo kochał zawsze wychowanka i radował mu się wielce. Nie wątpił też, iż przybył dla zobaczenia Dobka, który, choć jeszcze dobrze nogą nie władał, na próg już mógł wyniść i o kiju się przechadzać.

Gdy się potem stary oddalił, Doman przyznał się przyjacielowi, z czym przybywał.

— Starego — rzekł — gdy powróci, zabawiajcie, a choćbyście krzyk jaki usłyszeli, starajcie się, aby rychło za mną pogonić nie mógł, dopóki łodzie moje nie odbiją od brzegu. Złożę okup do chramu za nią, jakiego zażądają, a wziąć ją muszę. Krwią ją sobie kupiłem.

Ponieważ ku wieczorowi się miało, szedł więc Doman do chramu, gdzie się Dziwę znaleźć spodziewał, bo najczęściej przy ogniu przesiadywała.

Tu jej nie było.

Wybiegł więc co rychlej, szukając u wniścia około ogródka, niemal cały ostrów przetrząsając, a nie śmiejąc jednak nikogo zapytać o nią.

Już mrok padać zaczynał, gdy w końcu z dala postrzegł ją, idącą nad brzegiem jeziora, i pośpieszył do niej Doman. Poznawszy go, chciała zrazu Dziwa przyspieszyć kroku, aby się z nim sam na sam nie spotykać, ale chłopak tak zręcznie zaszedł jej drogę, że mu się wzmknąć nie mogła.

Wolała tedy stanąć, aby mu nie okazać, że się go lekkała. Doman podszedł do niej, nie witając nawet, jakby ją wczoraj dopiero widział.

Złożyło się tak szczęśliwie, iż właśnie od miejsca tego nie opodal stały ukryte łodzie; przystąpiwszy więc Doman w milczeniu myślał już tylko, jakby ją w tamtą pokierować stronę, aby, nie obawiając się pogoni, mógł ją schwycić, do łodzi zanieść, nim by ludzie nadbiegli.

— Po Dobka przybyłem tu — odezwał się wesoło, —

ale on biedny jeszcze się nie wylizał z rany. Żleście go tu pilnowali.

— Pilnował go stary Wizun, Nania i ja — odezwała się cicho Dziwa, — ale ranę miał srogą, może od jadowitego oszczepu, która się długo goić nie chciała.

— Moja, choć na piersi, daleko się rychlej zamknęła — rzekł Doman.

Dziwa oczy spuściła i zamilkła. On zbliżył się ku niej, zaczęła się więc cofać ku brzegowi i szli tak kilka kroków. Strach jakiś widocznie ją ogarniać zaczynał, oglądała się, czy kto nie nadejdzie i którądy by od niego uciec mogła. Tymczasem szła nad brzegiem, a on coraz przysuwał się bliżej.

O kilka kroków postrzegł Doman głowę jednego z ludzi swych, który ostrożnie podniósłszy się z sitowia, poglądał i słuchał, kto się zbliżał.

Dokoła jakoś pusto było i w chwili, gdy Dziwa, uniósłszy nieco fartuch, puścić się miała uciekać, Doman przyskoczył, porwał ją w pół, podniósł od ziemi, a choć krzyknęła, wołając ratunku, biegł z nią wprost do czołna swego.

Ludzie już gotowi czekali. Przez wodę rzucił się ku nim, niosąc ją na ramionach, łamiącą ręce, skoczył do czołna, które przymocowane było do dwóch, mających je ciągnąć za sobą i kazał odbijać od brzegu.

Dziwa, oczy zakrywszy, płakała, ale się nie wrywała Domanowi; upadła na dno łodzi, osłaniając twarz ze wstępu.

Pierwszy jej krzyk znać posłyszała Nania, gdyż wnet zjawiła się u brzegu, gdy już o mroku czołna ze trzciny i zarosli na czyste wody wypływały. Nie mogła dostrzec nic z dala, prócz łodzi, które szybko uciekały. Stała więc, słuchając i patrząc na próżno, gdy i stary Wizun, czegoś się domyślając może, nadążył.

Ten bystrym okiem wnet dopatrzył i odgadł, co się stało, i kij podniósł, grożąc, do góry. Ale czołna pędziły, co starczyły wiosła i wkrótce znikły w mroku wieczora.



Nocą już Doman dowiózł narzeczoną do ładu. Płakała ciągle, milczała, ale się nie opierała temu, co za dołę i przeznaczenie swe uważała. Wiózł ją więc z sobą na koniu, nie do własnego dworu, ale do chaty Wiszów, choć nic nie mówił jej o tym.

Z domu rodzicielskiego brać ją chciał, aby nie mówiono, że porwał dziewczkę po rozbójniczemu. Gdy nad ranem, zza łoż patrzac, ujrzała Dziwa znaną okolicę, usta jej się roześmiały i zapłakane poweselały oczy. Spojrzeniem cichym podziękowała Domanowi.

Ranek był jesienny, chłodny, gdy u wrót zagrody stanęli.

Na podwórku u studni czerpała wodę Żywia i bratowe, we drzwiach Ludek sposobił się wyjść na łowy. Gdy ujrzeli nadjeżdżających i poznali Domana, wiozącego niewiastę z twarzą zakrytą, wszyscy się ku nim rzucili.

Wtem Dziwa skoczyła na ziemię i, zapomniawszy o wszystkim, ręce podnosząc, witać zaczęła swoich, rozrzuwniona i szczęśliwa. Dwie siostry rzuciły się sobie na szyję z krzykiem radości, bratowe cisnęły się ją witać, brat biegł pytać, co się stało.

Doman zsiadł u wrót.

— Ludku, bracie — rzekł. — Siostrę wam odwożę; los mi ją przeznaczył, moją być must, ale ją chcę mieć z rąk waszych i spod ojcowskiej strzechy. Sprawcie więc wesele i pobłogosławcie.

Dziwa twarz zarumienioną tuliła na siostry ramionach, płacząc i śmiejąc się razem. Ludek z drugim bratem, który wybiegł z chaty, w ręce klaskali.

Przyszły więc wprędce swaty, sproszono drużbów, przyjechał w królewskim orszaku pan młody, sprawiono wesele, na którym siedem dni goście jedli, pili, śpiewali, skakali i weselili się.

I ja tam byłem, miód i piwo piłem, bo każda stara baśń tak się przecie kończyć powinna.

# DOPISEK

## DZIEJOWE LEGENDY

Jak trudne są do opowiedzenia dzieje dziecięcego wieku człowieka, tak i pierwszych dni, tych tajemniczych, wzrostu i rozwijania się, które świadków, co by je wypowiedzieli, nie mają. Jak dziecię po przyjściu na świat rośnie olbrzymio i sił nabywa szybko, tak naród wśród tych mroków pierwobytu obdarzony jeszcze całą potęgą, z kolebki wyniesioną, niepojętym sposobem kształtuje się do przyszłych swych losów.

Nic też trudniejszego, jak podnieść zasłonę, okrywającą pierwociny bytu narodu. Te chwile mało po sobie pomników zostawiają i śladów. Analogia tylko, porównanie, pewne stałe prawa, którym byt ludzkości podlega, coś o tym pozwalają wnioskować.

Z rodzin urastają rody, plemienia, gmina, narody wreszcie, ale tajemniczy proces ten nie dozwala się dośledzić faktycznie, i embriologia narodu pozostanie zawsze tylko prawdopodobieństwem i hipotezą.

Dzieje Słowian w ogólności długo są prawie nieprzebitą mgłą okryte, nie zna ich nikt, nikt o nich nie wspomina. W tej ciszy, wśród której pewne wskazówki tylko, pewne cechy charakterystyczne widocznie się istnienia ich domyślać każą, na tych samych ziemiach, na których później występują, rosną niezliczone plemiona jednej krwi i mowy, to nieznane i ukryte, to fałszywie do innych zaliczane.

W Herodotowej Scytii czuć Słowiańszczyznę spowiniętą, widzimy ją tak samo daleko później zagarniętą

Germanią Tacyta. Nie jest to bez znaczenia.

Gdy plemiona i narody inne dobijają się sławy i rozgłosu, Słowianie chcą spokoju i kryją się, w domowym ognisku znajdując wszystko, co ich życie stanowi.

Zupełnie zgodne z tym ich charakterem w przeszłości jest pierwsze zjawienie się w dziejach.

Posłuchajmy tego świadectwa o nich, które ma w sobie coś mistycznie przejmującego, gdy zważymy, że to jest pierwsze objawienie się Słowian światu.

Okolo roku 629 pisze Teofilakt Simokata: „Następnego dnia zostało przez straż królewską schwytanych trzech mężów, rodem Słowian (Sklabenoi). Nie mieli oni przy sobie żadnego żelaza ani żadnej broni, ale nieśli w rękach gęśle, zresztą zaś niczego przy sobie nie mieli. Zatem król (cesarz grecki Maurycy) rozpytywał ich o narodzie i gdzie sobie obrał siedziby, i dlaczego uwijają się okolo rzymskich granic? Oni zaś odpowiedzieli, że są rodem Słowianie, że zamieszkali na krańcu Oceanu zachodniego i że Chagan (Han Awarów) aż do owych stron wyprawił posły celem pozyskania posiłków wojennych, zyskując władcom narodu liczne dary. Ci tedy władcy dary przyjęli, ale przymierza zawrzeć nie chcieli, twierdząc, iż uciążliwa im jest dalekość pochodu i posłali tych właśnie teraz pojmanych do Chagana, żeby się przed nim uniewinnić. Jakoż w piętnastu miesiącach dokonali tej podróży. Ale Chagan, niepomny na prawo posłów, postanowił przeszkodzić ich pochodowi do kraju. Oni zaś, nasłuchawszy się od narodu rzymskiego, tak z bogactw, jak z ludzkości największej sławie (jak to śmiało rzec się godzi), skorzystali z dogodnej chwili i uszli do Tracji. Mówili dalej, że chodzą z gęslami, gdyż nie przywykli przypasywać mieczów, ponieważ kraj ich nie zna żelaza i dozwala im przeto żyć w pokoju i zgodzie, grają tedy na gęslach, nie umiając uderzyć w trąby. Bo komu obca jest wojna, słuszna, mówili, ażeby taki podobał sobie w ćwiczeniach muzycznych. Słyszac to, samowładca polubił naród



i gościnnym przyjęciem zaszczylił ich samych jednych spomiędzy wszystkich barbarów, którzy się z nim zetknęli, a podziwiając ich wzrost i dorodność ciała, odeślał do Heraklei”.

W tak idealnym świetle zjawia się nam po raz pierwszy to plemię Słowian, nieznaące mieczów, z pieśnią i gęślą idące przez świat i życie do Chana Awarów, na dwór cesarza Maurycego.

Ten sam charakter dawnej społeczności słowiańskiej, miłującej pokój i niewprawnej do wojny, potwierdza Jornandes, pisząc o nich „*armis disperiti*”.

W tej ciszy i przy tych śpiewach wyrabia się tam idealna jakaś społeczność, której instytucje, później zetknięciem się z innymi narodami nadwerężone i zepsute, zdradzają właściwą i wielce rozwiniętą cywilizację. Im głębiej sięgamy w ten mityczny byt, tym idealniejszym się on przedstawia.

Wiara w jednego Boga, małżeństwo, czystość obyczajów, poszanowanie własności, posunięte do tego stopnia, iż domy nie potrzebowały zamknięcia, gościnność nieograniczona, patriarchalne rządy, organizacja gmin i połączenie ich z sobą rodzajem federacji, wszystko to na dnie starej słowiańszczyzny dotykalnie jest widoczne\*). Wojny, potrzeba obrony od nieprzyjaciela, przypasanie oręża do boku, wciskanie się obcych pojęć i obyczaju, jak tylko wyszczerbiły ten cały w sobie organizm słowiański, natychmiast następuje proces rozkładu jego, psucie się i wyrabianie czegoś, co musi się stosować do bytu, do temperatury, jaka słowiańszczyznę otacza. Zostają tylko szczątki dawnej organizacji, która, postradawszy siłę samoistną do dalszego wyrabiania się, przechodzić musi przesilenie nowej metarmofozy.

Odosobnienie tylko, w jakim owi Słowianie z gęślami żyli, dozwalało im zgodnie z ich naturą wyrabiać się i tworzyć sobie cywilizację własną; zetknięcie z obcymi zmienia warunki.

\*) Ob. Prokopa.

Nie ma najmniejszej wątpliwości, że pierwsze chwile takiego przesilenia w narodowym organizmie są zawsze upadkiem i osłabieniem, abdykacją i chwilowym obłędem.

W całej walce słowiańszczyzny, szczególnie z plemionami germańskimi, widzimy w niej zabytek starego organizmu, który nieprzyjaciele nawet wynoszą wysoko, i jako pierwszy skutek nowej cywilizacji obezwładnienie, chorobę, upadek. Tracą oni to, co wyrobili w sobie sami, a nie mogą od razu przyswoić tego, co im w formie mało pojętej i do ich natury niezastosowanej przychodzi.

Ci ludzie gęśli, nieznający żelaza, przez długie wieki zdradzają w sobie swe pochodzenie, pozostają marzycielami, a dają się podbijać, zawojowywać i ujarzmiać.

W późniejszych wiekach różne plemiona słowiańskie ulegają wpływowi sąsiedztw rozmaitych, klimatu, warunkom życia i kształtują się odrębnie. Słowiańszczyzna dzieli się nie na niezliczone narody, ale na grupy drobne, które potrzeba obrony skupia w małe całości. Jest to właśnie ta epoka tajemnicza, w której się tworzą pierwiastki, Lechię składać mające.

U tej drugiej kolebki Polski panuje ta sama ciemność, która okrywa początki słowiańszczyzny. Tu i tam podanie, legenda, to jest poezja, stanowi materiał dzieiowy. Drugim jest to, co się odgrzebuje z ziemi po mogiłach, choć tu epokę zabytków oznaczyć stanowczo bardzo trudno.

Prawie aż do tej chwili, gdy się Lechia ochrzczona ukazuje po raz pierwszy w walce i przymierzu z Germanami, nie mamy o niej jak tylko podania ciemne.

Podania te nawet czerpać już dziś musimy nie u źródeł, z ust ludu, który o nich zapomniał, ale z kart kronik, co je napisały niewiernie, starając się stworzyć coś, pojęciom swojego wieku odpowiedniego; godzą się na to wszyscy badacze nasi, iż podania o pierwotnych dziejach narodu są mieszaniną rozmaitego pochodzenia żywiołów, sklejonych w nieforemną całość. Można z nich

jednak coś wydobyć, tak jak z grobowych szczątków...

Nie ma wątpliwości, iż dzieje Leszków, Popielów, podania o Wandzie, Krakusie itp., odnoszą się do pewnych zwrotów i stanowczych zmian w przeszłości narodu, a raczej części jego składowych, gdyż przed Piastem i jego potomstwem nie istnieje pojęcie całości jakiejś państwowej. W głębi puszczy, w ciszy lasów tworzą się dopiero małe grupy pierwotne, których połączenie ma stanowić późniejsze państwo Bolesławowskie.

Kronikarze nie umieją nawet zrazu jednostajnie nazwać kraju, który z kolei przybiera imię Polanów, Lachów i Lechów. Gdy nagle za Mieszka i Bolesława, syna jego, występuje to państwo na karty dziejowe, pojmujemy łatwo, że zjawienie się jego poprzedzić musiało wewnętrzne urabianie się, które mu dało siłę do życia.

Długosz, który w piętnastym wieku według idei ówczesnych, układał dzieje polskie, spisał i uporządkował podania, poprzedzające epokę historyczną, równie swobodnie i bez krytyk, jak później przedstawił w świetle swojego czasu. Nie można mu mieć tego za złe, bo każdemu pokoleniu zdawać się musi, iż ono jest w posiadaniu wyłącznym prawdy.

Dla Długosza więc podanie najstarsze poczyną się od Lecha, od niego idzie nazwisko ziemi, Lechii i Lechitów. Wie jednak Długosz, że rozmaite plemiona, spokrewnione z Lechitami, a raczej do nich należące, różnymi się imionami od miejscowości zwały.

Ten mityczny Lech Długosza schodzi bezdzietnie. Nie wiadomo właściwie, kiedy istniał, jak długo ród jego panował, dosyć, że zgasł bezpotomnie.

Po tych pierwszych rządach monarchicznych, a raczej patriarchalnych, ojca rodu i narodu, który rodziną rozrodzoną władał, następują rządy gminowładne tak zwanych dwunastu wojewodów.

Podanie, sławiące rządy patriarchalne w początku, a po nich ów rząd gminowładny małych jednostek, nie jest wcale w niezgodzie z naturą rzeczy. Takim porząd-



kiem, owszem, musiał się odbywać ów proces tworzenia narodu. Dwunastu wojewodów, naczelników mirów, gmin itp., w wykładzie pragmatycznym Długosza niewłaściwą przybierają fizjognomię.

Wtracony po nich Krak, który widocznie jest pochodzenia czeskiego, nie ma związku z Legendą lechicką. Służy on w budowie podaniowych dziejów do związania Lechii ze słowiańszczyzną i charakter powieści o nim zupełnie jest odmienny. Miesza się w niej baśń ludowa słowiańska, potargany jakiś poemat stary, z wysiłkiem niedołącznym do historycznego odcechowania epoki. Krak panuje zarazem Polanom i Czechom i zakłada Kraków, który pierwotne Gniezno wydziedzicza. Życie całe skupia się w tym mieście polskoczeskim. Ale na Wawelu pod zamkiem w jaskini zjawia się potwór niesłychanej wielkości, bajeczny smok (olophagus), który połyka bydła i trzody i ludziom nie przepuszcza.

„Gdy zaś długim zmorzony głodem — pisze Długosz — nie znajdował przygodnej albo podrzuconej sobie pastwy, wtedy z dziką wściekłością, w dzień biały i na jawie, wypadając z łożyska i zionąc z paszczy przeraźliwe ryki, rzucał się na najroślejsze bydła, konie, woły, zaprzężone do wozu lub do płużyny, dusił je i dławił, niemniej srogi pożerca ludzi, którzy łakomstwu jego uść nie pośpieli...”

Wszyscy mieszkańcy, trwogą przejęci, chcą opuszczać Kraków. Krak wpada na myśl nakarmienia potworu ścierwem, wypełnionym siarką i próchnem, woskiem i żywicą, w które zapuszczono nieco ognia. Smok pożera łakomie rzuconą mu pastwę i płomieniem w trzewiach dręczony zdycha. Krak, wybawiwszy tym sposobem kraj od klęski, panuje wśród szczęśliwości i pokoju, a lud wdzięczny po zgonie sypie mu mogiłę na górze Lassocie pod Krakowem, taką właśnie, jak dawnym swym władcą pod starą Upsalą w Szwecji sypał naród na pamiątkę. Z tej to mogiły zrodzoną jest legenda o Kraku. Dłaczego jedna ze trzech córek, pozostałych po Kraku,

panuje potem oddzielnie w Czechach, podanie nie tłumaczy. Jest to znowu węzeł, który ma połączyć Kraka i Polskę ze słowiańszczyzną i legendą już posiadającą prawo obywatelstwa.

Z trzech córek Kraka widzimy tylko dwie, występujące w podaniu: Libuszę i Wandę. Oprócz tego zostawia on dwu synów: Kraka i Lecha, których by można uważać za przedstawicieli dwóch później połączonych dzielnic chrobackiej i lechickiej.

Zazdrosny Lech zgładza zdradziecko starszego brata, Kraka, rąbie ciało jego na części i zasypuje piaskiem, udając, jakoby go zwierzę dziki rozszarpał na łowach. Panuje więc Lech, oplakawszy łzy fałszywymi brata, a panowanie jego trwa lat wiele, ale w końcu zbrodnia się wydaje, znajdują się dowody i Polacy strąconego ze stolicy skazują na wieczne wygnanie. Inna legenda opowiada, że wcale nie ukarany, w zgryzotach sumienia, bezpotomnie dokonał żywota.

Bratobójstwo to, w pieśniach starych powtarzające się, ma charakter ludowej powieści. Godne jest uwagi, że w daleko późniejszej legendzie o żywocie św. Stanisława powtarza się to rozćwiartowanie ciała na części.

Jako spadkobierczyni po bracie występuje córka Kraka, Wanda, o której powieść utworzona, mimo późniejszych dodatków, ma cechy podania mogilnego i pierwotnie była pewnie utworem ludowym. Legenda ma w sobie tyle wdzięku, że nęciła już nieraz poetów, ale sprowadzenie tej powietrznej postaci na ziemię zawsze ją umniejsza i odbiera jej urok, jaki ma w powieści ludu. Wanda nie chce znać męża, pragnie pozostać swobodną i panią swych losów, dziewictwo swe ślubuje bogom. O granicę panujący ksiązę Allemanów, Rytogar, znakomity rodem i bogactwy, wysłał posły, prosząc o rękę Wandy, która dziewczosłęby te z odmową odsyła. Rytogar, nie mogąc ją skłonić inaczej do poślubienia, wkracza z ogromnym wojskiem w granicę. Wanda staje na czele siły swoich i przyjmuje wyzwanie.

Jeszcze raz Rytogar stara się ją skłonić do zameścia, a Długosz wie nawet, jak wymownie przemawiali jego posłowie i jak pięknie im odpowiada królowa. Potem trąby dają hasło do boju, ale Niemcy, przypatrzwszy się pięknej królowej, z zabobonnym strachem pierzchają przed tym zjawiskiem. Wanda zwycięża ich potęgą niezwieściego, dziewiczego swojego wdzięku. Rytogar, nie mogąc ich skłonić do bitwy, z rozpaczy, po pięknym monologu, sam się mieczem przebija. Wanda z Niemcami zawarłszy przymierze, przez dni trzydzieści obchodzi zwycięstwo i dobrowolnie siebie na ofiarę bogom poświęca, rzucając się do Wisły. Zwłoki jej, wydobyte z wody, lud pogrzebał nad Dłubnią, o milę od Krakowa, sypiąc jej taką, jak ojcu, mogiłę.

W wyrobieniu kunsztownym powieści o Wandzie, w mnogich szczegółach i upiększeniach znać późniejsze czasy, niewątpliwie jednak jest to podanie stare, popsute tymi ozdobami misternymi, jakie mu narzucano.

Powracający po zgonie Wandy znowu wojewodowie doskonale oznaczają, gdzie powieści wciśnięte zostały, powieści mogilne, które kronikarze z ust ludu wzięwszy, posłużyć się nimi chcieli do związania dziejów tych bajecznych z podaniami słowiańskimi, a mianowicie czeskimi.

W rozwoju narodu wracające gminowładne rządy wojewodów do rzeczywistości nas zbliżają. Na tle tej prawdy występuje znowu nie już chrobakoczeska, ale lechicka powieść, wyglądająca niemniej podaniowo, jak poprzednie.

Napaści nieprzyjaciół — mówi podanie — Węgrów i Morawian, zmuszają Polanów do szukania sobie wodza. „Był naówczas — pisze Długosz — między Polakami rycerz dzielny, imieniem Przemysł (imię jest lechickoczeskie, a raczej starosłowiańskie), wyćwiczony w żołnierce i nad stan swój świadomy sztuki wojennej, a wyższy dowcipem i przemyśłem, niż znakomitym rodem, który oprócz tego dał się być poznać z poczciwości



i wielu zacnych przymiotów, a stąd wielką miał u ludzi wziętość. Osobliwsze więc w rodakach wzbudzał zaufanie, że z wrodzoną zdatnością łączył wprawę, nabytą w licznych przygodach i bitwach. Ten spostrzegłszy, że nieprzyjaciel poczynał sobie niedbale i nieostrożnie, wziął przed się zamiśl więcej dowcipny, niż śmiały... Z pierwszym brzaskiem wschodzącego słońca kazał na wzgórzach, przeciwległych obozom nieprzyjacielskim, porozwieszać w wielkiej ilości błyszczadła(?) do szyszaków podobne, na które gdy uderzyły promienie słoneczne, nieprzyjaciele tak się przerazili, że czym prędzej za broń porwawszy, bez należnego szyku i porządku, bieżeli ślepo i zapalczywie w tę stronę, gdzie mniemane świeciły hełmy, chciwi nowego nad Polakami zwycięstwa”.

Długosz opisuje obszernie, jak Przemysław, wwiódłszy tym sposobem nieprzyjaciela w zasadzkę, napadł nań i pobił. Za to szczęśliwe zwycięstwo Przemysław okrzyknięty jest królem i nazywany Leszkiem.

Cała ta powieść zdradza jakąś fabrykację, potrzebną do połączenia znowu legendy z Leszkami i Lechem pierwotnym.

Na dnie podania jest jakaś głucha tradycja o panowaniu plemienia czy stanu Lechów nad krajem. Godne uwagi tylko, że tradycja wspomina o prostym pochodzeniu Przemysława i że poczucie narodowe ciągle podnosi zasługę nad krew, jak później w legendzie o Piaście.

Przemysław także jest ubogim żołnierzem niewielkiego rodu. Ludowego tu pierwiastku nie czuć bardzo, raczej kronikarską robotę i niezbyt foremną.

Ten Przemysław — Leszek umiera znowu bezpotomny; przyszyty on jest na tle gminowładztwa dwunastu wojewodów, jak fantastyczna jakaś ozdoba, dla przypomnienia Leszków.

Następują wybory nowego króla ( w czym już znać natchnienie jagiellońskiej epoki rzeczypospolitej). Kandydaci do korony zjawiają się w wielkiej liczbie, rodzą się współzawodnictwa i niesnaski, wybór trudny, dla

uniknięcia więc ich „ po długich sporach (Długosz) zgodzono się dla skrócenia rozruchów na taki środek, aby obrano słupek za metę, do której by wszyscy ubiegający się o panowanie, w pewnym oznaczonym czasie, na koniach różnej maści i różne mających odmiany, ścigali się rączym pędem w zawody, a kto by w tym wyścigu pierwszy stanął u słupca, temu, bez względu na stan, lecz wskutek szybkiego biegu przyznać miano godność księżęcą. — Wyścigi te miały się odbyć w pobliżu Krakowa nad Prądnikiem na darnią pokrytej równinie. Sędziami miała być starszyzna, wybrana ku temu. Przebiegły młodzieniec, Leszek, w nocy drogę ponatykał żelaznymi kolcami, które po wierzchu przysypał piaskiem, z boku dla siebie zostawiając sobie tylko wiadomą ścieżkę. Zdradę tę odkryli dwaj młodzi, którzy pieszo chcieli się zabawić, biegając do mety — ale o tym nikomu znać nie dali. Wyścigi naznaczone zostały na dzień 15 października i ogromne tłumy ludu zebrały się na nie”. Długosz powiada, że dla starszyzny urządzone były ławice, a widzowie, gorąco przejęci, wcześniej już zajmowali się wypadkiem gonitwy. Zaraz w początku poranione konie innych zapaśników padać zaczęły, gdy tymczasem Leszek, który oprócz tego, k o n i a s w o j e g o p o d k u ł, wiadomą ścieżką pierwszy doścignął mety i za słupek pochwycił.

Razem z nim wszakże doszedł do słupa i ów, co odkrył zdradę, wśród śmiechów powszechnych, pieszo. (Leszek miał jabłkowitego konia, o tym na pewno wie Długosz). Zdrada i kolce wydały się, Leszka rozszarpano, a pieszy ów, skromny chłopak, został okrzyknięty.

Legenda, w której jest wzmianka o podkutym koniu, zdaje się wskazywać czasy, gdy już heraldycy czuli się w obowiązku wytłumaczyć ową tak pospolitą w herbach polskich podkowę. Dziwnie niezręcznie ściąga się to wszystko do Leszków. Przemysław przezwany jest Leszkiem; ten, który zdradą dobiega do słupa, Leszkiem się zowie, i ów ubogi chłopak także otrzymuje to miano, „było bowiem — dodaje Długosz — w owym czasie powszech-

ne i nadawano je książętom, wysadzonym do rządów, jakoby miano godności". Ciekawa to tradycja o znaczeniu wyrazu, a równie zajmującą jest powieść Długosza, który charakterystykę Leszka tego kreśli z wielkimi szczegółami. Przyznaje mu przymioty nadzwyczajne, rycerskie zdolności, zaprowadzenie ćwiczeń wojskowych, skromność obyczaju i stała pamięć swotego ubożego pochodzenia. „Często na zebraniach publicznych — pisze. — gdy konieczność wymagała przybrania się w szaty książęce, dawna grubo tkana kiereją i przyodziewek lichy, w którym był wzięty na stolicę państwa, w miejscu najwidoczniejszym rozwiesić kazał, aby oczom jego obecne, przypominały mu pierwotnego stanu prostotę". Nie zdaież się, że to wprost z bajki wyjęty szczegół o jakimś biedaku, o jednym z kilka braci, co skromnością swą na wywyższenie zasłużył?

Od tego to Leszka drugiego przez syna jego pochodził Popiel (Pompilius). Podanie mówi, iż był prawym synem Leszka III z żony jego, a że oprócz niego z nałożnic dwudziestu zostało po nim inne potomstwo: Bolesław, Kaźmirz, Władysław, Wratysław, Oddon, Barwin, Przybysław, Przemysław, Jaks, Semian, Ziemowit, Ziemiomyśl, Boćdał, Spicygniew, Spycymir, Zbigniew, Sobiesław, Wizimir, Czestmir, Wisław.

Imiona te także zdają się być przez heraldyków dla wvwodów rodzin szlacheckich stworzone, co w Jaksie, Wizimirze, Barwinie i innych widocznie się czuć daje. Potomstwo miało się rozsiąść na Rugii u Polaków, Obotrytów, Kaszubów itp.

Historia Popielów nader obszernie i z wielkimi szczegółami jest obrobiona. Potrzeba zmusiła przenieść stolicę z Krakowa do Gniezna i kronikarz przechodzi tu, a raczej przeskakuje, znajdując naturalnym, że się okolice góryste sprzykrzyły Popielowi, a wreszcie i Gniezno także, skąd wynosi się do Kruszwicy. Po tym Popielu, który się nie wstawił niczym, następuje jeszcze jeden



Popiel, którego dwudziestu stryjów (dwadzieścia plemion słowiańskich) osadzają na państwie.

Młody ów dziedzic wielkich przodków okazuje zaraz za młodu jak najgorsze skłonności, a Długosz znowu charakteryzuje go jak najdobitniej, mówiąc, że „gonił za nieprzyzwoitą zabawą i rozpustą, zajmował się urządzeniem biesiad, przeciągłych pijatyk, hulatyk i tańców — rad pilnował wianeczków, a nie broni. Oprócz tego gnuśnym był do boju i zniewieściałym, za co go Chwostkiem, to jest nikczemną istotą przezwano. Ożeniono go z księżniczką niemieckiego rodu, z sąsiedztwa, wielkiego pochodzenia, powabną, ale dumną i chciwą, która naturalnie męża opanowała. Przyjście na świat dwóch synów, Lecha i Popiela, wzmogło jeszcze jej znaczenie i przewagę...

Stryjowie na próżno starali się upadłego tak nisko synowca podźwignąć; nie wymogli na nim nic, a ziednali sobie nienawiść żony jego, która, obawiając się, aby oni kiedy w miejsce jej synów nie doszli do rządów, zaczęła namawiać męża na zgładzenie ich ze świata. Długosz umieścił z tego powodu całą jej przemowę do męża wielce przekonywającą i dowodzącą, że koniecznie się stryjów pozbyć powinien.

Przebiegła niewiasta postawiła na swoim. Popiel udaje ciężką chorobę i stryjów do siebie zaprasza, a niby czując się bliskim zgonu, żąda, aby z nim razem stypę, to jest ucztę poqrzebową odbyli.

Udawane ięki i rozpacz nad jakoby już umierającym księciem miały być tak rozrzewniające, że „nawet posągi spiżowe, zdobiące zamek królewski, na tak rzewliwe płacze i narzekania łzawym potem spływały”. Te posągi spiżowe na zamku Popiela są zaprawdę rzeczą osobliwą!

Odbyto więc ów jakiś obrzęd poqrzebowy, religijny, a potem zastawiono hojną biesiadę. Komedia owa choroby, rozpacz, polecenia pozostać mającej wdowa żony oplece stryjów, przeciąga się długo. „W ciągu tych roz-

mów — powiada Długosz, który układa powieść swą, nie skąpiąc szczegółów — słońce poczęło blask swój usuwać z niebokregu, a Popiel skończył już grę całą kuglarstwa, którą przebiegła żona jego dla podejścia stryjów i panów wymyśliła. Stryjowie też i panowie, dopełnwszy tego wszystkiego, co przy umierającym lub zmarłym książęciu czynić się zwykło, czekali, według upewnienia o objawionym bogów wyroku ostatecznej zgonu chwili.

Wtedy Popiel, na pożegnanie niby ze stryjami i starszyzną, każe przez sługi podać sobie miodu, aby przy ostatnim uścisku zatwierdzono spełnieniem czary umówione z nimi przymierze. Miał zaś puchar złocisty, przemyślną i pracowitą robotą ryty misternie, a podstawiony zręcznie przez królowę, w którym napój, acz w wielkiej ilości podany, penił się i burzył tak, iż z połowy naczynia występując z szumem do góry, po zdmuchnięciu piany opadał i wracał stopniami do równowagi, jak to widzimy na wrzącym ukropie, gdy się spod niego ogień usunie.

Napój śmiertelny, wsączony do tego pucharu, podano naprzód królowi Popielowi, aby go pokosztował, a drudzy uważali za czysty i zdrowy. Król udaje, jakoby pił do obecnych panów, a zdmuchnąwszy pieniste bełty, podnoszące się ze środka naczynia, wypróżnia je na pozór; rzeczywiście ani dotknął się usty, a tym mniej pokosztował napoju, pozostała zaś połowę, która mocno zaprawiona była trucizną, każdy z stryjów, dając pocałowanie królowi, spełniał po kolei”.

Przywiedliśmy tu cały ten ustęp, aby o powieści Długosza dać wyobrażenie. Stryjowie szaleją z bólu i umierają, a Popiel śmierć tę ogłasza jako zasłużoną karę za zbrodnię knowaną przeciw bratankowi.

Zakazuje oprócz tego ciała ich chować, sam zaś dalej wiedzie życie rozpustne, zastawia biesiady, żalewa się winem i wonnościami, upaja rozkoszą. Tymczasem z trupów stryjów wylęga się mnóstwo niesłychane myszy,

które napadają Popiela i jego rodzinę „biesiadującego przy stole”. Służba na próżno je odpędzić się stara; kupami nadchodzą, dniem i nocą i nie dają im spoczynku, rzucają się nawet na odpędzające strażę, przeciskają przez nałożone dla odstraszenia ich ogniska. Popiel chroni się na statku wśród jeziora, potem do „drewnianej wieży”, zewsząd wodą otoczonej, myszy płyną za łodzią, pędzą na wieżę, zjadają dzieci w oczach rodziców, potem żonę, na ostatek Popiela, którego tak na drobniuchne kawałeczki roznieśli, iż szczątku najmniejszego z niego nie zostało. Następuje pogrzeb reszty ciał stryjów i zwołanie zjazdu do Kruszwicy dla obioru nowego króla.

Zrodziły się tu ze współzawodnictw niezgody i zatargi, potworzyły stronnictwa. Nie chciano nikogo z zohydzonej wybrać rodziny. Tymczasem sąsiedzi najazdami kraj trapili.

W takim to położeniu kraju Opatrzność znowu nastęrcza, jak w kilku poprzednich powieściach, człowieka niskiego, pospolitego stanu dla uratowania go...

Piast, wedle opowiadania kronikarza, nazwany tym imieniem dla wzrostu niskiego i krępej a silnej budowy ciała — był człowiekiem prostych obyczajów i wrodzonej poczciwości, ubogim, żyjącym z kawałka roli, którą uprawiał. Żona jego, równie poczciwa, zwała się Rzepicha. Mieli tylko jednego syna.

Jeszcze za życia Popiela raz dwaj nieznani pielgrzymi, na próżno prosząc o schronienie u księcia, gdy go im odmówiono, udali się do chaty Piasta. Tu ich gościnnie przyjęto sądkiem miodu i utuczonym prosiakiem, które przygotowane były dla uraczenia sąsiadów, zaproszonych na postrzyżyny syna. Uboga ta uczta, jak w Kanie galilejskiej, stała się cudowną pomnożeniem, za sprawą pielgrzymów, napoju i mięsiwa. Synowi nadali oni imię Ziemowita. Długosz widzi w nich aniołów, albo apostołów Jana i Pawła, gdyż sami zapytani mieli się tymi nazwać imionami.

Oznajmują oni Piastowi o przyszłym jego wyborze —



i upewniają, że tłum zgłodniały, zebrany na wiec, nakarmi i napoi... To nakarmienie i napojenie... (wielce charakterystyczne, gdy się wspomni sejmy późniejsze) skłania umysły do wyboru ubogiego Piasta... Wzbrania się on przyjąć władzę, aż nareszcie ulega wyraźnemu zrządzeniu Opatrzności.

Piast, jak ów Leszek, co suknię kazał rozwieszać swoją dla przypominania mu ubóstwa, wziął z sobą swoje chodaki, z kory dębowej urobione, kazał je zachować w pałacu i wszystkim potomkom pokazywać, aby się wyrzekli pychy i próżności...

Na tym się kończą legendy, poprzedzające dzieje pewniejsze u Długosza, legendy już u niego tak wypełnione, tak pełne drobnych rysów dobitnych, jak gdyby czerpane były z jakiego źródła prastarego, które z taką barwą je przechowało.

Trudno zaprawdę dziś oznaczyć, co kiedy do opowiadań ludu, służących im za tło i podstawę, przyrosło. W wielu epizodach widać heraldyczne przyrostki, powieści z czasów rycerskich, może Krzywoustego, w innych późniejsze jeszcze tkaniny, na ostatek rękę historyka, który upiększa, wypełnia, rozszerza, dramatyzuje te baśnie stare, a zarazem zaciera ich pierwotną prostotę.

Skuba, który Krakowi dopomógł do zatrucia smoka, Jaksa, stryj Popiela — są to postacie z legend herbowych pobrane. Powieści o wyścigach Leszka, o Przemysławie i hełmach, widocznie są już nowsze, same szczegóły to u nich poświadczają. Długosz, szukający znaczenia moralnego w tych opowiadaniach, nadaje im barwę, jaką mają całe jego dzieje.

Baśń u niego staje się historią budującą, wykazującą, że sprawiedliwość Boża ściga winnych, że kara nigdy nie mija występku, prędzej czy później, a cnota zostaje nagrodzona.

Całość tych legend, jak się z pierwszego wejrzenia na cały ich ciąg przekonać łatwo, nader nieforemnie się składa. Usiłowanie połączenia ich z jakąś chronologią,

z dziejami pewniejszymi innych państw, nie wytrzymuje najbardziej pobłażającej krytyki. Szczegóły niemal jedne powtarzają się kilkakrotnie, scena przenosi się z Krakowa do Gniezna i z Gniezna do Krakowa bez widocznej przyczyny. Leszkowie znikają i wracają. Jawnym jest, że podanie o mogiłach Kraka i Wandy i czeskie tradycje zostały wszyte w miejscu dowolnym.

Pomimo to wszystko, w legendach tych nie tylko imiona, ale główne rysy podań ludu jeszcze dziś są widoczne. Na próżno by usiłował kto z tej tkaniny, potarganej i sklezionej dowolnie, stworzyć ciągle następstwo wypadków.

Leszkowie i ich panowanie, rząd gminowładny pierwotny, obalenie książęcej władzy Lechów przez kmiotków, których Piast przedstawia, są jedynymi jasnymi pozostałościami historycznymi, które mają znaczenie.

W tym wszystkim pełno jednak poezji, pełno pomysłów pięknych, na które się składały wieki i wartość artystyczna tego płodu wyobraźni i natchnienia narodowego jest niezaprzeczoną. One są tym kwiatem wyrosłym na mogiłach, który coś przecie ma w sobie z ciał i z ducha szczątków, pokrytych nimi...

KONIEC

*Elf. H. Krawczyk 77*

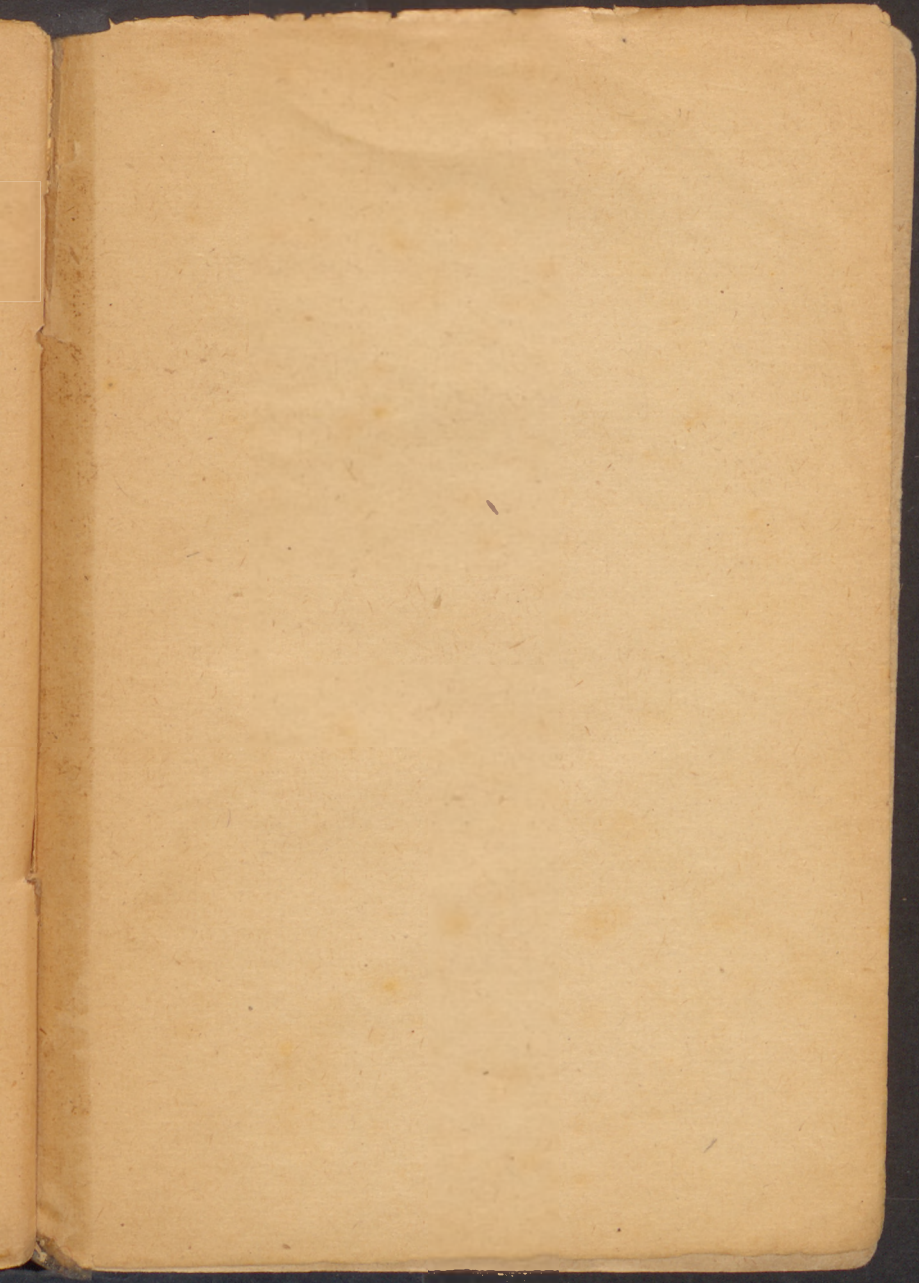


Biblioteka Główna UMK



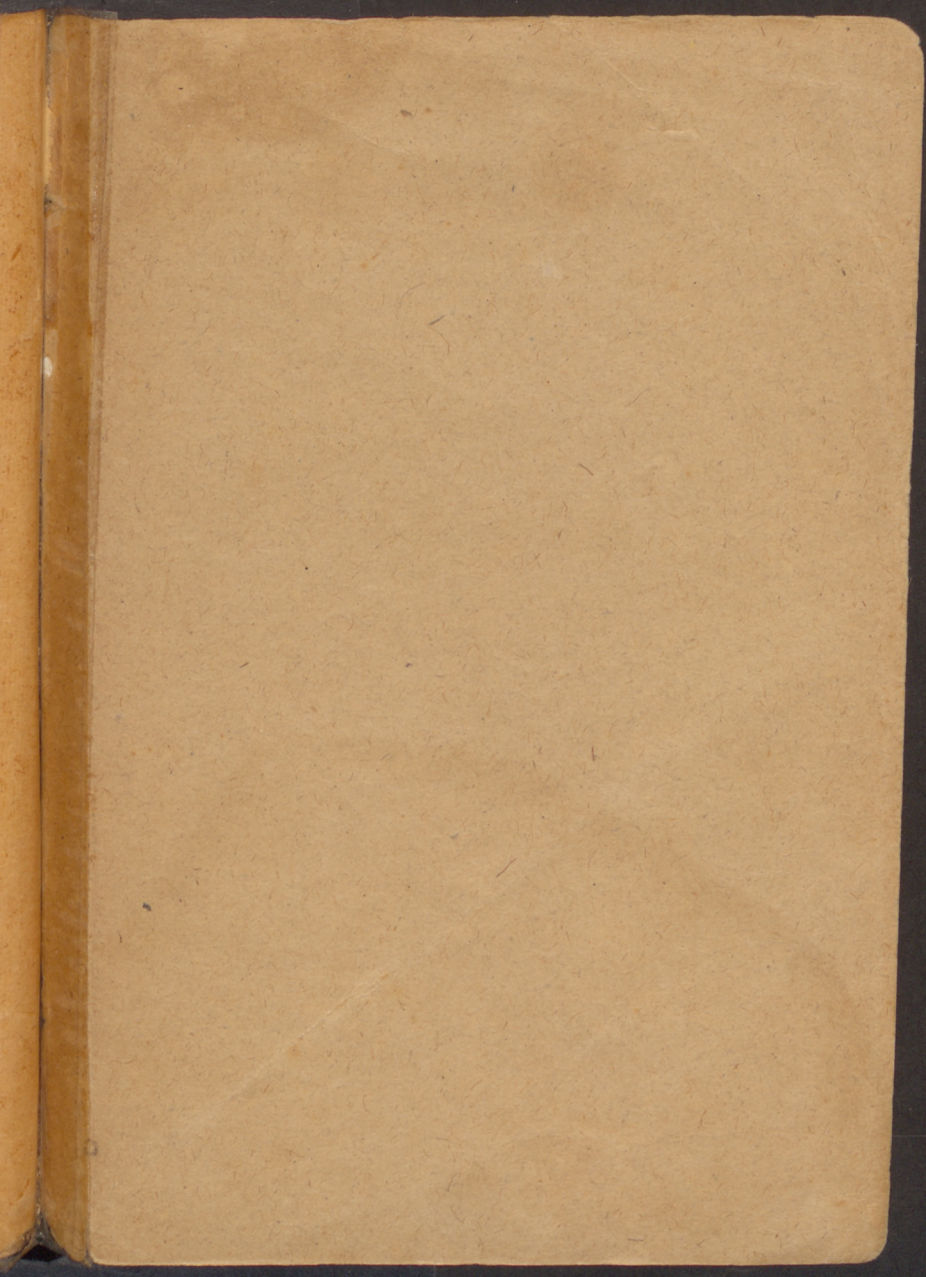
300000092016





30

—





Biblioteka  
Główna  
UMK Toruń

725302

Job No. 1960 / PP & TJ / AG